



STEPHEN
KING

PODPALACZKA

ALBATROS

STEPHEN
KING
PODPALACZKA

Z angielskiego przełożył
KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI

ALBATROS
Wydanie elektroniczne

FIRESTARTER

Copyright © Stephen King 1980

All rights reserved

Published by arrangement with Viking, a member of Penguin Group (USA) Inc.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Krzysztof Sokołowski 1999

Zdjęcie na okładce: © Gregory Canu/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-760-2

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

tel.691902519

www.wydawnictwoalbatros.com

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[O książce](#)
[Tego autora](#)
[Motto](#)
[Dedykacja](#)

[Nowy Jork/Albany](#)
[Longmont, Wirginia. Sklepik](#)
[Zdarzenie na farmie Mandersów](#)
[Waszyngton, D.C.](#)
[Tashmore, Vermont](#)
[Kap i Rainbird](#)
[Uwięzieni](#)
[Mrok](#)
[Mały płomyk, wielki bracie](#)
[Ostatnie rozdanie](#)
[Podpalaczka](#)
[Charlie Samotna](#)

[Przypisy](#)
[O autorze](#)

JESTEŚ PODPALACZKĄ, KOCHANIE,
JEDNĄ WIELKĄ ZAPALNICZKĄ...

Charlie McGee to przemiła dziewczynka – spełnienie
marzeń każdego ojca i matki. Ale i ucieleśnienie ich
najgorszych koszmarów.

Charlie może zabijać myślą. Jest owocem tajnego
eksperymentu naukowego, któremu przed laty poddali się
jej rodzice. Obdarzona zdolnością pirokinezy, mogłaby
nawet doprowadzić do eksplozji atomowej.

Czy zdesperowanemu ojcu uda się uratować córkę?
Przed służbami specjalnymi.
Przed politykami, którzy chcą ją wykorzystać jako broń.
Przed nią samą...

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

ROSE MADDER
DOLORES CLAIBORNE
GRA GERALDA
DESPERACJA
REGULATORZY
SKLEPIK Z MARZENIAMI
BEZSENNOŚĆ
ZIELONA MIŁA
MARZENIA I KOSZMARY
KOMÓRKA
CZTERY PO PÓŁNOCY
CHUDSZY
TO
BASTION
OCZY SMOKA
PO ZACHODZIE SŁOŃCA
CZTERY PORY ROKU
UCIEKINIERSKI
CZARNA BEZGWIEZDZINA NOC
CUJO
PODPALACZKA
ROK WILKOŁAKA
MROCZNA POŁOWA
WOREK KOŚCI
DZIEWCZYNA, KTÓRA KOCHAŁA
TOMA GORDONA
NOCNA ZMIANA
ŁOWCA SNÓW
OSTATNI BASTION BARTA DAWESA
UNIESIENIE
INSTYTUT

Stephen King, Richard Chizmar
PUDEŁKO Z GUZIKAMI GWENDY

Trylogia PAN MERCEDES

PAN MERCEDES
ZNALEZIONE NIE KRADZIONE
KONIEC WARTY

MROczNA WIEŻA

ROLAND
(oraz SIOSTRZYCZKI Z ELURII)
POWOŁANIE TRÓJKI
ZIEMIE JAŁOWE
CZARNOKSIĘŻNIK I KRYSZTAŁ
WIATR PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA
WILKI Z CALLA
PIEŚŃ SUSANNAH
MROczNA WIEŻA

Powieści graficzne MROczNA WIEŻA

NARODZINY REWOLWEROWCA
DŁUGA DROGA DO DOMU
ZDRADA
UPADEK GILEAD
BITWA O JERICHO HILL
POCZĄTEK PODRÓŻY
SIOSTRZYCZKI Z ELURII
BITWA O TULL
PRZYDROŻNY ZAJAZD
CZŁOWIEK W CZERNI

Wyłącznie jako audiobook i e-book

Stephen King, Joe Hill
W WYSOKIEJ TRAWIE

Stephen King, Stewart O'Nan
TWARZ W TŁUMIE

Przyjemnością było palić

Ray Brandbury *451 stopni Fahrenheita*

*Pamięci Shirley Jackson,
która nigdy nie musiała podnosić głosu.*

*The Haunting of Hill House
The Lottery
We Have Always Lived in the Castle
The Sundial*

Nowy Jork/Albany

1

– Tatusiu, jestem zmęczona – powiedziała mała, rozdrażniona dziewczynka w czerwonych spodniach i zielonej bluzce. – Nie możemy się zatrzymać?

– Jeszcze nie, skarbie.

Był wysoki, szeroki w ramionach; miał na sobie znoszoną i pogniecioną sztruksową marynarkę i zwykłe brązowe spodnie. Szli nowojorską Trzecią Aleją, trzymając się za ręce; szli szybko, prawie biegli. Kiedy mężczyzna obejrzał się za siebie, zobaczył, że zielony samochód ciągle tu jest i jedzie wolno, przy samym krawężniku.

– Tatusiu, proszę. Proszę.

Mężczyzna spojrział na dziewczynkę i dostrzegł, jak bardzo jest blada i jakie ma podkrążone oczy. Podniósł ją i posadził na ramieniu, lecz nie wiedział, jak długo da radę ją nieść. On też był zmęczony, a Charlie wyrosła już z wagi piórkowej.

Dochodziła siedemnasta trzydzieści i Trzecia Aleja była zapchana ludźmi. Mijali przecznice z ostatnimi numerami sześćdziesiątki, ciemniejsze i mniej zatłoczone... ale mężczyzna tego się właśnie obawiał.

Zderzyli się z kobietą pchającą wózek wypełniony zakupami.

– Patrzcie, gdzie idziecie, dobra? – ofuknęła ich kobieta i znikła, wessana w śpieszący się tłum.

Ramię zaczęło mu mdleć, więc przesadził Charlie na drugie. Zerknął za siebie. Zielony samochód wciąż tu był; jechał w ślad za nimi oddalony o jakieś pół przecznicy. Z przodu siedziało dwóch i wydawało mu się, że z tyłu jest trzeci.

Co mam teraz zrobić?

Na to pytanie nie znał odpowiedzi. Czuł zmęczenie, przerażenie i myślał z trudnością. Złapali go w najgorszym momencie i,

skurwysyny, pewnie o tym wiedzieli. Jego jedynym marzeniem było usiąść na brudnym krawężniku i wyrzeshzczeć z siebie rozczarowanie i strach. Ale to niczego by nie rozwiązało. Jest dorosły. Musi myśleć za oboje.

Co mamy teraz zrobić?

Nie mieli pieniędzy. Być może to największy problem – oprócz mężczyzn w zielonym samochodzie. W Nowym Jorku niczego nie dokonasz bez pieniędzy. W Nowym Jorku ludzie bez pieniędzy ulatniają się, padają na chodnik i znikają z pola widzenia.

Spojrzał przez ramię. Dostrzegł, że zielony samochód zbliżył się nieznacznie, i pot popłynął mu po plecach i ramionach nieco żywszym strumieniem. Jeśli wiedzą to, co podejrzewał, że wiedzą – jeśli wiedzą, jak mało zostało mu pchnięcia – mogą spróbować zgarnąć ich tu i teraz. I do diabła z tymi wszystkimi ludźmi. W Nowym Jorku, jeśli coś nie trafia się właśnie tobie, doznajesz przedziwnej ślepoty.

Czy robili wykresy? – myślał rozpaczliwie Andy. Jeśli robili, wiedzą i mogą już tylko krzyczeć. Jeśli robili, znają wzór.

Gdy tylko Andy zdobywał jakieś pieniądze, owe dziwne rzeczy przestawały się zdarzać, ale na chwilę. Rzeczy, które bardzo ich interesowały.

Idź dalej.

Jasne, szefie. Oczywiście, szefie. Dokąd?

W południe poszedł do banku, bo ostrzegł go jego radar – pojawiło się to dziwne uczucie, że oni znów się zbliżają. Miał w banku pieniądze; dzięki nim mogliby z Charlie uciec, gdyby musieli. I – czy to nie zabawne? – okazało się, że Andrew McGee nie ma już żadnego konta w Chemical Allied Bank w Nowym Jorku; bieżącego, firmy, oszczędnościowego. Pieniądze rozplęnęły się w powietrzu i wtedy właśnie zrozumiał, że tym razem padnie decydujący cios. Czy to wszystko naprawdę zdarzyło się tylko pięć i pół godziny temu?

Ale może trochę mu jeszcze zostało? Tylko trochę, troszeczkę? Od ostatniego razu minął prawie tydzień – od tego niedośzłego samobójcy, który przyszedł na regularne, popołudniowe, czwartkowe spotkanie Stowarzyszenia Pewności Siebie i z niesamowitym spokojem zaczął mówić o tym, jak zabił się Hemingway. Przy wyjściu, niby to przypadkowo, obejmując potencjal-

nego samobójcę ramieniem, Andy zaaplikował mu pchnięcie. Żywił teraz gorzką nadzieję, że było warto. Bo coś zaczynało mu wyglądać, że on i Charlie będą musieli za to zapłacić. Niemal miał nadzieję, że może echo...

Nie. Przerażony, czując obrzydzenie do samego siebie, odrzucił tę myśl. Tego nie życzyłyby nikomu.

– Tylko troszeczkę – modlił się cicho. – Boże, wystarczy tylko odrobina. Tylko tyle, by wydostać mnie i Charlie z tej matni.

I, o Boże! – jaką cenę przyjdzie za to zapłacić... plus fakt, że później przez pełen miesiąc będziesz martwy jak radio bez głośnika. Może przez sześć tygodni? A może naprawdę będziesz martwy, a twój tępy mózg będzie ci wyciekał uszami. Co się wtedy stanie z Charlie?

Dochodzili do Siedemdziesiątej Ulicy i trafili na czerwone światło. Przez skrzyżowanie płynęły samochody, przy krawężniku stali stłoczeni piesi, nie można było się ruszyć. I nagle wiedział, że mężczyźni z zielonego samochodu dopadną ich właśnie tu. Jeśli się da, wezmą ich żywcem – ale jeśli coś pójdzie krzywo, to... Cóż, o Charlie też im pewnie powiedzieli.

Być może już nawet nie chcą mieć nas żywych. Być może zdecydowali się utrzymać status quo. Co robisz z błędnym równaniem? Wymazujesz z tablicy.

Nóż w plecy, pistolet z tłumikiem, a prawdopodobnie coś bardziej wyrafinowanego – kropla rzadkiej trucizny na końcu igły. Drgawki na rogu Trzeciej i Siedemdziesiątej. Panie władzo, ten facet miał chyba atak serca.

Będzie musiał sprawdzić, czy została mu ta odrobina. Po prostu nie ma innego wyjścia.

Doszli do grupy pieszych czekających na skrzyżowaniu. Na przejściu czerwone światło, niezmiennie i najwyraźniej wieczne. Obejrzał się. Zielony samochód stanął. Otworzyły się drzwi od strony chodnika, wysiadło dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Byli młodzi, gładko ogoleni. Wyglądali znacznie bardziej rześko, niż czuł się Andy McGee.

Zaczął przepychać się przez tłum, nie żałując łokci. Rozglądał się rozpaczliwie za wolną taksówką.

– Hej, człowieku...

– Na litość boską, kolego...

– Proszę pana, pan depcze po moim psie...

– Przepraszam... przepraszam... – powtarzał rozpaczliwie Andy, wypatrując pustej taksówki. Nic. W każdej innej chwili ulice byłyby nimi zapchane. Czuł, że ludzie z zielonego samochodu deptają im po piętach, że chcą położyć łapy na nim i Charlie, że chcą zabrać ich ze sobą Bóg wie gdzie, Skleplik, nie Skleplik; może zrobią im nawet coś gorszego...

Charlie położyła mu głowę na ramieniu i ziewnęła.

Andy dostrzegł pustą taksówkę.

– Stój, stój! – wrzasnął, wymachując dziko wolną ręką.

Dwaj mężczyźni za jego plecami odrzucili wszelkie pozory.

Zaczęli biec.

Taksówka zjechała do krawężnika.

– Stać! – krzyknął jeden z nich. – Policja! Policja!

Za plecami czekających na skrzyżowaniu ludzi rozległ się kobiecy krzyk i tłum zaczął się rozpraszać.

Andy otworzył drzwi taksówki, wsadził do niej Charlie i sam zanurkował do środka.

– La Guardia, gaz do dechy – powiedział.

– Taksówka, stać! Policja!

Taksówkarz odwrócił się, słysząc krzyk, i Andy pchnął, bardzo delikatnie. Sztylet bólu ugodził go dokładnie w środek czoła i zaraz znikł, pozostawiając po sobie nieokreślone jądro – jak poranna migrena od spania głową w złej pozycji.

– Chyba gonią tego czarnego w czapce w kratkę – powiedział taksówkarzowi.

– Jasne – odparł kierowca i spokojnie odjechał od krawężnika.

Pojechali Wschodnią Siedemdziesiątą.

Andy obejrzał się. Dwaj mężczyźni stali samotnie przy krawężniku; reszta przechodniów nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Jeden z nich odpiął od pasa krótkofalówkę i coś do niej mówił. Później obaj zniknęli.

– Co zmalował ten czarny? – zapytał kierowca. – Obrabował sklep alkoholowy czy co, jak pan sądzi?

– Nie wiem – odpowiedział Andy, próbując myśleć, co dalej i jak wyciągnąć z taksówkarza jak najwięcej jak najmniejszym pchnięciem. Czy spisali numer taksówki? Powinien założyć, że tak. Ale niechętnie pójdą z tym na policję, miejską lub stanową; są chyba zaskoczeni i rozbici, przynajmniej na razie.

– Czarni w tym mieście to banda ćpunów – stwierdził taksówkarz. – Już ja dobrze wiem.

Charlie zasypiała. Andy zdjął sztruksową marynarkę, zwinął ją i wsunął dziewczynce pod głowę. Poczul niewielki przypływ nadziei. Jeśli rozegra to dobrze, może im się udać. Bogini szczęścia zesłała mu człowieka, którego Andy (bez żadnych uprzedzeń) nazywał popychadłem. Ludzi tego rodzaju najłatwiej było pchnąć aż do końca; był biały (z jakiegoś powodu z kolorowymi szło najgorzej); całkiem młody (ze starymi niemal nic nie dawało się zrobić); o średniej inteligencji (inteligentnych najłatwiej było pchnąć, głupich najtrudniej, z upośledzonymi umysłowo nie wychodziło wcale).

– Zmieniłem zdanie – powiedział Andy. – Proszę nas zawieźć do Albany.

– Gdzie?

Kierowca spojrzął we wsteczne lusterko.

– Człowieku, nie wolno mi wozić ludzi do Albany, zwariowałaś czy co?

Andy wyciągnął portfel, w którym znajdował się jeden dolarowy banknot. Dziękował Bogu, że nie był to ten rodzaj taksówki, w którym pasażer nie może kontaktować się z kierowcą, bo oddziela ich kuloodporna szyba ze szczeliną, przez którą wsuwa się pieniądze. Otwarty kontakt zawsze ułatwiał pchnięcie. Andy nie potrafił określić, czy to tylko bariera psychologiczna, ale w tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia.

– Mam zamiar dać panu pięćsetdolarowy banknot – powiedział cicho Andy – za zawieszenie mnie i córki do Albany. W porządku?

– Jeeezu, proszę pana...

Andy wsadził banknot w rękę kierowcy i kiedy ten na niego spojrzął, pchnął... i to pchnął mocno. Na jedną straszną sekundę przeraziła go myśl, że to się nie uda, że po prostu nic mu już nie zostało, że wyskrobał resztki, kiedy sprawił, że taksówkarz dostrzegł tego nieistniejącego czarnego mężczyznę w kraciastej czapce.

Wtedy przyszło to uczucie – jak zawsze w towarzystwie stalowego sztyletu bólu. W tej samej chwili żołądek jakby przybrał na wadze, a wnętrzności skręciły się w strasznej, przejmującej męce. Drżącą ręką Andy przykrył twarz i myślał, czy zwymiotu-

je... czy może umrze. W tej jednej chwili chciał umrzeć, jak zawsze kiedy nadużył pchnięcia – użyj, nie nadużyj – śpiewny slogan jakiegoś disc jockeya sprzed lat odbił się boleśnie w jego mózgu. Gdyby w tej właśnie chwili ktoś włożył mu do ręki pistolet...

A później Andy spojrzał na Charlie, śpiącą Charlie, Charlie ufającą, że wyciągnie ich z tego bagna, jak wyciągał ich ze wszystkich innych, Charlie pewną, że po obudzeniu zostanie go na miejscu. Tak, te wszystkie bagna, tylko że przez cały czas jest to to samo bagno, to samo pieprzone bagno, a oni nic nie mogą zrobić i tylko znów uciekają. Był zrozpaczony.

Rozpacz minęła... ale nie migrena. Migrena będzie rosła i rosła, aż stanie się nie do zniesienia, aż z każdym uderzeniem serca jej czerwone ostrza będą mu przebijać czaszkę i szyję. Jasne światło spowoduje, że oczy się załzawią i ból przeszyje głowę strzałami cierpienia. Zatoki zatkają się i będzie musiał oddychać ustami. W skronie wkręcą się świdry. Wzmocnią się dźwięki – normalne odgłosy będą brzmiały jak uderzenia kowalskich młotów, głośniejsze dźwięki staną się nie do wytrzymania. Migrena będzie rosła, aż Andy poczuje, jak głowę zgniata mu dębowy wieniec inkwizycji. I na tym poziomie ból się zatrzyma; na sześć godzin, na osiem, na dziesięć. Tym razem nie potrafił powiedzieć na ile. Nigdy jeszcze nie pchnął tak mocno, kiedy był tak bardzo wyładowany. A przez cały czas, który przyjdzie mu spędzić w niewoli bólu, pozostanie bezbronny. Charlie będzie musiała o niego dbać. Bóg wie, robiła to już przedtem... ale wtedy mieli szczęście. Ile można mieć szczęścia naraz?

– Jeeezu, proszę pana, no, nie wiem...

Co oznaczało, że kierowca przypuszcza, iż sprawa jest podejrzana.

– Jeśli wspomni pan coś o tym mojej małej córeczce, nici z umowy – stwierdził Andy. – Te dwa tygodnie spędziła ze mną. Jutro rano musi wrócić do matki.

– Prawo do odwiedzin – powiedział taksówkarz. – Wiem o tym wszystko.

– No i widzi pan, miałem polecieć z nią samolotem.

– Do Albany? Pewnie Ozarkiem. Mam rację?

– Tak. Tylko problem w tym, że ja śmiertelnie boję się samolotów. Wiem, głupio brzmi, ale to prawda. Zazwyczaj sam ją od-

wożę, ale tym razem moja była zrobiła mi awanturę i... no, sam nie wiem.

Andy naprawdę nie wiedział. Wymyślił tę historię na poczekaniu i zabrnął w ślepią uliczkę. Najpewniej był po prostu wyczerpany.

– Więc podrzucę was na stare lotnisko w Albany i mamusia o niczym się nie dowie, oprócz tego, że przylecieliście, co?

– Jasne. – Łomot w głowie.

– I mamusia nie będzie podejrzewać, że pan jest fiu, fiu, fiu, co nie?

– Tak.

„Fiu, fiu, fiu”? Co to niby miało oznaczać? Ból był już nie do zniesienia.

– Pięćset dolców, żeby nie lecieć – zadumał się taksjarsz.

– Dla mnie to tyle warte – stwierdził Andy i użył ostatecznego argumentu. Bardzo cichym głosem, pochylając się niemal do ucha kierowcy, dodał: – I chyba dla pana też.

– Słuchaj pan – powiedział taksjarsz rozmarzonym głosem. – Ja tam nie wyrzucam pięciuset dolców, o nie. Już ja to wiem.

– Więc w porządku. – Andy opadł na siedzenie.

Zadowolili taksjarsza. Kierowca nie pomyślał nad tym, co usłyszał. Nie zastanawiał się, dlaczego siedmioletnia dziewczynka odwiedza ojca na dwa tygodnie w październiku, kiedy powinna chodzić do szkoły. Nie zastanowiło go, że żadne z nich nie ma nawet podręcznej torby. Nie przejmował się niczym. Dostał pchnięcie.

A teraz jemu przyjdzie za to zapłacić.

Andy położył rękę na nodze Charlie. Dziewczynka spała mocno. Uciekali całe popołudnie – od chwili, gdy Andy dotarł do szkoły i wyciągnął ją z jej drugiej klasy, używając na pół zapomnianego pretekstu... „Babcia poważnie chora... Zadzwoń do domu... Przykro mi, że zabieram ją w środku dnia”. A pod tym wszystkim wielka, rosnąca ulga. Jak strasznie bał się zajrzeć do klasy pani Mishkin, jak strasznie się bał, że zobaczy puste krzesło Charlie, książki porządnie złożone w kasetce:

„Nie, panie McGee... dwie godziny temu wyszła z pańskimi przyjaciółmi... pokazali mi kartkę od pana... czy coś nie w porządku?”.

Wracają wspomnienia o Vicky, ten dzień, pusty dom, porażający strach. Szalony pościg za Charlie. Bo już ją przedtem mieli, o tak.

Ale Charlie tu była. Jakim cudem mu się udało? O ile ich poibił? Pół godziny? Piętnaście minut? Mniej? Nie chciał o tym myśleć. W barze zjedli późny lunch, a potem, przez całe popołudnie, po prostu wiali – teraz już Andy potrafił przyznać się przed sobą, że wpadł w panikę – jeździli metrem, autobusami, lecz najwięcej po prostu wędrowali. Charlie była wykończona.

Obdarzył córeczkę długim, kochającym spojrzeniem. Piękne blond włosy spadały jej na plecy; we śnie pełna była spokojnego piękna. Aż do bólu przypominała mu Vicky. Andy zamknął oczy.

Na przednim siedzeniu taksówkarz w zdumieniu przyglądał się pięćsetdolarowemu banknotowi, który wręczył mu ten pasażer. Wsadził go w specjalną kieszeń paska; trzymał w niej wszystkie napiwki. Nie myślał, jakie to dziwne, że siedzący z tyłu facet chodził po Nowym Jorku z małą dziewczynką i pięćsetdolarowym banknotem w kieszeni. Nie myślał o tym, jak załatwi to z dyspozytorem. Myślał o tym, jak bardzo zachwyci swą dziewczynę, Glyn. Glyn ciągle mu powtarzała, że prowadzenie taksówki to przygnębiająca, nieciekawa praca. Dobra, poczekajmy, aż zobaczy przygnębiającą, nieciekawą pięćsetkę.

Andy odchylił głowę na oparcie i przymknął oczy. Migrena zbliżała się, nadchodziła, nie do uniknięcia, jak czarny koń ciągnący karawan na pogrzebie. Podkowy czarnego konia uderzały mu w skronie: bum... bum... bum...

Bezustanna ucieczka. On i Charlie. Ma trzydzieści cztery lata i do tego roku uczył angielskiego na stanowym uniwersytecie w Harrison, Ohio. Harrison było małym, sennym, uniwersyteckim miasteczkiem. Dobre, stare Harrison, samo serce Ameryki. Dobry, stary Andrew McGee; miły młody człowiek, filar społeczności. Pamiętasz tę zagadkę? Dlaczego rolnik jest filarem społeczności? Bo na swoim polu wyrasta nad wszystko.

Bum... bum... bum... czarny, dziki koń o czerwonych oczach galopuje przez korytarze jego głowy, żelazne podkowy wbijają się w miękkie, szare grudy tkanki mózgowej, zostawiając ślady wypełniające się mistycznymi półksiężycami krwi.

Taksiarz był popychadłem. Jasne. Filar taksiarzy.

Zdrzemnął się i zobaczył twarz Charlie. I twarz Charlie zmieniła się w twarz Vicky.

Andy McGee i jego żona, śliczna Vicky. Wyrwali jej paznokcie, jeden za drugim. Wyrwali cztery i wtedy zaczęła mówić. Przynajmniej tego się domyślał. Kciuk, wskazujący, środkowy, serdeczny. Później – nie! „Będę mówić. Powiem wam wszystko, wszystko. Tylko mnie już nie dręczcie. Proszę”. Więc im powiedziała. A potem... może to był przypadek... potem jego żona umarła. Cóż, niektóre rzeczy przerastają nas oboje, a inne przerastają nas wszystkich.

Rzeczy takie, jak na przykład Sklepik.

Bum... bum... bum... dziki czarny koń zbliżał się, zbliżał, zbliżał; strzeżcie się czarnego konia.

Andy zasnął.

Wspominał.

2

Eksperymentem kierował doktor Wanless. Był tłusty, łysiał i miał co najmniej jeden dziwaczny nawyk.

– Każdemu z was, dwunastu młodych pań i panów, zamierzamy dać zastrzyk – mówił, rozdierając papierosa nad stojącą przed nim popielniczką. Jego małe różowe palce szarpały cienką papierosową bibułę, wysypując z niej regularne, małe bryłki złotobrazowego tytoniu. – W sześciu strzykawkach będzie woda. W sześciu będzie woda zmieszana z małą ilością syntetycznego preparatu chemicznego, który nazywamy Próba Sześć. Dokładny skład preparatu jest tajny, ale zasadniczo jest to środek hipnotyczny i łagodnie halucynogeny. Rozumieją państwo, że w ten sposób preparat zostanie wam podany w sposób podwójnie przypadkowy... przez co chcę powiedzieć, że dopiero w trakcie eksperymentu i państwo, i my dowiemy się, komu go zaaplikowano, a komu nie. Wasza dwunastka będzie pod ścisłą obserwacją przez czterdzieści osiem godzin po zastrzyku. Pytania?

Było kilka pytań, w większości dotyczących dokładnego składu Próby Sześć – słowo „tajny” zadziało jak wypuszczenie psów na trop skazańca. Wanless wykręcał się całkiem zręcznie. Nikt nie zadał pytania, które najbardziej interesowało dwudzie-

stodwuletniego Andy'ego McGee. Zastanawiał się, czy nie podnieść ręki i nie przerwać ciszy i spokoju, panujących w niemal pustej sali wykładowej wspólnego budynku Wydziału Psychologii i Wydziału Socjologii, pytaniem: – Proszę mi powiedzieć, dlaczego niszczy pan w ten sposób całkiem dobre papierosy? – Chyba nie. Póki trwa ta nuda, lepiej popuścić cugli wyobraźni. Wanyless próbował rzucić palenie. Palacze oralni palą papierosy, palacze analni drą papierosy. (Ta myśl spowodowała, że usta Andy'ego skrzywiły się w lekkim uśmiechu; ukrył go za podniesioną dłoń). Brat doktora zmarł na raka płuc i doktor w ten symboliczny sposób mści się na całym przemyśle tytoniowym. A może był to jeden z osobliwych tików, które profesorowie uniwersytetów czują się w obowiązku pielęgnować raczej, niż tłumić. Na drugim roku w Harrison Andy miał wykładowcę (przeniesionego już litościwie na emeryturę), który wykładając o Williamie Deanie Howellsie i narodzinach realizmu, bez przerwy wachał krawat.

– Jeśli nie ma już więcej pytań, proszę wypełnić te formularze i spodziewamy się państwa we wtorek, punktualnie o dziewiątej.

Dwóch asystentów rozdawało fotokopie formularzy z dwudziestoma pięcioma idiotycznymi pytaniami, na które trzeba było odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

Czy kiedykolwiek przechodził Pan/Pani kurację psychiatryczną? – 8. Czy jest Pan/Pani przekonany (a), że miał Pan/Pani autentyczne doświadczenie pozazmysłowe? – 14. Czy używał Pan/Pani kiedykolwiek środków halucynogennych? – 18.

Po krótkiej chwili namysłu Andy zaznaczył przy ostatnim pytaniu „nie”, myśląc: Kto ich nie używał w naszym wspólnym 1969 roku?

Wpuścił go w to Quincey Tremont – gość, z którym Andy mieszkał podczas studiów w jednym pokoju. Quincey wiedział, że sytuacja finansowa Andy'ego nie przedstawia się różowo. Był maj, ostatni rok studiów, Andy był czterdziesty na roku, na którym studiowało pięćset sześć osób, a trzeci w angielskim. Tylko że nie sprzedadzą ci za to obiadu – jak powiedział Quinceyowi, który był na psychologii. W semestrze jesiennym Andy miał dostać asystenturę, która, wraz z pakietem pożyczki stypendialnej, powinna mu wystarczyć na jedzenie podczas studiów dla za-

awansowanych; ale to wszystko miało przyjść na jesieni, a tymczasem trwał letni sezon ogórkowy. Andy'emu udało się na razie załatwić jedynie wymagającą i odpowiedzialną posadę pomocnika na nocnej zmianie w stacji benzynowej.

– Co myślisz o szybkich dwóch stówach? – zapytał go kiedyś Quincey.

Andy szesał długie, ciemne włosy z zielonych oczu i uśmiechnął się.

– W jakim męskim kibelku mam ustawić stolik?

– Nie, to eksperyment z psychiatrii – odpowiedział Quincey. – Ale prowadzi go Szalony Doktor. Ostrzegam.

– Kto?

– Niejaki Wanless, ciemniaku. Wielki szaman na tym ich Wydziale Psychologii.

– Dlaczego nazywają go Szalonym Doktorem?

– Cóż – odpowiedział Quincey – to eksperymentator od szczurów i facet Skinnera jednocześnie. Behawiorysta. A behawiorystów w naszych czasach niekoniecznie otacza się miłością.

– Aha – powiedział Andy, niewiele z tego rozumiejąc.

– A poza tym nosi bardzo grube, małe okulary bez oprawki i dzięki nim mocno przypomina faceta, który zmniejszał ludzi w *Dr Cyclops*. Może to widziałeś?

Andy, który był namiętym kinomanem, widział to i poczuł się nieco spokojniejszy. Ale mimo wszystko nie był pewien, czy chce uczestniczyć w eksperymencie profesora, którego nazywano a) eksperymentatorem od szczurów i b) Szalonym Doktorem.

– Ale oni nie zamierzają zmniejszać ludzi, co? – zapytał.

Quincey roześmiał się serdecznie.

– Nie, to wyłącznie domena ludzi od efektów specjalnych w horrorach klasy B – powiedział. – Wydział Psychologii testuje serię łagodnych środków halucynogennych. Pracują ręką w rękę z wywiadem USA.

– CIA? – zapytał Andy.

– Ani CIA, ani DIA, ani NSA – odpowiedział Quincey. – Bardziej utajnione od nich wszystkich. Spotkałeś się kiedy z czymś, co nazywają Sklepikiem?

– Może w niedzielnym magazynie albo coś. Nie jestem pewien.

Quincey zapalił fajkę.

– To wygląda wszędzie mniej więcej tak samo. Psychologia, chemia, fizyka, biologia... nawet socjologom odpala się coś ze zwitka zielonych. Pewne programy subsydiowane są przez rząd. Wszystko, począwszy od rytuałów godowych muchy tse-tse do możliwości pozbycia się zużytych odpadów plutonu. Coś takiego jak Sklepik musi wydać w ciągu roku całą forszę, żeby uzasadnić przyznanie podobnego budżetu na następny rok.

– Całe to gówno cholernie mnie martwi – powiedział Andy.

– Martwi niemal każdego myślącego człowieka – odparł Quincey z promiennym uśmiechem, świadczącym, że wcale nie jest zmartwiony. – I wszystko toczy się dalej. Czego nasza instytucja wywiadowcza chce od łagodnych halucynogenów? Kto wie? Nie ja. Nie ty. Oni sami też mogą nie wiedzieć. Ale raporty będą wyglądały nieźle na zamkniętym posiedzeniu komitetu budżetowego. Mają swoich pupilków na każdym wydziale. W Harrison, na Psychologii, ich pupilkiem jest Wanless.

– Administracji to nie przeszkadza?

– Nie bądź naiwny, mój chłopcze. – Quincey rozpałił już fajkę tak, jak chciał, i zaczął wydmuchiwać wielkie chmury śmierdzącego dymu w nędzny salonik ich mieszkania. Odpowiednio do fajki zmienił się jego głos, był dźwięczniejszy, bardziej napuszony, bardziej fajczany. – Co jest dobre dla Wanlessa, jest dobre dla Wydziału Psychologii Uniwersytetu w Harrison, który w następnym roku zyska tu własny gmach; już nie będzie się gniótł z tymi ciemnymi typkami z socjologii. A co jest dobre dla Wydziału Psychologii, jest dobre dla Uniwersytetu Stanowego w Harrison. I dla Ohio. I całe to ple-ple.

– Myślisz, że to bezpieczne?

– Na studentach ochotnikach nie testuje się niczego, co mogłoby być niebezpieczne – stwierdził Quincey. – Gdyby mieli chociaż najmniejsze wątpliwości, eksperymentowaliby na szczurach i skazańcach. Możesz być w stu procentach pewien, że to, co ci wstrzykną, wstrzyknęli już przedtem mniej więcej trzystu ludziom, których reakcje obserwowano bardzo uważnie.

– Nie podoba mi się ten interes z CIA...

– Ze Sklepikiem...

– A co to za różnica? – spytał ponuro Andy.

Patrzył na plakat, który powiesił Quincey, przedstawiający Richarda Nixona stojącego przed zmiążdżonym wrakiem samo-

chodu. Nixon uśmiechał się szeroko i z zaciśniętych pięści wystawiał sterczący znak zwycięstwa. Ciągłe jeszcze nie mógł uwierzyć, że przed niespełna rokiem ten człowiek został wybrany na prezydenta.

– Cóż, myślałem, że po prostu przyda ci się dwieście dolców, to wszystko.

– A czemu płacą tak dobrze? – zapytał podejrzliwie Andy. Quincey wyrzucił ręce w górę.

– Andy, to na koszt rządu! Nie potrafisz tego zrozumieć? Dwa lata temu Sklepik zapłacił coś około trzystu tysięcy dolarów za studium nad przydatnością masowej produkcji wybuchających rowerów – i to było w niedzielnym „Timesie”. Pewnie kolejna wietnamska afera, chociaż prawdopodobnie nikt nic nie wie na pewno. Jak lubił mawiać Cygan McGee: „Wtedy wydawało się to dobrym pomysłem”. – Quincey wystukiwał fajkę szybkimi, nerwowymi ruchami. – Dla takich facetów każda uczelnia w Stanach to ekskluzywny supermarket. Tutaj trochę kupią, tutaj coś podpatrzą. Ale jeśli nie chcesz...

– No, może chcę. A ty w to wchodzisz?

Quincey uśmiechnął się. Jego ojciec miał w Ohio i Indianie sieć bardzo modnych sklepów z męską konfekcją.

– Dwustu dolców to ja aż tak nie potrzebuję. A poza tym nie znoszę igieł.

– Aha.

– Na miłość boską, ja ci wcale nie próbuję tego sprzedać, po prostu wydałeś mi się jakby głodny. W każdym razie masz pięćdziesiąt procent szans, że będziesz w grupie kontrolnej. Dwieście dolców za zastrzyk z wody. I to nawet nie wody z kranu, wiesz. Wody destylowanej.

– Możesz to załatwić?

– Chodzę z jedną asystentką Wanlessa – powiedział Quincey.

– Będą mieli tak około pięćdziesięciu zgłoszeń, większość od lizusków zarabiających na przody u Szalonego Doktora...

– Wolałbym, żebyś przestał go tak nazywać.

– No, to u Wanlessa. – Quincey roześmiał się. – Już on na pewno się postara, żeby lizuski odpadły. Moja dziewczyna dopilnuje, żeby twoje podanie zostało przyjęte. A później, kochany, musisz się starać sam.

Więc kiedy ogłoszenie „Poszukujemy ochotników” pojawiło się w gablotce na ścianie w gmachu psychologii, Andy złożył odpowiednie podanie. Po tygodniu zadzwoniła młoda asystentka (z tego, co wiedział Andy, dziewczyna Quinceya) i zadała mu kilka pytań. Powiedział, że jego rodzice nie żyją, że ma grupę krwi „0”, że nigdy przedtem nie brał udziału w żadnym eksperymencie Wydziału Psychologii, że rzeczywiście jest studentem w Harrison, rocznik '69 i że ma ponad dwanaście zaliczeń, co klasyfikuje go jako regularnego studenta. Ach tak, skończył dwadzieścia jeden lat i może podejmować wszystkie czynności prawne, publicznie i prywatnie.

Tydzień później, pocztą uniwersytecką, Andy otrzymał list z zawiadomieniem, że jego kandydatura została przyjęta, i prośbą, by podpisał się na formularzu. Proszę przynieść podpisany formularz szóstego maja do pokoju numer sto, w gmachu Jasona Gearneigha.

I właśnie tak tu się znalazł. Oddał podpisany formularz; niszczytel papierosów, doktor Wanless, znikł (naprawdę wyglądał trochę jak szalony naukowiec w tym filmie, *Cyclops*), a on – razem z jedenastoma innymi studentami – odpowiadał na pytania dotyczące doświadczeń religijnych. „Czy miał epilepsję”? „Nie”. Jego ojciec zmarł nagle na atak serca, gdy Andy miał jedenaście lat. Jego matka zginęła w wypadku samochodowym, gdy Andy miał lat siedemnaście – wstrętne, bolesne doświadczenie. Jedyłą bliską krewną była siostra matki, ciocia Cora, osoba mocno już starszawa.

Posuwał się wzdłuż kolumny pytań, zaznaczając „nie”, „nie”, „nie”. Tylko na jedno pytanie odpowiedział TAK. Czy kiedykolwiek doznałeś złamania lub poważnego urazu? Jeśli tak, opisz. We właściwym miejscu Andy opisał fakt, że złamał lewą kostkę, wślizgując się do drugiej bazy w meczu Ligi Juniorów dwanaście lat temu.

Sprawdzał odpowiedzi, przesuwając czubek długopisu w górę kolumny pytań i właśnie wtedy ktoś poklepał go po ramieniu, a dziewczęcy głos, słodki i nieco ochryply, zapytał:

– Czy mogę pożyczyć długopisu, jeśli skończyłeś? Mój się wypisał.

– Oczywiście – odpowiedział i obrócił się, by wręczyć długopis dziewczynie. Była ładna. Wysoka. Jasnokasztanowate włosy,

niezwykle piękna cera. Ubrana w niebieskoszarą bluzę i krótką spódniczkę. Dobre nogi. Bez pończoch. Szybka ocena przyszłej żony.

Wręczył jej długopis, a ona uśmiechnęła się w odpowiedzi. Kiedy znów pochyliła się nad formularzem, blask umieszczonych wysoko świateł odbił się miedzią w jej włosach, niedbale związanych szeroką białą wstążką.

Andy zaniósł formularze do asystenta siedzącego przy katedrze.

– Dziękuję – odpowiedział asystent jak dobrze zaprogramowany robot Robbie. – Pokój siedemdziesiąt, sobota, dziewiąta rano. Proszę być punktualnie.

– Jaki odzew? – wyszeptał ochryple Andy.

Asystent roześmiał się uprzejmie.

Andy wyszedł z sali wykładowej, ruszył przez hol w stronę wielkich podwójnych drzwi (za drzwiami dziedziniec zielenił się w oczekiwaniu lata, studenci łazili po nim bez celu, tu i tam) i przypomniał sobie o długopisie. Niemal machnął na niego ręką, był to tylko bic za dziewiętnaście centów, a na niego czekało jeszcze kilka zaliczeń. Ale dziewczyna była ładna, może warta, jak to mówią Brytyjczycy, przygadania. Nie miał złudzeń co do swej urody i sylwetki, które niczym szczególnym się nie wyróżniały, i co do sytuacji dziewczyny (zaangażowana albo zaręczona), ale dzień był ładny i Andy czuł się dobrze. Zdecydował, że zaczeka. W końcu przynajmniej jeszcze raz obejrzy sobie te nogi.

Dziewczyna wyszła trzy lub cztery minuty później; pod pachą trzymała kilka notatników i podręcznik. Naprawdę była śliczna i Andy zdecydował, że warto było poczekać, by móc popatrzeć na jej nogi. Były więcej niż ładne, były wspaniałe.

– Ach, tu jesteś – powiedziała dziewczyna z uśmiechem.

– Tu jestem – odpowiedział jej Andy McGee. – Co o tym wszystkim sądzisz?

– Nie wiem. Przyjaciółka powiedziała mi, że takie eksperymenty prowadzi się tu bez przerwy – w tym semestrze brała udział w jednym z nich. Karty do badania ESP. Dostała pięćdziesiąt dolarów, chociaż pomyliła prawie wszystkie. Więc pomyślałam sobie... – Skończyła myśl wzruszeniem ramion i starannie odrzuciła na plecy miedziane włosy.

– Tak. Ja też – powiedział Andy, odbierając od niej długopis. – Ta przyjaciółka jest na psychologii?

– Tak. I mój chłopak też. Jest w jednej z grup doktora Wanlessa, więc nie mógł wziąć udziału w eksperymencie. Konflikt interesów czy coś tam.

Chłopak. Oczywiście; wysoka, kasztanowowłosa piękność musi mieć jakiegoś chłopaka. Tak kręci się ten świat.

– A co z tobą? – zapytała.

– To samo. Przyjaciel na psychologii. Przy okazji, nazywam się Andy. Andy McGee.

– Vicky Tomlinson. Trochę się tym denerwuję, panie Andy McGee. A co, jeśli będę miała złą podróż albo coś takiego?

– Mnie to wygląda na bardzo łagodny środek. A nawet jeśli to kwas, cóż... laboratoryjny jest inny niż ten, który możesz kupić na ulicy, tak przynajmniej słyszałem. Bardzo czysty, bardzo łagodny, podawany w dokładnie kontrolowanych okolicznościach. Prawdopodobnie usłyszysz tylko Cream albo Jefferson Airplane. – Andy uśmiechnął się szeroko.

– Dużo wiesz o LSD? – zapytała dziewczyna z lekkim uśmiechem, który podniósł jej kąciki ust i bardzo mu się spodobał.

– Niewiele – przyznał Andy. – Spróbowałem dwa razy – raz dwa lata temu, raz w tym roku. W pewien sposób poczułem się po tym lepiej. Wyczyścił mi głowę... a przynajmniej tak mi się wydawało. Po wszystkim znikło mi z głowy mnóstwo starego śmiecia. Ale nie chciałbym się do niego przyzwyczaić. Nie lubię tracić kontroli nad sobą. Mogę ci kupić colę?

– Dobrze – zgodziła się i poszli do głównego budynku.

Skończyło się na tym, że kupił jej dwie cole i spędzili razem całe popołudnie. Wieczorem w miejscowym barze wypili kilka piw. Okazało się, że między nią i jej chłopakiem dojrzało do zerwania i nie była pewna, jak to dalej rozegrać. Wyobrażał sobie, że wzięli ślub, tłumaczyła Andy'emu, i kategorycznie zakazał jej brania udziału w eksperymencie Wanlessa. Dokładnie z tego powodu zdecydowała się i podpisała zgodę, chociaż trochę się bała.

– Ten Wanless naprawdę przypomina nieco szalonego naukowca – powiedziała, robiąc kółka na stole szklanką od piwa.

– Jak ci się podobała jego sztuczka z papierosami?

Vicky zachichotała.

– Dziwny sposób na rzucenie palenia, co?

Zapytał, czy może wpaść po nią rankiem, przed eksperymentem, i Vicky zgodziła się z wdzięcznością.

– Dobrze będzie wejść w to wszystko z przyjacielem – powiedziała, patrząc na niego szczerymi, niebieskimi oczami. – Naprawdę trochę się boję, wiesz? George był taki... nie wiem, nieugięty.

– Dlaczego? Co ci powiedział?

– W tym problem. Nie chciał mi nic powiedzieć oprócz tego, że nie ufa Wanlessowi. Twierdził, że niemal nikt na wydziale mu nie ufa, ale wielu wpisuje się na jego testy, ponieważ jest ich opiekunem naukowym. A poza tym wiedzą, że to bezpieczne; po prostu znowu ich skreśli.

Andy sięgnął przez stół i dotknął ręki Vicky.

– I tak prawdopodobnie dostaniemy wodę destylowaną – powiedział. – Spokojnie, dziecko. Wszystko będzie dobrze. Lecz okazało się, że nic nie było dobrze. Nic a nic.

3

– Panie, to lotnisko Albany... Proszę pana, dojechaliśmy... Proszę pana, jesteśmy na lotnisku.

Andy otworzył oczy i zaraz je zamknął; raziły go białe światła wiszących w górze neonówek. Usłyszał potworne, wrzaskliwe, rosnące bez końca wycie i zadrżał. Czuł, jak wielkie, stalowe igły wbijają mu się w uszy. Samolot. Startuje. Rzeczywistość wróciła do niego poprzez czerwoną mgłę bólu. *Tak, doktorku, już wszystko pamiętam.*

– Proszę pana? – W głosie taksówkarza brzmiał niepokój. – Proszę pana, dobrze się pan czuje?

– Migrena. – Jego głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka, pogrzebany w huku samolotowego silnika, który – dzięki Bogu – cichł. – Która godzina?

– Prawie północ. Długo tu się jedzie. Już ja to wiem. Autobusy nie kursują, jeśli taki miał pan plan. Jest pan pewien, że nie trzeba odwieźć pana do domu?

Andy szukał w głowie fragmentów bajki, którą sprzedał taksówkarzowi. To ważne, żeby ją sobie przypomnieć, i do diabła z migreną. Z powodu echa. Jeśli powie coś, co zaprzeczy opowie-

dzianej wcześniej historii nawet w najmniejszym szczególe, w mózgu taksówkarza może powstać efekt odbicia. I może się wytłumić, najprawdopodobniej się wytłumi, ale może się i nie wytłumić. Taksówkarz mógłby się przyczepić do jakiegoś szczegółu, mógłby sfiksować na jego punkcie, mógłby wkrótce stracić kontrolę; myślałby tylko o tym, aż po niedługim czasie jego mózg rozpadłby się na kawałki. To się już zdarzało.

– Mam samochód na parkingu – powiedział Andy. – Wszystko w porządku.

– Aha. – Taksówkarz uśmiechnął się, uspokojony. – Wie pan, Glyn w to nie uwierzy. Rany! Już ja to...!

– Z pewnością uwierzy. Przecież pan wierzy, nie? Taksówkarz uśmiechnął się szeroko.

– Mam sporo forsy. To dobry dowód, proszę pana. Dziękuję.

– To ja dziękuję panu. – Andy próbował być uprzejmy. Próbował się poruszyć. Dla Charlie. Gdyby był sam, już dawno popełniłby samobójstwo. Bóg nie stworzył człowieka, by znosił taki ból.

– Pan na pewno dobrze się czuje? Jest pan strasznie blady.

– Czuję się nieźle, dziękuję. – Andy zaczął potrząsać Charlie. – Hej, kochanie. – Uważał, żeby nie wymówić jej imienia. Prawdopodobnie nie miało to najmniejszego znaczenia, ale ostrożność przychodziła mu tak naturalnie jak oddychanie. – Obudź się, jesteśmy na miejscu.

Charlie mruknęła i próbowała przewrócić się na drugi bok.

– Kochanie. Skarbie, obudź się.

Charlie mrugnęła, otworzyła oczy – szczere, niebieskie oczy, które odziedziczyła po matce, i usiadła, przecierając twarz.

– Tato? Gdzie jesteśmy?

– Albany, skarbie. Lotnisko. – Pochylając się bliżej córki, Andy szepnął: – Nic nie mów. Nie teraz.

– W porządku. – Charlie uśmiechnęła się do taksówkarza, a taksówkarz uśmiechnął się do niej. Wyślizgnęła się z samochodu i Andy poszedł za nią, starając się iść prosto.

– Jeszcze raz bardzo panu dziękuję – powiedział taksówkarz.

Andy potrząsnął wyciągniętą dłonią.

– Proszę na siebie uważać.

– Jasne. Glyn nie uwierzy w taką forszę!

Taksówkarz wrócił do samochodu i odjechał od pomalowanego na żółto krawężnika. Startował następny odrzutowiec, ryk silników narastał, aż Andy myślał, że głowa pęknie mu na dwie części i spadnie na chodnik jak pusta tykwa. Zatoczył się trochę i Charlie położyła mu rękę na ramieniu.

– Och, tatusiu – powiedziała głosem dobiegającym z bardzo daleka.

– W środku. Muszę usiąść.

Weszli do terminalu, mała dziewczynka w czerwonych spodniach i zielonej bluzce oraz wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, zgarbiony i potargany. Bagażowy patrzył, jak wchodzili, i pomyślał, że to najczystsze świństwo: taki wielki facet, na oko zalany w trupa, na dworze po północy z córeczką, która powinna od dawna być w łóżku, a nie prowadzić go jak pies przewodnik. Takich rodziców powinno się sterylizować, pomyślał bagażowy.

A później mężczyzna i dziewczynka weszli do terminalu przez sterowane fotokomórką drzwi i bagażowy całkiem o nich zapomniał do chwili, gdy w czterdzieści minut później podjechał do krawężnika zielony samochód i wysiadło z niego dwóch mężczyzn, którzy zaczęli z nim rozmawiać.

4

Było dziesięć po dwunastej. Terminal objęli w posiadanie ludzie wczesnego poranka: żołnierze, którym kończyły się przepustki, z mordowane kobiety prowadzące grupki rozdrażnionych, zaspanych dzieciaków, biznesmeni ze spuchniętymi od niewyspania oczami, młodzi ludzie w wielkich butach, z długimi włosami, wędrujący znikąd donikąd (niektórzy dźwigali plecaki), kobieta i mężczyzna z raketami tenisowymi w torbach. Głośniki informowały o przylotach i odlotach, wywołując ludzicznym jakiś wszechmocny głos we śnie.

Andy i Charlie usiedli obok siebie przy dwóch stołach z wmontowanymi telewizorami. Odbiorniki były pogięte, podrapane i pomalowane na martwy czarny kolor. Andy'emu wydawały się jakimiś tajemniczymi, futurystycznymi kobrami. Wrzucił w nie ostatnie dwudziestopięciocentówki, żeby nikt nie kazał im wstać i opuścić miejsc. W telewizorze Charlie nadawano po-

wtórkę programu rozrywkowego; u Andy'ego Johnny Carson dokazywał, jak zwykle, z przyjaciółmi.

– Tato, czy muszę? – Charlie zadała to pytanie po raz drugi. W oczach miała łzy.

– Skarbie, mnie już nic nie zostało. Nie mamy pieniędzy. Nie możemy tu za długo siedzieć.

– Żli ludzie nadchodzą? – zapytała Charlie i jej głos opadł do szeptu.

– Nie wiem – łomot w mózgu. Już nie dziki koń, lecz wielkie wory pełne ostrych kawałków żelaza, spuszczone mu na głowę z okna na piątym piętrze. – Musimy założyć, że tak.

– Skąd mam wziąć pieniądze?

Andy zawahał się, a później powiedział:

– Ty wiesz.

Rozpląkała się i łzy spłynęły jej po policzkach.

– To nieładnie. To nieładnie kraść.

– Wiem. Ale oni też nie mają prawa nas ścigać. Wyjaśniałem ci to, Charlie. A przynajmniej próbowałem.

– Małe zło i duże zło?

– Tak. Mniejsze i większe zło.

– Czy głowa naprawdę tak cię boli?

– Jest raczej kiepsko – powiedział Andy. Nie było potrzeby tłumaczyć jej, że za godzinę, może dwie, ból będzie tak straszny, że uniemożliwi mu logiczne myślenie. Nie ma potrzeby jej straszyc, i tak już jest przestraszona. Nie ma potrzeby mówić jej, że jego zdaniem tym razem się im nie uda.

– Spróbuję – powiedziała Charlie i wstała z krzesła. – Biedny tatuś – dodała i pocałowała go.

Andy zamknął oczy. Wprost przed nim grał telewizor, daleki bełkot ześrodkowany w morzu rosnącego bólu. Kiedy znów otworzył oczy, Charlie była już tylko daleką figurką, bardzo małą, ubraną na zielono i czerwono jak łańcuch na choinkę, przemykającą się rażno wśród małych grup ludzi.

Boże, proszę, niech nic jej się nie stanie. Niech nikt jej nie skrzywdzi, niech nikt nie przestraszy jej bardziej, niż już jest przestraszona. Proszę cię, Boże, i dziękuję ci. Tak dobrze?

Jeszcze raz przymknął oczy.

Mała dziewczynka w czerwonych obcisłych spodniach i zielonej bluzce ze sztucznego jedwabiu. Długie jasne włosy. Powinna już leżeć w łóżku, a tymczasem jest tu, sama. Sama w jednym z niewielu miejsc, w których nikt nie zwróci uwagi na samotną małą dziewczynkę, nawet po północy. Mijała ludzi, ale tak naprawdę nikt jej nie widział. Gdyby płakała, strażnik mógłby do niej podejść i zapytać, czy się nie zgubiła, czy wie, na jaką linię mamusia i tatuś mają bilety; zapytałby o nazwiska, by można ich było wywołać. Ale ta dziewczynka nie płakała; sprawiała wrażenie, jakby wiedziała, dokąd idzie.

Charlie nie była pewna, gdzie iść, ale całkiem dokładnie wiedziała, czego szuka. Potrzebowali pieniędzy, tak powiedział tatuś. Zbliżali się źli ludzie, a tatę bolała głowa. Kiedy głowa go tak bolała, nie mógł myśleć. Powinien się położyć i mieć jak najwięcej spokoju. Powinien spać, aż głowa przestanie go boleć. Ale źli ludzie zbliżali się... ludzie ze Sklepiku, ludzie, którzy chcieli ich rozdzielić i zobaczyć, dlaczego są właśnie tacy – i czy można ich użyć, zmusić, żeby robili te rzeczy.

Zobaczyła papierową torebkę wystającą z kosza na śmiecie i wzięła ją. A nieco dalej, w poczekalni, trafiła na to, czego szukała: rząd kabin telefonicznych.

Charlie stanęła, patrząc na nie i czując strach. Bała się, bo tatuś powtarzał jej ciągle, że nie powinna tego robić... od najwcześniejszego dzieciństwa wiedziała, że to coś Złego. Nie zawsze umiała kontrolować Złe. Mogła zranić siebie, kogoś, wielu ludzi. Ten dzień, och, mamusiu, przepraszam, ból, bandaż, krzyk; sprawiła, że mama krzyczała, już nigdy więcej... nigdy... to Złe...

W kuchni, kiedy była mała... Ale bolało za bardzo, żeby o tym myśleć. To było Złe, bo kiedy je wypuściła, szło... wszędzie. I przerażało.

Były i inne rzeczy. Na przykład pchnięcie, tata to tak nazwał, pchnięcie. Tylko że ona potrafiła pchnąć znacznie mocniej niż tata. I głowa nigdy jej po tym nie bolała. Ale czasami, później... pojawiał się ogień.

Charlie stała, zerkając nerwowo na budki telefoniczne i nazwa Złego błysnęła jej w głowie: pirokineza. „Nie o nazwę chodzi – powiedział jej tata, kiedy ciągle jeszcze byli w Port City i myśleli jak głupi, że są bezpieczni. – Kochanie, jesteś podpalaczką. Jak duża, wielka zapalniczka”. Pomyślała wtedy, że to

śmieszne, i zachichotała; ale teraz nie widziała w tym nic śmiesznego.

Inny powód, dla którego nie powinna pchać, to ten, że oni mogli to odkryć. Żli ludzie ze Sklepiku.

– Nie wiem, jak dużo o tobie wiedzą – powiedział jej tata – ale nie chcę, żeby jeszcze się czegoś dowiedzieli. Twoje pchnięcie nie jest dokładnie takie jak moje, skarbie. Nie możesz zmusić ludzi, żeby... no, zmienili zdanie, prawda?

– Neeee...

– Ale możesz sprawić, żeby rzeczy się poruszały. Jeśli kiedykolwiek dostrzegą w tym jakąś prawidłowość i powiążą tę prawidłowość z tobą, będziemy w jeszcze gorszych opałach, niż jesteśmy teraz”.

A to jest kradzież, a kradzież też jest Zła.

Nie szkodzi. Tatusia boli głowa i muszą dotrzeć do jakiegoś cichego, ciepłego miejsca, póki nie rozboli go tak, że w ogóle nie będzie mógł myśleć. Charlie zrobiła krok do przodu.

Budek było chyba z piętnaście. Miały okrągłe, przesuwane drzwi. Kiedy weszło się do budki, siedziało się w niej jak w wielkiej kapsule z telefonem pośrodku. Większość była ciemna, Charlie dostrzegła to, przechodząc obok. W jedną z nich wcisnęła się tłusta pani w spodniach, mówiła szybko i uśmiechała się. A trzy budki od końca młody mężczyzna w wojskowym mundurze siedział na małym stołeczku, drzwi miał otwarte i wystawił przez nie nogi. Mówił coś szybko.

– Sally, słuchaj, rozumiem, co czujesz, ale mogę wszystko wyjaśnić. Oczywiście. Wiem... wiem... tylko daj mi...

Spojrzał w górę, zobaczył, że patrzy na niego mała dziewczynka, wciągnął nogi i popchnął drzwi, aż się zamknęły, wszystko jednym ruchem, jak żółw kryjący się w skorupie. Klóci się z dziewczyną, pomyślała Charlie. Pewnie na niego czekała, a on nie przyszedł. Ja tam nigdy nie będę czekała na chłopaka.

Echo głośników. Strach czał się w jej głowie jak szczur i gryzł. Wszystkie twarze były obce. Czowała się samotna i taka mała, nawet teraz ciągle jeszcze tęskniła za mamą. Miała kraść, ale to bez znaczenia. Oni ukradli mamusi życie.

Wślizgnęła się do ostatniej budki, zaszeleściła papierowa torebka. Charlie podniosła słuchawkę i udawała, że rozmawia.

– Tak, dziadku, tak, tata ija właśnie przylecieliśmy, czujemy się dobrze. – Wyrzała przez szybę, żeby sprawdzić, czy ktoś się nią nie interesuje. Nikt się nią nie interesował. Najbliżej stała Murzynka wykupująca w automacie ubezpieczenie na lot, odwrócona do Charlie plecami.

Charlie spojrzała na telefon i nagle go ruszyła.

Sapnęła cicho z wysiłku i przygryzła dolną wargę; lubiła, jak dolna warga ugina się jej pod zębami. Nie, nie czuła żadnego bólu. Przyjemnie było ruszać rzeczy – i tego też się bała. Przypuśćmy, że polubi tę niebezpieczną rzecz?

Ruszyła jeszcze raz, bardzo lekko i nagle strumień drobnych wyleciał z automatu. Próbowwała podstawić pod niego torebkę, ale nie zdążyła; monety rozsypały się po podłodze. Pochyliła się i zebrała, ile mogła, raz za razem patrząc przez szybę.

Kiedy zebrała pieniądze, przeszła do następnego automatu. Żołnierz z trzeciej budki od końca ciągle rozmawiał. Znów otworzył drzwi i palił.

– Sal, przysięgam na wszystko, tak! Po prostu zapytaj brata, jeśli mi nie wierzysz! On...

Charlie zasunęła drzwi, uciszając jego trochę jękliwy głos. Miała tylko siedem lat, ale bezbłędnie potrafiła rozpoznać kłamstwo. Spojrzała na telefon i chwilę później posypały się z niego drobne. Tym razem podstawiła torebkę doskonale i monety wpadły wprost do niej z cichym, melodyjnym brzękiem.

Kiedy wyszła, żołnierza już nie było, więc zajęła jego budkę. Krzeselko ciągle było ciepłe, mimo kręcącego się wiatraczka pachniało okropnie papierosem.

Pieniądze zabrzęczały w torebce i Charlie poszła dalej.

6

Eddie Delgado siedział na twardym plastikowym krzeselku, patrzył w sufit i palił.

Suka, myślał. Następnym razem dwa razy się zastanowi, czy trzymać razem te swoje cholerne nogi. Eddie to i Eddie tamto, i Eddie nie chcę cię więcej widzieć, i Eddie, jak możesz być taki okrutny. Ale jemu udało się już sprawić, że zmieniła zdanie na temat tego wyświechtanego numeru, co to „nie chcę cię więcej widzieć”. Miał trzydziestodniową przepustkę i jechał sobie do

Nowego Jorku, żeby posmakować tego Smakowitego Jabłuszka, pooglądać widoki i pochodzić po barach dla samotnych. A kiedy wróci, to Sally będzie już jak wielkie, czerwone, dojrzałe jabłuszko, dojrzałe i gotowe spaść. Eddie Delgado będzie niedługo prowadził ciężarówkę z zaopatrzeniem dla wojska w Berlinie Zachodnim. Będzie...

Tok trochę niemiłych wspomnień, a trochę przyjemnych marzeń Eddiego został nagle przerwany niezwykłym uczuciem ciepła ogarniającego mu stopy, jakby podłoga podgrzała się nagle o parę stopni. Towarzyszył temu dziwny, chociaż jakby znajomy zapach... nie żeby się coś paliło... może coś się tli?

Eddie otworzył oczy i pierwsze, co zobaczył, to małą dziewczynkę, spacerującą wcześniej wokół automatów; siedmioletnią, może ośmioletnią i wyglądającą na strasznie zaniedbaną. Teraz niosła wypchaną, papierową torebkę, trzymała ją za spód, jakby były w niej zakupy albo coś.

Ale... stopy! To teraz najważniejsze!

Już nie były ciepłe. Były gorące!

Eddie Delgado spojrział w dół i wrzasnął:

– Wszehmocny Jeeeeezu!

Jego buty płonęły.

Eddie skoczył na równe nogi i ludzie zaczęli się za nim oglądać. Jakaś kobieta spostrzegła, co się dzieje, i krzyknęła, wszczynając alarm. Dwóch strażników, którzy gawędzili z urzędnikiem sprzedającym bilety na linię Allegheny, obróciło się, chcąc sprawdzić, co się stało.

Dla Eddiego Delgado wszystko to było gównem. Myśli o Sally Bradford i zemście z powodu zawiedzionej miłości wywietrzały mu z głowy. Jego wojskowe buty wesoło płonęły. Mankiety mundurowych spodni dymiły. Pobiegł przez poczekalnię, ciągnąc za sobą ogon dymu, jak pocisk wystrzelony z balisty. Damska toaleta była bliżej i Eddie, obdarzony niesłychanie wyostrzonym instynktem samozachowawczym, bez chwili namysłu uderzył w drzwi ramieniem i wbiegł do środka.

Z jednej z kabin wychodziła młoda kobieta. Spódnicę miała podciągniętą do pasa i poprawiała sobie majtki. Kiedy zobaczyła Eddiego, ludzką pochodnię, wydała z siebie krzyk niesamowicie wzmocniony przez ściany. Z zajętych kabin dobiegły głosy: „Co to było?” i „O co chodzi?”. Eddie chwycił drzwi płatnej toalety,

nim zdążyły się zamknąć i zatrzasnąć. Rękami złapał się ścianek i obiema nogami wskoczył do kibelka. Rozległ się syk i w górę uniosła się imponująca chmura pary.

Dwóch strażników dopadło go w środku.

– Stój, ty tam! – krzyknął jeden z nich. Trzymał w ręce broń. – Wyłaź z rękami na głowie.

– Czy raczycie zaczekać, aż wyciągnę nogi? – warknął Eddie Delgado.

7

Charlie wróciła. Zapłakana.

– Co się stało, panienko?

– Mam pieniądze, ale... tatusiu, to znowu mi uciekło... tam był człowiek... żołnierz... nic nie mogłam poradzić...

Andy poczuł osaczający go strach. Strach stłumiony bólem głowy i szyi, ale strach.

– Czy... czy to był ogień, Charlie?

Nie mogła mówić, ale przytaknęła skinieniem głowy. Po policzkach płynęły jej łzy.

– O mój Boże – szepnął Andy i zmusił się, by wstać.

To kompletnie załamało Charlie. Ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała rozpaczliwie, kiwając się w przód i w tył.

Koło wejścia do damskiej toalety zgromadził się tłum. Drzwi były otwarte, ale Andy nie mógł dostrzec niczego... i nagle zobaczył. Dwóch strażników, którzy tam przedtem pobiegli, wyprowadzało z toalety umundurowanego młodego człowieka, wyglądającego na twardziela, i prowadziło go do Charlie. Myślenie już sprawiało Andy'emu ogromny kłopot; jego myśli były jak małe srebrne rybki, pływające we wszechogarniającym czarnym oceanie tępego bólu. Ale musiał zrobić wszystko, co mógł. Potrzebował Charlie, jeśli mieli wyjść z tego cało.

– Nic mu nie jest, Charlie. Wszystko w porządku. Tylko zabrali go do biura. Teraz powiedz mi, co się stało?

Już prawie nie płacząc, Charlie wszystko mu opowiedziała. Podsłuchaną rozmowę telefoniczną. Tych kilka przypadkowych myśli, które z nim się wiązały; uczucie, że próbuje oszukać dziewczynę, z którą rozmawiał.

– A potem, kiedy wracałam do ciebie, zobaczyłam go... i nim mogłam coś poradzić... to się zdarzyło. Po prostu mi uciekło. Mogłam go zranić, tatusiu. Mogłam go strasznie zranić. Ja go podpaliłam!

– Mów ciszej – powiedział Andy. – Chcę, żebyś mnie posłuchała, Charlie. Myślę, że to jest najlepsza rzecz, jaka przydarzyła się nam od jakiegoś czasu.

– Na... naprawdę? – Charlie spojrzała na niego z wyraźnym zaskoczeniem.

– Mówisz, że ci się wymknęło – powiedział Andy, zmuszając się, by wypowiedzieć tych kilka słów. – I wymknęło się. Ale nie tak jak przedtem. Uciekło ci tylko trochę. To, co się zdarzyło, kochanie, było niebezpieczne, ale... mogłaś podpalić mu włosy. Albo twarz.

Charlie drgnęła na te słowa, przerażona. Andy delikatnie odwrócił jej buzię ku sobie.

– To kwestia podświadomości, i zawsze ucieka na tego, kogo nie lubisz. Ale... tak naprawdę nie skrzywdziłaś żołnierza, Charlie. Ty... – ale reszta przemowy zniknęła gdzieś i został tylko ból. Czy jeszcze mówił? Przez chwilę nie był pewien nawet tego.

Charlie ciągle czuła tę rzecz; czuła Złe krążące jej po głowie, próbujące uciec i zrobić coś jeszcze. Było jak małe, drapieżne i raczej głupie zwierzątko. Trzeba wypuszczać je z klatki, by na przykład wydobyć pieniądze z automatów. ale to może robić i inne rzeczy, prawdziwie złe (jak mama w kuchni, mamusiu przepraszam), nim zamkniesz je z powrotem.

Ale teraz nie miało to znaczenia. Teraz nie będzie o tym myślała, nie będzie myślała o bandażach (mamusia musiała nosić bandażę, bo ją zraniłam) i niczym takim. Teraz chodziło o tatę. Skulił się w tym fotelu przed telewizorem, twarz miał skrzywioną z bólu. Oczy nabiegły mu krwią.

Tatuśku, pomyślała Charlie, zamieniłabym się z tobą, gdybym tylko mogła. Masz coś, co boli, ale nigdy nie ucieka z klatki. Ja mam coś, co wcale nie boli, ale, och! czasami tak strasznie się boję...

– Mam pieniądze – powiedziała Charlie. – Nie poszłam do wszystkich budek, bo torba zrobiła się ciężka i bałam się, że może pęknąć.

Przyjrzała się ojcu z troską.

– Dokąd pójdziemy, tato? Musisz się położyć.

Andy wziął torebkę i zaczął powoli, garściami, przekładać drobne do kieszeni swej sztruksowej marynarki. Zastanawiał się, czy ta noc w ogóle się kiedyś skończy. Niczego nie pragnął bardziej, niż złapać kolejną taksówkę, pojechać do miasta i zameldować się w pierwszym hotelu czy motelu, na który natrafią... ale bał się. Taksówki można wyśledzić. I miał silne przeżycie, że ludzie z zielonego samochodu ciągle są gdzieś blisko.

Spróbował zebrać razem wszystko, co wiedział o lotnisku w Albany. Po pierwsze, to lotnisko okręgu Albany wcale nie było w Albany, lecz w miasteczku o nazwie Colonie. Okręg shakerów – czy to nie dziadek powiedział mu kiedyś, że to okręg shakerów? A może oni wszyscy już wymarli? Jak tu z autostradami? Z drogami stanowymi? Odpowiedzi pojawiały się powoli. Jest tu droga... jakaś szosa. Szosa Północna, czy może Południowa, tak mu się wydawało.

Otworzył oczy i spojrzał na Charlie.

– Czy dasz radę jeszcze trochę pomaszerować, mała? Może nawet kilka kilometrów?

– Oczywiście. – Charlie przespała się i czuła się względnie świeżo. – A ty?

To było dobre pytanie. Nie znał odpowiedzi.

– Mam zamiar sprawdzić – powiedział. – Myślę, że powinniśmy wyjść na główną drogę i spróbować złapać jakiś samochód, skarbie.

– Autostop?

Andy skinął głową.

– Trudno jest wytropić autostopowicza, Charlie. Jeśli będziemy mieli szczęście, trafimy na kogoś, kto rano będzie już w Buffalo. A jeśli nie będziemy mieli szczęścia, zielony samochód nadjedzie, gdy ciągle jeszcze będziemy stać na poboczu z kciukami w górę.

– Jeśli sądzisz, że to w porządku... – stwierdziła Charlie z powątpiewaniem.

– Ruszamy. Pomóż mi.

Kiedy wstał, przeszył go potężny miecz bólu. Zatoczył się lekko, zamknął oczy, a później je otworzył. Ludzie wyglądali surrealistycznie. Kolory wydawały się zbyt ostre. Obok nich przeszła

kobieta w butach na szpilkach i każdy jej krok brzmiał jak zatrzaśnięcie wrót do podziemi.

– Tatusiu, jesteś pewien, że dasz radę? – Głos Charlie był cichy i pełen strachu.

Charlie. Tylko Charlie była taka jak zawsze.

– Chyba tak. Idziemy.

Wyszli innymi drzwiami, a bagażowy, który zauważył, jak wysiadali z taksówki, zajmował się wyładowywaniem walizek z samochodu i nie widział, jak wychodzili.

– W którą stronę, tatku? – zapytała Charlie.

Rozejrzał się i dostrzegł Szosę Północną, wijącą się daleko, poniżej i po prawej od terminalu. Problem tkwił w tym, jak do niej dotrzeć. Wokół pełno było dróg – rozjazdy, przejazdy, tunele. ZAKAZ SKRĘTU W PRAWO. ZATRZYMAJ SIĘ NA ŚWIATŁACH. JEDŹ PO LEWEJ. ZAKAZ PARKOWANIA. Światła drogowe pobłyskiwały w nocnej ciemności jak duchy, niemogące odejść z tego świata.

– Chyba tędy – powiedział Andy i poszli wzdłuż terminalu, po poboczu drogi dojazdowej oznaczonej znakami TYLKO ZAŁADUNEK I WYŁADUNEK. Chodnik skończył się wraz z końcem budynku. Wielki srebrzysty mercedes przemknął obok nich obojętnie; blask lamp neonowych na jego karoserii sprawił, że Andy zadrżał.

Charlie patrzyła na niego pytająco.

Andy skinął głową.

– Po prostu idź jak najbliżej krawężnika. Zimno ci?

– Nie, tatusiu.

– Dzięki Bogu, noc jest ciepła. Matka nigdy...

Usłyszał te słowa i nagle zamilkł.

Odeszli w ciemność, razem; wysoki, szeroki w ramionach mężczyzna i mała dziewczynka w czerwonych spodniach i zielonej bluzce, trzymająca go za rękę; wydawało się, że go prowadzi.

8

Zielony samochód pojawił się mniej więcej kwadrans później i zaparkował przy krawężniku oznakowanym żółtą linią. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn – tych samych, którzy tam, na Man-

hattanie, zagonili Andy'ego i Charlie do taksówki. Trzeci pozostał za kierownicą.

Na miejscu zjawił się lotniskowy policjant.

– Tu nie wolno parkować, proszę pana. Jeśli mógłby pan odjechać na...

– Mnie wolno – odpowiedział kierowca i pokazał legitymację.

Gliniarz spojrzał na nią, potem na kierowcę i znów na zdjęcie w legitymacji.

– Och – powiedział – przepraszam pana. Czy to coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

– Nic dotyczącego bezpieczeństwa lotniska – odparł kierowca – ale pewnie moglibyście nam pomóc. Czy widzieliście tu dziś w nocy któreś z tej dwójki? – Wręczył gliniarzowi zdjęcie Andy'ego, a potem zamazaną fotografię Charlie. Miała na niej dłuższe włosy, związane w dwa mysie ogonki. Jej matka jeszcze wtedy żyła. – Dziewczynka jest teraz starsza o rok czy coś koło tego – mówił dalej kierowca. – Ma trochę krótsze włosy. Takie do ramion.

Gliniarz przyglądał się zdjęciom dokładnie, najpierw jednemu, później drugiemu i znowu pierwszemu.

– A wie pan – powiedział – chyba widziałem tu tę dziewczynkę. Jasna, prawda? Trochę trudno ocenić to ze zdjęcia.

– Tak, jasna.

– Ten facet to jej ojciec?

– To ja tu zadaję pytania.

Lotniskowy gliniarz poczuł przypływ niechęci do tego młodego faceta o nijakiej twarzy, siedzącego za kierownicą zielonego, nijakiego samochodu. Już przedtem miał do czynienia z działaniami FBI, CIA i jednostki, którą nazywano Sklepikiem. Ich agenci byli zawsze tacy sami: tępi, aroganccy i patrzący na wszystko z góry. Na niebieskich patrzyli jak na zabawki z porcelany, ale kiedy pięć lat temu było tu porwanie, właśnie mundurowi z porcelany wyjęli z samolotu porywacza, całego obwieszono granatami, a „prawdziwi” policjanci opiekowali się nim, kiedy popełnił samobójstwo, rozdrapując sobie paznokciami tętnicę na szyi. Dobra robota, panowie.

– Zaraz... Pytałem, czy ten facet to jej ojciec, bo chciałem się zorientować, czy jest jakieś rodzinne podobieństwo. Trochę trudno ocenić to ze zdjęć.

– Wyglądają nieco podobnie. Inny kolor włosów.

Tyle to ja sam widzę, dupku, pomyślał lotniskowy gliniarz, a do kierowcy zielonego samochodu powiedział:

– Widziałem ich oboje. Ten facet jest duży, większy, niż wydaje się na zdjęciu. Wyglądał na chorego albo coś.

– Naprawdę? – Ta wiadomość wydawała się sprawiać przyjemność kierowcy.

– A tak w ogóle, to mieliśmy rozrywkową noc. Jednemu durniowi udało się nawet podpalić własne buty.

– Proszę powtórzyć. – Kierowca wyprostował się na siedzeniu.

Lotniskowy gliniarz skinął głową, szczęśliwy, że udało mu się zmieść wyraz nudy z twarzy kierowcy. Nie byłby taki szczęśliwy, gdyby kierowca powiedział mu, że właśnie zarobił sobie na przesłuchanie w manhattańskim biurze Sklepiku. A Eddie Delgado prawdopodobnie ciężko by go pobił, bo zamiast odwiedzać kolejne bary dla samotnych (i salony masażu, i sex shopy przy Times Square) podczas swego pobytu w Nowym Jorku i wspaniale bawić się w wielkim mieście, prawie cały czas spędził tam naszpikowany narkotykami zmuszającymi do mówienia, opisując raz za razem, co się zdarzyło tuż przed tym, nim jego buty stanęły w ogniu, i tuż po tym.

9

Dwaj pozostali mężczyźni z zielonego samochodu rozmawiali z personelem lotniska. Jeden z nich znalazł bagażowego, który zauważył Andy'ego i Charlie, kiedy wysiadali z taksówki i wchodzili do terminalu.

– Pewnie, że ich widziałem. Pomyślałem, że to taki cholerny wstyd: facet pijany w dym i mała dziewczynka, która już dawno powinna spać.

– Może odlecieli samolotem? – zasugerował jeden z mężczyzn.

– Może tak – zgodził się bagażowy. – Ciekawe, co myśli o tym matka tej dziewczynki. Ciekawe, czy ona o tym wie.

– Wątpię – powiedział mężczyzna w ciemnoniebieskim drogim garniturze. Powiedział to bardzo szczerze. – Nie widział pan, żeby wychodzili?

– Nie, proszę pana. Z tego, co wiem, muszą gdzieś tu być... chyba że, oczywiście, wywołano już ich lot.

10

Dwóch mężczyzn przeszukało szybko główny terminal i korytarze prowadzące do wejść do samolotów, trzymając ukryte w dłoniach legitymacje i pokazując je służbie bezpieczeństwa lotniska. Spotkali się koło stanowiska United Airlines.

– Pusto – powiedział pierwszy.

– Myślisz, że odlecieli? – zapytał drugi. To był ten w ładnym drogim garniturze.

– Nie sądzę, żeby sukinsyn miał przy sobie więcej niż pięćdziesiąt dolców. a może znacznie, znacznie mniej.

– To lepiej sprawdźmy.

– No. Ale szybko.

United Airlines. Allegheny. American. Braniff. Linie czarterowe. Nikt nie zapamiętał szerokiego w ramionach mężczyzny, który wyglądał na chorego i kupował bilety. Ale przyjmujący bagaże na stanowisku Albany Airlines miał wrażenie, że widział dziewczynkę w czerwonych spodniach i zielonej bluzce. Śliczne, jasne włosy, sięgające ramion.

Dwaj mężczyźni spotkali się po raz drugi przy stoliku z telewizorami, przy którym całkiem niedawno siedzieli Andy i Charlie.

– Co o tym myślisz? – zapytał pierwszy.

Agent w drogim garniturze sprawiał wrażenie podnieconego.

– Myślę, że powinniśmy zablokować teren – powiedział. – Myślę, że wieją pieszo.

Pośpieszyli do samochodu. Niemal biegli.

11

Andy i Charlie maszerowali wytrwale po miękkim poboczu ciemnej drogi dojazdowej. Koło nich od czasu do czasu przemykał jakiś samochód. Dochodziła pierwsza w nocy. Niecałe dwa kilometry za ich plecami, w terminalu, dwaj mężczyźni dotarli już do trzeciego, czekającego na nich w zielonym samochodzie.

Andy i Charlie szli równolegle do Szosy Północnej, która znajdowała się teraz po ich prawej stronie i w dole, oświetlona spłaszczającym wszystko światłem neonówek. Może udałoby się zejść w dół po nasypie i próbować łapać okazję na poboczu, ale jeśli pojawiłaby się policja, straciliby nawet tę maleńką szansę, by się z wszystkiego wyplątać. Andy zastanawiał się, jak długo będą jeszcze szli, nim trafią na zjazd. Przy każdym kroku łomot stawianej na ziemi nogi wywoływał bolesne echo w jego głowie.

– Tato? Dalej wszystko w porządku?

– Na razie nieźle – odpowiedział Andy, ale wcale nie było tak nieźle. Nie potrafił oszukać samego siebie i wątpił, czy udało mu się oszukać Charlie.

– Jak to jeszcze daleko?

– Jesteś zmęczona?

– Na razie nie... ale, tato...

Andy zatrzymał się i spojrzał poważnie na Charlie.

– O co chodzi, dziecko?

– Czuję, że ci źli ludzie znów są w pobliżu – szepnęła.

– W porządku. Myślę, że lepiej będzie pójść teraz na skróty, skarbie. Potrafisz zejść tędy i nie przewrócić się?

Dziewczynka spojrzała na zbocze pokryte zwiędłą październikową trawą.

– Chyba tak – powiedziała z powątpiewaniem.

Andy przeszedł przez barierkę i pomógł przejść Charlie. Jak to się już zdarzało w chwilach najgorszego bólu i stresu, jego umysł próbował ucieczki od napięcia, ucieczki w przeszłość. Przeżyli kilka dobrych lat, kilka dobrych chwil, nim pełną cię zaczął padać na ich życie – najpierw tylko na niego i na

Vicky, później na całą trójkę, niszcząc ich szczęście powolutku i tak nieubłagane jak zaćmienie Księżyca. Było...

– Tato! – krzyknęła Charlie, nagle przestraszona. Poślizgnęła się na zdradliwej, przywiedłej, suchej trawie. Andy próbował złapać ją za wymachujące ramię, chybił i sam się poślizgnął. Upadł i wstrząs spowodował tak bolesne łupnięcie w głowie, że Andy aż głośno krzyknął. A później obydwójce toczyli się i ześlizgiwali po nasypie ku Drodze Północnej, którą pędziły samochody; o wiele za szybko, by się zatrzymać, gdyby któreś z nich – on lub Charlie – wylądowało na jezdni.

Asystent przewiązał ramię Andy'ego tuż nad łokciem gumową elastyczną rurką i powiedział:

– Proszę zacisnąć pięść.

Andy zacisnął pięść. Żyła wyskoczyła grzecznie. Andy spojrział w drugą stronę, czując słabe mdłości. Mimo dwustu dolarów nie miał zamiaru przyglądać się podłączaniu kroplówki.

Vicky Tomlinson leżała na sąsiednim łóżku, ubrana w białą bluzeczkę bez rękawów i luźne spodnie w ciepłym, szarym kolorze. Uśmiechnęła się do niego pełnym napięcia uśmiechem. Znowu pomyślał o tym, jakie piękne są jej kasztanowate włosy, jak dobrze pasują do szczerych, niebieskich oczu... a później było ukłucie bólu i tępe uczucie ciepła w ramieniu.

– Już – stwierdził asystent uspokajająco.

– Żadne „już” – odpowiedział mu Andy. Nie czuł się uspokojony.

Znajdowali się w sali numer siedemdziesiąt, na piętrze gmachu Jasona Gearneigha. Umieszczono w niej dwanaście łóżek wypożyczonych z uniwersyteckiego szpitala; dwunastu ochotników leżało podpartych na hipoalergicznym piankowym poduszkach i zarabiała pieniądze. Doktor Wanless sam nie podłączał żadnych kroplówek; chodził tylko tam i z powrotem między łóżkami, wymieniając z każdym kilka słów i mały, zimny uśmiešek.

W każdej chwili możemy zacząć się zmniejszać, pomyślał Andy.

Kiedy wszyscy się zebrali, Wanless wygłosił krótkie przemówienie, które, wyżęte z wody, sprowadzało się do następującego stwierdzenia: „Nie macie się czego bać. Spoczywacie w ciepłych objęciach Matki Nauki”. Andy nie darzył szczególnym zaufaniem Matki Nauki, która wraz ze szczepionką na polio i aspiryną obdarzyła świat bombą wodorową, napalmem i działami laserowymi.

Asystent robił teraz coś innego. Zagiął przewód kroplówki.

Kroplówka zawierała pięcioprocentowy roztwór glukozy w wodzie, tłumaczył Wanless i nazywał to roztworem D5W. Pod zagięciem z przewodu kroplówki wystawał czubek igły. Jeśli Andy miał dostać Próbę Sześć, dostanie ją ze strzykawki przez tę

igłę. Jeżeli trafił do grupy kontrolnej, będzie to zwykły roztwór soli fizjologicznej. Orzeł czy reszka.

Andy znów zerknął na Vicky.

– Co słyhać, mała?

– W porządku.

Pojawił się Wanless. Stał między łózkami, patrząc najpierw na Vicky, a później na Andy'ego.

– Czujesz lekki ból, tak?

Język, którym mówił, pozbawiony był wszelkiego akcentu, a już z pewnością jakiegokolwiek amerykańskiego akcentu regionalnego, Wanless budował jednak zdania w sposób, który Andy'emu kojarzył się z angielskim wyuczonym jako język obcy.

– Ucisk – powiedziała Vicky. – Słaby ucisk.

– Tak? To minie.

Uśmiechnął się dobrodusznie do Andy'ego. W białym fartuchu laboratoryjnym sprawiał wrażenie bardzo wysokiego. Jego okulary wydawały się maleńkie. Dużutki malutki.

Andy zapytał:

– Kiedy zaczniemy się zmniejszać?

Wanless nadal się uśmiechał.

– Czy ma pan wrażenie, że będzie się pan zmniejszał?

– Zmmnnnniiiiiejsza! – powiedział Andy i uśmiechnął się głupio. Coś się z nim działo. Na Boga, był naćpany. Startował. Odlot.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Wanless i uśmiechnął się szerzej. Odpłynął. Płyn, barko moja, pomyślał z rozbawieniem Andy i znów spojrział na Vicky. Jak pięknie błyszczały jej włosy! Z jakiegoś szalonego powodu przypominały mu miedziane przewody na głowicy nowego silnika... generator. alternator. plaplagator.

Andy roześmiał się głośno.

Uśmiechając się lekko, jakby usłyszał ten sam dowcip, asystent zagiął przewód kroplówki, wstrzyknął jeszcze trochę z zawartości strzykawki w ramię Andy'ego i odszedł. Andy mógł już patrzeć na kroplówkę. Teraz już się nią nie przejmował.

Jestem sosną, pomyślał, widzisz moje prześliczne igły? Znów się roześmiał.

Vicky uśmiechała się do niego. Boże, jaka ona śliczna. Chciał jej powiedzieć, jaka jest piękna; że jej włosy są jak płonąca miedź.

– Dziękuję ci – powiedziała Vicky. – Taki miły komplement. Czy ona to powiedziała? Czy on to sobie wyobraził?

Usiłując rozpaczliwie zachować przytomność umysłu, Andy powiedział:

– Zdaje się, że przegrałem sól fizjologiczną, Vicky.

Dziewczyna odpowiedziała spokojnie:

– Ja też.

– To miłe, prawda?

– Miłe – zgodziła się jak we śnie.

Ktoś gdzieś coś krzyczał; histeryczny bełkot. Dźwięk wznosił się i opadał w interesującym rytmie. Andy miał wrażenie, że minęły eony, które poświęcił kontemplacji, nim odwrócił głowę, by zobaczyć, co się dzieje. To było interesujące. Wszystko wydawało się interesujące i przebiegało w zwolnionym tempie. Zdjęcia zwolnione, jak to zawsze pisali w recenzjach awangardowi studenty krytycy filmowi. „W tym filmie, jak i w poprzednich, Antonioni osiągnął niektóre z najświetniejszych efektów, używając montażu zdjęć zwolnionych”. Jakie to interesujące, prawdziwie sprytnie sformułowanie, brzmi, jakby wąż wysuwał się z lodówki, zzzdjęcia zzzwolnione.

Kilku asystentów biegło w zwolnionym tempie ku jednemu z łóżek, ustawionemu w sali numer siedemdziesiąt w pobliżu tablicy. Młody chłopak na łóżku robił chyba coś ze swoimi oczami. Tak, na pewno robił coś ze swoimi oczami, bo wbił w nie palce i najwyraźniej próbował wyrwać je sobie z głowy. Palce wbite miał w głowę jak szpony, z oczu płynęła mu krew. W zwolnionym tempie. Igła wyskoczyła z jego ramienia w zwolnionym tempie. Wanless biegł w zwolnionym tempie. Oczy chłopaka wyglądały teraz jak rozgniecione jak na miękko, zauważył Andy z klinicznym chłodem. Dokładnie tak.

A później białe fartuchy zgromadziły się wszystkie dookoła łóżka i już nie można było dostrzec chłopaka. Bezpośrednio za nim wisiała plansza przedstawiająca przekrój ludzkiego mózgu. Andy przyglądał się jej przez chwilę z wielkim zainteresowaniem. „Otworzymy, zobaczymy”, jak mawiają chirurdzy w dowcipach.

Krwawa ręka jak ręka tonącego wystrzeliła w górę nad fale białych fartuchów. Palce pokryte były krzepnącą krwią, zwisały z nich strzępki ciała. Ręka uderzyła w planszę, pozostawiając na niej krwawy ślad w postaci wielkiego przecinka. Plansza zwinęła się z trzaskiem.

A później łóżko podniesiono (ciągle nie sposób było zobaczyć chłopaka, który wyłupił sobie oczy) i szybko wyniesiono z pokoju.

Parę minut (godzin? dni? lat?) później jeden z asystentów podszedł do materaca, na którym spoczywał Andy, sprawdził, jaką dawkę otrzymał Andy, i wstrzyknął mu w mózg jeszcze trochę Próby Sześć.

– Jak się czujesz, kolego? – spytał asystent, który oczywiście wcale nie był asystentem, nie był studentem, żaden z nich nie był ani asystentem, ani studentem. Po pierwsze, ten facet wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, a to już niezbyt pasowało do asystentury. Po drugie, facet pracował w Sklepiku. Andy nagle był tego pewien. Absurd – a jednak wiedział. I ten facet nazywał się...

Poszukał informacji i znalazł ją. Facet nazywał się Ralph Baxter.

Andy uśmiechnął się. Ralph Baxter. Bardzo fajnie.

– Czuję się dobrze. A jak ten drugi gość?

– Jaki drugi gość, Andy?

– Ten, który wyłupił sobie oczy – powiedział pogodnie Andy.

Ralph Baxter uśmiechnął się i poklepał Andy'ego po dłoni.

– Mocny środek, co, kolego?

– Nie, naprawdę – powiedziała Vicky. – Ja też to widziałam.

– Myślisz, że widziałaś – stwierdził asystent, który nie był asystentem. – Po prostu doznaliście tego samego złudzenia. Był tam przy tablicy chłopak, który miał reakcję mięśniową... coś podobnego do skurczy. Nie wyłupił sobie oczu. Nie było krwi.

Ruszył dalej.

Andy powiedział mu:

– Mój dobry człowieku, nie można mieć takiego samego złudzenia jak ktoś inny bez uprzedniej konsultacji.

I czuł się bardzo mądry. Jego logika była nienaganna, nie sposób było się z nią spierać. Trzymał Ralpha Baxtera za jaja.

Ralph uśmiechnął się, niezniechęcony.

- Z tym środkiem wszystko jest możliwe – powiedział.
- Przyjdę za chwilę, dobrze?
- Dobrze, Ralph – odparł Andy.

Ralph zatrzymał się i zawrócił w stronę materaca, na którym leżał Andy. Szedł w zwolnionym tempie. Przyglądał się Andy'emu z namysłem. Andy uśmiechnął się do niego; szeroki, durny uśmiech naćpanego. Tu cię mam, Ralph, stary sukin... Trzymam cię dokładnie za przysłowiowe jaja. Nagle zalała go fala informacji o Ralphie Baxterze, tony informacji: miał trzydzieści pięć lat, pracował w Sklepiku od sześciu lat, przedtem przez dwa lata był w FBI i...

W ciągu swej kariery zabił troje ludzi, dwóch mężczyzn i jedną kobietę. I zgwałcił kobietę, kiedy już była martwa. Kobieta pracowała dla agencji prasowej i wiedziała o...

Ta część nie była jasna. I nie miało to żadnego znaczenia. Nagle Andy nie chciał już wiedzieć. Uśmiech spełzył mu z ust. Ralph Baxter ciągle na niego patrzył i Andy'ego ogarnęła czarna paranoja, którą pamiętał ze swych dwóch poprzednich podróży po LSD... tylko ta była głębsza i znacznie bardziej przerażająca. Nie miał pojęcia, skąd mógł dowiedzieć się tego wszystkiego o Ralphie Baxterze – i skąd w ogóle dowiedział się jego imienia – ale jeśli powiedziałby Ralphowi Baxterowi, że wie, był pewny (i przerażony), że mógłby zniknąć z gmachu Jasona Gearneigha z szybkością, z jaką zniknął z niego chłopak, który wylupił sobie oczy. A może to wszystko rzeczywiście było halucynacją; już wcale nie wydawało się realne.

Ralph ciągle mu się przyglądał. Po chwili, powoli, zaczął się uśmiechać.

– Widzisz – powiedział cicho. – Z Próbą Sześć zdarza się kupa popapranych rzeczy.

I odszedł. Andy pozwolił sobie na ciche westchnienie ulgi. Spojrzał na Vicky i dostrzegł, że i ona wpatruje się w niego szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Odbiera twoje uczucia, pomyślał Andy. Jak radio. Nie znęcaj się nad nią. W końcu też jest naćpana, niezależnie od tego, czym jeszcze jest to gówno.

Uśmiechnął się do niej i po chwili ona odpowiedziała uśmiechem. Zapytała go, czy stało się coś złego. Odparł, że nie wie, że prawdopodobnie nic.

Ale nie rozmawiamy – jej usta się nie poruszają.

Nie poruszają?

Vicky? To ty?

Czy to telepatia, Andy? Telepatia?

Nie wiedział. Ale coś to przecież było. Pozwolił, by opadły mu powieki.

– Czy ci faceci to rzeczywiście asystenci? – zapytała go, zaniepokojona. – Jakoś inaczej wyglądają. Czy to narkotyk, Andy?

– Nie wiem – odpowiedział, nie otwierając oczu. – Nie wiem, kim są. Co się stało z tym chłopcem? Tym, którego zabrali?

Teraz spojrzął na dziewczynę, lecz Vicky potrząsała głową. Nie pamiętała. Andy był zaskoczony i rozczarowany tym, że sam ledwie o tym pamiętał. Wydawało mu się, że zdarzyło się to całe lata temu. Dostał kurczy ten facet, prawda? Skurcze mięśni, to wszystko. I...

Wyłupił sobie oczy.

Ale tak naprawdę, co to miało za znaczenie?

Krwawa ręka jak ręka tonącego wystrzeliła w górę nad fale białych fartuchów.

Ale to zdarzyło się dawno temu. Jakby w XII wieku.

Krwawa ręka. Uderza w planszę. Plansza zwija się na rolkach z trzaskiem.

Lepiej zapaść w drzemkę. Vicky znów się zaniepokoiła.

Nagle z umieszczonych w suficie głośników popłynęła muzyka i to było miłe... znacznie miłsze niż myśli o skurczach i wypływających oczach. Muzyka była delikatna, a jednak majestatyczna. Znacznie później (i po konsultacjach z Vicky) Andy ustalił, że był to Rachmaninow. I od tej pory zawsze, gdy usłyszał Rachmaninowa, przypominał mu się wyrywkowo, niejasno ten nieskończony, beczasowy czas spędzony w sali numer siedemdziesiąt gmachu Jasona Gearneigha.

Ile z tego było prawdą, a ile halucynacją? Dwanaście lat poświęconych wyrytkowym wspomnieniom nie przyniosło Andy'emu McGee żadnej odpowiedzi. W pewnej chwili po sali zaczęły latać przedmioty: papierowe kubki, ręczniki, gumowe opaski do mierzenia ciśnienia krwi, zabójczy grad piór i ołówków, jakby powiał po niej niewidzialny wiatr. W innym momencie, nieco później (a może wcześniej? linearnie następstwo zdarzeń po prostu znikło), jeden z testowanych dostał paraliżu mięśni i zawału – przynajmniej tak to wyglądało. Doszło do panicz-

nych prób ocalenia go przez stosowanie sztucznego oddychania usta-usta, po którym wstrzyknięto mu coś bezpośrednio do klatki piersiowej, w końcu pojawiła się maszyna wyjąca cienko i mająca dwie czarne muszle przyczepione do grubych przewodów. Andy'emu wydawało się, że jeden z „asystentów” wrzeszczał:

– Daj mu! Daj mu! Rany, oddaj to mnie, ty dupku!

W innej chwili spał, drzemał i raz po raz wychylał się nad powierzchnię świadomości. Mówił do Vicky; opowiadali sobie wszystko. Andy opowiedział jej o wypadku samochodowym, w którym zginęła jego matka, i o tym, jak później spędził cały rok u ciotki w stanie wywołanego żalem załamania nerwowego. Ona opowiedziała mu, że kiedy miała siedem lat, napadł na nią nastoletni opiekun do dzieci i że teraz ona okropnie boi się seksu i jeszcze bardziej tego, że może być oziębła i że to bardziej niż cokolwiek innego spowodowało rozstanie z jej chłopakiem. On... on ją po prostu przyciskał.

Opowiedzieli sobie o tym, o czym kobieta i mężczyzna nie opowiadają sobie, jeśli nie znają się od wielu lat... i o rzeczach, o których mężczyzna i kobieta nie mówią sobie nigdy, nawet po ciemku, w małżeńskim łóżu, kiedy przeżyli już ze sobą dziesięciolecie.

Ale czy rozmawiali?

Tego Andy nigdy się nie dowiedział.

Czas się zatrzymał, ale jakimś cudem płynął nadal.

13

Budził się z drzemki powoli, stopniowo. Rachmaninow ucichł... jeśli rzeczywiście kiedyś tu grał. Na łóżku obok spokojnie spała Vicky. Ręce złożone miała na piersiach; ręce dziecka, które zasnęło w środku wieczornej modlitwy. Spojrzał na nią i najzwyczajniej w świecie zdał sobie sprawę z tego, że w którymś momencie się w niej zakochał. Było to uczucie pełne i kompletne, ponad (i poza) wszelkimi wątpliwościami.

Po chwili Andy rozejrzał się dookoła. Sporo łóżek było pustych. W pokoju pozostało może pięć testowanych osób. Niektórzy spali. Ktoś siedział na łóżku i asystent – zupełnie normalny asystent, mający ze dwadzieścia pięć lat – zadawał mu pytania

i zapisywał odpowiedzi w notatniku. Pytany powiedział najwyraźniej coś zabawnego, ponieważ obaj się roześmieli; cicho, poważnie, jak to zwykle wtedy, gdy wokół śpią ludzie.

Andy usiadł i próbował zinwentaryzować sam siebie. Czuł się świetnie. Podjął wysiłek uśmiechu i odkrył, że uśmiech pasuje mu doskonale. Mięśnie przylegały do siebie gładko. Czuł się rześki i świeży, każdy zmysł miał doskonale wyostrzony i w jakiś sposób niewinny. Pamiętał, że kiedyś czuł się tak jako dziecko, kiedy budził się w sobotni rano, wiedząc, że rower czeka na niego w garażu, i czując, że ma przed sobą cały weekend jak karnawał marzeń, podczas którego wszystko można dostać za darmo.

Jeden z asystentów podszedł do niego i zapytał:

– Jak się czujesz, Andy?

Zerknął na asystenta. Był to ten facet, który dał mu zastrzyk... Kiedy? Rok temu? Przejechał palcem po policzku i usłyszał cichy szelest nieogolonej brody.

– Jak Rip van Winkle¹.

Asystent uśmiechnął się.

– Minęło tylko czterdzieści osiem godzin, a nie dwadzieścia lat. A tak naprawdę, to jak się czujesz?

– Dobrze.

– Normalnie?

– Cokolwiek to słowo znaczy, tak. Normalnie. Gdzie Ralph?

– Ralph? – Asystent podniósł brwi.

– Tak, Ralph Baxter. Mniej więcej trzydzieści pięć lat. Wielki facet. Jasne włosy.

Asystent uśmiechnął się.

– Przyśniło ci się.

Andy spojrział na niego niepewnie.

– Co?

– Przyśniło ci się. Miałeś halucynacje. Jedyne Ralph, którego znam i który ma coś wspólnego z programem Próba Sześć, to Ralph Steinham, przedstawiciel Dartan Pharmaceutical. A on ma z pięćdziesiąt pięć lat.

Andy patrzył na asystenta przez długą chwilę, w milczeniu. Ralph jako iluzja? Cóż, możliwe. Z pewnością były w tym wszystkie paranoiczne elementy narkotycznego zamroczenia; Andy'emu wydawało się, że pamięta, iż myślał o Ralphie jako

o tajnym agencie, który zabił mnóstwo różnych ludzi. Uśmiechnął się. Asystent też się uśmiechnął... nieco za szeroko, pomyślał Andy. A może to też objaw paranoi? Z pewnością tak.

Facet, który siedział na materacu i rozmawiał, kiedy budził się Andy, właśnie wychodził, troskliwie odprowadzany do drzwi. Z papierowego kubka popijał sok pomarańczowy.

Andy zapytał ostrożnie:

– I nikomu nic się nie stało, prawda?

– Stało?

– No... nikt nie miał konwulsji, prawda? Albo...

Asystent pochylił się. Wyglądał na zatroskanego.

– Słuchaj, Andy, mam nadzieję, że nie będziesz rozpowiadał takich rzeczy po uczelni. Rozpieprzyłoby to całkowicie program badawczy doktora Wanlessa. W następnym semestrze będzie Próba Siedem i Próba Osiem i...

– Czy coś się stało?

– Był jeden chłopiec, który miał reakcję mięśniową, drobną, ale raczej bolesną. Trwało to niecały kwadrans i minęło bez żadnych złych skutków. Ale żyjemy teraz w atmosferze polowania na czarownice. Koniec z badaniami, precz z ROTC, precz z naganiancami z Dow Chemical, bo produkują napalm... strasznie się to wszystko wyolbrzymia, a ja akurat myślę, że to bardzo ważny program.

– Kim był ten chłopak?

– Słuchaj, Andy, sam wiesz, że tego nie mogę ci powiedzieć. Mówię tylko, abyś pamiętał, że byłeś pod wpływem łagodnego środka halucynogennego. Nie zacznij mieszać narkotycznych fantazji z prawdą i rozprzestrzeniać tego wszystkiego po kampusie.

– A pozwolilibyście na to?

Asystent sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Nie wiem, jak moglibyśmy cię powstrzymać. Każdy eksperymentalny program uniwersytecki jest w zasadzie na łasce ochotników. Za nędznych dwieście dolarów nikt nie podpisze przysięgi milczenia, prawda?

Andy poczuł ulgę. Jeśli ten gość kłamał, to robił genialną robotę. Wszystko było tylko serią halucynacji. A na sąsiednim materacu Vicky zaczynała się już wiercić.

– No i co teraz? – zapytał uśmiechnięty asystent.

– Podobno ja tu jestem od zadawania pytań.

I zaczął zadawać pytania. Nim Andy skończył na nie odpowiadać, Vicky całkiem się już rozbudziła. Sprawiała wrażenie w pełni wypoczętej; uśmiechała się do niego, spokojna, promieniująca.

Pytania były bardzo szczegółowe. Wiele z nich zadałby sam, gdyby znajdował się na ich miejscu.

Więc dlaczego miał uczucie, że to zacieranie śladów?

14

Wieczorem, siedząc na kanapie w jednym z mniejszych uniwersyteckich barów, Andy i Vicky porównywali halucynacje.

Vicky w ogóle nie pamiętała tego, co najbardziej martwiło Andy'ego: nie pamiętała zakrwawionej ręki, machającej słabo nad morzem białych fartuchów, uderzającej w planszę i znikającej.

Andy nie pamiętał wcale tego, co dla niej było najżywsze: mężczyzna o długich, jasnych włosach ustawił koło jej łóżka składany stolik, tak że miała go dokładnie na wysokości oczu. Na stoliku postawił szereg wielkich kostek domina i powiedział: „Przewróć je, Vicky. Przewróć je wszystkie”. Podniosła rękę, żeby je popchnąć; chciała spełnić prośbę, ale ten mężczyzna, łagodnie, choć mocno, złapał ją za ręce i przycisnął, tak że położyła je z powrotem na piersi. „Nie potrzebujesz rąk, Vicky – powiedział. – Po prostu je przewróć”. Więc spojrzała na kostki domina i wszystkie się przewróciły, jedna za drugą. Razem około dwunastu.

– Poczułam się później bardzo zmęczona – mówiła Andy'emu, uśmiechając się tym swoim charakterystycznym uśmiechem, samymi kącikami ust. – I miałam dziwną pewność, że rozmawiamy o Wietnamie, wiesz, i powiedziałam coś takiego: „Tak, to dowodzi, że jeśli stracimy Wietnam Południowy, stracimy wszystko”. A ten facet uśmiechnął się, poklepał mnie po rękach i stwierdził: „Dlaczego trochę się nie prześpisz, Vicky? Musisz być bardzo zmęczona”. Więc zasnęłam.

Vicky potrzęsnęła głową.

– Ale teraz to wcale nie wydaje się rzeczywiste. Myślę, że musiałam sobie wszystko wymyślić albo miałam halucynacje

w związku z jakimś zupełnie normalnym testem. Ty go nie pamiętasz, prawda? Wysoki facet, jasne włosy do ramion, mała blizna na brodzie.

Andy potrząsnął głową.

– Ale ciągle nie potrafię zrozumieć, jak mogliśmy dzielić jakąkolwiek iluzję – powiedział – chyba że ci tam wymyślili pigułkę, która ma działanie zarówno halucynogenne, jak i telepatyczne. Wiem, że przez ostatnich kilka lat trochę się o tym mówiło... jest taki pomysł, że halucynogeny wyostają zmysły... – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – Carlosie Castanedo, gdzie jesteś, kiedy cię potrzebujemy?

– Czy nie wydaje ci się bardziej prawdopodobne, że najpierw rozmawialiśmy o czymś nierealnym, a potem o tym zapomnieliśmy? – zapytała Vicky.

Zgodził się, że to poważna możliwość, ale ciągle miał w związku z eksperymentem uczucie niepokoju. Była to, jak mówią, wpadka.

Zbierając całą odwagę, Andy powiedział:

– Jedyne, czego jestem całkowicie pewny, to to, że zaczynam się w tobie zakochiwać, Vicky.

Vicky uśmiechnęła się nerwowo i pocałowała go w kącik ust.

– To słodkie, co mówisz, Andy, ale...

– Ale może trochę się mnie boisz. Może trochę boisz się mężczyzn w ogóle?

– Może trochę się ich boję.

– Proszę cię tylko o szansę.

– Będziesz miał swą szansę – powiedziała. – Lubię cię, Andy. Nawet bardzo. Ale pamiętaj, proszę, że ja się boję. Czasami... po prostu się boję.

Próbowała wzruszyć lekko ramionami, ale bardziej przypominało to dreszcz.

– Będę pamiętał – powiedział, przytulił ją i pocałował. Przez chwilę Vicky się wahała, a później oddała mu pocałunek, mocno trzymając go za ręce.

– Tato! – krzyknęła Charlie.

Przed oczami Andy'ego świat wywrócił się obrzydliwie. Neonówki oświetlające Szosę Północną znalazły się pod nim, a ziemia nad nim – i ziemia go strząsnęła! A później siedział na tyłku, zjeżdżając po dolnej części nasypu jak dzieciak bawiący się na sankach. Charlie spadała przed nim, tocząc się, tocząc, nie mogąc się zatrzymać.

Boże, nie, wylądował wprost pod kołami...

– Charlie! – krzyknął ochryple. Od tego krzyku poczuł ból w gardle, ból w głowie. – Uważaj!

I nagle Charlie znalazła się na samym dole; leżała skulona na poboczu, omywana światłami pędzących samochodów, szlochająca. Moment później on sam wylądował obok niej z głośnym łupnięciem, które przeniosło się przez kręgosłup do głowy. Świat rozdzielił się przed jego oczami, podzielił na trzy światy, a później, stopniowo, stał się znowu jednym.

Charlie leżała na boku, z głową złożoną w ramiona.

– Charlie – powiedział Andy, dotykając jej ramienia. – Już dobrze, skarbie.

– Szkoda, że nie wpadłam pod samochód! – krzyknęła dziewczynka głosem jasnym i złym, pełnym takiej nienawiści do siebie, że Andy poczuł ból w sercu. – Zasłużyłam na to, bo podpaliłam tego żołnierza!

– Ciii – powiedział. – Charlie, nie powinnaś więcej o tym myśleć.

Przytulił ją. Obok nich przemykały samochody. W każdym z nich mógł siedzieć gliniarz i tak by się wszystko skończyło. Teraz przyjąłby koniec niemal z ulgą.

Szloch Charlie cichł powoli. Przynajmniej w części – rozumiał Andy – płakała ze zmęczenia. Tego samego, które zwiększało jego migrenę, aż nie mógł już nawet krzyczeć z bólu, i przywoływało falę niechcianych wspomnień. Gdyby tylko dotarli gdzieś, gdzie można by się położyć...

– Dasz radę wstać, Charlie?

Dziewczynka wstała powoli, wycierając z buzi resztkę łez. Jej twarz w ciemności była jak blady księżyc. Patrząc na nią, Andy poczuł ostre ukłucie wstydu. Otulona kołdrą, przytulona do pluszowego misia, Charlie powinna leżeć w łóżku w jakimś regularnie splecanym domu, gotowa wrócić do szkoły i walczyć o Boga, Ojczyznę i przejście do drugiej klasy. Zamiast tego wszystkiego

za piętnaście pierwsza w nocy stała na poboczu odnogi autostrady w stanie Nowy Jork; uciekała zżerana przez poczucie winy, bo odziedziczyła po ojcu i matce coś, za co – jak za swe czyste, niebieskie oczy – nie była w najmniejszym stopniu odpowiedzialna. Jak można wytłumaczyć siedmioletniej dziewczynce, że tatuś i mamusia potrzebowali kiedyś dwustu dolarów, a ludzie, z którymi rozmawiali, powiedzieli, że wszystko jest w porządku, i kłamali?

– Zaraz złapiemy okazję – powiedział Andy i objął córkę, nie wiedząc, czy robi to, by dodać jej odwagi, czy też by mieć się na czym oprzeć. – Znajdziemy jakiś hotel czy motel i pójdziemy spać. Później pomyślimy, co robić dalej. Czy to brzmi rozsądnie?

Charlie przytaknęła milcząco.

– W porządku – stwierdził Andy i podniósł rękę.

Kierowcy mijali go obojętnie; nie dalej niż trzy kilometry stąd zielony samochód jechał już tą drogą. Andy nic o tym nie wiedział; jego obolały mózg wrócił pamięcią do tej nocy, kiedy siedzieli z Vicky w barze. Mieszkała w jednym z akademików i on podrzucił ją do domu, raz jeszcze na schodach, tuż przed wielkimi, podwójnymi drzwiami ciesząc się smakiem jej ust, kiedy z wahaniem objęła go za szyję ta dziewczyna, która ciągle była dziewicą. Byli młodzi, Jezu, jacy byli wtedy młodzi.

Obok nich przemykały samochody, włosy Charlie powiewały w ciągnących się za nimi podmuchach powietrza, a Andy wspominał to, co zdarzyło się tamtej nocy, dwanaście lat temu.

16

Odprowadziwszy Vicky do akademika, Andy poszedł przez teren uniwersytetu w stronę autostrady, na której mógłby złapać okazję do miasta. Chociaż czuł tylko lekkie podmuchy na twarzy, majowy wiatr wiał mocno wśród gałęzi wiązów rosnących po obu stronach alei; był jak rzeka, z której docierały do niego tylko najmniejsze, najdelikatniejsze krople.

Gmach Jasona Gearneigha stał mu niemal na drodze i Andy zatrzymał się przed frontem ciemnego budynku. Wokół niego gałęzie drzew, porośnięte wiosennymi liśćmi, tańczyły i chwiały się na niewidzialnym prądzie rzeki wiatru. Po kręgosłupie przebiegł mu upiorny chłód, zatrzymując się w żołądku i trochę go

zamrażając. Andy zadrżał, chociaż wieczór był ciepły. Wielki jak srebrna dolarówka księżyc przemykał wśród rosnących tratw chmur; błyszczące złotem szybkie łodzie mknęły po ciemnej rzece powietrza, mknęły w ucieczce przed wiatrem. Światło księżycy odbijało się od okien budynku, które świeciły jak tępe, nieprzyjemne oczy.

Coś się tu zdarzyło, pomyślał. Coś więcej, niż nam mówiono i niż nam kazano... pozwolono się spodziewać. Co to było?

Oczami wyobraźni Andy raz jeszcze zobaczył tę znikającą, krwawą dłoń; tylko tym razem zobaczył też, jak uderza w planszę, zostawiając na niej plamę w kształcie przecinka... a później plansza zwija się z nieprzyjemnym trzaskiem.

Poszedł w stronę budynku. Szaleństwo. Nikt nie wpuści cię do sali wykładowej po dziesiątej wieczorem. I...

I boję się.

Tak. To było to. Za dużo niepokojących, niemal zapomnianych wspomnień. Zbyt łatwo potrafiłby wytłumaczyć sobie, że były tylko fantazjami; Vicky już zaczynała w to wierzyć. Testowany chłopak, który wyłupił sobie oczy. Dziewczyna krzycząca, że chce umrzeć, że śmierć byłaby lepsza niż to, nawet gdyby oznaczała wieczność smażenia się w piekle. Ktoś inny doznający zawału i wywieziony w niewiadome z mrozącym krew w żyłach profesjonalizmem. Ponieważ – spójrz prawdzie w oczy, Andy, stary przyjacielu – to nie telepatia cię przeraża. Przeraża cię myśl, że któraś z tych rzeczy mogła się rzeczywiście zdarzyć.

Podeszwy butów zastukały, gdy podchodził do dużych, podwójnych drzwi. Nacisnął klamkę. Zamknięte. Za drzwiami widział pusty korytarz. Zastukał, a kiedy zobaczył kogoś wychodzącego z cienia, chciał uciec. Dlatego że twarz, która miała mu się za chwilę pojawić wśród ruchomych cieni, byłaby twarzą Ralphi Baxtera albo wysokiego mężczyzny z długimi do ramion, jasnymi włosami i blizną na brodzie.

Ale nie pojawiła się żadna z tych twarzy. Mężczyzna, który podszedł do drzwi, otworzył je i wychylił się za nie, był typowym uniwersyteckim strażnikiem: mniej więcej sześćdziesiąt dwa lata, czoło i policzki pomarszczone, czujne, niebieskie oczy zaczerwienione z miłości do butelki. Strażnik miał przyczepiony do pasa wielki zegarek.

– Gmach zamknięty! – powiedział.

– Wiem – odrzekł Andy – ale brałem udział w eksperymencie, w sali siedemdziesiąt, który skończył się dziś rano i...

– To bez znaczenia! Budynki w tygodniu zamyka się o dziewiątej! Proszę wrócić jutro!

– ...i chyba zostawiłem tam zegarek – mówił dalej Andy. Nie miał zegarka. – Zaraz, co pan na to? Tylko zerknę.

– Nie mogę – odparł strażnik, lecz brzmiało to tak, jakby nagle stracił całą pewność siebie.

Wcale o tym nie myśląc, Andy powiedział cicho:

– Jasne, że pan może. Tylko spojrzę i zaraz zejdę panu z drogi. Pan nawet nie będzie pamiętał, że tu byłem. Dobra?

Nagle dziwne uczucie w głowie: takie, jakby sięgnął i pchnął tego starszego człowieka, tylko nie rękami, ale głową. I strażnik cofnął się niepewnie o dwa albo trzy kroki, puszczając drzwi.

Andy wszedł do środka nieco zaniepokojony. W głowie poczuł nagły, ostry ból, który zmniejszył się do dokuczliwego ćmienia i znikł w pół godziny później.

– Zaraz... pan się dobrze czuje? – zapytał strażnik.

– Co? Jasne, w porządku.

Podejrzliwość strażnika znikła, uśmiechnął się do Andy'ego prawdziwie przyjaznym uśmiechem.

– Proszę iść i rozejrzeć się za zegarkiem, jeśli pan chce. Niech pan się nie śpieszy. Pewnie nie będę nawet pamiętał, że pan tu był.

I odszedł.

Andy popatrzył za nim, nie wierząc własnym oczom, i bezmyślnie potarł czoło, jakby chciał złagodzić niewielki ból głowy. Co, na Boga, zrobił temu staremu? Bo coś mu zrobił na pewno.

Odwrócił się, podszedł do schodów i zaczął się na nie wspinać. Korytarz pierwszego piętra był ciemny i wąski; ogarnęło go uczucie nagłej klaustrofobii i wydawało mu się, że dusi go jak niewidzialna obroża. Tu, na górze, budynek zanurzał się w rękę wiatru, który wślizgiwał się pod okapy, wyjąc cienko. Sala siedemdziesiąt miała dwoje podwójnych drzwi, przeszklonych u góry grubymi, matowymi szybami. Andy stanął przed nimi, słuchając wiatru szmerzącego w starych rurach i rynnach, przewracającego wyschłe liście minionych lat. Serce łomotało mu głośno w piersi.

Niemal odszedł wtedy od tych drzwi; nagle wydało mu się, że łatwiej jest nie wiedzieć, zapomnieć. Lecz jednak wyciągnął rękę i złapał jedną z klamek, mówiąc sobie, że przecież nie ma się czego bać, bo ta cholerna sala i tak będzie zamknięta i to załatwi sprawę na zawsze.

Tylko że wcale nie była zamknięta. Klamka obróciła się gładko. Drzwi stanęły otworem.

Sala była pusta i oświetlona tylko drżącym światłem księżyca przesianym przez chwiejące się za oknem gałęzie starego wiązu. Światła wystarczało, by zobaczyć, że usunięto łóżka. Tablica była wymazana i zmyta. Plansza została podciągnięta jak roleta, zwisał tylko pierścień, za który można ją było ściągnąć. Andy podszedł bliżej; po chwili podniósł rękę, która lekko drżała, i ściągnął planszę.

Przekrój mózgu; ludzki mózg poćwiartowany i oznaczony jak w podręczniku dla rzeźników. Sam ten widok spowodował, że Andy poczuł się dziwnie, jak po narkotyku. Nic w tym nie było zabawnego, to straszne. Jęknął; delikatny jęk, jak srebrne pasmo pajęczyny.

Na planszy został ślad krwi; przecinek, czarny w bladym, słabym świetle księżyca. Był tu. Wydrukowany na planszy napis, który przed wczorajszym eksperymentem głosił niewątpliwie CORPUS CALLOSUM, teraz wyglądał jak COR OSUM, z przerwą na plamę w kształcie przecinka.

Taka mała rzecz.

Taka wielka rzecz.

Andy stał w ciemności, patrząc na plamę; naprawdę zaczął drzeć. Co stało się przez to prawdą? Część? Większość? Wszystko? Żadna z tych możliwości?

Gdzieś zza pleców usłyszał coś... albo wydawało mu się, że coś usłyszał; ciche skrzypnięcie buta.

Ręce mu drgnęły i jedna z nich uderzyła w planszę z tym samym obrzydliwym traskiem. Plansza zwinęła się, terkocząc; przeraźliwy hałas w ciemnym jak otchłań pokoju.

Nagle trzaśnięcie jednego z oblanych światłem księżyca okien; gałąź – a może martwa dłoń pokryta na pół skrzepłą krwią i pasemkami ciała: *Wpuść mnie zostawiłem tu oczy wpuść mnie wpuść mnie...*

Odwrócił się jak we śnie, gdy wszystko jest zwolnione, jak na zdjęciach zwolnionych; miał straszliwą pewność, że to ten chłopiec, duch w białym fartuchu, cieknące, czarne dziury w miejscu, gdzie kiedyś były oczy. Serce podeszło mu do gardła i wiło się jak żywe.

Nie było nikogo.

Nie było niczego.

Ale nerwy miał w strzępach i kiedy nieubłagana gałąź znów zaczęła stukać, uciekł, nie starając się nawet zamknąć za sobą drzwi sali. Biegł wąskim korytarzem i nagle usłyszał kroki, które go ścigały, echo jego własnych kroków. Zbiegł po dwa stopnie i wpadł do holu, oddychając ciężko; krew dudniła mu w skroniach. Powietrze kłuło go w gardło jak ścięte siano.

Nie dostrzegł nigdzie strażnika. Zwiął, zamykając za sobą skrzydło wielkich przeszklonych drzwi i przemykając się chyłkiem przez dziedziniec jak uciekinier, którym miał zostać.

17

Pięć dni później, i najzupełniej wbrew jej woli, Andy zaciągnął

Vicky Tomlinson do gmachu Jasona Gearneigha. Vicky zdecydowała już, że nie chce więcej nawet myśleć o eksperymencie. Zabrała z wydziału psychologii czek na dwieście dolarów, wpłaciła pieniądze na konto i chciała zapomnieć, skąd się wzięły.

Andy skłonił ją, używając elokwencji, której nawet u siebie nie podejrzewał. Poszli tam za dziesięć trzecia, w przerwie między wykładami; dzwony kaplicy Harrisona wygrywały swą melodię, płynącą w senne majowe powietrze.

– W pełnym świetle dnia nic nie może się nam stać – powiedział zaniepokojony, nie chcąc, nawet wobec samego siebie, określić, czego dokładnie miałby się bać. – Nie przy tych wszystkich ludziach.

– Ja po prostu nie chcę tam iść, Andy – upierała się Vicky, ale w końcu poszła.

Z sali wykładowej wychodziło kilkoro studentów z książkami pod pachą. Słońce odbijało się od okien blaskiem bardziej prozaicznym niż diamentowy pył promieni księżyca, który pamiętał Andy. Wraz z nim i z Vicky do sali weszło kilka osób zbiera-

jących się na seminarium z biologii, które miało się zacząć o trzeciej. Jedna z nich wszczęła gwałtowną dyskusję o marszu protestacyjnym, który miał się odbyć w najbliższą sobotę.

Nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi.

– W porządku – powiedział Andy głosem stłumionym ze zdenerwowania. – Zobaczmy, co o tym myślisz?

Złapał za zwisający pierścień i ściągnął planszę. Patrzyli na nagiego mężczyznę; obdarto go ze skóry i ponumerowano mu organy wewnętrzne. Jego mięśnie wyglądały jak poplątane nici czerwonej włóczki. Jakiś dowcipniś podpisał planszę: Oskar Zręda.

– Jezu! – powiedział Andy.

Vicky złapała go za ramię, jej dłoń była ciepła, spocona.

– Andy. Proszę, chodźmy. Nim ktoś nas rozpozna.

Tak, był gotów odejść. To, że podmieniono planszę, z jakiegoś powodu przeraziło go bardziej niż cokolwiek innego. Gwałtownie szarpnął i natychmiast puścił pierścień. Plansza podniosła się ze znajomym trzaskiem.

Różne plansze. Ten sam dźwięk. Dwanaście lat później ciągle go słyszał – jeśli pozwalała mu na to migrena. Po tym dniu nigdy już nie przekroczył progu sali numer siedemdziesiąt w gmachu Jasona Gearneigha, ale aż za dobrze pamiętał ten dźwięk.

Słyszał go często w snach... i widział błędzącą i znikającą, zakrwawioną rękę.

18

Zielony samochód przemknął cicho drogą dojazdową do lotniska, kierując się w stronę wjazdu na Szosę Północną. Norville Bates siedział za kierownicą z rękami w pozycji za dziesięć druga. Z radia płynęła cicho muzyka klasyczna. Norville miał teraz włosy krótkie i szesane z czoła, lecz mała półkolista blizna na brodzie nie zmieniła się – była tam od chwili, gdy jako dziecko zranił się ostrym szkłem potłuczonej butelki po coca-coli. Gdyby Vicky żyła, rozpoznałaby go z pewnością.

– Jeszcze jedna jednostka w drodze – powiedział mężczyzna w drogim garniturze. Nazywał się John Mayo. – Ten facet to wtyczka. Pracuje dla nas i dla DIA.

– Po prostu zwykła kurwa – powiedział trzeci mężczyzna i wszyscy roześmieli się nerwowo, z napięciem. Wiedzieli, że są blisko; niemal czuli zapach krwi. Trzeci mężczyzna nazywał się Orville Jamieson, ale wolał, by nazywano go OJ lub Jędrny. Wszystkie oficjalne dokumenty podpisywał OJ. Raz podpisał się nawet Jędrny i ten sukinsyn, Kap, udzielił mu nagany. I to nie ustnej, lecz pisemnej, z wpisaniem do akt.

– Myślisz, że są na Północnej? – zapytał OJ.

Norville Bates wzruszył ramionami.

– Albo tu, albo w Albany – powiedział. – Hotele w mieście sprawdza tutejszy wieśniak, bo to jego teren, nie?

– Jasne – powiedział John Mayo.

Dobrze mu się pracowało z Norville'em. A współpracowali od dawna. Od tego eksperymentu w gmachu Jasona Gearneigha, a to, proszę panów, gdyby ktoś was kiedyś pytał, było naprawdę straszne. John nigdy więcej nie chciałby przejść przez coś równie strasznego. To on ratował dzieciaka z zawałem. Był sanitariuszem w Wietnamie i wiedział, co robić z defibrylatorem, przynajmniej w teorii. W praktyce nie poszło mu tak dobrze i chłopak im się wymknął. Dali wtedy Próbę Sześć dwunastu dzieciakom. Zmarło dwoje: chłopak, który dostał zawału serca, i dziewczyna, sześć dni później, w akademiku, najwyraźniej na skutek nagłego skrzepu w mózgu. Inna dwójka beznadziejnie oszalała: chłopak, który się oślepił, i dziewczyna, co później dostała paraliżu od szyi w dół. Wanless twierdził, że to psychologiczne, ale kto tu coś, u diabła, wie? Nieźle jak na jeden dzień, nie ma co mówić.

– Ten miejscowy zabrał ze sobą żonę – mówił Orville. – Ona szuka wnuczki. Jej syn uciekł z małą dziewczynką. Brzydka sprawa rozwodowa, otóż to. Nie chce zawiadomiać policji, dopóki nie musi, ale boi się, że jej syn dostaje bzika. Jeśli to dobrze rozegra, w całym mieście nie ma nocnego recepcjonisty, który by jej nie powiedział, gdyby tych dwoje wprowadziło się do jego hotelu.

– Jeśli to dobrze rozegra – powiedział OJ. – Z wtykami nigdy nie wiadomo.

– Skręcamy na najbliższym wjeździe, prawda? – zapytał John.

– Prawda – przytaknął Norville. – Jeszcze trzy, cztery minuty.

– Musieli mieć dość czasu, żeby tu zejść.

– Starczyło, jeśli się sprężyli. Może wybierzemy ich na wjeździe z rękami w górze i próbujących złapać okazję. A może poszli na skróty, bezpośrednio na pobocze. W każdym razie wystarczy przejechać kawałek i sami na nich wpadniemy.

– Dokąd to, kolego, wskakuj – powiedział Jędrny i roześmiał się. W kaburze pod pachą miał magnum 357. Nazywał je Narkozą.

– A jeśli już złapali okazję, to mamy cholernego pecha, Norv – powiedział John.

Norville wzruszył ramionami.

– Wszystko sprowadza się do prawdopodobieństwa. Jest pierwsza piętnaście w nocy. Ze względu na reglamentację benzyny ruch jest teraz mniejszy. Co pomyśli sobie pan biznesmen, jeśli zobaczy na poboczu wielkiego faceta i małą dziewczynkę z rękami podniesionymi do góry?

– Pomyśli sobie, że to kłopot.

– Zgadzam się z przedmówcą.

Jędrny znowu się roześmiał. Przed nimi zabłysło czerwone i zielone światło, oznaczające wjazd na autostradę. OJ ujął w rękę orzechową rękojęść Narkozy. Tak na wszelki wypadek.

19

Półciężarówka minęła ich, ciągnąc za sobą strumień chłodnego powietrza... lecz nagle światła stopu zabłysły jaśniej i wóz zjechał na pobocze, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej.

– Bogu niech będą dzięki – powiedział cicho Andy. – Pozwól mi mówić, Charlie.

– W porządku, tatusiu. – Głos Charlie brzmiał apatycznie. Pod jej oczami znów pojawiły się ciemne kręgi. Poszli w stronę samochodu, który cofał się im na spotkanie. Andy czuł swą głowę jak puchnący wolno ołowiany balon.

Na burcie półciężarówki widniały ilustracje do *Baśni z tysiąca i jednej nocy*: kalifowie, panny kryjące twarze pod czarczafami, dywan mistycznie polatujący w powietrzu. Dywan miał być niewątpliwie czerwony, ale w świetle neonówek nad autostradą wyglądał jak ciemna wyspa skrzepniętej krwi.

Andy otworzył drzwi od strony pasażera, podsadził Charlie, wepchnął ją do samochodu i wszedł sam.

– Dziękuję panu – powiedział. – Uratował nam pan życie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział kierowca. – Cześć, mała nieznajoma.

– Cześć – odpowiedziała Charlie cichutko.

Kierowca spojrział we wsteczne lusterko, ruszył poboczem nabierając szybkości, a później zjechał na autostradę. Andy zerknął nad lekko schyloną głową Charlie i poczuł ukłucie wstydu: kierowca należał do tego typu młodych ludzi, których sam zawsze omijał, gdy stali na poboczu z wyciągniętą ręką. Wysoki, lecz szczupły, miał rozłożystą czarną brodę, która spadała mu w lokach na piersi, i wielki bezkształtny kapelusz, wyglądający niczym rekwizyt z filmu o toczących walki rodowe góralach z Appalachów. W ustach trzymał papierosa, który wyglądał jak skręt, i puszczał z niego kłęby dymu. Sądząc po zapachu, był to zwykły tytoń; Andy nie czuł słodkiego aromatu marihuany.

– Dokąd, dobry człowieku? – zapytał kierowca.

– Dwa miasteczka stąd – odpowiedział Andy.

– Hastings Glen?

– Właśnie.

Kierowca skinął głową.

– Przypuszczam, że przed kimś uciekacie?

Charlie zeszywniała; Andy uspokajająco położył jej dłoń na plecach i masował je, póki się nie rozluźniła. W głosie kierowcy nie usłyszał groźby.

– Na lotnisku czekał woźny sądowy.

Kierowca uśmiechnął się – groźna broda niemal ukryła ten uśmiech – wyjął z ust papierosa i delikatnie podsunął go wiatrowi, dmącemu tuż za półotwartym wietrznikiem. Pęd powietrza wessał niedopałek.

– Ma to coś wspólnego z naszą małą nieznajomą, jak sądzę?

– Można powiedzieć.

Kierowca umilkł. Andy usiadł wygodnie i starał się poradzić sobie jakoś z migreną. Ból najwyraźniej ustalił się na najwyższym, nieznośnym poziomie. Czy kiedyś już go tak bolało? Nie sposób powiedzieć. Kiedy przesadził, ostatni raz zawsze wydawał się najgorszy. Minie z miesiąc, nim znowu odważy się użyć pchnięcia. Wiedział, że dwa miasteczka stąd to zdecydowanie za

blisko, ale dzisiaj nie stać go już było na więcej. Był wykończony. Hastings Glen będzie musiało wystarczyć.

– Na kogo stawiasz, kolego? – zapytał kierowca.

– Co?

– W lidze. San Diego Padres – co ty na to?

– Całkiem możliwe – zgodził się Andy. Jego głos dochodził z daleka, jak głos podwodnych dzwonów.

– Dobrze się czujesz, kolego? Wyglądasz blado.

– Ból głowy. Migrena.

– Za dużo napięć – powiedział kierowca. – Rozumiem to. Jechiesz do hotelu? Potrzebujesz gotówki? Mogę ci dać piątkę. Chciałbym więcej, ale jadę do Kalifornii i muszę bardzo uważać. Tak jak Joadowie z *Gron gniewu*.

Andy uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Chyba sobie poradzimy.

– To dobrze. – Kierowca przyjrzał się Charlie, która drzemała. – Śliczna dziewczynka, kolego. Uważasz na nią?

– Jak tylko potrafię.

– To w porządku – powiedział kierowca. – Taką melodię lubię.

20

Hastings Glen było ledwie rozszerzeniem drogi; o tej godzinie wszystkie światła uliczne mrugały tylko na żółto. Brodaty kierowca w kapeluszu włóczęgi zjechał z autostrady, przemknął przez śpiące miasteczko i drogą 40 dojechał do motelu Slumberland; budynku z sekwojowego drewna, za którym świeciła łyśa plama pola zżętej kukurydzy. Od frontu pobłyskiwał pomarańczowo neon dukający nieistniejące słowa: „wo ne m e sca”. W miarę jak Charlie zasypiała coraz głębiej, coraz bardziej i bardziej pochylała się w lewo, aż wreszcie jej głowa spoczęła na obciążniętej dżinsiem nodze kierowcy. Andy zaproponował, że ją przesunie, lecz kierowca potrząsnął głową.

– Jej tu dobrze, kolego. Nie budź dziewczyny.

– Czy nie sprawiłoby panu różnicy, gdyby wyrzucił pan nas trochę dalej? – zapytał Andy. Myślenie przychodziło mu z trudem, lecz jego ostrożność była niemal instynktowna.

– Nie chcesz, żeby recepcjonista wiedział, że nie masz samochodu? – Kierowca uśmiechał się. – Oczywiście, kolego. Ale w takim miejscu nie ruszyliby ich nawet, gdybyś przyjechał jednokołowym rowerkiem.

Koła zazgrzytały po wysypanym kamieniami podejździe.

– Jesteś pewien, że nie znajdziesz zajęcia dla piątki?

– No... chyba bym znalazł – odparł z wahaniem Andy. – Mógłby pan zapisać mi swój adres? Odeślę pieniądze pocztą.

Kierowca znów się uśmiechnął.

– Mój adres brzmi „w podróży” – powiedział, wyjmując portfel. – Ale może kiedyś jeszcze zobaczysz gdzieś moją uśmiechniętą gębę, nie? Chwytaj forsę!

Podał Andy’emu piątkę i Andy nagle się rozplakał. Nie bardzo, ale się rozplakał.

– Nie, kolego – powiedział łagodnie kierowca, lekko dotykając jego szyi. – Żyje się krótko, a potem umiera i znaleźliśmy się na ziemi po to, by pomagać sobie nawzajem. Komiksowa filozofia Jima Paulsona w streszczeniu. Opiekuj się dobrze naszą małą nieznajomą.

– Jasne – odpowiedział Andy, wycierając oczy. Włożył pięć dolarów do kieszeni sztruksowej marynarki. – Charlie? Skarbie? Obudź się. Jeszcze tylko chwilka.

21

Trzy minuty później zasnęła Charlie opierała się o Andy’ego, który patrzył, jak Jim Paulson odjeżdża w stronę zamkniętej restauracji, zawraca i mija ich, kierując się ku autostradzie. Andy podniósł rękę; Paulson też podniósł rękę w geście pożegnania. Stara półciężarówka Forda z wymalowanymi na burtach scenami z *Tysiąca i jednej nocy*: dżinnami, wielkimi wezyrami i tajemniczym latającym dywanem.

Mam nadzieję, że dobrze ci będzie w Kalifornii, pomyślał Andy, a później obydwójce zawrócili i poszli do motelu Slumberland.

– Chcę, żebyś zaczekała na mnie na zewnątrz i w ukryciu – powiedział Andy. – Dobrze?

– Dobrze, tato. – Charlie była bardzo śpiąca.

Zostawił ją przy kępie iglastych krzewów, poszedł do recepcji i nacisnął dzwonek. Po mniej więcej dwóch minutach pojawił się mężczyzna w płaszczu kąpielowym, przecierając okulary. Otworzył drzwi i wpuścił Andy'ego bez słowa.

– Chciałbym dostać ten pokój przy końcu lewego skrzydła, jeśli można – powiedział Andy. – Podjechałem tam samochodem.

– O tej porze roku mógłby pan wykupić całe zachodnie skrzydło, gdyby pan chciał – uśmiechnął się recepcjonista, pokazując żółtkłe sztuczne zęby. Dał Andy'emu drukowany formularz i długopis z reklamą firmy produkującej sprzęt biurowy. Na zewnątrz przemknął samochód, światła zaślniły i znikły.

Andy wpisał się jako Bruce Rozelle. Bruce prowadził vege z H1978 roku, rejestracja nowojorska LMS 240. Andy spojrział na rubrykę oznaczoną INSTYTUCJA/FIRMA i – w momencie natchnienia (takiego, na jakie pozwalała jego pękająca głowa) – wpisał „Amerykańska Korporacja Automatów Handlowych”. Jako formę płatności zaznaczył „GOTÓWKA”.

Autostradą przejechał kolejny samochód.

Recepcjonista podpisał i schował formularz.

– To będzie siedemnaście dolarów i pięćdziesiąt centów.

– Ma pan coś przeciwko drobnym? – zapytał Andy. – Nie zdążyłem wpłacić pieniędzy i noszę przy sobie z dziesięć kilogramów drobnych. Nienawidzę tych wyjazdów w teren.

– Też pieniądz. Nie mam nic przeciw.

– Dziękuję.

Andy sięgnął do kieszeni marynarki, odsunął pięciodolarowy banknot i wyciągnął garść dwudziestopięcio-, dziesięcioi pięćcentówek. Odliczył czternaście dolarów, sięgnął raz jeszcze i dopłacił resztę. Urzędnik układał monety w zgrabne kupki i zgarbiał je w odpowiednie przegródki kasy.

– Wie pan – powiedział, zamykając kasę i patrząc na Andy'ego z nadzieją – potrączę pięć dolców z rachunku za pokój, jeśli naprawi mi pan automat z papierosami. Od tygodnia nie działa.

Andy podszedł do automatu stojącego w rogu pokoju, udał, że mu się przygląda, i wrócił do lady.

– To nie nasz – powiedział.

– O cholera! W porządku. Dobrej nocy, przyjacielu. W szafce jest dodatkowy koc, jeśli będzie go pan potrzebował.

– Świetnie.

Andy wyszedł. Żwir zazgrzytał mu pod nogami; dźwięk dotarł do jego mózgu nieznośnie wzmocniony, jakby kroczył po płatkach kukurydzianych z kamienia. Podszedł do kępy krzaczków, przy której zostawił Charlie, i Charlie tam nie było.

– Charlie?

Żadnej odpowiedzi. Andy przełożył z ręki do ręki klucz, przyczepiony do wielkiej zielonej plastikowej plakietki. Obie dłonie nagle mu się spociły.

– Charlie?

Wciąż żadnej odpowiedzi. Andy zastanowił się i nagle wydało mu się, że pamięta, iż samochód, który przejechał, kiedy on wypełniał kartę meldunkową, zwolnił. Może był to zielony samochód?

Serce zaczęło mu bić szybciej, wraz z jego rytmem wzmógł się ból głowy. Próbował pomyśleć, co robi, jeśli Charlie zniknęła – i nie potrafił. Za bardzo bolała go głowa. Co...

Głęboko spod krzaków dobiegło go ciche posapywanie. Ten dźwięk znał bardzo dobrze. Pobiegł w jego kierunku, spod butów pryskał żwir. Sztywne, iglaste gałęzie drapały mu nogi, czepiały się sztruksowej marynarki.

Charlie leżała na boku na skraju hotelowego trawnika; kolana podciągnęła pod brodę i schowała między nimi dłonie. Spała mocno. Andy stał nad nią przez chwilę z zamkniętymi oczami, a później potrząsnął nią, aż się obudziła; miał nadzieję, że po raz ostatni tej nocy. Bardzo, bardzo długiej nocy.

Charlie mrugnęła i naraz patrzyła wprost na niego.

– Tatusiu? – powiedziała niewyraźnie, ciągle na pół śpiąca. – Zeszłam z oczu, jak kazałeś.

– Wiem, skarbie – powiedział. – Wiem, że zeszłaś z oczu.

Chodź. Pora spać.

22

Dwadzieścia minut później leżeli w podwójnym łóżku w pokoju numer szesnaście. Charlie spała mocno i równo oddychała, Andy nie spał jeszcze, lecz powoli zasypiał – pomimo łomotu w głowie. I mimo wątpliwości.

Uciekali od mniej więcej roku. Niemal nie sposób było w to uwierzyć, może dlatego, że nie zawsze wydawało się to ucieczką, nie wtedy, gdy mieszkali w Port City, w Pensylwanii, gdzie Andy prowadził ćwiczenia dla otyłych. Charlie chodziła do szkoły w Port City, a co to za ucieczka, kiedy masz pracę, a córka chodzi do pierwszej klasy? W Port City omal ich nie złapali; nie dlatego, żeby okazali się szczególnie dobrzy (choć byli wyjątkowo uparci i to bardzo przstraszyło Andy'ego), lecz dlatego, że Andy popełnił zasadniczy błąd – pozwolił sobie na jakiś czas zapomnieć, że oboje uciekają.

Teraz nie było mu to dane.

Gdzie są tamci? Ciągle w Nowym Jorku? Gdyby tylko mógł w to uwierzyć – nie zanotowali numeru taksówki, ciągle ją tropili. Bardziej prawdopodobne, że dotarli do Albany i łążą po lotnisku jak robaki po ochłapie mięsa. Hastings Glen? Może rano. A może nie. Dwadzieścia kilometrów dzieliło Hastings Glen od lotniska. Nie ma sensu topić zdrowego rozsądku w morzu paranoi.

Zasłużyłam na to! Zasłużyłam, żeby wpaść pod samochód, bo podpaliłam tego żołnierza.

I jego własny głos odpowiadający: *Mogło być gorzej. Mogłaś mu spalić twarz.*

Głosy z pokoju, w którym straszy.

Przyszło mu do głowy coś innego. Podał, że prowadzi vegę.

Gdy przyjdzie rano i recepcjonista nie zobaczy vegi zaparkowanej przed pokojem numer szesnaście, to czy założy, że facet z Amerykańskiej Korporacji Automatów Handlowych po prostu odjechał? Czy zainteresuje się tym? Teraz nie mógł już nic na to poradzić. Nie miał sił.

Pomyślałem, że coś z nim nie tak. Był blady, jakby chory. Zapłacił drobnymi. Powiedział, że pracuje w firmie zajmującej się automatami do sprzedaży, ale nie potrafił naprawić mojego automatu z papierosami.

Głosy z pokoju, w którym straszy.

Przewrócił się na bok, słuchając powolnego, równego oddechu Charlie. Myślał, że ją dostali, a ona tylko schowała się głębiej w krzaki. Zeszła z oczu. Charlene Norma McGee, Charlie od... cóż, od początku.

Nie wiem, co zrobię, Charlie, jeśli cię dostaną.

Ostatni głos, głos przyjaciela, głos Quinceya sprzed siedmiu lat.

Charlie miała wtedy rok i oczywiście wiedzieli, że nie jest normalna. Wiedzieli to od chwili, kiedy miała tydzień i Vicky przyniosła ją do nich, do łóżka, bo kiedy zostawili ją w łóżeczku, poduszka zaczęła... zaczęła się tlić. Tej nocy odstawili łóżeczko na zawsze, nie rozmawiając o swoim strachu, który był zbyt wielki i zbyt dziwny, by zamknąć go w słowach; poduszka rozgrzała się wystarczająco, by oparzyć jej policzek, i Charlie płakała przez całą noc, mimo smarowania maścią, którą Andy znalazł w domowej apteczce. Co za szpital wariatów mieli w tym pierwszym roku, bezsenność, ciągły strach. Ogień w śmieciach, kiedy spóźniała się butelka; kiedyś zapaliła się zasłona i gdyby Vicky akurat nie było w pokoju...

W końcu, kiedy Charlie spadła ze schodów, musiał zadzwonić do Quinceya. Charlie już wtedy raczkowała i całkiem dobrze wchodziła po schodach na czworakach, a później schodziła ze schodów w ten sam sposób. Tego dnia zajmował się nią Andy; Vicky pojechała z przyjaciółką po zakupy. Nie chciała jechać i Andy prawie wyrzucił ją z domu. Ostatnio sprawiała wrażenie zbyt przepracowanej, zbyt zmęczonej. Miała jakiś taki nieruchomy wzrok, który przywodził mu na myśl opowieści z czasów wojny, o żołnierzach zszokowanych walką.

Siedział w dużym pokoju, tuż przy schodach, i czytał. Charlie wchodziła i schodziła. Na najwyższym stopniu leżał pluszowy miś. Mógł go podnieść, oczywiście, ale Charlie cały czas omijała misia i to uspiło Andy'ego – tak jak uspiło go to, co wydawało się normalnym życiem w Port City.

Kiedy schodziła po raz trzeci, zahaczyła nogą o niedźwiadka i spadła aż na dół, bum, bum, łup, krzycząc ze złości i strachu. Na schodach leżał dywan i nawet nie nabiła sobie guza – Bóg czuwa nad pijakami i dziećmi, mawiał Quincey; w ten sposób po raz pierwszy, świadomie, pomyślał tego dnia o Quinceyu – ale Andy skoczył w jej kierunku, podniósł ją, przytulił, uspokajał, mówiąc jakieś nonsensy, przyglądając się jej uważnie, szukając śladów krwi, nienaturalnie skręconej ręki lub nogi, rany. I...

I poczuł, jak to go mija – niewidzialny, nieprawdopodobny ładunek śmierci z mózgu jego córki. Przypominało to podmuch gorącego powietrza, jak ten, który poprzedza wjeżdżające na stację metro, kiedy jest lato i stoisz odrobinę za blisko torów. Miękki, cichy podmuch gorącego wiatru... i pluszowy miś stanął w ogniu. Miś skrzywdził Charlie, Charlie skrzywdzi misia. W powietrze wzbily się płomienie i przez chwilę Andy patrzył na czerniejącą zabawkę, przez zasłonę ognia widząc czarne, plastikowe oczy; i zaraz zapalił się dywan na schodach, na których leżał przewrócony niedźwiadek.

Andy postawił córkę na podłodze i pobiegł po gaśnicę wiszącą na ścianie niedaleko telewizora. Nie rozmawiali z Vicky o tym, co potrafi ich córka – czasami Andy próbował o tym rozmawiać, ale Vicky nie chciała o niczym słyszeć, z histerycznym uporem unikała tematu, powtarzając, że Charlie jest normalna – ale gaśnice pojawiły się w domu w ciszy, w milczeniu, tak samo tajemniczo jak pojawiają się motyle na przełomie wiosny i lata. Nie rozmawiali o tym, co potrafi Charlie, ale w całym domu roło się od gaśnic.

Złapał tę gaśnicę, czując ciężki smród płonącego dywanu, pobiegł w kierunku schodów. i wystarczyło mu czasu, by pomyśleć o tym opowiadaniu *To wspaniałe życie*, napisanym przez jakiegoś Jerome'a Bixby'ego. Opowiadanie było o małym dziecku, które zniewoliło rodziców terrorem psychicznym, koszmarem tysięcy możliwych śmierci; nie wiesz nigdy... nigdy nie wiesz, co może rozwścieczyć małe dziecko...

Charlie zawodziła, siedząc na pupie u stóp schodów.

Andy przekręcił wściekle kurek gaśnicy i skierował strumień piany na palący się dywan, tłumiąc płomienie. Podniósł misia, którego futerko pokryte było plamami, pęcherzykami i grudkami piany, i zabrał go na dół.

Nienawidząc się, lecz w jakiś pierwotny sposób wiedząc, że musi to zrobić, że musi wytyczyć linię, że musi ją czegoś nauczyć, wepchnął zabawkę niemal w samą wrzeszczącą, przerażoną, zapłakaną twarz Charlie. Ty cholerny skurwysynu, pomyślał rozpaczliwie, dlaczego nie pójdziesz po prostu do kuchni, nie weźmiesz ostrego noża i nie zrobisz jej nacięć na policzkach? Dlaczego jej tak nie naznaczysz? I uchwycił się tej myśli.

Blizny. Tak. To właśnie musi zrobić. Napiętnować dziecko. Wypalić piętno w jej duszy.

– Podoba ci się miś?! – wrzasnął. Miś był zwęglony, miś był czarny, a w rękach ciągle czuł jego ciepło, jak w gasnącym węgielku. – Podoba ci się miś, cały spalony, już nigdy nie będziesz się nim bawić!

Charlie zaniósła się głośnym, przerywanym szlochem; czerwona, jakby miała gorączkę, i blada jak śmierć, oczy tonące w morzu łez.

– Taaata. Miś! Miś!

– Tak, miś – powiedział groźnie Andy. – Spaliłaś misia, Charlie. Spaliłaś misia! Spaliłaś misia, możesz spalić mamę, tatę. Charlie... nie wolno ci tego robić! – Pochylił się nisko, nie dotykając córki, nie podnosząc jej. – Nie wolno ci tego robić, bo to źle!

– Taaaaata...!

I na tym poprzestał; tylko tak był w stanie ją skrzywdzić, tylko tak przerazić. Andy podniósł Charlie, przytulił ją, chodził z nią tam i z powrotem, aż dużo, dużo później szloch zmienił się w głębokie westchnienia i sapnięcia. Kiedy spojrział na córkę, zobaczył, że zasnęła z policzkiem na jego ramieniu.

Położył ją na kanapie i z telefonu w kuchni zadzwonił do Quinceya.

Quincey nie chciał z nim rozmawiać. Tego 1975 roku pracował w wielkiej firmie lotniczej i w listach towarzyszących wszystkim jego świątecznym kartkom nazywał się wiceprezydentem od dopieszczania. Kiedy ludzie, którzy robili samoloty, mieli problemy, powinni odwiedzać Quinceya. On miał im pomóc w ich problemach – poczuciu wyobcowania, kryzysie tożsamości, a może po prostu przekonaniu, że praca ich dehumanizuje – by wracali na taśmę i wkładali dynks tam, gdzie dynks powinien się znajdować, i tym sposobem samoloty nie spadały i żadne niebezpieczeństwo nie groziło demokracji. Za to wszystko Quincey dostawał trzydzieści dwa tysiące dolarów rocznie, siedemnaście tysięcy dolarów więcej, niż zarabiał Andy. „I wcale nie czuję się winny – pisał. – Uważam, że to za małe wynagrodzenie za to, że sam jeden podtrzymuję Amerykę w jej locie ku przyszłości”.

Stary Quincey, zawsze tak samo ironiczny, zawsze tak samo dowcipny. Tylko że wcale nie był ironiczny i wcale nie dowcipkował, kiedy tego dnia Andy zadzwonił do niego z Ohio, patrząc na śpiącą na kanapie córkę i czując w nosie smród spalonego misia i nadpalonego dywanu.

– Słyszało się różne rzeczy – powiedział w końcu Quincey, ale dopiero wtedy, gdy zorientował się, że Andy mu nie odpuści, jeśli się czegoś nie dowie. – Ale różni ludzie słuchają rozmów telefonicznych, stary przyjacielu. To epoka Watergate.

– Boję się – powiedział Andy. – Vicky też się boi. I Charlie też. Co słyszałeś, Quincey?

– Dawno, dawno temu był sobie eksperyment, w którym brało udział dwanaście osób. Mniej więcej sześć lat temu. Pamiętasz to?

– Pamiętam – potwierdził ponuro Andy.

– Niewielu zostało z tej dwunastki. Ostatnim razem, kiedy coś słyszałem, czworo. A dwoje wzięło ślub.

– Tak – powiedział Andy i czuł, jak gdzieś, w środku, rodzi się przerażenie. Tylko czworo? O czym ten Quincey gada!

– Jak rozumiem, j eden z nich potrafi zginać klucze i zamykać drzwi, nawet się do nich nie zbliżając. – Słaby głos Quinceya, przemierzający trzy tysiące kilometrów, przepływający przez centrale, przez otwarte stacje przekaźnikowe, przez złącza w Nevadzie, Idaho, Kolorado, Iowa; milion miejsc na założenie podsłuchu.

– Tak? – Andy próbował opanować drżenie głosu. I pomyślał o Vicky, która potrafiła czasami włączyć radio i wyłączyć telewizor, wcale się do nich nie zbliżając – i najwyraźniej nie była nawet świadoma tego, co robi.

– Och tak, to nie bajka – mówił Quincey. – Tylko – jak to się mówi? – udokumentowany przypadek. Głowa go boli, jeśli robi to za często, ale potrafi to robić. Trzymają go w małym pokoju z drzwiami, których nie potrafi otworzyć, i zamkiem, którego nie potrafi przekręcić. Robią na nim testy. Zgina klucze.

Zamyka drzwi. I – jak rozumiem – jest bliski szaleństwa.

– O... mój... Boże – powiedział słabo Andy.

– To w ramach naszych wysiłków w celu utrzymania pokoju, więc jeśli zwariuje, nie ma sprawy – mówił dalej Quincey. – Wa-

riuje, żeby dwieście dwadzieścia milionów Amerykanów mogło być bezpiecznych i wolnych. Rozumiesz?

– Tak – szepnął Andy.

– A co z tymi, którzy wzięli ślub? Nic. A przynajmniej ci tam nic nie wiedzą. Ci ludzie żyją sobie spokojnie w jakimś spokojnym środkowoamerykańskim stanie, na przykład w Ohio. Może sprawdza się ich co roku. Tylko po to, aby mieć pewność, że nie robią czegoś takiego jak zginanie kluczy lub zamykanie drzwi z daleka; albo nie popisują się jakimiś sztuczkami na pikniku dobroczynnym w celu zebrania pieniędzy na Fundusz Dystrofii Mięśniowej. To dobrze, że oni niczego takiego nie potrafią, co, Andy?

Andy zamknął oczy i odetchnął zapachem spalonego dywanu. Czasami Charlie otwierała lodówkę, zaglądała do niej i odchodziła. A jeśli Vicky akurat prasowała, spoglądała tylko na drzwi lodówki i drzwi się zamykały... i wcale nie była świadoma, że robi coś dziwnego. Czasami się tak zdarzało. A czasami nie udawało się jej, musiała zostawiać prasowanie i sama zamykała lodówkę (albo wyłączała radio, albo włączała telewizor). Vicky nie potrafiła zginać kluczy, czytać myśli, latać, zapalać ogni i przepowiadać przyszłości. Czasami udawało się jej zamknąć drzwi z drugiego kąta pokoju i to by było na tyle. Czasami, jeśli zrobiła kilka takich sztuczek, Andy zauważał, że zaczynała się skarżyć na ból głowy albo na żołądek, ale czy to była reakcja fizyczna, czy pomruk ostrzeżenia z podświadomości, tego Andy nie wiedział. Jej niezwykle zdolności manifestowały się może trochę mocniej mniej więcej w czasie okresu. Takie drobne sztuczki, tak rzadkie, że Andy zaczął o nich myśleć jak o czymś normalnym.

A on sam... tak, on sam potrafił „pchać” ludzi. Na to nie było właściwej nazwy; może najlepiej określało to słowo „autohipnoza”. I nie mógł robić tego często, ponieważ dostawał migreny. Przez większość czasu nie pamiętał, że nie jest całkowicie normalny, i od czasu tego eksperymentu w sali numer siedemdziesiąt gmachu Jasona Gearneigha nigdy nie był.

Zamknął oczy i na czarnym tle powiek dostrzegł plamę krwi w kształcie przecinka i nic nieznaczące litery COR OSUM.

– Tak, to bardzo dobrze – mówił Quincey, jakby Andy się z nim zgodził. – Bo inaczej mogliby ich wsadzić do dwóch ma-

łych pokoików, w których ci ludzie mogliby pracować na pełen etat, broniąc bezpieczeństwa i wolności dwustu dwudziestu milionów Amerykanów.

– To bardzo dobrze – zgodził się Andy.

– Co do tej dwunastki, to może dali im środek, który nie całkiem znali. Może być tak, że ktoś, pewien Szalony Doktor, świadomie wprowadził ich w błąd. A może tylko myślał, że wprowadza ich w błąd, a oni prowadzili go na smyczy. To bez znaczenia.

– Bez.

– Więc dano im ten środek i może on zmienił trochę ich chromosomy. Albo i nie trochę? Kto to wie? I może tych dwoje się pobrało, zdecydowało się na dziecko i może to dziecko ma coś jeszcze oprócz oczu i ust. Czy nie zainteresowałiby się takim dzieckiem?

– Pewnie, że tak – powiedział Andy, teraz już tak przerażony, że prawie w ogóle nie mógł mówić. Zdążył już zdecydować, że wcale nie powie Vicky o telefonie do Quinceya.

– To tak, jakbyś miał cytrynę i to fajnie, i martini, i to fajnie, ale kiedy zmieszasz jedno z drugim, to zupełnie nowy smak. Założę się, że chcieliby wiedzieć, co też to dziecko potrafi. Mogliby też chcieć je zabrać, zamknąć w małym pokoiku i sprawdzić, czy nie pomogłoby im uczynić świat bezpieczniejszym i bardziej demokratycznym. I to chyba wszystko, co chcę ci powiedzieć, stary przyjacielu... oprócz jednego. Nie wychylaj się.

Głosy w pokoju, w którym straszysz.

Nie wychylaj się.

Odwrócił głowę leżącą na hotelowej poduszce i spojrzał na Charlie, która spała głęboko. Charlie, malutka, co mamy teraz zrobić? Gdzie pójść, żeby zostawili nas w spokoju? Jak to się skończy?

Na te pytania nie było odpowiedzi.

I w końcu Andy zasnął, a niedaleko zielony samochód mknął w ciemności, z nadzieją, że gdzieś na poboczu trafi na wysokiego mężczyznę w sztruksowej marynarce i jasnowłosą dziewczynkę w czerwonych spodniach i zielonej bluzeczce.

Longmont, Wirginia. Sklepik

1

Dwa piękne domy, typowe domy plantatorów z Południa, stały naprzeciwko siebie oddzielone wielkim gładkim trawnikiem, przeciętym kilkoma wdzięcznymi krętymi drózkami rowerowymi i dwupasmową żwirową drogą, niknącą za grzbietem wzgórza i prowadzącą do autostrady. Przy bocznej ścianie jednego z domów wybudowano wielką stodołę, pomalowaną na jasnoczerwono i wykończoną nieskalaną bielą, a obok drugiego stajnię pomalowaną tą samą czerwienią i wykończoną tą samą bielą. W tej stajni trzymano jedne z najlepszych koni na Południu. Pomiędzy stodołą a stajnią znajdował się szeroki, płytki staw, spokojnie odbijający niebo.

W latach siedemdziesiątych XIX wieku właściciele obu domów poszli na wojnę i dali się zabić; ich spadkobiercy też już nie żyli. W 1954 roku plantacje połączono w jedną posiadłość rządową. Tu znajdowała się główna kwatera Sklepiku.

Pewnego słonecznego, październikowego dnia, dzień po tym, jak Andy i Charlie wyjechali taksówką z Nowego Jorku do Albany, dziesięć minut po godzinie dziewiątej do jednego z domów podjechał na rowerze starszy mężczyzna o łagodnych, błyszczących oczach, w brytyjskiej czapce dżokejce na głowie. Miał za plecami ukryty za drugim pagórkiem punkt kontrolny, który przekroczył dopiero wtedy, gdy komputerowy system identyfikacyjny potwierdził odcisk jego kciuka. Punkt kontrolny znajdował się pomiędzy dwoma ogrodzeniami z drutu kolczastego. Ogrodzenie zewnętrzne, wysokie na ponad dwa metry, co piętnaście metrów oznaczone było ostrzegawczymi napisami: **UWAGA! WŁASNOŚĆ RZĄDOWA! OGRODZENIE POD NIEWIELKIM NAPIĘCIEM!** W ciągu dnia napięcie rzeczywiście było niewielkie. W nocy generator na terenie posiadłości podnosił je do

śmiertelnej wysokości i każdego ranka oddział pięciu ogrodników objeżdżał ogrodzenie w małych elektrycznych wózkach golfowych, zbierając ciała usmażonych królików, kretów, ptaków, świstaków i czasami skunksów leżących w kałuży smrodu. Zdarzały się jelenie. I, dwukrotnie, ludzie, również usmażeni. Między zewnętrznym i wewnętrznym ogrodzeniem była trzy-metrowa przerwa. Dniem i nocą patrolowały ją psy doberman-y, wytresowane, by trzymać się z dala od ogrodzenia pod napięciem. Na każdym rogu wznosiły się wieże strażnicze; drewniane, również pomalowane na kolor jaskrawej czerwieni i wykończone bielą. Zajmowali je ludzie będący prawdziwymi ekspertami w obsłudze różnych śmiercionośnych narzędzi. Całą posiadłość bez przerwy obserwowały kamery telewizyjne, a obrazy nadsyłane z różnych kamer bezustannie analizował komputer. Kwatery Sklepiku w Longmont była miejscem bezpiecznym.

Starszy pan jechał na rowerze, uśmiechając się do ludzi, których mijał. Stary, łysy mężczyzna w czapce bejsbolówce, prowadzący długonogiego żrebca, podniósł rękę i zawołał:

– Cześć, Kap! Strasznie piękny dzień.

– Nie sposób się napatrzeć – przyznał Kap. – Wszystkiego dobrego, Henry.

Mężczyzna dojechał do północnego budynku, zsiadł z roweru i ustawił go na stojaku. Odetchnął głęboko łagodnym powietrzem poranka, a później wbiegł rzeško po stopniach i przeszedł między potężnymi doryckimi kolumnami.

Otworzył drzwi i wszedł do szerokiego holu. Za biurkiem siedziała młoda rudowłosa kobieta; przed nią leżał podręcznik statystyki matematycznej. Jedną ręką kobieta zaznaczała miejsce, w którym przerwała lekturę, a drugą trzymała w otwartej szufladzie biurka, dotykając lekko smitha & wesson 38.

– Dzień dobry, Josie – powiedział starszy dżentelmen.

– Cześć, Kap. Spóźniamy się trochę, co? – Ładne dziewczęta mogły sobie pozwolić na coś takiego; gdyby za biurkiem siedziała Duane... Jej nie uszłoby to na sucho. Kap nie był zwolennikiem ruchu wyzwolenia kobiet.

– Najwyższy bieg mi się zaciął, skarbie. – Kap włożył palec w odpowiedni otwór. Coś w konsolce załomotało ciężko i na biurku Josie zamigotało i zapaliło się równo zielone światło.

– A teraz bądź już grzeczna.

– Cóż, będę uważać – powiedziała znacząco Josie i skrzyżowała nogi.

Kap ryknął śmiechem i poszedł przez korytarz. Josie popatrzyła za nim, zastanawiając się, czy powinna mu powiedzieć, że dwadzieścia minut temu przyszedł ten niesamowity staruch Wanless. I tak zaraz się dowie, pomyślała i westchnęła. Doskonały sposób na spieprzenie tego cudownego dnia: konieczność gadania z tym starym kozłem. Ale ludzie jak Kap, zajmujący bardzo odpowiedzialne stanowiska, muszą łykać muchy w miodzie.

2

Gabinet Kapa znajdował się z tyłu domu. Wielkie wykuszowe okno dawało wspaniały widok na trawnik, stodołę i staw, częściowo zasłonięty olchami. Rich McKeon na małym traktorku kosiarce dojechał do połowy trawnika. Kap stał z rękami założonymi za plecy i patrzył na niego przez chwilę, a później podszedł do stojącego w kącie ekspresu i nalał trochę kawy do swego marynarskiego kubka. Dodał śmietanki i dopiero wtedy usiadł, po czym nacisnął guzik interkomu.

– Cześć, Rachel – powiedział.

– Cześć, Kap. Doktor Wanless cze...

– Wiem o tym. Dobrze o tym wiem. Wyczułem tego starego skurwysyna, kiedy tylko wszedłem.

– Czy mam mu powiedzieć, że jesteś dziś zajęty?

– Nie mów mu nic takiego – powiedział Kap dzielnie. – Niech siedzi w żółtej poczekalni cały cholerny ranek. Jeśli nie zdecyduje się pójść do domu, to chyba zobaczę się z nim przed lunchem.

– Oczywiście, proszę pana.

I problem rozwiązany, przynajmniej dla Rachel, pomyślał Kap z odrobiną zazdrości. Wanless wcale nie był jej problemem. W rzeczywistości Wanless powoli stawał się kłopotem. Przeżył zarówno swą użyteczność, jak i wpływy. Cóż, zawsze jest jeszcze obóz na Maui. I jest Rainbird.

Myśląc o tym, Kap poczuł lekki wewnętrzny dreszcz – a nie był człowiekiem, który drży z byle powodu.

Jeszcze raz nacisnął przycisk interkomu.

– Chcę znowu dostać wszystkie akta McGee, Rachel. I o dziesiątej trzydzieści chcę się widzieć z Alem Steinowitzem. Jeśli Wanless jeszcze tu będzie, kiedy skończę z Alem, możesz go do mnie przysłać.

– Doskonale, Kap.

Kap wygodnie rozparł się w fotelu, splótł palce i popatrzył przez gabinet na wiszący na ścianie portret George’a Pattona. Patton stał w rozkroku nad górnym włazem czołgu, jakby myślał, że jest samym Johnem Wayne’em lub kimś takim.

– Twardzi ludzie mają ciężkie życie – powiedział Kap Pattenowi i napił się kawy.

3

Dziesięć minut później Rachel przywiozła akta na bibliotekarskim wózku. Leżało na nim sześć pudeł raportów i innych papierów oraz cztery pudła fotografii. Zapisy rozmów telefonicznych także. Telefon rodziny McGee był na podsłuchu od 1978 roku.

– Dzięki, Rachel.

– Nie ma za co. Pan Steinowitz będzie tutaj o dziesiątej trzydzieści.

– No, przecież. Czy Wanless już zdechł?

– Niestety nie. – Rachel uśmiechnęła się. – Po prostu siedzi w poczekalni i patrzy, jak Henry spaceruje z końmi.

– I drze te cholerne papierosy?

Rachel zakryła usta jak uczennica, zachichotała i skinęła głową.

– Zdążył już załatwić z pół paczki.

Kap chrząknął. Rachel wyszła; zaczął grzebać w papierach. Ile to razy wertował je w ciągu ostatnich jedenastu miesięcy? Dziesięć? Dwadzieścia? Streszczenia znał niemal na pamięć. I jeśli Al ma słuszność, oboje McGee znajdą się pod kluczem pod koniec tygodnia. Na samą myśl o tym poczuł w żołądku gorący dreszcz podniecenia.

Zaczął szperać w aktach na chybił trafił, od czasu do czasu wyjmując jakąś kartkę, od czasu do czasu czytając jakieś zdanie. W taki sposób „włączał” się w sprawę. Świadomość pracowała na luzie, podświadomość na najwyższych obrotach. Nie zależało

mu na szczegółach, chciał mieć pełny obraz sytuacji. Jak mawiają bejsboliści, szukał właściwego chwytu.

Oto notatka od Wanlessa, młodszego Wanlessa (ach, wtedy wszyscy byliśmy młodsii!) z datą 12 września 1968 roku. Jeden z ustępów przyciągnął wzrok Kapa.

„...niezmiernej wagi w prowadzonych studiach kontrolowanych fenomenów psychicznych. Kolejne testy na zwierzętach nie zwiększą zakresu naszej wiedzy (patrz załącznik 1) i jak to wyłożyłem na zebraniu naszej grupy tego lata, testy na skazańcach i innego rodzaju obiektach o zdeformowanej osobowości mogą prowadzić do poważnych kłopotów, jeśli Próba Sześć jest chociażby w części tak potężna, jak podejrzewamy (patrz załącznik 2). Z tego powodu w dalszym ciągu polecam...”.

W dalszym ciągu polecałeś, żebyśmy dali go kontrolnej grupie studentów uniwersytetu, mając w zapasie komplet pewnych planów na wypadek niepowodzenia, myślał Kap.

Wanless nie bawił się wtedy w żadne albo – albo. Co to, to nie. Jego motto brzmiało wtedy: „Cała naprzód, a ostatnich gryzą psy”. Testowano dwunastu studentów. Dwójka zmarła, jedno w czasie testu, jedno wkrótce po nim. Dwójka beznadziejnie oszalała – i oboje zostali okaleczeni; jedno było ślepe, drugie doznało paraliżu na podłożu psychotycznym. Są teraz w obozie na Maui, w którym pozostaną do końca swego żalostnego życia. Zostało ośmiu. Z tych jeden zginął w wypadku samochodowym w 1972 roku – w wypadku, który niemal na pewno nie był wypadkiem, lecz samobójstwem. Drugi skoczył z budynku poczty w Cleveland w 1973 roku i w tym przypadku nie było najmniejszych wątpliwości; zostawił liścik, w którym pisał, że „nie może już znieść tych obrazów w głowie”. Policja uznała to za paranoję i samobójczą depresję, Kap i Skleplik postawili inną diagnozę: śmiertelny kac po Próbie Sześć. Jeszcze sześciu.

Trzej kolejni popełnili samobójstwa pomiędzy 1974 i 1977 rokiem, zwiększając listę oczywistych samobójstw do czterech, mniej oczywistych – do pięciu. Niemal połowa klasy, można by powiedzieć. Cała czwórka oczywistych samobójców wydawała się zupełnie normalna aż do chwili, kiedy wzięli w ręce strzelbę, sznur czy skoczyli z dużej wysokości. Ale kto wie, przez jakie przeszli piekło? Kto to może wiedzieć?

Została trójka. W 1977 roku, kiedy to zawieszony od dłuższego czasu projekt Próba Sześć zmartwychwstał nagle z hukiem, wzięto pod ciągłą obserwację faceta nazwiskiem James Richardson, który mieszka dziś w Los Angeles. W 1969 roku wziął on udział w testowaniu Próby Sześć i podczas eksperymentu, jak wszyscy inni, wykazał całą zdumiewającą skalę niezwykłych talentów: telekineza, telepatia i być może najciekawszy z nich, przynajmniej z punktu widzenia Sklepiku: dominacja umysłowa. Lecz jak to się zdarzyło z innymi, zaszczerpione przez narkotyki zdolności zdawały się niknąć całkowicie po ustaniu jego działania. Kolejne rozmowy w 1971, 1973 i 1975 roku nie wykazały niczego. Nawet Wanless musiał się z tym pogodzić, a jeśli chodzi o Próbę Sześć, to Wanless był prawdziwym fanatykiem. Niezmienne wykresy komputerowe, badane na zasadzie przypadku (badania stały się znacznie mniej przypadkowe od czasu, kiedy zdarzyła się ta sprawa z rodziną McGee), nie wykazywały, by Richardson, świadomie lub nieświadomie, używał jakichkolwiek sił PSI. Skończył studia w 1971 roku, wyjechał na zachód, pracował w kilku firmach na niższych stanowiskach kierowniczych – z pewnością nie korzystał tu z żadnej dominacji umysłowej – a teraz był w Telemyne Corporation.

Był także zasranym pedałem.

Kap westchnął.

Ciągle jeszcze mieli oko na Richardsona, ale Kap osobiście był przekonany, że ten facet nie znaczy nic. Zostawała dwójka

– Andy McGee i jego żona. Radosna niespodzianka w postaci ich ślubu poruszyła zarówno Sklepik, jak i Wanlessa, który zaczął bombardować biuro notatkami sugerującymi, by rezultatem tego związku przyglądać się jak najuważniej – liczył kury przed zniesieniem jajek, można by powiedzieć – i niejednym razem Kap igrał z pomysłem, by powiedzieć mu, iż właśnie odkryli, że Andy McGee przeszedł sterylizację. To uciszyłoby starego durnia. Wtedy Wanless był już po wylewie i stał się nieużyteczny, zwykły maruda.

Przeprowadzili tylko jedno doświadczenie z Próbą Sześć. Rezultaty okazały się tak niszczące, że ich zatajenie stało się z konieczności całkowite, kompletne i... kosztowne. Z bardzo wysoka przyszedł rozkaz, by na czas nieokreślony nałożyć moratorium na przyszłe eksperymenty. Wanless miał na ten temat wie-

le do wywrzeszczenia, pomyślał Kap... i jasne, wrzeszczał. Ale nie dostali żadnego sygnału, że Rosjanie lub którekolwiek światowe mocarstwo interesuje się wzbudzaniem sił PSI narkotykami, i wielcy zdecydowali, że mimo kilku pozytywnych rezultatów Próba Sześć to droga donikąd. Patrząc na komplet wyników, jeden z naukowców pracujących nad projektem porównał go do zamontowania silnika odrzutowego w starym fordzie. Jasne, jechał jak szatan... do pierwszej przeszkody.

– Dajcie nam jeszcze dziesięć tysięcy lat ewolucji – powiedział ten facet – i znowu spróbujemy.

Część kłopotów powodował fakt, że kiedy zaszczerpione narkotykiem siły PSI były najsilniejsze, przedmiotom doświadczenia mózg wyciekał uszami. Nie istniała żadna możliwość kontroli. A jeśli podejść do sprawy z drugiej strony, to szarże niemal srały w gacie ze strachu. Utajnić śmierć agenta, a nawet przypadkowego przechodnia, który napatoczył się na operację – to jedno. Utajnić śmierć studenta, który dostał ataku serca, zniknięcie dwójki innych studentów i powtarzające się wśród kolejnych przypadki hysterii i paranoi – to coś zupełnie innego. Oni wszyscy mieli przyjaciół i znajomych, mimo że jednym z wymagań przy klasyfikacji do testów był brak bliskiej rodziny. Koszty i ryzyko okazały się ogromne. Złożyło się na nie siedemset tysięcy dolarów w łapówkach za milczenie i konieczność uciszenia jednej osoby: ojca chrzestnego tego faceta, co to wyłupił sobie oczy. Ojciec chrzestny po prostu nie chciał ustąpić. Miał zamiar dotrzeć do samych korzeni sprawy. Jak się okazało, jedynym miejscem, do którego dotarł, było dno

Rowu Baltimorskiego, gdzie prawdopodobnie spoczywa do tej pory z dwoma cementowymi butami na tym, co pozostało z jego nóg.

I ciągle większość z tego, co się udało zrobić – cholernie zbyt wiele zawdzięczali szczęśliwemu przypadkowi.

Tak więc projekt Próba Sześć odłożono na półkę, przydzielając mu roczny budżet. Pieniądzy używano na prowadzenie wyrwkowej kontroli nad tymi, którzy przeżyli, poszukując jakiegoś wzoru.

I w końcu odkryli wzór.

Kap przerzucił album z fotografiami i znalazł błyszczące, pocztówkowe zdjęcie. Zrobili je trzy lata temu, kiedy dziewczyn-

ka miała cztery lata i chodziła do żłobka w Harrison. Teleobiektywem, przez okno półciężarówki ze znakiem piekarni; powiększyli je później i wykadrowali, by zmienić fotografię bawiących się dzieci w portret uśmiechniętej dziewczynki, uczesanej w podskakujące mysie ogonki i ściskającej w dłoniach rączki skakanki.

Przez dłuższy czas Kap przyglądał się temu zdjęciu z uczuciem. Po wylewie Wanless odkrył strach. Teraz myśli, że trzeba uciszyć tę małą. I chociaż dzisiaj Wanless już się nie liczy, są i tacy, którzy zgadzają się z jego opinią i jeszcze się liczą. Kap miał szczerą, wielką nadzieję, że do tego nie dojdzie. Sam miał troje wnucząt, a dwoje z nich było niemal dokładnie w wieku Charlene McGee.

Oczywiście, będą musieli oddzielić dziewczynkę od ojca. Prawdopodobnie na zawsze. Niemal na pewno trzeba też będzie uciszyć jego... kiedy już nie będzie przydatny, oczywiście.

Było piętnaście po dziesiątej. Zadzwoił na Rachel.

– Czy przyszedł Albert Steinowitz?

– Akurat wszedł, proszę pana.

– Bardzo dobrze. Wpuść go.

4

– Chcę, żebyś osobiście poprowadził ostatnie rozdanie, Al.

– Doskonale, Kap.

Albert Steinowitz był małym człowieczkiem o bladożółtej cerze i bardzo czarnych włosach; w młodości mylono go czasem z aktorem Victorem Jory. Kap współpracował z nim luźno już blisko osiem lat; tak naprawdę to razem wyszli z marynarki i Kapowi zawsze wydawało się, że Al wygląda tak, jakby miał zaraz pójść do szpitala i zostać tam już do śmierci. Palił bez przerwy, tylko nie w tym pokoju, gdzie nie wolno było palić. Chodził powolnym, statecznym krokiem, który nadawał mu wyraz dziwacznej godności, a nieprzenikniona godność jest rzadkim atrybutem mężczyzny. Kap, który przeglądał wyniki badań lekarskich wszystkich agentów Sekcji Pierwszej, wiedział, że pełne godności kroki Alberta to wrażenie fałszywe, że Albert cierpi na poważny przypadek hemoroidów i był na nie dwukrotnie operowany. Nie zgodził się na trzecią operację, mogła

bowiem oznaczać torbę na odchody między nogami. Jego pełen godności krok zawsze przywodził Kapowi na myśl baśń o syrenie, która chciała być kobietą, i o cenie, jaką zapłaciła za ręce i nogi. Kap wyobrażał sobie, że ona też musiała chodzić z godnością.

– Kiedy możesz być w Albany?

– W godzinę po wyjściu z tego pokoju.

– Doskonale. Nie będę cię zatrzymywał. Co się tam dzieje?

Albert złożył na brzuchu małe, lekko żółtawe ręce.

– Policja stanowa ślicznie z nami współpracuje. Zablokowaliśmy wszystkie autostrady prowadzące z Albany. Blokady rozmieszczone są w koncentrycznych kręgach, w których środku znajduje się lotnisko. Promień – sześćdziesiąt kilometrów.

– Zakładasz, że nikt ich nie zabrał?

– Muszę – powiedział Albert. – Jeśli złapali kogoś, kto podrzucił ich trzysta kilometrów czy coś takiego, oczywiście będziemy musieli zaczynać od nowa. Ale założyłbym się, że są wewnątrz tego kręgu.

– Tak? A dlaczego, Albercie? – Kap pochylił się. Bez żadnych wątpliwości Albert Steinowitz był najlepszym agentem Sklepiku, może z wyjątkiem Rainbirda. Błyskotliwy, z intuicją – a kiedy praca tego wymagała, także bezlitosny.

– Częściowo to przecucie – powiedział Albert. – A częściowo wyniki, które dostaliśmy z komputera, kiedy włożyliśmy w niego wszystko, co wiemy o ostatnich trzech latach życia Andy’ego McGee. Kazaliśmy komputerowi podać wszystkie prawidłowości dotyczące tego talentu, który podobno ma.

– On go rzeczywiście ma, Al – powiedział łagodnie Kap. – I to właśnie czyni tę operację tak cholernie delikatną.

– W porządku, ma. Lecz analiza komputerowa sugeruje, że zdolność użycia tego daru jest niezwykle ograniczona. Jeśli go nadużyje, jest chory.

– Racja. Na to liczymy.

– W Nowym Jorku prowadził to biuro, coś jak Dale Carnegie. Kap skinął głową. Stowarzyszenie Pewności Siebie – firma założona głównie z myślą o nieśmiałych kierownikach. Wystarczyło dochodów, żeby z dziewczynką mogli kupić sobie chleb, mleko i mięso; i niewiele więcej.

– Przesłuchiwalismy ludzi z ostatniej grupy – mówił Albert Steinowitz. – Było ich szesnaścioro, a każdy z nich płacił honorarium w ratach: sto dolarów przy zapisie, a drugie sto w trakcie kursu, jeśli czuł, że to mu pomaga. Oczywiście pomogło wszystkim.

Kap skinął głową. Talent Andy'ego wyjątkowo nadawał się do tego, by wzmacniać w ludziach pewność siebie. On ich po prostu popychał we właściwym kierunku.

– Ich odpowiedzi na kilka kluczowych pytań daliśmy komputerowi. Pytaliśmy o to, czy w jakimś szczególnym okresie ktoś czuł się nastawiony lepiej i przychylniej do samego siebie i do Stowarzyszenia. Czy pamięta następujące po spotkaniach Stowarzyszenia szczególne dni w pracy, kiedy czuł się jak tygrys. Czy pamięta...

– Czuł się jak tygrys? – zapytał Kap. – Jezu, pytaliście, czy ci ludzie czuli się jak tygrysy?

– To słowo zasugerował komputer.

– No dobra. Dalej.

– Trzecie kluczowe pytanie brzmiało: „Czy odniosłeś jakiś zdecydowany sukces w pracy po podjęciu nauki w Stowarzyszeniu Pewności Siebie?”. Na to pytanie wszyscy mogli odpowiedzieć w pełni obiektywnie i w sposób najbardziej godny zaufania, bo ludzie zawsze dobrze pamiętają dzień, w którym dostali podwyżkę albo kiedy szef poklepał ich po ramieniu. Rozmawiali bardzo chętnie. Dla mnie było to trochę przerażające, Kap. On rzeczywiście robił to, co obiecał. Z tej szesnastki jedenaścioro dostało awans. Jedenaścioro. A z pozostałej piątki trójka ludzi pracuje w firmach, w których awansy przydzielane są raz na rok w ściśle określonym czasie.

– Nikt nie kwestionuje zdolności Andy'ego McGee – powiedział Kap. – Już nie.

– W porządku. Wracam do tego, co istotne. Kurs trwał sześć tygodni. Korzystając z odpowiedzi na kluczowe pytania, przy udziale komputera trafiliśmy na cztery dni, w których McGee wspomógł najprawdopodobniej swe zwykłe „hip, hip, hurrra – jeśli spróbujesz, na pewno ci się uda!” dobrym, mocnym pchnięciem. Te dni to: siedemnasty sierpnia, pierwszy września, dziewiętnasty września... i czwarty października.

– I co z tego?

– Cóż, wczoraj wieczorem pchnął taksówkarza. Mocno. Facet ciągle się trzęsie. Wychodzi nam, że McGee przesadził. Jest chory. Być może unieruchomiony.

Albert jak zahipnotyzowany wpatrywał się w Kapa.

– Komputer daje nam dwadzieścia sześć procent szans, że McGee nie żyje.

– Co?

– No, już wcześniej zdarzało mu się przesadzić i lądował w łóżku. On coś robi ze swoim mózgiem... jeden Bóg wie co. Być może powoduje miniwylewy. To może postępować. Komputer wyliczył, że mamy trochę więcej niż jedną szansę na cztery, że nie żyje – albo serce, albo, co bardziej prawdopodobne, wylew krwi do mózgu.

– Musiał pchnąć, nim się naładował.

Albert skinął głową i wyjął coś z kieszeni. Coś oprawionego w giętki plastik. Podał to Kapowi, który spojrzał i zwrócił mu tę rzecz.

– I co to niby ma znaczyć? – zapytał.

– Nic wielkiego – odpowiedział Al, przyglądając się z namysłem oprawionemu w plastik banknotowi. – Tylko że tym czymś McGee zapłacił taksówkarzowi.

– Przejechał z Nowego Jorku do Albany za dolara, co? – Kap wziął banknot i przyjrzał mu się z nowym zainteresowaniem. – Opłaty za taksówki musiały... co, u diabła!

Rzucił oprawny w plastik banknot, jakby go oparzył, i padł na oparcie fotela, mrugając.

– Ty też, co? – powiedział Al. – Ty też to widziałeś?

– Chryste, nie wiem, co widziałem – powiedział Kap i sięgnął po ceramiczny pojemnik, w którym trzymał pigułki na wrzód żołądka. – Przez jedną chwilę to wcale nie przypominało jednolinarówki.

– Ale teraz przypomina?

Kap spojrzał na banknot.

– Jasne, że tak. To George, nie... Chryste!

Kap padł na fotel; tym razem tak gwałtownie, że niemal walnął głową w drewnianą boazerię za biurkiem. Spojrzał na Ala.

– Ta twarz... na chwilę jakby się zmieniła. Okulary czy coś. Co to za sztuczka?

– Och, to cholernie dobra sztuczka – stwierdził Al, odbierając banknot. – Ja widziałem to bardzo dobrze, mimo że teraz już nic nie widzę. Chyba jakoś się dostosowałem, chociaż niech mnie diabli, jeśli wiem jak. Tego oczywiście nie ma. To tylko jakaś zwariowana halucynacja. Udało mi się nawet rozpoznać twarz Ben Franklin.

– Dostałeś to od taksówkarza? – Kap przyglądał się dolarówce zafascynowany, czekając na kolejną zmianę. Ale ciągle widział tylko George’a Waszyngtona.

Al roześmiał się.

– No – przytaknął. – Zabraliśmy banknot i daliśmy mu czek na pięćset dolarów. Tak naprawdę to teraz jest bogatszy.

– Dlaczego?

– Ben Franklin nie figuruje na pięćsetce, tylko na setce. Najwyraźniej McGee o tym nie wiedział.

– Niech no jeszcze na to popatrzę.

Al znów wręczył Kapowi dolarówkę; Kap przyglądał się jej z napięciem przez niemal dwie minuty. Kiedy miał już ją oddać, znów przeskoczyła – chociaż nie do końca. Ale tym razem czuł z pewnością, że ten skok dokonał się w jego mózgu, a nie w banknocie, na banknocie czy gdzie tam jeszcze.

– Powiem ci coś – wtrącił Kap. – Nie jestem pewien, ale nie sądzę, by Franklin na setce miał okulary. W każdym razie to... – Zawahał się, nie wiedząc, jak skończyć myśl. Do głowy przyszły mu słowa „Cholernie niesamowite”, ale je odrzucił.

– No – przytaknął Al. – Cokolwiek to jest, ma efekt przejściowy. Dziś rano pokazałem dolarówkę może sześciu osobom. Kilka z nich myślało, że chyba coś zobaczyło, ale bez tej pewności, jaką mieli taksówkarz i dziewczyna, z którą żyje.

– Więc zakładasz, że pchnął zbyt mocno?

– Tak. Wątpię, by mógł wiać dalej. Może spali w lesie, może w jakimś motelu poza miastem, może włamali się do domku letniego w tej okolicy. Ale myślę, że gdzieś tam są i wpadną nam w ręce bez większych kłopotów.

– Ilu ludzi do tego potrzebujesz?

– Mamy wszystko, czego potrzebujemy. Wliczając policję, bawi się tym więcej niż siedmiuset ludzi. Priorytet A-Jeden-A. Chodzą od drzwi do drzwi, od domu do domu. Już sprawdziliśmy każdy motel w najbliższym sąsiedztwie Albany; jest ich po-

nad czterdzieści. Teraz sprawdzamy sąsiednie miasteczka. Mężczyzna i mała dziewczynka... oni sterczą jak chory palec. Dostaniemy ich. Lub dziewczynkę, jeśli on nie żyje.

Albert wstał.

– I myślę, że powinienem się w to włączyć. Chciałbym być tam, gdzie wszystko się skończy.

– Oczywiście, będziesz. Sprowadź ich do mnie, Al.

– Sprowadzę – powiedział Al i poszedł w stronę drzwi.

– Albercie?

Al odwrócił się; mały człowieczek o niezdrowej żółtej cerze.

– Albercie, kto jest na pięćsetce? Sprawdziłeś to?

Al Steinowitz uśmiechnął się.

– McKinley – powiedział. – Został zamordowany.

Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi i zostawiając sprawę do przemyślenia Kapowi.

5

Dziesięć minut później Kap ponownie przycisnął interkom.

– Czy Rainbird wrócił z Wenecji, Rachel?

– Już wczoraj – odparła Rachel i Kap wyobraził sobie, że słyży cię niechęci nawet w jej tonie, starannie pielęgnowanym tonie sekretarki szefa.

– Jest tu czy na Sanibel? – Skleplik miał własny ośrodek wypoczynkowy na wyspie Sanibel, na Florydzie. Rachel nie odpowiedziała od razu. Sprawdziała w komputerze.

– Jest w Longmont, Kap. Od wczoraj, godzina osiemnasta zero zero. Pewnie przesypia różnicę czasów.

– Poślij kogoś, żeby go obudził. Chcę się z nim spotkać po rozmowie z Wanlessiem... oczywiście zakładając, że Wanless ciągle tu jest.

– Był piętnaście minut temu.

– W porządku... powiedzmy, Rainbird o dwunastej.

– Tak jest, proszę pana.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Rachel.

– Dziękuję panu.

Miał wrażenie, że sprawił jej przyjemność. Lubił ją. Bardzo ją lubił.

– Przyślij Wanlessa, Rachel.

Usiadł wygodnie, splótł dłonie na biurku i pomyślał: „Za moje grzechy”.

6

Doktor Joseph Wanless dostał wylewu w tym samym dniu, w którym Richard Nixon oznajmił, że rezygnuje z pełnienia funkcji prezydenta – 8 sierpnia 1974 roku. Wylew miał średni zasięg i Wanless nigdy nie odzyskał pełni zdrowia fizycznego, a w opinii Kapa także psychicznego. Dopiero po wylewie jego zainteresowanie eksperymentem z Próbą Sześć nabrało charakteru ciągłej obsesji.

Wanless wszedł do pokoju, opierając się na lasce; światło z okna w wykuszu odbiło się od jego okrągłych okularów bez oprawek i sprawiło, że szkła zabłyśły ślepo. Lewa ręka Wanlessa przypominała wyciągnięte szpony. Lewa strona ust skrzywiona była w niezmiennym lodowatym grymasie.

Ponad ramieniem doktora Rachel spojrzała współczująco na Kapa, który skinieniem dał jej znak, że może odejść. I Rachel odeszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Nasz dobry doktor – powiedział Kap bez krzty humoru.

– Jak ci idzie? – zapytał Wanless, siadając ze stęknieniem.

– Tajne – odpowiedział Kap. – Sam o tym wiesz, Joe. Co mogę dziś dla ciebie zrobić?

– Widziałem, jak tu się wszyscy krzątali. – Wanless zignorował pytanie Kapa. – Co mi zostało do roboty, kiedy antyszambruję cały ranek?

– Skoro przyszedłeś, nie umawiając się wcześniej...

– Myślisz, że znów prawie ich masz – przerwał Wanless. – Bo i po co innego pojawiłby się tu ten kat Steinowitz? Może i masz. Może. Ale przedtem też już tak myślałeś, prawda?

– Czego chcesz, Joe? – Kap nie lubił, by mu przypominać klęski. Dziewczynkę już kiedyś mieli. Na krótko. Agenci, którzy w tym uczestniczyli, nie nadawali się jeszcze do roboty. I może nigdy nie będą się nadawać.

– Czego chciałem zawsze? – zapytał Wanless, garbiąc się i opierając na lasce. O Chryste, pomyślał Kap, stary piernik będzie się bawił w retorykę. – Dlaczego żyję? By skłonić cię do uciszenia obydwójga. Do uciszenia tego Jamesa Richardsona. Do

uciszenia tych na Maui. Uciszenia na zawsze, kapitanie Hollister. Należy ich wymazać. Zetrzeć z powierzchni ziemi.

Kap westchnął.

Wanless wskazał swą szponiastą ręką na bibliotekarski wózek.

– Jak widzę, znowu czytałeś akta.

– Znam je prawie na pamięć – powiedział Kap i uśmiechnął się lekko.

W ciągu ostatniego roku jadł, pił i oddychał Próbą Sześć; dwa lata przedtem Próba Sześć stała się główną bohaterką wszystkich zebrań. Jeśli wziąć to pod uwagę, może Wanless nie był w tym pokoju jedynym, który ma obsesję?

Różnica w tym, że mnie za to płacą. Dla Wanlessa to hobby. Niebezpieczne hobby.

– Czytałeś, a niczego się nie nauczyłeś. Pozwól, że jeszcze raz spróbuję cię nawrócić na drogę prawdy, kapitanie Hollister.

Kap próbował zaprotestować, lecz pomyślał o Rainbirdzie oraz wyznaczonym na południe spotkaniu, i twarz mu się wygładziła. Była teraz spokojna, nawet przyjazna.

– W porządku – powiedział. – Cel, pał, sierżancie!

– Ciągłe myślisz, że jestem wariatem. Szaleńcem?

– Ty to powiedziałaś.

– Dobrze ci robi, jeśli zawsze będziesz pamiętał, że to ja pierwszy zasugerowałem program eksperymentów z dilisergicznym kwasem trójjedynym?

– Są dni, kiedy myślę, że lepiej było z tym nie zaczynać – powiedział Kap.

Gdyby przymknął oczy, mógłby przywołać z pamięci pierwszy raport Wanlessa, dwustustronicową analizę hipotetycznego działania narkotyku, znanego najpierw jako DLT, później, wśród techników, nazywanego „kwasem przyspieszającym”, a w końcu ochrzczonego Próbą Sześć. Poprzednik Kapa zatwierdził oryginalny projekt; sześć lat temu ów dżentelmen został pochowany w Arlington ze wszystkimi honorami wojskowymi.

– Stwierdzam tylko, że moja opinia powinna się tu liczyć – powiedział Wanless. Tego ranka wydawał się zmęczony; mówił powoli, niewyraźnie. Skrzywiony lewy kącik ust nie poruszał się w trakcie przemowy.

– Słucham cię – powiedział Kap.

– Na podstawie tego, co wiem, mogę stwierdzić, że jestem jedynym psychologiem lub członkiem personelu medycznego, którego od czasu do czasu jeszcze słuchasz. Was wszystkich oślepiła jedna jedyna myśl: co ten mężczyzna i ta dziewczynka znaczą dla bezpieczeństwa Ameryki... i możliwej przyszłej równowagi sił. Na ile potrafię powiedzieć, śledząc poczynania tego McGee, jest on kimś w rodzaju dobroczyńnego Rasputina. Potrafi...

Wanless gadał dalej, lecz Kap na chwilę przestał go słuchać. „Dobroczyńny Rasputin”, pomyślał. Ozdobre to było stwierdzenie, ale całkiem mu się podobało. Zastanowił się, co też powiedziałby Wanless, gdyby go poinformować, że komputer dał jedną szansę na cztery, iż uciekając z Nowego Jorku, McGee uciszył sam siebie. Prawdopodobnie posikałby się z radości. A gdyby mu pokazać ten dziwny banknot? Kolejny wylew? Kap uśmiechnął się na tę myśl i przykrył usta.

– Przede wszystkim boję się dziewczynki – mówił mu Wanless po raz dwudziesty? trzydziesty? pięćdziesiąty? – Ślub McGee i Tomlinson... szansa jedna na tysiąc. Powinno się unikać tego za wszelką cenę. Ale kto mógł przewidzieć...

– W swoim czasie bardzo podobał ci się ten pomysł – stwierdził Kap i dodał sucho: – Powiedziałbym, że byłbyś nawet gotów poprowadzić pannę młodą do ołtarza, gdyby cię o to poproszono.

– Nikt z nas się nie orientował – mruknął Wanless. – Potrzeba było wylewu, żebym zaczął widzieć jasno. W końcu Próba Sześć była jedynie syntetyczną kopią wydzieliny przysadki mózgowej... niesamowicie potężnym środkiem przeciwbólowo-halucynogennym, którego nie rozumieliśmy wtedy i nie rozumiemy teraz. Wiemy, a w każdym razie spodziewamy się z dziewięćdziesięciodziewiącioprocentową pewnością, że naturalny odpowiednik tej substancji wywołuje przypadkowe pojawienie się zdolności PSI u niemal wszystkich ludzi. Zaskakująco szerokiego wachlarza zdolności: prekognizja, telekineza, dominacja umysłowa, manifestacje nadludzkiej siły, czasowa kontrola nad współczulnym układem nerwowym. Czy wiesz, że przysadka mózgowa uaktywnia się nagle we wszystkich eksperymentach z biosprężeniem zwrotnym?

Kap wiedział. Wanless w nieskończoność powtarzał mu to i wiele więcej. Ale nie musiał odpowiadać; retoryka Wanlessa rozkwitła tego ranka, kazanie rozwijało się wspaniale. A Kap był w dobrym nastroju i mógł słuchać... ten ostatni raz. Niech staruszek ma swój benefis. Dla Wanlessa było to ostatnie przedstawienie.

– Tak, to prawda – odpowiedział Wanless sam sobie. – Jest czynna w biosprężeniu zwrotnym, w aktywnym śnie; ludzie z uszkodzeniami przysadki bardzo rzadko normalnie śnią, natomiast zdumiewająco często cierpią na guzy mózgu i białaczkę. Przysadka mózgowa, kapitanie Hollister. Operując terminami ewolucyjnymi, jest to najstarszy gruczoł hormonalny w ludzkim ciele. We wczesnym okresie dojrzewania pompuje w krew hormony w ilości wielokrotnie przewyższającej swą wagę. To niesamowicie ważny gruczoł, niesamowicie tajemniczy gruczoł. Gdybym wierzył w to, że człowiek ma duszę, kapitanie Hollister, powiedziałbym, że przebywa w przysadce mózgowej.

Kap chrząknął.

– Wiemy o tym – mówił Wanless – i wiemy, że Próba Sześć zmieniła jakoś skład fizyczny przysadki mózgowej tych, którzy brali udział w eksperymencie. Nawet u Jamesa Richardsona, którego nazywasz „cichym”. Co najważniejsze, z zachowania dziewczynki możemy także wydedukować, że zmienił jakoś budowę chromosomów. i że zmiana przysadki może być prawdziwą mutacją.

– Czynniki X został przekazany kolejnemu pokoleniu.

– Nie – zaprzeczył Wanless. – To jedna z wielu rzeczy, których nie potrafi pan zrozumieć, panie kapitanie Hollister. To Andrew McGee stał się czynnikiem X w swym posteksperymentalnym życiu. Victoria Tomlinson była czynnikiem Y – eksperyment zmienił ją także, ale w inny sposób niż jej męża. Miała słabe zdolności telekinetyczne. McGee zachował średnie zdolności dominacji umysłowej. Ale ta mała... Ta mała, kapitanie Hollister. kim ona jest? Tego nie wiemy. Jest czynnikiem Z.

– Mamy zamiar się dowiedzieć. – Kap mówił cicho.

Teraz skrzywiły się oba kąciki ust Wanlessa.

– Macie zamiar się dowiedzieć – powtórzył. – Jeśli będziecie się upierać, z pewnością się wam uda... wy ślepi, obsesyjni durnie.

Wanless zamknął na chwilę oczy i zakrył je dłonią. Kap przyglądał mu się spokojnie.

– Jedno już wiecie – powiedział w końcu Wanless. – Dziewczynka potrafi rozniecać ogień.

– Tak.

– Zakładacie, że odziedziczyła po matce zdolności telekineczne. A nawet poważnie to podejrzewacie.

– Tak.

– Jako małe dziecko nie była w stanie kontrolować tego... tego talentu, z braku lepszego słowa...

– Małe dzieci nie potrafią nawet kontrolować pęcherza – stwierdził Kap, używając jednego z przykładów przytoczonych w aktach. – Ale w miarę jak dziecko rośnie...

– Tak, tak, znam tę analogię. Ale i starszemu dziecku zdarzają się nieszczęśliwe wypadki.

Uśmiechając się, Kap powiedział:

– Mamy zamiar trzymać ją w ognioodpornym pomieszczeniu.

– W celi.

W dalszym ciągu z uśmiechem Kap stwierdził:

– Jeśli wolisz.

– Pragnę zaofiarować ci pewne przypuszczenie. Dziewczynka nie lubi używać swego talentu. Odstraszano ją, a ten strach został jej zaszczepiony z rozmysłem. Dam ci przykład. Dziecko mojego brata. W domu były zapalki. Fred chciał się nimi bawić. Zapalać je, a później gasić. Powtarzał „śliczne, śliczne”. Więc mój brat postanowił zaszczepić mu kompleks. Przestraszyć go tak, by dzieciak już nigdy nie chciał się bawić zapalkami. Powiedział Fredowi, że główki zapalek zrobione są z siarki, która sprawi, że zęby mu zgniją i wypadną. Że patrzenie na płonące zapalki kiedyś go oślepi. A w końcu przytrzymał rękę dziecka nad płomieniem i oparzył je.

– Twój brat – burknął Kap – to prawdziwy wzór ojca.

– Lepsza mała czerwona blizna na dłoni niż dzieciak w szpitalu, cały w bandażach, z poparzeniami trzeciego stopnia na sześćdziesięciu procentach ciała.

– A jeszcze lepiej jest po prostu trzymać zapalki poza zasięgiem dziecka.

– A czy możesz trzymać zapałki Charlene McGee poza jej zasięgiem?

Kap powoli skinął głową.

– Tu masz jakąś tam rację, ale...

– Niech pan zada sobie to pytanie, kapitanie Hollister: co zdarzyło się z Victorią i Andrew McGee, kiedy ich dziecko było bardzo małe? Kiedy już zorientowali się, co się dzieje? Spóźnia się butelka. Dziecko płacze. W tej samej chwili jakieś pluszowe zwierzątko leżące w tej samej kołysce wybuchła płomieniami i dymem. Kupa w pieluszkach, dziecko płacze. W chwilę później brudna bielizna w bieliźniarce sama z siebie staje w ogniu. Ma pan raporty, kapitanie Hollister; wie pan, co się działo w tym domu. W każdym pokoju wykrywacze dymu i gaśnice. A raz zapaliły się jej włosy; rodzice weszli do pokoju i zobaczyli, że stoi w kołysce, płacze i płoną jej włosy.

– Tak – powiedział Kap. – To musiało ich cholernie zdenerwować.

– Więc – mówił Wanless – uczyli ją nie siusiać w pieluchę... i uczyli ją nie rozniecać ognia.

– Nie siusiać i nie palić – zastanowił się Kap.

– Co po prostu oznacza, że jak w przypadku mojego brata i jego synka, zaszczepili jej kompleks. Pan przytoczył tę analogię, kapitanie Hollister, więc proszę pozwolić, że się nad nią przez chwilę zatrzymam. Czym jest uczenie dziecka, by nie siusiało w majtki? Jest zaszczepianiem kompleksu. Po prostu i zwyczajnie.

Nagle, nieoczekiwanie głos starego mężczyzny zmienił się w wysoki, drżący głos kobiety krzyczącej na dziecko: „Zobacz, co zrobiłeś! To brzydko, widzisz, jak to brzydko! To brzydko robić w majtki! Wołaj siusiu, gówniarzu, wołaj siusiu!”.

– Proszę, tylko... – powiedział zdegustowany Kap.

– To zaszczepianie kompleksu – powtórzył Wanless. – Uczenie siusiania na nocniczku prowadzi się, zwracając uwagę dziecka na jego proces wydalania w sposób, który uznalibyśmy za niezdrowy, gdyby przedmiotem fiksacji było co innego. Można by zapytać: jak silny kompleks wyrabia się u dziecka? Richard Damon z Uniwersytetu Waszyngtońskiego zadał sobie to samo pytanie i poszukując odpowiedzi, przeprowadził pewien eksperyment. Znalazł pięćdziesięciu studentów ochotników. Na-

poił ich wodą, colą i mlekiem, aż wszystkim strasznie chciało się siusiu. Po pewnym czasie powiedział im, że mogą się wysiusiać, tyle że w spodnie.

– To obrzydliwe – powiedział głośno Kap. Był zszokowany, zemdliło go. Nie był to eksperyment, lecz ćwiczenie w degeneracji.

– Widzisz, jak głęboko kompleks ten tkwi w twojej własnej psychice? – stwierdził cicho Wanless. – Kiedy miałeś półtora roku, nie myślałeś, by było to obrzydliwe. Wtedy robiłeś to, co musiałeś zrobić. Zrobiłbyś to na kolanach papieża, gdybyś musiał i gdyby ktoś cię tam posadził. Wyniki eksperymentu Damona były następujące: większość z nich nie mogła. Ci ludzie wiedzieli, że przynajmniej podczas eksperymentu nie obowiązują normalne wzorce zachowań; każdy z nich znajdował się w pokoju co najmniej tak intymnym, jak każda łazienka... i osiemdziesiąt osiem procent nie mogło. Niezależnie od tego, jak silna była fizyczna potrzeba, kompleks zaszczerpiony im przez rodziców okazał się silniejszy.

– To tylko bezsensowne gadanie – powiedział krótko Kap.

– Nie. Chcę, żebyś zastanowił się nad podobieństwami nauki niesiusiania w majtki i nauki nierozniecania ognia... i nad jedną poważną różnicą, jaką jest ogromny skok jakościowy między koniecznością nauczenia jednego i drugiego. Jeśli dziecko powoli uczy się siadania na nocniczku, jakie są tego konsekwencje? Niewielkie przykrości. Jego pokój brzydko pachnie, jeśli się go bez przerwy nie wietrzy. Mama jest przykuta do pralki. Trzeba wzywać ludzi i prac wykładziny, kiedy dziecko już skończy. Najgorsze może być to, że dziecko dostanie ciągłej wysypki na pupci, a to zdarza się tylko wtedy, gdy jego skóra jest bardzo delikatna albo mama jest niechlujna i nie utrzymuje dziecka w czystości. Ale skutki w przypadku dziecka, które umie rozniecać ogień...

Oczy Wanlessa błyszcząły. Lewa strona ust skrzywiona była w grymasie.

– Bardzo cenię McGee jako rodziców. Jakoś przez to przeszli. Myślę, że zaczęli uczyć dziecko długo przedtem, nim zazwyczaj robią to inni rodzice, może zanim ich dziecko zaczęło raczkować. „Nie wolno! Si! Nie, nie, nie! Zła dziewczynka. Zła! Złaaa!”. Lecz pańskie własne komputery sugerują, że Charlene zdobywa

władzę nad swym kompleksem, panie kapitanie Hollister. I znajduje się w niezwykle korzystnej sytuacji, by to uczynić. Jest jeszcze mała; kompleks nie miał czasu się zakorzenić w latach i stwardnieć na beton. I ma przy boku ojca! Czy nie rozumiesz znaczenia tego prostego faktu?! Nie, nie rozumiesz. Ojciec to postać pełna władzy. On trzyma w ręku psychiczne wodze każdego zboczenia małej dziewczynki. Oralnego, analnego, genitalnego; za każdym z nich, jak postać ukryta w cieniu za kotarą, stoi dzierżący władzę ojciec. Dla córeczki jest on Mojżeszem, prawa są jego prawami; dziecko nie wie, skąd się wzięły, ale to on je narzuca. Ojciec jest prawdopodobnie jedyną osobą na ziemi, która może usunąć tę blokadę. Nasze kompleksy, kapitanie Hollister, przyczyniają nam zawsze najwięcej bólu i psychicznego napięcia, gdy ci, którzy je narzucili, umarli i odeszli poza zasięg dyskusji...

i wybaczenia.

Kap spojrział na zegarek i stwierdził, że Wanless siedzi u niego już prawie czterdzieści minut. Wydawało mu się, że minęło raczej czterdzieści godzin.

– Skończyłeś już? Mam następne spotkanie...

– Kiedy kompleksy puszczają, pękają jak tamy po tropikalnych deszczach – powiedział cicho Wanless. – Weźmy taką wyzwoloną seksualnie dziewiętnastoletnią dziewczynę. Miała już trzystu kochanków. Ma ciało zarażone seksem jak czterdziestoletnia prostytutka. Ale do siedemnastego roku życia ta dziewczyna była dziewicą. Miała ojca pastora; i kiedy była małą dziewczynką, ojciec powtarzał jej, że seks w małżeństwie jest koniecznym złem, a poza małżeństwem to piekło i potępienie, że seks to jabłko grzechu pierworodnego. Kiedy pęka taki kompleks, to jest jak pęknięcie tamy. Najpierw jedna czy druga szczelina, maleńkie strumyki wody, których nawet się nie zauważa. A zgodnie z informacjami, które dostałeś z komputera, to właśnie dzieje się teraz z naszą małą dziewczynką. Sugestie, że używa swych zdolności, by pomóc ojcu, na jego prośbę. A później tama pęka, wylewają się z niej miliony litrów wody, niszczą wszystko, topią wszystkich, którzy znajdują się na jej drodze, zmieniając okolicę na zawsze.

Ochryply głos Wanlessa wzniósł się, z cichego przeszedł w załamujący się krzyk starego człowieka – lecz był to krzyk

bardziej rozpaczliwy niż imponujący.

– Słuchaj – mówił do Kapa. – Przynajmniej raz posłuchaj mnie. Wydłub śpiochy z oczu. Ten mężczyzna, sam i pozostawiony sam sobie, nie jest niebezpieczny. Ma niewiele mocy, ta moc jest zabawką, można z nią igrać. On to rozumie. Nie potrafił użyć jej, by zarobić milion dolarów. Nie rządzi ludźmi i narodami. Używał swych mocy, by pomóc tłustym babom stracić wagę. Wykorzystywał swoją moc, by pomóc nieśmiałym biznesmenom zyskać pewność siebie. On nie jest w stanie używać swej mocy dobrze i często – ogranicza go jakiś czynnik psychologiczny. Lecz dziewczynka jest niesamowicie niebezpieczna. Ucieka z tatą w sytuacji, w której waży się życie i śmierć. Jest bardzo przestraszona. On też się boi i to czyni go niebezpiecznym. Sam w sobie nie jest groźny; groźne jest to, że zmuszacie go, by zmienił córkę. Zmuszacie go, by zmienił jej pogląd na jej własną moc. Zmuszacie go, by zmusił ją do jej użycia.

Wanless oddychał ciężko.

Rozgrywając założony scenariusz, którego koniec był już bliiski, Kap zapytał spokojnie:

– Co sugerujesz?

– Mężczyznę trzeba zabić. Szybko. Nim zdoła poważnie naruścić kompleks, który wraz z żoną zaszczepili córeczce.

I sądzę, że dziewczynkę też trzeba zabić. Na wypadek, gdyby dokonano już dzieła zniszczenia.

– Wanless, mimo wszystko to tylko mała dziewczynka. Może rozniecać ogień, tak. Nazywamy to pirokinezą. Ale według ciebie to jak Armagedon.

– Bo to może być Armagedon. Nie wolno, by jej wiek i to, jaka jest mała, ogłupiło cię i sprawiło, że zapomnisz o czynniku Z... Tylko że ty najwyraźniej właśnie o nim zapominasz. Przypuśćmy, że rozniecanie ognia to tylko czubek góry lodowej. Załóżmy, że jej talent się rozwija. Ma siedem lat. Kiedy John Milton miał siedem lat, był pewnie małym chłopcem, z trudem trzymającym kawałek węgla i ciężko pracującym, by wypisać swoje imię literami, które mama i tata mogliby odczytać. Był dzieckiem. Wyrosł i napisał *Raj utracony*.

– Nie wiem, o czym, u diabła, mówisz – powiedział bezdźwięcznie Kap.

– Mówię o potencjalnej zdolności niszczenia. Mówię o zdolnościach związanych z przysadką mózgową, przysadką mózgową, która w ciele dziecka w wieku Charlene McGee niemal nie funkcjonuje. Co się stanie, gdy dziewczynka zacznie dojrzewać, gdy przysadka obudzi się ze snu i na dwadzieścia miesięcy stanie się największą siłą w ludzkim ciele, rządzącą wszystkim, począwszy od nagłego dojrzewania i rozwoju pierwszo – i drugorzędowych cech płciowych, a kończąc na produkcji purpury wzrokowej. Przypuśćmy, że masz tu dziecko zdolne wywołać eksplozję jądrową samą siłą woli.

– Nigdy nie słyszałem niczego bardziej szalonego.

– Nie? To niech pan pozwoli, że posunę się dalej w szaleństwo, panie kapitanie Hollister. Przypuśćmy, że dziś rano, gdzieś tam w ukryciu, jest dziewczynka niosąca w sobie, ukryty tylko czasowo, talent mogący spowodować, że pewnego dnia sama Ziemia pęknie na dwie połowy jak porcelanowy talerz na strzelnicy.

Patrzyli sobie w oczy w milczeniu. I nagle zabrzączał interkom.

Po chwili Kap pochylił się i nacisnął przycisk.

– Tak, Rachel?

Niech to diabli, jeśli na jedną chwilę ten staruch nie złapał go na wędkę. Krakał jak jakiś kruk zagłady, i to był kolejny powód, dla którego Kap go nie lubił. Sam był człowiekiem czynu i jedyłą rzeczą na świecie, jakiej nie znosił, byli pesymiści.

– Rozmowa na telefonie z szyfrownikiem – powiedziała Rachel. – Z terenu służbowego.

– W porządku, skarbie. Dziękuję. Przytrzymaj ją dla mnie przez parę minut, dobrze?

– Tak jest, proszę pana.

Kap opadł na fotel.

– Muszę przerwać tę rozmowę, doktorze Wanless. Może pan być pewien, że wszystko, co pan powiedział, zostanie bardzo dokładnie rozważone.

– Doprawdy? – zapytał Wanless. Lewy kącik jego ust wydawał się skrzywiony w cynicznym grymasie.

– Tak.

– Ta dziewczynka... McGee... i ten facet, Richardson, to ostatnie trzy znaki pozostałe na tablicy po pewnym nieudanym rów-

naniu, kapitanie Hollister. Niech pan je wymaże. I zacznie od nowa. Dziewczynka jest bardzo niebezpieczna.

– Rozważę, co pan powiedział – powtórzył Kap.

– Niech pan to robi. – I Wanless zaczął się w końcu podnosić, opierając się na lasce. Zabrało mu to sporo czasu. W końcu wstał. – Nadchodzi zima – dodał. – Stare kości jej nie znoszą.

– Zostajesz na noc w Longmont?

– Nie, jadę do Waszyngtonu.

Kap zawahał się i powiedział:

– Zatrzymaj się w Mayflower. Mogę chcieć się z tobą skontaktować.

W oczach starego mężczyzny pojawił się jakiś wyraz – wdzięczność? Tak, prawie na pewno wdzięczność.

– Doskonale, kapitanie Hollister – powiedział Wanless i podpierając się laską, podszedł powoli do drzwi – starzec, który kiedyś otworzył puszkę Pandory, a teraz chciał wystrzelać wszystko, co z niej wyleciało, zamiast zaprząć to do roboty.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Kap odetchnął z ulgą i podniósł słuchawkę telefonu podłączonego do szyfrownika.

7

– Z kim mówię?

– Tu Orv Jamieson, panie kapitanie.

– Macie ich, Jamieson?

– Jeszcze nie, panie kapitanie, ale na lotnisku znaleźliśmy coś interesującego.

– Co takiego?

– Automaty telefoniczne są puste. Znaleźliśmy trochę dziesiątek i dwudziestopięciocentówek w jednej z budek, na podłodze.

– Rozbite?

– Nie, panie kapitanie. Dlatego do pana dzwonię. Nikt ich nie rozbijał, po prostu są puste. Firma telefoniczna szaleje.

– W porządku, Jamieson.

– To nam ułatwia sprawę. Myśleliśmy, że może facet zostawił dziewczynkę na dworze i zameldował się sam. Teraz wychodzi nam, że i tak szukamy gościa, który zapłacił mnóstwem drobnych.

– Jeśli poszli do motelu, a nie włamali się do jakiegoś letniego domku kempingowego.

– Oczywiście, panie kapitanie.

– Pracujcie dalej, OJ.

– Tak jest, panie kapitanie, dziękuję. – Jamieson wydawał się absurdalnie zadowolony, że pamiętano o jego przezwisku.

Kap odwiesił słuchawkę. Przez pięć minut siedział z zamkniętymi oczami, myśląc. Łagodne jesienne światło wpadało przez wielkie okno, oświetlało i ogrzewało gabinet. Po chwili pochylił się i znów wydzwonił Rachel.

– Czy przyszedł John Rainbird?

– Tak, Kap, przyszedł.

– Daj mi jeszcze pięć minut, a później wprowadź go. Chcę rozmawiać z Norville'em Batesem w miejscu akcji. Jest szefem, póki nie dotrze tam Al.

– Tak jest, proszę pana – powiedziała Rachel z lekkim powątpiewaniem. – To musi być otwarta linia. Połączenie z krótkofalówką. Niezbyt...

– Tak, doskonale – przerwał Kap, z lekka zniecierpliwiony.

Zabrało to dwie minuty. Głos Batesa był cichy, przerywany.

Batesa uważano za dobrego agenta – nie grzeszył wyobraźnią, ale potrafił wgryźć się w sprawę. Takiego agenta potrzebował Kap do obrony twierdzy, dopóki nie dotrze tam Albert Steinowitz. W końcu Norville znalazł się na linii i powiedział Kapowi, że rozdzielają się na sąsiednie miasteczka: Oakville, Tremont, Messalonsset, Hastings Glen, Looton.

– W porządku, Norville, to dobrze.

Kap pomyślał o Wanlessie mówiącym mu: „zmuszacie go do reedukacji dziewczynki”. Pomyślał o Jamiesonie mówiącym mu, że wszystkie telefony są puste. McGee tego nie zrobił. Zrobiła to dziewczynka. A później, ciągle wzbudzona, spaliła temu żołnierzowi buty, prawdopodobnie przez przypadek. Wanless byłby szczęśliwy, gdyby wiedział, że Kap zastosuje się do jego wskazówek w pięćdziesięciu procentach – stary kozioł był dziś rano zdumiewająco elokwentny.

– Coś się zmieniło – powiedział Kap. – Musimy uciszyć faceta. Na zawsze. Rozumiesz?

– Uciszyć na zawsze – powtórzył bezdźwięcznie Norville. – Tak jest, kapitanie.

– Bardzo dobrze, Norville – powiedział cicho Kap. Odłożył słuchawkę i czekał na wejście Johna Rainbirda.

W chwilę później otworzyły się drzwi i pojawił się Rainbird, wielki jak świat i dwa razy potworniejszy. Zachowywał się tak naturalnie cicho, ten półkrwi Cherokee, że gdyby Kap patrzył na biurko, czytając albo odpowiadając na korespondencję, nie zauważyłby z pewnością, że ktoś wszedł do pokoju. Kap wiedział, jaki to rzadki talent. Większość ludzi potrafi wyczuć, że ktoś wszedł do pokoju; Wanless nazwał to raz nie szóstym zmysłem, lecz łącznym zmysłem; wiedzą zrodzoną z niezauważalnie małych informacji, pochodzących od pięciu zwykłych zmysłów. Ale Rainbirda nigdy się nie wyczuwało.

Żaden z nieskończenie małych czułków nawet nie zadrżał. Popijając porto w domu Kapa, Al Steinowitz powiedział kiedyś o Rainbirdzie dziwną rzecz: „To jedyny z ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem, który idąc, nie porusza przed sobą powietrza”. I Kap cieszył się, że Rainbird gra w ich drużynie, był to bowiem jedyny ze spotkanych przez niego ludzi, który budził w nim paniczne przerażenie.

Rainbird był trollem, orkiem, balrogiem wśród ludzi. Miał więcej niż dwa metry wzrostu. Lśniące, czarne włosy szczytywał do tyłu i wiązał w krótki koński ogon. Dziesięć lat temu, gdy po raz drugi pojechał do Wietnamu, granat wybuchł mu w twarz i teraz była ona składanką blizn i ciekących ran, jak z horroru. Nie miał lewego oka. Lewy oczodół był pustą jamą. Nie chciał przejść operacji plastycznej lub wstawić sobie sztucznego oka, gdyż jak mówił, kiedy znajdzie się w Krainie Wiecznych Łowów, każą mu pokazać wyniesione z walk blizny. A kiedy Rainbird mówił coś takiego, nie wiedziałeś, czy masz mu wierzyć, czy nie, nie wiedziałeś, czy mówi serio, czy nabiera cię z jakichś tylko jemu wiadomych powodów.

Przez kolejne lata Rainbird udowadniał, że jest zdumiewająco dobrym agentem – częściowo dlatego, że ze wszystkich ludzi na Ziemi najmniej wyglądał na agenta, a przede wszystkim z tego powodu, że za maską zrujnowanego ciała krył się wspaniały, niezwykle bystry umysł. Mówił płynnie czterema językami i rozumiał trzy kolejne. Teraz uczył się we śnie rosyjskiego. Kiedy się odezwał, jego głos był niski, muzykalny, cywilizowany.

– Miłego popołudnia, Kap.

– A czy to już popołudnie? – spytał Kap, zdziwiony.

Rainbird uśmiechnął się, pokazując garnitur doskonałych, olśniewająco białych zębów.

Zębów rekina, pomyślał Kap.

– Od czternastu minut. W Wenecji na czarnym rynku kupiłem kwarcowy zegarek Seiko. To fascynujące. Małe, czarne cyferki, ciągle się zmieniające. Cud techniki. Często myślę, Kap, że walczyliśmy w Wietnamie nie po to, by zwyciężyć, lecz by dokonywać cudów techniki. Walczyliśmy, by powstały tanie kwarcowe zegarki, gry w ping-ponga, które można podłączyć do telewizora, kieszonkowe kalkulatory. W nocnych ciemnościach patrzę na mój nowy zegarek. Zegarek mówi mi, że z sekundy na sekundę jestem bliższy śmierci. To dobra wiadomość.

– Siadaj, przyjacielu – powiedział Kap.

Jak zawsze podczas rozmowy z Rainbirdem w ustach miał sucho i musiał powstrzymać się, by nie splatać rąk i nie wykręcać palców, spoczywających na błyszczącym blacie biurka. Mimo tego wszystkiego Kap wierzył, że Rainbird go lubi – jeśli można było powiedzieć o nim, że lubi kogokolwiek.

Rainbird usiadł. Miał na sobie dżinsy i spłowiałą flanelową koszulę.

– Jak tam Wenecja? – spytał Kap.

– Tonie.

– Jeśli chcesz, mam dla ciebie zajęcie. Nic wielkiego, ale może prowadzić do przydziału, który zainteresowałby cię znacznie bardziej.

– O co idzie?

– Zgłaszasz się na ochotnika – naciskał Kap. – Jeszcze ciągle jesteś na urlopie.

– O co idzie? – powtórzył łagodnie Rainbird.

I Kap powiedział mu, o co idzie. Spędził z Rainbirdem tylko piętnaście minut, ale minuty te wydawały mu się godzinami. Kiedy wielki Indianin wyszedł, Kap wydał z siebie długie westchnienie. Obaj jednego ranka; Rainbird i Wanless – to mogło zrujnować każdemu dobre samopoczucie. Ale rano już się skończył, wiele udało się osiągnąć i kto wie, co może się zdarzyć po południu?

Kap wydzwonił Rachel.

– Tak, Kap?

– Zjem w gabinecie, kochanie. Przyniosłabyś mi coś z baru? Wszystko jedno co, cokolwiek. Dziękuję, Rachel.

Nareszcie sam. Telefon z szyfrownikiem spoczywał spokojnie na grubej podstawie pełnej układów scalonych, mikroprocesorów pamięci i Bóg jeden wie czego jeszcze. Kiedy znów zadzwoni, prawdopodobnie będzie to Albert albo Norville z informacją, że w Nowym Jorku wszystko skończone – dziewczynka wzięta, ojciec zabity. To będzie dobra wiadomość.

Kap znowu zamknął oczy. Myśli i sformułowania przelatywały mu przez mózg jak wielkie kłębki kurzu poruszane słabym wiatrem. Dominacja umysłowa. Nasi jajogłowi stwierdzili, że możliwości są tu nieograniczone. Wyobraźmy sobie kogoś takiego jak McGee koło Castra albo koło ajatollaha Chomeiniego. Wyobraźmy sobie, że dociera w pobliże tego różowego Teda Kennedy’ego i sugeruje mu cichym, pełnym całkowitego przekonania głosem, że samobójstwo byłoby najlepszym wyjściem. Wyobraźmy sobie kogoś takiego jak on napuszczonego na dowódców różnych komunistycznych oddziałów partyzanckich. Szkoda, że przyjdzie go stracić. Ale... co osiągnięto raz, można osiągnąć po raz drugi.

Dziewczynka. Wanless, mówiący: „Moc, zdolna pewnego dnia rozwalić samą Ziemię na połowy jak porcelanowy talerz na strzelnicy”... śmieszne, oczywiście. Wanless oszalał jak ten chłopiec z opowiadania D.H. Lawrence’a, ten, który potrafił przewidywać zwycięzcę na wyścigach. Dla Wanlessa Próba Sześć zmieniła się w kwas z akumulatora i wyżarła wielkie dziury w jego zdrowym rozsądku. To w końcu tylko mała dziewczynka, a nie broń masowego rażenia. Muszą jej się trzymać wystarczająco długo, by udokumentować jej zdolności i oznaczyć, do czego mogą doprowadzić. Samo to wystarczy, by przywrócić życie programowi badania Próba Sześć. Jeśli uda się ją przekonać, by użyła swych zdolności dla dobra kraju, tym lepiej.

Tym lepiej, pomyślał Kap.

Telefon z szyfrownikiem wydał nagle z siebie długi, ochryply krzyk.

Czując, jak szybko bije mu serce, Kap złapał słuchawkę.

Zdarzenie na farmie Mandersów

1

Podczas gdy w Longmont Kap omawiał jej przyszłość z Alem Steinowitzem, Charlie McGee siedziała na krawędzi łóżka w pokoju numer szesnaście w motelu Slumberland, ziewając i przeciągając się. Jasne światło słońca wpadało przez okno; niebo za oknem miało głęboki, nieskażony kolor jesiennego błękitu. W jasnym świetle dnia wszystko wydawało się takie pogodne.

Charlie spojrzała na tatusia, który wydawał się jedynie nieruchomym wzgórkim ukrytym pod kocami. Wystawała spod nich tylko kępka ciemnych włosów; to wszystko. Uśmiechnęła się. Tata zawsze bardzo się starał. Kiedy był głodny i ona była głodna, a mieli jedno jabłko, on tylko gryzł je raz i zmuszał ją, by zjadła resztę. Kiedy nie spał, zawsze starał się jak mógł.

Ale kiedy spał, ściągał na siebie kołdrę.

Charlie poszła do łazienki, zdjęła majteczki i odkręciła wodę w prysznicu. Czekając, aż woda się zagrzeje, skorzystała z toalety, a później weszła pod prysznic. Uderzyła w nią kurtyna gorącej wody; Charlie zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Na świetle nie było nic przyjemniejszego niż pierwsza minuta czy dwie pod gorącym prysznicem.

Byłaś niedobra w nocy.

Charlie zmarszczyła czoło.

Nie. Tata powiedział, że nie.

Podpaliła buty tego mężczyzny, niedobra dziewczynka, bardzo zła, podoba ci się miś, cały czarny?

Zmarszczka pogłębiła się. Do niepewności dołączył strach i wstyd. Myśl o pluszowym niedźwiadku nigdy nie wypłynęła na sam wierzch; była cieniem myśli, i jak to się często zdarza, wina skojarzyła się jej z zapachem – zapachem spalenizny. Tłące się płótno i gąbka. A zapach przywołał przed oczy zatarte obrazy

matki i ojca, pochylających się nad nią; byli wielcy, byli gigantami i bali się, gniewali, mówili donośnymi, załamującymi się głosami, jak w kinie głązy toczące się po zboczu góry.

Złe dziecko! bardzo złe! Nie wolno, Charlie! Nigdy! Nigdy! Nigdy!

Ile miała wtedy lat? Trzy? Dwa? Jak daleko człowiek może sięgnąć pamięcią? Zapytała kiedyś tatę i on powiedział, że nie wie. Powiedział, że pamięta, jak ukąsiła go pszczoła, a mama powiedziała mu, że miał wtedy piętnaście miesięcy.

Jej pierwsze wspomnienie: pochylające się nad nią wielkie twarze, donośne głosy jak huk staczających się z góry głązów i zapach jakby spalonego wafła. Ten zapach to były jej włosy. Podpaliła własne włosy i niemal wszystkie się spaliły. To po tym tata wspomniął o „pomocy” i mama zachowała się tak śmiesznie, najpierw się śmiała, później płakała, później znowu śmiała; tak piskliwie i dziwnie, że tata uderzył ją w twarz. Zapamiętała to, bo był to jedyny raz, kiedy tatuś przy niej zrobił coś takiego mamusi. Może powinniśmy pomyśleć o jakiejś pomocy – powiedział tata. Byli w łazience i ona miała mokrą głowę, bo tata zabrał ją pod prysznic. Tak, oczywiście, powiedziała mama, chodźmy do doktora Wanlessa, on nam z pewnością pomoże, tak jak pomógł nam już kiedyś... a później śmiech, płacz, śmiech i uderzenie.

W nocy byłaś taka NIEDOBRA.

– Nie – mruknęła Charlie, słuchając bębnienia wody pod prysznicem. – Tata powiedział, że nie. Tata powiedział, że to... mogła... być... jego... twarz.

W NOCY BYŁAŚ BARDZO NIEDOBRA.

Ale potrzebowali drobnych z telefonu. Tata tak powiedział.

BARDZO NIEDOBRA!

A potem Charlie zaczęła znów myśleć o mamie; miała wtedy pięć lat, prawie sześć. Nie lubiła o tym myśleć, ale teraz przypomniała sobie i nie potrafiła zapomnieć. Zdarzyło się to tuż przedtem, nim przyszli źli ludzie i skrzywdzili mamusię.

Zabili ją, przecież wiesz, zabili ją.

Dobrze, w porządku, nim ją zabili i zabrali ze sobą Charlie, tata posadził ją na kolanach jak wtedy, kiedy opowiadał jej historyjki, tylko że nie opowiadał jej o Czerwonym Kapturku i Kubusiu Puchatku. Zamiast tych książek miał na kolanach grube

księgi bez obrazków. Charlie skrzywiła nos na te księgi i poprosiła o Kubusia.

– Nie, Charlie – powiedział tata. – Chcę ci przeczytać inne historie i chcę, żebyś mnie słuchała. Myślę, że jesteś już wystarczająco duża i mamusia myśli tak samo. Te historie mogą cię trochę wystraszyć, ale to ważne. One są prawdziwe.

Zapamiętała tytuły książek, z których tata wziął te historie, bo one naprawdę ją wystraszyły. Była tam książka pod tytułem *Patrzcie!* napisana przez kogoś, kto się nazywał Charles Fort. I książka pod tytułem *Dziwniejsze od nauki*, którą napisał Frank Edwards. I książka pod tytułem *Prawdy nocy*. I była tam jeszcze jedna książka pod tytułem *Pirokineza: opis przypadków* – ale mamusia nie pozwoliła tacie przeczytać niczego z tej książki. „Później – powiedziała mamusia – kiedy będzie znacznie starsza, Andy”. Ta książka znikła. Charlie była z tego zadowolona.

To były straszne historie, bardzo straszne. Jedna opowiadała o mężczyźnie, który spalił się na śmierć w parku. Druga o pani, która spaliła się w dużym pokoju swojej przyczepy; w pokoju nic się nie spaliło, tylko ta pani i kawałek krzesła, na którym siedziała i oglądała telewizję. Niektóre fragmenty tej opowieści ciągle były dla niej zbyt trudne, ale jedno pamiętała; policjanta, który powiedział: „Nie potrafimy wyjaśnić tego nieszczęśliwego przypadku. Z ofiary nie pozostało nic oprócz zębów i zwęglonych kawałków kości. Wyglądało, jakby spalono ją lampą lutowniczą, lecz wokół niej nic nie było nawet zwęglone. Nie potrafimy wyjaśnić, dlaczego cała przyczepa nie wybuchła jak granat”.

Trzecia historia była o dużym chłopcu – miał jedenaście, może dwanaście lat – który spalił się, kiedy był na plaży. Tata wsadził go do wody i sam poważnie się poparzył, ale chłopiec pod wodą płynął dalej, aż spalił się cały. I była tam historia o nastoletniej dziewczynie, która spaliła się w konfesjonale, wyznając księdzu swe grzechy. Charlie wiedziała wszystko o katolikach, spowiedzi i konfesjonale; opowiedziała jej o tym jej przyjaciółka, Deenie. Deenie twierdziła, że księdzu trzeba powiedzieć o wszystkich brzydkich rzeczach, które zrobiło się przez cały tydzień. Deenie nie chodziła jeszcze do księdza, ponieważ nie była u Pierwszej Komunii, ale jej brat Carl był. Carl chodził do czwartej klasy i musiał opowiedzieć wszystko, nawet to, że kiedyś wślizgnął się do pokoju mamy i zjadł czekoladę pozostałą

po jej urodzinach. Ponieważ jeśli nie powiesz księdzu, nie zostaniesz obmyta KRWIĄ CHRYSZTUSA

1 pójdziesz do GORAĄCEGO MIEJSCA.

Charlie nie pozostała ślepa na konkluzję tych wszystkich opowieści. Jedna z nich, ta o dziewczynie w konfesjonale, przestraszyła ją do tego stopnia, że Charlie aż się popłakała.

– Czy ja się spalę? – szlochała. – Jak kiedy byłam mała i zapaliłam sobie włosy? Czy ja się spalę na kawałki?

Tatuś i mamusia wyglądali na poruszonych. Mama była blada i ssła dolną wargę, lecz tata objął ją i powiedział:

– Nie, skarbie. Nie, jeśli zapamiętasz, by zawsze być ostrożna i nie myśleć o tej... rzeczy. Tej rzeczy, którą robisz czasem, kiedy jesteś zła i przestraszona.

– Co to jest? – płakała Charlie. – Co to jest, powiedzcie mi, co to jest, nawet nie wiem, co to jest, nigdy tego nie zrobię, obiecuję!!

Odpowiedziała jej mama:

– My wiemy tyle, że to się nazywa pirokineza. Oznacza zdolność wzniesienia ognia, czasami tylko przez myślenie o ogniu. Zdarza się na ogół, kiedy ludzie są zdenerwowani. Niektórzy najwyraźniej mają tę... tę zdolność przez całe życie i nawet o tym nie wiedzą. A inni ludzie... no, ta moc ich na chwilę opanowuje i... – Mama nie potrafiła skończyć.

– I spalają się – powiedział tata. – Tak jak wtedy, kiedy byłaś mała i podpaliłaś sobie włosy, tak. Ale ty możesz to kontrolować, Charlie. Musisz. I Bóg jeden wie, że to nie twoja wina.

Oczy mamy i taty spotkały się, kiedy tata to mówił, i Charlie miała wrażenie, że rodzice ze sobą rozmawiają.

Obejmując ją, tata powiedział:

– Czasami nic nie możesz na to poradzić, wiem. To jak nieszczęście, jak wtedy, kiedy byłaś mała i zapomniałaś pójść do łazienki, bo się bawiłaś i zmoczyłaś majteczki. Nazywaliśmy to nieszczęściem, pamiętasz?

– Już mi się to nie zdarza.

– Nie, oczywiście, że nie. I niedługo będziesz potrafiła kontrolować w ten sam sposób tę drugą rzecz. Ale teraz, Charlie, musisz mi obiecać, że nigdy, nigdy, nigdy nie rozgniewasz się w ten sposób, jeśli tylko zdołasz się opanować. Nie rozgniewasz się w sposób, który powoduje, że rozpalasz ogień. A jeśli to się

zdarzy, jeśli nie zdołasz się opanować, odepchnij to od siebie. Odepchnij do kosza na śmieci lub popielniczki. Próbuuj wyjść.

Staraj się wepchnąć to do wody, jeśli w pobliżu jest woda.

– Ale nigdy nie rób tego człowiekowi – powiedziała mama; twarz miała nieruchomą, bladą i poważną. – To może być bardzo niebezpieczne, Charlie. Tak zrobiłaby zła dziewczynka. Mogłabyś... – zacięła się i z wysiłkiem wyrzuciła z siebie te słowa – ...mogłabyś kogoś zabić.

Na to Charlie rozplakała się histerycznie, ze strachu i z poczucia winy, bo mama miała obie ręce zabandażowane i Charlie wiedziała, dlaczego tata przeczytał jej te przerażające opowieści. Bo wczoraj, kiedy mama powiedziała, że Charlie nie może iść do Deenie, bo jeszcze nie posprzątała pokoju, Charlie zrobiła się bardzo zła i nagle pojawił się ogień, pojawił się znikąd, jak zawsze, jak jakiś złowrogi diabeł z pudełka, szczerząc się i kiwając główką, a ona była tak zła, że wyrzuciła ten ogień z siebie na mamusię, i nagle zapaliły się ręce mamy. Ale to nie było najgorsze.

Mogło być gorzej – to mogła być twarz.

Bo w zlewku pełno było wody z płynem do zmywania, to nie było najgorzej, ale było BARDZO ŹŁE i obiecała rodzicom, że już tego nie zrobi nigdy, nigdy, nigdy.

Gorąca woda oblewała jej twarz, pierś, plecy, ogarniając ją ciepłym okładem, kokonem, łagodząc wspomnienia i troski. Tata powiedział jej, że to było w porządku. A jeśli tata tak powiedział, to było. Tata jest najmądrzejszy na świecie.

Przestała myśleć o przeszłości i wróciła do tego, co się dzieje teraz. Charlie pomyślała o ludziach, którzy ich ścigają. To ludzie z rządu, powiedział tata, ale nie z tej dobrej części rządu. Pracują dla tej części rządu, która nazywa się Sklepikiem. Ci mężczyźni ciągle ich ścigali. Dokądkolwiek poszli, ona i tata, po pewnym czasie zawsze pojawiali się tam ludzie ze Sklepiku.

Ciekawa jestem, jakby się im podobało, gdybym ich podpaliła? – zapytała chłodno jakaś część umysłu Charlie i dziewczynka zacisnęła powieki, pełna strachu i winy. Brzydko było tak myśleć. To było ZŁE.

Charlie wyciągnęła rękę, złapała kurek z napisem GORĄCA i zakręciła go nagłym, mocnym ruchem. Przez następne dwie

minuty stała, drżąc i kuląc małe ciało pod lodowato zimnym prysznicem, chcąc wyjść i nie wychodząc.

Jeśli masz złe myśli, musisz za nie odpokutować.

Tak jej powiedziała Deenie.

2

Andy budził się po troszeczkę, zaledwie świadom szumu prysznicu. Najpierw prysznic był częścią snu, w którym Andy siedział z dziadkiem w łódce na jeziorze Tashmore; miał znów osiem lat, próbował nadziać wijącego się robaka na haczyk i nie przebić sobie palca. Ten sen był niesamowicie rzeczywisty. Andy widział w nim popękany wiklinowy podbierak wiszący na dziobie łodzi, widział czerwone łatki do dętek na starych, zielonych butach Granthera McGee, widział swoją starą, wygniecioną rękawicę baseballową i kiedy na nią spojrział, przypomniało mu się, że ma jutro trening na Roosevelt Field. Ale dziś było dziś, ostatnie światło dnia wspaniale współgrało z mrokiem nadchodzącej nocy; piękny zmierzch, jezioro było tak spokojne, że widziało się małe chmurki komarów latających nad jego powierzchnią koloru chromu. Błyskawice suchej burzy lśniły od czasu do czasu... a może to była prawdziwa burza, bo padał deszcz. Przyciemniając burty, spadł na starą, niegdyś białą łódź Granthera kroplami wielkimi jak monety. Słyszać też było deszcz na jeziorze, tajemniczy syk, jak...

...jak dźwięk...

...prysznicu. Charlie bierze prysznic...

Andy otworzył oczy i spojrział na nieznajomy, belkowany sufit. Gdzie jesteśmy?

Rzeczywistość wracała do niego stopniowo, ale przez moment czuł strach jak upadek z wysokości, dezorientację spowodowaną zbyt częstymi w ciągu ostatniego roku zmianami miejsca, zbyt częstymi ucieczkami i zbyt wielkim stresem. Z tęsknotą pomyślał o śnie i pożałował, że nie może wrócić do czasów, które spędził z Grantherem McGee, nieżyjącym już od dwudziestu lat.

Hastings Glen. Był w Hastings Glen. Oni byli w Hastings Glen.

A co z głową? Kiepsko – ale nie tak źle jak wieczorem, kiedy jechali z tym brodatym facetem. Czuł tylko stały, pulsujący ból.

Jeśli od ostatniego razu nic się nie zmieniło, ból zmniejszy się do wieczora, a rano nie będzie po nim śladu.

Prysznic ucichł.

Andy usiadł i spojrzał na zegarek. Była za piętnaście jedenasta.

– Charlie?

Charlie weszła do sypialni, energicznie wycierając się ręcznikiem.

– Dzień dobry, tatusiu.

– Dzień dobry. Co słyhać?

– Jestem głodna.

Charlie podeszła do krzesła, na którym położyła ubranie, i podniosła zieloną bluzkę. Powąchała ją. Skrzywiła się.

– Powinnam zmienić ubranie.

– Na razie musisz obejść się tym, skarbie. Później coś ci kupimy.

– Mam nadzieję, że nie będę musiała tak długo czekać na jedzenie.

– Złapiemy jakąś okazję – powiedział – i zatrzymamy się przy pierwszym barku, na jaki trafimy.

– Tato, kiedy zaczęłam chodzić do szkoły, powiedziałaś, że bym nigdy nie jeździła z obcymi. – Charlie włożyła już majteczki i zieloną bluzkę i przypatrywała mu się ciekawie.

Andy wstał z łóżka, podszedł do córki i położył jej dłonie na ramionach.

– Zło, którego nie znasz, jest czasami lepsze od zła, które znasz – powiedział. – Czy wiesz, co mam na myśli, mała?

Charlie przemyślała to sobie dokładnie. Złem, które znali, byli ci ludzie ze Sklepiku, jak sądziła. Ci, którzy wczoraj ścigali ich po ulicach Nowego Jorku. Złem, którego nie znali...

– Myślę, że to znaczy, że większość tych, co jeżdżą samochodami, nie pracuje dla Sklepiku – powiedziała.

Andy uśmiechnął się.

– Trafiony. I to, co powiedziałem wczoraj, jest nadal ważne. Czasami kiedy jest źle, musisz robić rzeczy, których nie zrobiłaś nigdy, gdyby wszystko szło dobrze.

Uśmiech Charlie znikł. Jej twarz była poważna, czujna.

– Jak kraść pieniądze z automatu?

– Tak.

– I to nie było źle?

– Nie. W tych okolicznościach to nie było źle.

– Bo jeśli idzie źle, trzeba zrobić wszystko, żeby znów było dobrze?

– Z paroma wyjątkami, tak.

– A co to za wyjątki, tatusiu?

Andy zmierzwił jej włosy.

– To nieważne, Charlie. Rozchmurz się.

Ale Charlie się nie rozchmurzyła.

– Nie chciałam podpalić butów tego mężczyzny. Nie zrobiłam tego specjalnie.

– Nie, jasne, że nie.

I wtedy wreszcie Charlie się rozchmurzyła; jej buzię rozjaśnił uśmiech, tak podobny do uśmiechu Vicky.

– A jak głowa, tatusiu?

– O wiele lepiej, dziękuję.

– To dobrze. – Przyjrzała mu się dokładnie. – Masz śmieszne oko.

– Które oko?

Wskazała na lewe.

– To.

– Tak? – Andy poszedł do łazienki i wytarł czyste miejsce w zaparowanym lusterku.

Patrzył na oko przez dłuższy czas i czuł, jak opuszcza go dobry humor. Prawe oko było jak zawsze szarzielone; kolor oceanu w jasny wiosenny dzień. Lewe też było szarzielone, lecz białko miało mocno przekrwione, a źrenica wydawała się mniejsza. I powieka jakoś dziwnie mu opadła; nigdy przedtem tego nie zauważył.

W głowie nagle rozbrzmiał mu głos Vicky, tak czysty, jakby stała tuż obok.

„Te bóle głowy, one mnie przerażają, Andy. Kiedy używasz pchnięcia czy jak tam chcesz to nazwać, robisz coś nie tylko tym ludziom, ale i sobie”.

Myśli towarzyszył obraz balonu, nadmuchiwanego... nadmuchiwanego... nadmuchiwanego... i w końcu pękającego z donośnym trzaskiem.

Zaczął dokładnie badać lewą stronę twarzy, dotykając jej miejsce po miejscu palcami prawej ręki. Wyglądał jak bohater

telewizyjnej reklamówki zachwycający się tym, jak gładko jest ogolony. Znalazł trzy miejsca, w których nie miał czucia: jedno pod lewym okiem, jedno na lewym policzku i jedno tuż poniżej lewej skroni. W płucach i żołądku poczuł strach jak zbierającą się wczesnym wieczorem mgłą. Nie tyle bał się o siebie, ile o Charlie – co stałoby się z nią, gdyby została sama.

Pojawiła się jak na zawołanie; zobaczył ją w lustrze.

– Tatusiu... – Wydawała się przestraszona. – Nic ci nie jest?

– W porządku – odpowiedział. Jego głos brzmiał dobrze. Nie było w nim drżenia i nie był zbyt pewny, fałszywy, donośny. – Właśnie myślę o tym, że koniecznie muszę się ogolić.

Charlie zakryła usta dłonią i zachichotała.

– Drapiesz jak papier ścierny. Uuuch. Okropnie.

Andy pogonił ją do pokoju i potarł swym szorstkim policzkiem jej gładki.

Charlie chichotała i próbowała się wyrywać.

3

Gdy Andy tarł policzek Charlie swą kłującą brodą, Orville Jamieson, alias OJ, alias Jędrny, i drugi agent Sklepiku, Bruce Cook, wysiadali z jasnoniebieskiego chevroleta przed restauracją Hastings Diner.

OJ przystanął na chwilę i przyjrzał się głównej ulicy z jej skośnymi miejscami do parkowania, sklepem przemysłowym, sklepem spożywczym, dwiema stacjami benzynowymi, jedną apteką oraz drewnianym ratuszem z plakietką na ścianie, upamiętniającą jakieś historyczne wydarzenie, które gówno ludziom mówiło. Główna ulica miasteczka była jednocześnie drogą nr 40; Andy i Charlie McGee znajdowali się nie dalej niż sześć kilometrów stąd.

– Spójrz na tę pipidowę – powiedział z obrzydzeniem OJ.

– Dorastałem niedaleko stąd. W miasteczku o nazwie Lowville. Słyszałeś kiedy o Lowville, Nowy Jork?

Bruce Cook potrząsnął głową.

– To niedaleko Utica. Tam gdzie robią piwo Utica Club. W życiu nie byłem tak szczęśliwy, jak tego dnia, kiedy wyjechałem z Lowville. – OJ sięgnął pod marynarkę i poprawił Narkozę.

– Są już Tom i Steve – powiedział Bruce.

Po drugiej stronie ulicy jasnobrązowy pacer parkował na miejscu, które właśnie opuściła furgonetka z jakiejś farmy. Wyśiadali z niego dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach, wyglądający na bankierów. Nieco dalej, pod migającym światłem, dwaj kolejni agenci Sklepiku rozmawiali ze starą cipą, co w czasie dużej przerwy przeprowadzała uczniów przez jezdnię. Pokazywali jej zdjęcie, a cipa kręciła głową. Tu, w Hastings Glen, było dziesięciu agentów koordynujących akcję, z Norville'em Batesem siedzącym w Albany i czekającym na cudowną broń Kapa, Ala Steinowitza.

– Tak, Lowville – westchnął OJ. – Mam nadzieję, że dorwiemy tę dwójkę gówniarzy przed południem. I mam nadzieję, że następne zadanie dostanę w Karaczi. Albo na Islandii. Gdziekolwiek, byle nie w stanie Nowy Jork. To za blisko Lowville. Za blisko, żebym się tu dobrze czuł.

– Myślisz, że dostaniemy ich przed południem? – spytał Bruce.

OJ wzruszył ramionami.

– Dorwiemy ich przed zachodem słońca. Możesz na to liczyć. Weszli do restauracji, usiedli przy barze i zamówili kawę.

Przyniosła im ją młoda, zgrabniutka kelnerka.

– Od której tu jesteś, siostrzyczko? – zapytał ją OJ.

– Jeśli masz siostrę, to jej współczuję – odpowiedziała mu kelnerka. – To znaczy, jeśli jest do ciebie podobna.

– Tylko nie tym tonem, siostrzyczko. – OJ pokazał kelnerce legitymację. Patrzyła na nią bardzo długo. Za jej plecami gość wyglądający jak podstarzały młodociany przestępca w motocyklowej kurtce naciskał guziki jednorękiego bandyty.

– Jestem tu od siódmej. Od siódmej, każdego dnia. Pewnie chcecie porozmawiać z Mikiem. Jest właścicielem.

Chciała odejść, ale OJ złapał ją za przegub i mocno ścisnął. Nie lubił, kiedy dziewczyny śmiały się z jego wyglądu. Większość z nich to kurwy, w tym jego matka miała rację, chociaż poza tym przeważnie się myliła. A jego matka z pewnością wiedziałaby, co myśleć o takiej cycatej kurwie jak ta.

– Czy powiedziałem, że chcę rozmawiać z właścicielem, siostrzyczko?

Dziewczyna sprawiała wrażenie przestraszonej i Jędrnemu bardzo się to podobało.

– Nie.

– To prawda. Bo ja chcę pogadać z tobą, a nie z facetem, który przez cały ranek siedział w kuchni i smażył jajka.

OJ wyjął z kieszeni zdjęcie Andy’ego i Charlie i podał je kelnerce, nie wypuszczając jej ręki.

– Poznajesz ich, siostrzyczko? Może podawałaś im dzisiaj śniadanie?

– Proszę mnie puścić! To boli. – Twarz kelnerki była bardzo blada z wyjątkiem miejsc, które upudrowała jak kurwa. Pewnie w liceum przewodziła dopingowi na meczach. Takie dziewczyny śmiały się, kiedy Orville zapraszał je na randki, bo był prezesem klubu szachowego, a nie rozgrywającym w drużynie futbolowej. Banda tanich kurew z Lowville. Boże, jak on nienawidził stanu Nowy Jork. Nawet miasto Nowy Jork było do niego podobne.

– Powiedz mi, czy obsłużyłaś ich, czy nie, siostrzyczko. Potem cię puszczę.

Dziewczyna rzuciła okiem na zdjęcie.

– Nie! Nie! A teraz...

– Za krótko patrzyłaś na zdjęcie, siostrzyczko. Lepiej spójrz na nie jeszcze raz.

Dziewczyna spojrzała.

– Nie! Nie! – powtórzyła głośno. – Nigdy ich nie widziałam. Puść mnie, dobrze?

Podstarzały młodociany przestępca w przecenionej skórzanej kurtce podszedł do nich, trzymając ręce w kieszeni spodni.

– Napastujecie kobietę – powiedział.

Bruce Cook spojrzał na niego z otwartą, niczym niemaskowaną pogardą.

– Uważaj, żebyśmy nie zaczęli napastować ciebie, pryszczaty.

– Och – powiedział chłopak w skórzanej kurtce, a jego głos okazał się naraz bardzo cienki. Wszedł szybko; najwyraźniej przypomniał sobie, że na ulicy ma do załatwienia interes niecierpiący zwłoki.

Dwie siedzące przy stoliku starsze panie nerwowo przyglądały się scenie przy barze. Potężny mężczyzna w całkiem czystym, białym fartuchu kucharza – prawdopodobnie Mike, właściciel – stał w drzwiach kuchni i także się temu przyglądał.

W jednej ręce trzymał rzeźnicki nóż, ale trzymał go bardzo niepewnie.

– Czego chcecie? – zapytał.

– To agenci – powiedziała zdenerwowana kelnerka. – Oni...

– Nie obsługiwałaś ich? Jesteś pewna? Siostrzyczko?

– Jestem pewna. – Kelnerka już niemal płakała.

– Lepiej upewnij się jeszcze raz. Pomyłka może zaprowadzić cię za kratki na pięć lat, siostrzyczko.

– Jestem pewna – szepnęła dziewczyna. W kącie jednego oka zebrała się jej łza i spłynęła po policzku. – Proszę, puść. Nie krzywdź mnie już.

OJ ścisnął jej przegub jeszcze mocniej; podobało mu się to, jak w jego uścisku poruszały się jej drobne kości, podobało mu się, że wiedział, iż może ścisnąć ją mocniej i złamać te kości... i puścił. W sali zapadła cisza, mącił ją tylko głos Steviego Wondera, płynący z szafy grającej i zapewniający przerażonych klientów Hastings Diner, że poczują to całym ciałem. Dwie starsze panie wstały od stolika i szybko wyszły.

OJ podniósł filiżankę, pochylił się za bar, wylał kawę i upuścił filiżankę, która roztrzaskała się na podłodze. Odłamki porcelany rozsypały się wokoło. Kelnerka zaszlochała głośno.

– Końskie szczyny – powiedział.

Właściciel bez przekonania machnął nożem. Wydawało się, że OJ zapłonął własnym światłem.

– No, chodź, kolego – powiedział kpiąco. – No, chodź.

Zobaczymy, co zrobisz.

Mike położył nóż przy opiekaczu do grzanek i nagle wybuchnął, wściekły i zawstydzony.

– Walczyłem w Wietnamie! Mój brat walczył w Wietnamie! Napiszę o tym do mojego posła! Zobaczycie, że napiszę!

OJ tylko na niego patrzył. Po chwili Mike spuścił wzrok, przerażony.

Dwaj agenci wyszli.

Kelnerka pochyliła się i szlochając, zaczęła zbierać odłamki rozbitej filiżanki.

A na zewnątrz Bruce zapytał:

– Ile moteli?

– Trzy i sześć ośrodków z domkami kempingowymi – odpowiedział OJ, patrząc na neon.

Ten neon go fascynował. Kiedy był mały, w Lowville była podobna restauracja; na plakietce umocowanej nad dwufajerkową kuchenką widniał napis: JEŚLI NIE LUBISZ NASZEGO MIASTECZKA, SPRAWDŹ ROZKŁAD JAZDY AUTOBUSÓW. Ile razy miał ochotę zerwać tę plakietkę i wcisnąć ją komuś do gardła!

– Inni już je sprawdzają – powiedział, kiedy szli do jasnoniebieskiego chevroleta, który był własnością rządową, kupioną i utrzymywaną za pieniądze podatników. – Już niedługo dowiemy się wszystkiego.

4

John Majo siedział w samochodzie razem z agentem, który nazywał się Ray Knowles. Jechali drogą nr 40 w stronę motelu Slumberland. Siedzieli w nowym, ciemnym fordzie i kiedy wjeżdżali na ostatni z pagórków oddzielający ich od motelu, strzeliła im dętka.

– Jasna cholera – powiedział John, kiedy samochód zatańczył na drodze, ściągając w prawo. – I takie gówno daje nam rząd. Cholerni kretyni.

Zjechał z drogi na miękkie pobocze i włączył światła ostrzegawcze w samochodzie.

– Ty idź dalej – powiedział. – Ja zmienię to cholerne koło.

– Pomogę ci – odpowiedział Ray. – To nam nie zajmie nawet pięciu minut.

– Nie, idź. Hotel jest za tym wzgórzem, powinien tam być.

– Jesteś pewien?

– Tak. Dogonię cię. Chyba że mamy kaptur i w zapasie. Wcale bym się nie dziwił.

Minęła ich roztrzęsiona furgonetka. Ta sama, którą widzieli stojący przed restauracją OJ i Bruce Cook, jak wyjeżdżała z miasta.

Ray uśmiechnął się.

– Lepiej, żeby było dobre. Musiałbyś wypisać zapotrzebowanie w czterech egzemplarzach.

John nie odpowiedział mu uśmiechem.

– Jakbym nie wiedział – stwierdził ponuro.

Podeszli do bagażnika i Ray go otworzył. Zapasowe koło było dobre.

– W porządku – powiedział John. – Idź już.

– Przecież zmiana tego koła nie zajęłaby nam nawet pięciu minut.

– Jasne. A ich nigdy nie było w tym motelu. Ale rozegramy to odpowiednio. W końcu gdzieś przecież muszą być.

– No, racja.

John wyjął z bagażnika podnośnik i zapas. Ray Knowles przyglądał mu się przez chwilę, a później poszedł poboczem w stronę motelu Slumberland.

5

Tuż za motelem Andy i Charlie McGee stali na miękkim poboczu drogi nr 40. Strach Andy'ego spowodowany myślą o tym, że ktoś zauważy, iż nie mają samochodu, okazał się najzupełniej nieuzasadniony; kobieta w recepcji nie interesowała się niczym oprócz małego telewizora Hitachi na kontuarze. W środku telewizora tkwił schwytyany miniaturowy Phil Donahue i kobieta przyglądała mu się z zapartym tchem. Zabrała klucze, które Andy wsadził przez okienko, nie odrywając oczu od ekranu.

– Mmm nadzieję, że dobry piństwo spli – powiedziała. Zajadała czekoladowe pączki z nadzieniem z orzecha kokosowego i doszła już do połowy pudełka.

– Oczywiście – odpowiedział Andy i wyszedł.

Charlie czekała na niego na zewnątrz. Kobieta dała mu kopię rachunku. Schodząc po schodach, Andy wsunął ją w kieszeń swej sztruksowej marynarki. Drobne, wydobyte z telefonów na lotnisku w Albany, dźwięczały cicho.

– Wszystko dobrze, tato? – spytała Charlie, kiedy poszli w kierunku drogi.

– Wygląda nieźle – odpowiedział Andy i objął córkę. Z prawej, za wzgórzem, Ray Knowles i John Mayo właśnie złapali gumę.

– Dokąd jedziemy, tato?

– Nie wiem.

– Nie podoba mi się to. Jestem zdenerwowana.

– Myślę, że się od nich oderwaliśmy. Nie bój się. Prawdopodobnie ciągle jeszcze szukają kierowcy taksówki, którą dojechalibyśmy do Albany.

Ale tylko pogwizdywał, przechodząc obok cmentarza. Zdawał sobie z tego sprawę i prawdopodobnie wiedziała to także Charlie. Sam fakt, że stał na drodze, powodował, iż czuł się wystawiony jak kryminalista z komiksu w pasiastym mundurku.

Uspokój się, powiedział sam do siebie. Jeszcze chwila i będziesz ich widział wszędzie; po jednym za każdym drzewem i całą armię za najbliższym wzgórzem. Chyba ktoś kiedyś powiedział, że stuprocentowa świadomość zagrożenia i stuprocentowa paranoja niczym się od siebie nie różnią.

– Charlie...

– Jedźmy do Granthera – powiedziała Charlie.

Andy spojrział na nią, zaskoczony. Znienacka powrócił do niego jego sen, sen o łowieniu ryb w jeziorze i o deszczu, który okazał się prysznicem, który brała Charlie.

– Dlaczego o tym wspomniałaś?

Granther zmarł długo przedtem, nim urodziła się Charlie. Całe życie mieszkał w Tashmore, w stanie Vermont, miasteczku leżącym na zachód od pobliskiej granicy New Hampshire. Kiedy zmarł, domek nad jeziorem odziedziczyła matka Andy'ego, a kiedy ona zmarła, Andy. Już dawno władze miejskie zabrałyby go za zaległe podatki, gdyby nie to, że Granther zostawił w banku pieniądze, z których je płacono.

Andy i Vicky jeździli tam raz do roku, na letnie wakacje, póki nie urodziła się Charlie. Domek stał trzydzieści kilometrów od najbliższej przyzwoitej drogi, w głębokich, rzadko zaludnionych lasach. W lecie nad jeziorem Tashmore przebywało mnóstwo ludzi; jezioro było całkiem duże, leżało nad nim miasteczko Bradford, New Hampshire. Ale o tej porze wszystkie letnie ośrodki wypoczynkowe będą zamknięte. Andy nie przypuszczał, by w zimie w ogóle odśnieżano drogę.

– Nie wiem – odpowiedziała Charlie. – To po prostu... wpadło mi do głowy. W tej chwili.

Na przeciwległym zboczu wzgórza John Mayo otwierał bagażnik fordka i sprawdzał stan zapasowego koła.

– Dziś rano śnił mi się Granther – powiedział wolno Andy. – To chyba pierwszy raz od ponad roku, kiedy o nim pomyślałem. Więc pewnie można powiedzieć, że i mnie tak to po prostu wpadło do głowy.

– Czy to był miły sen, tato?

– Tak – odpowiedział Andy i uśmiechnął się lekko. – To był miły sen.

– No i co myślisz?

– Myślę, że to wspaniały pomysł. Możemy tam pojechać, zostać na krótko i pomyśleć, co powinniśmy zrobić. Jak sobie z tym poradzić. Myślałem, że gdybyśmy mogli napisać o wszystkim do gazet, tak żeby ludzie się o nas dowiedzieli, to oni musieliby zostawić nas w spokoju.

Stara furgonetka z farmy zbliżyła się do nich hałaśliwie i Andy wyciągnął rękę. Po drugiej stronie wzgórza Ray Knowles maszerował po miękkim poboczu drogi.

Ciężarówka zatrzymała się; wyjrzał z niej facet w fartuchu i czapeczce bejsbolówce New York Mets.

– Co za śliczna, mała panienka – powiedział i uśmiechnął się. – Jak się nazywasz, panienko?

– Roberta – odpowiedziała szybko Charlie. Roberta to było jej drugie imię.

– I cóż, Roberto, dokąd to zmierzamy dzisiejszego ranka?

– Jedziemy do Vermontu – odpowiedział Andy. – Do St. Johnsbury. Żona pojechała do siostry, no i miała mały wypadek.

– Doprawdy – powiedział farmer i nie dodał nic więcej, lecz bystro zerknął na Andy’ego kątem oka.

– Poród – powiedział Andy i rozciągnął twarz w uśmiechu. – Ta tu panienka ma nowego braciszka. Urodził się w nocy, za dwanaście druga.

– Ma na imię Andy – powiedziała Charlie. – Czy to nie śliczne imię?

– Wystrzałowe – powiedział farmer. – Wsiadajcie i podwoję was piętnaście kilometrów bliżej St. Johnsbury.

Wsiedli do ciężarówki, która kołyszac się i zgrzytając, wyjechała na drogę, kierując się w jasne słońce poranka. W tej samej chwili Ray Knowles doszedł do szczytu wzgórza. Zobaczył pustą autostradę prowadzącą do motelu Slumberland, a poza motelem furgonetkę, która niedawno wyprzedziła ich samochód, znikającą za następnym wzgórzem.

Nie widział powodu, by się śpieszyć.

Farmer nazywał się Manders, Irv Manders. Właśnie odwiózł do miasta ładunek dyń; w mieście robił interesy z gościem z A&P. Manders powiedział, że przedtem robił interesy z First National, ale gość stamtąd po prostu nie pojmował, co to dynie. Według Mandersa był zwykłym głupkiem, który dostał kopa w górę. Szef A&P, z drugiej strony, był w dechę. Manders opowiedział im także, że w lecie jego żona prowadzi stoisko z pamiątkami, on sklepik warzywny przy autostradzie, i że we dwójkę powodzi im się całkiem nieźle.

– Pewnie wam się nie spodoba, że się wtrącam – powiedział Irv Manders Andy’emu – ale ty i twoja laleczka nie powinniście polować na okazje. Chryste, tylko nie to. Nie z tymi ludźmi, co pałętają się dzisiaj po autostradach. Koło sklepu w Hastings Glen jest przystanek autobusowy. Tego wam było trzeba.

– No... – odpowiedział bardzo zakłopotany Andy i w tym momencie Charlie zgrabnie wtrąciła się w rozmowę.

– Tata nie ma pracy – stwierdziła radośnie. – To dlatego mamusia wyjechała do cioci Em, żeby urodzić dziecko. Ciocia Em nie lubi tatusia. Więc siedzieliśmy w domu. A teraz jedziemy zobaczyć się z mamą, prawda, tatusiu?

– To nasze prywatne sprawy, Bobbi – powiedział Andy niepewnie. I czuł się niepewnie. Opowieść Charlie prawie nie trzymała się kupy.

– Już nic nie musisz mówić – stwierdził Irv. – Wiem, że w rodzinie zdarzają się różne rzeczy. Czasami bywa kiepsko. I wiem, że czasami bywa ciężko. To nie wstyd.

Andy odchrząknął i nic nie powiedział. Nie potrafił niczego wymyślić. Przez chwilę jechali w ciszy.

– Słuchajcie, dlaczego nie mielibyście pojechać do nas i zjeść śniadania ze mną i z moją żoną? – zapytał nagle Irv.

– Nie, nie, nie powinniśmy...

– Będziemy szczęśliwi – odpowiedziała Charlie. – Prawda, tatusiu?

Andy wiedział, że Charlie rzadko zawodzi intuicją, a poza tym był zbyt zmęczony fizycznie i psychicznie, by teraz jej się przeciwstawiać. Charlie była pewna siebie i agresywna i więcej niż raz Andy zastanawiał się już, kto tak naprawdę nosi tu spodnie.

– Jeśli jesteś pewien, że wystarczy...

– Nigdy nie zabraknie – powiedział Irv Manders i zdołał w końcu wrzucić trzeci bieg. Trzęsąc się, jechali między kolorowymi, jesiennymi drzewami: klonami, wiązami, topolami. – Miło nam będzie was ugościć.

– Bardzo dziękujemy – powiedziała Charlie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, laleczko. I mojej żony, kiedy tylko cię zobaczy.

Charlie uśmiechnęła się.

Andy potarł dłońmi skronie. Pod palcami lewej ręki było jedno z tych miejsc, w których chyba znikły mu nerwy. Jakoś mu to przeszkadzało. I coraz mocniej czuł, że oni się zbliżają.

7

Kobieta, która niecałe dwadzieścia minut temu odebrała klucze od wyprowadzającego się z hotelu Andy'ego, zaczynała się denerwować. I całkiem zapomniała o Philu Donahue.

– Czy jesteś pewna, że to ten mężczyzna?

Ray Knowles pytał o to po raz trzeci. Nie podobał się jej ten niski, schludny, jakiś taki spięty mężczyzna. Może i pracował dla rządu, ale to nie uspokajało Leny Cunningham. Nie podobała się jej jego wąska twarz, nie podobały się jej zmarszczki wokół jego zimnych niebieskich oczu, a przede wszystkim nie podobało się jej to, jak podsuwał jej zdjęcie pod nos.

– Tak, to on – powtórzyła. – Ale nie było z nim małej dziewczynki. Naprawdę, proszę pana. Mój mąż może powiedzieć panu to samo. Pracuje w nocy. Prawie się nie widzujemy, oprócz kolacji. On panom powie...

Drugi mężczyzna wrócił do recepcji, zdradzając oznaki jeszcze większego podniecenia; Lena zauważyła, że w jednej ręce ma krótkofalówkę, a w drugiej wielki pistolet.

– To oni – powiedział John Mayo. Ze złości i rozczarowania prawie dostał hysterii. – W tym łóżku spało dwoje. Na jednej poduszce są jasne włosy, na drugiej ciemne. Niech szlag trafi tego kaptusia! Niech go szlag trafi! Ręczniki na wieszaku w łazience są jeszcze mokre! Z cholernego prysznicu kapie woda! Spóźniliśmy się najwyżej pięć minut, Ray!

John wsadził rewolwer do kabury pod marynarką.

– Zawołam męża – powiedziała słabo Lena.

– Nie warto – stwierdził Ray. Wziął Johna pod rękę i wyprowadził go z recepcji. John ciągle przeklinał kaptcia. – Daj sobie spokój, John. Rozmawiałeś z OJ-em, z miastem?

– Rozmawiałem z nim, a on rozmawiał z Norville'em. Norville przyjeżdża z Albany i ma ze sobą Ala Steinowitza. Steinowitz wylądował jakieś dziesięć minut temu.

– No i dobrze. Słuchaj, pomyśl przez chwilę, John. Oni muszą łapać okazję.

– Tak, pewnie. Chyba że ukradli samochód.

– Ten facet to nauczyciel angielskiego. Nie wiedziałby nawet, jak zwędzić czekoladkę w sklepie ze słodyczami w domu ślepców. Łapali okazję, musieli. Wczoraj w nocy jechali autostopem. Złapali okazję dziś rano. Założę się o roczną pensję, że kiedy maszerowałem pod górę, oni stali na poboczu z podniesionymi rękami.

– Gdybyśmy nie złapali tego kaptcia... – Za okularami w drucianej oprawce oczy Johna wyrażały rozpacz. Widział, jak awans oddala się od niego powoli i ginie we mgle.

– Do cholery z kaptciem! – powiedział Ray. – Co nas minęło? Po tym, kiedy złapaliśmy gumę, co nas minęło?!

John myślał, przypinając krótkofalówkę do paska.

– Furgonetka z farmy – powiedział.

– Ja też ją pamiętam – potwierdził Rick.

Obejrzał się i dostrzegł dużą, okrągłą twarz Leny Cunningham, przyglądającej się im przez okno recepcji. Lena zorientowała się, że ją dostrzegli, i zasłona opadła na miejsce.

– Rozklekotany grat – dodał Rick. – Powinniśmy jeszcze ich dorwać, jeśli tylko nie zjechali z autostrady.

– No, to jedźmy. Będziemy mieli kontakt z Alem i Norville'em przez krótkofalówkę OJ-a.

Podbiegli do samochodu i wskoczyli do środka. W chwilę później ciemny ford wystartował z parkingu, pryskając spod tylnych kół białym żwirem.

Lena Cunningham z ulgą przyglądała się, jak odjeżdżali.

W naszych czasach ciężko jest prowadzić motel. Poszła obudzić męża.

Kiedy ford z Rayem Knowlesem za kierownicą i Johnem Mayo wiszącym w nieodkrytych drzwiach leciał drogą nr 40 z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę (a karawana dziesięciu lub jedenastu podobnych, niczym się niewyróżniających nowoczesnych samochodów podążała ze wszystkich stron w kierunku Hastings Glen z podobną szybkością), Irv Manders wystawił rękę przez okno i skręcił z autostrady w lewo, w nieoznaczoną, nierówną asfaltową drogę o połatanej nawierzchni, prowadzącą mniej więcej na północny wschód. Samochód piszcząco i kolebało. Na prośbę Irva Charlie odśpiewała już niemal wszystko ze swego repertuaru dziewięciu piosenek, wśród których były i takie złote przeboje, jak: *Happy Birthday to You*, *This Old Man*, *Jesus Loves Me* i *Camptown Races*. Ten ostatni śpiewali z nią i Irv, i Andy.

Kręta droga wspięła się na szereg coraz bardziej zalesionych wzgórz, a później zbiegła w dół, na płaskie, uprawne pola. W pewnej chwili, z lewej strony drogi, spod liści i zeszłorocznego siana wystrzeliła przepiórka.

– Wal w nią, Bobbi! – krzyknął Irv, a Charlie wymierzyła z palca, krzyknęła: Ba bam! – i dostała ataku śmiechu.

W kilka minut później Irv zjechał na drogę gruntową. Po dwóch kilometrach minęli zniszczoną, biało-czerwono-niebieską skrzynkę na listy z wypisanym na boku nazwiskiem MANDERS. Irv skręcił naznaczony koleinami podjazd, długi prawie na kilometr.

– Musi cię to nieźle kosztować: odsnieżyć ten podjazd w zimie – powiedział Andy.

– Sam go czyszczę – odparł Irv.

Podjechali do dużego, białego trzypiętrowego domu z narożnikami pomalowanymi na kolor jaskrawej zieleni. Andy miał wrażenie, że kiedyś był to całkiem zwykły dom, który z biegiem czasu rozrastał się ekscentrycznie. Z tyłu dobudowano do niego dwie szopy pochylone w różne strony. Po południowej stronie postawiono szklarnię, a od północnej kryty ganek sterczał jak sztywna halka.

Za domem stała czerwona stodoła, która najlepsze lata miała już za sobą, a między stodołą i domem rozciągało się podwórze – kawałek nagiej ziemi, na której gdakało i dziobało kilkadziesiąt kur. Kiedy klekoczący samochód potoczył się w ich kierun-

ku, kury uciekły, machając bezużytecznymi skrzydłami i omijając pień z wbitym w niego siekierą.

Manders podjechał samochodem do stodoły, w której słodko pachniało sianem. Andy pamiętał ten zapach z letnich wakacji w Vermoncie. Kiedy Irv wyłączył silnik ciężarówki, wszyscy usłyszeli ciche, melodyjne muczenie rozlegające się gdzieś z głębi zalegającego stodołę cienia.

– Pan ma krowę – powiedziała Charlie i na jej twarzy pojawił się wyraz zbliżony do zachwytu. – Słyszę ją.

– Mamy trzy – odpowiedział Irv. – Słyszałaś Szefową; bardzo oryginalne imię, no nie, laleczko? Szefowa myśli, że powinno się ją doić trzy razy dziennie. Możesz ją zobaczyć później, jeżeli tata się zgodzi.

– Zgodzisz się, tato?

– Chyba tak – powiedział Andy, kompletnie rozbrojony. Wyszło na to, że stali na poboczu, próbując złapać okazję, i sami zostali złapani.

– Chodźcie, poznacie moją żonę.

Przeszli przez podwórko, zatrzymując się wraz z Charlie, która chciała podejść do każdej kury po kolei. Tylne drzwi otworzyły się i na próg wyszła kobieta w wieku około czterdziestu pięciu lat. Osłoniła oczy przed słońcem i zawołała:

– To ty, Irv?! Kogóż to przyprowadziłeś?!

Irv uśmiechnął się.

– No, ta laleczka tutaj to Roberta. A to jej ojciec. Nie usłyszałem nazwiska, więc nie wiem, czy jesteśmy spokrewnieni.

Andy zrobił krok do przodu i powiedział:

– Jestem Frank Burton, proszę pani. Pani mąż zaprosił mnie i Bobbi na śniadanie, jeśli to pani nie przeszkodzi. Miło panią poznać.

– Mnie też – stwierdziła Charlie, ciągle jeszcze bardziej zainteresowana kurami niż kobietą.

– Nazywam się Norma Manders – odpowiedziała kobieta. – Wejdźcie. Jesteście mile widziani.

Ale Andy dostrzegł, jak ze zdziwieniem spojrzała na męża.

Weszli wszyscy do środka – do korytarza, w którym polana do pieca złożone były na wzrost człowieka, i wielkiej kuchni, w której królował ogromny piec i długi stół przykryty biało-

czerwoną ceratą. W powietrzu wisiał delikatny zapach owoców i parafiny. Przetwory, pomyślał Andy.

– Ten tu Frank i jego laleczka jadą do Vermontu – powiedział Irv. – Pomyślałem, że nie zaszkodziłoby im, gdyby po drodze dostali coś gorącego do jedzenia.

– Na pewno nie – zgodziła się kobieta. – Gdzie pana samochód, panie Burton?

– Cóż... – zaczął Andy. Zerknął na Charlie, ale z jej strony nie mógł spodziewać się pomocy; Charlie powoli spacerowała po kuchni, przyglądając się wszystkiemu z oczywistym, dziecięcym zdziwieniem.

– Frank ma mały kłopot – powiedział Irv, patrząc żonie wprost w oczy. – Nie ma o czym mówić. W każdym razie nie teraz.

– Dobrze – zgodziła się Norma. Miała miłą, uczciwą twarz – przystojna kobieta nawykła do ciężkiej pracy. Jej dłonie były zgrubiałe, czerwone. – Mam kurczaka i mogę zrobić naprawdę dobrą sałatkę. I nie zabraknie mleka. Lubisz mleko, Roberto?

Charlie nie obejrzała się. Nie zareagowała na imię, pomyślał Andy. Jezu, coraz lepiej i lepiej.

– Bobbi! – powiedział głośno.

Dopiero teraz Charlie obejrzała się i uśmiechnęła nieco zbyt szeroko.

– Och, tak – stwierdziła. – Kocham mleko.

Andy dostrzegł, jak Irv rzuca żonie ostrzegawcze spojrzenie: *Żadnych pytań, nie teraz*. Czuł coraz głębszą rozpacz. Rozpadło się właśnie wszystko, co jeszcze pozostało z ich historii. Ale nie mógł zrobić nic oprócz zjedzenia śniadania i czekania, by Irv Manders wyjaśnił, co mu leży na sercu.

9

– Ile odjechaliśmy od motelu? – zapytał John Mayo.

Ray spojrział na odległościomierz.

– Dwadzieścia pięć kilometrów – odpowiedział i zjechał na pobocze. Wystarczy.

– Może...

– Nie, gdybyśmy mieli ich złapać, już byśmy ich złapali. Wracamy. Musimy spotkać się z resztą.

John walną pięścią w deskę.

– Musieli gdzieś skręcić – powiedział. – Pieprzony kapeć! Ta robota od początku była pechowa, Ray. Jajogłowy i mała dziewczynka. I nie możemy ich złapać!

– Nie. Według mnie już ich mamy – powiedział Ray i wyjął krótkofalówkę. Wyciągnął antenę i wystawił ją za okno.

– Za pół godziny obejmiemy kordonem cały ten teren. I założę się, że po obejściu tylko kilku domów trafimy na kogoś, kto rozpozna tę ciężarówkę. Ciemnozielony international harvester, z przodu zaczepy do pługa, wokół burt drewniane tyczki do przytrzymywania wysokich ładunków. Ciągle myślę, że dostaniemy ich, nim się ściemni.

Chwilę później rozmawiał już z Alem Steinowitzem, który zbliżał się do motelu Slumberland. Z kolei Al poinformował wszystkich agentów. Bruce Cook pamiętał, że widział tę ciężarówkę w mieście. Tak jak OJ. Stała na parkingu A&P.

Al wysłał ich z powrotem do miasta i pół godziny później wszyscy wiedzieli, że ciężarówka, która najpewniej zatrzymała się, by zabrać uciekinierów, należy do Irva Mandersa. RFD 5, Baillings Road, Hastings Glen, Nowy Jork.

Było wpół do pierwszej.

10

Śniadanie minęło im bardzo przyjemnie. Charlie zajadała jak wilk – trzy dokładki kurczaka z sosem, dwie gorących ciastek Normy, wielki talerz sałatki i trzy dokładki domowych kiszonych ogórków. Zakończyli śniadanie szarlotką z kawałkami sera cheddar – Irv zaopiniował głośno, że „szarlotka bez sera jest jak buziak bez języczka”, i zarobił tym stwierdzeniem pełnego uczucia szturchańca od żony. Irv przewrócił oczami i Charlie roześmiała się. Andy jadł z apetytem, który zaskoczył jego samego.

Charlie czknęła i ze wstydem przykryła usta. Irv uśmiechnął się.

– Zabrakło miejsca w brzuszku, laleczko?

– Jeśli zjem jeszcze coś, to pękne – odpowiedziała mu Charlie.

– Tak zawsze mówiła mamusia... to znaczy, mama tak mówi...

Andy uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem.

– Norma – powiedział Irv, wstając. – Czemu nie weźmiesz Bobbi i nie nakarmicie naszych kur?

– Bo śniadanie rozwleczone jest jeszcze na pół kuchni.

– Posprzątam po śniadaniu. Chciałbym trochę pogadać z tym tu Frankiem.

– Chcesz nakarmić kury, kochanie? – zapytała Norma.

– Oczywiście. – Oczy Charlie zabłyśły.

– No to chodź. Masz kurtkę? Zrobiło się chłodno.

– No... – Charlie spojrzała na Andy'ego.

– Możesz sobie wziąć mój sweter – powiedziała Norma, jeszcze raz wymieniając z mężem tamto spojrzenie. – Tylko podwiń trochę rękawy i będzie dobrze.

– Oczywiście.

Norma wyjęła z szafy w korytarzu starą wyszarzałą ocieplaną kurtkę i biały postrzępiony sweter, w którym Charlie pływała mimo kilkakrotnego podwinięcia rękawów.

– Czy te kury dziobią? – spytała trochę nerwowo.

– Tylko to, co jedzą, skarbie.

Wyszły i drzwi zamknęły się za nimi. Charlie ciągle mówiła. Andy spojrzał na Irva Mandersa, a Irv odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem.

– Napijesz się piwa, Frank?

– Nie nazywam się Frank – powiedział Andy. – Chyba już o tym wiesz.

– Chyba wiem. Jak ci na imię?

Andy odpowiedział:

– Im mniej wiesz, tym jesteś bezpieczniejszy.

– Dobrze – przytaknął Irv. – Będę cię nazywał Frank.

Z podwórka dobiegł ich zachwycony okrzyk Charlie. Norma powiedziała coś i Charlie się z nią zgodziła.

– Chyba napiłbym się piwa – stwierdził Andy.

– W porządku.

Irv wyjął z lodówki dwie puszkę Utica Club, otworzył je, postawił jedną na stole przed Andym, a drugą na blacie przy kuchni. Z haczyka przy zlewie zdjął fartuch i zawiązał go. Fartuch był czerwonożółty i miał falbankę, ale Irv jakoś nie wyglądał w nim głupio.

– Mogę ci pomóc? – zapytał Andy.

– Nie. Wiem, gdzie wszystko położyć. No, prawie wszystko. Norma zmienia coś każdego tygodnia. Żadna kobieta nie chce, żeby mężczyzna dobrze się czuł w jej kuchni. Chcą, żeby im pomagać, oczywiście, ale czują się lepiej, kiedy je pytasz, gdzie położyć naczynie do zapiekaneek albo gdzie jest płyn do zmywania.

Andy, pamiętając swe dni czeladnika w kuchni Vicky, uśmiechnął się i skinął głową.

– Wtrącanie się w sprawy innych ludzi nie jest moją mocną stroną – mówił Irv, napszczając wody do zlewu i dodając do niej detergentu. – Jestem farmerem i jak ci już mówiłem, moja żona ma mały sklepik z pamiątkami, tam gdzie Baillings Road krzyżuje się z autostradą Albany. Mieszkamy tu prawie dwadzieścia lat.

Zerknął na Andy’ego.

– Ale od chwili, kiedy zobaczyłem was tam, na drodze, wiedziałem, że coś tu nie gra. Dorosły mężczyzna i mała dziewczynka to nie jest para, którą często spotyka się na autostradzie. Wiesz, o co mi chodzi?

Andy skinął głową i napił się piwa.

– Co więcej, wyglądało mi na to, że właśnie wyszliście z motelu, tylko nie mieliście ze sobą żadnego bagażu, nawet małej torby. Więc prawie już zdecydowałem, żeby was minąć. Ale zatrzymałem się. Bo... no, nie wtrącać się w cudze sprawy to jedno, a widzieć kogoś, kto wygląda cholernie źle, i nie pomóc mu, to co innego.

– Więc tak wyglądaliśmy? Cholernie źle?

– Wtedy. Nie teraz.

Irv dokładnie mył stare, niepasujące do siebie naczynia i ustawiał je na suszarce.

– Teraz nie wiem, co o was sądzić. Najpierw myślałem, że jesteście tą dwójką, której szukają gliniarze.

Irv dostrzegł, jak nagle zmieniła się twarz Andy’ego, i jak gwałtownie postawił na stole puszkę piwa.

– Więc to wy – powiedział cicho. – Miałem nadzieję, że nie.

– Co z tymi gliniarzami? – spytał ochryple Andy.

– Zablokowali wszystkie główne drogi, prowadzące z i do Albany – powiedział Irv. – Gdybyśmy przejechali czterdziestką jeszcze dziesięć kilometrów, natknęlibyśmy się na blokadę, tam gdzie przecina dziewiątkę.

– Więc czemu nie pojechałeś dalej? – zapytał Andy. – Dla ciebie skończyłyby się kłopoty. Nie miałbyś z tym nic wspólnego.

Irv zabrał się do garnków, przerywając zmywanie i szukając czegoś na półkach nad zlewem.

– No, nie mówiłem? Nie mogę znaleźć tej cholernej gąbki... zaraz... tu jest... Dlaczego nie dowiozłem was wprost w ręce gliniarzy? Powiedzmy, że chciałem nasycić swą naturalną ciekawość.

– Chcesz mi zadać parę pytań, co?

– Mnóstwo pytań. Dorosły mężczyzna i mała dziewczynka polujący na okazję, dziewczynka nie ma nawet kosmetyczki i ścigają ich gliniarze. Więc miałem taki pomysł, całkiem zwyczajny: myślałem, że może jest tatuś, który chciał opieki nad dzieckiem i nie mógł jej uzyskać. Więc wyrwał dziecko mamusi.

– Rzeczywiście, miałeś nienadzwyczajny pomysł.

– To się zdarza ciągle, Frank. I pomyślałem sobie, że mamusi nie bardzo to się spodobało i wydobyla nakaz na tatusia. To wyjaśnia blokady na drogach. Coś takiego zdarza się tylko po wielkim napadzie... albo po porwaniu.

– Jest moją córką, ale jej mama nie nasłała na nas policji – powiedział Andy. – Jej mama nie żyje od roku.

– Cóż, ja też już raczej odrzuciłem ten pomysł – powiedział Irv. – Nie potrzeba prywatnego detektywa, żeby stwierdzić, że jesteście ze sobą blisko. O cokolwiek tu chodzi, nie wygląda mi, żebyś ją trzymał wbrew woli.

Andy milczał.

– No, więc taki tu mam problem. Zabrałem was, bo myślałem, że dziewczynka potrzebuje pomocy. I teraz nie wiem, co zrobiłem. Nie wyglądasz mi na przestępcę. Ale mimo wszystko i ty, i dziewczynka posługujecie się fałszywymi nazwiskami, opowiadacie historię tak kiepską jak tani papier toaletowy, a ty wyglądasz na chorego, Frank. Tak chorego, jak tylko może być chory człowiek, który jeszcze potrafi utrzymać się na nogach. Takie mam pytania. Byłoby dobrze, gdybyś na któreś odpowiedział.

– Przyjechaliliśmy do Albany z Nowego Jorku i późno w nocy złapaliśmy okazję do Hastings Glen – powiedział Andy.

– To źle, że są tutaj, ale chyba zdawałem sobie z tego sprawę.

I Charlie też. – Wymienił imię Charlie i to był błąd, ale w tym momencie nie miało to chyba najmniejszego znaczenia.

– Czego od was chcą, Frank?

Andy myślał przez długą chwilę, a później spojrzał w szare, uczciwe oczy Irvy.

– Przyjechałeś z Hastings – powiedział – prawda? Widziałeś tam jakichś obcych ludzi? Miastowych? Ubranych w te świeże, schludne garnitury, które zapominasz prawie dokładnie w chwili, kiedy ubrany w taki garnitur facet zniknie ci z oczu? Prowadzących nowe samochody, tak jakoś zlewające się z tłem?

Teraz myślał Irv.

– Było ich dwóch w A&P. Rozmawiali z Helgą. To jedna z kontrolerek. Wyglądało, jakby jej coś pokazywali.

– Prawdopodobnie nasze zdjęcie – stwierdził Andy. – To agenci rządowi. Pracują z policją, Irv. Może słuszniej byłoby powiedzieć, że to policja pracuje z nimi. Gliny nie wiedzą, za co nas szukają.

– O której rządowej agencji mówimy? FBI?

– Nie. Sklepik.

– Co? Ten oddział CIA? – Irv wyglądał na szczerze wątpliwego.

– Oni nie mają najzupełniej nic wspólnego z CIA – wyjaśnił Andy. – Sklepik nazywa się naprawdę DSI – Department of

Scientific Intelligence². Jakies trzy lata temu czytałem artykuł, że jakiś cwaniak nazwał to Sklepikiem na początku lat sześćdziesiątych, za powieścią science fiction pod tytułem *Sklepy z bronią Ishtar*³. Napisał ją chyba gość nazwiskiem van Vogt, ale to bez znaczenia. Sklepik jest podobno wplątany we wszystkie krajowe projekty naukowe mogące mieć wpływ na bezpieczeństwo narodowe, teraz lub w przyszłości. Ta definicja pochodzi z ich statutu i w publicznej świadomości łączy się ich najczęściej z badaniami w dziedzinie energetyki, które prowadzą i nadzorują – energia elektromagnetyczna i jądrowa. W rzeczywistości robią znacznie więcej. Charlie i ja jesteśmy częścią eksperymentu, który miał miejsce dawno temu. Jeszcze przed urodzeniem Charlie. Jej matka też brała w nim udział. Została zamordowana. To była robota Sklepiku.

Irv myślał przez chwilę. Wypuścił wodę ze zlewu, wytarł ręce, wrócił do stołu i zaczął czyścić przykrywającą go ceratę.

Andy podniósł swoją puszkę piwa.

– Nie powiem wprost, że ci nie wierzę – stwierdził w końcu Irv. – Nie po tym, co było w tym kraju tajne, a później wyszło na jaw. Agenci CIA dający ludziom alkohol z LSD, niektórzy agenci FBI oskarżeni o mordowanie ludzi podczas marszów pokojowych, pieniądze w papierowych torebkach i wszystko inne. Więc nie mogę powiedzieć od razu, że ci nie wierzę. Powiedzmy, że jeszcze mnie nie przekonałeś.

– Nawet nie myślę, żeby chcieli dostać mnie – powiedział Andy. – Może kiedyś tak było. Ale teraz zmienili priorytety. Teraz chcą mieć Charlie.

– Twierdzisz, że rząd poluje na dziewczynkę z pierwszej czy drugiej klasy z powodów bezpieczeństwa narodowego?

– Charlie nie jest zwykłą drugoklasistką – odpowiedział Andy. – Jej matka i ja otrzymaliśmy zastrzyk narkotyku o nazwie kodowej Próba Sześć. Do dziś nie wiem, co to dokładnie było. Przypuszczam, że jakiś rodzaj syntetycznej wydzieliny gruczołów. Próba Sześć zmieniła chromosomy moje i dziewczyny, którą później poślubiłem. Przekazaliśmy te chromosomy Charlie, a one ułożyły się w zupełnie inny sposób. Jeśli Charlie przekaże je swoim dzieciom, to jak sądzę, można będzie nazwać ją mutantem. Jeśli z jakichś powodów jest to niemożliwe lub jeśli zmiana spowodowała bezpłodność, Charlie będzie nazywana dziwadłem, mułem. W każdym razie jest im potrzebna. Chcą ją studiować, sprawdzić, co powoduje, że może robić to, co robi. Myślę, że chcą jeszcze czegoś – chcą dowodu. Chcą jej użyć, by ożywić program Próba Sześć.

– A co takiego ona umie robić? – spytał Irv.

Przez okno kuchni widzieli Normę i Charlie, wychodzące ze stodoły. Biały sweter łopotał na wietrze i owijał się dookoła ciała dziewczynki, sięgając jej prawie do łydek. Policzki miała zaróżowione i mówiła coś do Normy, która uśmiechała się do niej i przytakiwała.

Andy powiedział cicho:

– Ona umie rozniecać ogień.

– Ja też – powiedział Irv. Usiadł i patrzył na Andy'ego w szczególny, ostrożny sposób. Tak patrzy się na ludzi podejrzanych o szaleństwo.

– Charlie umie rozniecać ogień, tylko o tym myśląc – powiedział Andy. – Fachowo nazywa się to pirokineza. To zdolność PSI, jak telepatia, telekineza albo prekognicja – przy okazji, Charlie ma także odrobinę tych zdolności – ale pirokineza jest znacznie rzadsza... i znacznie groźniejsza. Ona boi się tego daru – i ma prawo się go bać. Nie zawsze umie go kontrolować. Gdyby tylko chciała, mogłaby spalić ci dom, stodołę albo podwórko. Albo mogłaby ci zapalić fajkę. – Andy uśmiechnął się słabo. – Tylko że zapalając ci fajkę, mogłaby spalić ci dom, stodołę i podwórko.

Irv dopił piwo i powiedział:

– Myślę, że powinienesz zawiadomić policję i poddać się im, Frank. Potrzebujesz pomocy.

– Chyba to, co ci powiedziałem, zabrzmiało jak bredzenie szaleńca, nie?

– Tak – zgodził się Irv poważnie. – Nigdy nie słyszałem niczego tak szalonego.

Siedział na krześle lekko spięty. Andy pomyślał: Spodziewa się, że zrobię coś zwariowanego, gdy tylko będę miał okazję.

– Chyba nie ma to już wielkiego znaczenia – powiedział głośno. – Zjawią się tutaj bardzo szybko. Myślę, że policja byłaby nawet lepsza. Kiedy dostaniesz się w łapy policji, to przynajmniej nie znikasz.

Irv próbował coś powiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi. Weszły Norma i Charlie. Charlie była rozpromieniona, oczy jej błyszczały.

– Tatusiu! – powiedziała. – Tatusiu, karmiłam...

Przerwała. Rumieńce na jej policzkach zbladły; zerknęła spod oka na Irva Mandersa, na ojca i znowu na Irva. Wyraz radości spelzł z jej twarzy, zastąpiony głęboką rozpaczą. Wyglądała tak zeszłej nocy, pomyślał Andy. Wyglądała tak wczoraj, kiedy wyciągnąłem ją ze szkoły. To trwa i trwa. Kiedy Charlie doczeka szczęśliwego zakończenia?

– Powiedziałeś. Och, tato, dlaczego wszystko powiedziałeś?

Norma zrobiła krok do przodu i objęła dziewczynkę obronnym gestem.

– Irv, co tu się dzieje?

– Nie wiem. Co masz na myśli przez „powiedziałeś”, Bobbi?

– Nie nazywam się Bobbi – powiedziała Charlie. W jej oczach zabłyśły łzy. – Wiesz, że nie nazywam się Bobbi.

– Charlie – odezwał się Andy. – Pan Manders wiedział, że coś jest nie tak. Powiedziałem mu, ale mi nie uwierzył. Jeśli pomyślisz, zrozumiesz dlaczego.

– Nic nie rozu... – zaczęła Charlie, mówiąc coraz głośniej i nagle ucichła. Przechyliła głowę na bok, jakby słuchała, chociaż nikt inny nie słyszał niczego, czego warto byłoby słuchać. Patrzyli na Charlie i widzieli, jak twarz jej blednie; było tak, jakby ktoś wylewał czerwone wino z przezroczyściej butelki.

– Co się stało, skarbie? – zapytała Norma i z trwogą spojrzała na Irva.

– Zbliżają się, tatusiu – szepnęła Charlie. Jej oczy były dwoma kręgami pełnymi strachu. – Jadą po nas.

11

Spotkali się na rogu szosy nr 40 i nienumerowanej, asfaltowej drogi, w którą skręcił Irv. Na mapach miejskich Hastings Glen nazywała się ona Old Baillings Road. Al Steinowitz dołączył w końcu do oddziału swych agentów i przejął dowództwo szybko i zdecydowanie. W pięciu samochodach jechało ich szesnastu. Na drodze do farmy Irva Mandersa wyglądali jak bardzo szybki kondukt.

Ze szczerą ulgą Norville Bates przekazał Alowi buławę – wraz z odpowiedzialnością za akcję – pytając jednocześnie o miejscową i stanową policję, włączoną w operację.

– Od tej chwili nie informujemy ich o niczym – powiedział Al. – Jeśli dostaniemy tamtych, każemy policji zwinąć blokady. Jeśli nie, polecimy im poruszać się ku środkowi kręgu. Ale mówiąc między nami, jeśli nie potrafimy zakończyć sprawy z szesnastoma ludźmi, to nie potrafimy jej zakończyć w ogóle.

Norville wyczuł łagodną naganę i umilkł. Wiedział, że lepiej dopaść uciekinierów bez przeszkód z zewnątrz, ponieważ gdy tylko ich dostaną, Andy McGee musi paść ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Śmiertelnego wypadku. Gdy wokół nie będzie niebieskich, wypadek nastąpi znacznie szybciej.

Przed samochodem jego i Ala zabłyśły krótko światła stopu wozu OJ-a, skręcającego właśnie na drogę gruntową. Inni poje-

chali za nim.

12

– Nic z tego nie rozumiem – stwierdziła Norma. – Bobbi... Charlie... proszę, uspokój się.

– Nie rozumiesz – powiedziała Charlie.

Głos miała piskliwy, zduszony. Samo patrzenie na nią denerwowało Irvę. Twarz dziewczynki przypominała pyszczek złapanego w sidła zająca. Wyrwała się z objęć Normy i podbiegła do ojca, który przytulił ją mocno.

– Chyba chcę cię zabić, tatusiu – powiedziała.

– Czemu?

– Zabić – powtórzyła. Oczy miała nieruchome, błyszczące panicznym strachem. Jej usta rozpaczliwie drżały. – Musimy uciekać. Musimy...

Gorąco. Tu jest za gorąco.

Andy zerknął w lewo. Między kuchenką i zlewem wisiał na ścianie termometr, jaki można kupić tanio, wybierając z katalogu. Na dole plastikowy, czerwony diabeł z widłami uśmiechał się i wycierał czoło. Pod jego podkutymi kopytami widniał napis: „Wystarczająco ci ciepło?”.

Rtęć w termometrze podnosiła się, jak palec w oskarżycielskim geście.

– Tak, tego właśnie chcę – mówiła Charlie. – Zabić cię, zabić jak mamusię, zabrać mnie, zabrać mnie stąd, ja nie pozwolę... żeby to się stało, ja nie pozwolę...

Jej głos podnosił się. Jak rtęć w termometrze.

– Charlie! Uważaj, co robisz!

Oczy Charlie nabrały wyrazu. Irv i Norma przytulili się do siebie.

– Irv... co...?

Lecz Irv dostrzegł, jak Andy rzucił okiem na termometr. I nagle uwierzył. W kuchni było gorąco. Wystarczająco, by zaczęli się pocić. Rtęć w termometrze zatrzymała się na trzydziestu trzech stopniach.

– Święty Jezu – powiedział Irv ochryłym głosem. – Czy ona to zrobiła, Frank?

Andy zignorował go. Ręce trzymał ciągle na ramionach Charlie. Spojrzał wprost w jej oczy.

– Charlie, czy myślisz, że już za późno? Jak to czujesz?

– Tak – odpowiedziała Charlie. W jej twarzy nie było kropli krwi. – Są już na gruntowej drodze. Och, tatusiu, tak bardzo się boję.

– Możesz ich powstrzymać, Charlie – powiedział cicho Andy. Charlie podniosła głowę i spojrzała na ojca.

– Tak – powiedział Andy.

– Ale... Tatusiu, to źle. Wiem, że źle. Mogę ich zabić.

– Tak. Możesz zabić lub zostać zabita. Może to już teraz.

– I to nie źle? – zapytała niemal niesłyszalnym głosem.

– Źle – powiedział Andy. – Źle. Nigdy się nie oszukuj, Charlie. I nie rób tego, jeśli nie potrafisz się kontrolować, Charlie. Nawet dla mnie.

Spojrzeli sobie wprost w oczy. Oczy Andy'ego były zmęczone, zaczerwienione i przestraszone, Charlie miała oczy rozszerzone; była prawie zahipnotyzowana.

Powiedziała:

– Jeśli zrobię... coś... czy nie przestaniesz mnie kochać?

Pytanie to zawisło między nimi i cichło powoli.

– Charlie – odpowiedział Andy. – Zawsze będę cię kochał. Zawsze.

Irv stał przy oknie. Teraz przeszedł ku nim przez kuchnię.

– Chyba muszę was gorąco przeprosić – powiedział. – Droga zbliża się cała karawana samochodów. Zostanę z wami, jeśli chcecie. Tylko przyniosę sztucer.

Ale wyglądał na przestraszonego, jakby nagle zachorował.

Charlie powiedziała:

– Nie potrzeba sztucera.

Wyślizgnęła się z objęć ojca i podeszła do siatkowych drzwi. W białym, zrobionym na drutach swetrze Normy Manders wydawała się jeszcze mniejsza niż w rzeczywistości. Wyszła.

Po chwili Andy przypomniał sobie, jak poruszać nogami, i poszedł za nią. W żołądku czuł zimno, jakby połknął naraz wielką porcję lodów. Mandersowie zostali w kuchni. Andy dostrzegł przelotnie zdumioną, przestraszoną twarz Irva i przez głowę przeleciała mu przypadkowa myśl: To cię nauczy nie brać autostopowiczów.

Wraz z Charlie stanęli na ganku, patrząc na pierwszy samochód wjeżdżający na długi podjazd. Kury zagdakały i rozpierzchnęły się. W stodole Szefowa jeszcze raz zamuczała przeciągle, wzywając kogoś, by przyszedł i ją wydoił. Słabe październikowe słońce oświetlało obramowane lasem czerwonobrzazowe pola małego miasteczka na granicy stanu Nowy Jork. Uciekali przez niemal rok i Andy ze zdumieniem stwierdził, że czuje dziwną, pomieszaną z przerażeniem ulgę. Słyszał, że w ostateczności, na chwilę przed tym, nim zostanie rozdarty na strzępy, nawet zając rzuca się czasami na ścigające go psy, uciekając się do głęboko ukrytej i mniej tchórzliwej części swej natury.

W każdym razie dobrze było nie uciekać. Andy stał obok Charlie; łagodne słońce oświetlało jej jasne włosy.

– Och, tato – jęknęła Charlie – nie mogę ustać w miejscu.

Andy objął córkę i przytulił ją mocno.

Pierwszy z samochodów zatrzymał się przy wjeździe na podwórko. Wysiadło z niego dwóch ludzi.

13

– Cześć, Andy – powiedział Al Steinowitz i uśmiechnął się. – Cześć, Charlie.

Dłonie miał puste, ale płaszcz rozpięty. Za jego plecami drugi mężczyzna stał w skupieniu obok samochodu, trzymając ręce wzdłuż ciała. Za pierwszym zatrzymał się drugi samochód i wysiadło z niego czterech agentów. Zatrzymywały się kolejne samochody, wysiadali z nich kolejni mężczyźni; Andy doliczył do dwunastu i przestał liczyć.

– Wynoście się! – krzyknęła Charlie. W chłodnym powietrzu wczesnego popołudnia jej głos był cichy, piskliwy.

– Daliście nam popalić – powiedział Al Andy'emu i spojrzał na Charlie. – Kochanie, nie musisz...

– Wynoście się!

Al wzruszył ramionami i uśmiechnął się rozbrajająco.

– Obawiam się, że tego nie mogę zrobić, skarbie. Mam swoje rozkazy. Nikt nie chce skrzywdzić ani ciebie, ani twego taty.

– Ty kłamco! Masz go zabić! Wiem o tym!

Andy przemówił i był nieco zaskoczony, że jego głos nie załamał się.

– Radzę wam, żebyście zrobili to, co mówi moja córka. Z pewnością poinformowano was, dlaczego jej szukacie. I wiecie o żołnierzu na lotnisku.

OJ i Norvill Bates wymienili niepewne spojrzenia.

– Gdybyście tylko wsiedli do samochodu, moglibyśmy o tym porozmawiać – powiedział Al. – Uczciwie, nic się tu nie dzieje, tylko...

– Wiemy, co się dzieje – powiedział Andy.

Agenci, którzy wysiedli z ostatnich dwóch czy trzech samochodów, rozstawili się na stanowiskach i powoli, niemal jak bez planu, zaczęli zbliżać się do ganku.

– Proszę – powiedziała Charlie mężczyźnie o dziwnie żółtej twarzy. – Nie zmuszajcie mnie, żebym coś zrobiła.

– To nie ma sensu, Charlie – stwierdził Andy.

Na ganku pojawił się Irv Manders.

– Ludzie, wtargnęliście na teren prywatny – powiedział. – Macie wynieść się do diabła z mojej farmy.

Trzech spośród agentów Sklepiku weszło na schodki ganku i stało mniej niż dziesięć metrów na lewo od Charlie i Andy'ego. Charlie rzuciła im ostrzegawcze, rozpaczliwe spojrzenie i mężczyźni zatrzymali się – na moment.

– Jesteśmy agentami rządowymi, proszę pana – cichym, uprzejmym głosem poinformował Irv Mandersa Al Steinowitz. – Ta dwójka zostaje zatrzymana w celu przesłuchania. Nic więcej.

– Dla mnie możecie chcieć ich zatrzymać za zabójstwo prezydenta Stanów Zjednoczonych – powiedział Irv. Mówił piskliwie, łamiącym się głosem. – Pokażcie mi nakaz albo wynoście się w cholerę z mojej ziemi.

– Nie potrzebujemy nakazu. – Głos Ala zadźwięczał stalą.

– Potrzebujecie, chyba że rano obudziłem się w Rosji – odparł Irv. – Powiedziałem, żebyście się wynosili, i lepiej, jeśli wyniesiecie się w podskokach. To ostatnie słowo.

– Irv, wejź do środka! – krzyknęła Norma.

Andy poczuł, jak coś tworzy się w powietrzu, rośnie wokół Charlie jak ładunek elektryczny. Włosy na jego ramionach zafalowały i podniosły się jak wodorosty na fali przypływu. Już, pomyślał bezradnie. To już, mój Boże, to naprawdę już.

– Wynoś się! – krzyknął do Ala. – Nie pojmujesz, co ona robi? Nie czujesz? Człowieku, nie bądź durniem!

– Proszę – powtórzył Al. Spojrzał na trzech agentów stojących na krawędzi ganku i niemal niedostrzegalnie skinął im głową. – Gdybyśmy tylko mogli o tym porozmawiać...

– Uważaj, Frank! – krzyknął Irv Manders.

Stojący na ganku trzech agenci nagle zaszarżowali, wyciągając broń.

– Stój, stój! – krzyknął jeden z nich. – Nie ruszaj się! Ręce na...

Charlie odwróciła się ku nim. W tej samej chwili kilku innych agentów, w tym John Mayo i Ray Knowles, wskoczyło na ganek z drugiej strony, również z bronią w ręku.

Oczy Charlie rozszerzyły się lekko i Andy poczuł, jak w drgnięciu ciepłego powietrza przelatuje koło niego coś gorącego.

Trzech mężczyzn, atakujących z przodu ganku, przebiegło już pół drogi, gdy nagle ich włosy stanęły w płomieniach.

Rewolwer wystrzelił z ogłuszającym „bum” i z jednej z podtrzymujących ganek kolumnienek odskoczyła może piętnastocentymetrowa drzazga. Norma Manders krzyknęła; Andy drgnął, ale Charlie zdawała się nie zauważać niczego. Twarz miała zamysłoną, marzącą. Drobnym uśmiechem, uśmiechem Mony Lizy, podniósł kąciki jej ust.

Jej się to podoba, pomyślał Andy z jakimś śmiertelnym przeżeniem. Czy dlatego tak się tego boi? Ponieważ to lubi?

Charlie obracała się ponownie w stronę Ala Steinowitza. Trzej agenci, których wysłał, by złapali ją i Andy’ego na ganku, zapomnieli o swych obowiązkach względem Boga, ojczyzny i Sklepiku. Tłumili rękami płomienie na głowach i wrzeszczeli. Popołudniowe powietrze wypełniło się nagle zjadliwym zapachem płonących włosów.

Kolejny strzał. Brzęknęło rozbite okno.

– Nie dziewczynkę! – krzyczał Al. – Nie dziewczynkę!

Ktoś brutalnie chwycił Andy’ego. Na ganku miotali się ludzie.

Poprzez ten chaos ktoś ciągnął go w stronę poręczy, a ktoś inny szarpał w przeciwnym kierunku. Andy czuł się jak lina w zawodach w przeciąganie.

– Puście go! – wrzeszczał ochryple Irv Manders. – Puście...

Trzeci strzał i nagle znów rozległ się wrzask Normy, powtarzającej w kółko imię męża.

Charlie spojrzała na Ala Steinowitza i nagle chłodna pewność siebie znikła z jego twarzy, zastąpiona przerażeniem. Jego żółta cera zżółkła jak żółty ser.

– Nie, nie – powiedział Al spokojnie, prawie tak, jakby z kimś rozmawiał. – Tylko nie...

Nie sposób powiedzieć, skąd wybuchły płomienie. Nagle zapłonęły spodnie i sportowy płaszcz. Włosy zapaliły się jak pożar lasu. Al cofnął się z krzykiem, odbił od samochodu i zwrócił w stronę Norville'a Batesa, wyciągając ręce przed siebie. Andy znów poczuł miękki ruch ciepła, przesunięcie powietrza, jakby przed nosem przeleciał mu węgielek wystrzelony z prędkością rakiety.

Twarz Ala Steinowitza stanęła w płomieniach.

Przez moment Al tam był, wrzeszcząc bezgłośnie w przezroczystym całunie ognia – i nagle jego rysy rozpląły się, stopiły, pociekły jak parafina. Norville odskoczył. Al Steinowitz płonął jak strach na wróble. Zataczając się, ślepo pobiegł podjazdem, wymachując rękami, i padł przy trzecim samochodzie. Wcale nie przypominał człowieka, wyglądał jak płonąca kupa szmat.

Mężczyźni na ganku zamarli, wpatrując się niemo w ten pokaz pirotechniki. Trzej z nich, których włosy Charlie podpaliła wcześniej, zdołali się ugasić. W przyszłości (ile jej mieli?) będą wyglądać zdecydowanie dziwacznie; ich regulaminowo krótkie fryzury przypominały poczerńiałe grudki popiołu przyklejone do czubków głów.

– Wynoście się – powiedział ochryple Andy. – Jak najszybciej. Ona nigdy jeszcze nie robiła niczego takiego i nie wiem, czy potrafi przestać.

– Czuję się dobrze, tatusiu – powiedziała Charlie. Mówiła głosem spokojnym, równym i dziwnie obojętnym. – Wszystko w porządku.

I wtedy zaczęły wybuchać samochody.

Eksplodowały od tyłu; później, gdy Andy myślał o incydencie na farmie Mandersów, był całkiem pewien, że dobrze pamięta. Wszystkie wybuchały od tyłu; tam gdzie miały zbiorniki paliwa.

Pierwszy wybuchł zielony plymouth Ala, wylatując w powietrze ze stłumionym hukem. Z tyłu samochodu uniosła się kula

płomieni, zbyt jasna, by na nią patrzeć. Tylne okno implodowało. Następny, w niespełna dwie sekundy potem, wystrzelił ford Johna i Raya. Kawałki metalu z gwizdem przecięły powietrze, zagrzecotały o dach.

– Charlie! – krzyknął Andy. – Charlie, przestań!

Charlie odpowiedziała mu spokojnym głosem:

– Nie potrafię.

Wybuchł trzeci samochód.

Ktoś uciekł. Ktoś pobiegł za nim. Mężczyźni zaczęli wycofywać się z ganku. Ktoś znowu pociągnął Andy'ego, Andy zaparł się i nagle nikt już go nie trzymał. Nagle uciekali wszyscy, oślepli z panicznego przerażenia. Jeden z mężczyzn o spalonych włosach próbował przeskoczyć barierkę ganku, zaczepił o nią nogą i spadł głową w dół do ogródka, w którym wcześniej Norma zasiała fasolę. Tyczki, po których pięła się fasola, ciągle tkwiły w ziemi; jedna z nich przebiła szyję tego agenta i wyszła mu przez kark z mokrym „plum”; dźwiękiem, którego Andy nie był w stanie zapomnieć. Agent wił się na ziemi jak wyciągnięty na brzeg pstrąg, z karku starczała mu tyczka jak bełt strzały, krew lała się na gors jego koszuli. Wydawał słabe, charczące dźwięki.

Reszta samochodów wyleciała w powietrze z rozrywającym bębenki hukiem serii petard. Dwóch uciekających mężczyzn wybuch rzucił w powietrze jak szmaciane lalki, jeden z nich płonął od pasa w dół, drugi naszpikowany był kawałkami szkła.

W powietrze wzniósł się ciemny, tłusty dym. Widoczne w oddali wzgórza i pola wiły się i drgały w gorącym powietrzu, jakby przerażone potwornością tego, co się zdarzyło. Kury uciekały w panice, gdacząc rozpaczliwie. Nagle trzy z nich wybuchły płomieniem i biegły dalej, kule ognia na łapkach, nim wreszcie padły w kącie podwórka.

– Charlie, przestań! Przestań natychmiast!

Po przekątnej podwórka przebiegła linia ognia; cienką, prostą linią płonąła sama ziemia, jakby ktoś rozsypał po niej ścieżkę prochową. Płomień dosięgnął pieńka, w który Irv wbił siekiere, okrążył go i skierował się do środka. Pieniek zapalił się nagle.

– CHARLIE, NA LITOŚĆ BOSKĄ!

Pistolet jednego z agentów leżał na skraju trawnika, pomiędzy gankiem a szeregiem płonących samochodów. Nagle zaczę-

ły w nim wybuchać ładunki; seria ostrych, szybkich eksplozji. Pistolet przedziwnie podskakiwał w trawie.

Andy uderzył Charlie tak mocno, jak tylko potrafił.

Głowa Charlie odskoczyła; oczy dziewczynki były niebieskie, puste. I nagle patrzyła na niego, zaskoczona, urażona, oszołomiona i Andy poczuł, jak z niczego otacza go pęcherz rosnącego gorąca. Wciągnął powietrze jak płynne szkło. Wydawało mu się, że płoną mu włosy w nosie.

Samozapalenie, pomyślał. Spłonę w płomieniu samozapalenia...

I wszystko ustało.

Charlie zatoczyła się i ukryła twarz w dłoniach. Nagle, poprzez dłonie, przedarł się rosnący, nabrzmiewający krzyk takiego strachu, takiego przerażenia, że Andy pomyślał, iż mózg Charlie rozpadł się na kawałki.

– TATUUUUUSIUUUUUU...

Wziął ją w ramiona, przytulił mocno.

– Ciiii – powiedział. – Och, Charlie, skarbie, ciiii...

Krzyk ustał i Charlie osunęła się w jego ramionach.

Zemdląca.

14

Andy podtrzymał osuwającą się córkę i jej głowa przetoczyła się bezwładnie po jego piersi. Powietrze było gorące, nasycone zapachem płonącej benzyny. Płomienie podpełzły po trawie pod gałęzie dzikiego wina i wspinały się na nie ze zręcznością chłopaka, zakradającego się o północy do okna dziewczyny. Dom był skazany na zagładę.

Irv Manders siedział oparty o siatkowe drzwi kuchni, nogi miał rozrzucone. Obok niego klęczała Norma. Irv dostał postrzał w ramię powyżej łokcia i rękaw jego niebieskiej roboczej koszuli nasiąkł jaskrawą czerwień. Norma oddała rąbek spódnicy; próbowała podciągnąć ten rękaw i zabandażować ranę. Irv miał otwarte oczy. Jego twarz przybrała barwę popiołu, usta były sinawe, oddychał szybko.

Andy zrobił krok w ich kierunku i Norma Manders uchylila się, osłaniając męża swym ciałem. Spojrzała na Andy'ego błyszczącymi oczami; patrzyła twardo.

– Wynoś się – syknęła. – Zabierz tego potwora i wynoś się.

15

OJ wiał. Narkoza podskakiwał mu pod pachą. Wiał i nie zwracał uwagi na drogę. Wiał przez pola. Przewracał się, wstawał i wiał. Wykręcił kostkę, wpadając w jakąś dziurę, znów upadł i padając, wrzasnął. Wstał i wiał dalej. Czasami miał uczucie, że wieje sam, czasami wydawało mu się, że ktoś biegnie obok niego. Nie miało to najmniejszego znaczenia. Liczyło się tylko, by zwiać, zwiać jak najdalej od tej płonącej kupy łachmanów, która dziesięć minut temu była jeszcze Alem Steinowitzem, zwiać przed łańcuchem wybuchających samochodów, zwiać przed Bruce'em Cookiem leżącym na skrawku ogródka z gardłem przebitym tyczką od fasoli. Wiać, wiać, wiać. Narkoza wypadł z kabury, boleśnie walnął go w kolano i upadł między chwasty, zapomniany. Nagle OJ znalazł się wśród drzew. Potknął się o zwalony pień i rozciągnął jak długi. Leżał, oddychając chrapliwie i przyciskając rękę do boku, z którego zaczął promieniować ból. Leżał, płacząc; zszokowany, przerażony. Pomyślał: Nigdy więcej zadań w Nowym Jorku. Koniec. Wszystkich nas wykończyła. Już nigdy nie postawię stopy w Nowym Jorku, choćbym miał żyć dwieście lat.

Po dłuższej chwili wstał i kulejąc, poszedł w stronę drogi.

16

– Znieśmy go z ganku – powiedział Andy.

Charlie położył już wcześniej na trawie, za granicą podwórka. Płonęła cała ściana domu; iskry spływały na ganek jak wielkie, powolne robaczki świętojańskie.

– Wynoś się – powiedziała ochryple Norma. – Nie dotykaj go.

– Dom płonie. Chcę tylko pomóc.

– Wynoś się. Już nam wystarczająco pomogłeś.

– Przestań, Norma! – Irv spojrzał na żonę. – To przecież nie jego wina. Więc zamknij się.

Norma spojrzała na męża, jakby miała jeszcze wiele do powiedzenia... i zamknęła się.

– Podnieście mnie – powiedział Irv. – Nogi mam jak z waty. Chyba się zlałem. Wcale nie byłbym zdziwiony. Któryś z tych sukinsynów postrzelił mnie. Nie wiem który. Podaj rękę, Frank.

– Jestem Andy – powiedział Andy i podłożył rękę pod plecy Irva, który powoli wstał. – I nie mam żalu do twej pani. Powinno nas minąć tam, na drodze.

– Gdyby wszystko miało się powtórzyć, zrobiłbym dokładnie to, co zrobiłem. Banda łobuzów wlaźła na moją ziemię ze strzelbami. Banda łobuzów, banda zasranych rządowych alfonsów i... ooooch, Chryste!

– Irv?! – krzyknęła Norma.

– Cicho, kobieto. Już w porządku. Chodź Frank, Andy czy jak ci tam. Robi się gorąco.

I było gorąco. Podczas gdy Andy na pół znosił, a na pół zwlekał Irva po schodach na podwórko, podmuch wiatru przywiał na ganek kłęb iskier. Z pieńka do rąbania pozostały poczerwiałe resztki, z kur, które podpaliła Charlie, prawie nic oprócz kilku spalonych kości i dziwnego, gęstego popiołu, który mógł być piórami. Nie zostały upieczone, lecz spopielone.

– Posadź mnie przy stodole – sapnął Irv. – Chcę z tobą pogadać.

– Potrzebujesz doktora.

– No. I doczekam doktora. Co z twoją małą?

– Zemdląca.

Andy posadził Irva, opierając go o drzwi stodoły. Irv patrzył na niego; jego twarz z lekka się zaczerwieniła, z ust zniknął siny odcień. Pocił się. Za ich plecami znikał w płomieniach wielki dom, który stał tu, na Baillings Road, od 1868 roku.

– Żaden człowiek nie powinien umieć zrobić tego, co ona zrobiła – powiedział Irv.

– Z pewnością masz rację – przytaknął Andy, a później odwrócił oczy od Irva i spojrzał wprost w nieruchomą, nieprzeblaganą twarz Normy Manders. – Ale też żaden człowiek nie powinien cierpieć na paraliż dziecięcy, porażenie mózgowe lub białaczkę. A to się trafia. Trafia się nawet dzieciom.

– Nie miała głosu. – Irv skinął głową. – Zgadza się.

Ciągle patrząc na Normę, Andy dodał:

– I ona nie jest potworem bardziej niż dziecko podłączone do sztucznego płuca albo umieszczone w domu dla niedorozwinię-

tych umyślowo.

– Przykro mi, że to powiedziałam – odparła Norma, a jej spojrzenie straciło pewność i ugięło się pod wzrokiem Andy’ego.

– Byłam z nią na dworze, kiedy karmiła kury. Patrzyłam, jak głaszcze krowę. Tylko, proszę pana, mój dom płonie i zginęli ludzie.

– Przykro mi.

– Dom jest ubezpieczony, Normo – powiedział Irv i ujął jej dłoń swą zdrową ręką.

– To nic nie pomoże naczyniom babci, które dostałam od mamy – odparła Norma. – I nie wróci mi mojej pięknej sekretary ani obrazów, które kupiliśmy w czerwcu w Shenectady na wystawie sztuki. – Z oka Normy spłynęła łza; wytarła ją z policzka rękawem. – I tych wszystkich listów, które pisałeś do mnie, kiedy byłeś w wojsku.

– Czy z twoją laleczką wszystko będzie dobrze? – zapytał Irv.

– Nie wiem.

– Cóż, słuchaj. Powiem ci, co możesz zrobić, jeśli chcesz. Za stodołą stoi stary willys jeep...

– Irv, nie! Nie mieszaj się w to jeszcze bardziej.

Irv obejrzał się na żonę; twarz miał szarą, pobrużdżoną, spocną. Za nimi płonął ich dom. Gonty pękały w płomieniach z dźwiękiem podobnym do tego, jaki wydają orzechy wrzucane do kominka na Boże Narodzenie.

– Ci ludzie przyjechali bez nakazu i bez żadnego papierka, i chcieli ich zabrać z naszej ziemi – powiedział. – Chcieli zabrać z naszej ziemi gości, których zaprosiłem do siebie, jak to się robi w normalnym kraju z uczciwymi prawami. Jeden z nich postrzelił mnie, a jeden próbował zabić tego tu Andy’ego. Chybili jego głowy najwyżej o pół centymetra. – Andy przypomniał sobie pierwszy, ogłuszający wystrzał i drzazgę, która odskoczyła od kolumnienki ganku, i zadrżał. – Przyjechali i tak właśnie było. To co ja mam według ciebie zrobić, Normo? Siedzieć tu i wydać ich tajnej policji, jeśli tylko starczy jej odwagi, by wrócić? Być dobrym Niemcem?

– Nie – odpowiedziała ochryple Norma. – Chyba nie.

– Nie musisz... – zaczął Andy.

– Czuję, że muszę – przerwał mu Irv. – A kiedy wrócą... bo oni wrócą, prawda, Andy?

– O, tak. Wróć. Właśnie kupiłeś akcje bardzo bogatej firmy. Irv roześmiał się; zabrzmiało to, jakby wydał gwizdzący, urywany dźwięk.

– Świetny żart. No więc, jeśli się tu pokażą, wiem tylko tyle, że wziąłeś mojego willysa. I nic więcej. Życzę ci wszystkiego dobrego.

– Dziękuję – odparł cicho Andy.

– Musimy się spieszyć. Daleko stąd do miasta, ale już na pewno dostrzegli dym. Przyjedzie straż pożarna. Powiedziałeś, że wraz z laleczką jedziecie do Vermontu. Czy to prawda?

– Tak.

Po lewej rozległ się jęk.

– Tatusiu...

Charlie usiadła. Czerwone spodnie i zielona bluzeczka pokryte były ziemią. Twarz miała bladą, w oczach straszną niepewność.

– Tato, co się pali? Czuję, że coś się pali. Czy to przeze mnie? Co się pali?

Andy podszedł i podniósł ją.

– Wszystko w porządku – powiedział i pomyślał: Czemu musisz to mówić dziecku nawet wtedy, gdy wie doskonale, równie dobrze jak ty, że to nieprawda. – Już dobrze. Jak się czujesz, kochanie?

Charlie patrzyła przez ramię na sznur płonących samochodów, na skręcone, leżące w ogródku ciało i na dom Mandersów z dachem zwieńczonym koroną płomieni. Ganek płonął już także. Wiatr niósł dym i ogień w przeciwną stronę, lecz zapach benzyny i gontów był bardzo silny.

– Ja to zrobiłam – powiedziała Charlie, prawie niesłyszalnie. Jej buzia znów zaczęła się krzywić i marszczyć.

– Laleczko! – powiedział poważnie Irv.

Charlie spojrzała na niego.

– Ja... – jęknęła.

– Posadź ją – powiedział Irv. – Chcę z nią porozmawiać. Andy przyniósł ją tam, gdzie siedział oparty o ścianę stodoły

Irv, i posadził obok.

– Posłuchaj mnie, laleczko. Ci ludzie zamierzali zabić twego tatę. Wiedziałaś o tym przede mną, może nawet przed nim sa-

mym, choć niech mnie diabli, jeśli wiem, jakim sposobem. Czy mam rację?

– Tak. – W oczach Charlie nadal była bezdenne rozpacz. – Ale ty nie pojmujesz. Było jak z żołnierzem, tylko gorzej. Nie mogłam... już nie mogłam tego powstrzymać. Poszło wszędzie. Spaliłam kilka twoich kur. i omal nie spaliłam taty! – Ze zrozpaczonych oczu pociekły niepowstrzymane łzy.

– Tata czuje się fajnie – stwierdził Irv.

Andy milczał. Pamiętał nagle uczucie duszności, uczucie zamknięcia w pęcherzu ciepła.

– Nigdy już tego nie zrobię – powiedziała Charlie. – Nigdy!

– Już dobrze. – Andy położył dłoń na jej ramieniu. – Już wszystko dobrze, Charlie.

– Nigdy – powtórzyła Charlie ze spokojnym naciskiem.

– Nie powinnaś tego mówić, laleczko – stwierdził Irv, podnosząc wzrok na Charlie. – Nie powinnaś się tak zarzekać. Robi się to, co trzeba zrobić, i najlepiej, jak się umie. To wszystko. Wierzę, że jest jedna rzecz, którą Bóg uwielbia: każe robić coś ludziom, którzy zarzekali się, że „nigdy tego nie zrobią”. Czy mnie rozumiesz?

– Nie – szepnęła Charlie.

– Kiedyś zrozumiesz. – Irv spojrzał na Charlie z tak głębokim współczuciem, że Andy poczuł, jak smutek i strach zaciskają mu gardło.

Irv spojrzał na żonę.

– Podaj mi ten patyk, co leży koło twojej nogi, Normo.

Norma podała mu patyk, włożyła mu go w rękę i powtórzyła raz jeszcze, że się przemęcza, że powinien odpocząć. Tylko Andy usłyszał więc, jak Charlie powtórzyła „nigdy”; niemal niesłyszalnie, do siebie, jakby była to jej prywatna przysięga.

17

– Popatrz no tu, Andy – powiedział Irv i w pyle podwórka narysował prostą linię. – To droga gruntowa, którą przyjechaliśmy. Baillings Road. Jeśli pojedziesz trzysta metrów na północ, po prawej trafisz na przecinkę w lesie. Samochodem byś po niej nie przejechał, ale willys powinien dać radę, jeśli się nie zatrzymasz i będziesz delikatnie używał sprzęgła. Parę razy może ci

się wydać, że droga po prostu znikła; jedź dalej i znowu na nią trafisz. Nie ma jej na mapie, rozumiesz? Na żadnej mapie.

Andy skinął głową, patrząc na patyk rysujący w pyłe leśną drogę.

– Pojedź nią dwadzieścia kilometrów na wschód i, jeśli nie ugrzęzniesz ani się nie zgubisz, wyjedziesz na drogę sto pięćdziesiąt dwa koło Hoag Corners. Skręć w lewo – na północ – i po przejechaniu mniej więcej półtora kilometra po sto pięćdziesiątej drugiej trafisz na kolejną przecinkę. Idzie doliną, jest wilgotna, bagnista. Może willyś nią przejedzie, a może nie. Nie jechałem tędy od jakichś pięciu lat. To jedyna trasa, jaką znam, która prowadzi na wschód, do Vermontu, i nie będzie zablokowana. Ta druga przecinka powinna cię wyprowadzić na autostradę dwadzieścia dwa na północ od Cherry Plain i na południe od granicy Vermontu. Tam może już być łatwiej, chociaż przypuszczam, że prześlą wasze nazwiska i zdjęcia telegrafem. Ale życzymy ci powodzenia. Czy nie tak, Normo?

– Tak – odpowiedziała Norma i słowo to było niemal westchnieniem. Spojrzała na Charlie. – Ocalaś życie swemu ojcu, maleńka. Warto o tym pamiętać.

– Warto? – spytała Charlie i jej głos był tak doskonale bezdźwięczny, że Norma Manders spojrzała na nią zdumiona i trochę przestraszona. I wtedy Charlie uśmiechnęła się z wahaniem; Norma odpowiedziała jej pełnym ulgi uśmiechem.

– Kluczyki są w stacyjce i... – Irv przekrzywił głowę. – Słuchaj.

Usłyszeli dźwięk syren, wznoszący się i opadający na przemian, ciągle daleki, lecz coraz bliższy.

– Straż pożarna – powiedział Irv. – Jeśli macie jechać, lepiej jedźcie.

– Chodź, Charlie – powiedział Andy.

Dziewczynka podeszła. Oczy miała zaczerwienione od łez, niepewny uśmiech znikł jak promień słońca za chmurami, ale Andy czuł się mocno podbudowany tym, że uśmiech w ogóle tam był. Na razie Charlie przypominała rannego, zszokowanego rozbitka. W tej jednej chwili Andy pragnął tylko jednego: mieć jej talent – użyłby go i wiedział, przeciw komu by go użył.

– Dziękuję ci, Irv – powiedział.

– Przepraszam – dodała Charlie bardzo cicho. – Przepraszam za dom, za kury i... i za wszystko inne.

– To z pewnością nie twoja wina, laleczko – powiedział Irv. – Sami się o to prosili. Uważaj na tatusia.

– Dobrze.

Andy wziął ją za rękę i poprowadził wokół stodoły, gdzie pod rozpiętym na tyczkach płótnem stał zaparkowany willys.

Gdy udało mu się zapalić i wyjechać przez trawnik na drogę, syreny były już bardzo blisko. Przez ten czas dom zmienił się w piekło. Charlie nie chciała się obejrzeć. Andy po raz ostatni zobaczył Mandersów we wstecznym lusterku krytego brezentem jeepa; Irv opierał się o ścianę stodoły, zranione ramię owinięte miał białą, zakrwawioną szmatą. Obok niego siedziała Norma. Obejmował ją sprawnym ramieniem. Andy pomachał im i Irv próbował podnieść ranną rękę. Norma nie odmachała, być może myślała o porcelanie matki, o sekretarze, o listach miłosnych – o wszystkim, czego nie kupi się za pieniądze z ubezpieczenia i czego nigdy nie można było kupić za pieniądze.

18

Pierwszą leśną przecinkę znaleźli dokładnie tam, gdzie powinna się znajdować według opisu Mandersa. Andy włączył napęd na cztery koła i wjechał w las.

– Trzymaj się, Charlie – powiedział. – Będzie rzucać.

Charlie wtuliła się w siedzenie. Twarz miała bladą, apatyczną; samo patrzenie na nią niepokoiło Andy'ego.

Domek, pomyślał. Domek Granthera McGee nad jeziorem Tashmore. Gdybyśmy tylko zdołali tam dojechać i odpocząć. Charlie jakoś się pozbiera, a potem pomyślimy, co powinniśmy robić dalej. Pomyślimy o tym jutro. Jak mawiała Scarlett, jutro będzie nowy dzień.

Rycząc silnikiem i kiwając się na boki, willys pełził przecinką, a właściwie śladem dwóch kolein, pomiędzy którymi rosły krzaczki i nawet kilka skarłowaciałych sosen. Wyglądało na to, że zwalone drzewa wywieziono z tego lasu mniej więcej dzieść lat temu i Andy wątpił, czy później ktoś w ogóle używał przecinki, chyba że jakiś przypadkowy myśliwy.

Po dziesięciu kilometrach dotarł do miejsca, w którym droga „zdawała się znikać”, i musiał dwukrotnie wysiadać z samochodu, by usunąć zwalone drzewa. Za drugim razem przerwał na chwilę ciężką pracę – w głowie mu huczało, serce biło aż za szybko – i dostrzegł sarnę, przyglądającą mu się z namysłem. Popatrzyła jeszcze przez chwilę i uskoczyła w głębszy las, łyskając białym ogonkiem. Andy spojrzał na Charlie, zobaczył, że patrzyła na uciekające zwierzę z czymś w rodzaju zachwyty... i znowu poczuł przypływ nadziei. Kawałek dalej znów znaleźli koleiny i około trzeciej wyjechali na dwupasmową, asfaltową drogę 152.

19

Orville Jamieson, podrapany, ubłocony i prawie niezdolny do marszu z powodu zwichniętej kostki, usiadł przy Baillings Road, niepełny kilometr od farmy Mandersów, i zaczął mówić do krótkofalówki. To, co mówił, przekazane zostało do czasowego punktu dowodzenia w półciężarówce zaparkowanej na głównej ulicy Hastings Glen. W samochodzie znajdował się nowoczesny sprzęt radiowy z maszyną do szyfrowania i potężnym nadajnikiem. Raport OJ-a został zaszyfrowany, wzmocniony i wysłany do Nowego Jorku. Stacja przekaźnikowa w Nowym Jorku przechwyciła wiadomość i przekazała ją do Longmont w Wirginii, a w Longmont wysłuchał jej Kap.

Twarz Kapa nie była już taka wesoła i jowialna jak rankiem, gdy przyjechał do pracy na rowerze. Raport OJ-a wydawał się niewiarygodny; wiedzieli, że w dziewczynce jest coś, lecz relacja o nieoczekiwanej rzeźni i odwróceniu ról była (przynajmniej dla Kapa) gromem z jasnego nieba. Czterech do sześciu agentów martwych, inni w panice rozproszeni po lesie, sześć samochodów w płomieniach, dopalający się dom, cywil ranny i skłonny opowiadać wszystkim razem i każdemu z osobna o bandzie neonazistów, która napadła na jego dom i próbowała porwać mężczyznę i dziewczynkę, zaproszonych przez niego na śniadanie.

Kiedy OJ skończył raport (w rzeczywistości OJ wcale go nie skończył, tylko zaczął się powtarzać, miał atak hysterii), Kap odwiesił słuchawkę, zapadł się w obrotowy fotel i spróbował pomyśleć. Nie pamiętał, by jakaś tajna operacja poszła tak spekta-

kularnie źle od czasu Zatoki Świń – a to tutaj zdarzyło się na amerykańskiej ziemi.

Teraz kiedy słońce przesunęło się na drugą stronę budynku, biuro było ciemne i pełne głębokich cieni, ale Kap nie zapalił światła. Rachel zgłosiła się przez interkom; odpowiedział jej krótko, że nie chce rozmawiać z nikim, ale to z nikim.

Czuł się staro.

Usłyszał głos Wanlessa: „Mówię o możliwości niszczenia”. Fajnie, to już nie była kwestia możliwości, prawda? Ale dostaniemy ją, pomyślał, patrząc przez pokój i niczego nie widząc. O tak, dostaniemy ją.

Wydzwonił Rachel.

– Chcę rozmawiać z Orville'em Jamiesonem, gdy tylko tu przyleci – powiedział. – I chcę rozmawiać z generałem Brackmanem w Waszyngtonie, priorytet A-Jeden-A. Mamy potencjalnie dekonspirującą sytuację w stanie Nowy Jork i chcę go o tym zawiadomić od razu.

– Tak – powiedziała z szacunkiem Rachel.

– Chcę spotkać się dzisiaj o dziewiętnastej zero zero z wszystkimi sześcioma zastępcami. Także A-Jeden-A. I chcę rozmawiać z szefem policji stanowej tam, w Nowym Jorku.

Policja brała udział w poszukiwaniach i Kap chciał im o tym przypomnieć. Jeśli miało dojść do wzajemnego obrzucania się błotem, niech mają pewność, że zachowa dla nich piękne, duże wiadro. Lecz chciał im także powiedzieć, że jeśli pójdą równym frontem, są w stanie wyjść z tego względnie uczciwie.

Zawahał się i dodał:

– I kiedy zgłosi się John Rainbird, powiedz mu, że chcę z nim rozmawiać. Mam dla niego kolejne zajęcie.

– Tak, proszę pana.

Kap puścił guzik interkomu. Rozparł się w fotelu i patrzył na cienie.

– Nie zdarzyło się nic, czego nie można by naprawić – powiedział ceniom. Takim mottem posługiwał się przez całe życie. Nie wyhaftował go na makatce, nie wyrył w miedzi i nie postawił na stole; tę prawdę miał wyrytą w sercu.

Nic, czego nie można by naprawić. Aż do dziś, do raportu OJ-a, wierzył właśnie w to. Ta filozofia pomogła biednemu dziecku górnika z Pensylwanii przejść długą drogę. I wierzył w to ciągle,

choć przez chwilę jego wiara się zachwiała. Jeśli chodzi o tego Mandersa i jego żonę, to pewnie mają krewnych rozrzuconych od Nowej Anglii po Kalifornię, a każdy z nich to potencjalny punkt nacisku. Tu, w Longmont, jest wystarczająco wiele tajnych materiałów, by zabezpieczyć się na wypadek przesłuchania w Kongresie; przesłuchanie takie byłoby... cóż, trudne do usłyszenia. Samochody – a nawet agenci – byli tylko narzędziami, chociaż minie wiele czasu, nim przyzwyczai się do myśli, że Al Steinowitz nie żyje. Czy jest tu ktoś, kto mógłby zastąpić Ala? Ten dzieciak i jej stary zapłacą za to, co zrobili Alowi, jeśli nie za więcej. Już on tego dopilnuje.

Lecz dziewczynka... Czy można naprostować dziewczynkę?

Są sposoby. Są sposoby na jej powstrzymanie.

Akta McGee ciągle leżały na bibliotekarskim wózku. Kap wstał, podszedł do nich i zaczął je niecierpliwie przewracać. Zastanawiał się, gdzie jest teraz John Rainbird.

Waszyngton, D.C.

1

W chwili kiedy Kap poświęcił mu przelotną myśl, John Rainbird siedział w swoim pokoju w hotelu Mayflower i oglądał teleturniej *The Crosswits*. Siedział na krześle – bosa stopy spoczywały na podłodze – i oglądał program. Czekał, aż się ściemni. Kiedy już się ściemni, będzie czekał, aż zrobi się późno. Kiedy zrobi się późno, będzie czekał, aż zrobi się wcześniej. Kiedy zrobi się wcześniej i puls hotelu będzie bił najwolniej, przestanie czekać, pójdzie na górę do pokoju 1217 i zabije doktora Wanlessa. Później zejdzie do siebie i zacznie myśleć o wszystkim, co Wanless powie mu, nim umrze; a niedługo po wschodzie słońca zdrzemnie się na chwilę.

John Rainbird był człowiekiem żyjącym w pokoju. Żył w pokoju niemal ze wszystkim – z Kapem, ze Sklepikiem, ze Stanami Zjednoczonymi. Żył w pokoju z Bogiem, szatanem i wszechświatem. Jeśli nie osiągnął pokoju w swej duszy, to tylko dlatego, że jego pielgrzymka jeszcze się nie zakończyła. Dokonał mnóstwa wspaniałych wyczynów, miał wiele zaszczytnych blizn. To bez znaczenia, że ludzie odwracają się od niego pełni obrzydzenia i strachu. Nie znaczyło nic to, że w Wietnamie stracił oko. Nie znaczyło nic to, co mu płacili.

Brał pieniądze i wydawał je głównie na buty. Bardzo kochał buty. Miał dom we Flagstaff i chociaż sam rzadko do niego zaglądał, kazał tam wysyłać wszystkie kupione buty. Kiedy miał okazję, by znaleźć się w domu, podziwiał buty: Gucci, Bally, Bass, Adidas, Van Donen. Buty. Jego dom był przedziwnym lasem; wszędzie rosły drzewa butowe i John Rainbird chodził z pokoju do pokoju, podziwiając butowe owoce, które na nich rosły. Lecz gdy był sam, chodził boso. Ojca, czystej krwi Cherokee, pochowali boso. Ktoś ukradł jego pogrzebowe mokasyny.

Oprócz butów Johna Rainbirda interesowały tylko dwie rzeczy. Jedną z nich była śmierć. Oczywiście jego własna śmierć; przygotowywał się na jej nieuchronne nadejście dwadzieścia lat, może dłużej. Rozdawanie śmierci zawsze było jego zawodem i jedynym przedmiotem, w którym celował. W miarę jak się starzał, interesował się tym coraz bardziej i bardziej; jak artysta coraz bardziej zainteresowany jakością i natężeniem światła, jak pisarz zainteresowany postaciami i niuansami, jak ślepiec czytający brajlem. Tym, co interesowało go najbardziej, był moment opuszczenia... moment odejścia duszy... odejście od ciała oraz tego, co ludzie znają jako życie, i przejście w coś innego. Co czuje człowiek, który odpływa? Czy myśli, że to sen, z którego się obudzi? Czy spotyka chrześcijańskiego diabła z widłami, gotowego nadziać na nie wrzeszczącą ludzką duszyczkę i zanieść ją do piekła jak szaszłyk na rożnie? Czy czuje się radość? Czy człowiek wie, że odchodzi? Co widzą oczy umierającego?

Rainbird miał nadzieję, że trafi na okazję, by samemu dowiedzieć się wszystkiego. W jego zawodzie śmierć była często szybka i nieoczekiwana, była czymś, co działo się w mgnieniu oka. Miał nadzieję, że gdy nadejdzie jego śmierć, będzie miał czas na przygotowanie i będzie czuł wszystko. Ostatnio coraz częściej i częściej patrzył w twarze ludzi, których zabijał, chcąc odkryć ten sekret w ich oczach.

Interesowała go śmierć.

Interesowała go także mała dziewczynka, którą oni wszyscy tak byli zaniepokojeni. Ta Charlene McGee. Kap sądził, że Rainbird może coś tam słyszał o rodzinie McGee i nie wie nic o Próbie Sześć. W rzeczywistości Rainbird wiedział niemal tyle co sam Kap – i gdyby Kap się tego domyślał, zastosowałby wobec niego sankcję ostateczną. Podejrzewali, że dziewczynka ma jakąś wielką – lub potencjalnie wielką – moc, a może mnóstwo mocy. Wiedział także, że Andy McGee ma coś, co Kap nazywał „potencjalną zdolnością dominacji umysłowej” – ale to nie obchodziło Johna Rainbirda. Nigdy jeszcze nie spotkał człowieka, który mógłby go zdominować.

Skończył się teleturniej. Rozpoczęły się wiadomości i żadna z nich nie była dobra. John Rainbird siedział, nie jedząc, nie pijąc, nie paląc; czysty, pusty jak skorupa człowieka – czekał, aż przyjdzie czas odpowiedni, by zadać śmierć.

Tego samego dnia rano Kap z niepokojem myślał o tym, jak cicho porusza się Rainbird. Doktor Wanless wcale go nie usłyszał. Obudził się z głębokiego snu. Obudził się, bo palec łaskotał go tuż pod nosem. Obudził się i zobaczył, że nad jego łóżkiem pochyla się jakiś potwór rodem z koszmarnego snu. Jedno oko błyszczało w świetle bijącym z łazienki, które Wanless zawsze zostawiał, będąc w nieznanym miejscu. Tam gdzie powinno być drugie oko, ział pusty krater.

Wanless otworzył usta do krzyku i John Rainbird palcami jednej ręki złapał go za nos, a drugą przykrył mu usta. Wanless zaczął rzucać się w łóżku.

– Ciii – powiedział Rainbird. Mówił z pełną troski pobłażliwością matki, która przyszła zmienić dziecku pieluszkę.

Wanless próbował walczyć.

– Jeśli chcesz żyć, leż nieruchomo i bądź cicho – powiedział Rainbird.

Wanless spojrzał na niego, drgnął raz i znieruchomiał.

– Czy będziesz cicho? – zapytał Rainbird.

Wanless skinął głową. Twarz miał bardzo, bardzo czerwona.

Rainbird usunął dłoń i Wanless zaczął oddychać chrapliwie.

Z nosa sączył się wąski strumyk krwi.

– Kto... ty... Kap cię... przysłał?

– Jestem Rainbird – odpowiedział Rainbird poważnie. – Kap mnie przysłał, tak.

W mroku oczy Wanlessa wydawały się ogromne. Wysunął język i oblizwał wargi. Leżąc w łóżku, pod skopanym prześcierałem Wanless wyglądał jak najstarsze dziecko świata.

– Mam pieniądze – szepnął bardzo szybko. – Konto w banku, w Szwajcarii. Mnóstwo forsy. Wszystko twoje. Już nigdy się nie odezwę. Przysięgam na Boga.

– Nie przyszedłem tu po pańskie pieniądze.

Wanless gapił się na niego z uśmiechem szaleńca w lewym kąciku ust; lewa, na wpół opuszczona powieka drżała.

– Jeśli chce pan żyć o wschodzie słońca – stwierdził Rainbird – będzie pan do mnie mówił, doktorze Wanless. Wygłosi mi pan wykład. Seminarium dla jednego studenta. Będę uważał, jestem

pilnym uczniem. I wynagrodzę pana pańskim życiem, które spędzi pan z daleka od Kapa i od Sklepiku. Czy pan mnie rozumie?

– Tak – odpowiedział ochryple Wanless.

– Czy pan się zgadza?

– Tak... lecz co...?

Rainbird podniósł dwa palce do ust i doktor Wanless natychmiast umilkł. Jego chuda pierś wznosiła się i opadała gwałtownie.

– Mam zamiar powiedzieć dwa słowa i wtedy zacznie pan swój wykład. Będzie w nim wszystko, co pan wie, wszystko, co pan podejrzewa, wszystkie pańskie teorie. Czy jest pan gotów usłyszeć te dwa słowa, doktorze Wanless?

– Tak.

– Charlene McGee – powiedział Rainbird i Wanless zaczął mówić.

Słowa płynęły najpierw powoli, później coraz szybciej. Opowiedział Rainbirdowi wszystko o projekcie Próba Sześć, o testach i o straszliwym eksperymencie. Rainbird znał już większość jego relacji, ale opowieść Wanlessa wypełniła także kilka luk. Profesor powtórzył całe kazanie, które rano wygłosił do Kapa, i tu został uważnie wysłuchany. Rainbird słuchał w skupieniu, czasami marszcząc się, cicho bijąc brawo i chichocząc z metafory o nauce siusiania na nocniczku. Skłoniło to Wanlessa, by opowiadał jeszcze szybciej, a kiedy zaczął się powtarzać, jak to bywa ze starymi ludźmi, Rainbird znów wyciągnął ręce, jedną złapał go za nos, a drugą przykrył mu usta.

– Przykro mi – powiedział.

Wanless wił się pod ciężarem Rainbirda i rzucał jak ryba; Rainbird przycisnął go jeszcze mocniej, a kiedy Wanless osłabł, nagle usunął dłoń, którą zatykał mu nos. Dźwięk, z jakim dobry doktor wciągnął oddech, przypominał syk powietrza uchodzącego z przebitej gwoździem opony. Oczy dziko obracały mu się w orbitach, obracały się jak oczy oszalałego ze strachu konia... ale ciągle za słabo było je widać.

Rainbird złapał go za kołnierz piżamy i szarpnięciem ułożył na boku, tak że zimne, białe światło z łazienki świeciło Wanlessowi prosto w twarz.

I znów zatkał mu nos.

Człowiek może czasami nie oddychać do dziewięciu minut, nie uszkadzając nieodwracalnie mózgu, jeśli leży całkiem nieruchomo. Kobieta, z nieco większą pojemnością płuc i nieco lepszym systemem wydalania dwutlenku węgla, wytrzymuje dziesięć, dwanaście. Oczywiście strach, walka, skracają znacznie ten czas.

Doktor Wanless walczył rozpaczliwie przez czterdzieści sekund, a później wysiłki i próby ocalenia zaczęły słabnąć. Dłonie uderzyły słabo w zniekształcony marmur, który był twarzą Rainbirda. Pięty wybiły słabnący rytm na wykładzinie. Pod pokrytymi odciskami palcami Johna Rainbirda zaczął się ślinić.

To była właściwa chwila.

Rainbird pochylił się i z dziecinną ciekawością wpatrzył się w oczy Wanlessa.

To samo, zawsze to samo. Oczy traciły swój przerażony wyraz, zastąpiony wyrazem ogromnego zdziwienia. Nie zachwytu, nie rosnącego zrozumienia, nie strachu czy pojmwania, lecz prostego zdziwienia. Przez chwilę dwoje zdziwionych oczu spojrzało w oko Rainbirda i Rainbird wiedział, że go dostrzeżono. Pewnie niewyraźnie, we mgle gęstniejącej w miarę, jak doktor odchodził coraz dalej, ale dostrzeżono. Później nie było już nic oprócz ślepego blasku. Doktora Wanlessa nie było już w pokoju hotelu Mayflower; Rainbird siedział na łóżku, na którym leżała naturalnych rozmiarów lalka.

Siedział nieruchomo, ciągle trzymając dłoń na ustach lalki, ciągle ściskając palcami jej nos. Lepiej się upewnić. Będzie tak siedział jeszcze dziesięć minut.

Myślał o tym, co Wanless powiedział mu na temat Charlene McGee. Czy to możliwe, by małe dziecko miało taką moc? Podejrzewał, że to możliwe. W Kalkucie widział, jak człowiek przebija się nożami: nogi, brzuch, pierś, szyja – a później wyjmuje noże, nie zostawiając ran. To możliwe. A już na pewno... interesujące.

Myślał o tym, a później zorientował się, że myśli, jak to by było – zabić dziecko. Nigdy nie zabił dziecka świadomie (choć raz podłożył bombę w samolocie, bomba wybuchła, zabijając wszystkich sześćdziesięciu pasażerów; może jedno czy dwoje z nich było dziećmi, ale to nie to samo, tamto było bezosobowe). W jego zawodzie śmierć dzieci rzadko była konieczna. W końcu nie byli przecież zwykłymi terrorystami jak IRA lub OWP, niez-

leżnie od tego, w co chcieliby wierzyć pewni ludzie – na przykład niektórzy jajogłowi z Kongresu.

W końcu są przecież instytutem naukowym.

Być może w przypadku dziecka będzie inaczej. Oczy umierającego dziecka mogą mieć inny wyraz, może w nich być coś oprócz zdziwienia, które sprawia, że czuje się taki pusty i – tak, to prawda – smutny.

Ze śmierci dziecka może się dowiedzieć części tego, co musi poznać.

Śmierci dziecka takiego, jak Charlene McGee.

– Moje życie jest jak prosta ścieżka na pustyni – powiedział cicho John Rainbird. Spojrzał zachłannie w mętne niebieskie kamyczki, które były oczami doktora Wanlessa. – Lecz twoje wcale nie jest ścieżką, mój przyjacielu... mój dobry przyjacielu.

Pocałował Wanlessa najpierw w jeden, potem w drugi policzek. Później z powrotem położył go na łóżku i przykrył prześcieradłem. Spadło powoli jak spadochron i przykryło białym trawnikiem jego sterczący i teraz nieruchomy nos.

Rainbird wyszedł z pokoju.

Tej nocy myślał o dziewczynce, która być może potrafi rozniecać ogień. Dużo o niej myślał. Zastanawiał się, gdzie jest, o czym myśli, o czym marzy. Myślał o niej ciepło, chciał ją chronić.

Tuż po szóstej rano, kiedy wreszcie zasnął, czuł pewność: ta dziewczynka będzie jego.

Tashmore, Vermont

1

Dwa dni po spaleniu farmy Mandersów Andy i Charlie McGee dotarli do domku nad jeziorem Tashmore. Willys od początku nie był w najlepszej formie, a grząskie leśne drogi, które wskazał im Irv, raczej mu zaszkodziły.

Kiedy nadszedł zmierzch ciągnącego się bez końca dnia, rozpoczętego w Hastings Glen, Andy i Charlie znajdowali się dwadzieścia metrów od końca drugiej – i gorszej – z dwóch leśnych dróg. Przed nimi, lecz osłonięta gęstymi krzakami, leżała szosa 22. Chociaż nie mogli jej widzieć, od czasu do czasu słyszeli gwizd i szum silników przejeżdżających samochodów i ciężarówek. Przespali noc w willysie, przytuleni dla ochrony przed chłodem. Ruszyli w drogę wczesnym rankiem. Światło dnia objawiało się wyłącznie słabym poblaskiem na wschodzie.

Charlie była blada, apatyczna, znużona. Nie zapytała, co się zdarzy, jeśli blokady przesunięto na wschód. Nie miało to żadnego znaczenia – jeśli bowiem blokady przesunięto, zostaną złapani i kropka. I nie mogli też pozbyć się willysa; Charlie nie miała siły, by iść, i on także.

Więc Andy wyjechał na szosę i cały ten październikowy dzień zygzakował po bocznych drogach pod białym niebem zwiastującym deszcz, który nigdy nie spadł. Charlie dużo spała i Andy martwił się o nią; martwił się, że sen nie daje jej zdrowia – że jest ucieczką od tego, co się stało, od tego, z czym trzeba się pogodzić.

Dwukrotnie zatrzymywali się przy przydrożnych restauracjach, kupując hamburgery z frytkami. Za drugim razem Andy użył pięciodolarowego banknotu, który dał mu kierowca mikrobusu, Jim Paulson. Większość drobnych z telefonu znikła. Pewnie trochę wypadło mu z kieszeni w czasie tego szaleństwa na

farmie Mandersów, ale nie pamiętał, żeby je gubił. Znikło także coś innego: przerażające miejsca na twarzy, te, w których nie miał czucia, znikły kiedyś w nocy. Nie zmartwiła go ta strata.

Większość porcji hamburgerów i frytek, które kupił dla Charlie, pozostała nietknięta.

Ostatniej nocy, w godzinę po zapadnięciu ciemności, wjechali na parking przy autostradzie. Oprócz nich nie było na nim nikogo. Nadeszła jesień i pora na turystów minęła – aż do przyszłego roku. Znak wypalony w drewnie oznajmiał: NIE NOCOWAĆ. NIE SPUSZCZAĆ PSÓW ZE SMYCZY. KARA ZA ŚMIECENIE: 500 DOLARÓW.

– Fajni ludzie tu mieszkają – mruknął Andy i zjechał willysem po zboczu, poza granicę wysypanego żwirem parkingu, do lasu przy małym, szmerzącym strumyku. Wysiedli z samochodu i w milczeniu zeszli nad wodę. Na niebie wisiały chmury, lecz noc była ciepła. Nie widzieli gwiazd, panowała niezwykła ciemność. Usiedli na trawie i przez chwilę słuchali strumyka szepczącego im swą opowieść. Andy wziął Charlie za rękę i wtedy dziewczynka wybuchnęła płaczem; głośnym szlochem, który niemal rozszarpał ją na strzępy.

Andy objął córkę i zaczął ją kołysać.

– Charlie – mruknął. – Charlie, Charlie, nie. Nie płacz.

– Proszę, nie każ mi znów tego robić – szlochała Charlie. – Bo jeśli mi każesz i ja to zrobię, to chyba się zabiję, więc tato... proszę... nigdy...

– Kocham cię – powiedział Andy. – Tylko bądź cicho i nie mów o samobójstwie. To szaleństwo.

– Nie – powiedziała Charlie. – Nie. Obiecuj, tato.

Myślał o tym przez dłuższą chwilę, a potem powiedział powoli:

– Nie wiem, czy mogę, Charlie. Ale obiecuję, że będę próbował. Czy to ci wystarczy?

Niepewna cisza starczyła za odpowiedź.

– Ja też się bałem – powiedział cicho Andy. – Tatusiowie też się boją, wiesz? Powinnaś w to uwierzyć.

Tę noc także spędzili w willysie. Wyjechali na drogę o szóstej rano. Chmury na niebie zrzędy i o dziesiątej zaczął się piękny, jesienny dzień. Chwilę później przejechali granicę Vermontu i zobaczyli mężczyznę wspinającego się na drabiny, sterczące jak

maszty wśród wysokich jabłoni, i stojące w sadach ciężarówki ze skrzyniami jabłek.

O jedenastej trzydzieści skręcili z drogi 22 na wąską, zarosniętą dróżkę oznaczoną znakiem WŁASNOŚĆ PRYWATNA i Andy poczuł ucisk w gardle. Dotarli do domku Granthera McGee. Byli na miejscu.

Jechali wolno w stronę jeziora; dzieliły ich od celu może dwa kilometry. Jesienne, czerwone i złote, liście opadały na drogę przed tępą maską jeepa. W chwili gdy wśród drzew mogli już dostrzec błysk wody, droga rozdzieliła się. Węższą zamykał ciężki żelazny łańcuch, do którego przyczepiona była żółta, zardzewiała tabliczka z napisem: ZAKAZ WSTĘPU Z POLECENIA MIEJSCOWEGO SZERYFA. Tabliczka zardzewiała przede wszystkim wokół sześciu czy ośmiu wybitych w metalu dziur; Andy przypuszczał, że dzieciak jakichś turystów, którzy przyjechali tu na lato, z nudów wystrzelił je ze swej wiatrówki. Ale to zdarzyło się całe lata temu.

Wysiadł z willysa i wyjął z kieszeni klucze. Przy kółku wisiała skórzana plakietka z jego inicjałami: A. McG, wytartymi, prawie nieczytelnymi. Vicky dała mu kiedyś ten kawałek skóry pod choinkę. Na Boże Narodzenie, przed urodzinami Charlie.

Przez chwilę stał przy łańcuchu, patrząc na skórzaną plakietkę i na klucze. Było ich kilkadziesiąt. Klucze to zabawne przedmioty; gromadzą się na kółku i na ich podstawie możesz ocenić całe swoje życie. Podejrzewał, że niektórzy ludzie, niewątpliwie ludzie, którzy potrafią zorganizować sobie życie lepiej niż on, po prostu wyrzucają nieużyteczne klucze; tacy geniusze organizacji mniej więcej co pół roku robią porządki w portfelu. Andy nigdy nie zrobił ani jednego, ani drugiego.

Miał klucz, który otwierał drzwi do wschodniego skrzydła Prince Hall w Harrison, gdzie był kiedyś jego gabinet. Klucz do samego gabinetu. Do biura wydziału anglistyki. Miał klucz do swojego domu w Harrison; domu, który widział po raz ostatni w dniu, w którym Sklepik zabił mu żonę i porwał córkę. Dwóch czy trzech kolejnych nie potrafił nawet zidentyfikować. Klucze to zabawne przedmioty, no tak.

Oczy mu się zamgliły. Nagle zatęsknił za Vicky, zatęsknił tak, jak nigdy nie tęsknił za nią od czasu tych pierwszych, strasznych tygodni, które spędził z Charlie na szosach. Taki był zmę-

czony, taki przerażony, taki wściekły. Gdyby w tej chwili wszyscy agenci Sklepiku stanęli rzędem przy drodze do domku Granthera i gdyby ktoś dał mu pistolet maszynowy...

– Tatusiu? – był to głos Charlie, zaniepokojony. – Nie możesz znaleźć klucza?

– Nie, już go mam.

Klucz wisiał z innymi, mały kluczyk Yale, na którym wydrapał scyzorykiem litery J.T. oznaczające Jezioro Tashmore. Ostatni raz byli tutaj w roku, w którym urodziła się Charlie, i teraz Andy musiał parę razy poruszać kluczem w zamku, nim zardzewiała kłódka się otworzyła. Zamek puścił w końcu i Andy położył łańcuch na dywanie opadłych liści.

Wjechali willysem na drogę i Andy z powrotem zamknął łańcuch.

Z zadowoleniem stwierdził, że droga była w kiepskim stanie. Kiedy przyjeżdżali regularnie, każdego lata spędzał tu trzy czy cztery tygodnie i zawsze znajdował kilka dni, by popracować nad drogą: przywoził trochę żwiru z kamieniołomu Sama Mora i wysypywał go w najgłębsze dziury, wycinał krzaki, nawet ściągał Sama, który wyrównywał drogę staroświeckim walcem. Szersza przecinka prowadziła do kilkunastu letnich domów i domków stojących przy brzegu jeziora; ich właściciele mieli swoje stowarzyszenie, płacili roczne składki, odbywali sierpniowe spotkania i wszystko inne (choć spotkania były naprawdę tylko pretekstem, by upić się strasznie przed Labor Day i nieuniknionym końcem wakacji); ale dom Granthera był jedynym przy węższej drodze, bo sam Granther w najgorszych dniach depresji wykupił za grosze całą ziemię.

W dawnych czasach mieli duży, rodzinny samochód – forda kombi. Wątpił, czy stary samochód przejechałby teraz tą drogą; nawet wysoko zawieszony willys raz czy dwa zawadził podwoziem o ziemię. Andy nie miał nic przeciwko temu. Oznaczało to, że nikt przed nimi tędy nie przejeżdżał.

– Czy będziemy mieli elektryczność, tato? – zapytała Charlie.

– Nie. I nie będziemy mieli telefonu. Nie ośmielimy się włączyć elektryczności, mała. Byłoby tak, jakbyśmy wywiesili szyld: TU JESTEŚMY! Ale mamy lampy naftowe i dwie beczki nafty. Jeśli nie ukradziono paliwa.

Tego się obawiał. Od czasu kiedy tu byli, nafta podrożała wystarczająco, by skusić złodziei; tak przynajmniej przypuszczał.

– A czy starczy...

– O cholera! – krzyknął Andy i wdepnął hamulec.

Na drogę, tuż przed nimi, zwało się drzewo; wielka, stara brzoza złamana przez którąś z zimowych zamieci.

– Obawiam się, że stąd musimy iść piechotą. To tylko półtora kilometra. Damy sobie radę.

Później trzeba będzie koniecznie wrócić tu z małą piłą Granthera i pociąć zwałone drzewo. Nie chciał zostawiać willysa Irva w tym miejscu. Byłby zbyt widoczny.

Zmierzył włosy Charlie.

– Idziemy!

Wysiedli z jeepa i Charlie bez wysiłku przeszła pod drzewem. Andy ostrożnie przelazł przez zwałony pień, starając się nie urazić w żadne czułe miejsce. Szli, a liście szeleściły przyjaźnie pod ich stopami; w lesie mocno pachniało jesienią. Z drzewa przyglądała się im wiewiórka, z zainteresowaniem obserwując, dokąd idą. I znów mogli widzieć pobłyski błękitu wśród drzew.

– O czym mówiłaś akurat wtedy, gdy zobaczyłem drzewo? – zapytał Andy.

– Czy starczy nam paliwa na dłuższy czas? Gdybyśmy mieli spędzić tu zimę?

– Nie, ale wystarczy na początek. I mam zamiar naciąć mnóstwo drzewa. Będziesz mi pomagać je ściągać.

W dziesięć minut później doszli do miejsca, w którym droga rozszerzała się w polanę nad brzegiem jeziora Tashmore. Doszli na miejsce. Przez chwilę obydwójce stali w milczeniu. Andy nie wiedział, co czuje Charlie; na niego naszała taka masa wspomnień, że nie sposób było nazwać tego łagodnym słowem „nostalgia”. Ze wspomnieniami mieszała się pamięć o śnie sprzed trzech dni – łódź, skradająca się nocą bestia, nawet łaty na kaloszach Granthera.

Dom miał pięć pokoi. Zbudowany był z drewna na kamiennym fundamencie. Od strony jeziora stał taras, a kamienny pomost wysuwał się w wodę. Oprócz dywanu liści i odpadów z trzech zim miejsce to wcale się nie zmieniło. Andy niemal spodziewał się, że zaraz pojawi się sam Granther, ubrany w jedną ze swych zielono-czarnych koszul, machając ręką i krzycząc, by

wszedł, pytając, czy ma już kartę wędkarską, bo ciemny pstrąg fajnie rzuca się wieczorem.

To było dobre miejsce, bezpieczne miejsce. Na przeciwnym brzegu jeziora sosny błyszcząły zielono i szaro w blasku słońca. Głupie drzewa, powiedział kiedyś Granther. Nie wiedzą nawet, co to różnica między latem i zimą. Jedynym znakiem cywilizacji było ciągle miasteczko Bradford. Nikt nie postawił tu supermarketu ani wesołego miasteczka. Nadal wiatr szumiał w gałęziach drzew. Zielone dachówki wciąż wyglądały na drewniane i porośnięte mchem, a sosnowe igły ciągle spadały na dachy i do drewnianych rynien.

Przyjeżdżał tu jako chłopiec i Granther nauczył go, jak nakładać przynętę na haczyk. Przyjeżdżał tutaj także jako mężczyzna i kochał się z żoną w podwójnym łóżku, które należało kiedyś do Granthera i jego żony – tej cichej i nieco groźnej kobiety, członkini Amerykańskiego Stowarzyszenia Ateistów, która na życzenie potrafiła wymienić Trzydzieści Największych Niespójności w Biblii Króla Jamesa lub jeśli wolałeś, Śmieszna Próżność Teorii Rozszerzającego Się Wszechświata, wszystko z dobitną, dokładną logiką oddanego swym poglądom kaznodziei.

– Tęsknisz za mamą, prawda? – zapytała Charlie słabym głosem.

– Tak – odpowiedział. – Tak, tęsknię.

– Ja też. Tu ci było dobrze, prawda?

– Nam było tu dobrze. Chodź, Charlie.

Charlie stała, wpatrując się w ojca.

– Tato, czy u nas kiedyś znów wszystko będzie dobrze? Czy będę mogła chodzić do szkoły i tak dalej?

Miał zamiar skłamać, ale kłamstwo było kiepską odpowiedzią.

– Nie wiem – powiedział w końcu. Spróbował uśmiechu, ale uśmiech nie chciał się pojawić; odkrył, że nie potrafi nawet rozciągnąć ust w przekonującym grymasie. – Nie wiem, Charlie.

2

W warsztacie, wydzielonym z szopy na łodzie, leżały ciągle nienaruszone i porządnie poukładane narzędzia Granthera. Andy znalazł tam coś więcej; coś, co miał nadzieję znaleźć, cho-

ciąż przekonywał sam siebie, że nie warto mieć nadziei – w komorze pod szopą były dwa sągi drewna, porządnie porąbanego i wysuszonego przez czas. Większość z tego drewna porąbał kiedyś sam; polana leżała pod porwanym brudnym brezentem, którym sam je kiedyś przykrył. Dwa sągi nie wystarczyłyby im na zimę, ale kiedy zbierze połamane gałęzie walające się po terenie i porąbie leżącą na drodze brzozę, będą już mieli jakieś zapasy.

Wziął piłę, wrócił do powalonego drzewa i podpiłował je wystarczająco, by przeprowadzić willysa. Zabrało mu to czas do zmierzchu, był zmęczony i głodny. Nikt nie pofatygował się także i nie włamał do dobrze zaopatrzonej spiżarni; jeśli przez ostatnie sześć zim grasowali tu jacyś chuligani lub złodzieje zaopatrzeni w pojazdy śnieżne, to najwyraźniej trzymali się bardziej zaludnionego, południowego brzegu. Na pięciu półkach stały ciasno ustawione puszki zup Campbella, sardynek Wymana, konserw mięsnych Dinty Moore i wszelkiego rodzaju puszek warzywnych. Na podłodze stało też opakowanie do połowy wypełnione jedzeniem dla psów; pozostałość po dobrym, starym psie Granthera imieniem Bimbo – ale Andy nie przypuszczał, by miało dojść aż do tego.

Kiedy Charlie przeglądała książki stojące na półkach w wielkim pokoju gościnnym, Andy po trzech stopniach zszedł ze spiżarni do małej piwnicy, zapalił zapałkę, pocierając ją o krokiew, wsadził palec w dziurę po sęku w jednej z desek stanowiących ścianę piwniczki z klepiskiem zamiast podłogi i pociągnął. Deska dała się wyjąć. Andy zajrzał za nią i po chwili szeroko się uśmiechnął. W obrośniętym pajęczynami, niewielkim, zamkniętym na zasuwkę schowku stały cztery kamienne dzbany wypełnione czystym, nieco oleistym płynem, będącym stuprocentowym, autentycznym spirytusem, którego działanie Granther opisywał jako „kopnięcie muła”.

Zapałka sparzyła go w palec. Potrząsnął nią, zgasił i zapalił nową. Jak ponurzy kaznodzieje z dawnej Nowej Anglii (od których pochodziła w prostej linii) Hulda McGee nie lubiła, nie rozumiała i nie tolerowała prostych i nieco głupawych męskich rozrywek. Była purytańską ateistką i Granther miał przed nią mały sekret, którym podzielił się z Andym na rok przed śmiercią.

Za dzbanami Andy znalazł małe pudełeczko po herbacie, pełne żetonów do pokera. Wyciągnął je i wymacał skrytkę. Rozległo się trzaśnięcie i w jego ręku znalazł się cienki zwitek banknotów – kilka dziesiątek i piątek, trochę jednodolarówek. Wszystkiego razem może osiemdziesiąt dolarów. Słabością Granthera był siedmiokartowy poker, a owe pieniądze nazywał „własną kasą”.

Druga zapałka także go oparzyła i Andy zgasił ją. W ciemności odłożył na miejsce pudełko na żetony do pokera i wszystko inne. Dobrze było wiedzieć, że je ma. Założył na miejsce deskę i wyszedł z piwniczki.

– Może być zupa pomidorowa? – zapytał córki. Cud nad cudami, Charlie znalazła książki o Kubusiu Puchatku i była już wraz z Kubusiem i Kłapouchym gdzieś w Stumilowym Lesie.

– Jasne – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od książki.

Andy ugotował wielki gar zupy pomidorowej i otworzył dla każdego z nich po puszcze sardynek. Zaciągnął dokładnie zasłony, zapalił lampę naftową i postawił ją pośrodku stołu. Usiedli do kolacji prawie nie rozmawiając. Po jedzeniu Andy zapalił od lampy papierosa. W bieliźniarce babci Charlie odkryła pudełko z kartami; było w nim chyba z dziesięć talii, a w każdej brakowało dzokera, dwójki czy czegoś jeszcze innego. Resztę wieczoru dziewczynka spędziła, kompletując je i rozkładając, podczas gdy Andy przechadzał się po terenie.

Nieco później, układając Charlie do łóżka, zapytał ją, jak się czuje.

– Bezpiecznie – odpowiedziała bez śladu wahania. – Dobranoc, tatusiu.

Jeśli to wystarczało Charlie, to wystarczało także i jemu. Siedział przy niej przez chwilę, ale dziewczynka zasnęła szybko i bez problemu, więc wyszedł, zostawiając drzwi otwarte, by słyszeć, gdyby obudziła się lub przestraszyła czegoś we śnie.

3

Przed pójściem spać Andy zszedł jeszcze do piwnicy, wyciągnął jeden z dzbanów, nalał sobie niewielkiego drinka do szklanki na sok i przez wahadłowe drzwi wyszedł na pomost. Usiadł w jednym z płóciennych, rozkładanych leżaków (pach-

niały pleśnią; przez chwilę zastanawiał się, co można by z tym zrobić) i patrzył na wielkie, ciemne, falujące jezioro. Było chłodno, ale kilka łyżeków z prezentu Granthera rozprawiło się z chłodem całkiem skutecznie. Po raz pierwszy od czasu tego straszego pościgu na Trzeciej Alei on też poczuł się bezpiecznie i odpoczywał.

Andy palił i patrzył na jezioro Tashmore.

Odpoczywał, czuł się bezpiecznie – po raz pierwszy, ale nie od czasu Nowego Jorku. Po raz pierwszy od chwili, gdy w ten straszny, sierpniowy dzień przed czternastoma miesiącami Sklepik ponownie wkroczył w ich życie. Od tego momentu albo uciekali, albo kryli się i nie zaznali spokoju ani w ucieczce, ani w ukryciu.

Pamiętał, jak rozmawiał z Quinceyem, czując zapach spalonej wykładziny. On w Ohio, Quincey tam, w Kalifornii, którą w swych nielicznych listach zawsze nazywał Magicznym

Królestwem Drżącej Ziemi.

„Tak, to dobrze – mówił Quincey – Bo mogliby wsadzić ich do dwóch małych pokoików, w których pracowalibyście na pełen etat, by dwieście dwadzieścia milionów Amerykanów żyło bezpiecznie i wolno... Założę się, że chcieliby dostać to dziecko, wsadzić je do małego pokoiku, by sprawdzić, czy nie pomogłoby im uczynić ten świat bezpieczniejszym dla demokracji. I to chyba wszystko, co chcę powiedzieć, stary przyjacielu, oprócz jednego. Nie wychylaj się”.

Myślał wtedy, że się boi. Nie wiedział, co to strach. Czujesz strach, kiedy wracasz do domu i zastajesz żonę martwą, z wyrwanymi paznokciami. Wyrwali jej paznokcie, żeby im powiedziała, gdzie jest Charlie. Charlie spędziła dwa dni i dwie noce w domu przyjaciółki, Terri Dugan. Za miesiąc czy coś koło tego mieli przyjąć Terri na podobny czas. Vicky nazywała to Wielką Wymianą 1980 roku.

Teraz, siedząc na pomoście i paląc, Andy mógł zrekonstruować to, co się stało – chociaż wtedy nie myślał, niosła go fala żalu, paniki i gniewu. Miał najzwyklejsze, dzikie szczęście (a może było to coś więcej niż szczęście) i tylko szczęście umożliwiło mu dorwanie sukinsynów.

Obserwowano ich, całą rodzinę. Musiano ich obserwować od jakiegoś czasu. I kiedy tego środowego popołudnia Charlie nie

wróciła z wycieczki do domu i nie pojawiła się w domu także w czwartek ani w dzień, ani wieczorem, musieli zdecydować, że Andy i Vicky zorientowali się w tym, że są obserwowani. Zamiast przekonać się, że Charlie nie popełniła nic groźniejszego od przeprowadzki do przyjaciółki mieszkającej trzy kilometry od nich, musieli dojść do wniosku, że Andy i Vicky zabrali córkę i zeszli do podziemia.

To była wariacka, kretyńska pomyłka, lecz nie pierwsza w aktach Sklepiku. Sądząc z artykułu, który Andy czytał w „Rolling Stone”, Sklepik brał udział (i miał ostatnie słowo) w krwawej łaźni, w jaką zmieniło się porwanie samolotu przez terrorystów z Czerwonej Armii (porwaniu zapobieżono kosztem sześćdziesięciu trupów), sprzedawał heroinę CIA w zamian za informacje o przeważnie nieszkodliwych kubańsko-amerykańskich grupach w Miami i uczestniczył w komunistycznym przewrocie na karaibskiej wysepce, znanej niegdyś z luksusowych, wartych miliony dolarów hoteli i ludności wyznającej kult voodoo.

Biorąc pod uwagę serię tak kolosalnych gaf, łatwiej przychodziło zrozumieć, jak agenci Sklepiku pilnujący rodziny McGee mogli pomylić wizytę Charlie u przyjaciółki z próbą ucieczki. Jakby powiedział Quincey (i może nawet kiedyś to powiedział), gdyby najsprawniejsi z tysiąca lub więcej pracowników agencji poszli do pracy w sektorze prywatnym, pobieraliby zasiłki dla bezrobotnych przed końcem okresu próbnego.

Ale to obie strony popełniały zwariowane pomyłki, myślał Andy, i jeśli gorycz tej myśli złagodniała i rozmyła się z czasem, to kiedyś była wystarczająco ostra, by kaleczyć do krwi; gorycz o wielu ostrzach zanurzonych w kurarze poczucia winy. Przeraziło go to, co implikował Quincey w rozmowie przeprowadzonej po upadku Charlie ze schodów, ale najwyraźniej nie był wystarczająco przerażony. Bo gdyby był, może zeszliby do podziemia.

Zbyt późno odkrył, że mózg może być jak zahipnotyzowany, gdy czyjeś życie (lub życie czyjejs rodziny) zaczyna ześlizgiwać się z normalnego świata w gorączkowy świat fantazji, który zazwyczaj akceptuje się tylko na godzinkę, przy telewizorze, lub na niecałe dwie, w miejscowym kinie.

W ślad za rozmową z Quinceyem Andy'ego zaczęło prześladować szczególne uczucie – wydawało mu się, że jest bezustannie wystawiany. Podśluch na telefonie? Ktoś go obserwuje?

Możliwość, że zgarną ich wszystkich do pokoi w piwnicy jakiegoś ośrodka rządowego? Tak łatwo jest uśmiechnąć się na to głupim uśmiechem i patrzeć, jak coś takiego po prostu się zdarza, tak łatwo oddać się cywilizowanym zajęciom, kpiąc z własnego instynktu...

Z jeziora nagle dobiegł szum i w powietrze wzleciało stado kaczek, kierując się na zachód. Wschodził półksiężyc, rzucając na ich skrzydła przyćmiony, srebrzysty poblask. Andy zapalił kolejnego papierosa. Za dużo pali, ale wkrótce będzie miał szansę, żeby się odzwyczaić – zostało mu tylko kilka papierosów.

Tak – podejrzewał, że założono mu podsłuch na telefon. Czasami, po podniesieniu słuchawki i powiedzeniu „halo”, rozlegało się dziwne, podwójne brzęknięcie. Raz czy dwa razy, kiedy rozmawiał ze studentem na temat pracy lub z którymś z kolegów, coś tajemniczo przerywało połączenie. Podejrzewał, że w domu mogą być pluskwy, ale nigdy nie rył w ścianach i nie zrywał podłogi, by je znaleźć (czyżby spodziewał się, że da radę?). A kilka razy podejrzewał – nie, był prawie pewny – że są obserwowani.

Mieszkali w Lakeland, na przedmieściach Harrison, a Lakeland było krystalizacją archetypu przedmieścia. Po dobrej nocy można było krążyć wśród siedmiu czy ośmiu uliczek, godzinami szukając własnego domu. Ich sąsiedzi pracowali albo poza miastem, w IBM, albo w fabryce półprzewodników w mieście, albo wykładali na uniwersytecie. Na deklaracjach podatkowych wszystkich rodzin można by wykreślić dwie proste linie – dolną na osiemnastu i pół tysiącach dolarów rocznie, górną gdzieś na trzydziestu tysiącach, i dochody niemal wszystkich w Lakeland mieściły się pomiędzy tymi liniami.

Ludzi po prostu się znało. Kłaniałeś się na ulicy pani Bacon, która straciła męża i od tej pory flirtowała z wódką; łatwo to było stwierdzić, ponieważ miesiąc miodowy spędzony z tym szczególnym partnerem wyczyniał straszne rzeczy z jej twarzą i figurą. Machałeś ręką do dwóch dziewczyn w jaguarze, które wynajmowały dom na rogu Jasmine Street i Lakeland Avenue – i zastanawiałeś się, jak by to było, gdyby spędzić noc z nimi obiema. Dyskutowałeś o baseballu z panem Hammondem z Laurel Lane, gdy bez przerwy przycinał żywopłot. Pan Hammond pracował dla IBM (co oznacza „I Będziesz Mieszkał...

gdzie indziej”, powtarzał w nieskończoność, a elektryczne nożyce szczękały i szumiały), pochodził z Atlanty i był wściekłym fanem Atlanta Braves. Nienawidził Big Red Machine z Cincinnati, co nie zjednywało mu sympatii otoczenia; ale pana Hammonda głównie to wszystko obchodziło, po prostu czekał, kiedy IBM znowu go gdzieś przeniesie.

Ale nie chodziło tu o pana Hammonda. I nie chodziło o panią Bacon, ani o te dwie kapitalne laleczki w ich białym jaguarze, wymalowanym przy reflektorach matową czerwoną farbą podkładową. Chodziło o to, że po pewnym czasie mózg wytwarzał podświadomy obraz, obraz ludzi, którzy pasują do Lakeland.

Lecz kilka miesięcy przed tym, nim zginęła Vicky, a Charlie porwano z domu Duganów, pojawili się tu ludzie niepasujący do tego obrazu. Andy starał się ich nie dostrzegać, tłumacząc sobie, że głupio byłoby denerwować Vicky tylko dlatego, że rozmowa z Quinceyem spowodowała u niego atak paranoi.

Ludzie w jasnoszarym mikrobusie. Rudzielec, jednego wieczoru skulony za kierownicą AMC matadora, innym razem, może po dwóch tygodniach, siedzący w plymoucie arrow, później zaś, po może dziesięciu dniach, w wysokim siedzeniu szarego mikrobusu. Przychodziło zbyt wielu komiwojażerów. Bywały wieczory, kiedy wracali do domu po dniu spędzonym poza miastem albo z kina, w którym Charlie oglądała najnowszy film Disneya, i mieli wrażenie, że ktoś był w domu, że – prawie niezauważalnie – ktoś poprzestawiał ich rzeczy.

I uczucie, że go obserwują.

Nie wierzył, by posunęli się do czegoś więcej niż obserwacja.

To była jego zwariowana pomyłka. Ciągłe nie miał całkowitej pewności, że naprawdę istnieje jakiś powód do paniki. Być może planowali, że porwą jego i Charlie i zabiją Vicky, która była niemal bezużyteczna – na co komu osoba z tak niewielkim talentem psychokinetycznym, że jej największym osiągnięciem jest zamknięcie lodówki z drugiego końca kuchni, i to raz na tydzień?

Mimo wszystko to, co zrobili, wyglądało na nieprzemyślane, pospieszne; zastanawiał się, czy zaskakujące zniknięcie Charlie nie zmusiło ich, by działali szybciej, niż to sobie zaplanowali. Może by i poczekali, gdyby zniknął Andy, ale to nie był on. Znik-

nęła Charlie – a to nią się szczególnie interesowali. Tego Andy był już pewien.

Wstał, przeciągnął się, słuchając, jak trzeszczy mu kręgosłup. Czas spać, czas przestać przesiewać stare, bolesne wspomnienia. Nie ma zamiaru spędzić reszty życia, obwiniając się za śmierć Vicky. Był w końcu tylko współuczestnikiem przed faktem. I wcale nie musiał długo żyć. To, co zdarzyło się na ganku domu Irva Mandersa, nie uszło uwagi Andy'ego McGee. Mieli zamiar go rozwalić. Teraz już chcieli tylko Charlie.

Położył się do łóżka i po jakimś czasie zasnął. A we śnie raz za razem widział linię ognia biegnącą po ubitej ziemi podwórka, widział, jak się rozdwaja, by ominąć pień, widział kury wybuchające jak żywe fajerwerki. We śnie czuł, jak otacza go kapsuła ognia, jak robi mu się coraz bardziej gorąco.

Powiedziała, że nigdy więcej nie roznieci ognia.

Może tak byłoby najlepiej.

A na dworze chłodny, październikowy księżyc oświetlał jezioro Tashmore, oświetlał Bradford, New Hampshire – miasteczko leżące na przeciwległym brzegu – i resztę Nowej Anglii. Na południu świecił także nad Longmont w Wirginii.

4

Czasami Andy McGee miał przeczucia – przeczucia o niezwykłej sile. Zaczęły się po eksperymencie w gmachu Jasona Gerneigha. Nie wiedział, czy przeczucia te były rodzajem słabej prekognicji, czy nie – ale skoro się już zdarzały, nauczył się im ufać.

Około południa, tego sierpniowego dnia 1980 roku doznał silnego, złego przeczucia.

Zaczęło się podczas lunchu w Buckeye, wydziałowym barku znajdującym się na najwyższym piętrze gmachu Związku. Przypominał sobie nawet, kiedy dokładnie to się stało. Jadł ryż i kurczaka w śmietanie, siedząc z Ev O'Brian, Billem Wallace'em i Donem Grabowskim, wykładowcami na wydziale anglistyki. Wszyscy byli jego dobrymi przyjaciółmi. Jak zwykle ktoś opowiedział nowy polski kawał Donowi, który je kolekcjonował. Opowiedziała go Ev. Było w nim coś o tym, jak odróżnić polską drabinę od zwykłej – po tym, że polska ma na najwyższym

szczeblu napis „Stop”. Wszyscy śmieli się serdecznie, gdy w głowie Andy’ego odezwał się cichy, bardzo spokojny głos.

Coś nie tak w domu.

To było wszystko. I wystarczyło. Zaczęło rosnać niemal tak, jak rosły jego bóle głowy, kiedy nadużywał pchnięcia i się wyczerpywał. Tylko że to nie była sprawa głowy, wszystkie jego emocje zdawały się napinać, niemal leniwie; jakby były przedzą i jakby jakiś zagniewany kot wypuszczony został na nici jego systemu nerwowego, bawiąc się nimi i rwąc je.

Już nie czuł się dobrze. Kurczę w śmietanie straciło swe wszystkie, od początku mierne walory. W żołądku poczuł skurcz, serce zaczęło mu bić gwałtownie, jakby nagle bardzo się przestraszył. A później rozboleły go palce prawej ręki, jakby przytrzasnął je sobie w drzwiach.

Wstał nagle. Czoło pokrył mu zimny pot.

– Słuchajcie, nie czuję się najlepiej – powiedział. – Czy możesz wziąć za mnie zajęcia o pierwszej, Bill?

– Ci młodzi poeci? Jasne. Nie ma sprawy. Co się stało?

– Nie wiem. Może coś zjadłem?

– Wyglądasz raczej blado – stwierdził Don Grabowski. – Chyba powinieneś wybrać się do przychodni, Andy.

– Może to niezły pomysł – odrzekł Andy.

Wyszedł, ale wcale nie miał zamiaru iść do przychodni. Było piętnaście po dwunastej, pogrążony w lenistwie kampus drzemał w ostatnim tygodniu letniej sesji. Śpiesząc do wyjścia, pożegnał Ev, Billa i Dona gestem ręki. Nigdy ich już nie zobaczył.

Zatrzymał się na parterze gmachu, podszedł do automatu i zadzwonił do domu. Nikt nie odpowiadał. I nie było żadnego istotnego powodu, by odpowiedział; Charlie pojechała do Duganów, Vicky mogła wyjść na zakupy, do fryzjera, pójść z Tammy Upmore do niej do domu lub jeść lunch z Eileen Bacon. A mimo to nerwy napięły mu się o stopień ciaśniej. Prawie pękały.

Wyszedł z gmachu i niemal pobiegł do samochodu, stojącego na parkingu Prince Hall. Pojechał przez miasto do Lakeland. Prowadził źle, nerwowo. Przelatywał przez czerwone światła, najeżdżał na samochody przed nim i omal nie zrzucił hippisa z roweru. Hippis pokazał mu palec. Andy nie zwrócił na to uwagi. Jego serce waliło już trzema młotami. Czuł się tak, jakby się nastrzykał.

Mieszkali na Conifer Place. W Lakeland, jak w wielu podmiejskich osiedlach wybudowanych w latach pięćdziesiątych, większość ulic nazywano od drzew i krzewów⁴. W południowym, sierpniowym upale ulica wydawała się dziwnie opuszczona. To tylko umocniło jego uczucie, że zdarzyło się coś złego. Przy krawężnikach stało tak niewiele zaparkowanych samochodów, że ulica wydawała się szersza. Nawet dzieciaki bawiące się tu i ówdzie nie rozpraszały tego straszego uczucia opuszczenia; większość z nich i tak jadła lunch w domu albo bawiła się w parku. Minęła go pani Flynn z Laurel Lane, wioząc torbę z zakupami na wózku na kółkach; jej tyłek, opięty elastycznymi, zielonymi spodniami, był okrągły i twardy jak piłka. Wzdłuż całej ulicy leniwie obracały się spryskiwacze, woda opadała na trawniki, w powietrzu pojawiały się tęcze.

Andy wjechał zewnętrznymi kołami na krawężnik i zahamował tak gwałtownie, że pasy bezpieczeństwa zablokowały się, a maska niemal otarła się o asfalt. Wyłączył silnik, choć samochód był ciągle na biegu – nigdy tego nie robił – i poszedł popękaną, cementową ścieżką, którą ciągle zamierzał załatać i nigdy nie mógł się do tego zabrać. Buty bezsensownie stukwały po cementcie. Zauważył, że żaluzje na wielkim oknie w dużym pokoju („okno francuskie”, tak nazywał je agent, który sprzedał im ten dom; „szanowne państwo mają tu okno francuskie”) były zasunięte, powodując, że dom sprawiał tajemnicze, sekretne wrażenie, które wcale mu się nie podobało. Czy Vicky miała zwyczaj spuszczać żaluzje? Może po to, żeby wewnątrz nie nagrzewało się zbyt mocno? Nie wiedział. Zorientował się, że niewiele wie o życiu, które prowadziła, kiedy nie było go w domu.

Poruszył klamką, ale nie obróciła się; tylko jego palce ślizgały się po jej gładkiej powierzchni. Czy Vicky zamykała drzwi, kiedy wychodził? Nie mógł w to uwierzyć. To nie było do niej podobne. Jego strach – nie, teraz było to już przerażenie – zwiększył się jeszcze bardziej. A przecież była chwila (do której później nigdy nie chciał się przyznać), jedna krótka chwila, w której nie czuł nic z wyjątkiem chęci, by obrócić się tyłem do tych zamkniętych drzwi. Po prostu się od nich odwrócić. Do diabła z Vicky, z Charlie i tymi słabymi usprawiedliwieniami, które miały przyjść później.

Uciec.

Zamiast uciekać, zaczął po kieszeniach szukać kluczy.

W zdenerwowaniu upuścił je i musiał się pochylić, chcąc podnieść – klucze do samochodu, klucze do wschodniego skrzydła Prince Hall, poczerniały klucz, którym po każdej letniej wizycie zapinał łańcuch zamykający drogę do domu Granthera. Klucze tak jakoś śmiesznie się gromadzą.

Wyszukał na kółku klucz do domu i otworzył drzwi. Wszedł i zamknął je za sobą. Światło w dużym pokoju było stłumione, chore, żółte. W powietrzu drżał upał. I spokój. Boże, taki straszny spokój.

– Vicky?

Nikt nie odpowiedział. I wszystko, co oznaczał brak odpowiedzi, to to, że nie było jej w domu. Włożyła „buty do tańca”, jak lubiła je nazywać, i wyszła na zakupy albo z wizytą. Tylko że nie robiła zakupów ani nikogo nie odwiedzała. Był tego pewien. I jego ręka... jego prawa ręka... dlaczego palce tak go bolą?

– Vicky!

Poszedł do kuchni. W kącie stał mały plastikowy stół i trzy krzesła. On, Vicky i Charlie zazwyczaj jadali śniadanie w kuchni. Jedno z krzeseł leżało na boku jak zdechły pies. Solniczka była przewrócona i sól wysypała się na blat stołu. Nie myśląc o tym, co robi, Andy zebrał szczyptę lewą ręką i rzucił za plecy, mrużąc pod nosem, jak to robili jego ojciec, a przed nim Granther, mrużąc zakłęcia przeciw złym urokom.

Na kuchence stał garnek z zupą. Była zimna. Pusta puszka stała na blacie obok. Lunch na jedną osobę. Gdzie jest Vicky?

– Vicky! – wrzasnął, patrząc w dół schodów. Na dole było ciemno. Schody prowadziły do pralni i pokoju rodzinnego ciągnącego się pod całym domem.

Brak odpowiedzi.

Jeszcze raz rozejrzał się po kuchni. Czysto wysprzątana. Dwa z rysunków, które Charlie zrobiła w wakacyjnej szkółce niedzielnej, dokąd chodziła w lipcu, wisiały na lodówce przyklepione do niej plastikowymi warzywami na magnetycznej podkładce. Rachunek za elektryczność i rachunek za telefon wisiały przyklepione pineską i ozdobione napisem ZAPŁACIĆ NA KONCU. Wszystko na miejscu i miejsce na wszystko.

Tylko to przewrócone krzesło. Tylko ta rozsypana sól.

W ustach zabrakło mu śliny, nie pozostał po niej nawet ślad. Jego usta były gładkie i suche jak chrom w słoneczny dzień.

Wszedł po schodach na piętro; przeszukał pokój Charlie, ich pokój, pokój gościnny. Nic. Wrócił, przeszedł przez kuchnię, włączył światło na schodach i ruszył na dół. Pralka automatyczna była otwarta. Suszarka patrzyła na niego jednym szklanym okrągłym okiem. Na ścianie pomiędzy pralką i suszarką wisiała haftowana serwetka, którą Vicky gdzieś tam kupiła, widniał na niej napis: „Skarbie, jesteśmy całkiem splukani”. Andy wszedł do pokoju rodzinnego i zaczął macać w poszukiwaniu wyłącznika; przesuwiał palcami po ścianie, czując szaloną pewność, że lada moment lodowate palce zamkną się na jego dłoni i poprowadzą ją do kontaktu. W końcu spod belkowanego sufitu rozbrzmiały budzące się do życia jarzeniówki.

To był fajny pokój. Spędzał w nim wiele czasu, naprawiając różne rzeczy i przez cały czas uśmiechając się do siebie, bo w końcu stał się dokładnie tym, kim – wraz z kolegami ze studiów – zawsze przysięgał, że się nie stanie. Wszyscy troje spędzali mnóstwo czasu w tym pokoju. Był tu wbudowany w ścianę telewizor, stół do ping-ponga, wielka plansza do backgammona. Więcej gier stało przy ścianie. Wielkie albumy leżały na niskim stoliku, który Vicky zrobiła z kawałka surowego drewna. Jedną całą ścianę zajmowały książki w kieszonkowych wydaniach. Na innej wisiały utkane przez Vicky i oprawione kawałki afgańskiego dywanu; Vicky lubiła żartować, że pojedyncze kwadraty wychodzą jej wspaniale, tylko brakuje jej wytrwałości, by zrobić z nich cały cholerny dywan. Na specjalnym małym regale stały książki Charlie, ułożone w porządku alfabetycznym, którego Andy nauczył ją pewnego nudnego, zimowego popołudnia dwa lata temu i który ciągle ją fascynował.

Fajny pokój.

Pusty pokój.

Andy próbował poczuć ulgę. Przeczucie, przebłysk, jakkolwiek to nazwać, okazało się błędne. Po prostu nie ma jej w domu. Wyłączył światło i wrócił do pralni.

Pralka, stara, ładowana od przodu, którą kupili okazyjnie za sześćdziesiąt dolców, była ciągle otwarta. Zamknął ją bezmyślnie, tak samo jak bezmyślnie rzucił szczyptę soli przez lewe ra-

mię. Na szkle drzwiczek była krew. Niewiele. Tylko kilka kropel, ale była to krew.

Andy stał i gapił się na nią. Chłodno było tu, na dole, o wiele za chłodno, jak w kostnicy. Spojrzał na podłogę. Na podłodze było więcej krwi. Jeszcze nawet nie wyschła. Z gardła Andy'ego wydobył się cichy, zduszony dźwięk, jak gwizd.

Zaczął obchodzić pralnię, która była jedynie małą wnęką o gipsowych ścianach. Otworzył kosz na bieliznę. Nie było w nim nic oprócz jednej skarpetki. Zajrzał do szafki pod zlewem. Nic oprócz proszków do prania. Szukał pod schodami – znalazł pajęczyny i plastikową nogę jednej ze starszych lalek Charlie; oderwana od tułowia leżała tu i Bóg jeden wie, jak długo czekała na znalezienie.

Otworzył drzwi między pralką i suszarką. Zza drzwi wypadła z trzaskiem i hukiem deska do prasowania, a pod deską, związana tak, że kolana miała niemal pod brodą, z oczami otwartymi, nieruchomymi i martwymi leżała Vicky Tomlinson McGee ze ściereczką wciśniętą między zęby. W powietrzu wisiał ciężki, mdlący zapach politory.

Andy wydał z siebie cichy głos, jakby się dusił, i odskoczył. Wysunął przed siebie ręce, jakby chciał obronić się przed tym strasznym obrazem; jedną z nich dotknął włącznika suszarki i suszarka ruszyła. W środku z szumem zaczęły obracać się ubrania. Andy wrzasnął. I uciekł. Uciekał po schodach, potknął się, okrążając róg po drodze do kuchni, przewrócił się i uderzył czołem w pokrytą linoleum podłogę. Usiadł, dysząc ciężko.

Wrócił do niego obraz tego, co zobaczył. Wrócił jak na zwolnieniu, jak wtedy, gdy pokazują blokadę rozgrywającego lub przebieg zakończony przyłożeniem. Ten obraz straszyl go w snach, które przyszły później. Otwierające się drzwi, wypadająca i rozkładająca się z hukiem deska do prasowania, jakoś przypominająca mu gilotynę, ciało żony wciśnięte w miejsce pod deską i ta ściereczka w jej ustach, ściereczka, używana do wycierania mebli.

Ten obraz wrócił do niego z wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami i Andy wiedział, że znowu krzyknie, więc zatkał sobie usta ręką, zacisnął zęby, i dźwięk, który wydał, był tylko niewyraźnym, ściszonej wyciem. Krzyknął dwukrotnie i coś z niego opadło, i znowu był spokojny. Był to fałszywy spokój szoku,

ale można go było wykorzystać. Amorficzny strach i niesprecyzowane przerażenie znikły. Ustał ból prawej ręki. A myśl, która wkradła się w jego mózg, była zimna jak spokój, który go ogarnął, zimna jak szok i myśl ta brzmiała: CHARLIE.

Andy wstał, ruszył do telefonu, a później zawrócił w stronę schodów. Stał przez chwilę na ich szczycie, zagryzając usta, uzbijając się w siłę, a później ponownie zszedł na dół. Suszarka ciągle się obracała. Nie było w niej nic oprócz pary jego dzinsów i to wielki, mosiężny guzik w pasie dzwonił o szkło, dzwonił, gdy wznosiły się i opadały, wznosiły się i opadały. Andy wyłączył suszarkę i spojrzał na schowek, w którym mieściła się deska.

– Vicky – powiedział cicho.

Vicky patrzyła na niego martwymi oczyma. Jego żona. Chodził z nią na spacer, trzymał za rękę, w ciemnościach nocy wchodził w jej ciało. Zorientował się, że wspomina tę noc, kiedy na uniwersyteckiej zabawie wypila trochę za dużo i trzymał ją za głowę, kiedy wymiotowała. W pamięci wrócił i ten dzień, kiedy mył samochód, poszedł na chwilę do garażu, żeby zdjąć z półki pastę do polerowania, a ona wzięła wąż, podkradła się z tyłu i wsadziła mu go w spodnie. Pamiętał, jak brali ślub i pocałował ją przy wszystkich, rozkoszując się tym pocałunkiem, jej ustami, jej pełnymi, miękkimi ustami.

– Vicky – powtórzył z długim, drżącym westchnieniem.

Wyciągnął ją ze schowka i wyjął jej z ust ściereczkę. Głowa

Vicky kiwała się bezwładnie na szyi. Zauważył, że krwawiła jej prawa ręka, że wyrwali z niej kilka paznokci. Z jednego z nozdrzy wypływał także wąty strumyczek krwi, ale poza tym nie była ranna. Jednym mocnym ciosem złamano jej kark.

– Vicky – szepnął.

Charlie, odpowiedziało coś w jego mózgu.

Wśród cichego spokoju, który wypełnił mu głowę, pojawiło się zrozumienie, że teraz Charlie stała się najważniejsza, że teraz tylko ona jest ważna. Oskarżenia trzeba zostawić na później.

Wrócił do rodzinnego pokoju, tym razem nie troszcząc się o zapalenie światła. Przy przeciwległej ścianie, za stołem do ping-ponga stała przykryta narzutą wersalka. Andy zdjął narzutę, wrócił do pralni i przykrył nią Vicky. Jakoś ten nieruchomy, przykryty narzutą z wersalki kształt wydawał mu się straszniej-

szy. Niemal go zahipnotyzował. Czy ona już się nie poruszy? Czy to możliwe?

Odkrył jej twarz i pocałował ją w usta. Usta były zimne.

Wyrywali jej paznokcie; nie mógł się pozbyć tej myśli. Jezu Chryste, wyrywali paznokcie mojej żonie!

Wiedział dlaczego. Chcieli się dowiedzieć, gdzie jest Charlie. Jakoś stracili ją z oczu, gdy po wycieczce, zamiast wrócić do domu, zamieszkała u Terri Dugan. Spanikowali – i teraz faza obserwacji już się skończyła. Vicky nie żyła – albo zabili ją specjalnie, albo któregoś z agentów Sklepiku poniósł temperament. Andy uklęknął przy Vicky i pomyślał, iż mogło się zdarzyć, że w strachu Vicky zrobiła coś bardziej spektakularnego niż zatrzaśnięcie drzwi lodówki z drugiego końca pokoju. Mogła pchnąć jednego z nich, podciąć nogi drugiemu. Szkoda, że nie wystarczyło jej siły, by pchnąć na ścianę obu z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, pomyślał Andy.

A może, myślał, wiedzieli tyle, by się zdenerwować. Być może nawet dostali specjalny rozkaz: Ta kobieta może być bardzo niebezpieczna. Jeśli zrobi coś – cokolwiek – co może zagrozić operacji, pozbądźcie się jej. Szybko.

A może po prostu nie lubili zostawiać świadków? W końcu gra szła o więcej niż ich działkę w forsie podatników.

Tylko ta krew. Powinien myśleć o krwi, która nie całkiem jeszcze wyschła, gdy ją odkrył, tylko trochę. Nie byli daleko, gdy zjawił się w domu.

Z większym już naciskiem jego mózg przypomniał mu: CHARLIE!

Andy jeszcze raz pocałował żonę i powiedział:

– Ja tu wrócę, Vicky!

Ale Vicky też już nigdy nie zobaczył.

Poszedł na górę, do telefonu, i w notatniku Vicky znalazł numer Duganów. Zadzwoił i odpowiedziała mu Joan Dugan.

– Cześć, Joan – powiedział i szok mu teraz pomagał; jego głos był doskonale spokojny; taki, jakim mówił co dnia. – Czy mógłbym pogadać z Charlie przez sekundkę?

– Charlie? – w głosie pani Dugan brzmiała niepewność. – Ale... Charlie wyjechała z tymi dwoma pańskimi przyjaciółmi. Tymi nauczycielami. Czy... czy zrobiłam coś złego?

Coś w nim jak rakietę wzbiło się w powietrze, a później runęło w dół. Może było to jego serce. Ale nie miał powodu, by przerażać tę miłą kobietę, którą spotkał może trzy czy cztery razy. Nie pomogłoby to ani jemu, ani Charlie.

– Cholera! Miałem nadzieję, że złapię ją jeszcze u pani.

Kiedy odjechali?

Głos pani Dugan oddalił się.

– Terri, kiedy odjechała Charlie?

Dzieciący głos coś odpowiedział. Nie usłyszał, co. Między kostkami palców czuł pot.

– Terri mówi, że jakieś piętnaście minut temu. – Głos brzmiał przeprasząco. – Robiłam pranie i nie mam zegarka. Jeden z nich zszedł tu do mnie porozmawiać. Nie zrobiłam nic złego, prawda, panie McGee? On wyglądał tak przyzwoicie...

Naszła go szaleńcza chęć, by po prostu roześmiać się lekko i powiedzieć: Robiłaś pranie, tak? Jak moja żona. Znalazłem ją wciśniętą w schowku, pod deską do prasowania. Miałaś dziś kupę szczęścia, Joan.

– Wszystko w porządku. Zastanawiam się, czy mieli przyjechać zaraz tutaj.

Pytanie zostało przekazane Terri, która odpowiedziała, że nie wie.

Cudownie, pomyślał Andy. Życie mojej córki spoczywa w rękach innej sześciolatki.

Chwycił się słomki.

– Muszę iść na ten targ na rogu – powiedział pani Dugan. – Proszę zapytać Terri, czy mieli zwykły samochód, czy mikrobus. Gdybym ich spotkał.

Tym razem usłyszał głos Terri.

– To był mikrobus. Odjechali szarym mikrobusem, takim samym jak ten, który ma tata Davida Pasioco.

– Dziękuję – powiedział Andy. Pani Dugan odparła na to, że nie ma za co. Znowu naszła na niego ta ochota, tym razem, by wrzasnąć w słuchawkę: Moja żona nie żyje! Moja żona nie żyje i dlaczego robisz pranie, kiedy moja córka wsiada do szarego mikrobusu z obcymi mężczyznami?

Jednak nie wrzasnął. Odwiesił słuchawkę i wyszedł z domu.

Upał ogłuszył go jak cios w głowę i Andy aż się zachwiał. Czy kiedy przyjechał, też było tak gorąco? Wydawało się, że teraz

jest znacznie gorzej. Był listonosz. Ze skrzynki na listy wystawał kawałek broszury reklamowej, której wcześniej nie było. Był tu listonosz, wtedy, gdy on siedział w pralni, tuląc do siebie swą martwą żonę. Biedna, martwa Vicky, wyrywali jej paznokcie; to zabawne – tak naprawdę znacznie bardziej zabawne niż sposób, w jaki gromadzą się klucze – jak sam fakt śmierci spada na człowieka z różnych stron i w różny sposób. Próbujesz uskoczyć tu i tam, próbujesz bronić się z jednej strony, a prawda uderza cię z drugiej. Śmierć jest jak futbolista, pomyślał, i to wielki... syn. Śmierć jest jak Franco Harris lub Sam Cunningham czy Groźny Joe Green. RzUCA cię na dupę, zaraz na linii młyna.

Rusz się, pomyślał. Piętnaście minut przewagi to nie tak dużo. Ślad jeszcze nie wystygł. Nie wystygł – chyba że Terri Dugan nie potrafi odróżnić kwadransa od godziny lub dwóch godzin. A jeśli nawet, to nie ma sprawy. Rusz się.

Ruszył się. Wrócił do samochodu zaparkowanego krzywo, częściowo na chodniku, a częściowo na ulicy. Otworzył drzwi od strony kierowcy i jeszcze raz rzucił okiem na swój schludny, podmiejski dom, za który kredyt był już w połowie spłacony. Bank dawał dwa miesiące „wakacji kredytowych” w roku tym, którzy ich potrzebowali. Andy nigdy ich nie potrzebował. Patrzył na dom, drzemający w promieniach słońca, i nagle w jego zszokowany mózg uderzyła czerwona flara reklamowej broszurki wystającej ze skrzynki na listy. BAM! Śmierć znów go uderzyła, powodując zamglenie wzroku i zaciśnięcie zębów.

Wsiadł do samochodu i pojechał do domu Terri Dugan, nie powodując się żadnym rzeczywistym, logicznym przekonaniem o możliwości złapania śladu porywaczy, lecz tylko ślepą nadzieją. Już nigdy nie zobaczył ich domu na Conifer Place.

Prowadził lepiej. Teraz, kiedy zdarzyło się najgorsze, prowadził o wiele lepiej. Włączył radio i słuchał Boba Segera śpiewającego *Taki sam*.

Przejechał przez Lakeland, prowadząc tak szybko, jak tylko się odważył.

Przez jeden straszny moment nie mógł sobie przypomnieć nazwy ulicy, ale w końcu ją sobie przypomniał. Duganowie mieszkali na Blassmore Place. Żartowali z tego z Vicky: Blassmore Place z domami zaprojektowanymi przez Billa Blassa. Zaczął

się uśmiechać na to wspomnienie i buch! – świadomość jej śmierci uderzyła go znowu, aż zadrżał.

Dojechał na miejsce w dziesięć minut. Blassmore Place było krótką ślepą uliczką. Szary mikrobus nie mógł nią przejechać, drogę zagrażała gęsta siatka ogrodzenia szkoły imienia Johna Glenna.

Andy zatrzymał się na rogu Blassmore Place i Ridge Street. Przy skrzyżowaniu stał zielono-biały dom. Na trawniku obracał się spryskiwacz. Przed domem bawiła się dwójka dzieci, dziewczynka i chłopiec, mniej więcej dziesięcioletni. Jeździli na desce, najpierw jedno, później drugie. Dziewczynka ubrana była w szorty, kolana miała mocno podrapane.

Andy wysiadł z samochodu i podszedł do dzieciaków, które obejrzały go uważnie od góry do dołu.

– Cześć – powiedział. – Szukam córki. Przejeżdżała tędy mniej więcej pół godziny temu szarym mikrobusem. Była z... z kilkoma moimi przyjaciółmi. Widzieliście przejeżdżający tędy szary mikrobus?

Chłopiec obojętnie wzruszył ramionami.

Dziewczynka spytała:

– Czy pan się o nią martwi, proszę pana?

– Widziałaś ją, prawda? – zapytał Andy przyjaźnie i pchnął delikatnie. Za silne pchnięcie nie miało sensu. Zaczęłyby widzieć mikrobus jadący w każdym kierunku, o który by zapytał, nawet w niebo.

– Tak, widziałam go. – Dziewczynka wskoczyła na deskę, dojechała nią do hydrantu na rogu i zeskoczyła na drogę. – Pojechał tam.

Wskazała na dalszy ciąg Blassmore Place. Dwa lub trzy skrzyżowania dalej znajdowała się Carlisle Avenue, jedna z głównych przelotówek przez Harrison. Andy przypuszczał, że pojechali tą drogą, ale dobrze było mieć pewność.

– Dzięki – powiedział i wszedł do samochodu.

– Martwi się pan o nią? – powtórzyła dziewczynka.

– Tak, trochę – odpowiedział Andy.

Zawrócił i pojechał Blassmore Place do skrzyżowania z Carlisle Avenue. Beznadziejne, zupełnie beznadziejne. Poczul, jak rodzi się w nim panika; na razie był to mały, gorący punkt, ale będzie gorzej. Odpędził go od siebie, skupił się na tropieniu śladu

tak długo, jak okaże się możliwe. Jeśli będzie musiał użyć pchnięcia, użyje go. Mógł wykonać wiele małych, pomocniczych pchnięć i nie chorować. Dziękował Bogu, że przez całe lato nie używał swego talentu – lub przekleństwa, jeśli spojrzeć na to z innego punktu widzenia. Był w szczycie formy, w pełni naładowany, niezależnie od tego, ile to było warte.

Carlisle Avenue była czteropasmową szosą; na tym skrzyżowaniu ruch regulowały światła. Z prawej strony była myjnia, po lewej zamknięty bar. Po przeciwnej stronie szosy stała stacja benzynowa i sklep z aparatami fotograficznymi. Jeśli skręcili w lewo, udawali się do miasta. Jeśli w prawo, to pojechali w stronę lotniska i autostrady międzystanowej numer 80.

Andy podjechał do myjni. Młody chłopak z nieprawdopodobną grzywą kręconych, rudych włosów, opadających na kołnierzą spłowiałego zielonego kombinezonu, wyszedł do niego, podrygując. Jadł loda.

– Nic nie poradzę, chłopie – powiedział, nim Andy zdążył otworzyć usta. – Mniej więcej godzinę temu urwał się wałek na myjni. Nieczynne.

– Nie chcę myć samochodu – powiedział Andy. – Szukam szarego mikrobusu, który przejechał przez to skrzyżowanie mniej więcej pół godziny temu. Była w nim moja córka i trochę się o nią boję.

– Myśli pan, że ktoś mógł ją porwać? – zapytał chłopak i dalej lizał loda.

– Nie, nic takiego. Czy widział pan mikrobus?

– Szary mikrobus? Hej, dobry człowieku, ma pan pojęcie, ile samochodów przejeżdża tędy w godzinę? Albo w pół godziny? To ruchliwa ulica, człowieku. Carlisle to bardzo ruchliwa ulica.

Andy wskazał kciukiem za plecy.

– Przyjechali z Blassmore Place. Ona nie jest taka ruchliwa.

Gotów był poprzeć pytanie delikatnym pchnięciem, ale nie musiał. Oczy chłopaka nagle rozbłysły. Złamał loda na pół i wyssał całą purpurową zawartość z jednej części jednym, nieprawdopodobnym łykiem.

– Tak, jasne – powiedział. – Widziałem go. Powiem panu, dlaczego go zauważyłem. Przejechał przez nasz podjazd, żeby nie zatrzymywać się na światłach. Ja tam nic do tego nie mam, ale

szefa cholernie to irytuje. Nie to, żeby wkurzył się dzisiaj, z tą awarią wałka. Dzisiaj ma się na co wściekać.

– Więc jechali w stronę lotniska?

Chłopak skinął głową, wyrzucił patyk po lodzie przez ramię i zaczął zajadać to, co mu zostało.

– Mam nadzieję, że znajdziesz swoją dziewczynkę, dobry człowieku. Jeśli nie masz nic przeciw, powiedzmy, bezpłatnej radzie, to jeśli naprawdę się o nią martwisz, powinieneś zawiadomić gliniarzy.

– Nie sądzę, żeby to się na coś przydało – odpowiedział mu Andy. – W tych okolicznościach...

Znów wsiadł do samochodu, przejechał przez podjazd myjni i skręcił w Carlisle Avenue. Kierował się na zachód. W tym miejscu było mnóstwo stacji benzynowych, myjni, barów z hamburgerami i punktów sprzedających używane samochody. Kino dla zmotoryzowanych reklamowało podwójny seans z filmów: *MA-SZYNKA DO MIELENIA CIAŁ* i *KRWAWI HANDLARZE ŚMIERCIA*. Andy spojrzał na reklamę i usłyszał huk, z jakim ze schowka wypadła deska do prasowania. Jego żołądek wykonał salto.

Przejechał przed znakiem oznajmiającym, że za dwa kilometry można zjechać na I-80, jeśli ktoś ma na to ochotę. Za tym znakiem stał inny, mniejszy, z wymalowanym na nim samolotem. Dobra, dojechałeś aż tu. I co teraz?

Nagle zdecydował się zjechać na parking pizzerii. Zatrzymanie się tu i zadawanie pytań nie miało sensu. Jak powiedział ten chłopak w myjni, Carlisle to bardzo ruchliwa ulica. Mógł popychać ludzi, aż mózg wyciekłby mu uszami, i jedyne, co by osiągnął, to zmylenie samego siebie. Mógł pojechać dalej autostradą lub na lotnisko. Orzeł czy reszka.

Andy nigdy jeszcze nie próbował przywołać jednego ze swych przeczuc. Po prostu przyjmował je jako dary wtedy, gdy przyszły, i zazwyczaj działał w zgodzie z nimi. Teraz wtulił się głębiej w siedzenie samochodu, lekko dotknął skroni palcami i próbował przywołać przeczucia. Silnik pracował, radio było ciągle włączone. Rolling Stones. *Tańcz, siostrzyczko, tańcz.*

Charlie, pomyślał. Poszła do Terry z ubrankami wciśniętymi w plecaczek, z którym się prawie nie rozstawała. To mogło przyczynić się do ich ogłupienia. Kiedy widział ją ostatni raz, miała na sobie dżinsy i łososiową, luźną bluzkę. Włosy uczesane

w mysie ogonki, jak prawie zawsze. Niedbałe „do widzenia, tatusiu”, pocałunek, o Jezu, Charlie, gdzie teraz jesteś?

Nic.

Nie szkodzi. Jeszcze poczekaj. Posłuchaj Stonesów. Pizza. Chce pan mocniej czy słabiej wysmażoną? Płacisz i wybierasz, jak zwykł mawiać Granther McGee. Stonesi zachęcali siostrzyczkę, by tańczyła, tańczyła, tańczyła. Quincey powiedział, że najprawdopodobniej wsadzą ją do małego pokoiku, żeby dwieście dwadzieścia milionów Amerykanów żyło wolno i bezpiecznie.

Vicky. On i Vicky mieli na początku spore kłopoty z seksem. Vicky śmiertelnie się bała. Po pierwszym, rozpaczliwie nieudanym razie, powiedziała przez łzy: „Po prostu nazywaj mnie Lodową Damą”. Tylko nie seks, proszę, jesteśmy Anglikami. Lecz eksperyment z Próbą Sześć jakoś im w tym pomógł – wspólnota, którą dzielili, na swój własny sposób przypominała stosunek. Tylko ciągle było im trudno. Po troszeczkę. Delikatnie. Łzy. Vicky zaczyna reagować i nagle sztywnieje, krzyczy: „Nie, to będzie boleć, przestań, Andy, przestań!”. I jakoś właśnie eksperyment z Próbą Sześć, to wspólne doświadczenie, umożliwiło mu ponawianie prób. Był jak kasiarz, który wie, że zawsze jest sposób, jakiś sposób jest zawsze. Wreszcie przyszła noc, kiedy tego dokonał. A później noc, kiedy było w porządku. A wreszcie, nagle, noc, kiedy było wspaniale. Tańcz, siostrzyczko, tańcz. Był z nią, kiedy rodziła się Charlie. Szybki, lekki poród. Łatwo naprawić, dużo radości...

Nie nadchodziło nic. Ślad stygł, a on nie miał niczego. Lotnisko czy autostrada? Orzeł czy reszka?

Stonesi umilkli. Zaśpiewali Doobie Brothers, dopytując się, gdzie byłbyś bez miłości, gdzie byłbyś bez niej teraz? Andy nie wiedział. Słońce grzało. Świeżo wymalowane linie na parkingach pizzerii wydawały się bardzo białe i bardzo wyraźne na tle czarnego asfaltu. Parking wypełniony był w ponad trzech czwartych. Pora lunchu. Czy Charlie zjadła lunch? Czy dali jej jeść?

Może się zatrzymają, może zrobią sobie przerwę, wiesz, na jednym z tych parkingów przy autostradzie – w końcu nie mogą jechać nie mogą jechać nie mogą jechać.

Gdzie? Gdzie nie mogą jechać?

Nie mogą jechać całą drogę do Wirginii bez przerwy, prawda? To znaczy, musi od czasu do czasu zrobić siusiu na postoju, prawda?

Wyprostował się, czując wielkie, choć tępe uczucie wdzięczności. Przyszło, po prostu przyszło. Nie lotnisko, gdzie pojechałby najpierw, gdyby miał się opierać wyłącznie na domysłach. Nie lotnisko, lecz autostrada. Nie miał całkowitej pewności, że przecucie było kompletnie autentyczne, ale był prawie pewny. I tak było lepiej, niż nie mieć w ogóle żadnego przecucia.

Przejechał samochodem przez świeżo namalowaną strzałkę, wskazującą wyjazd, i znów skręcił w prawo w Carlisle. W dziesięć minut później jechał już autostradą, z biletem włożonym w wygnieciony, zaczytany egzemplarz *Raju utraconego*, leżący na siedzeniu pasażera. Po kolejnych dziesięciu minutach zostawił za sobą Harrison, Ohio. Zaczął swą podróż na zachód, która w czternaście miesięcy później zaprowadziła go do Tashmore, do Vermontu.

Był spokojny. Radio grało głośno i to mu pomagało. Nadawali piosenkę za piosenką; rozpoznawał tylko te starsze – trzy czy cztery lata temu praktycznie w ogóle przestał słuchać muzyki pop. Bez żadnego szczególnego powodu, tak się po prostu zdarzyło.

Ciągle mieli nad nim przewagę, lecz jego spokój naciskał z właściwą sobie logiką, że nie była to wielka przewaga – i że tylko sprowadzi na siebie kłopoty, jeśli zjedzie na lewy pas i polecą nim sto trzydzieści na godzinę. Prędkościomierz tkwił odrobinę powyżej setki; Andy rozumował, że mężczyźni, którzy porwali Charlie, nie będą chcieli przekroczyć przepisowej dziewięćdziesiątki. Każdemu gliniarzowi, który zatrzymałby ich za nadmierną prędkość, mogli zamachać legitymacjami, lecz pewnie mieliby przy tej okazji nie lada kłopoty z tłumaczeniem, skąd w ich samochodzie wzięło się wrzeszczące sześciolatnie dziecko. To dopiero mogłoby ich „zwolnić” i z pewnością narażać na starcie z tym, kto pociągał za sznurki – ktokolwiek to był.

Mogli ją uspić i ukryć, szeptał jego mózg. Wtedy, jeśli gliniarze zatrzymają ich za jazdę sto czterdzieści, nawet sto pięćdziesiąt, wystarczy im machnąć papierami i mogą lecieć dalej. Czy stanowy gliniarz z Ohio przytrzyma samochód, który należy do Sklepiku?

Andy walczył z tymi myślami, a za oknem przelatywało wschodnie Ohio. Po pierwsze, mogą się obawiać usypienia Charlie. Usypianie dziecka to trudna sztuka, chyba że jesteś fachowcem... i mogą nie być pewni, co środek usypiający zrobi z talentami, które podobno mają badać. Po drugie, stanowy gliniarz może się po prostu nie przejąć i zatrzymać samochód albo przynajmniej przytrzymać go na poboczu podczas sprawdzania autentyczności legitymacji. Po trzecie, po co mają się wysilać? Nie mieli pojęcia, że ktoś na nich poluje. Nie było jeszcze pierwszej. Andy miał siedzieć na uniwersytecie do drugiej. Ludzie ze Sklepiku nie spodziewają się, że wrócił do domu wcześniej niż dwadzieścia po drugiej czy coś koło tego, i prawdopodobnie myślą, że minie jeszcze od dwudziestu minut do dwóch godzin, nim podniesie alarm. Dlaczego nie mają jechać sobie statecznie i spokojnie?

Andy przyspieszył lekko.

Minęło czterdzieści, później pięćdziesiąt minut. Wydawało się, że trwa to dłużej. Zaczął się trochę pocić, strach przebijał się przez sztuczną skorupę spokoju i szoku. Czy mikrobus był rzeczywiście gdzieś tam przed nim, czy też ta cała sprawa była wyłącznie pobożnym życzeniem?

Samochody mijaly się i wyprzedzały. Dostrzegł dwa szare mikrobusy. Jednego prowadził starszy pan z powiewającymi siwymi włosami. Drugi był pełen świrów palących trawkę.

Kierowca zauważył, jak dokładnie przygląda mu się Andy, i pokazał mu dwa palce. Siedząca koło niego dziewczyna wyprostowała środkowy palec, pocałowała go delikatnie i wyciągnęła w jego stronę. I już był przed nimi.

Głowa zaczynała go boleć. Na drodze był tłok, słońce świeciło jasno. Na każdym samochodzie mnóstwo było chromu, a każdy kawałek chromu wysyłał własną strzałę słońca w jego oczy. Przejechał koło znaku: PARKING. DWA KILOMETRY.

Jechał lewym pasem. Wrzucił migacz i zjechał na prawy. Zwolnił powoli do siedemdziesięciu, później sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Mały sportowy samochód wyprzedził go; zirytowany kierowca zatrąbił.

PARKING – głosił znak. Nie było tu restauracji ani stacji benzynowej, po prostu zjazd z miejscami do ustawienia samochodów, basenikiem z wodą do picia i toaletami. Stało tu kilka sa-

mochodów osobowych i szary mikrobus. Właśnie ten szary mikrobus. Andy był tego niemal pewny. Serce zaczęło mu walić o żebra. Obrócił szybko kierownicę, koła zjeżdżającego na parking samochodu zapiszczały.

Jechał powoli w stronę mikrobusu, rozglądając się, starając się zauważyć wszystko naraz. Przy dwóch stolikach siedziały dwie rodziny. Jedna właśnie sprzątała stół i przygotowywała się do odejścia; matka wkładała resztki do jaskrawej, pomarańczowej foliowej torebki, ojciec i dwójka dzieci wrzucali śmiecie do kosza. Przy drugim stoliku mężczyzna i młoda kobieta zjadali kanapki i sałatkę ziemniaczaną. Pomiędzy nimi, w samochodowym foteliku, siedziało małe dziecko. Dzieciak ubrany był w sztruksowy kombinezon z mnóstwem tańczących słoni. Na trawie, pomiędzy dwoma wielkimi, pięknymi, starymi wiązami siedziały dwie mniej więcej dwudziestoletnie dziewczyny i też jadły lunch. Nie było ani śladu Charlie ani mężczyzn wyglądających wystarczająco młodo i wystarczająco twardo, by pracować dla Sklepiku.

Andy wyłączył silnik. Czuł, że serce podchodzi mu do gardła; i jeszcze wyżej. Mikrobus był chyba pusty. Andy wysiadł.

Starsza pani o lasce wyszła z damskiej wygodki i podeszła powoli do starego, ciemnoczerwonego samochodu. Pan mniej więcej w jej wieku wstał zza kierownicy, obszedł samochód, otworzył drzwi i posadził ją na siedzeniu. Wrócił, zapalił silnik – z rury wydechowej wydobył się kłęb tłustego niebieskiego dymu.

Drzwi męskiej toalety otworzyły się i wyszła z nich Charlie. Po jej obu stronach szli mniej więcej trzydziestoletni mężczyźni w sportowych marynarkach, rozpiętych pod szyją koszulach i ciemnych, podwójnie tkanych spodniach. Twarz Charlie była blada, zszokowana. Spojrzała najpierw na jednego mężczyznę, później na drugiego i z powrotem na pierwszego. Andy poczuł, jak skręca mu się żołądek. Charlie miała na plecach swój plecak. Szli w stronę mikrobusu. Charlie powiedziała coś do jednego mężczyzny, a on potrząsnął głową. Odwróciła się do drugiego. Ten wzruszył ramionami i ponad jej głowę powiedział coś do kolegi. Kolega skinął przyzwalająco. Zawrócili w kierunku baseniku z wodą do picia.

Serce Andy'ego biło szybko jak nigdy dotąd. Adrenalina zalała jego ciało kwaśną, drżącą falą. Był przerażony, bardzo przerażony, lecz coś jeszcze rośnie w jego ciele i był to gniew, była to wściekła furia. Furia była nawet lepsza niż spokój. Czuł się niemal błogo. To byli ci dwaj mężczyźni, którzy zabili mu żonę i ukradli córkę; i jeśli nie pogodzili się jeszcze z Jezusem, to im współczuł.

Kiedy agenci podchodzili wraz z Charlie do baseniku z wodą do picia, odwróceniu byli do niego plecami; Andy wyslizgnął się z samochodu i ukrył za mikrobusem.

Czteroosobowa rodzina, która właśnie skończyła jeść lunch, podeszła do nowego, niedużego forda, wsiadła do niego i wyjechała z parkingu. Matka przyjrzała się Andy'emu bez żadnej ciekawości, w sposób, w jaki ludzie przyglądają się sobie podczas długich podróży, przesuając się powoli przez system trawieny amerykańskich autostrad. Na parkingu pozostały teraz trzy samochody, szary mikrobus i kombi Andy'ego. Jeden z tych samochodów należał do dziewczyn. Przez parking szły dwie osoby, a w małej budce informacyjnej stał mężczyzna, trzymał dłonie w tylnych kieszeniach dżinsów i patrzył na plan I-80.

Andy nie miał pojęcia, co właściwie powinien zrobić.

Charlie skończyła pić. Jeden z dwóch mężczyzn pochylił się i też się napił. Ruszyli w kierunku mikrobusu. Andy przyglądał się im, ukryty za lewą burtą samochodu. Charlie wyglądała na przestraszoną, naprawdę przestraszoną. Płakała. Andy spróbował otworzyć tylne drzwi mikrobusu, właściwie nie wiedząc po co, ale nic mu z tego nie przyszło, bo drzwi były zamknięte.

Nagle – wyszedł z ukrycia.

Byli szybcy. Andy zobaczył, jak w ich oczach natychmiast pojawia się zrozumienie, szybciej niż zadowolenie pojawiło się na twarzy Charlie, zamazując widoczny na niej tępy strach i szok.

– Tatusiu! – krzyknęła cienko Charlie i na jej krzyk młodzi ludzie z dzieckiem rozejrzeli się wokół siebie. Jedna z siedzących pod więzmem dziewczyn osłoniła oczy, chcąc zobaczyć, co się dzieje.

Charlie chciała podbiec do ojca, ale jeden z mężczyzn złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie, przekrzywiając wiszący na plecach dziewczynki plecak. Moment później trzymał już

w ręku pistolet. Wyjął go spod sportowej marynarki, jak magik pokazujący wstrętną sztuczkę. Przyłożył lufę do skroni Charlie.

Drugi z mężczyzn niespiesznie odszedł od Charlie i swego towarzysza, a następnie zaczął się zbliżać do Andy'ego. Trzymał rękę pod marynarką, lecz jego koordynacja nie dorównywała koordynacji jego kolegi; miał pewne kłopoty z wyciągnięciem broni.

– Jeśli nie chcesz, by coś się stało twojej córce, odsuń się od samochodu – powiedział agent trzymający pistolet.

– Tato! – krzyknęła znów Charlie.

Andy powoli odsunął się od mikrobusu. Ten drugi facet, który przedwcześnie wyłysiał, trzymał już w ręku pistolet. Celował nim w Andy'ego. Był nie więcej niż dwa metry od niego.

– Radzę ci bardzo serdecznie: nie ruszaj się – powiedział cicho. – To colt, czterdziestkapiątka; robi naprawdę wielkie dziury.

Młody człowiek siedzący z żoną i dzieckiem przy piknikowym stole, wstał. Miał na nosie okulary bez oprawki i wyglądał bardzo poważnie.

– O co tu właściwie chodzi? – zapytał donośnym, pedantycznym tonem nauczyciela.

Agent trzymający Charlie obrócił się ku niemu. Lufa jego pistoletu odsunęła się na chwilę od głowy dziewczynki tak, by mężczyzna mógł ją zobaczyć.

– Sprawa rządowa – powiedział. – Nie ruszaj się, wszystko jest dobrze.

Żona złapała go za rękę i pociągnęła na stołek.

Andy spojrzał na łysiejącego agenta i powiedział niskim, spokojnym głosem:

– Ten rewolwer jest o wiele za gorący, by go trzymać w ręku.

Łysek spojrzał na niego, zaskoczony. I nagle – wrzasnął i upuścił broń. Colt uderzył o asfalt i wypalił. Jedna z dziewczyn spod wiązu krzyknęła. Łysek trzymał się za rękę i tańczył w miejscu. Bąble pojawiły się na jego dłoni, rosnąc jak świeże pączki.

Agent trzymający Charlie zerknął na partnera i przez chwilę lufa jego rewolweru odchyłona była całkowicie od jej małej główki.

– Jesteś ślepy – powiedział mu Andy i pchnął tak mocno, jak tylko potrafił. Mdląca igła bólu przeszła mu głowę.

Agent wrzasnął nagle. Puścił Charlie i jego dłonie powędrowały do oczu.

– Charlie – powiedział Andy cicho i córeczka podbiegła do niego, łapiąc go za nogi w drżącym, kurczowym uścisku.

Mężczyzna z budki informacyjnej wybiegł na zewnątrz, by zobaczyć, co się dzieje.

Łysek, ciągle trzymając się za dłoń, ruszył w stronę Andy’ego i Charlie. Robił przy tym straszne miny.

– Idź spać – rzucił Andy i pchnął po raz drugi.

Łysek zwałił się na ziemię, jakby podcięto mu nogi; uderzył czołem o asfalt. Młoda żona poważnego mężczyzny jęknęła.

Andy czuł rosnący ból głowy i w jakiś sposób czuł się szczęśliwy, że było lato i że co najmniej od maja wcale nie używał pchnięcia, nawet po to, by pomóc studentowi opuszczającemu się w nauce bez wyraźnych powodów. Był naładowany – lecz naładowany czy nie, jeden Bóg wiedział, czym zapłaci za to, co zrobił tego gorącego, letniego dnia.

Ślepiec zataczał się po trawie, przyciskając ręce do twarzy i wrzeszcząc. Wpadł na zieloną beczkę z wypisanym na boku hasłem: WRZUĆ ŚMIECI TAM, GDZIE ICH MIEJSCE i wpadł w stos opakowań po kanapkach, puszek po piwie, niedopałków papierosów i pustych butelek po coca-coli.

– Tato, rany, tak się bałam – powiedziała Charlie i zaczęła płakać.

– Tam jest samochód, widzisz go? – Andy usłyszał samego siebie, wypowiadającego te słowa. – Wsiadaj, za chwilę do ciebie przyjdę.

– Mamusia tam czeka?

– Nie. Wsiadaj, Charlie. – Nie mógł teraz zajmować się tą sprawą. Teraz musiał sobie jakoś poradzić ze świadkami.

– Co tu się, do diabła, dzieje? – zapytał w zdumieniu mężczyzna z budki informacyjnej.

– Moje oczy! – krzyczał agent, który przedtem trzymał rewolwer przy głowie Charlie. – Moje oczy! Moje oczy! Co zrobiłeś z moimi oczami, ty sukinsynu! – Wstał. Do ręki przyklepiła mu się torebka po kanapce. Zataczając się, poszedł w kierunku budki; mężczyzna w dżinsach żwawo wskoczył do środka.

- Idź, Charlie.
- A ty przyjdiesz, tatusiu?
- Tak, za sekundkę. Idź.

Charlie odeszła. Jej jasne mysie ogonki podskakiwały w rytm kroków. Plecaczek na jej plecach ciągle wisiał krzywo.

Andy minął śpiącego agenta Sklepiku, pomyślał o jego rewolwerze i zdecydował, że wcale go nie chce. Podszedł do młodego małżeństwa siedzącego przy stoliku piknikowym. Nie przesadź, powiedział do siebie. Lekko. Małe dotknięcia. Nie wzbudź echa. Nie możesz skrzywdzić tych ludzi.

Kobieta gwałtownie wyszarpnęła dziecko z nosidełka. Dziecko zaczęło płakać.

– Nie podchodź do mnie, ty wariacie – powiedziała.

– Nie stało się tu nic ważnego – powiedział i pchnął. Nowa strzała bólu przeszła mu podstawę czaszki... i uwięzła w mózgu.

Młody ojciec wydawał się uspokojony.

– No, dzięki Bogu.

Kobieta uśmiechnęła się niepewnie. Trudniej było ją pchnąć, działał jej instynkt macierzyński.

– Śliczny dzieciak – powiedział Andy. – Chłopczyk, prawda?

Ślepiec spadł z krawężnika, przewrócił się i uderzył głową w stopień czerwonego punkto, należącego prawdopodobnie do dwóch dziewczyn. Zawył. Z jego czoła płynęła krew.

– Jestem ślepy! – wrzasnął znowu.

Powściągliwy uśmiech młodej kobiety rozszerzył się.

– Tak, chłopczyk – powiedziała. – Ma na imię Michael.

– Cześć, Mike. – Andy pogłaskał dziecko po główce, prawie łysej.

– Nie rozumiem, dlaczego płacze – powiedziała młoda kobieta. – Aż do tej pory spał tak ładnie. Musi być głodny.

– Pewnie, że jest głodny – stwierdził jej mąż.

– Przepraszam na sekundkę. – Andy podszedł do budki informacyjnej. Nie miał już czasu do stracenia. W każdej chwili ktoś jeszcze mógł zjechać na parking – w sam środek tego piekła.

– O co tu chodzi, człowieku? – zapytał facet w dżinsach. – Czy to napad?

– Nie, nic się nie stało – i Andy pchnął lekko jeszcze raz. To pchnięcie spowodowało, że dostał mdłości. W głowie czuł łomot

i huk.

– Aha. No nic, po prostu chciałem się zorientować, jak dojechać stąd do Chagrin Falls. Przepraszam pana – i facet znów wszedł do budki.

Dziewczyny wycofały się aż do siatki odgradzającej parking od czyichś pól. Patrzyły na niego rozszerzonymi oczami. Ślepiec chodził teraz po parkingu w kółko, trzymając przed sobą sztywno wyciągnięte ręce. Klął i płakał.

Andy podchodził do dziewczyn powoli, trzymając ręce przed sobą i pokazując, że nic w nich nie ma. Odezwał się do nich. Jedna z nich zapytała go o coś i Andy jej odpowiedział. Wkrótce obie uśmiechnęły się z ulgą i zaczęły kiwać głowami. Andy pomachał do nich i obie mu odmachały. Poszedł szybko przez trawę w stronę samochodu. Z czoła ściekał mu zimny pot, w żołądku coś skręcało się obrzydliwie. Mógł się tylko modlić, by nikt nie wjechał na parking, póki on i Charlie się stąd nie wyniosą, bo nic mu już nie zostało. Był załatwiony. Wślizgnął się za kierownicę i włączył silnik.

– Tatku! – krzyknęła Charlie, rzuciła się na niego i przytuliła głowę do jego piersi.

Andy przycisnął ją do siebie na moment, a później wyjechał z parkingu. Obrócenie głowy powodowało ból nie do wytrzymania. Czarny koń. Ta myśl zawsze pojawiała się w jego głowie, kiedy było już po wszystkim. Wypuszczał jakoś czarnego konia z zamknięcia w ciemnej stajni podświadomości i teraz koń ten będzie galopował, tratując jego mózg. Musi dojechać gdzieś, gdzie będzie mógł się położyć. Szybko. Niedługo nie będzie już mógł prowadzić.

– Czarny koń – powiedział ochryple. Czarny koń nadbiegał. Nie... nie. Nie nadbiegał. Już tu był. Tak, już tu był. Wolny.

– Tato, patrz! – krzyknęła Charlie.

Ślepiec zatoczył się wprost pod maskę ich samochodu. Andy zahamował. Ślepiec zabębnił w dach, wrzeszcząc o ratunek. Po prawej kobieta zaczęła karmić dziecko piersią. Jej mąż czytał książkę. Facet z budki informacyjnej podszedł do dwóch dziewczyn z punto – być może miał nadzieję na szybką przygodę, wystarczająco perwersyjną, by później napisać o niej do „Penthouse’u”. Łysek spał, rozciągnięty na asfalcie.

Drugi agent walił w dach kombi.

– Ratunku! – wrzeszczał. – Jestem ślepy. Ten skurwysyn zrobił mi coś z oczami. Jestem ślepy!

– Tatku – jęknęła Charlie.

Przez jedną szaloną chwilę Andy miał ochotę przycisnąć gaz. W środku bolącej głowy usłyszał pisk opon na asfalcie, poczuł tępy wstrząs kół przejeżdżających przez ciało. Ten facet porwał Charlie i trzymał rewolwer przy jej głowie. Być może to właśnie on wsadził ściereczkę w usta Vicky, żeby nie krzyczała, kiedy wyrwali jej paznokcie. Tak dobrze byłoby go zabić... tylko że co by ich wtedy różniło?

Zamiast gazu przycisnął klakson. Jego dźwięk przeszył mu głowę nową falą bólu. Ślepiec odskoczył od samochodu, jakby go użądliła pszczoła. Andy przekręcił kierownicę i przejechał obok. Ostatnią rzeczą, jaką dostrzegł we wstecznym lusterku, wyjeżdżając z parkingu, był widok ślepeca siedzącego na asfalcie, z twarzą skrzywioną z gniewu i strachu... i młoda kobieta spokojnie kładąca sobie na ramieniu małego Michaela, żeby beknął.

Wpadł w strumień samochodów na autostradzie, nie patrząc, dokąd jedzie. Wielki lincoln zjechał gwałtownie na sąsiedni pas; podczas wyprzedzania jego kierowca wymachiwał pięściami.

– Tatku, dobrze się czujesz?

– Będzie lepiej – powiedział. Jego głos zdawał się brzmieć z daleka. – Charlie, weź kwit opłaty i sprawdź, gdzie jest najbliższy zjazd.

Jadące przed nim samochody wydawały się rozmazane. Rozdwoiły się i rozdwoiły jeszcze raz, zeszyły i rozmyły w pryzmatyczne odbicia. Odbite w chromie słońce raziło go ze wszystkich stron.

– I zapnij pas, Charlie.

Najbliższy zjazd był w Hammersmith, za trzydzieści kilometrów dalej. Jakoś tam dojechał. Później doszedł do wniosku, iż na drodze trzymała go tylko świadomość, że jest tu Charlie, że siedzi obok niego i że on jest za nią odpowiedzialny. Tak jak Charlie zawdzięczał to, że przeszedł przez kolejne próby – zawdzięczał to świadomości, że Charlie istnieje i że go potrzebuje. Charlie McGee, ktorej rodzice potrzebowali kiedyś dwustu dolarów.

Przy końcu zjazdu do Hammersmith stał hotel i Andy zdołał ich zameldować, prosząc o pokój jak najdalszy od autostrady. Podał fałszywe nazwisko.

– Będą nas ścigać, Charlie – powiedział. – Muszę się przespać. Lecz tylko do zmroku, tylko tyle mamy czasu... tylko tyle mam odwagę tu zostać. Obudź mnie, kiedy się ściemni.

Charlie mówiła coś, ale Andy już padał nieprzytomnie na łóżko. Świat rozmył się w szary punkt, a później zniknął nawet i ten punkt i została tylko wszechogarniająca ciemność, w którą nie mógł sięgnąć ból. Nie było bólu i nie było snów. Kiedy Charlie obudziła go tego gorącego, sierpniowego wieczoru piętnaście po siódmej, w pokoju było upiornie gorąco, a jego ubranie nasiąknęło potem. Próbowwała włączyć klimatyzację, ale nie potrafiła manipulować wyłącznikami.

– W porządku – powiedział Andy. Opuścił nogi na ziemię, przyłożył ręce do skroni i przycisnął nimi rozlatującą się głowę.

– Czujesz się lepiej, tatusiu? – zapytała zatroskana Charlie.

– Troszeczkę – odpowiedział. I mówił prawdę. Czuł się lepiej... troszeczkę. – Zatrzymamy się gdzieś i coś zjemy. To też trochę mi pomoże.

– A dokąd jedziemy?

Andy wolno pokręcił głową. Miał przy sobie tyle pieniędzy, ile zabrał rano z domu – około siedemnastu dolarów. Miał też dwie karty kredytowe, ale za pokój zapłacił dwiema dwudziestkami, które trzymał zawsze w portfelu w przegródce na zaskórniaki (mam za co uciec – mówił czasami do Vicky, w żartach; jak szatańsko prawdziwe okazały się te słowa), a nie kartą kredytową. Użycie którejś z kart byłoby jak wystawienie znaku: **TĘDY DO UCIEKAJĄCEGO NAUCZYCIELA AKADEMICKIEGO I JEGO CÓRKI!** Za siedemnaście dolarów mogą kupić sobie parę hamburgerów i zatankować samochód raz, a później nie będą mieli nic.

– Nie wiem, Charlie. Przed siebie.

– A kiedy spotkamy mamusię?

Andy spojrzał na córkę i głowa znów go bardziej rozbolała. Pomyślał o kroplach krwi na podłodze, o krwi na okienku pralki. Pomyślał o zapachu polityry.

– Charlie... – powiedział i nie mógł wykrztusić nic więcej. W każdym razie nie było potrzeby.

Charlie patrzyła na niego rozszerzającymi się powoli oczami. Dłoń podniosła do drżących ust.

– Och, nie, tato... powiedz, że nie.

– Charlie...

Charlie krzyknęła:

– Powiedz, że nie!

– Charlie, ci ludzie...

– Powiedz, że mamusia żyje, że żyje, powiedz, że mamusia żyje!

W pokoju było tak gorąco, klimatyzacja nie działała, to wszystko, to wszystko, tak tu gorąco, głowa go bolała, pot płynął mu po twarzy, nie zimny, gorący, jak olej, gorący...

– Nie – mówiła Charlie – nie, nie, nie.

Potrząsała głową. Mysie ogonki skakały raz w jedną, raz w drugą stronę i absurdalnie przypominały mu, jak po raz pierwszy wzięli ją z Vicky do wesołego miasteczka, karuzela...

To nie klimatyzacja.

– Charlie! – krzyknął. – Charlie, łazienka! Woda!

Charlie krzyknęła. Obróciła się w stronę otwartych drzwi do łazienki i nagle rozbłysło tam błękitne światło, jakby przepaliła się żarówka. Pryszyć oderwał się od ściany i wpadł do wanny, skręcony i czarny. Kilka niebieskich kafelków rozleciało się na kawałki.

Zaledwie zdążył podtrzymać padającą, szlochającą dziewczynkę.

– Tato, przepraszam, przepraszam, przepraszam...

– Już wszystko dobrze – powiedział drżącym głosem i przytulił ją.

Z łazienki, ze skrzynki z bezpiecznikami, wydobywało się cienkie pasmo dymu. Wszystkie porcelanowe urządzenia popękały w jednej chwili. Wyglądało tak, jakby cała łazienka przesunęła się przez potężny piec do wypalania. Ręczniki się tliły.

– Już dobrze. – Andy tulił córkę, kołysał nią. – Już dobrze, Charlie, wszystko będzie dobrze, jakoś sobie poradzimy, obiecuję.

– Chcę do mamy.

Andy skinął głową. On też chciał. Tulił Charlie mocno i wdychał zapach ozonu, porcelany, nadpalonych ręczników. Omal ich obojga nie usmażyła.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział, kołysząc córkę; nie bardzo w to wierzył, lecz była to litania, był to psalterz, głos dorosłego wołający w głąb czarnej studni lat, w ciasną dziurę rozpaczliwego dzieciństwa; tak się mówi, gdy wszystko jest źle, to było światełko w ciemną noc, niezdolne wystraszyć potwora z szafy, lecz zdolne utrzymać go w szafie jeszcze przez chwilę; był to głos bez mocy, który musiał mówić – mimo wszystko. – Wszystko będzie dobrze – powtórzył, nie bardzo w to wierząc, wiedząc to, co wszyscy dorośli wiedzą w głębi serca, że nic nigdy nie jest dobrze. – Wszystko będzie dobrze.

Płakał. Teraz nic nie mógł na to poradzić. Z oczu płynęły mu łzy. Przytulał Charlie tak mocno, jak tylko potrafił.

– Obiecuję ci, Charlie, wszystko się jakoś ułoży. Jeszcze wszystko będzie dobrze.

5

W jedno nie mogli go zrobić (choć niewątpliwie bardzo by chcieli) – to znaczy w morderstwo Vicky. Zdecydowali więc po prostu wymazać to, co zdarzyło się w pralni. W ten sposób uniknęli kłopotów. Czasami Andy zastanawiał się, co też pomyśleli sobie ich sąsiedzi z Lakeland. Niezapłacone rachunki? Problemy małżeńskie? Może narkomania lub okrucieństwo wobec dziecka? Na Conifer Place nie znali nikogo wystarczająco dobrze, by ich zniknięcie stało się powodem czegoś więcej niż zwykłe ploteczki przy kolacji; trzydniowa sensacja, zapomniana zaraz po tym, jak bank, któremu spłacali kredyt, wystawił dom na sprzedaż.

Siedząc teraz na pomoście i patrząc w ciemność, Andy myślał, że owego dnia miał pewnie więcej szczęścia, niż przypuszczał (i niż docenił). Przyjechał zbyt późno, by uratować Vicky, lecz zdążył odjechać, nim pojawili się grabarze.

Nikt nigdy nie napisał nic w gazetach, nikt się nawet nie zająknął o tym, że – zabawne! – wykładowca angielskiego nazwiskiem Andy McGee i jego rodzina nagle gdzieś zginęli, przepadli. Być może Sklepik zdusił plotki w zarodku. Z pewnością zgłoszono jego zaginięcie; jeden z kolegów albo i wszyscy, z którymi jadł tego dnia lunch, zrobiliby dla niego przynajmniej tyle. Ale

nie trafiło to do gazet, no a przecież w gazetach nigdy nie reklamuje się spraw niezapłaconych rachunków.

– Wrobiliby mnie w to, gdyby mogli – powiedział Andy, nie zdając sobie sprawy, że mówi głośno.

Ale nie mogli. Przeprowadzający sekcję patolog był w stanie określić czas śmierci i Andy, który przez cały dzień przebywał w towarzystwie bezstronnego świadka (a w przypadku zajęć H-116, „Styl i opowiadanie”, od dziesiątej do jedenastej trzydzieści, w towarzystwie dwudziestu pięciu bezstronnych świadków) w żaden sposób nie mógł zostać pociągnięty do odpowiedzialności. Nawet jeśli nie udałoby mu się przedstawić alibi na tych kilka krytycznych chwil, brakowało motywu.

Więc tych dwóch zabiło Vicky i udało się na poszukiwanie Charlie – lecz przedtem zawiadomili ludzi, których Andy nazywał w myśli grabarzami (i nawet widział ich oczami wyobraźni: młodzi mężczyźni o gładkich policzkach, ubrani w białe kombinezony). A w jakiś czas po tym, gdy i on udał się na poszukiwanie Charlie, może zaledwie w pięć minut później, lecz raczej nie dłużej niż po godzinie, pod jego dom podjechali grabarze. Vicky została pogrzebana, gdy Conifer Place drzemała w popołudniowym upale.

Mogli nawet rozumować prawidłowo, że zaginiona żona będzie dla Andy’ego większym problemem niż żona urzędowo martwa. Nie ma ciała, nie ma przypuszczalnego czasu śmierci. Nie ma przypuszczalnego czasu śmierci, nie ma alibi. Obserwowaliby go, dopieszczali, a wreszcie grzecznie zwięzali.

Oczywiście, rozesłaliby opis Charlie – i skoro już o tym mowa, także Vicky – lecz Andy nie zostałby przecież puszczonej, by spokojnie narobić hałasu. Więc pogrzebano Vicky, a on nie wie nawet, gdzie ją pogrzebano. A może spalono. A może...

Cholera, dlaczego tak się torturujesz?

Andy wstał nagle i wylał resztkę spirytusu Granthera przez barierkę. To wszystko już się zdarzyło, nic nie można zmienić, najwyższy czas, by przestać o tym myśleć.

Byłoby fajnie, gdyby to się dało zrobić.

Spojrzał na ciemne cienie drzew, prawą ręką mocno ścisnął szklankę i przez głowę znów przebiegła mu ta myśl:

Charlie, przysięgam ci, że wszystko się jakoś ułoży.

Podczas spędzonej w Tashmore zimy, długo po żalnym przebudzeniu w motelu w Ohio, wydawało się, że jego rozpaczliwe proroctwo wreszcie się spełniło.

Nie była to dla nich idylliczna zima. Niedługo po Bożym Narodzeniu Charlie złapała katar. Smarkala i kaszlała aż do początku kwietnia, kiedy to katar wreszcie przeszedł na dobre. Przez pewien czas miała gorączkę. Andy dawał jej po pół aspiryny dziennie i powtarzał sobie, że jeśli w ciągu trzech dni gorączka nie spadnie, to w końcu będzie musiał zabrać ją na drugą stronę jeziora, do Bradford, do lekarza; i do diabła z konsekwencjami. Ale gorączka spadła i przez resztę zimy katar już tylko denerwował Charlie. Pewnego pamiętnego marcowego dnia Andy zafundował sobie łagodne odmrożenia, a raz w zimną lutową noc, w czasie zawiei omal ich nie spalił, ładując do pieca zbyt dużo drewna. Ironia losu sprawiła, że to właśnie Charlie obudziła się w środku nocy i stwierdziła, że w domku jest o wiele za gorąco.

Czternastego grudnia świętowali urodziny Andy'ego, a dwudziestego czwartego marca urodziny Charlie. Miała już osiem lat i Andy przyglądał się jej czasami z niejakim zdumieniem, jakby po raz pierwszy zaczął ją dostrzegać. Już nie była małą dziewczynką; sięgała mu głową powyżej łokcia. Włosy znów jej urosły. Zaczęła je czesać w ten sposób, by nie wpadały jej do oczu. Zapowiadała się na piękność. Już była piękna, mimo spuchniętego nosa i kataru.

Nie mieli samochodu. Willys Irva Mandersa zamarzył na sztywno w styczniu; zdaniem Andy'ego pękł blok silnika. Przedtem zapalał go co dzień – bardziej z poczucia odpowiedzialności niż jakiegokolwiek innego powodu. Nawet samochód z napędem na cztery koła nie dałby rady wyjechać z domku Granthera po Nowym Roku. Śniegu, nienaruszonego z wyjątkiem śladów wiewiórek, kilku jeleni i upartego szopa, który nieustannie próbował wyciągnąć coś do jedzenia ze śmietnika, było już wtedy powyżej pół metra.

W małej szopie za domem Andy znalazł staroświeckie narty biegówki. Trzy pary, ale żadna z nich nie pasowałaby na Charlie.

I dobrze – Andy próbował utrzymać ją w domu tak długo, jak to tylko możliwe. Z katarem mogli sobie poradzić, nie chciał jednak ryzykować nawrotu gorączki.

Znalazł także stare buty narciarskie Granthera, brudne i popękane ze starości, wciśnięte w kartonowe pudełko po papierze toaletowym i włożone pod stół, na którym staruszek heblował kiedyś okiennice i robił drzwi. Andy smarował je i zmiękczał, a później stwierdził, że ciągle jeszcze nie dorósł do standardów Granthera i musi wypchać buty solidną porcją gazet. Było w tym coś zabawnego, lecz także trochę groźnego. Tej zimy Andy dużo myślał o Grantherze i zastanawiał się, co też Granther pomyślałby sobie o jego przewidywaniach na przyszłość.

Tej zimy kilka razy zakładał narty (nie miały nowoczesnych wiązań zatrzaskowych, lecz skomplikowaną i denerwującą płataninę pasków, kółek i klamerek) i maszerował przez wielkie, zamrożone jezioro Tashmore na przystań w Bradford. Z przystani wąska, kręta droga prowadziła do wioski odległej o trzy kilometry od jeziora i wtulonej między dwa wzgórza.

Zawsze wyruszał przed wschodem słońca, biorąc ze sobą plecak Granthera, i nigdy nie wracał przed trzecią. Pewnego dnia zaledwie zdążył przed szalejącą zamiecią, w której z pewnością zabłądziłby, stracił poczucie kierunku i tylko krążył po lodzie. Kiedy wszedł, Charlie rozplakała się z radości, a później niepokojąco długo kaszłała.

Do Bradford maszerował po jedzenie i ubrania dla siebie i dla córki. Miał zachomikowaną forszę Granthera; później włamał się do trzech większych domków na drugim końcu jeziora Tashmore i ukradł pieniądze. Nie czuł dumy z tego powodu; była to po prostu kwestia przetrwania. Wartość rynkowa domów, do których się włamał, wynosiła około osiemdziesięciu tysięcy dolarów za każdy, i przypuszczał, że właściciele zniosą stratę trzydziestu lub czterdziestu schowanych na czarną godzinę dolców – a tyle właśnie miała większość z nich. Jedyną rzeczą, której jeszcze dotknął tej zimy, była wielka beczka nafty stojąca za dużym nowoczesnym domem, nazwanym z fantazją „Camping Zmyłka”. Zabrał z niej prawie sto pięćdziesiąt litrów.

Nie lubił chodzić do Bradford. Nie lubił tego przeświadczenia, że staruszkowie siedzący przy kasie koło wielkiego, pękatego pieca z pewnością gadają o obcym, spędzającym zimę w jed-

nym z domów po drugiej stronie jeziora. Takie historyjki jakoś szybko się rozchodzą i czasami trafiają do tych uszu, do których nie powinny trafić. Sklepikowski nie trzeba było wiele – wystarczył najmniejszy szept – by połączyć Andy’ego z jego dziadkiem i z domem dziadka w Tashmore, Vermoncie. Andy po prostu nie wiedział, co jeszcze może zrobić. Musieli jeść i nie mogli spędzić całej zimy na sardynkach z puszki. Charlie musiała mieć świeże owoce, witaminy i ubrania. Pojawiła się nad jeziorem, mając na sobie brudną bluzeczkę, czerwone spodnie i majtki; jedyne. Nie mieli skutecznego lekarstwa na kaszel, żadnych świeżych warzyw i choć brzmi to idiotycznie, brakowało im zapalek. W każdym domku, do którego się włamywał, był kominek, ale znalazł tylko jedno pudełko zapalek.

Mógł szukać szczęścia dalej – na innych terenach i w innych domkach – ale wiele odleglejszych dróg odśnieżano, poza tym patrolowała je policja z Tashmore. I przy wielu drogach mieszkało dwóch, trzech ludzi żyjących tu przez cały rok.

W sklepie w Bradford dostał wszystko, czego potrzebował, łącznie z trzema parami ciepłych gaci i trzema wełnianymi swetrami, w przybliżeniu rozmiaru Charlie. Nie mieli tylko dziewczęcych majtek i Charlie musiała się obejść szortami rozmiar osiem, co na zmianę bawiło ją i denerwowało.

Dziesięciokilometrowe marsze na nartach Granthera męczyły Andy’ego, lecz także sprawiały mu przyjemność. Nie lubił zostawiać Charlie samej – nie dlatego, by jej nie ufał, lecz ponieważ cały czas był w strachu, iż po powrocie zobaczy, że jej nie ma... lub że nie żyje. Od starych butów dostawał odcisków niezależnie od tego, ile par skarpet włożył. Jeśli biegł za szybko, pojawiały się bóle głowy, a to przypominało mu o małych, pozbawionych czucia punktach na twarzy i powodowało, że wyobrażał sobie swój mózg jako starą, łysą oponę tak zużytą, iż miejscami nie było już na niej gumy. Jeśli dostanie wylewu na środku tego cholernego jeziora i zamarznie na śmierć, co wówczas stanie się z Charlie?

Ale podczas marszów najlepiej mu się myślało. Cisza jakoś rozjaśniała mu w głowie. Jezioro Tashmore nie było szerokie – droga z zachodniego brzegu na wschodni, którą maszerował, nie była dłuższa niż półtora kilometra – lecz za to bardzo długie. Kiedy w lutym na lodzie zaległa ponadmetrowa warstwa śnie-

gu, Andy czasami zatrzymywał się pośrodku drogi i patrzył w prawo i w lewo. Jezioro wydawało mu się długim korytarzem wyłożonym oślepiająco białymi kafelkami; czystym, jednolitym, rozciągającym się w obie strony, jak daleko sięgał wzrok. Ze wszystkich stron otaczały go obsypane szronem sosny. Nad nim wisiało oślepiające, bezlitośnie niebieskie zimowe niebo lub niebo jednolicie szare od nadchodzącego śniegu. Słyszał dalekie krakanie wron lub niski huk naprężającego się lodu, lecz to było wszystko. Wysiłek wzmocnił mu ciało. Na skórze, pod ubraniem, pojawiał się pot; zmęczenie, pot na skórze i ocieranie potu z czoła sprawiało mu przyjemność. Wykładając Yeatsa czy Williama i sprawdzając prace, zapomniał jakoś, jakie to uczucie.

W tej ciszy, wśród wielkiego wysiłku ciała, myślało mu się lepiej i Andy myślał. Trzeba coś zrobić – trzeba było zrobić coś dawno, ale to już przeszłość. Dotarli przed zimą do domku Granthera, ale ciągle uciekali. Obawa, jaką czuł w obecności miejscowych siedzących przy piecu, kopających fajki i patrzących na niego z ciekawością, wystarczyła, by mu to uświadomić. Wraz z Charlie zapędzeni zostali w ślepą uliczkę i musieli jakoś się z niej wydostać.

Andy ciągle czuł gniew, bo to nie było w porządku. Nie mieli prawa. On i jego rodzina są amerykańskimi obywatelami żyjącymi w społeczeństwie uważanym za demokratyczne; i jego żonę zamordowali, jego córkę porwali, a teraz polowali na nich jak na króliki.

Po raz kolejny pomyślał, że gdyby dotarł z tą historią do kogoś, do kilku osób, mógłby zburzyć plan Sklepiku. Nie zrobił tego jeszcze, bo ta dziwna hipnoza – ten sam rodzaj hipnozy, który skończył się śmiercią Vicky – trwała, przynajmniej do pewnego stopnia. Nie chciał, by jego córka dorastała jako karzeł w cyrku. Nie chciał, żeby zamknięto ją w szpitalu; ani dla dobra kraju, ani dla jej własnego dobra. I, co najgorsze, oszukiwał samego siebie. Nawet po tym, jak zobaczył żonę wciśniętą pod deskę do prasowania w pralni, z ustami zatkanymi szmatą, ciągle oszukiwał sam siebie i tłumaczył sobie, że wcześniej czy później zostawią ich w spokoju. „Gramy w fanty”, mówili jako dzieci. „Po skończeniu gry wszyscy dostaną swoje fanty z powrotem”.

Tylko że nie byli już dziećmi, nie grali w fanty, a kiedy gra się skończy, nikt nie odda nic ani jemu, ani Charlie. Tu się grało se-

rio.

W ciszy zaczął pojmować niektóre twarde prawdy. W pewien sposób Charlie była dziwolągiem, niemal niczym nieróżniącym się od ofiar thalidomidu w latach sześćdziesiątych lub córek matek, które brały DES; lekarze po prostu nie wiedzieli, że tym dziewczynkom po szesnastu czy siedemnastu latach przytrafi się guz pochwy. Charlie nie ponosiła za nic winy, ale to nie zmieniało faktów. Jej kalectwo, jej dziwność tkwiły wewnątrz. To, co zrobiła na farmie Mandersów, było przerażające, absolutnie przerażające, i Andy odkrył, że od tego czasu często zastanawia się, jak daleko sięgają jej zdolności i jak daleko mogą sięgnąć. W ciągu ostatniego roku, podczas ucieczki, przeczytał sporo książek z dziedziny parapsychologii; wystarczająco wiele, by wiedzieć, że pirokinezę i telekinezę wiązano z pewnymi mało znanymi gruczołami. Z lektury wiedział także, że obie te zdolności były ściśle ze sobą spokrewnione i że większość udokumentowanych przypadków dotyczyła dziewcząt niewiele starszych od Charlie.

Mając siedem lat, Charlie zdołała rozpętać orgię zniszczenia na farmie Mandersów. Teraz miała już prawie osiem. Co może się zdarzyć, kiedy będzie miała dwanaście lat i zacznie dojrzewać? Może nic. A może wiele. Mówiła, że nigdy nie użyje już swej mocy, lecz jeśli zostanie zmuszona, by jej użyć? A co, jeśli ta moc zacznie się objawiać spontanicznie? Co, jeśli Charlie zacznie wydzielać ogień we śnie i będzie to naturalnym objawem jej własnego, dziwnego dojrzewania; płonący odpowiednik polucji, których doznaje we śnie większość dorastających chłopców? Co, jeśli Sklepik zdecyduje się wreszcie odwołać swe psy... i Charlie zostanie porwana przez obce mocarstwo?

Pytania. Pytania.

W czasie podróży przez jezioro Andy próbował znaleźć na nie jakąś odpowiedź i w końcu, z wahaniem, przyznał, że być może Charlie będzie musiała na resztę życia poddać się jakiejś kontroli; dla jej własnego dobra. W jej przypadku może to być tak konieczne jak te okropne metalowe obręcze na nogach dzieci cierpiących na zanik mięśni i niesamowite protezy dla ofiar thalidomidu.

Były też pytania dotyczące jego przyszłości. Pamiętał o pozbawionych czucia miejscach na twarzy, o przekrwionym oku.

Nikt nie wierzy, że wydano i podpisano na niego wyrok śmierci, i Andy też nie wierzył w to do końca, ale był świadom, że trzy czy cztery mocne pchnięcia mogą go zabić, i zdawał sobie sprawę z tego, że przewidywana długość jego życia może wcale nie być taka duża. Trzeba zabezpieczyć jakoś Charlie na wypadek, gdyby zdarzyło się coś złego.

Ale nie tak, jak wyobraża to sobie Sklepik.

Żaden pokoik. Na to nie pozwoli.

Więc Andy dobrze to sobie przemyślał i w końcu podjął bolesną decyzję.

7

Andy napisał sześć niemal identycznych listów. Dwa zaadresowane były do senatorów stanu Ohio. Jeden do kobiety, która reprezentowała w Izbie Reprezentantów dystrykt, do którego należało Harrison. Jeden miał zostać wysłany do nowojorskiego „Timesa”, jeden do chicagowskiej „Tribune” i jeden do „Blade” z Toledo. Każdy z sześciu listów opowiadał, co się zdarzyło, począwszy od eksperymentu w gmachu Jasona Geameigha, a kończąc na wymuszonej na nich obojgu ucieczce nad jezioro Tashmore.

Kiedy skończył, dał jeden list do przeczytania Charlie. Przeczytała go powoli i dokładnie; zajęło jej to niemal godzinę. Po raz pierwszy poznała całą historię od początku do końca.

– Chcesz je wysłać? – zapytała, kiedy skończyła czytać.

– Tak – odpowiedział. – Jutro. Myślę, że jutro po raz ostatni odważę się przepłynąć przez jezioro.

W końcu zaczęło się robić cieplej. Lód był ciągle gruby, lecz pękał już prawie bez przerwy i Andy nie wiedział, jak długo jeszcze można będzie chodzić po nim bezpiecznie.

– I co potem, tato?

Andy potrząsnął głową.

– Nie jestem pewien. Mogę tylko mieć nadzieję, że jeśli to wszystko wyjdzie na jaw, ci, którzy nas prześladowali, będą musieli dać nam spokój.

Charlie trzeźwo skinęła głową.

– Trzeba to było zrobić wcześniej.

– Tak – odparł, wiedząc, że córka myśli o katastrofie, do której omal nie doszło w październiku, na farmie Mandersów. – Pewnie tak. Ale wtedy nie miałem szansy, żeby się zastanowić. Mogłem tylko myśleć o tym, jak im uciec jeszcze raz. A o czym masz szansę myśleć, uciekając... no, przeważnie myślisz głupio. Miałem nadzieję, że w końcu dadzą sobie spokój i zostawią nas. To była straszna pomyłka.

– Oni mnie nie zabiorą, prawda, tatusiu? To znaczy, od ciebie. Zostaniemy razem, prawda, tatusiu?

– Tak. – Nie chciał się przed nią przyznać, że o tym, co się stanie, kiedy listy dotrą do adresatów, wiedział niewiele więcej od niej. To miało nastąpić „później”.

– Bo tylko o to mi chodzi. Już nie będę wzniecać ognia.

– W porządku.

Dotknął jej włosów. Gardło ścisnął mu raptowny, ostrzegawczy lęk i nagle przypomniało mu się coś, co zdarzyło się niedaleko stąd; coś, o czym nie myślał od lat. Był na spacerze z ojcem i Grantherem, i Granther dał mu swą dwudziestkędwójkę, którą nazywał „strzelbą na szkodniki”, bo Andy bardzo o nią prosił. Andy zobaczył wiewiórkę i chciał ją zastrzelić. Jego tata protestował, lecz Granther uciszył go z dziwnym, niewyraźnym uśmiechem.

Andy wymierzył tak, jak nauczył go Granther; nacisnął spust delikatnie, nie zrywając (także tak, jak nauczył go Granther) i trafił wiewiórkę. Spadła z gałęzi jak pluszowa zabawka; Andy oddał Grantherowi strzelbę i podbiegł do niej, podniecony. To, co zobaczył z bliska, sparaliżowało go. Z bliska wiewiórka nie przypominała wcale pluszowej zabawki. I nie była martwa. Trafił ją w grzbiet i leżała tam, zdychając, skąpana w swej własnej, jasnej krwi; czarne oczy miała otwarte, żywe i pełne strasznego cierpienia. Jej pchły, znające już potworną prawdę, uciekały z ciała trzema cienkimi strumyczkami.

Nagle poczuł ucisk w gardle i – w wieku dziewięciu lat poznał po raz pierwszy jasny, gęsty smak pogardy dla samego siebie. Patrzył nieruchomym wzrokiem na konającą wiewiórkę świadom tego, że jego ojciec i dziadek stoją za nim, że rzucają na niego swe cienie – trzy pokolenia mężczyzn rodziny McGee, stojących nad trupem wiewiórki, zamordowanej w lasach Vermontu. Za jego plecami Granther zapytał cicho:

– No i zrobiłeś to, Andy. Jak ci się podoba?

Andy rozplakał się wtedy nagle, nieopanowanie, gorącymi łzami strachu i zrozumienia, że jak to zrobisz raz, nie ma odwrotu. Przysiągł, że już nigdy niczego nie zastrzeli. Przysiągł na Boga.

„Już nigdy nie zapalę ognia”, powiedziała Charlie i Andy przypomniał sobie, co odpowiedział mu Granther tego dnia, kiedy zastrzelił wiewiórkę i przysiągł na Boga, że już nigdy nie zrobi niczego takiego. „Nie mów tak, Andy. Bóg kocha sprawiać, by ludzie łamali przysięgi. To powoduje, że czują się odpowiednio mali, że znają swe miejsce na świecie, i wiedzą, ile mają samokontroli”.

Niemal to samo Irv Manders powiedział Charlie.

Charlie znalazła na strychu cały komplet książeczek o przygodach Bomby, chłopca z dżungli, i czytała je, powoli, lecz pewnie. Andy patrzył na nią; siedziała na starym bujaku w promieniu słońca wpadającym przez zakurzone okno, dokładnie tam, gdzie siadywała jej babka, zazwyczaj z koszykiem pełnym skarpet do cerowania; i walczył z przemożną chęcią powiedzenia jej, by odwołała to, co powiedziała, by odwołała to, póki jeszcze może; powiedzenia jej, że nie rozumie tej strasznej pokusy – jeśli strzelba leży w widocznym miejscu wystarczająco długo, wcześniej czy później przyłożysz ją do ramienia.

„Bóg kocha sprawiać, by ludzie łamali przysięgi”.

8

Nikt oprócz Charlesa Paysona nie widział, jak Andy wysła listy. Charles Payson pojawił się w Bradford w październiku i od października próbował rozruszać starą pasmanterię. Był to mały człowieczek o smutnej twarzy; podczas jednej z wizyt próbował postawić Andy’emu drinka. W mieście spodziewano się, że jeśli Payson nie wyjdzie na swoje najbliższego lata, to piętnastego września przed jego sklepem pojawi się znak NA SPRZEDAŻ lub DO WYNAJĘCIA. Był całkiem fajnym facetem, ale z trudnością wiązał koniec z końcem. Bradford nie było już takie jak niegdyś.

Andy szedł ulicą – narty zostawiał wbite w śnieg na początku drogi prowadzącej do przystani w Bradford – w stronę sklepu

przemysłowego. Kiedy wszedł, miejscowi przyjrzeni mu się bez szczególnego zainteresowania. Tej zimy o Andym sporo się mówiło. Zgodzono się wreszcie, że ten tu człowiek od czegoś ucieka – od bankructwa może, albo od umowy o podziale majątku przy rozwodzie. Może od złej żony, której nie przyznano prawa do opieki nad dzieckiem; dziecinne ubranka, które kupował Andy, nie uszły niczyjej uwagi. Zgodzono się także, że wraz z dzieckiem włamał się do jednego z domków nad jeziorem i spędza tam zimę. Nikt nie wtajemniczył w te rozważania policjanta z Bradford; on był tu nowy, mieszkał w miasteczku zaledwie dwanaście lat, i zachowywał się tak, jakby całe do niego należało. Ten tu facet przyjechał z drugiej strony jeziora, z Tashmore, z Vermontu. Nikt z miejscowych seniorów, siedzących wokół pieca w sklepie Jake’a Rowleya, nie kochał Vermontu i tego tam jego podatku dochodowego, jego durnych praw antyalkoholowych i tego zasranego Ruska⁵, siedzącego w domu jak car i piśiącego książki, których nikt nie potrafi zrozumieć. Niech Vermontczycy sami załatwiają swoje sprawy – brzmiała jednogłośnie, choć nigdy wyraźnie niewyartykułowana opinia.

– Już niedługo będzie przechodził przez jezioro – powiedział jeden, odgryzł kolejny kawałek czekoladowego batonika i zaczął go żuć bezzębnyimi ustami.

– Chyba że sprawi sobie skrzydła – powiedział drugi i wszyscy zachichotali.

– Może widzimy go po raz ostatni – stwierdził z zadowoleniem Jake, gdy Andy podchodził do sklepu.

Andy miał na sobie starą kurtkę Granthera i niebieską wełnianą opaskę naciągniętą na uszy, i jakieś wspomnienie, być może podobieństwo rodzinne do starego, zatańczyło w głowie Jake’a, by zaraz zniknąć.

– Kiedy lód zacznie topnieć, zniknie, jakby go nigdy nie było. On i ktokolwiek tam z nim jest.

Andy zatrzymał się przed sklepem, zdjął z ramion plecak i wyjął z niego kilka listów. Następnie wszedł. Zgromadzeni w sklepie mężczyźni patrzyli uważnie na paznokcie, na zegarki i na sam stary piec. Jeden z nich wyjął gigantyczną, niebieską, kolejarską chustkę i potężnie wysmarkał nos.

Andy rozejrzał się dookoła.

– Dzień dobry, panowie – powiedział.

- Dzień dobry panu – odparł Jake Rowley. – Chce pan czegoś?
- Pan sprzedaje znaczki, prawda?
- Och tak, oczywiście. Rząd ufa mi aż do tego stopnia.
- Poproszę sześć za piętnaście centów.

Jake wyjął starą czarną książkę pocztową i oderwał ostrożnie sześć znaczków.

- Czy potrzebuje pan dziś jeszcze czegoś?

Andy pomyślał i uśmiechnął się. Był dziesiąty marca. Nie odpowiadając Jake'owi, podszedł do półki za młynkiem do kawy i wybrał wielką, ozdobną kartkę pocztową. Na kartce widniał napis: TOBIE, CÓRECZKO, W TWÓJ SPECJALNY DZIEŃ. Zaniósł ją do lady i zapłacił.

- Dziękuję – powiedział Jake i zadzwonił kasą.
- Ależ nie ma za co – odparł Andy i wyszedł.

Patrzyli, jak poprawia opaskę i nakleja znaczki na listy, jeden za drugim. Z nosa unosiła mu się para. Patrzyli, jak okrąża budynek, idąc do skrzynki pocztowej, ale żaden z siedzących przy piecu mężczyzn nie mógłby oświadczyć w sądzie, że Andy wysłał te listy. Zobaczyli go, gdy wrócił i zakładał plecak.

- Tyle go widzieliśmy – stwierdził jeden z weteranów.
- Całkiem grzeczny facet – oznajmił Jake i to zamknęło sprawę. Później rozmawiano już o czymś innym.

Charles Payson stał w drzwiach swojego sklepu, w którym przez całą zimę nie uhandlował nawet trzystu dolarów, i patrzył, jak Andy odchodzi. Payson mógłby zaświadczyć w sądzie, że listy zostały wysłane; stał i widział, jak Andy wrzuca je wszystkie do skrzynki.

Kiedy Andy zniknął z pola widzenia, Payson wrócił do środka i przez drzwi koło lady, z której sprzedawał tanie słodycze, kapiszony i gumę do żucia, wszedł do mieszkania. Na telefonie miał maszynę do szyfrowania. Zadzwonił do Wirginii po instrukcje.

9

W Bradford, w stanie New Hampshire (i jeśli o to chodzi także w Tashmore, w stanie Vermont) nie było i nie ma poczty; oba miasteczka są na to za małe. Najbliższa od Bradford poczta znajduje się w Teller, w stanie New Hampshire.

Dziesiątego marca o godzinie pierwszej piętnaście mały samochód pocztowy z Teller zatrzymał się naprzeciw sklepu w Bradford i listonosz wyjął listy ze skrzynki stojącej tam, gdzie do 1970 roku Jake prowadził stację benzynową. Poczta składała się z sześciu listów Andy'ego i kartki od Shirley Devine, pięćdziesięcioletniej starej panny, do jej siostry mieszkającej w Tampa na Florydzie. Po drugiej stronie jeziora Andy McGee zażywał drzemki, a Charlie lepiła bałwana.

Listonosz, Robert Everett, zapakował listy do worka, wrzucił worek do swego niebiesko-białego samochodu, i pojechał do Williams, innego małego miasteczka w New Hampshire, leżącego na terenie Teller. Później zawrócił pośrodku tego, co mieszkańcy Williams nazywali dla żartu ulicą Główną, i pojechał z powrotem do Teller, gdzie poczta miała być rozsortowana i wysłana dalej około trzeciej po południu. Niecałe dziesięć kilometrów za miastem na drodze stał zaparkowany w poprzek beżowy chevrolet caprice, blokujący oba wąskie pasma. Everett zatrzymał się przy zaspie odgarniętego śniegu i wysiadł zobaczyć, w czym mógłby pomóc.

Na jego spotkanie wyszli z samochodu dwaj mężczyźni. Pokazali mu legitymacje i powiedzieli, czego chcą.

– Nie! – krzyknął Everett.

Spróbował się roześmiać i jego śmiech zabrzmiał niedowierzaniem, jakby ktoś mu właśnie powiedział, że tego popołudnia mają otworzyć jezioro Tashmore dla pływaków.

– Jeśli wątpisz, że jesteśmy tymi, za których się podajemy... – zaczął jeden z nich.

Był to Orville Jamieson, zwany czasami OJ, a czasami Jędrny. Chętnie gadał z tym listonoszem z pipidówki, chętnie zrobiłby wszystko tak długo, jak długo nikt nie każe mu zbliżyć się na mniej niż pięć kilometrów do tej diabelskiej dziewczynki.

– Nie, to nie to, to wcale nie to – powiedział przestraszony Robert Everett; przestraszony jak każdy, kiedy staje się bezsilny wobec potęgi rządu, wobec szarej rządowej biurokracji, która nagle nabrała twarzy jak coś trwałego i poważnego, materializującego się z kryształowej kuli. Nadal jednak był zdecydowany. – Ale to przecież poczta. Poczta Stanów Zjednoczonych! Przecież musicie to zrozumieć.

– To sprawa bezpieczeństwa narodowego – powiedział OJ.

Po kłęsce w Hastings Glen farmę Mandersów otoczono ochronnym kordonem. Ziemię i resztki domu przeszukano i zbadano pod mikroskopem. W rezultacie poszukiwań OJ odzyskał Narkozę, który przyjemnie uciskał mu teraz lewą pierś.

– Wy tak mówicie, ale mnie to nie wystarcza – powiedział Everett.

OJ rozpiął swój drogi kozuch tak, by Robert Everett mógł dostrzec Narkozę. Oczy listonosza rozszerzyły się i OJ uśmiechnął się lekko.

– Chyba nie chcesz, żebym go wyciągnął, prawda?

Everett nie potrafił uwierzyć w świadectwo własnych zmysłów.

Spróbował po raz ostatni

– Czy wy wiecie, jaka jest kara za kradzież poczty Stanów Zjednoczonych? Za to wsadzą was do Leavenworth w Kansas.

– Jak wrócisz do Teller, wyjaśnisz to z szefem – powiedział ten drugi facet. Odezwał się po raz pierwszy. – A teraz przestań pieprzyć, dobra? Daj nam torbę z pocztą spoza miasta.

Everett dał im małą torbę poczty z Bradford i Williams. Otworzyli ją tu, na drodze, i bez zainteresowania zaczęli przerzucać listy. Robert Everett czuł gniew i straszny wstyd. To, co robili, nie było w porządku, nawet jeśli listy zawierały tajemnicę bomby jądrowej. Otwierać przy drodze pocztę Stanów Zjednoczonych to nie w porządku. Śmieszne, ale odkrył, że czuje się tak, jakby do jego domu wtargnęli obcy mężczyźni i zdarli ubranie z jego żony.

– Jeszcze o tym usłyszycie! – powiedział zdławionym, przerażonym głosem. – Zobaczycie.

– Tu są – powiedział ten drugi facet OJ-owi i wręczył mu sześć listów zaadresowanych tą samą, pewną ręką. Robert Everett rozpoznał je natychmiast. Pochodziły ze skrzynki przy sklepie w Bradford. OJ włożył listy do kieszeni i obaj faceci poszli do swego chevroleta, zostawiając otwarty worek na poboczu.

– Jeszcze o tym usłyszycie! – krzyknął Everett drżącym głosem.

Nie oglądając się za siebie, OJ powiedział:

– Pogadaj ze swoim szefem, nim pogadasz z kimś innym. To znaczy, jeśli dalej chcesz pracować jako listonosz.

Odjechali. Everett patrzył za nimi, wściekły, przerażony, chory. W końcu podniósł worek i wrzucił go do samochodu.

– Rabunek – powiedział zdumiony tym, że niemal płacze. – Zostałem obrabowany, zostałem obrabowany, o cholera, zostałem obrabowany!

Wrócił do Teller tak szybko, jak tylko pozwalała na to śliska droga. Porozmawiał z szefem, jak mu poradził tamten człowiek.

Szefem Everetta w Teller był Bill Cobham i Everett siedział w gabinecie Cobhama przeszło godzinę. Czasami przez zamknięte drzwi dobiegały głosy, złe i podniesione.

Cobham miał pięćdziesiąt sześć lat. Na poczcie pracował trzydzieści pięć lat i był bardzo przestraszony. W końcu udało mu się jakoś przekazać ten strach Everettowi. I Everett nigdy nie powiedział nic o tym, jak został obrabowany na Teller Road, między Bradford i Williams; nikomu, nawet swojej żonie. Lecz nigdy o tym nie zapomniał i nigdy nie pozbył się na dobre uczucia gniewu, wstydu... i nie odzyskał utraconych złudzeń.

10

O wpół do trzeciej Charlie skończyła bałwana, a Andy wstał, nieco wypoczęty po drzemce. Orville Jamieson i jego nowy partner, George Sedaka, siedzieli już w samolocie. Cztery godziny później, gdy Andy i Charlie grali w tysiąca, a pozmywane po kolacji naczynia suszyły się na suszarce, listy znalazły się na biurku Kapa Hollistera.

Kap i Rainbird

1

Dwudziestego czwartego marca, w dniu urodzin Charlie McGee, Kap Hollister siedział za biurkiem pełen wielkiej, choć nieokreślonej obawy, jej powód nie był nieokreślony; spodziewał się Rainbirda za niecałą godzinę i było to zbyt podobne do oczekiwania na nieoczekiwaną wizytę diabła. Mniej więcej. Choć przecież diabeł wypełnia zobowiązania wynikające z ustaleń cyrografu, przynajmniej jeśli wierzyć jego rzecznikom prasowym, a jeśli chodzi o Johna Rainbirda, Kap zawsze miał uczucie, że głównym rysem jego osobowości jest to, że nie da się jej ograniczyć do wypełniania ustaleń. Kiedy wszystko już zostało powiedziane i załatwione, był on tylko cynglem, a cyngle wcześniej czy później niszczą się sami. Kap czuł, że kiedy wreszcie Rainbird zejdzie z tego świata, odbędzie się to z widowiskowym bum! A co on właściwie wiedział o operacji McGee? Nie więcej, niż powinien, jasne... ale to pytanie ciągle go prześladowało. Nie po raz pierwszy Kap zastanawiał się, czy po zakończeniu sprawy McGee nie byłoby mądrze zrobić z wielkiego Indianina ofiarę wypadku. Zgodnie z godnymi zapamiętania słowami ojca Kapa Rainbird był szalony jak facet zjadający szczurze gówna i twierdzący, że to kawior.

Kap westchnął. Na dworze padał deszcz; niesione silnym wiatrem krople bębniły w szyby. Gabinet, latem jasny i miły, wypełniony był teraz ruchliwymi, szarymi cieniami. Nie były to cienie przyjazne, myślał Kap, siedząc za biurkiem i mając pod lewą ręką biblioteczny wózek wypełniony aktami sprawy McGee. Zima sprawiła, że czuł się staro; nie był już tym jowialnym mężczyzną, który tego październikowego dnia, kiedy ojciec i córka McGee uciekli po raz kolejny, zostawiając za sobą burzę i płomień, podjechał na rowerze pod główne wejście.

Zmarszczki na jego twarzy, wtedy niemal niewidoczne, pogłębiły się teraz w bruzdy. Los zmusił go do upokarzającego noszenia grubych okularów, nazywał je „okularami staruszków”; musiał się do nich przyzwyczajać i przez sześć tygodni czuł mdłości. Były to drobiazgi; zewnętrzne symbole tego, jak szaleńczo, ogłupiająco źle rozwinęła się sytuacja. Wściekał się za to na siebie, cały bowiem jego trening i wychowanie uczyło go, by nie wściekać się na rzeczy poważne, a pogrzebane tak płytko. Jakby ta przekłeta mała była jakimś jego osobistym Jonaszem. Jedyne dwie kobiety, które kochał po śmierci matki, umarły w zimie na raka: jego żona, Georgia, trzy dni po Bożym Narodzeniu, i jego osobista sekretarka, Rachel, zaledwie niecały miesiąc temu.

Oczywiście wiedział, że Georgia jest poważnie chora; wycięcie macicy zwolniło postęp choroby, lecz go nie zatrzymało; śmierć Rachel była jednak okrutną niespodzianką. Pamiętał (jakże niewybaczalne wydawało mu się to teraz), jak żartował, że powinna trochę przytyć, a ona odpowiadała mu podobnymi żartami.

Teraz został mu jedynie Sklepik – a być może wcale nie na długo. Podstępny rodzaj raka zaatakował samego Kapa. Jak by go nazwać? Rak pewności siebie? To było coś takiego. A wśród pewnego rodzaju elity ta choroba była niemal zawsze śmiertelna. Nixon, Lance, Helms. wszyscy zmarli na raka zaufania.

Kap otworzył akta McGee i wyjął najnowsze dokumenty – sześć listów, które Andy wysłał mniej niż dwa tygodnie temu. Przerzucał je, nie czytając. W gruncie rzeczy był to jeden list, którego treść znał na pamięć. Pod listami leżały błyszczące fotografie, niektóre zrobione przez Charlesa Paysona, niektóre przez agentów działających od strony Tashmore. Były tu zdjęcia pokazujące Andy’ego maszerującego po głównej ulicy Bradford. Były fotografie Andy’ego robiącego zakupy i płacącego za nie. Fotografie Andy’ego i Charlie stojących koło szopy na łodzie, na tle zaszypanego śniegiem wzgórek, który był willysem Irva Mandersa. Była fotografia Charlie zjeżdżającej po lśniącym zlodowaciałym śniegu na rozplaszczonym kartonowym pudle; jej włosy, wymykające się spod zbyt dużej wełnianej czapki, powiewały w pędzie. Na tym zdjęciu Andy stał w tle, ręce w mitenkach oparte miał na biodrach i ryczał ze śmiechu. Kap przyglądał się temu zdjęciu często, długo, poważnie i czasami zastanawiał się,

dlaczego drżą mu ręce, gdy je odkłada. Chciał ich mieć aż tak bardzo.

Wstał i na chwilę podszedł do okna. Za oknem żaden Rich McKeon nie kosił dzisiaj trawy. Olchy były nagie jak szkielety, a staw między dwoma domami lśnił pusty. Tej wczesnej wiosny na stole Sklepiku mnóstwo było dań, prawdziwy szwedzki stół, ale dla Kapa liczyło się tylko jedno: sprawa Andy'ego McGee i jego córki Charlene.

Fiasko na farmie Mandersów okazało się niemal niszczące. Sklepik jakoś sobie z nim poradził i on sam też, ale fala pływo-wa wzniosła się wysoko i wkrótce może się załamać. Najwyższym punktem fali był problem tego, jak radzono sobie ze sprawa rodziny McGee od momentu zamordowania Victorii McGee i porwania – na krótko – jej córki. Krytyka skupiała się na tym, że nauczyciel, który nawet nie był w wojsku, zdołał odebrać córkę dwóm wytrenowanym agentom, doprowadzając jednego z nich do szaleństwa, a drugiego do stanu śpiączki trwającej sześć miesięcy. Ten drugi agent nigdy już nie będzie się nadawał do służby; kiedy tylko usłyszy słowo „śpij”, wali się bezwładnie, gdzie stał, i śpi od czterech do dwunastu godzin. W jakiś niesamowity sposób było to nawet śmieszne.

Krytyka skupiała się także na drugim punkcie – na tym, że obojgu McGee udawało się zawsze o krok wyprzedzać agentów. Stawiało to Sklepik w złym świetle. Oni wszyscy wychodzili przez to na głupków.

Ale największą falę krytyki obudził incydent na farmie Mandersów, ponieważ omal nie wykończył całej cholerniej agencji. Kap wiedział, że zaczęły się szeptki. Szeptki, notatki, może nawet zeznania przed supertajną komisją Kongresu.

Nie chcemy, żeby czepiał się stołka jak Hoover. Ta kubańska sprawa zakończyła się kompletnym fiaskiem, bo tylko siedzi z głową w aktach tych cholernych McGee. Niedawno umarła mu żona, wiecie? Straszna szkoda. Mocno go trafiło. Cały interes z tymi McGee to nic innego tylko katalog niekompetencji. Może ktoś młodszy...

Żaden z nich nie rozumiał, jakiego tu mają przeciwnika. Myśleli, że rozumieją, ale nie rozumieli. Raz za razem, na jego oczach, odrzucali ten prosty fakt, że dziewczynka ma zdolności pirokinetyczne, że jest podpalaczką. Dosłownie kilkanaście ra-

portów stwierdzało, że pożar na farmie Mandersów zaczął się od wycieku benzyny, od stłuczonej przez kobietę lampy naftowej, od jakiegoś pieprzonego samozapalenia. Niektóre z tych raportów napisali świadkowie wydarzeń.

Stojąc obok okna, Kap stwierdził nagle, że przewrotnie żałuje, iż nie ma tu doktora Wanlessa. Wanless by go zrozumiał. Z Wanlessem mógłby porozmawiać na temat... na temat tej groźnej ślepoty.

Wrócił do biurka. Nie ma sensu się oszukiwać; kiedy wojna podjazdowa raz się zaczęła, nie ma sposobu, by ją powstrzymać. To naprawdę przypomina raka. Możesz opóźnić jego rozwój, przypominając zasługi (a tej zimy Kap przypomniał je chyba z dziesięciu lat tylko po to, by utrzymać się w siodle), możesz nawet powstrzymać rozwój choroby, lecz wcześniej czy później i tak jesteś gotowy. Kap czuł, że ma czas może do lipca, jeśli będzie grał czysto, a może do listopada, jeśli zechce się okopać i grać twardo. To jednak mogło oznaczać rozszarpanie agencji na strzępy, a na tym wcale mu nie zależało. Nie miał ochoty niszczyć czegoś, w co zainwestował pół życia. Ale jeśli będzie musiał, zrobi to; miał zamiar doprowadzić sprawę do samego końca.

Głównym czynnikiem, który umożliwił mu utrzymanie się w siodle, była szybkość, z jaką powtórnie zlokalizowali Andy'ego i Charlie McGee. Kap z radością przyznał się do zasługi, która wzmocniła jego pozycję, lecz osiągnięcie to zawdzięczał wyłącznie komputerowi.

Sprawa trwała wystarczająco długo, by zdołali się przekopać wzdłuż i wszerz przez życie rodziny McGee. W komputerze zgromadzone były informacje o więcej niż dwustu krewnych i ponad czterystu znajomych wszystkich członków rodziny. Z przyjaciół mieli wszystkich, począwszy od najlepszej koleżanki Vicky z pierwszej klasy, dziewczynki Kathy Smith, która była teraz panią Worthy z Cabral, Kalifornia i która prawdopodobnie nie pomyślała o Vicky ani razu od jakichś dwudziestu lat.

Komputerowi dostarczono „najnowsze dane” i komputer posłusznie wypluł listę możliwości. Na czele tej listy znajdowało się nazwisko nieżyjącego dziadka Andy'ego, mającego posiadłość nad jeziorem Tashmore w Vermoncie; tytuł własności tej posiadłości przeszedł na Andy'ego. Rodzina McGee spędzała

tam wakacje, a miejsce to znajdowało się w rozsądnej odległości od farmy Mandersów i można było dojechać tam bocznymi drogami. Komputer przeczuwał, że jeśli Andy i Charlie zechcą zatrzymać się w jakimś „znanym sobie miejscu”, będzie to właśnie to miejsce.

Po niespełna tygodniu od czasu, gdy Charlie i Andy wprowadzili się do domu Granthera, Kap wiedział już, że tam są. Otoczono ich luźnym łańcuchem agentów. Poczyniono przygotowania do wykupienia pasmanterii w Bradford na podstawie przypuszczenia, że Andy będzie załatwiał swe zakupy właśnie tam.

Bierna obserwacja, nic więcej. Wszystkie zdjęcia zrobiono teledobrym, z najlepszego możliwego ukrycia. Kap nie miał zamiaru ryzykować kolejnego podpalenia.

Mogli spokojnie zgarnąć Andy’ego podczas każdej z jego podróży przez jezioro. Mogli zastrzelić ich oboje tak łatwo, jak łatwo zrobili zdjęcie Charlie zjeżdżającej z górki na spłaszczonym kartonowym pudle. Lecz Kap chciał dziewczynki i zaczynał wierzyć, że jeśli mają mieć nad nią jakąkolwiek rzeczywistą kontrolę, będą także potrzebowali jej ojca.

Kiedy ich już zlokalizowali, najważniejsze było uzyskanie pewności, że siedzą cicho. Kap nie potrzebował komputera, by zrozumieć, że Andy jest coraz bardziej przestraszony i że szanse, iż poszuka pomocy z zewnątrz, są coraz większe. Przed sprawą Mandersów przeciek prasowy można byłoby załatać lub przeżyć, po – każda interwencja to zupełnie inna para kaloszy. Kap miał koszmary od samego myślenia, co by się stało, gdyby nowojorski „Times” dowiedział się o całej sprawie.

Przez krótki czas, tuż po zamieszczeniu wywołanym spalaniem farmy Mandersów, Andy miał swą wielką szansę na wysłanie listów albo na przeprowadzenie jakiejś rozmowy telefonicznej, o której by nie wiedziano... a bardzo prawdopodobne, że i to do niczego by nie doprowadziło. W lasach mnóstwo jest dzisiaj szaleńców, a dziennikarze nie są mniej cyniczni niż inni ludzie. Ich zawód stał się bardzo popularny. Bardziej interesuje ich, co robią Margaux Hemingway, Bo Derek i Cheryl Ladd. Tak bezpiecznie.

Teraz Kap miał już tę dwójkę pod ochroną; a przez całą zimę mógł rozważać możliwości. Rozwazał je nawet na pogrzebie żony. W końcu zdecydował się na pewien plan, a teraz był go-

tów, by wcielić ten plan w życie. Payson, jego człowiek w Bradford, donosił, że na jeziorze Tashmore topnieje lód. A Andy McGee wysłał w końcu swe listy. Teraz zaczyna się pewnie niepokoić brakiem odpowiedzi – a może nawet podejrzewa, że listy nigdy nie dotarły do adresatów. Być może szykuje się już do odlotu, a Kap chciał ich mieć tam, gdzie byli.

Pod zdjęciami znajdował się gruby, ponadtrzystustronicowy, wypisany na maszynie raport opracowany w niebieskie okładki z nadrukiem „Ścisłe tajne”. Ten raport, uzupełniony zaleceniami na przyszłość, przygotowało jedenastu lekarzy i psychiatrów pod kierunkiem doktora Patricka Hockstettera, psychologa klinicznego i psychoterapeuty. Zdaniem Kapa, Hockstetter był jednym z dziesięciu czy dwunastu najlepszych mózgów, jakie miał do dyspozycji Sklepik. Biorąc pod uwagę osiemset tysięcy dolarów, które kosztował podatników ten raport, nawet powinien być. Przeglądając go teraz, Kap zastanawiał się, co by na to powiedział Wanless, ten stary kruk wieszczący zagładę. Przekonanie, że Andy powinien pozostać przy życiu, znajdowało potwierdzenie w raporcie. Założenie, na którym ludzie Hockstettera oparli swe rozumowanie, brzmiało: talent, którym jesteśmy zainteresowani, objawia się za zgodą obdarzonej tym talentem osoby i ma swą pierwszą przyczynę w zgodzie tej osoby na jego użycie... a słowem kluczowym jest tu słowo – zgoda.

Moc dziewczynki, której pirokineza była tylko kamieniem węgielnym, mogła wyrywać się spod jej kontroli, mogła łatwo przeskoczyć przez mur jej woli; lecz raport, bazujący na wszystkich dostępnych informacjach, dostarczał dowodów na to, że sama dziewczynka dokonywała wyboru dotyczącego jego użycia – tak jak zrobiła to na farmie Mandersów, gdy zorientowała się, że agenci Sklepiku chcą zabić jej ojca.

Kap przejrzał streszczenia pierwszych raportów dotyczących eksperymentu z Próbą Sześć. Wykresy i wydruki komputerowe prowadziły do tego samego – przyczyną sprawczą była wola.

Po stwierdzeniu, że udział woli jest podstawą wszystkiego, Hockstetter i jego koledzy przeanalizowali zdumiewające mnóstwo leków, nim zdecydowali się na torazynę dla Andy’ego i nowe lekarstwo o nazwie orazyna dla dziewczynki. Siedemdziesiąt stron bredni w raporcie sprowadzało się do tego, że w wyniku użycia pigułek pacjentki będą się czuli świetnie: roz-

marzeni i odcięci od świata. Żadne z nich nie będzie miało siły woli, by zdecydować, czy woli mleko kakaowe czy zwykłe, nie mówiąc już o tym, by rozniecać ogień, wmawiać ludziom, że są ślepi, czy coś takiego.

Andy'ego McGee mogli trzymać na pigułkach bez przerwy. Nie będą z niego mieli żadnego pożytku; zarówno raport, jak i intuicja Kapa mówiły, że Andy się skończył, a wraz z nim jego sprawa. Teraz interesowała ich tylko dziewczynka. Dajcie mi sześć miesięcy, myślał Kap; to wystarczy. Akurat wystarczy, by odkryć, co tkwi w tej zdumiewającej główce. Jeśli tylko dziewczynka chociaż w połowie będzie taka, jak podejrzewał Wainless, to ani Izba, ani senacki podkomitet nie oprą się pokusie wzbudzanych chemicznie sił PSI i niezwykłych skutków, jakie miałyby to dla wyścigu zbrojeń.

A rysowały się i inne możliwości. Nie wspomniano o nich w niebieskim raporcie; były zbyt wybuchowe nawet na ściśle tajne akta. Hockstetter, który podniecał się coraz bardziej, w miarę jak obraz nabierał kształtu przed oczami jego i jego ekspertów, zaledwie tydzień temu wymienił jedną z tych możliwości w rozmowie z Kapem.

– Czynniki Z – powiedział. – Czy rozważał pan konsekwencje faktu, że dziewczynka może się okazać nie dziwadłem, lecz prawdziwą mutacją?

Kap zastanawiał się nad tym, chociaż nie wspomniał o tym Hockstetterowi. Pojawiała się tu interesująca kwestia eugeniki, z ciągnącymi się za nią konotacjami z nazizmem i superrasą – z tymi wszystkimi rzeczami, z którymi walczyli Amerykanie w drugiej wojnie światowej i którym pragnęli położyć kres. Ale sondowanie filozoficznych studni i produkowanie kupy gówna o uzurpowaniu sobie mocy boskich to jedna rzecz, a wyprodukowane laboratoryjnie dowody na to, że dzieci ludzi po Próbie Sześć mogą być ludzkimi pochodniami, mogą lewitować, być czynnymi lub biernymi telepatami i jeden Bóg wie czym jeszcze, to zupełnie co innego. Łatwo przejmować się ideami, dopóki nie obalają ich solidne dowody. A jeśli je obalą, to co? Zakłady hodowli ludzi? Z pewnością brzmiało to szalenie, ale Kap potrafił je sobie wyobrazić. To może być klucz do wszystkiego. Do światowego pokoju i światowej dominacji, a jeśli usunie się krzywe

zwierciadła retoryki i wykrzykników, czy nie jest to w rzeczywistości to samo?

Możliwości są nieskończone. Są w tym możliwości badań na lata. Kap wiedział, że w najlepszym razie może spodziewać się sześciu miesięcy, ale sześć miesięcy mogłoby wystarczyć na opracowanie strategii – na zmierzenie kraju, w którym wybuduje się drogi; ziemi, po której będą jeździć pociągi. To będzie jego spadek dla ojczyzny, dla świata. W porównaniu z tym życie wiejącego w panice nauczyciela i jego córki znaczyło mniej niż pyłek na wietrze.

Dziewczynki nie da się testować z jakąkolwiek wiarygodnością, jeśli będzie się ją szpikować lekami; lecz przecież dostaną zakładnika, ojca. A przy tych niewielu okazjach, kiedy będą chcieli przeprowadzić badania na nim, sytuację się odwróci. Prosty system dźwigni. A jak to zauważył Archimedes, wystarczająco długa dźwignia może poruszyć świat.

Zadzwoił interkom.

– Jest tu John Rainbird – powiedziała nowa sekretarka. Jej zwykły, obojętny głos był wystarczająco cienki, by ukazać kryjący się pod nim strach.

O to jedno nie mam do ciebie pretensji, mała, pomyślał Kap.

– Proszę go wpuścić.

2

Ten sam stary Rainbird.

Wszedł wolno, ubrany w brązową wytartą skórzaną kurtkę i flanelową koszulę.

Noski tanich, zniszczonych butów wystawały z nogawek prostych dżinsów. Czubek jego wielkiej głowy, zdawało się, niemal sięgał sufitu. Jątrząca się rana, jedyna pozostałość po oku, przyprowadziła Kapa o wewnętrzne drżenie.

– Kap – powiedział Rainbird i usiadł. – Zbyt długo byłem na pustyni.

– Słyszałem o twoim domu we Flagstaff – przyznał Kap. – I o kolekcji butów.

Rainbird tylko patrzył, nie mrugając zdrowym okiem.

– Jak to jest, że nigdy nie widziałem cię w niczym innym, tylko w tych starych ciuchach?

Rainbird uśmiechnął się mdło i nie powiedział nic. Kap poczuł starą niepewność i zaczął się zastanawiać, ile Rainbird wie i dlaczego to go w ogóle obchodzi.

– Mam dla ciebie robotę.

– Dobrze. Czy to ta robota, której chciałem?

Kap spojrział na niego ze zdumieniem, pomyślał i odpowiedział:

– Chyba tak.

– Więc powiedz mi wszystko, Kap.

Kap przedstawił mu plan sprowadzenia do Longmont Andy’ego i Charlie. Nie zabrało mu to wiele czasu.

– Czy potrafisz posłużyć się tą bronią? – zapytał na końcu.

– Potrafię się posłużyć każdą bronią. A twój plan jest dobry. Powiedzie się.

– Jak to miło, że go aprobujesz. – Kap spróbował lekkiej ironii, lecz zabrzmiało to po prostu opryskliwie. Niech szlag trafi tego Rainbirda!

– Będę strzelał – powiedział Rainbird. – Pod jednym warunkiem.

Kap wstał, położył dłonie na biurku zaśmieconym aktami rodziny McGee, i pochylił się w stronę Rainbirda.

– Nie – odpowiedział. – Ty mi nie stawiasz warunków.

– Tym razem stawiam – odparł Rainbird. – Ale myślę, że ten przyjdzie ci spełnić całkiem łatwo.

– Nie – powtórzył Kap. Serce nagle rozszalało mu się w pierś; nie wiedział, czy z gniewu, czy ze strachu. – Nie zrozumiałeś mnie. Ja rządę tą agencją i jej kwaterą. Jestem twoim przełożonym. Zdaje się, że byłeś w wojsku wystarczająco długo, by wiedzieć, co to znaczy dowódca.

– Tak. – Rainbird uśmiechnął się. – Swego czasu załatwiłem ich paru. Jednego na bezpośredni rozkaz Sklepiku. Na twój rozkaz, Kap.

– Czy to groźba?! – krzyknął Kap. Zdawał sobie sprawę, że przesadza, ale najwyraźniej nie mógł się powstrzymać. – Do jasnej cholery, czy to groźba? Bo skoro tak, to chyba kompletnie zwariowałeś! Jeśli zdecyduję, że nie chcę, byś wyszedł z tego budynku, wystarczy tylko nacisnąć guzik! Jest trzydziestu ludzi, którzy mogą wystrzelić...

– Ale żaden z nich nie strzelił tak celnie jak ten jednooki czerwony czarnuch. – Spokojny ton Rainbirda nie zmienił się. – Teraz myślisz, że ich masz, Kap, ale oni są jak płomyk na wietrze. Jeśli istnieją gdzieś jacyś bogowie, mogli zdecydować, że ich nie dostaniesz. Mogą nie chcieć, byś ich zamknął w pokojach zła i pustki. Już przedtem byłeś pewien, że ich masz.

– Wskazał na akta, spiętrzone na bibliotekarskim wózku, a później na niebieską teczkę. – Czytałem to wszystko. Czytałem raport twojego doktora Hockstettera.

– Zesrałeś się, a nie czytałeś! – krzyknął Kap, ale w oczach Rainbirda zobaczył prawdę. Czytał. Jakimś sposobem. Kto mu to dał, myślał wściekle. Kto?

– Och, czytałem. Dostaję, co chcę, jeśli tego chcę. Ludzie mi to dają. Myślę... że tak na piękne oczy. – Rainbird uśmiechnął się szeroko i ten uśmiech nagle stał się straszliwie drapieżny. Przewrócił swym jedynym okiem.

– Co ty mi mówisz? – zapytał Kap. Miał ochotę na szklanekę wody.

– Tylko to, że spędziłem dużo czasu w Arizonie, spacerując, wsłuchując się w to, co mówi wiatr. a tobie, Kap, przynosi on nowiny gorzkie jak wiatr wiejący z wapiennych równin. Miałem mnóstwo czasu, by myśleć, i mnóstwo, by czytać. I myślę, że jestem jedynym człowiekiem na świecie, który na pewno dostarczy ci tę dwójkę. A może jestem jedynym człowiekiem, który może zdziałać coś z tą małą, gdy już się tu znajdzie. Twój gruby raport, twoja torazyna i orazyna... może jest to coś, z czym nie poradzą sobie lekarstwa. Może jest to bardziej niebezpieczne, niż sobie wyobrażasz.

Słuchanie Rainbirda było jak słuchanie ducha Wanlessa i Kapem zawładnął nagle taki strach i taka furia, że odjęło mu mowę.

– Zrobię to wszystko. Dostarczę ci ich i przeprowadzicie wszystkie wasze testy. – Rainbird mówił łaskawie, jak ojciec pozwalający dziecku, by pobawiło się nową zabawką. – Pod warunkiem że kiedy skończycie wszystkie testy, dziewczynka dostanie się mnie.

– Jesteś szalony – szepnął Kap.

– Jakże słusznie zauważyłeś. – Rainbird roześmiał się. – Ty także. Szalony jak marcowy zając. Siedzisz tutaj i planujesz, jak

kontrolować siły, o których nie masz najmniejszego pojęcia. Siły, które być może należne są samym bogom... i tej małej dziewczynce.

– A co mnie powstrzyma przed załatwieniem ciebie? Teraz, zaraz?

– Moje słowo, że jeśli zniknę, w ciągu miesiąca po całym kraju rozleje się taka fala obrzydzenia i oburzenia, że w porównaniu z nią Watergate będzie wyglądała jak kradzież cukierka. Moje słowo, że jeśli zniknę, Sklepik przestanie istnieć w ciągu sześciu tygodni, a w ciągu sześciu miesięcy staniesz przed sędzią oskarżony o przestępstwa wystarczająco ciężkie, by umieścić cię za kratkami na resztę życia. – Rainbird uśmiechnął się znowu, pokazując krzywe pieńki zębów. – Nie wątp we mnie, Kap. Spędziłem w tej śmierdzącej, zgniłej winnicy wiele lat, a winobranie zaiste gorzki przyniosło owoc.

Kap spróbował się roześmiać. Z jego ust wydobył się zdławiony skrzek.

– Przez dziesięć lat zbierałem orzeszki i szukałem nowych – mówił spokojnie Rainbird – jak każde zwierzę, które przeżyło zimę i pamięta ją. Zgromadziłem tyle rzeczy, Kap: fotografie, taśmy, odbitki dokumentów, które zmroziłyby krew naszych dobrych przyjaciół, państwa Obywateli.

– To niemożliwe – powiedział Kap, ale wiedział, że Rainbird nie blefuje, i czuł, jak wokół jego serca zaciska się zimna, niewidzialna ręka.

– Och, bardzo możliwe. Przez ostatnie trzy lata otrzymywałem wszystkie informacje na bieżąco, ponieważ przez ostatnie trzy lata mogłem się podłączać do twojego komputera, kiedy tylko chciałem. Na zasadzie podziału czasu, oczywiście, co podniosło koszty, ale byłem w stanie je ponieść. Jestem bardzo dobrze opłacany, a inwestycje zwiększyły moje możliwości finansowe. Stoję przed tobą, Kap – lub raczej siedzę, co jest bliższe prawdy, lecz mniej poetyckie – jako triumfujący przykład amerykańskiej przedsiębiorczości.

– Nie.

– Tak. Jestem John Rainbird, lecz jestem także Federalnym Biurem Studiów Geologicznych. Sprawdź, jeśli chcesz. Kod mojego komputera: AXON. Sprawdź kody podziału czasu na swoim głównym komputerze. Wsiadaj do windy. Ja poczekam. – Rain-

bird założył nogę na nogę, prawa nogawka jego spodni podjechała do góry, pokazując rozdarcie na cholewce buta. Wyglądał na człowieka, który jeśli musi, będzie czekać wieki.

Kap czuł w głowie kompletny zamęt.

– Dostęp do komputera na zasadzie podziału czasu, być może. Ale to nie oznacza jeszcze...

– Idź, zobacz się z doktorem Noftziegerem – poradził uprzejmie Rainbird. – Zapytaj, na ile sposobów możesz się włączyć w komputer, jeżeli masz już do niego dostęp na zasadzie podziału czasu. Dwa lata temu bystry dwunastoletni dzieciak podłączył się do Centralnego Banku Informacji Stanów Zjednoczonych. A przy okazji, znam twój kod, Kap. W tym roku brzmi BREW. W zeszłym brzmiał SAP. Myślę, że to było znacznie bardziej odpowiednie.

Kap usiadł i spojrzał na Rainbirda. Mózg najwyraźniej mu się podzielił jak cyrk z trzema arenami. Po pierwsze – zdumiewał się tym, że nigdy jeszcze nie słyszał, by John Rainbird tak długo mówił bez przerwy. Po drugie – próbował przyswoić sobie fakt, że ten szaleniec najwyraźniej wiedział wszystko o interesach Sklepiku. Po trzecie – przypomniał sobie chińskie przekleństwo, przekleństwo brzmiące zwodniczo przyjemnie, póki się nie usiadło i nie pomyślało. „Obyś żył w ciekawych czasach”. Przez ostatnie pół roku żył w niesamowicie ciekawych czasach. Jeśli przytrafi mu się jeszcze coś ciekawego, niechybnie zwariuje.

A potem Kap znowu pomyślał o Wanlessie – z rodzącym się, rosnącym przerażeniem. Czuł się tak, jakby niemal... jakby niemal... jakby sam niemal zmieniał się w Wanlessa. Oblężony ze wszystkich stron przez demony i niezdolny do zwalczania ich, niezdolny nawet do znalezienia pomocy.

– Czego chcesz, Rainbird?

– Już ci powiedziałem, Kap. Nie chcę niczego oprócz twego słowa, że mój związek z Charlene McGee nie skończy się na przyciśnięciu spustu, lecz zacznie. Chcę... – oko Rainbirda pociemniało; zamysłone, spokojne, zwrócone do wewnątrz – ... chcę ją poznać intymnie.

Kap patrzył na niego, przerażony.

Rainbird zrozumiał nagle i potrząsnął głową z pogardą.

– Nie tak intymnie, jak myślisz. Nie w sensie biblijnym. I poznam ją. Zostaniemy przyjaciółmi, Kap. Jeśli jest aż tak potężna, a wszystko na to wskazuje, zostaniemy bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Kap dał do zrozumienia, że ta myśl go rozbawiła. Nie roześmiał się, brzmiało to bardziej jak zduszony chichot.

Wyraz twarzy Rainbirda nie zmienił się.

– Nie, oczywiście, nie sądzisz, by było to możliwe. Patrzysz w moją twarz i widzisz potwora. Patrzysz na moje ręce i widzisz, że są splamione krwią, którą kazałeś mi przelać. Lecz ja ci mówię, Kap, że to nastąpi. Ta dziewczynka przez dwa lata nie miała przyjaciół. Miała tylko ojca, to wszystko. Widzisz ją tak, jak widzisz mnie, Kap. To twoja wielka słabość. Patrzysz i widzisz potwora. Tylko że w niej widzisz swojego potwora. Być może to dlatego, że jesteś biały. Białe Twarze wszędzie widzą potwory. Patrzą na swe kutasy i też widzą potwory. – Rainbird roześmiał się znowu.

Kap uspokajał się nareszcie i zaczynał myśleć rozsądnie.

– Dlaczego miałbym ci na to pozwolić, nawet jeśli wszystko, co powiedziałeś, jest prawdą? Twoje dni są policzone, obaj o tym wiemy. Od dwudziestu lat polujesz na własną śmierć. Wszystko inne to był po prostu margines, hobby. Wkrótce ją znajdziesz. A potem wszystko się dla nas skończy. Więc dlaczego mam ci sprawić przyjemność i dać ci to, czego chcesz?

– Być może jest, jak mówisz. Być może polowałem na własną śmierć – to określenie bardziej skomplikowane, niż mógłbym się po tobie spodziewać, Kap. Być może należałoby ci zaszczepić częściej ten boski strach.

– Ty mi na Boga nie wyglądasz.

Rainbird skrzywił się w uśmiechu.

– Jasne, przypominam bardziej chrześcijańskiego diabła. Ale powiem ci to: gdybym rzeczywiście polował na własną śmierć, sądzę, że znalazłbym ją dawno temu. Być może tropiłem ją dla zabawy. Ale nie mam ochoty niszczyć ciebie, Kap, albo Sklepiku, albo kontrwywiadu USA. Nie jestem idealistą. Chcę tylko tej dziewczynki. A ty możesz jeszcze dojść do wniosku, że mnie potrzebujesz. Być może dojdiesz do wniosku, że zdołam osiągnąć więcej niż wszystkie pigułki z apteczki doktora Hockstettera razem wzięte.

– A w zamian za to?

– Kiedy skończy się sprawa rodziny McGee, Federalne Biuro Studiów Geologicznych przestanie istnieć. Szef twojej sekcji komputerów, Noftzieger, może zmienić wszystkie kody. A ty, Kap, polecisz ze mną do Arizony rejsowym samolotem. Zjemy sobie doskonały obiad w mojej ulubionej restauracji we Flagstaff, a później pójdziemy do mnie do domu i za tym domem, na pustyni, rozpalimy wielki ogień i usmażymy na nim kolację z papierów, taśm i filmów. Pokażę ci nawet moją kolekcję butów, jeśli zechcesz.

Kap przemyślał to sobie. Rainbird nie przeszkadzał mu, siedział spokojnie.

– Hockstetter i jego koledzy twierdzą, że całkowite otwarcie tej dziewczynki może zająć do dwóch lat. W zależności od tego, jak głębokie są nawyki obronne.

– A ty odejdziesz w cztery do sześciu miesięcy.

Kap wzruszył ramionami.

Rainbird dotknął nosa wskazującym palcem i przechylił głowę – groteskowo baśniowy gest.

– Myślę, że możemy utrzymać cię w siodle znacznie dłużej, Kap. Między nami mówiąc, wiemy, gdzie pogrzebano setki trupów, zarówno dosłownie, jak i w przenośni. I wątpię, czy zajmie to lata. W końcu obaj dostaniemy to, czego chcemy. Co na to powiesz?

Kap przemyślał to sobie. Czuł się stary, zmęczony i kompletnie zagubiony.

– Myślę – powiedział w końcu – że ubiliśmy interes.

– Świetnie – odpowiedział mu rażno Rainbird. – Chyba będę jej służącym. W zwykłej hierarchii ważności – nikiem. To będzie istotne, dla niej. I, oczywiście, ona nigdy nie dowie się, że to ja pociągnąłem za spust. To byłaby niebezpieczna wiedza, prawda? Bardzo niebezpieczna.

– Dlaczego – spytał w końcu Kap – dlaczego posunąłeś się aż tak szaleńczo daleko?

– Czy wydaje ci się to szaleństwem? – zapytał lekko Rainbird. Wstał i wziął jedno ze zdjęć z biurka Kapa. Było to zdjęcie Charlie; dziewczynka zjeżdżała po zamarzniętym śniegu na spłaszczonym kartonowym pudle i śmiała się. – W tym biznesie wszyscy gromadzimy orzeszki w oczekiwaniu zimy. Robił to Hoover.

I niezliczeni dyrektorzy CIA. I ty też, albo już teraz pobierałbyś emeryturę. Kiedy zacząłem, Charlene McGee jeszcze się nawet nie urodziła; kryłem tylko własny tyłek.

– Ale dlaczego dziewczynka?

Rainbird długo nie odpowiadał. Patrzył na zdjęcie uważnie, niemal z czułością. Dotknął jego powierzchni.

– Jest bardzo piękna – powiedział. – I bardzo młoda. A jednak w jej wnętrzu kryje się czynnik Z. Boska moc. Będziemy sobie bliscy.

Jego oczy nabrały marzącego wyrazu.

– Tak, będziemy sobie bardzo, bardzo bliscy.

Uwięzieni

1

Dwudziestego siódmego marca Andy McGee zdecydował nagle, że nie mogą już dłużej siedzieć w Tashmore. Od czasu wysłania listów minęło ponad dwa tygodnie, i jeśli miałoby dostać jakąś odpowiedź, to już by nadeszła. Sam fakt przedłużającej się ciszy wokół domu Granthera napawał go niepokojem. Zakładał możliwość, że wszyscy adresaci potraktowali go z góry jak wariata... ale nie bardzo w to wierzył.

Wierzył w to, co podpowiadała mu najgłębsza intuicja, że jego listy zostały jakimś sposobem przechwycone.

A to by oznaczało, że wiedzą, gdzie jest on i Charlie.

– Wyjeżdżamy – powiedział Charlie. – No, pakujemy się.

Dziewczynka tylko spojrzała na niego charakterystycznym, uważnym wzrokiem, trochę przestraszona, i nie powiedziała nic. Nie zapytała, dokąd jadą i co mają zamiar zrobić, i to go także zdenerwowało. W jednej z szaf znalazł dwie stare walizki oblepione naklejkami z dawnych wakacji: wodospad Niagara, Wielki Kanion, Miami Beach – i we dwójkę zaczęli sortować dobytek na to, co mieli wziąć, i to, co musieli zostawić.

Przez wschodnie okna domku było oślepiające światło słońca. W rynnach szumiała i kapała woda. Poprzedniej nocy Andy spał niewiele; lody ruszyły, leżał i słuchał wysokiego, eterycznego, w jakiś sposób niesamowitego dźwięku starego lodu pękającego i ruszającego powoli w stronę ujścia z jeziora, z którego Great Hancock River wylewała się na wschód, płynąc przez New Hampshire i całe Maine, coraz bardziej śmierzdząca i coraz mocniej zanieczyszczona, by wreszcie wyrzygać się, hałaśliwa i martwa, do Atlantyku. Dźwięk przypominał nieskończony jęk kryształu lub może ton smyczka przesuwanego w nieskończoność po cienkiej strunie skrzypiec – ciągle, melodyjne zzzziinn-

nggg grające na końcach nerwów i sprawiające, że wibrowały w akompaniamencie. Andy nigdy jeszcze nie był tu wtedy, gdy ruszały lody, i nie był pewien, czy chciałby przyjechać jeszcze raz. W tym dźwięku, wibrującym między cichymi sosnami porastającymi niskie, zżarte erozją wzgórza, było coś strasznego i niezemskiego.

Czuł, że są bardzo blisko, jak zaledwie dostrzegalny potwór w rodzącym się koszmarze. W dzień po urodzinach Charlie wyruszył na jedną ze swych wędrówek na biegówkach niewygodnie przymocowanych do stóp i trafił na linię śladów, zrobionych przez rakiety śnieżne, prowadzących do wysokiego świerka. Co parę kroków widać było głębokie szczeliny, jakby ktoś od czasu do czasu zdejmował rakiety i wbijał je w śnieg. Andy znalazł gąlimatias śladów; ktoś poprawiał w tym miejscu wiązania (Granther nazywał rakiety „kaloszami” i z jakiegoś nieznanego, prywatnego powodu mocno nimi pogardzał). Pod drzewem leżało sześć niedopałków po vantage’ach i zgniecione, żółte opakowanie od filmu Kodak Tri. Jeszcze bardziej zaniepokojony Andy zdjął narty i wlaź na drzewo. W połowie wysokości zorientował się, że doskonale widzi domek Granthera, odległy o niecałe dwa kilometry. Wydawał się mały i najwyraźniej pusty. Ale z teleobiektywem...

Nie wspomniał Charlie o tym, co znalazł.

Spakowali walizki. Milczenie córki spowodowało, że mówił nerwowo, bez przerwy, jakby Charlie, nie rozmawiając, oskarżała go o coś.

– Złapiemy jakąś okazję do Berlina, a stamtąd pojedziemy greyhoundem z powrotem do Nowego Jorku. Pójdziemy do biura „Timesa”...

– Ale, tato, wysłałeś im list.

– Kochanie, mogli go nie dostać.

Przez chwilę Charlie patrzyła na niego w milczeniu. Potem zapytała:

– Czy myślisz, że oni go zabrali?

– Oczywiście, że n... – Potrzęsnał głową i zaczął od nowa. – Charlie, po prostu nie wiem.

Charlie umilkła. Uklękła, zamknęła jedną z walizek i zaczęła mocować się z zamkami. Bez rezultatu.

– Pomogę ci, skarbie.

– Sama potrafię! – krzyknęła dziewczynka i nagle się rozpląkała.

– Nie płacz, kochanie. Proszę. To już prawie koniec.

– Nie. – Charlie rozpląkała się jeszcze mocniej. – To się nigdy nie skończy!

2

Wokół domku Granthera McGee zgromadził się równy tuzin agentów. Zajęli pozycje poprzedniej nocy. Wszyscy ubrani byli w białozielone panterki. Żaden z nich nie uczestniczył w akcji na farmie Mandersów i żaden z nich nie miał broni; oprócz Johna Rainbirda uzbrojonego w strzelbę i Dona Julesa, który miał pistolet kaliber 22.

– Nie będę ryzykował, że ktoś spanikuje z powodu tego, co zdarzyło się w Nowym Jorku – powiedział Kapowi Rainbird.

– Ten Jamieson ciągle wygląda tak, jakby zbierał jaja wokół kolan.

I podobnie – nie chciał nawet słyszeć, żeby jego ludzie byli uzbrojeni. Może się zdarzyć wszystko, a nie chciał zakończyć operacji z dwoma trupami. On sam dobrał sobie agentów, a tym, który miał załatwić Andy’ego, był Don Jules; niewysoki, około trzydziestki, cichy, ponury. Pracował nieźle. Rainbird wiedział o tym, ponieważ Jules był jedynym agentem, którego wybrał sobie do współpracy więcej niż jeden raz. Okazał się szybki, praktyczny. W krytycznych chwilach nie włąził w drogę.

– McGee wyjdzie na dwór w ciągu dnia – powiedział Rainbird na odprawie. – Dziewczynka wychodzi często, ale McGee zawsze. Jeśli wyjdzie sam, ja go załatwię, a Jules szybko i cicho ukryje ciało. Jeśli dziewczynka wyjdzie z domu sama, będzie podobnie. Jeśli wyjdą razem, ja załatwię dziewczynkę, a Jules face-ta. Wy, reszta, jesteście tylko statystami. Rozumiecie?

– Jedyne oko Rainbirda zapłonęło, rzucając im złe spojrzenie.

– Jesteście tu na okoliczność, że coś pójdzie drastycznie źle. Oczywiście, jeśli coś pójdzie drastycznie źle, większość z was będzie wiała do jeziora z płonącymi portkami. Jesteście tutaj, bo istnieje jedna szansa na sto, że będziecie mogli zdziałać coś pożytecznego. I – oczywiście – wszyscy rozumiemy, że jesteście

także obserwatorami i świadkami na wypadek, gdybym spieprzył robotę.

Odpowiedziały mu cienkie, nerwowe chichoty.

Rainbird podniósł palec.

– Jeśli którykolwiek z was nawali i jakoś ich ostrzeże, osobiście dopilnuję, żeby skończył w najnędnieszej dolinie południowoamerykańskiej dżungli... z ogryzioną dupą. Uwierzcie w to, dżentelmeni. Jesteście statystami w moim przedstawieniu. Macie o tym pamiętać.

Później, podczas „próby generalnej” w opuszczonym motelu w St. Johnsbury, Rainbird zaciągnął Julesa do kąta.

– Czytałeś w aktach o tym człowieku? – zapytał.

Jules palił camela.

– Tak – odpowiedział.

– Rozumiesz, co to znaczy „dominacja umysłowa”?

– Tak.

– Rozumiesz, co się zdarzyło tym dwóm facetom w Ohio? Tym, którzy usiłovali porwać jego córkę?

– Pracowałem z George’em Waringiem – odpowiedział spokojnie Jules. – Ten facet przypalał wodę na herbatę.

– W tej jednostce to nic nadzwyczajnego. Chcę tylko, żebyśmy wszystko sobie wyjaśnili. Musisz być bardzo szybki.

– Tak.

– Ten facet odpoczywał całą zimę. Jeśli dasz mu czas, trafiasz wprost do pokoju bez klamek na jakieś trzy lata, wierząc, że jesteś ptakiem, warzywem albo coś w tym rodzaju.

– W porządku.

– Co w porządku?

– Będę szybki. Daj sobie spokój, John.

– Jest spora szansa, że wyjdą razem – powiedział Rainbird, ignorując jego słowa. – Będziesz stał za rogiem ganku, niewidoczny dla tych, którzy wyjdą z domu. Czekaaj, aż załatwię dziewczynkę. Ojciec pójdzie w jej kierunku. Zайдiesz go od tyłu. Strzelaj w szyję.

– Pewnie.

– Nie spieprz tego, Jules.

Jules uśmiechnął się krótko i zaciągnął się papierosem.

– Nie spieprzę – powiedział.

Walizki były już spakowane. Charlie włożyła płaszcz i ciepłe spodnie. Andy zadrżał, zapiął kurtkę i podniósł walizki. Nie czuł się dobrze, o nie. Był zdenerwowany. Jedno z tych jego przeczuć.

– Ty też to czujesz, prawda? – zapytała Charlie. Jej drobna buzia była blada, bez wyrazu.

Andy niechętnie skinął głową.

– I co robimy?

– Mamy nadzieję, że nasze przeczucia są nieco przedwcześnie – powiedział Andy, chociaż w głębi serca nie wierzył, by tak było. – Co innego możemy zrobić?

– Co innego możemy zrobić? – zgodziła się Charlie. Podeszła do niego i podniosła ręce, prosząc, by ją podniósł; nie robiła tego od dawna, może od dwóch lat. Zdumiewające, jak szybko mija czas i jak szybko może się zmienić dziecko, na twoich oczach, niemal niezauważalnie. To prawie potworne. Odłożył walizki, wziął Charlie na ręce i przytulił ją. Charlie pocałowała go w policzek i przytuliła się do niego bardzo mocno.

– Gotowa? – zapytał Andy, stawiając ją na podłodze.

– Chyba tak. – Charlie znów omal nie zaczęła płakać. – Tato, ja nie będę rozniecać ognia. Nawet jeśli przyjdą, nim im uciekniemy.

– Tak. Wszystko w porządku, Charlie. Rozumiem cię.

– Kocham cię, tatusiu.

Andy skinął głową.

– Ja też cię kocham, mała.

Podszedł do drzwi i otworzył je. Przez chwilę słońce oślepiło go i nie widział nic. Później źrenice się zwęziły i mógł już dostrzec świat i jasne słońce na topniejącym śniegu.

Po prawej miał jezioro Tashmore: oślepiające, poszarpane, nieregularne płaszczyzny błękitnej wody pomiędzy kawałkami pływającego po niej lodu. Na wprost był sosnowy las. Pomiedzy drzewami pobłyskiwał dach sąsiedniego domu, nareszcie wolny od śniegu.

Las był cichy i Andy poczuł się jeszcze bardziej niepewnie. Gdzie się podziały ptaki, których śpiew witał ich każdego ranka

od czasu, gdy ustały zimowe mrozy? Nie słyszał ptaków. tylko szelest padających z gałęzi kropel wody. Pożałował nagle, że

Granther nie założył w domku telefonu. Powstrzymał chęć zawołania z całej siły: „Jest tam kto?”; to by tylko bardziej przstraszyło Charlie.

– Wygląda nieźle – powiedział. – Sądzę, że nadal ich wyprzedzamy... jeśli w ogóle się tu wybierają.

– To dobrze – odparła bezbarwnie Charlie.

– No, to w drogę, mała – i Andy pomyślał po raz setny: Co innego możemy zrobić? i pomyślał też o tym, jak bardzo ich nienawidzi.

Charlie podeszła do niego przez pokój, mijając suszarkę pełną naczyń, które pozmywali po dzisiejszym śniadaniu. Cały domek wyglądał tak jak wtedy, kiedy do niego weszli; nieskazitelnie wysprzątany. Granther byłby zadowolony. Andy objął Charlie i przytulił ją do siebie na chwilę. Później podniósł walizki i razem wyszli w słońce wczesnej wiosny.

4

John Rainbird tkwił w połowie wysokiego świerku, niewiele ponad sto pięćdziesiąt metrów od domu. Miał na nogach raki, pas słupełaza przyciskał go mocno do pnia drzewa. Kiedy otworzyły się drzwi chaty, podrzucił strzelbę i przycisnął ją do ramienia. Całkowity spokój otoczył go swym kojącym płaszczem. Przed jego jedynym dobrym okiem świat się wyostrzył. Od kiedy Rainbird stracił oko, doznawał zakłóceń głębi widzenia – lecz w chwilach całkowitej koncentracji, jak teraz, widział wszystko dokładnie i ostro; było tak, jakby zniszczone oko regenerowało się na te krótkie chwile.

Nie był to trudny, daleki strzał i Rainbird nie bałby się nawet przez chwilę, gdyby miał zamiar strzelić w dziewczynkę kulą; ale miał do czynienia z czymś znacznie bardziej niezręcznym, czymś, co dziesięciokrotnie powiększało czynnik ryzyka.

W magazynku specjalnie zmodyfikowanej strzelby tkwiła strzałka nasączona ampułką orazyny, a na tym dystansie strzałka mogła zawsze zacząć koziołkować lub zmienić kierunek. Na szczęście dzień był niemal bezwietrzny.

Jeśli taka jest wola Wielkiego Ducha i mych przodków, modlił się cicho Rainbird, niech poprowadzą mą dłoń i oko, by strzał trafił w cel.

Dziewczynka wyszła wraz z ojcem – a więc Jules miał wziąć udział w grze. W celowniku teleskopowym Charlie wydawała się wielka jak stodoła. Kożuszek odbijał się jaskrawym błękitem od poczerniałych desek chaty. Rainbird miał chwilę, by dostrzec walizki w rękach Andy’ego, by zorientować się, że mimo wszystko zdążyli w ostatniej chwili.

Kaptur kożuszka Charlie był opuszczony, a zamek podciągnięty tylko do mostka, tak że kurtka rozchyłała się pod szyją. Dzień był ciepły i to też mu sprzyjało.

Zacisnął palec na spuście i naprowadził skrzyżowanie nitek w celowniku na gardło dziewczynki.

Jeśli taka jest wola...

Pociągnął za spust. Nie było huk, tylko ciche puf! Z lufy wzniósł się obłoczek dymu.

5

Stali na szczycie schodów, gdy Charlie wydała z siebie nagle stłumiony głos, jakby coś przetykała. Andy natychmiast upuścił walizki. Nic nie słyszał, ale coś było strasznie nie w porządku. Coś się zmieniło w Charlie.

– Charlie? Charlie?

Przyjrzał się córce. Stała nieruchomo jak posąg, niesłychanie piękna na tle błyszczącego śniegu. Niesłychanie mała. I nagle zauważył, jaka to była zmiana. Była tak oczywista, tak okropna, że nie potrafił dostrzec jej od razu. Z szyi Charlie, tuż poniżej krtań, sterczało coś, co wydawało się długą igłą. Jej dłonie w mitenkach podniosły się do tego czegoś, znalazły to i przekreśliły do góry pod innym, groteskowym kątem. Cienka nitka krwi spłynęła z rany po szyi. Krwawy kwiat, mały i delikatny, zaplamił kołnierz jej koszuli i spłynął na futro, otaczające zamek jej kożuszka.

– Charlie! – wrzasnął Andy. Skoczył przed siebie i złapał córkę za rękę właśnie w chwili, w której jej oczy wywróciły się i poleciała przed siebie. Andy złożył ją na ganku, bezustannie wykrzykując jej imię. Wbita w gardło strzałka zabłysła jasno

w słońcu. Ciało Charlie było nieruchome, bezwładne, martwe. Andy trzymał ją, tulił i patrzył na oblane słonecznymi promieniami lasy, które wydawały się tak puste – i w których nie śpiewały ptaki.

– Kto to zrobił?! – krzyknął. – Kto to zrobił?! Wyłaź, chcę cię zobaczyć!

Don Jules wyszedł zza ściany ganku. Na nogach miał tenisówki Adidasa. W ręku trzymał pistolet kaliber 22.

– Kto zastrzelił mi córkę?! – krzyknął Andy. Coś w jego gardle zawibrowało boleśnie od siły tego krzyku. Przytulał córkę, tak strasznie nieruchomą i bezwładną w swym niebieskim kożusku. Jego palce sięgnęły po strzałkę i wyjęły ją. Z rany pociekł świeży strumyk krwi.

Wnieś ją do środka, pomyślał. Musisz wnieść ją do środka.

Jules podszedł i strzelił do niego z tyłu, całkiem tak, jak aktor Booth strzelił kiedyś do prezydenta. Na chwilę Andy poderwał się w górę, ciągle klęcząc, przytulając Charlie jeszcze mocniej. A później padł na jej ciało.

Jules przyjrzał mu się z bliska i pomachał na ukrytych w lesie mężczyzn.

– Takie nic – powiedział do siebie, gdy Rainbird zbliżał się do chaty, brnąc przez lepki, topniejący, marcowy śnieg.

– Takie nic. O co ten cały krzyk?

Mrok

1

Łańcuch zdarzeń zakończony tak potwornymi zniszczeniami i ofiarami w ludziach, zaczął się od letniej burzy i awarii dwóch generatorów.

Burza nadeszła dziewiętnastego sierpnia, niemal pięć miesięcy po tym, gdy Andy i Charlie zostali ujęci w domu Granthera w Vermoncie. Od dziesięciu dni było duszno i parno. Tego sierpniowego dnia, zaraz po południu, na horyzoncie zaczęły się zbierać burzowe chmury, lecz żaden z ludzi pracujących na terenie, na którym królowały dwa piękne, stare domy stojące naprzeciw siebie, oddzielone wielkim zielonym trawnikiem i zadbanymi grządkami kwiatów, nie wierzył, by chmury te zwiastowały burzę – nie wierzyli w to ani ogrodnicy strzygący trawę małymi traktorkami kosiarkami, ani kobieta rządząca podsekcją komputerów A-E (oraz należącym do sekcji komputerowej ekspresem do kawy), która podczas przerwy śniadaniowej osiodłała jednego z koni i przegalopowała starannie utrzymanymi ścieżkami do jazdy konnej, ani nawet Kap, który zjadł kanapkę w swym klimatyzowanym gabinecie, nie przerywając pracy nad przyszłorocznym budżetem, nieświadom upału i duchoty.

Być może jedyną osobą w należącej do Sklepiku posiadłości pewną nadejścia deszczu, był człowiek, który miał w nazwisku słowo „deszcz”. Wielki Indianin przyjechał do pracy o dwunastej trzydzieści, choć jego służba zaczynała się o pierwszej. W kościach i w krwawej jamie, w której tkwiło kiedyś lewe oko, czuł ból zwiastujący zmianę pogody.

Indianin prowadził bardzo starego i bardzo zardzewiałego thunderbirda z przyklejoną do szyby nalepką parkingową z literą „D”. Ubrany był w biały fartuch służącego. Przed wyjściem z samochodu założył na oko haftowaną opaskę. Nosił ją tylko

w pracy i wyłącznie z powodu dziewczynki. Nie lubił opaski. Tylko ona przypomniała mu o utraconym oku.

Na terenie Sklepiku były cztery parkingi. Prawdziwy samochód Rainbirda: nowy żółty cadillac z silnikiem Diesla, miał na szybie nalepkę z literą „A”. „A” oznaczało parking VIP-ów, znajdujący się pod południowym domem. Podziemny system tuneli i wind łączył ten parking bezpośrednio z salą komputerów, salą odpraw, wielką biblioteką i czytelnią Sklepiku i – oczywiście – ze skrzydłem gościnnym; nazwa ta mówiła niewiele o kompleksie laboratoriów i sąsiadujących z nimi mieszkań, w których trzymano Charlie McGee i jej ojca.

Parking „B”, z którego mogli korzystać pracownicy średniego szczebla, był nieco dalej. Parking „C”, dostępny dla sekretarek, mechaników, elektryków i temu podobnych, znajdował się za parkingiem „B”. Parking „D”, przeznaczony dla pojazdów pracowników niewykwalifikowanych: według określenia Rainbirda „statystów”, oddalony niemal o kilometr od czegokolwiek, wypełniony był zawsze żalostną, pstrokatą kolekcją żelastwa z Detroit, nadającą się tylko na wyścigi wraków odbywające się co tydzień w Jackson Plains.

Biurokratyczna hierarchia ważności, pomyślał Rainbird, zamykając resztki swego thunderbirda i podnosząc głowę, by móc popatrzeć na ciemne chmury. Nadchodziła burza. Sądził, że będzie tu koło czwartej.

Poszedł w stronę ukrytego ze smakiem w sosnowym zagajniku baraku z falistej blachy, w którym umieszczono zegar pracowników klasy V i VI. Biały fartuch powiewał wokół niego. Miął go ogrodnik jadący na jednym z kilkunastu należących do Wydziału Zieleni traktorków kosiarek. Nad siedzeniem kołysał się wesoły, kolorowy parasol. Ogrodnik nie zauważył Rainbirda; to także świadczyło o biurokratycznej hierarchii ważności. Jeśli należałeś do grupy VI, dla grupy V byłeś niewidzialny. Nawet zrujnowana twarz Rainbirda nie prowokowała komentarzy; jak każda rządowa agencja Sklepik zatrudniał akurat tylu weteranów, by wyglądało to dobrze w raportach. Max Factor niewiele byłby w stanie nauczyć rząd Stanów Zjednoczonych o kosmetyce. Rozumiano też, oczywiście, że weteran z widocznym upośledzeniem fizycznym: sztuczne ramię, wózek inwalidzki, rany twarzy, wart był trzech weteranów wyglądających „normalnie”.

Rainbird znał ludzi o umysłach i duszach zrujnowanych w wesołym miasteczku Wietnamu co najmniej tak jak jego twarz; i ci ludzie byliby szczęśliwi, dostając pracę recepcjonistów w burdelu... ale oni po prostu źle wyglądali. Nie to, żeby się nad nimi litował. W rzeczywistości wszystko wydawało mu się raczej śmieszne.

I nikt z tych, z którymi teraz pracował, nie znał go jako agenta Sklepiku i jego cyngla; na to mógłby przysiąc. Przed siedemnastoma tygodniami był tylko zarysem postaci za polaryzowaną szybą swego cadillaca; kimś z nalepką „A” na szybie.

– Czy nie sądzisz, że trochę z tym przesadzasz? – zapytał go Kap. – Dziewczynka nie ma żadnego kontaktu z ogrodnikami i sekretarkami. Jesteście sami na tej scenie.

Rainbird potrząsnął głową.

– Wystarczy jedna mała wpadka. Wystarczy, by jedna osoba wspomniała w rozmowie, że przyjazny sługa ze zmasakrowaną twarzą parkuje samochód na miejscu dla VIP-ów i przebiera się w biały fartuch w dyrektorskiej szatni. Staram się stworzyć poczucie zaufania; zaufania zbudowanego na przekonaniu, że obydwójce jesteśmy poza nawiasem, jesteśmy, jeśli wolisz to słowo, dziwolągami pogrzebanymi w trzewiach amerykańskiego biura KGB.

Kapowi to się nie podobało; nie podobało mu się, gdy ktokolwiek pozwalał sobie na tanie przytyki do metod Sklepiku, zwłaszcza w tym przypadku, gdy rzeczywiście użyto metod ekstremalnych.

– Cóż, z pewnością robisz wspaniałą robotę – powiedział.

Na to Rainbird nie miał już zadowolającej odpowiedzi, ponieważ w rzeczywistości wcale nie robił wspaniałej roboty. Przez cały czas swego pobytu w Longmont dziewczynka nie zapaliła nawet zapalki. To samo można było powiedzieć o jej ojcu, który nie okazał najmniejszego znaku dominacji umysłowej; jeśli w ogóle miał jeszcze tę zdolność. W co akurat wszyscy zaczęli coraz poważniej wątpić.

Dziewczynka fascynowała Rainbirda. W pierwszym roku pracy w Sklepiku przeszedł wiele kursów, których nie prowadzi się w żadnym z uniwersytetów: podsłuch, kradzieże samochodów, niezauważalne rewizje i kilkanaście innych. Jedynym, który interesował go naprawdę, był kurs włamań do sejfów, gdzie

wykładowcą był starzejący się kasiarz nazwiskiem G.M. Rammaden. Rammadena zwolniono z więzienia w Atlancie tylko w tym celu, by uczył swego fachu nowych agentów Sklepiku. Uważano go za najlepszego i Rainbird nigdy w to nie wątpił, chociaż sądził, że teraz niemal mu dorównuje.

Rammaden, który zmarł trzy lata temu (Rainbird wysłał kwiaty na jego pogrzeb – jaką komedią bywa życie!), uczył ich wszystkich rodzajów zamków, wszystkich rodzajów sejfów i tego, że kłapa sejfu blokuje się na stałe, kiedy rozbije się zamek młotkiem i dłutem; uczył ich o blokadach, wytrychach i o tym, jak wykorzystać grafit, jak wziąć odcisk klucza na kartce z notesu, jak domowym sposobem zrobić nitroglicerynę i jak otworzyć sejf od tyłu, rozbierając go warstwa po warstwie.

Rainbird zareagował na nauki G.M. Rammadena z chłodnym, cynicznym entuzjazmem. Rammaden powiedział, że sejfy są jak kobiety; mając narzędzia i czas, można otworzyć każdy z nich. Są takie, mówił, które łatwo otworzyć, i takie, które trudno otworzyć, ale nie ma takich, których nie sposób otworzyć.

Dziewczynka była twarda.

Na początku musieli żywić Charlie dożylnie; po prostu po to, by nie zagłodziła się na śmierć. Po pewnym czasie dziewczynka stwierdziła, że odmową jedzenia zyskuje jedynie sińce na ramionach, i zaczęła jeść; bez apetytu, tylko dlatego, że jedzenie było mniej bolesne.

Czytała niektóre z książek, które jej dawali – a w każdym razie przeglądała je – i czasami włączała stojący w jej pokoju kolorowy telewizor tylko po to, by wyłączyć go po kilku minutach. Przez cały czerwiec oglądała na kanale lokalnym serial *Mój Kary*, raz czy dwa obejrzała *Cudowny świat Walta Disneya*. I to wszystko. W cotygodniowych raportach coraz częściej zaczęło się pojawiać określenie „sporadyczna afazja”.

Rainbird znalazł to słowo w słowniku medycznym i rozumiał je od razu; dzięki swym doświadczeniom indiańskiego wojownika rozumiał je może nawet lepiej niż sami lekarze. Czasami dziewczynce po prostu brakowało słów. Stała tylko, wcale tym niezmięszana, i bezdźwięcznie poruszała ustami. A czasami używała słów całkowicie wyrwanych z kontekstu, najwyraźniej zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. „Nie podoba mi się ta sukienka, wolałabym trawową”. Mogła się poprawić obojętnie:

„Znaczy, zieloną” – lecz zazwyczaj po prostu niczego nie zauważała.

Według słownika afazja jest spowodowana uszkodzeniem mózgu. Lekarze natychmiast rozpoczęli igraszki z lekarstwami. Orazynę zastąpiono valium – bez widocznej zmiany na lepsze.

Spróbowano orazyny i valium, ale ich nieprzewidziana interreakcja spowodowała napady nieprzerwanego, monotonnego płaczu trwającego tak długo, jak długo trwało działanie tych środków. Wypróbowano coś całkiem nowego: kombinację leku uspokajającego i łagodnie halucynogennego, i to wydawało się działać – na krótko. Później Charlie zaczęła się jąkać i dostała lekkiej wysypki. Teraz znów podawano orazynę i obserwowano dziewczynkę uważnie na wypadek, gdyby afazja się pogłębiła.

Zapisano całe ryzy papieru na temat delikatnego stanu psychicznego dziewczynki i tego, co jajogłowi nazwali „podstawowym konfliktem ognia” – śmieszny sposób na określenie, że tata zakazał, a Skleplik każe... a wszystko to skomplikowane poczuciem winy z powodu wypadku na farmie Mandersów.

Rainbird nic z tego nie kupił. To nie piguły i nie to, że obserwowano ją bezustannie, i nie to, że oddzielono ją od ojca.

Była twarda. To wszystko.

W którymś momencie Charlie postanowiła, że niezależnie od wszystkiego nie będzie współpracować. Koniec. *Tout fini*.

Psychiatrzy mogli do końca świata uwijać się przy niej, pokazując jej plamy atramentu, doktorzy mogli bawić się lekarstwami, mrużąc w brody o tym, jak trudno jest dobrać środki skuteczne wobec ośmioletniej dziewczynki, góry papierów mogły sobie rosnać, Kap mógł się wściekać do woli.

A Charlie McGee była coraz twardsza.

Rainbird czuł to tak pewnie, jak tego popołudnia poczuł zbliżanie się deszczu. I podziwiał tę małą. Spowodowała, że cała ta banda kręci się w pogoni za własnym ogonem, i gdyby ich tak zostawić, kręciliby się za nim do Święta Dziękczynienia i do Bożego Narodzenia. Ale nie będą gonić własnego ogona do końca świata; i to niepokoiło Rainbirda bardziej niż cokolwiek innego.

Rammaden, kasiarz, opowiedział im zabawną historię o dwóch złodziejach, którzy włamali się do supermarketu pewnego piątku, kiedy zamieć spowodowała, że ciężarówka Wells Fargo nie mogła odebrać dużych pieniędzy z utargu. Próbowali

przewiercić zamek szyfrowy i nie dali rady. Próbowali rozebrać sejf, ale nie umieli rozgiąć rogu, żeby zacząć. W końcu wysadzili sejf. Odnieśli olśniewający sukces. Rozwalili sejf, rozwalili go tak wspaniale, że zniszczyli leżące w nim pieniądze. To, co zostało, wyglądało jak pocięta forsa, którą czasami wtyka się do długopisów.

– Chodzi o to – powiedział im Rammaden tym swoim suchym, jęklwym głosem – że ci dwaj nie pokonali sejfu. Gra idzie o to, by pokonać sejf. Nie pokonacie sejfu, jeśli nie wyciągniecie jego zawartości, tak by nadawała się do użycia. Rozumiecie? Ci dwaj przesadzili z nitrogliceryną. Zabili forszę. To były dupki i sejf ich pokonał.

Rainbird zrozumiał.

Sprawą zajmowało się ponad sześćdziesięciu facetów ze stopniami naukowymi, ale sprowadzało się to do otwarcia sejfu. Chcieli przewiercić zamek szyfrowy dziewczynki swymi pigułkami; mieli wystarczająco wielu jajogłowych, by wystawić drużynę softballu, jajogłowi robili wszystko, by rozwiązać „podstawowy konflikt ognia”, i cała ta szczególna kupa gówna sprowadzała się do tego, że próbowali rozebrać sejf od tyłu.

Rainbird wszedł do małego baraku, wyjął swą kartę i podbił ją. T.B. Norton, szef zmiany, spojrział na niego znad paperbacka.

– Za wczesne przyście nie ma nadgodzin, czerwony.

– Nie? – zapytał Rainbird.

– Nie. – Norton spojrział na niego wyzywająco, pełen ponurej, niemal świętej pewności, która tak często towarzyszy skromnej władzy.

Rainbird opuścił oczy i podszedł do gablotki z ogłoszeniami. Drużyna kręglarska służących wygrała wczoraj wieczorem mecz. Ktoś chciał sprzedać „dwie świetne pralki”. Oficjalna notatka głosiła, że: **WSZYSCY PRACOWNICY W-1 DO W-6 MUSZĄ UMYĆ RĘCE PRZED WYJŚCIEM Z TEGO BIURA.**

– Znosi się na deszcz – powiedział przez ramię do Nortona.

– Nie ma szans, czerwony – odparł Norton. – Czemu się stąd nie wyniesiesz? Zasmradzasz pokój.

– Jasne, szefie. Tylko podbijałem kartę.

– To następnym razem przyjeźdź tu o właściwej godzinie.

– Jasne, szefie – powiedział Rainbird po raz drugi i wyszedł. Zerknął na bok różowej szyi Nortona, na miękki punkt tuż poni-

żej szczęki. Czy miałbyś czas krzyknąć, szefie? Czy miałbyś czas krzyknąć, gdybym w tym miejscu przebił ci szyję palcem? Jak rozeń przez kawałek szaszłyka... szefie, pomyślał.

Wyszedł w wilgotny upał. Chmury zbliżyły się, powolne, uginające się pod ciężarem deszczu. Będzie wielka burza. Zagrzmiało, ciągle z daleka.

Dom był już blisko. Rainbird okrąży go, przejdzie do boczne-go wejścia, które kiedyś prowadziło do spiżarni, i pojedzie windą „C” cztery piętra w dół. Dzisiaj miał umyć i zapastować wszystkie podłogi w mieszkaniu dziewczynki; to da mu dużą szansę. Nie było tak, żeby nie chciała z nim rozmawiać, co to, to nie. Chodzi o to, że była zawsze tak cholernie daleka. Chciał rozłożyć sejf na swój własny sposób; jeśli tylko mógłby spowodować, by się roześmiała, żeby zażartowała razem z nim ze Sklepi-ku, to byłoby tak, jakby rozgiął róg. Miałby miejsce na oparcie dłuta. Niech roześmieje się choćby raz. To by ich połączyło, dwójka wewnątrz Sklepiku, komitet na tajnej sesji. Para przeciw wszystkim.

Na razie nie zdołał wywołać u niej nawet lekkiego uśmiechu. Podziwiał ją za to bardziej, niż mógł wyrazić słowami.

2

Rainbird wsunął kartę identyfikacyjną w odpowiednią szcze-linę i zszedł do pokoju służących, by przed pracą napić się kawy. Nie miał ochoty na kawę, ale ciągle jeszcze miał czas. Nie mógł pozwolić sobie na to, by okazać zbyt wielki zapał; wystar-czająco źle się stało, że Norton dostrzegł to i skomentował.

Nalał sobie kubek czarnego błota z ekspresu i usiadł. Przy- najmniej nie przyszedł jeszcze żaden z tych kretynów. Rainbird siedział na zniszczonej i popękanej szarej kanapie, pijąc kawę. Jego zrujnowana twarz (Charlie zainteresowała się nią tylko przelotnie) była nieruchoma, spokojna. Tylko umysł pracował, analizując zaistniałą sytuację.

Ci, którzy zajmowali się dziewczynką, byli jak zieloni kasia- rze z opowieści Rammadena. Na razie obchodzili się z dziew- czynką w rękawiczkach, ale bynajmniej nie dlatego, że ją kocha- li. Prędzej czy później przekonają się, że grzeczne traktowanie do niczego nie prowadzi, a kiedy wyczerpią „miękkie” opcje,

zdecydują się wysadzić sejf. A Rainbird był pewny, że gdy się do tego zabrają, z pewnością „zabiją forszę”, by użyć barwnego określenia kasjarza.

W raportach dwóch lekarzy już dostrzegł słowa „lekka terapia wstrząsowa”. Jednym z tych lekarzy był Pynchot, a Hockstetter słuchał Pynchota. Rainbird widział też przedstawione na piśmie wytyczne działania, nafaszerowane tak zwariowanym żargonem, że wyglądały niemal jak napisane w obcym języku. Przetłumaczone, sprowadzały się zaś do twardego gadania: jeśli dzieciak zobaczy, że tata naprawdę cierpi, złamie się. Rainbird zaś sądził, że jeśli dzieciak zobaczy tatusia podłączonego do akumulatora i tańczącego polkę z włosami sterczącymi dęba na głowie, to spokojnie wróci do pokoju, stłucze szklanekę i zje odłamki.

Ale tego nie wolno im powiedzieć. Sklepić, jak FBI i CIA, miał długą tradycję w zabijaniu forsy. Jeśli z obcą pomocą nie dostajesz tego, czego chcesz, bierz rozpylacz i granaty, jedź tam i zabij skurwysyna. Nasyć cyjankiem cygara Castra. To szaleństwo, ale tego nie wolno im powiedzieć. Widzieli tylko SKUTKI, błyszczące i pulsujące jak oznaka zwycięstwa na mitycznym jednorękim bandycie z Vegas. Więc zabijali pieniądze i stali, ściskając w garści zielone śmiecie przelatujące im przez palce, niepewni, co się, u diabła, stało.

Do pokoju wchodzili już inni sprzątacze, żartując, klepiąc się nawzajem po plecach, gadając o wczorajszej grze, o samochodach, o kobietach i o tym, jak ich wykołowano. To samo gównu, o którym będą gadać do końca świata, alleluja, amen. Trzymali się z dala od Rainbirda. Nikt z nich nie lubił Rainbirda. Rainbird nie grał w kręgle, nie gadał o samochodzie i wyglądał jak żywcem wyjęty z filmu o Frankensteinie.

Niepokoił ich. Tego, który poklepałby go po ramieniu, Rainbird rozerwałby na strzępy.

Rainbird wyjął paczkę tytoniu „Czerwonoskóry”, paczkę bibulek i skręcił sobie jednego szybkiego. Siedział, palił i czekał, aż przyjdzie czas, by pójść do mieszkania Charlie.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, od lat nie czuł się tak dobrze, od lat nie był tak ożywiony. Zdawał sobie z tego sprawę i był za to wdzięczny dziewczynce. W sposób, którego nie pozna nigdy, zwróciła mu na jakiś czas życie – życie człowie-

ka, który czuje i który ma nadzieję, co oznacza mężczyznę mającego życiowe troski. To dobrze, że była taka twarda. W końcu się do niej dobrać (są sejfy trudne i sejfy łatwe, nie ma sejfów niemożliwych); sprawi, że Charlie zatańczy dla nich, cokolwiek to będzie warte; a kiedy skończy tańczyć, zabije ją i spojrzy jej w oczy z nadzieją, że gdy będzie przekraczała granicę ku temu czemuś, co istnieje po drugiej stronie, on dostrzeże w nich iskrę zrozumienia, wiadomość.

A tymczasem będzie żył.

Rainbird zgasił papierosa i wstał, gotów do pracy.

3

Chmur było coraz więcej. O trzeciej wisiały już, niskie i ciemne, nad budynkami Longmont. Grzmiało coraz głośniej i pewniej; burza zmieniała ziemskich niedowiarków w wierzących. Ogrodnicy odstawili kosiarki. Wniesiono do środka stoliki sprzed obydwu domów. W stajni dwóch stajennych próbowało uspokoić załęcznione konie, reagujące niespokojnym ruchem na każdy złowróźbny łoskot z niebios.

Burza wybuchła o wpół do czwartej, nieoczekiwanie jak huk strzału z colta rewolwerowca, z największą furją. Zaczęła się od deszczu, deszcz szybko zmienił się w grad. Wiatr wiał ze wschodu na zachód, by zniecka całkowicie zmienić kierunek.

Pioruny biły białoniebieskimi ciosami, zostawiając w powietrzu zapach rozwodnionej benzyny. Wiatr zaczął wirować w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i w wieczornych prognozach pogody pokazano małe tornado, które ledwie ominęło kwaterę w Longmont, a po drodze zerwało dach z zakładu fotograficznego w centrum handlowym.

Sklepik dobrze zniósł niemal całą burzę. Grad wybił dwie szyby, a wiatr zerwał niską balustradkę otaczającą malowniczą altankę, stojącą nad brzegiem stawu, i przeniósł ją o sześćdziesiąt metrów; ale to były wszystkie zniszczenia (oprócz połamanych gałęzi i zrujnowanych klombów – dodatkowa robota dla oddziałów ogrodników). Podczas burzy psy latały wściekle korytarzem między wewnętrznym i zewnętrznym ogrodzeniem, ale kiedy nawałnica zaczęła cichnąć, szybko się uspokoiły.

Prawdziwych zniszczeń dokonały wyładowania elektryczne, które nadeszły po gradzie, deszczu i wietrze. W rezultacie uderzeń piorunów, które trafiły w transformatory w Rowantree i Briska, część wschodniej Wirginii pozbawiona była prądu aż do północy. Transformator w Briska obsługiwał także kwaterę Sklepiku.

Siedzący w gabinecie Kap Hollister spojrzął w górę, rozdrażniony; światła zgasły, a ciągły, cichy szum klimatyzacji ucichł i zamilkł. Szary zmrok, spowodowany brakiem elektryczności i ciężkimi burzowymi chmurami, trwał może z pięć sekund – wystarczająco długo, by Kap syknął: „cholera!” i zaczął się zastanawiać, co, do diabła, stało się z awaryjnymi generatorami.

Wyjrzał za okno i zobaczył błyskawice, uderzające niemal bez przerwy. Tego wieczoru jeden ze strażników z budki powiedział żonie, że widział piorun kulisty, wielki jak dwie tace, odbijający się od słabo naelektryzowanego zewnętrznego ogrodzenia do mocno naelektryzowanego wewnętrznego i z powrotem.

Kap sięgnął po telefon, by się dowiedzieć, co stało się z elektrycznością, gdy nagle światła zaświeciły znowu.

Klimatyzacja ruszyła z szumem i Kap zamiast sięgać po telefon sięgnął po ołówek. I wtedy światło zgasło znowu.

– Cholera! – powtórzył Kap. Odrzucił ołówek i mimo wszystko sięgnął po słuchawkę, wyzywając światło, by zaświeciło, nim on obrobi komuś tyłek.

Światło odrzuciło jego wyzwanie.

Dwa eleganckie domy, patrzące na siebie poprzez wielki trawnik – i cały rozciągający się pod nimi kompleks urządzeń Sklepiku – obsługiwane były przez Urząd Energetyczny Wschodniej Wirginii, ale miały także dwa dieslowskie generatory awaryjne. Jeden system obsługiwał „funkcje żywotne”: elektryczne ogrodzenie, komputery (przerwa w dostawie prądu może kosztować niewiarygodną fortunę mierzoną czasem komputerowym) i mały szpital. Drugi zasiliał mniej ważne urządzenia: światła, klimatyzację, windy i wszystko inne. Drugi system skonstruowany był jako „system zastępczy” – to znaczy miał się włączać w przypadku, gdyby pierwszy wskazywał oznaki przeciążenia, natomiast pierwszy system nie miał się włączać w przypadku przeciążenia drugiego. Dziewiętnastego sierpnia przeciążenie nastąpiło w obu. Drugi system włączył się, gdy

pierwszy wskazał przeciążenie, tak jak to zaplanowali jego architekci (choć, prawdę mówiąc, w ogóle nie brali oni pod uwagę możliwości przeciążenia pierwszego systemu), i w rezultacie pierwszy system działał pełne siedemdziesiąt sekund dłużej niż drugi. A później generatory obu systemów wybuchły po kolei, jak serie fajerwerków. Tylko że te fajerwerki kosztowały po mniej więcej osiemdziesiąt tysięcy dolarów sztuka.

Prowadzone po wszystkim rutynowe dochodzenie doprowadziło do niepoważnie łagodnego werdyktu o „usterce mechanicznej”, chociaż lepszym sformułowaniem byłoby: „chciwość i przekupstwo”. Kiedy w 1971 roku instalowano oba generatory, senator znający wysokość najniższej oferty na przeprowadzenie tej małej operacji (oraz na przeprowadzenie innych prac w Sklepiku, wartych szesnaście milionów dolarów) dał cynk swojemu szwagrowi, który był inżynierem elektrykiem. Szwagier pomyślał, że może spokojnie przedstawić niższą ofertę, jeżeli tu i ówdzie pójdzie na skróty.

Była to tylko jedna więcej grzeczność w świecie, który żyje z grzeczności i sprzedawania „tajnych” informacji, warta zapamiętania wyłącznie jako pierwsze ogniwo w łańcuchu prowadzącym do późniejszych zniszczeń i śmierci. System awaryjny od czasu zainstalowania używany był tylko „częściami”. W pierwszej rzeczywistej próbie, gdy burza uszkodziła transformator w Briska, zawiódł kompletnie. Tymczasem oczywiście inżynier elektryk poszedł w górę, i pomagał już w budowie wartego miliony łańcucha hoteli na plażach Coki Beach w St. Thomas.

Sklepik nie miał elektryczności aż do usunięcia awarii w Briska – to znaczy otrzymał ją razem z całą wschodnią Wirginią około północy.

W tym czasie wykute już zostały kolejne ogniwa łańcucha.

W rezultacie burzy i spowodowanego nią mroku coś wielkiego zdarzyło się zarówno z Andym, jak i z Charlie McGee, chociaż żadne nie miało pojęcia o tym, co dzieje się z drugim.

Po pięciu miesiącach martwej ciszy wydarzenia ruszyły z miejsca.

Kiedy wysiadła elektryczność, Andy McGee oglądał w telewizji Klub MDP. MDP oznaczało: Módl się Do Pana. Na jednym z lokalnych kanałów stanu Wirginia audycja MDP najwyraźniej szła bez przerwy, dwadzieścia cztery godziny na dobę. W rzeczywistości prawdopodobnie były przerwy, ale Andy do tego stopnia stracił poczucie czasu, że trudno mu się było w tym zorientować.

Andy przytył. Czasami – częściej wtedy, gdy był „przytomny” – widząc swoje odbicie w lustrze, myślał o Elvisie Presleyu i o tym, jak Elvis pod koniec życia zdawał się powoli puchnąć jak nadmuchiwany balon. Kiedy nie był przytomny, myślał o kochankach, które po kastracji stają się czasami grube i leniwe.

Nie był jeszcze gruby, ale prawie. W Hastings Glen zważył się na łazienkowej wadze – osiemdziesiąt kilogramów.

Dziś wskazówka wahała się w okolicy dziewięćdziesięciu pięciu. Policzki miał pełniejsze, rósł mu drugi podbródek i coś, co nauczyciel gimnastyki w jego dawnej szkole zwykł był nazywać (z niezmierną pogardą) „męskim cycem”. Brzuszek pojawił się wyraźnie. Andy nie miał wielu okazji do ćwiczeń – ani chęci, zwłaszcza w objęciach ukochanej torazyny – a jedzenie było więcej niż dobre.

Na haju nie martwił się o wagę, a przeważnie był na haju.

Kiedy chcieli przeprowadzić kolejne z tych ich bezpłodnych testów, odstawiali leki na osiemnaście godzin, a doktorzy badali jego reakcje i robiono mu EEG, by upewnić się, że fale mózgowe są ładne i ostre. Następnie prowadzono go do sali testów, która była małym białym pokoikiem o ścianach wyłożonych ażurowym korkiem.

Wtedy, w kwietniu, zaczęli od ludzi ochotników.

Powiedzieli mu, co ma robić, i powiedzieli też, że jeśli przesadzi z entuzjazmem, na przykład kogoś oślepi, będzie cierpiał. Pod tą groźbą kryła się druga: że nie będzie cierpiał sam. Ta groźba wydawała się Andy’emu bez pokrycia; nie wierzył, by rzeczywiście zamierzali skrzywdzić Charlie. Ona była ich ulubioną uczennicą. W tym koncercie grał drugie skrzypce.

Doktorem, który nadzorował jego testy, był mężczyzna o nazwisku Herman Pynchot. Dobiegał czterdziestki i był najzupełniej zwykłym facetem poza tym, że za często się uśmiechał. Bywało, że ten jego uśmiech niepokoił Andy’ego. Czasami przy

próbach pojawiał się starszy doktor – Hockstetter – ale na ogół był to Pynchot.

Kiedy zbliżał się czas pierwszego testu, Pynchot powiedział Andy’emu, że w małej sali prób stoi stół. Na stole znajduje się butelka z sokiem winogronowym i nalepką TUSZ, wieczne pióro na podstawce, notes, dzbanek z wodą i dwie szklanki. Pynchot powiedział, że ochotnik nie będzie miał pojęcia, iż w butelce jest sok, a nie tusz. Pynchot tłumaczył dalej, że byliby wdzięczni, gdyby Andy „pchnął” ochotnika tak, by ochotnik nalał sobie wody do szklanki, dolał do niej „tuszu”, i wypił to świństwo.

– Wspaniale – powiedział Andy. On sam nie czuł się jednak tak wspaniale.

Tęsknił za torazyną i spokojem, jaki przynosiła.

– Naprawdę wspaniale – stwierdził Pynchot. – Czy pan to zrobi?

– A niby czemu?

– Dostanie pan coś za to. Coś miłego.

– Bądź dobrym szczurem, a dostaniesz serek. Tak?

Pynchot wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Jego fartuch był rozpaczliwie elegancki; wyglądał, jakby skroili go bracia Brooks.

– W porządku. Poddaję się. Co dostanę za to, że zmuszę tego biednego durnia do picia tuszu?

– No, na przykład dostaniesz z powrotem swoje pastylki.

Nagle jakoś trudno było mu przełknąć i Andy pomyślał, że torazyna może powodować nałóg, i zastanowił się, czy jeśli go powoduje, jest to uzależnienie fizjologiczne czy psychologiczne.

– Powiedz mi, Pynchot – powiedział – jak się czujesz jako handlarz? Co o tym mówi przysięga Hipokratesa?

Pynchot wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Będziesz mógł także wyjść na chwilę na dwór. Zdaje się, że miałeś na to ochotę?

Andy miał na to ochotę. Jego mieszkanie było przytulne – wystarczająco przytulne, by łatwo zapomnieć, że to tylko cela bez klamek. Składało się z trzech pokoi z łazienką, był tam kolorowy telewizor z kanałem HBO, na którym każdego tygodnia wyświetlano trzy nowe filmy. Jeden z decydentów – być może sam Pynchot – musiał powiedzieć, komu trzeba, że nie ma sensu zabierać mu paska, dawać do pisania tylko miękkie kredki, a do

jedzenia plastikową łyżkę. Gdyby Andy chciał popełnić samobójstwo, nie mieli sposobu, by go powstrzymać.

Wystarczyłoby odpowiednio długie, odpowiednio mocne pchnięcie, a jego mózg strzeliłby jak stara dętka.

A więc mieszkanie miało wszelkie wygody – łącznie z kuchenką mikrofalową. Było ładnie pomalowane, w dużym pokoju posadzkę przykrywał gruby dywan, a na ścianach wisiały dobre grafiki. Lecz mimo wszystko psie gówienko posypane cukrem to nie sernik, lecz psie gówienko z cukrem, a żadne z drzwi do tego gustownego małego mieszkanca nie miały od wewnątrz klamek. Tu i ówdzie w ścianach znajdowały się małe szklane wzierniki, takie jakie można spotkać w drzwiach pokoi hotelowych. Był nawet jeden w łazience; Andy wyliczył sobie, że można przez nie obserwować praktycznie całe mieszkanie. Przypuszczał, że kryją się za nimi kamery, prawdopodobnie filmujące także w podczerwieni; nie mógł nawet wysrać się bez świadków.

Nie cierpiał na klaustrofobię, ale nie lubił spędzać długiego czasu w zamknięciu. Działo mu to na nerwy, mimo pigulek. Objawami jego łagodnych załamań nerwowych były na ogół ciężkie westchnienia i okresy apatii. Rzeczywiście – chciałby wyjść na zewnątrz. Chiałby znowu zobaczyć słońce i zieloną trawę.

– Tak – powiedział Pynchotowi – wyraziłem zainteresowanie spacerem.

Ale nie dostał pozwolenia na spacer.

Ochotnik najpierw się denerwował, oczekując niewątpliwie, że Andy każe mu stanąć na głowie i gdać jak kura albo zrobić coś równie idiotycznego. Okazało się, że jest zapalonym kibicem futbolu. Andy poprosił tego faceta, który nazywał się Dick Albright, żeby opowiedział mu wszystko o rozgrywkach poprzedniego sezonu: które drużyny trafiły do play-offu, jak grały i kto zdobył Superpuchar.

Albright ożywił się. Następných dwadzieścia minut spędził, opowiadając o meczach, i zaczął się stopniowo uspokajać. Doszedł do kiepskiego sędziowania, które w ostatnim meczu pucharowym umożliwiło Patriotom zwycięstwo nad Delfinami, kiedy Andy powiedział:

– Napij się wody, jeśli chcesz. Musisz być spragniony.

Albright zerknął na niego.

– Tak, trochę chce mi się pić. Powiedz, czy za dużo gadam? Jak myślisz, czy to może spieprzyć ich testy?

– Nie, nie sędzę – powiedział Andy. Patrzył, jak Dick Albright nalewa sobie wody z dzbanka do szklanki.

– Chcesz trochę? – zapytał Albright.

– Nie, nie teraz – odparł Andy i nagle mocno pchnął. – A może trochę tuszu, czemu nie?

Albright znów na niego spojrział, a później sięgnął po butelkę. Podniósł ją, spojrział i odstawił.

– Tuszu? Oszalałeś?

Pynchot uśmiechał się po teście równie często jak przed nim, ale nie był zadowolony. W najmniejszym stopniu. Andy też nie był zadowolony. Kiedy pchał Albrighta, nie czuł towarzyszącego pchnięciu poślizgu... tego dziwnego uczucia rozdwojenia, które mu zwykle towarzyszyło. I nie bolała go głowa. Skoncentrował całą wolę na zasugerowaniu Albrightowi, że dodanie tuszu do wody jest czymś najzupełniej racjonalnym, a Albright najzupełniej racjonalnie odpowiedział na jego sugestię, stwierdzając, że mu odbiło. Mimo całego spowodowanego przez pchnięcie bólu Andy wpadł niemal w panikę na myśl o tym, że jego talent go opuścił.

– Dlaczego to ukrywasz? – zapytał Pynchot. Zapalił chesterfielda i uśmiechnął się. – Nie rozumiem cię, Andy. Co na tym możesz zyskać?

– Mówię po raz dziesiąty, że niczego nie ukrywałem. Nie udawałem. Pchnąłem go tak mocno, jak tylko mogłem. Po prostu nic się nie stało, to wszystko.

Andy potrzebował lekarstwa. Był w depresji, zdenerwowany. Kolory wydawały mu się zbyt jaskrawe, światło zbyt silne, głosy zbyt donośne. Po lekarstwie jego bezużyteczna wściekłość na to, co się stało, tęsknota za Charlie i strach spowodowany myślami o tym, co może się jej zdarzyć – wszystko bladło i można sobie było z tym poradzić.

– Nie mogę uwierzyć – powiedział Pynchot i uśmiechnął się.

– Przemyśl to sobie, Andy. Nie prosimy cię o to, byś zmusił kogoś do zrobienia kroku w przepaść lub strzelenia sobie w łeb. Chyba nie chcesz iść na spacer tak bardzo, jak ci się wydawało.

Wstał, jakby miał zamiar wyjść.

– Słuchaj – powiedział Andy i w jego głosie słychać było rozpacz, której nie potrafił ukryć. – Chciałbym dostać tę pigułkę.

– Doprawdy? Cóż, może zainteresuje cię wiadomość, że zmniejszamy dawki... na wypadek gdyby to torazyna ograniczyła twoje zdolności. – Na twarzy Pynchota rozkwitł kolejny uśmiech. – Oczywiście, gdyby te zdolności nagle powróciły...

– Jest parę rzeczy, które powinieneś wiedzieć. Po pierwsze, ten facet był zdenerwowany i czegoś się spodziewał. Po drugie, wcale nie był taki bystry. O wiele ciężiej jest pchnąć ludzi starych i ludzi o niskim lub normalnym IQ. Z inteligentnymi idzie łatwiej.

– Doprawdy?

– Tak.

– Więc czemu nie pchniesz mnie, żebym dał ci twoje lekarstwo tu, zaraz. Mój sprawdzony iloraz inteligencji wynosi 155.

Andy spróbował – bez najmniejszego rezultatu.

W końcu dostał pozwolenie na spacer, w końcu zwiększyli mu nawet dawki jego lekarstwa – po tym, gdy upewnili się, że nie oszukuje, że w rzeczywistości rozpaczliwie próbuje użyć pchnięcia i nic mu z tego nie wychodzi. Całkiem niezależnie od siebie zarówno Andy, jak i doktor Pynchot zaczęli się zastanawiać, czy przypadkiem Andy nie wykończył się na dobre w trakcie ucieczki z Charlie z Nowego Jorku na lotnisko w Albany i do Hastings Glen; czy po prostu nie zużył swego talentu. I obaj rozważali, czy nie jest to coś w rodzaju blokady psychicznej. Sam Andy doszedł do wniosku, że albo talent naprawdę go opuścił, albo włączył się jakiś mechanizm obronny – jego umysł odmawiał użycia pchnięcia, wiedząc, że może go to zabić. Nie zapomniał o pozbawionych czucia miejscach na twarzy i szyi, i o przekrwionym oku.

W każdym razie skutek był jeden – wielkie, okrągłe nic. Pynchot, marzący o okryciu się chwałą pierwszego człowieka, który zdobył pewne empiryczne dane o psychicznym talencie dominacji umysłowej, wyzbywał się swoich wyobrażeń; pojawiał się coraz rzadziej i rzadziej.

W maju i czerwcu kontynuowano badania – najpierw na rosnącej liczbie ochotników, a później na niczego niespodziewających się obiektach. Używanie tych drugich nie było zbyt etyczne, co chętnie przyznawał sam Pynchot, ale niektóre z pierw-

szych testów LSD też nie były zbyt etyczne. Andy ze zdumieniem myślał, że zrównując w mózgu te dwa zła, Pynchot dochodził do wniosku, że wszystko jest w porządku. Ale nie miało to znaczenia, bo Andy'emu nie udało się pchnąć ani jednych, ani drugich.

Miesiąc temu, zaraz po czwartym lipca, rozpoczęto testy na zwierzętach. Andy twierdził, że pchnięcie zwierząt jest praktycznie niemożliwe, ale jego protesty nie docierały wcale do Pynchota i jego ludzi, którzy w tym momencie jedynie udawali, że przestrzegają zasad badań naukowych. Tak więc raz w tygodniu Andy siadywał w jednym pokoju z kotem, psem lub małpą, czując się jak bohater powieści napisanej przez awangardowego pisarza. Wspominał taksówkarza, który spojrział na jednodolarówkę i zobaczył pięćsetkę. Wspominał nieśmiałych dyrektorów, których popychał łagodnie, dodając im stanowczości i pewności siebie. Wcześniej, w Port City, w Pensylwanii, był program odchudzający, w którym uczestniczyły przede wszystkim grube, samotne, niepracujące żony uzależnione od ciastek, pepsi-coli i wszystkiego, co leży między dwoma kawałkami chleba. Wymagały najłżejszego z pchnięć, ponieważ większość z nich rzeczywiście chciała zrzucić wagę. On im tylko pomagał. Wspominał też dwóch twardzieli ze Sklepiku, którzy porwali Charlie.

Kiedyś umiał to robić. Kiedyś. Miał nawet kłopoty z przypomnieniem sobie, jakie dokładnie uczucia towarzyszyły pchnięciu. Więc siedział w pokoju w towarzystwie psów, które szturchały go w rękę, mruczących kotów i małp, melancholijnie drapiących się w tyłki i czasami szczerzących zęby w apokaliptycznych, przeraźliwych uśmiechach, obscenicznym parodiach uśmiechu Pynchota; i oczywiście żadne ze zwierząt nie zrobiło nigdy niczego nadzwyczajnego. A później zabierali go do jego mieszkania o drzwiach pozbawionych klamek, na szafce we wnęce kuchennej, na białym spodeczku leżały błękitne pastylki, i po chwili nie było już depresji i zdenerwowania. Znów zaczął się czuć całkiem nieźle. Oglądał sobie jakiś film na kanale filmowym – może z Clintem Eastwoodem, jeśli coś takiego było – a może – Klub MDP. I nie martwiło go już tak, że stracił talent i stał się zbędny.

W dniu wielkiej burzy Andy siedział i oglądał popołudniowy Klub MDP. Kobieta z fryzurą podobną do ula opowiadała prezynterowi, jak to moc Boga wyleczyła ją z choroby Brighta. Andy był nią prawdziwie zafascynowany. W silnym świetle telewizyjnego studia jej włosy błyszcząły jak pokryta werniksem stołowa noga. Wyglądała jak podróżnik w czasie, który przeniósł się tu z 1963 roku. To go właśnie fascynowało w Klubie MDP oraz bezwstydne, schlebiające, wrzaskliwe prośby o pieniądze w imię Boże. Andy słuchał tych wrzasków wygłaszanych przez młodego człowieka o nieruchomej twarzy, ubranego w kosztowne garnitury, i myślał rozbawiony, jak to Chrystus wyrzucił kupców ze świątyni. I wszyscy ludzie z Klubu MDP wyglądali jak podróżnicy w czasie, przeniesieni do studia z 1963 roku.

Kobieta skończyła opowieść o tym, jak za sprawą Boga uwolniła się od dreszczy, które rozrywały ją na strzępy. Przed nią pewien aktor, dobrze znany w latach pięćdziesiątych, opowiedział, jak to Bóg ocalił go od butelki. Teraz kobieta z ulem na głowie zaczęła płakać, a niegdyś znany aktor wziął ją w objęcia. Kamera podjechała do zbliżenia. W tle pieśniarze MDP zaczęli coś nuścić. Andy przesunął się lekko w fotelu. Zbliżał się czas na lekarstwo.

W jakiś niejasny sposób zdawał sobie sprawę, że lekarstwo tylko w części odpowiedzialne jest za szczególne zmiany, jakie zaszły w nim w ciągu ostatnich pięciu miesięcy; zmiany, których zewnętrzną oznaką było to, że obrósł tłuszczem. Kiedy Sklepik zabrał mu Charlie, złamał też jedyny filar, na którym wspierało się jego życie. Bez Charlie – och, z pewnością była tu gdzieś blisko, ale równie dobrze mogła przebywać na Księżycu – nie miał żadnego wyraźnego powodu, by nie rozlecieć się na kawałki. A w dodatku wielomiesięczna ucieczka wyczerpała go i wpędziła w stan podobny do szoku. Maszerował po linie tak długo, że kiedy wreszcie spadł, rezultatem był absolutny letarg. W rzeczywistości Andy podejrzewał, że przeszedł prawie niewidoczne załamanie nerwowe. Gdyby nawet zobaczył Charlie, nie wiedział, czy rozpoznałaby w nim człowieka, którego znała; i tym się smucił.

Nigdy nie uczynił najmniejszego wysiłku, by oszukać Pynchota lub kantować na testach. Nie wierzył, by coś takiego mo-

gło się odbić na Charlie, ale w tym przypadku nie chciał podejmować nawet najmniejszego ryzyka. I łatwiej było robić to, czego chcieli. Stał się bierny. Resztki swej wściekłości wykrzyczał na progu domku Granthera, tuląc do siebie córkę, której gardło przebiła strzałka. Nie było w nim już gniewu. Wystrzelił ostatni nabój.

W takim stanie umysłu był Andy McGee, kiedy siedział i oglądał telewizję dziewiętnastego sierpnia, podczas gdy burza maszerowała przez wzgórze do ośrodka. Prezenter MDP wrzaskliwie poprosił o datki, a później zapowiedział trio śpiewające gospel. Trio zaczęło śpiewać i nagle zgasło światło.

Telewizor zgasł także, obraz zbiegł się w jasny punkt. Andy siedział w fotelu, nieruchomy, niepewny, co się właściwie stało. Zaledwie zdążył zarejestrować w myśli przerażającą czerń ciemności, kiedy światło włączyło się znowu. Pojawiło się trio śpiewające *Zadzwoń telefon z nieba i Jezus przemówił do mnie*, Andy głęboko westchnął z ulgą i światło znowu zgasło. Siedział w ciemności, trzymając się poręczy fotela, jakby ich puszczenie miało spowodować, że uleci w powietrze. Rozpaczliwie wpatrywał się w jasny punkt światła na ekranie nawet wtedy, gdy wiedział, że zniknął on już i pozostało tylko opóźnione odbicie obrazu... albo marzenie o odbiciu.

Światło pojawi się za parę sekund, tłumaczył sobie. Muszą mieć awaryjne generatory. W miejscu takim jak to nie ufa się wyłącznie miejskiej sieci elektrycznej.

Mimo to był przerażony. Nagle zaczął sobie przypominać książki przygodowe, które czytał jako chłopiec. W większości z nich zdarzało się, że w jakiejś jaskini wiatr zdmuchiwał latarnie lub świece. I autorzy najwyraźniej bardzo się starali, by opisać ciemność jako „namacalną”, „całkowitą”, „absolutną”. Był nawet ten pocziwy, stary banał: „żywa ciemność”; „Żywa ciemność otoczyła Tomka i jego przyjaciół”. Jeśli wszystko to robili, by sprawić wrażenie na dziewięcioletnim Andym McGee, to marnowali czas. Jeśli o niego chodzi, to kiedy chciał być „otoczony przez żywą ciemność”, wystarczyło wejść do szafy i zasłonić kocem bijące spod drzwi światło. Ciemność to w końcu tylko ciemność.

Teraz pojął, że w tej sprawie popełnił omyłkę; nie tylko w tym mylił się jako dziecko, ale była to być może ostatnia po-

myłka, jaką odkrył. Spokojnie mógłby obyć się bez tego odkrycia, ciemność bowiem nie była tylko ciemnością. Nigdy jeszcze w całym swym życiu nie znalazł się w ciemności takiej jak ta.

Gdyby nie uczucie, że ma fotel pod ramionami i pośladkami, mógłby unosić się między gwiazdami z jakimś mrocznym lovecraftowskim prądem. Podniósł rękę i przesunął ją przed twarzą. I chociaż czuł, jak palcami lekko dotyka nosa, nie mógł niczego dostrzec.

Opuścił rękę i oparł ją z powrotem na poręczu fotela. Serce biło mu w piersi szybko i słabo. Na zewnątrz ktoś krzyknął ochryple: „Ritchie! Gdzieżeś, kurwa, znikł!” – i Andy odchylił się w fotelu, jakby ktoś się na niego zamierzył. Obliznął wargi.

Światło wróci za parę sekund, pomyślał, lecz w tej przerażonej części jego umysłu, która nie dawała się uspokoić jakimiś racjonalnymi bzdurami, pojawiło się pytanie: Jak długo trwa parę sekund lub parę minut spędzone w całkowitej ciemności? Jak mierzysz czas spędzony w całkowitej ciemności?

Na zewnątrz, poza granicami jego „mieszkania”, coś przewróciło się ciężko i ktoś krzyknął z zaskoczenia i strachu. Andy wyprostował się i jęknął drżącym głosem. Nie podobało mu się to. Coś tu było nie tak.

Jeśli zabierze im to więcej niż kilka minut – jeśli muszą naprawić bezpieczniki albo coś takiego – przyjdą i wyciągną mnie stąd. Muszą.

Nawet najbardziej przerażona część jego umysłu – ta, którą niewiele dzieliło od paniki – rozpoznała logikę tego rozumowania i Andy rozluźnił się trochę. W końcu była to tylko ciemność, to tyle – po prostu brak światła. Nie oznaczało to przecież, że w ciemności kryją się potwory, nic z tych rzeczy.

Był bardzo spragniony. Zastanawiał się, czy ośmieli się wstać i pójść do lodówki po puszkę piwa imbirowego. Zdecydował, że może tego dokonać, jeśli będzie bardzo ostrożny. Wstał, zrobił dwa posuwiste kroki do przodu i wyrznął łydką o blat niskiego stolika. Pochylił się i potarł nogę; w oczach miał łyzy bólu.

To też przypominało mu dzieciństwo. Grali w „ślepią babkę”; przypuszczał, że bawią się tak wszystkie dzieci. Musisz przejść z jednego końca domu na drugi z oczami zawiązanymi chustką czy czymś. I wszystkie dzieci myślały, że kiedy przewracasz się o taboret lub potykasz na stopniu między kuchnią i jadalnią, to

po prostu szczyt dowcipu. Ta gra jest bolesną lekcją; pokazuje, jak mało w rzeczywistości pamiętasz z tego, co znajduje się w twoim domu, który podobno doskonale znasz, i o ile bardziej polegasz na wzroku niż na pamięci. I ta gra powoduje, że zaczynasz się zastanawiać, jak, do diabła, przeżyłbyś, gdybyś oślepl.

Ale ja sobie poradzę, pomyślał Andy, poradzę sobie, jeśli będę szedł ostrożnie.

Okrążył niski stolik i zaczął iść powoli przez pusty pokój, trzymając wyciągnięte ręce na wysokości twarzy. Zabawne, jaka groźna wydaje się pusta przestrzeń w ciemności. Prawdopodobnie światło włączy się zaraz, teraz, i będę mógł serdecznie się uśmieć sam z siebie. Będę się serdecznie...

Auu!

Walnął w ścianę wyprostowanymi palcami i boleśnie je wyłamał. Coś upadło – chyba wiszący koło drzwi do kuchni obrazek w stylu Wyetha, przedstawiający stodołę i siano. Obraz przeleciał mu koło ucha ze świstem, złowrogim jak świst opadającego ostrza miecza, i z traskiem uderzył o podłogę. Dźwięk był szokująco głośny.

Andy stał nieruchomo, ściskając bolące palce, czując ból w otartej łydce. W ustach zaschło mu ze strachu.

– Hej! – krzyknął. – Hej, koledzy, nie zapomnijcie o mnie.

Stał i słuchał. Nie doczekał się odpowiedzi. Słyszał jakieś dźwięki i głosy, ale teraz były one dalsze niż poprzednio. Jeśli oddalą się jeszcze bardziej, zostanie w całkowitej ciszy. Całkiem o mnie zapomnieli, pomyślał i jego strach się pogłębił.

Serce biło mu szaleńczo. Na czole i ramionach czuł zimny pot; przypomniał sobie, jak kiedyś wypłynął za daleko w jezioro Tashmore, zmęczył się, zaczął rzucać się i wrzeszczeć, pewny, że wkrótce umrze... a kiedy opuścił nogi, odszukał stopami dno, woda sięgała mu tylko do piersi. Gdzie jest teraz dno? Oblizął suche wargi, lecz język też miał suchy.

– HEJ! – krzyknął z całych sił, a strach w jego głosie przeraził go jeszcze bardziej. Musi się opanować. Już prawie dał się ogarnąć szalonej panice, kręcąc się w kółko bez sensu po mieszkaniu i wrzeszcząc, jak najgłośniej potrafił. A wszystko dlatego, że ktoś przepalił bezpiecznik.

Och, niech to wszystko diabli, dlaczego musiało się to zdarzyć akurat teraz, kiedy miałem dostać lekarstwo? Gdybym je

wziął, byłoby mi lepiej. Chryste, czuję, jakbym miał głowę pełną tłuczonego szkła...

Stał nieruchomo, oddychając ciężko. Mierzył w drzwi do kuchni, zszedł z kursu i trafił w ścianę. Kompletnie stracił orientację i nie mógł sobie nawet przypomnieć, czy ten durny obrazek wisiał po prawej, czy po lewej stronie drzwi. Żałował rozpaczliwie, że nie został w fotelu.

– Trzymaj się – mruknął głośno. – Trzymaj się.

Pojął, że to nie tylko panika. Brakowało mu lekarstwa, na które czekał za długo; lekarstwa, od którego się uzależnił. To była prosta złośliwość, że wszystko zdarzyło się wtedy, gdy miał dostać lekarstwo.

– Trzymaj się – mruknął znowu.

Piwo imbirowe. Musi się ruszyć, żeby zdobyć piwo imbirowe, i ma zamiar – na Boga! – je dostać. Musi się na czymś skupić. Do tego się wszystko sprowadzało, a piwo imbirowe zadziała równie dobrze jak cokolwiek innego.

Znów zaczął się przesuwac, w lewo, i natychmiast przewrócił się o obrazek, który spadł ze ściany. Andy wrzasnął i upadł, szeroko i bez sensu machając rękami dla utrzymania równowagi. Uderzył się mocno w głowę i znowu wrzasnął. Teraz był już bardzo przestraszony. Pomóżcie mi, pomyślał. Niech mi ktoś pomoże, przyniesie świecę, na litość boską, niech ktoś mi coś przyniesie, jestem przerażony...

Zaczął płakać. Macając palcami, odkrył, że bok głowy ma mokry – krew – i ogarnięty przerażeniem zastanawiał się, jak groźna jest rana.

– Ludzie, gdzie się podzialiście!!! – krzyknął. Nie otrzymał odpowiedzi. Usłyszał, lub wydawało mu się, że usłyszał, jeden daleki krzyk, po którym zapadła cisza. Palcami wymacał obrazek, o który się potknął, i rzucił nim przez pokój, wściekły, że się przez niego poranił. Obrazek uderzył w stojący koło kanapy stolik i bezużyteczna teraz lampa, która stała na stoliku, przewróciła się. Żarówka wybuchła z głuchym hukiem i Andy znów krzyknął. Pomacał skroń. Krwi było więcej, spływała mu na policzki małymi strumyczkami.

Dyszac, Andy zaczął się czołgać, wyciągając rękę i macając nią po ścianie. Kiedy zamiast ściany wyczuł nagle pustkę, wstrzymał oddech i cofnął rękę, jakby się bał, że z ciemności

wypełźnie coś obrzydliwego i złapie go. Wydał z siebie ciche parsknięcie. Tylko na sekundę powróciło do niego dzieciństwo w całym swym bogactwie i mógł słyszeć szepty trolli gromadzących się, by go zaatakować.

– To tylko drzwi do kuchni, ty dupku – mruknął zdyszany. Tylko drzwi.

Przeczołgał się przez nie. Lodówka stała po prawej i Andy skręcił w prawo, pełznąc wolno i szybko dysząc; ręce miał zimne od kafelków podłogi.

Gdzieś w górze, na wyższym piętrze, coś zważyło się z wielkim hukiem. Andy poderwał się na kolana. Nerwy mu puściły i kompletnie się zagubił. Zaczął wrzeszczeć.

– Ratunku! Ratunku! Ratunku! – Bez przerwy, póki nie ochrypl. Nie miał pojęcia, jak długo krzyczał, klęcząc na podłodze, podpierając się rękami, sam w ciemnej kuchni.

W końcu przestał i starał się opanować. Czuł, jak drżą mu ręce i ramiona. Głowa bolała go od uderzenia, ale krew przestała chyba płynąć z rany. To był dobry znak. Gardło miał suche i obolałe od wrzasku i to przypomniało mu o piwie imbirowym.

Znów zaczął się czołgać i bez przeszkód znalazł lodówkę. Otworzył ją (idiotycznie spodziewając się, że w ciemności zabłyśnie słabe, białe światło) i macał w zimnym mroku, aż znalazł puszkę z kółkiem na górze. Otworzył ją i wypił połowę zawartości jednym łykiem. Jego gardło pobłogosławiło go za to.

Nagle przyszła mu do głowy myśl, która ścisnęła mu krtań. „Wszystko płonie – powiedział mu jego mózg z fałszywym spokojem. – To dlatego nikt nie przyszedł, żeby cię stąd wyciągnąć. Teraz... jesteś zbędny”.

Ta myśl spowodowała wybuch klaustrofobicznego przerażenia, przekraczający granice paniki. Andy po prostu oparł się o lodówkę. Ściągnięte wargi odsłoniły wyszczerzone w grymasie przerażenia zęby. W nogach poczuł słabość. Przez chwilę wyobraził sobie, że czuje dym, przez jego ciało przepłynęła fala gorąca. Puszka wypadła mu z dłoni i piwo wylało się na podłogę, mocząc mu spodnie.

Andy siedział w mokrej plamie i jęczał.

John Rainbird pomyślał później, że sprawy nie mogłyby ułożyć się lepiej, nawet gdyby je zaplanowali... i gdyby ci wszyscy śmieszni psychologowie warci byli choćby funta kłaków, toby to zaplanowali. Ale złożyło się tak, że tylko łut szczęścia, który spowodował, że burza wybuchła wtedy, kiedy wybuchła, pozwolił mu w końcu wbić dłuto w szparę stalowego pancerza Charlie McGee. Szczęście i jego własna, genialna intuicja.

Wszedł do mieszkania Charlie o wpół do czwartej, niemal dokładnie w chwili, w której rozpętała się burza. Popychał przed sobą wózek nieróżniący się niczym od tego, który w hotelach i motelach pchają przed sobą pokojówki, przechodząc z pokoju do pokoju. Na wózku leżały czyste prześcieradła i powłoczki, płyn do czyszczenia mebli i szampon do dywanów na wypadek plam. Miał także wiadro do umycia podłogi i ścierkę. Do wózka przyczepiony był elektroluks.

Charlie siedziała na podłodze naprzeciw kanapy, ubrana tylko w niebieski trykot. Nogi miała skrzyżowane w pozycji lotosu. Siadywała w ten sposób bardzo często. Ktoś z zewnątrz mógłby sądzić, że jest na haju, ale Rainbird wiedział lepiej. Ciągłe dostawała lekarstwa, ale w dawkach, które sprowadzały je do roli placebo. Wszyscy psychologowie doszli do rozczarowującego wniosku, że wiedziała, co mówi, kiedy obiecywała, że już nigdy nie roznieci ognia. Pierwotnie zamierzano powstrzymać ją za pomocą leków przed wypaleniem sobie drogi na zewnątrz, ale teraz można już było mieć pewność, że nie zrobi tego... ani w ogóle niczego.

– Cześć, mała – powiedział Rainbird i odczepił elektroluks.

Charlie spojrzała na niego, ale nie odpowiedziała. Rainbird włączył elektroluks, a kiedy zaczął sprzątać, Charlie wstała z wdziękiem i poszła do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi.

Rainbird nadal czyścił dywan. Nie miał żadnego planu. W tym przypadku musiał szukać małych znaków i sygnałów, znajdować je i kierować się nimi. Podziw, jaki żywił dla dziewczynki, trwał niezmienny. Jej ojciec przekształcał się w tłustą apatyczną galaretę; psychologowie mieli na to własne nazwy: „szok zależności”, „utrata tożsamości”, „psychiczna ucieczka” i „łagodna dysfunkcja” – ale wszystko sprowadzało się do tego, że się poddał i teraz można go wykreślić z równania. Dziewczynka tego nie zrobiła. Po prostu się ukryła. A Rainbird nigdy

nie czuł się tak bardzo Indianinem jak wtedy, kiedy był w towarzystwie Charlie McGee.

Sprzątał i czekał, kiedy Charlie wyjdzie z łazienki – jeśli wyjdzie. Myślał, że teraz wychodzi z łazienki jakby częściej.

Najpierw zawsze chowała się tam, aż skończył. Teraz wychodziła czasami i przyglądała mu się. Może wyjdzie i dziś. A może nie. Będzie czekał. I szukał znaków.

7

Charlie siedziała w łazience przy zamkniętych drzwiach. Zamknęłaby je na klucz, gdyby tylko mogła. Nim służący przyszedł posprzątać jej mieszkanie, robiła proste ćwiczenia, które znalazła w książce. Sprzątacze przychodził, żeby posprzątać. Siedziała na zimnej desce. Białe światło jarzeniówek otaczających lustro w łazience czyniło wszystko zimnym i zbyt jasnym.

Najpierw miała „opiekunkę”, mniej więcej czterdziestopięcioletnią. Ta kobieta miała być „macierzyńska”, ale „macierzyńska opiekunka” miała twarde, zielone oczy z małymi plamkami. Te plamki były jak lód. To byli ludzie, którzy zabili jej prawdziwą matkę; a teraz chcieli, żeby mieszkała z „macierzyńską opiekunką”. Charlie powiedziała im, że nie chce „macierzyńskiej opiekunki”. Uśmiechnęli się. Wtedy przestała mówić i nie powiedziała ani słowa, póki jej „macierzyńska opiekunka” się nie wyniosła, zabierając ze sobą te swoje zielone, lodowate oczy. Charlie zawarła umowę z Hockstetterem: odpowie na jego pytania, ale tylko jego, jeśli wyrzuci „macierzyńską opiekunkę”. Jedynym człowiekiem, którego towarzystwa pragnęła, był jej ojciec, i jeśli nie mogła mieć jego, nie chce nikogo.

Charlie czuła, że pod wieloma względami ostatnich pięć miesięcy (powiedzieli jej, że minęło pięć miesięcy, straciła poczucie czasu) było snem. Nie miała sposobu, by jakoś oznaczyć czas, twarze pojawiały się i znikaly; nie towarzyszyły im żadne wspomnienia, niepowiązane z niczym unosiły się w powietrzu jak balony, a jedzenie nie miało żadnego szczególnego smaku. Charlie sama czuła się czasami jak balon. Czuła się, jakby wlatywała w powietrze. Ale, jej rozum tłumaczył to z całkowitą pewnością, to było fair. Była morderczynią. Złamała najważniejsze z dziesięciorga przykazań i na pewno pójdzie do piekła.

Myślała o tym w nocy, przy przygaszonych światłach; samo mieszkanie wyglądało wtedy jak sen. Widziała wszystko. Mężczyzn na ganku, otoczonych koroną płomieni. Wylatujące w powietrze samochody. Płonące kury. Zapach spalenizny, który był zawsze zapachem tłęcej się gąbki, zapachem jej pluszowego miśka.

I ona to lubiła.

To było to. To był problem. Im częściej to robiła, tym bardziej to lubiła; im częściej to robiła, tym lepiej czuła moc, żywą istotę, coraz potężniejszą. Była jak piramida stojąca na wierzchołku; im częściej to robisz, tym trudniej jest skończyć.

Postanowiła jednak nie robić tego nigdy więcej. Umrze tu, nim zrobi to jeszcze raz. Myśl o śmierci we śnie nie była wcale straszna.

Jedyne dwie twarze, które nie były oderwane od wszystkiego, to twarz Hockstettera i tego służącego, który codziennie przychodził sprzątać mieszkanie. Charlie zapytała go raz, dlaczego przychodzi codziennie, skoro ona wcale nie bałagani.

John – tak miał na imię sprzątac – wyciągnął wygnieciony, stary notatnik z tylnej kieszeni spodni i tanie pióro z kieszeni fartucha na piersi.

Powiedział: „Taką mam robotę, mała”, a w notatniku napisał: „Bo to przecież banda gówniarzy, nie?”

Charlie niemal zachichotała, ale zdążyła się powstrzymać, myśląc o mężczyznach otoczonych płomieniami, mężczyznach śmierdzących jak tłęcy się pluszowy miś. Śmiech byłby niebezpieczny. Więc po prostu udała, że nie widzi notatki albo jej nie rozumie.

Twarz służącego była jedną raną. Nosił opaskę na oku. Żałowała go i kiedyś omal nie zapytała, co się stało, czy miał może wypadek samochodowy lub coś takiego, ale to byłoby nawet bardziej niebezpieczne niż chichotanie z tego, co napisał. Nie wiedziała dlaczego, ale czuła to każdym nerwem. Okropnie było patrzeć na tę jego twarz, ale sam służący wydawał się całkiem miły, a jego twarz wcale nie wyglądała gorzej niż twarz małego Chuckiego Eberharda z Harrison. Pewnego dnia mama Chuckiego smażyła ziemniaki i Chuckie ściągnął patelnię z rozgrzanym tłuszczem z kuchenki, oblał się cały i omal nie umarł. Miał wtedy trzy latka. Potem niektóre dzieciaki nazywały go Chuckie

Hamburger lub Chuckie Frankenstein i wtedy Chuckie płakał. To było nieładnie. Inne dzieciaki chyba nie rozumiały, że coś takiego może się zdarzyć każdemu. Kiedy masz trzy lata, głowa nie pracuje ci najlepiej.

Twarz Johna była cała pokiereszowana, ale Charlie się tego nie bała. Bała się twarzy Hockstettera, a jego twarz – z wyjątkiem oczu – była tak przeciętna jak każda. Jego oczy były nawet gorsze niż oczy „macierzyńskiej opiekunki”. Używał ich tylko po to, żeby coś z ciebie wyciągnąć. Hockstetter chciał, żeby rozniecała ogień. Ciągłe ją o to prosił. Zabierał ją do pokoju i czasami były tam pogniecione kawałki gazety, a czasami małe szklane naczynia wypełnione olejem, a czasami inne rzeczy. Ale mimo wszystkich jego pytań i całej fałszywej sympatii sprowadzało się to zawsze do jednego: Charlie, zapal to.

Bała się Hockstettera. Czowała, że ma różne... różne... sposoby, którymi może ją zmusić, żeby roznieciła ogień. Ale ona przyrzekła sobie, że nie będzie. Tylko bała się, że jednak będzie. Hockstetter użyje wszystkiego. On nie grał czysto i pewnej nocy miała sen, a w tym śnie podpaliła Hockstettera, i obudziła się z rękami w ustach, próbując stłumić krzyk.

Pewnego dnia, pragnąc opóźnić nieuniknione żądanie, zapytała, kiedy mogłaby zobaczyć ojca. Myślała o tym często, ale nie pytała, ponieważ wiedziała, jaka będzie odpowiedź. Ale tego dnia czuła się bardzo zmęczona i pozbawiona ducha, i to pytanie po prostu się jej wymknęło.

– Charlie, sądzę, że znasz odpowiedź – powiedział jej Hockstetter. Wskazał na stojący w małym pokoju stół. Na stoliku stała stalowa taca wypełniona skręconymi drewnianymi wiórkami. – Jeśli je zapalisz, zaraz zabiorę cię do taty. Możesz go spotkać za dwie minuty. – Pod zimnymi, uważnymi oczami usta Hockstettera rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, mówiącym „jesteśmy przyjaciółmi”. – I co na to powiesz?

– Daj mi zapalną – odparła Charlie, czując, że może się rozpłakać – i zapalę to.

– Możesz je zapalić, po prostu o tym myśląc. Przecież wiesz.

– Nie. Nie mogę. A nawet gdybym mogła, nie zapalę. To źle.

Hockstetter przyjrzał się jej smutno, a jego przyjacielski uśmiech zbladł.

– Charlie, czemu się tak krzywdzisz? Nie chcesz zobaczyć tatusia? On chce cię zobaczyć. Prosił mnie, żebym ci powiedział, że to w porządku.

I wtedy rozpląkała się, płakała ciężko i długo, ponieważ chciała go zobaczyć; każdego dnia, w każdej minucie myślała o nim i tęskniła za nim, czekała, by objął ją swymi mocnymi ramionami. Hockstetter patrzył, jak płacze, a w jego twarzy nie było ani sympatii, ani smutku, ani ciepła. Było w niej za to ostrożne wyrachowanie. Och, jakże go nienawidziła.

Zdarzyło się to trzy tygodnie temu. Od tej pory uparcie nie wspominała o ojcu, chociaż Hockstetter bezustannie wracał do tematu, opowiadając Charlie, że jej ojciec jest smutny, że powiedział, iż to dobrze rozniecać ogień i, co najgorsze, że jej ojciec powiedział Hockstetterowi, iż przypuszcza, że Charlie już go nie kocha.

Spojrzała na swą bladą twarz odbitą w łazienkowym lustrze i słuchała równego szumu elektroluksu Johna. Kiedy skończy sprzątać, pościeli jej łóżko. Potem odkurzy. Później odejdzie. Nagle zorientowała się, że wcale nie chce, żeby odszedł, że chce go słuchać.

Najpierw zawsze chodziła do łazienki i czekała tam, żeby sobie poszedł. Kiedyś John wyłączył elektroluks i zapukał do drzwi, pytając ze strachem:

– Mała? Dobrze się czujesz? Nie jesteś chora, prawda?

Głos miał tak miły, a sympatia, prosta sympatia, była tutaj czymś tak rzadkim, że Charlie musiała walczyć, by odpowiedzieć mu spokojnym, równym głosem:

– Tak... czuję się dobrze.

Znów omal się nie rozpląkała.

Czekała, zastanawiając się, czy John posunie się dalej, czy spróbuje dobrać się do niej jak wszyscy inni, ale on po prostu odszedł i wrócił do sprzątanania. Charlie poczuła się jakoś rozczarowana.

Innym razem, kiedy wyszła z łazienki, mył akurat podłogę i nie podnosząc głowy, powiedział:

– Uważaj, mała, podłoga jest mokra. Chyba nie chcesz złamać ręki.

To wszystko, ale jeszcze raz poczuła zaskoczenie i w oczach łzy – w jego głosie była troska, tak prosta i zwykła, że aż pod-

świadoma.

Ostatnio coraz częściej wychodziła z łazienki i przyglądała mu się. Przyglądała... i słuchała. Czasami pytał ją o coś, ale nie były to nigdy groźne pytania. Mimo to na ogół nie odpowiadała, po prostu dla zasady. Johna to nie zniechęcało. I tak do niej mówił. Mówił o grze w kręgle, o swoim psie, o tym, jak zepsuł mu się telewizor i że będzie go mógł naprawić dopiero za kilka tygodni, bo te małe lampy są takie drogie.

Przypuszczała, że jest samotny. Z taką twarzą nie miał pewnie żony ani nikogo. Lubiała go słuchać, bo to było jak sekretne wyjście z więzienia. Głos miał niski, melodyjny, czasami mówił od rzeczy. Nie przemawiał nigdy ostro, pytając jak Hockstetter. I najwyraźniej nie oczekiwał odpowiedzi.

Charlie wstała z toalety, podeszła do drzwi i właśnie wtedy zgasło światło. Znieruchomiała zaskoczona, trzymając rękę na klamce i pochylając głowę. Natychmiast przyszło jej do głowy, że to jakiś trik. Usłyszała cichnący szum elektroluksu Johna i jego głos:

– Chryste, a to co?

Światło zapaliło się nagle. Ale Charlie nie wychodziła. Elektroluks zaszumił. Ktoś podszedł do drzwi i John zapytał:

– Czy u ciebie też na moment zgasło światło?

– Tak.

– To chyba burza.

– Jaka burza?

– Kiedy wychodziłem do pracy, zbierało się na burzę. Ciemne chmury.

Zbierało się na burzę. Na zewnątrz. Żałowała, że nie może wyjść na zewnątrz i popatrzeć na ciemne chmury. Poczuć ten szczególny zapach powietrza przed letnią burzą. Zapach deszczu, wilgoci. Wspaniały wi...

Światło zgasło znowu.

Elektroluks ucichł. Zapanowała absolutna ciemność. Jedy-
nym jej kontaktem ze światem był dotyk, czuła pod palcami wy-
ślizganą, chromowaną klamkę. Charlie z namysłem uderzała ję-
zykiem w górną wargę.

– Mała?

Nie odpowiedziała. Trik? Powiedział: burza. I uwierzyła. Wierzyła Johnowi. Zaskoczyło ją i przestraszyło, że po tym

wszystkim jeszcze komuś wierzy.

– Mała? – to znowu John. Tym razem w jego głosie był... strach.

Jej własny strach przed ciemnością, który zaczął się dopiero wyłaniać, wysublimował się w jego strachu.

– John? O co chodzi? – Otworzyła drzwi i wyciągnęła przed siebie rękę. Nie wychodziła, jeszcze nie. Bała się, że potknie się o elektroluks.

– Co się stało? – W głosie Johna była panika i to jeszcze bardziej przestraszyło Charlie. – Co ze światłem?

– Zgasło. Mówiłeś... burza...

– Nie znoszę ciemności. – Głos Johna nabrzmiał przerażeniem i jakąś groteskową prośbą o wybaczenie. – Nie rozumiesz. Nie mogę... Nie mogę wyjść... – Usłyszała, jak John rzuca się nagle przez pokój, a później rozległ się głośny, okropny trzask; przewrócił się o coś, najprawdopodobniej o stół. Krzyknął rozpaczliwie i to przeraziło ją jeszcze bardziej.

– John? John! Nic ci się nie stało?!

– Chcę wyjść! – wrzasnął John. – Zrób coś, mała!

– O co chodzi?

Nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Po chwili Charlie usłyszała niski, zdławiony jęk i zrozumiała, że on płacze.

– Ratunku – powiedział nagle, a Charlie, stojąc w drzwiach łazienki, próbowała podjąć jakąś decyzję. Część z jej strachu rozplynęła się już w sympatii, ale w części nadal wątpiła, mocno, jasno. – Ratunku. Och, niech mi ktoś pomoże – powiedział John cicho, tak cicho, jakby nie spodziewał się, że ktoś go usłyszy lub zrozumie. I to zdecydowało. Charlie powoli poszła przez pokój w jego kierunku, trzymając przed sobą wyprostowane ręce.

8

Rainbird usłyszał, jak podchodzi, i w ciemności nie mógł powstrzymać uśmiechu; twardego, pozbawionego humoru uśmiechu, który zakrył dłonią na wypadek, gdyby światło włączyło się dokładnie w tej chwili.

– John?

Poprzez ten uśmiech odpowiedział jej głosem pełnym straszliwego cierpienia:

– Przepraszam, mała. To... to tylko ciemność. Nie znoszę ciemności. Jest jak w miejscu, w które mnie wsadzili, kiedy zostałem złapany.

– Kto cię wsadził?

– Wietkong.

Charlie podeszła bliżej. Rainbird przestał się uśmiechać i zaczął wchodzić w rolę. Przerażony. Jesteś przerażony, bo Wietkong wsadził cię w dziurę w ziemi po tym, jak ich mina rozwaliła ci twarz... trzymali cię tam... a teraz potrzebujesz przyjaciela.

Ta rola była w jakiś sposób naturalna. Musiał tylko sprawić, by dziewczynka uwierzyła, że jego wielkie podniecenie spowodowane tą nieoczekiwaną szansą jest wielkim strachem. Oczywiście, czuł strach. Bał się, że zmarnuje tę wielką szansę. Strzał z drzewa i trafienie dziewczynki strzałką nasyoną orazyną to przy tym dziecinada. Intuicja Charlie była śmiertelnie wyostrzona. Z ciała spływał mu strumieniami nerwowy pot.

– Co to jest Wietkong? – spytała Charlie, teraz już bardzo bliska. Jej ręka przesunęła się obok jego twarzy; Rainbird złapał ją. Dziewczynka drgnęła nerwowo.

– Hej, nie bój się. To tylko...

– Ty... boli. Ściskasz mnie.

To był dokładnie właściwy ton. Ona też była przestraszona – bała się ciemności i bała się jego... ale także bała się o niego. Chciał, by czuła, że uczepił się jej człowiek, który tonie.

– Przepraszam, mała. – Rainbird rozluźnił uchwyt, ale nie puścił jej ręki. – Czy... tylko, czy mogłabyś usiąść koło mnie?

– Oczywiście. – Drgnął, słysząc cichy stuk, gdy siadała na podłodze. Na zewnątrz, daleko, ktoś krzyknął coś do kogoś.

– Wypuście nas! – wrzasnęła natychmiast Rainbird.

– Wypuście nas! Hej, ludzie, wypuście nas!

– Przestań. – Charlie była zaniepokojona. – Przecież nam nic się nie... to znaczy, czy stało się coś złego?

Mózg Rainbirda – szybka, finezyjna maszyna – pracował na najwyższych obrotach, pisał scenariusz, zawsze kilka kwestii naprzód, wystarczająco, by czuć się bezpiecznie, niewystarczająco, by zniszczyć wrażenie spontaniczności. Przed wszystkim myślał o tym, ile ma czasu, nim włączy się światło. Ostrzegał

sam siebie, by nie spodziewać się za wiele. Wbił dłuto w sejf. Wszystko inne to tylko premia.

– Nie, chyba nie. To tylko ciemność, nic więcej. Nie mam nawet głównianej zapalniczki czy... o rany, mała, przepraszam. Tak mi się wyrwało.

– Nie szkodzi. Tata czasami mówi to słowo. Kiedyś, w garażu, naprawiał mój wózek, uderzył się młotkiem w palec i powiedział je parę razy. Kiedy indziej też. – Była to bez wątpienia najdłuższa przemowa, jaką Charlie wygłosiła w jego obecności. – Pewnie zaraz przyjdą i wyciągną nas stąd?

– Nie mogą, póki nie będzie światła – powiedział Rainbird, pozornie zrozpaczony, w środku zachwycony. – Te drzwi, mała, one mają elektryczne zamki. Zrobione tak, żeby blokowały się, kiedy nie ma prądu. Trzymają cię w piep... no, w więziennej celi, mała. Wygląda jak fajne, małe mieszkanko, ale równie dobrze mogłabyś być w więzieniu.

– Wiem – powiedziała cicho Charlie. Ciągle trzymał ją mocno za rękę, ale teraz najwyraźniej wcale jej to nie przeszkadzało. – Tylko nie powinienes tego mówić. Myślę, że oni słuchają.

„Oni”! – pomyślał Rainbird i poczuł przeszywającą go gorącą radość. Zdawał sobie słabo sprawę, że od dziesięciu lat nie doznawał tak intensywnej emocji. „Oni”! Charlie mówi „oni”!

Czuł, jak dłuto wbija się głębiej w stalowy sejf, którym była Charlie McGee, i nieświadomie mocniej ścisnął jej rękę.

– Auuu!

– Przepraszam, mała – powiedział i zwolnił uścisk. – Cholerne dobrze wiem, że słuchają. Ale teraz, bez prądu, nie mogą słuchać. Och, mała, ja tego nie zniosę, ja muszę stąd wyjść! – Zaczął drzeć.

– Co to jest Wietkong?

– Nie wiesz?... Nie, chyba jesteś za mała. To była wojna, mała. Wojna w Wietnamie. Wietkong to byli ci źli. Nosili czarne piżamy. W dżungli. Słyszałaś o wojnie w Wietnamie, nie?

Słyszała o niej... niewiele.

– Byliśmy na patrolu i wleźliśmy w pułapkę – mówił.

Mówił prawdę, ale od tej chwili prawda i John Rainbird powiedzieli sobie „do widzenia”. Nie było sensu mówić jej, że wszyscy byli zaprawieni, większość świń na wielkim hajku od kambodżańskiej czerwonej, a ich porucznik z West Point, które-

go tylko krok dzielił od granicy między krainą normalnych i szaleńców, żuł peyotl, gdy tylko wychodzili na patrol. Rainbird widział, jak ten szaleniec zastrzelił kiedyś z pistoletu maszynowego kobietę w ciąży i jej sześciomiesięczny płód wypadł, roztrzaskany, z rozprutego brzucha; to – powiedział im wariat – jest aborcja w stylu West Point. Więc tak było, wracali do bazy i rzeczywiście wpadli w zasadzkę, tylko że to była zasadzka przygotowana przez ich ludzi, jeszcze bardziej zaprawionych, i czterech żołnierzy rozwalilo na miejscu. Nie widział powodu, by mówić Charlie to wszystko i to, że pocisk, który rozwalił mu pół twarzy, został wyprodukowany w fabryce w Maryland.

– Wydostało się tylko sześciu z nas. Biegliśmy. Biegliśmy przez dżunglę i chyba pobiegłem w złym kierunku. – Zły kierunek? Dobry kierunek? W tej wariackiej wojnie nikt nie wiedział, który kierunek jest dobry, bo tam nie było żadnych prawdziwych kierunków. – Oddzieliłem się od moich ludzi.

Jeszcze próbowałem znaleźć coś znajomego, kiedy wlałem na minę. Dlatego mam taką twarz.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Charlie.

– Kiedy się ocknąłem, byłem w ich rękach – mówił Rainbird, przebywający już daleko w krainie całkowitej fikcji. W rzeczywistości ocknął się w szpitalu w Sajgonie, z igłą kroplówki w ramieniu. – Nie chcieli mi udzielić żadnej pomocy medycznej, niczego takiego... chyba że odpowiem na ich pytania.

Teraz ostrożnie. Jeśli rozegra to ostrożnie, będzie dobrze; czuł to.

Jego głos podniósł się, niepewny i gorzki.

– Pytania, cały czas pytania. Chcieli wiedzieć o ruchach wojsk... dostawy... stanowiska piechoty... wszystko. Nie odpuścili. Pytali cały czas.

– Tak – powiedziała gwałtownie Charlie i Rainbird poczuł, że kamień spadł mu z serca.

– Mówiłem im, że nic nie wiem, że nic im nie mogę powiedzieć, że jestem po prostu zwykłym szeregowcem, nic... tylko plecak na grzbiecie. Nie wierzyli mi. Moja twarz... ból... Padłem na kolana, błagałem o morfinę... powiedzieli: później... kiedy im powiem, dostanę morfinę. Odeślą do dobrego szpitala... kiedy wszystko powiem.

Teraz zaciskała się rączka Charlie. Charlie pomyślała o chłodnych szarych oczach Hockstettera, o Hockstetterze wskazującym wiórki na stalowej tacy. „Myślę, że znasz odpowiedź... jeśli to zapalisz, od razu zabiorę cię do ojca. Możesz z nim być za dwie minuty”. Serce dziewczynki wyrywało się do tego człowieka ze strasznie poranioną twarzą, dorosłego człowieka, który bał się ciemności. Sądziła, że potrafi zrozumieć jego przeżycia. Że zna jego ból. I w ciemności zaczęła płakać cicho, litując się nad nim i w pewien sposób płacząc także nad sobą... wylewając łzy niewylane przez ostatnich pięć miesięcy. Były to łzy wściekłości i gniewu za Johna Rainbirda, ojca, matkę, nią samą. Paliły i nękały.

Nie płakała dostatecznie cicho, by nie usłyszały jej czujne jak radary uszy Johna Rainbirda. Musiał walczyć, by nie uśmiechnąć się jeszcze raz. O tak, dłuto trafiło w dobre miejsce. Trudne czy łatwe, ale zawsze możliwe.

– Zwyczajnie mi nie uwierzyli. W końcu wrzucili mnie do dziury w ziemi; tam zawsze było ciemno. To był mały... pokój, tak byś to chyba nazwała, korzenie sterczały ze ścian... czasami widziałem promień światła, wysoko, trzy metry w górze. Przychodzili... ich dowódca, to chyba był ich dowódca... i pytali, czy już będę gadał. On mówił, że robię się taki biały jak ryba. Że mam infekcję, że dostanę gangreny, że gangrena dostanie mi się do mózgu, który zgnije; że najpierw zwariuję, a później umrę. Pytał, czy chcę wyjść i znów zobaczyć słońce. A ja go prosiłem... błagałem... przysięgałem na imię matki, że nic nie wiem. A oni się śmieli, z powrotem zakładali deski i przykrywali je ziemią. Byłem jak żywcem pogrzebany. Ciemność... jak teraz...

Udał, że się dławi, i Charlie ścisnęła jego rękę, by mu pokazać, że jest tutaj.

– Była tam jama i wąski tunel, długi na dwa metry. Musiałem wpełzać do tunelu, żeby... wiesz. Powietrze śmierdziało i cały czas myślałem, że się tam uduszę, że uduszę się w smrodzie własnego gów.

Rainbird jęknął.

– Nie powinienem mówić o tym dziecku.

– Nic nie szkodzi. Jeśli to ci pomaga, to mów.

Pomyślał i postanowił posunąć się jeszcze odrobinę dalej.

– Siedziałem w tym dole pięć miesięcy, nim mnie wymienili.

– A co jadłeś?

– Wrzucali do dołu zgniły ryż. I czasami pająki. Żywe pająki. Wielkie – chyba z tych, co żyją na drzewach. Polowałem na nie po ciemku, zabijałem i jadłem.

– Och, wstrętne!

– Zmienili mnie w zwierzę – powiedział i ucichł na chwilę, oddychając głośno. – Ty masz lepiej ode mnie, mała, ale w gruncie rzeczy to dokładnie to samo. Szczur w pułapce. Myślisz, że zaraz włączą światło?

Milczała przez długą chwilę i Rainbirda ogarnął zimny strach na myśl o tym, że przedobrzył. Potem Charlie powiedziała:

– To nie ma znaczenia. Jesteśmy razem.

– W porządku.

A później, pośpiesznie:

– Nic nie powiesz, prawda? Mogą mnie wyrzucić za to, co mówiłem. Potrzebuję tej pracy. Jeśli ktoś wygląda jak ja, to potrzebuje dobrej pracy.

– Nie, nie powiem.

Czuł, jak dłuto gładko wchodzi odrobinę głębiej. Teraz łączyła ich jeszcze tajemnica.

Trzymał ją w ramionach.

W ciemnościach myślał, jak to będzie: zacisnąć dłonie na jej szyi. To był oczywiście ostateczny cel, a nie ich głupie testy, ich podwórkowe zabawy. Ona... a później może on sam. Lubił Charlie, naprawdę lubił. Może nawet zaczynał ją kochać. Przyjdzie czas, kiedy wyśle ją tam, cały czas uważnie patrząc jej w oczy. A później, jeśli jej oczy przekażą mu sygnał, którego wypatrywał tak długo, być może pójdzie za nią. Tak. Może razem odejdą w prawdziwą ciemność.

Na zewnątrz, za zamkniętymi drzwiami, przewalały się fale bałaganu, czasami bliskie, czasami bardzo dalekie.

Rainbird w myśli splunął w dłonie i wziął się do Charlie.

9

Andy nie miał zielonego pojęcia, że nie przyszli go wyciągnąć, bo przerwa w dostawie prądu automatycznie blokowała zamki.

Przez jakiś nieokreślony czas siedział, na pół przytomny w panice, pewny, że wybuchł pożar, wyobrażając sobie, że czuje dym. Na dworze minęła burza, blask popołudniowego słońca powoli przechodził w zmierzch.

Całkiem nagle pojawiła mu się w głowie twarz Charlie, tak wyraźna, jakby córka stała tuż przed nim.

Jest w niebezpieczeństwie, Charlie jest w niebezpieczeństwie.

Było to jedno z przeczuć, pierwsze od tego dnia w Tashmore. Myślał, że utracił je razem z pchnięciem, ale tak najwyraźniej nie było, ponieważ nigdy nie miał przecucia jaśniejszego niż to – nawet w dniu, kiedy zabito Vicky.

Czy oznaczało to, że pchnięcie też tam jest? Że wcale nie uciekło, tylko się ukrywa?

Charlie w niebezpieczeństwie!

W jakim niebezpieczeństwie?

Nie wiedział. Ale myśl o niej i strach przywiodły mu przed oczy jasny obraz jej twarzy; w ciemności widział każdy szczegół. A obraz jej twarzy, jej szeroko rozstawionych niebieskich oczu, wijących się jasnych włosów, łączył się ściśle ze wstydem... tylko że wstyd to było za słabe słowo na określenie tego, co czuł; czuł raczej coś jakby grozę. Od czasu gdy zgasło światło, ogarnęła go szalona panika, lecz bał się tylko o siebie. Do głowy mu nawet nie przyszło, że Charlie też siedzi w ciemnościach.

Nie, przyjdą i wyciągną Charlie, pewnie przyszedli i wyciągnęli ją już dawno. Oni chcą tylko Charlie. Dla nich Charlie to dostęp do żłobu.

To miało sens, ale ciągle czuł tę duszną pewność, że grozi jej straszne niebezpieczeństwo.

Strach o Charlie odniósł jeden skutek – zagłuszył jego strach o siebie, a przynajmniej sprowadził go do znośnych wymiarów. Uwaga Andy'ego znów skierowała się na zewnątrz, stał się bardziej obiektywny. Pierwszą rzeczą, którą sobie uświadomił, było to, że siedzi w kałuży piwa imbirowego. Spodnie miał mokre i lepkie; prychnął z obrzydzeniem.

Ruch. Ruch to lekarstwo na strach.

Andy klęknął, przewrócił się na puszcę po piwie i odrzucił ją ze złością. Potoczyła się z brzękiem po kafelkowej podłodze. Z lodówki wyjął drugą puszkę – w ustach ciągle miał sucho. Oderwał blaszkę, wrzucił ją do puszki, a później napił się. Blaszk-

ka z kółkiem próbowała wypłynąć z otworu i Andy odepchnął ją językiem, nie zastanawiając się, że jeszcze całkiem niedawno samo to byłoby wystarczającym powodem do kolejnego piętnastominutowego ataku hysterii i strachu.

Pełzał, próbując wyjść z kuchni; wolną ręką sunął po ścianie. To piętro było już całkowicie spokojne i chociaż w oddali czasami słyszał krzyki, nie było w nich nic nerwowego ani panicznego. Zapach dymu okazał się halucynacją. Powietrze było nieco nieświeże, bo wraz z odcięciem prądu stanęły wentylatory, ale to wszystko.

Zamiast wpełznąć do dużego pokoju, Andy skręcił w lewo i znalazł się w sypialni. Ostrożnie wymacując drogę, dotarł do łóżka, postawił puszkę na stoliku i rozebrał się. Dziesięć minut później miał już na sobie świeże ubranie i czuł się znacznie lepiej. Przyszło mu do głowy, że nie przysporzyło mu to szczególnego kłopotu, podczas gdy po zgaśnięciu światel zwykle przejście przez duży pokój przypominało przejście przez pole minowe.

Charlie... co się dzieje z Charlie?

Ale tak naprawdę wcale nie miał uczucia, że robią jej coś złego, tylko że jest w niebezpieczeństwie i coś się dzieje. Gdyby mógł ją zobaczyć, gdyby mógł ją zapytać...

Roześmiał się gorzko w ciemności. Tak, oczywiście. Gdyby babcia... Równie dobrze może sobie życzyć gwiazdki z nieba. Równie dobrze może...

Przez chwilę nie był w stanie myśleć w ogóle. Później znów myślał – ale już wolniej, bez gorczy.

Równie dobrze może życzyć sobie, by natchnąć biznesmenów pewnością siebie.

Równie dobrze może życzyć sobie, by tłuste kobiety schudły.

Równie dobrze może oślepić osiłków, którzy porwali mu córkę.

Równie dobrze może sobie życzyć, by wróciło pchnięcie.

Jego ręce pracowicie dłubały i skręcały narzutę na łóżku – niemal nieświadoma potrzeba mózgu, bezustannie wymagającego jakichś doznań zmysłowych. Nie było sensu w nadziei, że pchnięcie wróci. Pchnięcie znikło. Równie dobrze może przepchnąć sobie drogę do Charlie, jak grać w drużynie Czerwonych. Pchnięcie znikło.

Czyżby?!

I nagle Andy nie był już tego taki pewny. Jakaś jego część, część głęboko ukryta, sprzeciwiła się jego świadomej decyzji, by pójść po linii najmniejszego oporu i dać im to, czego chcą. Być może ta jego głęboko ukryta część postanowiła się nie poddać.

Siedział, gładząc narzutę; gładząc ją bez najmniejszej przerw.

Czy to prawda, czy tylko pobożne życzenie spowodowane jednym, nagłym przeczuciem, którego nie sposób udowodnić? Samo przeczucie mogło być tak fałszywe jak zapach dymu, który sobie wyobraził; mogło być spowodowane zwykłym niepokojem. Nie miał sposobu, by dowieść słuszności przeczucia, i z pewnością nie było tu nikogo, kogo mógłby pchnąć.

Napił się piwa.

Przypuśćmy, że pchnięcie wróciło. Pchnięcie nie było uniwersalnym lekarstwem na wszystko, on sam wiedział o tym najlepiej. Mógł kilkanaście razy pchnąć lekko lub trzy czy cztery razy mocniej, nim się wykończy. Być może dostałby się do Charlie, ale nie miał nawet najmniejszej szansy, by ich stąd wyciągnąć. Pchając, mógł odnieść jeden sukces – mógł trafić do grobu via wylew krwi do mózgu (kiedy o tym pomyślał, jego palce automatycznie powędrowały do miejsc na twarzy, w których kiedyś stracił czucie).

I była jeszcze kwestia torazyny, którą go tu karmili. Jej brak, opóźnienie dawki, którą miał dostać, kiedy zgasły światła, dołożyło się nieźle do jego paniki, dobrze o tym wiedział. Nawet teraz, znacznie lepiej kontrolując samego siebie, potrzebował pigułki i uczucia spokojnego lotu, które przynosiła. Na początku nie dawali mu torazyny na dwa dni przed testami. Rezultatem była ciągła nerwowość i niewielka depresja, jak ciemne chmury, które wcale nie chciały się rozejść... a przedtem uzależnienie nie było tak poważne jak teraz.

– Przyznaj się, jesteś ćpunem – szepnął.

Nie miał pojęcia, czy jest ćpunem, czy nie. Wiedział, że nałogi mają źródła fizyczne, jak przyzwyczajenie do nikotyny lub heroiny, i że zmieniają funkcjonowanie centralnego systemu nerwowego. Są także nałogi psychiczne. Znał faceta – nazywał się Bill Wallace – który robił się bardzo, ale to bardzo nerwowy, jeśli nie wypił dziennie trzech czy czterech puszek coli; a jego stary

kumpel z uczelni, Quincey, pożerał ziemniaczane prażynki – ale musiały to być szczególne prażynki z Nowej Anglii, które nazywały się Humpty-Dumpty; twierdził, że inne go nie zadowolają. Andy przypuszczał, że kwalifikuje się to jako nałóg psychiczny. Nie wiedział, czy jego przyzwyczajenie do torazyny jest fizyczne czy psychiczne, ale wiedział, że jej potrzebuje, że jej naprawdę potrzebuje. Samo siedzenie i myślenie o niebieskiej pastylce na białym spodku spowodowało, że natychmiast poczuł suchość w ustach. Teraz już nie trzymali go bez pigułki na czterdzieści osiem godzin przed testami; ale czy robili to dlatego, że sądzili, iż nie wytrzyma tyle czasu, nie dostając ataków szału, czy też dlatego, że po prostu markowali testy, Andy nie wiedział.

Rezultatem był okrutnie prosty, nierozwiązywalny dylemat – naładowany torazyną Andy nie mógł pchnąć, a jednak brakowało mu siły woli, by odstawić pastylki (no i oczywiście gdyby złapali go na tym, że je odstawił, otworzyłyby puszkę Pandory pełną ślicznych, wielkich karaluchów, prawda?). Kiedy już wszystko to się skończy i kiedy przyniosą mu niebieską pastylkę na białym spodku, weźmie ją. I powoli dojdzie do stanu spokojnej apatii, w którym się znajdował, kiedy zgasło światło. Wszystko to było tylko takim przerażającym wyjątkiem od reguły. Szybko wróci do oglądania Klubu MDP i filmów z Clintem Eastwoodem na lokalnym kanale i do podbierania przesadnych ilości jedzenia z zawsze dobrze zaopatrzonej lodówki. Znów będzie tył.

Charlie, Charlie w niebezpieczeństwie, Charlie wpadła w morze kłopotów, w świat bólu.

Jeśli tak, nic nie mógł na to poradzić.

A jeśli nawet mógł, jeśli nawet pokona jakoś nałóg i wyciągnie ich stąd – gwiazdka z nieba, czemu nie? – jakakolwiek ostateczna decyzja dotycząca Charlie wcale się przez to nie przybliży.

Leżał na łóżku z szeroko rozłożonymi ramionami. Mały kawałek jego mózgu, zajmujący się wyłącznie sprawą torazyny, pracował już bez przerwy.

W terażniejszości nie mógł znaleźć rozwiązania, więc uciekł w przeszłość. Jak na zwolnionym filmie przesuwają się koszarne obrazy: uciekają z Charlie po Trzeciej Alei; wysoki mężczyzna w pogniecionej sztruksowej marynarce i dziewczynka

w zielonym i czerwonym. Napięta, blada twarzyczka Charlie i łzy płynące po jej policzkach, kiedy zdobyła pieniądze w automatach na lotnisku... zdobyła pieniądze i podpaliła buty jakiegoś żołnierza.

Uciekł nawet w dalszą przeszłość, do interesu, który prowadził w Port City, Pensylwania, i do pani Gurney. Smutnej, grubej pani Gurney, która przysłała do biura „Zrzucamy Wagę” w zielonym spodniemie, przytulając do siebie listowną reklamę, tak naprawdę wymyśloną przez Charlie: „Stracisz na wadze albo przez pół roku będziemy ci kupować jedzenie”.

Pani Gurney, która między 1950 i 1957 rokiem urodziła swemu mężowi pracującemu w firmie transportowej czworo dzieci; a teraz dzieci dorastały i wstydziły się jej, wstydził się jej mąż i spotykał się z inną kobietą, i ona mogła to zrozumieć, bo Stan Gurney w wieku pięćdziesięciu pięciu lat był ciągle przystojny, żywotny, męski, a ona z wolna przybrała na wadze – osiemdziesiąt kilo od czasu, gdy przedostatnie dziecko wyjechało do szkoły; od siedemdziesięciu kilo (tyle ważyła przed ślubem) do okrągłych stu pięćdziesięciu. Kiedy spojrzała w dół, na torebkę, szukając w niej książeczki czekowej, jej trzy podbródki zmieniły się w sześć.

Przyjął ją do grupy z trzema innymi grubymi kobietami. Były ćwiczenia i łagodna dieta; zasady obu Andy poznał w miejskiej bibliotece. Były także spokojne rozmowy, które na rachunkach nazywały się „poradami” – a od czasu do czasu średnie pchnięcie.

Pani Gurney zeszła ze stu pięćdziesięciu kilogramów do stu czterdziestu, potem do stu trzydziestu pięciu, mówiąc ze strachem i zachwytem jednocześnie, że już nie bierze sobie drugiej dokładki. Druga dokładka już jej jakoś nie smakuje. Przedtem zawsze trzymała w lodówce miski przekąsek (i pączki w szafce, i dwa lub trzy wielkie kawałki sernika w zamrażarce) na nocne oglądanie telewizji, ale teraz jakoś... no, to brzmi prawie głupio... ale jakby zapominała, że je ma. A zawsze słyszała, że przy dziecię jedyłą rzeczą, o której potrafisz myśleć, jest jedzenie. Z pewnością inaczej było, kiedy próbowała poprzednio.

Trzy pozostałe kobiety zareagowały podobnie radośnie. Andy po prostu stał z boku i przyglądał się im, pełen ojcowskich uczuć. Wszystkie cztery kobiety były zdumione i zachwycone

wspólnotą ich doświadczenia. Proste ćwiczenia fizyczne, przedtem nudne i przykre, teraz wydawały się całkiem przyjemne. I była jeszcze ta dziwna chęć do spaceru. Wszystkie kobiety zgodnie potwierdzały, że jeśli pod wieczór nie odbyły długiego spaceru, czuły się jakoś niedobrze i niespokojnie. Pani Gurney opowiedziała, że nabrała zwyczaju spacerowania codziennie do śródmieścia i z powrotem, chociaż musiała przejść prawie cztery kilometry. Kiedyś zawsze jeździła autobusem, co z pewnością miało sens, skoro przystanek znajdował się tuż przed ich domem.

Ale pewnego dnia, kiedy wsiadła do autobusu, bo mięśnie pośladków aż tak ją bolały, poczuła się niepewnie i niespokojnie; wysiadła na następnym przystanku. Inne kobiety zgodziły się z nią. I wszystkie błogosławiły Andy'ego McGee, mimo bólu mięśni i wszystkiego innego.

Podczas trzeciego ważenia pani Gurney strzałka wskazała już sto dwadzieścia pięć kilogramów, a kiedy skończył się sześciotygodniowy kurs, sto siedemnaście. Kobieta mówiła Andy'emu, że jej mąż jest bardzo zaskoczony tym, co się zdarzyło, dobrze bowiem pamiętał kończące się fiaskiem poprzednie próby rozmaitych sesji i diet. Chciał, żeby poszła do doktora; bał się, że może mieć raka. Nie wierzył, że można stracić trzydzieści trzy kilogramy w sześć tygodni wyłącznie tradycyjnymi sposobami. Pokazała mu palce, czerwone i pokryte odciskami od szycia i zwięzania ubrań. A później objęła go (niemal łamiąc mu kark) i rozplakała mu się na szyi.

Jego uczennice na ogół wracały, tak jak jego co lepsi studenci wracali przynajmniej raz; niektórzy po to, by podziękować, niektórzy po prostu, by zaimponować odniesionym sukcesem – powiedzmy, by pokazać: „Popatrz, uczeń przerósł mistrza”... co zdarza się o wiele częściej, niż się najwyraźniej spodziewali, myślał czasami Andy.

Ale pani Gurney należała do tej pierwszej grupy. Wróciła, by powiedzieć „cześć” i „dziękuję”, i inne rzeczy zaledwie dziesięć dni przedtem, nim Andy poczuł się zdenerwowany i obserwowany w Port City. A przed końcem miesiąca wyjechali do Nowego Jorku.

Pani Gurney ciągle była potężną kobietą; zauważało się wielką zmianę, tylko jeśli znało się ją przedtem – jak na tych rekla-

mach, na których pokazują „przedtem” i „potem”. Kiedy wpadła po raz ostatni, ważyła dziewięćdziesiąt pięć kilogramów. Ale, oczywiście, nie chodziło tu o wagę. Chodziło o to, że chudła cały czas, równomiernie, trzy kilogramy na tydzień, plus minus pół kilograma czy kilogram, i będzie traciła na wadze w coraz mniejszych dawkach, aż osiągnie siedemdziesiąt pięć kilogramów, plus minus pięć kilogramów. Nie będzie gwałtownej dekompresji, nie będzie długiego kaca strachu przed jedzeniem; tego, co prowadziło czasami do *anorexia nervosa*. Andy chciał zarobić trochę pieniędzy, ale nie chciał nikogo zabić, zarabiając je.

– Za robienie tego, co pan robi, powinni ogłosić pana skarbem narodowym – stwierdziła pani Gurney, opowiedziawszy Andy’emu, że pogodziła się z dziećmi i że jej stosunki z mężem są coraz lepsze. Andy uśmiechnął się i podziękował jej, lecz teraz, leżąc w swym łóżku, w ciemności, coraz bardziej senny, pomyślał, że niemal to właśnie zdarzyło się z nim i Charlie: zostali uznani za skarb narodowy.

Lecz... jego dar nie był przecież taki zły. Nie wtedy, gdy pomagał pani Gurney.

Andy uśmiechnął się lekko.

I uśmiechnięty zasnął.

10

Nigdy nie mógł przypomnieć sobie szczegółów snu, który śnił w ciemności. Szukał czegoś. Znajdował się w splątanych jak labirynt korytarzach oświetlonych wyłącznie czerwonymi światłami awaryjnymi. Otwierał drzwi do pustych pokoi i znowu je zamykał. Niektóre z pokoi zaśmiecone były kulkami pogniecionego papieru, a w jednym leżała przewrócona lampa stołowa i na podłodze obraz w stylu Wyetha. Wydawało mu się, że jest w jakimś urzędzie, który został zamknięty i opuszczony w straszliwym pośpiechu.

Lecz w końcu znalazł to, czego szukał. Znalazł... co?

Pudełko? Kasetkę? Czymkolwiek to było, było straszliwie ciężkie i ozdobione wymalowaną czaszką ze skrzyżowanymi piszczelami, jak słoik z trutką na szczury trzymany na najwyższej półce w piwnicy. A jednak mimo wagi (a ważyło to co naj-

mniej tyle, ile pani Gurney) zdołał to podnieść. Czuł, jak naprężają mu się mięśnie i ścięgna, lecz nie towarzyszył temu ból.

Oczywiście, że nie czuję bólu, powiedział sam do siebie. Nie czuję bólu, bo śnię. Zapłacę za to później. Później będzie bolało.

Wyniósł pudełko z pokoju; istniało miejsce, w które miał je zanieść, ale nie wiedział, co to za miejsce i gdzie ono jest...

Będiesz wiedział, gdy nadejdzie właściwy czas, szepnął jego mózg.

Więc niósł pudełko czy kasetkę po niezliczonych korytarzach, a waga przedmiotu napinała mu bezboleśnie mięśnie, sztywniał mu grzbiet i szyja, i chociaż mięśnie go nie bolały, zaczynał czuć ból głowy. *Mózg jest mięśniem*, pouczył go jego mózg i wykład ten zmienił się w piosenkę, w dziecinną piosenkę, dziewczęcą piosenkę przy grze w klasy: *Mózg jest mięśniem mogącym ruszyć świat. Mózg jest mięśniem, mogącym ruszyć...*

I naraz wszystkie drzwi upodobniły się do drzwi wagonów metra, lekko wypukłych, wyposażonych w wielkie okna; wszystkie te drzwi miały zaokrąglone rogi. Poprzez drzwi (jeśli to były drzwi) widział pomieszane sceny. W jednym pokoju doktor Wanless grał na wielkim akordeonie. Wyglądał jak jakiś szalony Lawrence Welk, przed nim stał blaszany kubek pełen ołówków, a na szyi miał obrożę z napisem: NIKT NIE JEST TAK ŚLEPY JAK TEN, CO NIE CHCE WIDZIEĆ. W innym Andy dostrzegł dziewczynkę w białym kaftanie powiewającym w powietrzu, krzyczącą i rzucającą się na ściany; Andy minął te drzwi bardzo szybko.

W następnym pokoju zobaczył Charlie i znów nabrał przekonania, że to jakiś rodzaj snu o piratach: zakopany skarb, jo-ho-ho i tak dalej, bo Charlie najwyraźniej rozmawiała z Długim Johnem Silverem. Ten ktoś miał papugę na ramieniu i oko przyślonięte opaską. Ten ktoś uśmiechał się do Charlie z lizusowskim uśmiechem przyjaźni, który zaniepokoił Andy'ego. Jakby na potwierdzenie tego niepokoju jednooki pirat objął Charlie ramieniem i krzyknął ochryple: „Jeszcze im pokażemy, mała!”

Andy chciał się zatrzymać i pukać do okna, póki nie zwróci na siebie uwagi Charlie; patrzyła na pirata jak zahipnotyzowana. Chciał się upewnić, że ona dostrzeże, co kryje się w tym mężczyźnie, upewnić, że zobaczy, iż nie jest tym, kim się wydaje. Ale nie mógł się zatrzymać. Miał to cholerne

(pudełko? kasetkę)

zanieść

(???)

gdzie? Co, do diabła, miał z nim właściwie zrobić?

Będzie wiedział, kiedy nadejdzie czas.

Przeszedł obok kilkunastu innych pokoi – nie potrafił zapamiętać wszystkiego, co widział – a później znalazł się w długim, ślepy korytarzu, który kończył się gładką ścianą. Ale nie całkiem gładką; w samym środku ściany było coś, wielki, stalowy prostokąt, jak szczelina skrzynki na listy. Napisano na niej: OD-PADKI.

Nagle znalazła się przy nim pani Gurney, smukła, śliczna, zgrabna pani Gurney; nogi miała jakby stworzone, by tańczyć całą noc, tańczyć na tarasie, aż zbledną gwiazdy, a na wschodzie rozbłyśnie słońce jak piękna muzyka. Nigdy byś nie zgadł, pomyślał rozbawiony Andy, że kiedyś pani Gurney ubierała się w namiot.

Próbował podnieść pudełko, lecz nie mógł. Nagle po prostu zrobiło się za ciężkie. I ból głowy nasilił się. Był jak czarny koń, dziki czarny koń o czerwonych oczach, i z rosnącym przerażeniem Andy zorientował się, że ten koń jest na wolności, że jest gdzieś w tych opuszczonych budynkach, że nadbiega ku niemu w galopie, łup, łup, łup...

– Pomogę ci – powiedziała pani Gurney. – Ty pomogłeś mnie, teraz ja pomogę tobie. W końcu to ty jesteś skarbem narodowym, nie ja.

– Wyglądasz tak ładnie – powiedział Andy. Jego głos zdawał się dochodzić z daleka, zza ściany rosnącego bólu.

– Czuję się tak, jakby mnie wypuszczono z więzienia – odparła pani Gurney. – Pomogę ci.

– To dlatego, że głowa tak mnie boli...

– Oczywiście, że boli. Przecież mimo wszystko mózg to mięsień...

Pomogła mu, czy zrobił to sam? Nie pamiętał. Lecz pamiętał, że sądził, iż już rozumie ten sen: pozbywał się pchnięcia, raz na zawsze pozbywał się pchnięcia. Pamiętał, jak przykładął pudełko do krawędzi zsypu i podnosił je, zastanawiając się, jak będzie wyglądało to coś, kiedy z niego wypadnie, ta rzecz, co siedziała w jego głowie od czasu studiów. Ale to nie pchnięcie wypadło; kiedy otworzyło się pudełko, Andy poczuł jednocześnie zdumie-

nie i strach. Do zsypu poleciały pastylki, rzeka niebieskich pastylek, jego pastylek, był przerażony, tak, bał się; mówiąc słowami Granthera McGee: nagle przestraszył się tak, że srał miedziakami.

– Nie! – krzyknął.

– Tak – odpowiedziała stanowczo pani Gurney. – Mózg jest mięśniem mogącym ruszyć świat.

Wtedy zobaczył to jej oczami.

Wydawało mu się, że im więcej pastylek wypada, tym bardziej boli go głowa, a im bardziej boli go głowa, tym ciemniej robi się wokoło, aż nie było światła, aż zapadł całkowity mrok, była to żywa ciemność, gdzieś ktoś przepalił wszystkie bezpieczniki i nie było światła, pudełka, snu; tylko ból głowy i dziki koń o czerwonych oczach nadbiegający, nadbiegający...

Łup, łup, łup...

11

Musiał się obudzić na długo przedtem, nim rzeczywiście zdał sobie sprawę, że się obudził. Absolutny brak światła sprawił, że nie sposób było oddzielić ściśle snu od jawy. Kilka lat temu czytał o eksperymencie, w którym kilkanaście małą przeniesiono w środowisko paralizujące wszystkie ich zmysły. Mały zwariowały. Potrafił zrozumieć dlaczego. Nie miał pojęcia, jak długo spał, nie docierały do niego żadne impulsy z wyjątkiem...

– O Jezu!

Kiedy usiadł, głowę przeszyły mu dwie straszne, lśniące błyskawice bólu. Złapał się za nią rękami i pochylił ją w tył i w przód; powoli, bardzo powoli; ból zmniejszył się i stał się znośniejszy.

Żadnych doświadczeń zmysłowych oprócz tego pieprzonego bólu. Musiałem spać na karku czy jakoś tak, pomyślał Andy.

Musiałem...

Nie. Och, nie! Znał ten ból, znał go aż za dobrze. To ból średnio mocnego pchnięcia... mocniejszego niż te, które dawał grubym kobietom i nieśmiałym biznesmenom, słabszego niż użyte przeciw tym facetom wtedy, na parkingu przy autostradzie.

Gwałtownym gestem Andy przeniósł ręce na twarz i obmacał ją od czoła do brody. Nie było miejsc pozbawionych czucia.

Kiedy się uśmiechnął, podniosły się oba kąciki ust, jak zawsze. Błagał Boga o światło, by móc obejrzeć oczy w łazienkowym lustrze, zobaczyć, czy podbiegły aż nazbyt dobrze znaną krwią...

Pchnięcie? Pchnął?

Śmieszne. Kogo mógł tu pchnąć?

Kogo, z wyjątkiem...

Oddech zatrzymał mu się i powrócił, zwolniony.

Myślał o tym kiedyś, ale nigdy nie spróbował. Sądził, że może to prowadzić do przeładowania obwodu, jak nieskończone ładowanie akumulatora. Bał się spróbować.

Lekarstwo, pomyślał. Nie dostałem lekarstwa i chcę go, bardzo go chcę, bardzo go potrzebuję. Po lekarstwie wszystko będzie dobrze.

Była to tylko myśl. Nie przyszedł po niej głód. Sam pomysł wzięcia torazyny miał tyle emocjonalnej wagi co prośba „podaj masło”. Było zaś faktem, że oprócz straszego bólu głowy czuł się całkiem dobrze. I było także faktem, że miewał znacznie silniejsze bóle głowy – na przykład na lotnisku w Albany. Przy tamtym ten był niewielki.

Pchnąłem siebie, pomyślał Andy w zdumieniu.

Po raz pierwszy potrafił naprawdę zrozumieć, co czuła Charlie, po raz pierwszy bowiem przestraszyła go jego własna zdolność PSI. Po raz pierwszy naprawdę zrozumiał, jak mało pojmuje z tego, czym ten talent jest i czego może dokonać. Dlaczego zdolności znikły? Nie wiedział. Dlaczego wróciły? Także nie wiedział. Czy miało to coś wspólnego z silnym strachem przed ciemnością? Z nagłym uczuciem, że Charlie jest w niebezpieczeństwie (w mózgu pojawił się zamazany obraz jednookiego pirata i znikł, zapomniany), i przygnębiającą nienawiścią do samego siebie za to, jak o niej zapomniał? A może nawet z uderzeniem w głowę, którego doznał, gdy się przewrócił?

Nie wiedział. Wiedział tylko, że pchnął samego siebie.

Mózg to mięsień mogący ruszyć świat.

Nagle przyszło mu do głowy, że zamiast popychać lekko biznesmenów i grube kobiety, mógł się stać jednoosobowym oddziałem odwykowym; ogarnęła go drżąca ekstaza nieoczekiwanego przypuszczenia. Zasnął, myśląc, że talent, który pomógł biednej, grubej pani Gurney, nie może być całkowicie zły. A co

z talentem mogącym wyleczyć wszystkich nieszczęsnych narkomanów w Nowym Jorku? Co z tym, wy nieszczęsne ćpuny?

– Jezu – szepnął Andy. – Czyżbym naprawdę był czysty?

Nie czuł głodu. Torazyna, obraz niebieskiej pigułki na białym spodku; ta myśl była niewątpliwie neutralna.

– Jestem czysty – odpowiedział sobie.

Następne pytanie: czy może zostać czysty?

Zaledwie je sobie zadał, zalała go fala pytań. Czy może odkryć, co dokładnie dzieje się z Charlie? Pchnął się we śnie, jakby zastosował autohipnozę. Czy może pchnąć innych, na jawie? Na przykład obrzydliwie, nieustannie uśmiechniętego Pynchota? Pynchot może wiedzieć, co się dzieje z Charlie. Czy można go zmusić, by gadał? Czy można go zmusić, żeby ją nawet stąd wyprowadził? Czy jest na to jakiś sposób? A jeśli się stąd wydostaną, to co? Żadnych więcej ucieczek, to pewne. To nie jest wyjście. Muszą mieć swoje miejsce pod słońcem.

Po raz pierwszy od miesiący czuł się podniecony, miał nadzieję. Próbował ułamek planu, akceptując, odrzucając, sprawdzając. Po raz pierwszy od miesiący akceptował swe myśli, żył i chciał żyć, był zdolny do akcji. A przede wszystkim miał to: jeśli zdoła skłonić ich, by wierzyli w dwie rzeczy – że jest ciągle na prochach i że ciągle nie może używać dominacji umysłowej – może... może mieć szansę... coś zrobić.

Myślał o tym bez przerwy, kiedy zapaliło się światło. W drugim pokoju telewizor wypluł z siebie niezmiennie „Jezus zatroszczy się o twą duszę, a my o tve konto w banku”.

Oczy. Elektryczne oczy! Znów na ciebie patrzą albo zaraz spojrzą. Nie zapominaj!

Na chwilę wróciło do niego wszystko – czekające go dni i tygodnie udawania; musi udawać, jeśli chce mieć w ogóle jakąś szansę; i niemal całkowita pewność, że w którymś momencie go przyłapią. Pojawiła się depresja... ale nie przyniosła ze sobą pragnienia lekarstwa i to mu pomogło się opanować.

Pomyślał o Charlie i to pomogło mu jeszcze bardziej. Powoli wstał z łóżka i poszedł do dużego pokoju.

– Co się stało?! – krzyknął głośno. – Przestraszyłem się! Gdzie moje lekarstwo?! Niech ktoś przyniesie mi lekarstwo!

Usiadł przed telewizorem, twarz miał ogłupiałą, obwisłą. Ukryty za pustą twarzą mózg – ten miesiąc mogący ruszyć świat

– pracował coraz szybciej.

12

Jak we śnie, który jej ojciec śnił właśnie wtedy, Charlie McGee nigdy nie przypomniała sobie szczegółów swej długiej rozmowy z Johnem Rainbirdem; w pamięci pozostało jej jedynie to, co najważniejsze. Nigdy nie zorientowała się, jak doszło do tego, że opowiedziała mu wszystko o tym, jak się tu dostała; dlaczego mówiła o swej wielkiej tęsknocie za ojcem i wielkim strachu, że jakąś sztuczką zmuszą ją, by znów użyła pirotechniki.

Przyczyną tej spowiedzi z pewnością był częściowo mrok i przekonanie, że oni jej nie słyszą. Częściowo był nią także sam John, który tyle przeszedł i tak rozpaczliwie bał się ciemności i wspomnień, jakie ze sobą niosła – wspomnień o okropnej dziurze, do której wrzuciły go „wietkongi”. Zapytał ją, niemal bez zainteresowania, dlaczego jest zamknięta, i zaczęła mówić, by odwrócić jego uwagę. Ale szybko jej opowieść stała się czymś więcej. Stała się potokiem wylewanych coraz szybciej słów, opisujących wszystko, co do tej pory ukrywała, słów wypowiedzianych tak gorączkowo, że aż wpadały na siebie w kompletnym zamieszaniu. Raz czy dwa rozplakała się, a on obejmował ją niezdarnie. John był taki słodki... pod wieloma względami przypominał jej ojca.

– No, a jeśli się dowiedzą, że wszystko wiesz – powiedziała w końcu Charlie – prawdopodobnie ciebie też zamkną. Nie powinnam ci tego mówić.

– No pewnie, że zamkną – odparł pogodnie John. – Mam uprawnienia klasy „D”, mała. To mnie upoważnia do otwierania butelek z pastą do podłogi i niczego więcej. – Roześmiał się. – Przypuszczam, że wszystko będzie dobrze, jeśli się nie wygadasz.

– Nie wygadam się – przytaknęła Charlie z zapalem. Nie czuła się najpewniej i myślała, że jeśli John się wygada, mogą go użyć na nią jako dźwigni. – Strasznie chce mi się pić. W lodówce jest zimna woda. Chcesz trochę?

– Nie zostawiaj mnie – powiedział natychmiast.

– To chodźmy razem. Trzymajmy się za rękę.

John przemyślał to sobie.

– Dobrze – powiedział w końcu.

Poszli do kuchni, trzymając się mocno za ręce.

– Lepiej nic nie mów, mała. Zwłaszcza o tym. Wielki jak góra Indianin boi się ciemności. Koledzy tak by się śmieli, że musiałbym się stąd wynieść.

– Nie śmieliby się, gdyby wiedzieli...

– Może tak, a może nie. – John zachichotał krótko. – Ale wołałbym, żeby się nigdy nie dowiedzieli. Dzięki Bogu, że tu byłaś, mała.

Wzruszyła się tak, że jej oczy znów wypełniły się łzami, i musiała walczyć, by zachować kontrolę nad sobą. Doszli do lodówki i Charlie wymacała dzbanek. Woda nie była już zimna, ale i tak zwilżała gardło. Czując przypływ niepokoju, Charlie pomyślała, że właściwie nie wie, jak długo rozmawiała z Johnem. Ale opowiedziała mu... wszystko. Nawet to, co zamierzała zachować w tajemnicy, na przykład co się zdarzyło na farmie Mandersów. Ludzie tacy jak Hockstetter wiedzieli, oczywiście, wszystko – ale nimi się nie przejmowała. Przejmowała się Johnem... i jego opinią o niej.

Lecz jemu już wszystko opowiedziała. Zadawał pytania, które docierały jakoś do sedna sprawy... i mówiła, najczęściej z płaczem. A zamiast kolejnych pytań, przesłuchania i nieufności spotkała się z akceptacją i zwykłą sympatią. Zdawało się, że rozumiał piekło, przez które przeszła; być może dlatego, że sam był w piekle.

– Masz wodę – powiedziała.

– Dzięki. – Usłyszała, jak pije, a potem dzbanek wrócił do jej rąk. – Wielkie dzięki.

Odstawiła dzbanek do lodówki.

– Chodźmy do drugiego pokoju – powiedział John. – Ciekawe, czy w ogóle uda się im przywrócić światło? – dodał. Niecierpliwie czekał na powrót elektryczności. Według jego oceny przerwa trwała ponad siedem godzin. Chciał się stąd wydostać i wszystko sobie przemyśleć. Nie to, co mu powiedziała – to wiedział wcześniej – ale jak użyć tego, co mu powiedziała.

– Jestem pewna, że już niedługo.

Dotarli do sofy i usiedli.

– I nic ci nie mówili o twoim staruszku?

– Tylko tyle, że ma się dobrze.

– Założę się, że mógłbym do niego dotrzeć – powiedział Rainbird tak, jakby ta myśl dopiero przyszła mu do głowy.

– Mógłbyś? Naprawdę myślisz, że mógłbyś?

– Mogę się kiedyś zamienić z Herbiem. Zobaczyłbym twojego starego, powiedziałbym mu, że nic ci się nie stało. No, może nie powiedział, przekazał wiadomość albo coś.

– Och, a czy to nie będzie niebezpieczne?

– Może, gdyby to było częściej, mała. Ale coś ci jestem winien. Sprawdzę, co u niego.

Otoczyła go w ciemności ramionami i pocałowała. Rainbird przytulił ją z sympatią. Na swój własny sposób kochał ją, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Teraz należała do niego, a jak przypuszczał, i on należał do niej. Na jakiś czas.

Siedzieli razem, nie rozmawiając wiele, i Charlie drzemała. Nagle John powiedział coś, co obudziło ją tak nagle i tak skutecznie jak wiadro zimnej wody.

– Do diabła, powinnaś im rozniecić te cholerne ognie, jeśli tylko potrafisz.

Charlie wciągnęła oddech, zszokowana, jakby ją nagle uderzył.

– Mówiłam ci. To jak... jak wypuścić z klatki dzikie zwierzę. Obiecałam sobie, że nigdy tego nie zrobię. Ten żołnierz na lotnisku... ci ludzie na farmie... ja ich zabiłam, ja ich spaliłam. – Twarz dziewczynki była rozgrzana, płonąca; znów zbierało się jej na płacz.

– Z tego, co mówiłaś, wyglądało mi to na samoobronę.

– Tak, ale to nie usprawiedliwia...

– Wyglądało mi też na to, że być może uratowałaś życie swego staruszka.

Charlie zamilkła. Ale czuła, jak opada z niej zakłopotanie, zmieszanie i rozpacz. John Rainbird mówił dalej szybko, nie chcąc, by przypomniała sobie, że przy okazji omal nie zabiła ojca.

– A jeśli chodzi o tego Hockstettera, to go tu widziałem. Widywałem takich jak on w czasie wojny. Każdy z nich to jednodniowy ósmy cud świata... taki Król Gówna z Góry Gnoju. Jeśli nie wyciągnie z ciebie tego, czego chce, jednym sposobem, użyje innego.

– Tego najbardziej się boję – powiedziała Charlie cicho.

– A poza tym to facet, któremu warto byłoby podpalić pięty.

Charlie była zszokowana, ale zaczęła chichotać – głośniej, jak z nieprzyzwoitego dowcipu, że niby to brzydko opowiadać takie dowcipy. Kiedy przestała chichotać, powiedziała:

– Nie, nie będę rozniecać ognia. Obiecałam sobie. To źle i nie będę.

Dość. Pora się powstrzymać. Intuicja podpowiadała mu, że może posuwać się dalej, ale czuł także, że intuicja może go zawieść. Był zmęczony. Praca nad dziewczynką była nie mniej męcząca niż praca nad jednym z sejfów Rammadena. Za łatwo było brnąć dalej i popełnić błąd, którego nigdy nie dałoby się naprawić.

– No tak, jasne. Pewnie masz rację.

– Naprawdę zobaczysz się z tatą?

– Spróbuję, mała.

– Przykro mi, że zamknęli cię tu ze mną, John. Ale też jestem strasznie zadowolona.

– Jasne.

Rozmawiali o rzeczach bez znaczenia i Charlie położyła mu głowę na ramieniu. Czuł, że znowu się zdrzemnęła – było już bardzo późno – i kiedy czterdzieści minut później zapaliły się światła, mocno spała. Światło sprawiło, że poruszyła się i odwróciła głowę. Z namysłem przyjrzał się delikatnej, giętkiej łodydze jej szyi, łagodnej krzywiznie czaszki. Tyle mocy w tej małej, kruchej kolebce z kości. Czy to może być prawda? Jego mózg ciągle ją odrzucał, ale sercem czuł, że to prawda. Było to dziwne, lecz jakoś wspaniałe uczucie – być tak podzielonym. W sercu czuł, że to prawda w stopniu, w którym nigdy by w to nie uwierzyli; być może w stopniu, o którym bełkotał Wanless.

Wziął dziewczynkę na ręce, zaniósł ją do łóżka i wsunął pod kołdrę. Kiedy przykrywał ją pod brodę, Charlie prawie się obudziła.

Pod wpływem impulsu pochylił się i pocałował ją.

– Dobranoc, mała – powiedział.

– Dobranoc, tato – odpowiedziała stłumionym, sennym głosem.

Przewróciła się na bok i zasnęła.

Patrzył na nią jeszcze kilka minut, a później wrócił do dużego pokoju. Po kolejnych dziesięciu minutach do mieszkania

wpadł jak bomba Hockstetter.

– Awaria elektryczności – powiedział. – Burza. Te cholerne elektryczne zamki; nie mając ich otworzyć. Czy ona...

– Wszystko będzie dobrze, jeśli, do cholery, znizysz głos – powiedział cicho Rainbird. Jego wielkie dłonie wystrzeliły przed siebie, złapały za klapy białego laboratoryjnego fartucha Hockstettera i poderwały go w górę tak, że nagle przerażona twarz doktora znalazła się o centymetry od twarzy Rainbirda. – A jeśli kiedykolwiek zachowasz się tu tak, jakbyś mnie znał, jeśli kiedykolwiek odezwiesz się do mnie tak, jakbym nie był służącym klasy „D”, zabiję cię, potnę na kawałki, podsmażę i przerobię na pokarm dla kotów.

Hockstetter wił się niezdarnie. W kącikach jego ust pojawiła się ślina.

– Rozumiesz? Zabiję cię. – Rainbird dwukrotnie potrząsnął Hockstetterem.

– Ro... ro... rozu... miem.

– To wynoś się stąd – powiedział i wypchnął bladego, przerażonego Hockstettera na korytarz.

Rozejrzył się po raz ostatni, wyciągnął na korytarz swój wózek i zamknął samozatrzaszkujące się drzwi. W sypialni Charlie nadal spała, spokojniej, niż zdarzyło się jej spać od miesięcy. A może od lat.

Mały płomyk, wielki bracie

1

Minęła gwałtowna burza. Mijał czas – przeszły trzy tygodnie. Lato, wilgotne i butne, ciągle panowało nad wschodnią Wirginią, lecz szkoły już ruszyły i zajeżdżone, żółte autobusy toczyły się tam i sam po dobrze utrzymanych bocznych drogach wokół Longmont. W pobliskim mieście Waszyngton zaczął się kolejny sezon uchwalania ustaw, sezon plotek i insynuacji; a wszystko to jak zwykle w cyrkowej atmosferze podsycanej przez telewizyjnych dziennikarzy, umyślne przecieki prasowe i wszechobecne chmury wyziewów whisky.

Nic z tego nie wywarło wrażenia na chłodnych, w pełni klimatyzowanych pokojach dwóch domów sprzed wojny secesyjnej i korytarzach wydrążonych pod nimi jak plaster miodu. Jedyną zbieżnością mogło być to, że Charlie McGee także poszła do szkoły. Pomysł był Hockstettera i Charlie protestowała, ale John Rainbird namówił ją, by zmieniła zdanie.

– A co ci to może zaszkodzić? – zapytał. – Nie ma sensu, żeby taka mądra dziewczynka jak ty została daleko z tyłu. Cholera... przepraszam, Charlie ale, na Boga, czasami żałuję, że nie skończyłem niczego oprócz podstawówki. Nie zmywałbym teraz podłóg... możesz się o to założyć. A poza tym nie będziesz się nudzić.

Więc Charlie zaczęła się uczyć – dla Johna. Pojawili się nauczyciele: młody mężczyzna od angielskiego, starsza kobieta od matematyki, młodsza kobieta w grubych szklach od początków francuskiego, mężczyzna w wózku inwalidzkim od fizyki. Słuchała ich i przypuszczała, że się uczy, ale robiła to dla Johna.

John trzy razy ryzykował utratę pracy i nosił jej listy do ojca. Charlie czuła się winna i z poczucia winy gotowa była zrobić o wiele więcej, by jak sądziła, sprawić mu przyjemność.

I przyniósł jej też wiadomości od taty: że czuje się dobrze, że cieszy się, wiedząc, iż Charlie też czuje się dobrze, że współpracuje przy ich testach. To ją trochę przygnębiło, ale była już wystarczająco duża, by zrozumieć, a w każdym razie zaczynać rozumieć, że to, co najlepsze dla niej, może nie być najlepsze dla ojca. Ostatnio zaczynała się zastanawiać, coraz częściej i głębiej, czy może John tak naprawdę nie wie, co jest najlepsze dla niej. Na swój szczerzy, zabawny sposób (zawsze przeklinał, a później przepraszał, co bawiło ją do łez) John był bardzo przekonujący.

Przez niemal dziesięć dni po burzy nie mówił nic o rozniecaniu ognia. O tych sprawach zawsze rozmawiali w kuchni, gdzie, zdaniem Johna, nie było „pluskiew”, i zawsze mówili cicho.

Tego dnia John powiedział:

– Myślałaś trochę o tej sprawie z ogniem, Charlie? – Teraz zawsze mówił do niej Charlie, a nie „mała”. Prosiła go o to. Charlie zadrzała. Od czasu farmy Mandersów już samo myślenie o ogniu miało na nią ten wpływ. Stawała się zimna, spięta, przejmowały ją dreszcze; w raportach Hockstetter nazywał to „łagodną fobią”.

– Mówiłam ci. Nie mogę. Nie chcę.

– Zaraz, nie mogę i nie chcę to dwie różne rzeczy. – John mył podłogę, ale robił to bardzo wolno, tak że mógł z nią rozmawiać. Mokra szczotka śmigająca po podłodze. Mówił jak starzy więźniowie, niemal nie otwierając ust.

Charlie nie odpowiedziała.

– Ja tam wiem swoje – stwierdził – ale jeśli nie chcesz posłuchać, jeśli już się zdecydowałaś... no, to się zamknę.

– Nie, w porządku – odpowiedziała uprzejmie Charlie, ale tak naprawdę chciała, żeby się zamknął, nie mówił o tym i nawet nie myślał, bo od tego źle się czuła. Ale John tyle dla niej zrobił... i Charlie rozpaczliwie próbowała nie obrazić go i nie urazić jego uczuć. Potrzebowała przyjaciela.

– No cóż, myślałem po prostu, że przecież muszą wiedzieć, jak to się wyrwało spod kontroli na tej farmie. Pewnie będą bardzo ostrożni. Nie sądzę, żeby mieli zamiar testować cię w pokoju pełnym papierów i tłustych szmat, co?

– Nie, tylko...

John puścił szczotkę i podniósł lekko jedną rękę.

– Posłuchaj mnie, posłuchaj do końca.

– Dobrze.

– Iz pewnością wiedzą, że tylko raz rozpętałaś... hm... piekło. Małe ognie, Charlie. To jest wyjście. Małe ognie. A jeśli coś się stanie, w co wątpię, bo myślę, że masz większą samokontrolę, niż nawet przypuszczasz... ale powiedzmy, że coś się zdarzy, to kogo obwinia, co? Ciebie? Po tym, jak te kutasy przez pół roku wykręcały ci rękę, żebyś to zrobiła? O, do diabła, przepraszam.

Charlie bała się tego, co mówił John, ale mimo wszystko musiała przyłożyć ręce do ust i zachichotać na widok jego nieszczęśliwej miny.

John także się uśmiechnął, a później wzruszył ramionami.

– Myślałem jeszcze i o tym, że nie możesz nauczyć się czegoś kontrolować, jeśli nie ćwiczysz bez przerwy.

– Nie obchodzi mnie, czy to kontroluję, czy nie, bo po prostu nie mam zamiaru tego używać.

– Może tak, a może nie – powtórzył John z uporem, machając szczotką, a później odstawiając ją do kąta i wylewając wodę z mydłem do zlewu. Zaczął nalewać do wiadra czystą wodę, żeby spłukać podłogę. – Mogą cię zaskoczyć i wtedy tego użyjesz.

– Nie. Nie sądzę.

– Albo przypuśćmy, że dostaniesz wysokiej gorączki. Z grypy, krupu albo, do diabła, nie wiem, z jakiej choroby – był to jeden z niewielu pożytecznych argumentów, które podrzucił mu Hockstetter. – Miałaś operację wyrostka, Charlie?

– Neeeeee...

John zabrał się do zmywania podłogi.

– Mojemu bratu wycięli, ale wyrostek najpierw pękł i brat omal nie umarł. To dlatego, że byliśmy Indianami z rezerwatu i żadnego z tych chu... żadnego z nich nie obchodziło, czy będziemy żyć, czy umrzemy. Dostał wysokiej gorączki, chyba ze czterdzieści stopni, i ataku szału, strasznie przeklinał, mówił do ludzi, których tam wcale nie było. Wiesz, on myślał, że nasz ojciec jest jakimś Aniołem Śmierci, który przyszedł po niego, i chciał go przebić nożem leżącym na stoliku przy łóżku. Oповідаłem ci o tym, prawda?

– Nie – powiedziała Charlie, szepcząc nie z powodu podsłuchu, lecz ze strachu i fascynacji. – Naprawdę?

– Naprawdę – potwierdził John i znów wyjął ścierkę. – To nie była jego wina. To przez gorączkę. Ludzie mogą zrobić i powiedzieć wszystko, kiedy są w gorączce. Wszystko.

Charlie zrozumiała i poczuła ukłucie strachu. Nad tym nigdy się nie zastanawiała.

– Ale kiedy będziesz miała kontrolę nad tym piro coś tam...

– Jak mogłabym mieć kontrolę, kiedy będę nieprzytomna?

– Po prostu będziesz miała. – Rainbird postanowił użyć metafory Wanlessa; tej, która tak zbrzydziła Kapa już niemal rok temu. – To jak z nauką siadania na nocniczku, Charlie. Jak raz opanujesz pęcherz, masz pełną kontrolę. Nieprzytomni ludzie prawie nigdy nie siusiąją w łóżko. – Hockstetter powiedział mu, że niekoniecznie musi to być prawda, ale Charlie nie mogła o tym wiedzieć. – No tak, w każdym razie chcę ci powiedzieć, że jeśli będziesz to kontrolowała, rozumiesz, to już o nic nie będziesz się musiała martwić. Będziesz to miała w małym palcu. Ale żeby kontrolować, musisz ćwiczyć i ćwiczyć. W taki sam sposób, w jaki nauczyłaś się wiązać buty albo pisać litery w przedszkolu.

– Ja... ja po prostu nie chcę rozniecać ognia! Nie będę! Nie będę!

– No i zdenerwowałem cię. – John był zmartwiony. – Nie chciałem. Przepraszam, Charlie. Już nie będę gadał. Ta moja niewyparzona gęba!

Ale następnym razem Charlie sama zaczęła rozmowę.

Było to trzy czy cztery dni później. Charlie bardzo dokładnie przemyślała sobie, co ma zamiar powiedzieć... i sądziła, że znalazła w rozumowaniu Johna jedną lukę.

– To się nigdy nie skończy – powiedziała. – Zawsze będą chcieli więcej, więcej, więcej. Gdybyś tylko wiedział, jak nas ścigali, oni nigdy nie dają za wygraną. Jeśli tylko zacznę, będą chcieli mieć większe ognie, a potem jeszcze większe, a potem ogniska, a potem... nie wiem... ale boję się.

I znów ją podziwiał. Miała intuicję i wrodzoną inteligencję, niesamowicie przenikliwą. Zastanowił się, co powiedziałby Hockstetter, gdyby on, Rainbird, poinformował go, że Charlie McGee ma doskonałe pojęcie o tym, jak wygląda ich ściśle tajny, mistrzowski plan. Wszystkie raporty o Charlie McGee zawierały teorię, że pirokineza to tylko jądro, w którym zbiega się wiele

pokrewnych talentów PSI, i Rainbird wierzył, że jej intuicja jest jednym z tych talentów. Jej ojciec powtarzał im raz za razem, że Charlie wiedziała o zbliżaniu się Ala Steinowitza i innych, tam, na farmie Mandersów; wiedziała jeszcze, nim nadjechali. Ta myśl przerażała. Jeśli kiedykolwiek zdarzy się jej domyślić, kim jest on... cóż, mówią, że gdzie diabeł nie może, tam babę...

i to oszukaną; a jeśli tylko połowa z tego, co wiedział o Charlie, okaże się prawdą, ściągnie mu ona na głowę piekło albo przynajmniej jego bardzo udaną kopię. Może nagle poczuje, że robi mu się strasznie gorąco? Dodawało to pewnego smaczku jego pracy... smaczku, którego nie czuł od bardzo, bardzo dawna.

– Charlie – powiedział Rainbird – przecież nie mówię, żebyś to wszystko robiła za darmo.

Dziewczynka spojrzała na niego, zaskoczona.

John westchnął.

– Zupełnie nie wiem, jak ci to powiedzieć. Chyba trochę cię kocham. Jesteś córeczką, której nigdy nie miałem. I to, jak cię tu trzymają w zamknięciu, nie pozwalają ci zobaczyć taty i w ogóle; nie pozwalają ci wyjść na dwór, tracisz wszystko, co mają inne małe dziewczynki... od tego mnie po prostu chce się rzygać.

Przez chwilę popatrzył na nią swym jedynym, płonącym okiem; chciał ją trochę przestraszyć.

– Możesz dostać parę tych różności, jeśli tylko się z nimi zgodzisz... i dodasz kilka haczyków.

– Haczyków. – powtórzyła Charlie, całkiem zdezorientowana.

– Jasne. Możesz ich zmusić, żeby cię wypuścili na dwór, na słońce. Założę się. Może nawet żebyś pojechała na zakupy do Longmont. Mogliby cię przenieść z tej pieprzonej klatki do normalnego domu. Żebyś mogła bawić się z innymi dziećmi. I...

– I zobaczyć się z tatą?

– Jasne, to też. – Ale była to jedna z tych rzeczy, które nigdy nie miały się zdarzyć, bo gdyby tych dwoje podzieliło się informacjami, musieliby dojść do wniosku, że Jasio Przyjazny Sprzątacznik jest nieco za dobry, by był prawdziwy. Rainbird nigdy nie przekazał żadnej wiadomości Andy'emu McGee. Hockstetter sądził, że byłoby to ponoszeniem ryzyka bez zysku, a Rainbird,

uważając, że w większości spraw Hockstetter jest kompletną dupą z hemoroidami, tu się z nim zgodził.

Jedną rzeczą było ogłupianie ośmioletniego dziecka bajkami o tym, że w kuchni nie ma pluskiew, i o tym, że mogą rozmawiać przyciszonymi głosami i nie być podsłuchani, a kompletnie inną ogłupienie ojca ośmioletniego dziecka tymi samymi bajeczkami, nawet jeśli ojciec był narkomanem od czubka głowy do pięt. McGee mógł zachować wystarczająco wiele rozsądku, by dostrzec, że to, co teraz robią, to jedynie zabawa w Dobrego Faceta i Złego Faceta; a tej techniki policjanci używali do łamania przestępców od niepamiętnych czasów.

Więc uparcie udawał, że zanosi jej karteczki do Andy'ego, tak jak uparcie udawał tyle innych rzeczy. To prawda, widywał Andy'ego całkiem często, lecz tylko na telewizyjnych monitorach. Było prawdą, że Andy współpracował z ich testami, ale było także prawdą, że jest całkowicie wykończony, niezdolny zmusić dziecka do zjedzenia lodów. Zmienił się w wielkie, tłuste zero, zainteresowane wyłącznie tym, co dzieje się na ekranie i kolejną pigułką; już wcale nie pytał, kiedy zobaczy córkę. Gdyby Charlie spotkała się z ojcem twarzą w twarz i zobaczyła, co z nim zrobili, mogłaby zaprzecić się od nowa – a przecież był tak bliski złamania jej; teraz Charlie chciała, żeby ją przekonać. Nie, można było rozmawiać o wszystkim, tylko nie o tym. Charlie McGee już nigdy nie zobaczy swego ojca. Przypuszczał, że już niedługo Kap wsadzi Andy'ego McGee do samolotu do ośrodka na Maui. Ale tego dziewczynka też nie musiała wiedzieć.

– Naprawdę myślisz, że pozwolą mi się z nim zobaczyć?

– No pewnie – odpowiedział swobodnie. – Nie od razu, oczywiście; to ich as i dobrze o tym wiedzą. Ale jeśli dojdiesz do jakiegoś punktu, a potem powiesz, że dalej guzik i musisz zobaczyć... – zarzucona przynęta dyndała na żyłce; błyskka ciągnięta pod wodą. Najeżona haczykami, a poza tym i tak niejadalna, ale to też było coś, czego nie wiedziała ta mała, twarda panienska.

Charlie przyjrzała się mu z namysłem. Nie mówiła nic więcej. Tego dnia.

A teraz, mniej więcej w tydzień później, Rainbird nagle zmienił przekonania. Zrobił to bez określonego powodu; tylko jego intuicja mówiła mu, że starym sposobem nie osiągnie już nic.

Teraz trzeba było błagać jak ten zając, co błagał przyjaciół, by bronili go przed psami.

– Pamiętasz, o czym mówiliśmy? – zaczęła Rainbird, woskując podłogę w kuchni.

Charlie udawała, że nie może się zdecydować, którą z czekoladek z lodówki wybrać. Stała na jednej nodze, drugą zgięła lekko w kolanie; widział jej czystą, różową stopę – ta poza dziecka wydawała mu się prowokująca. Było w niej coś preerotycznego, niemal mistycznego. Jego serce jeszcze raz wzleciało ku dziewczynce. Charlie podejrzliwie obejrzała się przez ramię. Włosy, uczesane w koński ogon, leżały na jej ramieniu.

– Tak – powiedziała – pamiętam.

– No bo myślałem, i pytałem sam siebie, co ze mnie za specjalista od udzielania rad. Nie potrafię nawet pożyczyć z banku tysiąca dolarów na samochód.

– Och, John, to nic nie znaczy...

– A właśnie że tak. Gdybym coś wiedział, byłbym jak ten Hockstetter. Wykształcony.

Charlie odpowiedziała bardzo pogardliwie:

– Tatusь mówi, że każdy dureń może sobie kupić wykształcenie na którymś z uniwersytetów.

Rainbird uradował się w sercu.

2

W trzy dni później ryba połknęła haczyk.

Charlie powiedziała Rainbirdowi, że zdecydowała się pozwolić im na ich testy. Będzie ostrożna, powiedziała. I sprawi, by oni byli ostrożni, jeśli sami nie zechcą. Jej buzia była chuda, ostra, blada.

– Nie rób tego – powiedział John – jeśli nie przemyślałaś sobie wszystkiego.

– Próbowałam – szepnęła Charlie.

– Robisz to dla nich?

– Nie!

– Dobrze. Robisz to dla siebie?

– Tak. Dla siebie. I dla taty.

– Jasne. I Charlie: spraw, by grali według twoich reguł. Rozumiesz? Pokazałaś im, jaka potrafisz być twarda. Nie pozwól im

zobaczyć teraz miękkiego punktu. Jeśli go zobaczą, nacisną. Graj twardo. Wiesz, o czym mówię?

– Ja... chyba tak.

– Oni coś dostaną i ty coś dostaniesz. Zawsze. Nic za darmo. – Rainbird zgarbił się lekko. Jego płonące oko zgasło. Charlie nie znosiła, kiedy tak wyglądał; smutny, pokonany. – Nie daj się potraktować tak, jak mnie potraktowali. Oddałem ojczyźnie cztery lata życia i jedno oko. Rok z tych czterech lat spędziłem w dziurze w ziemi, jedząc robaki, gorączkując, wachając własne gówno i bez przerwy iskając wszy. A kiedy się wydostałem, powiedzieli mi: „Dziękujemy ci, John”, i dali mi szczotkę do ręki. Okradli mnie, Charlie. Kapujesz? Nie pozwól, żeby okradli i ciebie.

– Rozumiem – stwierdziła uroczyście Charlie.

John rozjaśnił się odrobinę i uśmiechnął.

– Więc kiedy ten wielki dzień?

– Jutro zobaczę się z Hockstetterem. Powiem mu, że zdecydowałam się współpracować... troszeczkę. I powiem im. powiem im, czego chcę.

– No... tylko na początku nie żądaj za wiele. Jak oszust na jarmarku – musisz trochę stracić, żeby więcej wygrać.

Charlie skinęła głową.

– Tylko pokaż im, kto tu rządzi, dobrze? Pokaż, kto tu jest szefem.

– Jasne.

Rainbird uśmiechnął się szerzej.

– Dobra dziewczynka! – powiedział.

3

Hockstetter szalał z wściekłości.

– I w co ty, do diabła, grasz?! – wrzeszczał na Rainbirda.

Siedzieli w gabinecie Kapa. Ośmielił się krzyknąć, pomyślał Rainbird, bo jest tu Kap w roli sędziego. A później spojrział raz jeszcze w płonące niebieskie oczy Hockstettera, na jego zaczerwienione policzki, na pobielale kostki palców, i przyznał, że najprawdopodobniej się myli. Ośmielił się przekroczyć wrota, wdarł się do świętego raju przywilejów Hockstettera. Terapia wstrząsowa, jaką zastosował na nim po przerwie w dostawie prądu, to jedno – Hockstetter popełnił poważny błąd i wiedział

o tym. To było zupełnie co innego. Przynajmniej zdaniem samego Hockstettera.

Rainbird tylko patrzył.

– Starannie wmówiłeś jej niemożliwe! Wiesz cholernie dobrze, że nigdy nie zobaczy ojca! „Ty coś dostaniesz, i oni coś dostaną!” – Hockstetter naśladował Rainbirda z wściekłością. – Ty durniu!

Rainbird nadal się w niego wpatrywał.

– Nigdy więcej nie nazywaj mnie durniem – powiedział głosem całkowicie pozbawionym intonacji.

Hockstetter drgnął... lecz bardzo nieznacznie.

– Panowie, proszę – głos Kapa był zmęczony. – Proszę. Na jego biurku stał magnetofon. Właśnie skończyli przesłuchiwanie rozmowy, którą Rainbird przeprowadził rano z Charlie.

– Doktor Hockstetter najwyraźniej nie dostrzega faktu, że on i jego zespół wreszcie dostaną coś – stwierdził Rainbird – co powiększy ich zasób wiedzy o sto procent, jeśli moja matematyka mnie nie myli.

– W rezultacie całkowicie nieprzewidywalnego przypadku – powiedział Hockstetter ponuro.

– Przypadku, którego wy, ludzie, nie potrafiliście wyprodukować. Byliście na to za głupi – skontrował Rainbird. – Może za często zabawiacie się ze szczurami?

– Dość, panowie! – stwierdził Kap. – Nie jesteśmy tutaj, by robić sobie wyrzuty. Nie to jest celem naszego spotkania. – Spojrzał na Hockstettera. – Dostaliście zabawkę – powiedział. – Muszę przyznać, że wykazujesz zdumiewający brak wdzięczności.

Hockstetter mruknął coś w odpowiedzi.

Kap spojrział na Rainbirda.

– Lecz myślę też, że pod koniec zagrałeś swą rolę *amicus curiae* aż za dobrze.

– Doprawdy tak myślisz? A więc dalej nie rozumiecie. – Rainbird spojrział najpierw na Kapa, później na Hockstettera i znów na Kapa. – Myślę, że obaj wykazaliście niemal paraliżujący brak zrozumienia. Macie do dyspozycji dwóch dziecięcych psychiatrów; jeśli tak właśnie wygląda reszta z ich branży, na świecie jest mnóstwo dzieci, które będą miały naprawdę wielkie kłopoty.

– Łatwo powiedzieć – stwierdził Hockstetter. – To...

– Nie rozumiecie, jaka mądra jest ta mała – przerwał mu Rainbird. – Nie rozumiecie, jak... jak wspaniale pojmuję przyczyny i skutki działań. Praca z nią to jak marsz po polu minowym. Przedstawiłem jej zasadę kija i marchewki, bo sama by na to wpadła. Wskazując jej tę możliwość, wzmocniłem jej zaufanie do siebie... w rezultacie zmieniłem słabość w siłę.

Hockstetter otworzył usta. Kap podniósł do góry rękę i obrócił się w stronę Rainbirda. Mówił cichym, pojednawczym tonem, którego nie używał w stosunku do nikogo... no, ale nikt inny nie był Johnem Rainbirdem.

– Nie zmienia to faktu, że najwyraźniej ograniczyłeś Hockstetterowi i jego ludziom pole manewru. Wcześniej czy później dziewczynka zrozumie, że jej najważniejsze żądanie – by zobaczyć się z ojcem – nigdy nie zostanie spełnione. Wszyscy się zgadzamy, że jeśli na to pozwolimy, możemy na zawsze uczynić ją dla nas nieużyteczną.

– Dokładnie – powiedział Hockstetter.

– A jeśli jest taka bystra, jak mówisz – stwierdził Kap – to zażyczy sobie spełnienia niespełnialnego raczej wcześniej niż później.

– Zażyczy – zgodził się Rainbird – i to będzie koniec. Po pierwsze, gdy tylko go zobaczy, natychmiast zrozumie, że łągłem na temat tego, jak się czuje. To doprowadzi ją do wniosku, że przez cały czas pracowałem dla was, koledzy. Więc naszym jedynym problemem jest to, jak długo ją utrzymamy.

Rainbird pochylił się w krzesło.

– Jeszcze parę spraw. Po pierwsze, wy dwaj już przyzwyczailiście się do myśli, że po prostu nie będzie rozniecać ognia *ad infinitum*. To człowiek, mała dziewczynka, która chce zobaczyć się z tatą. To nie laboratoryjny szczur.

– Już przecież... – przerwał Hockstetter niecierpliwie.

– Nie. Żadne „już przecież...”. Chodzi o sam podstawowy system nagród w eksperymencie. Kij i marchewka. Charlie myśli, że dzięki swym zdolnościom trzyma marchewkę i w końcu poprowadzi was, i siebie, do ojca. Ale my wiemy, że to nie tak.

W rzeczywistości to jej ojciec jest marchewką, i to my ją prowadzimy. I teraz: muł zaożałby nam całe pole, próbując złapać marchewkę wiszącą mu przed nosem, bo muł jest głupi. Ale to dziecko nie jest!

Spojrzał na Kapa i Hockstettera.

– Ciągłe to wam powtarzam. To jak wbijanie gwoźdźcia w dąb; w świeżo ścięty dąb. Ciężko idzie, wiecie – a wy ciągle o tym zapominacie. Prędzej czy później dziewczynka zmądrzeje i powie wam, żebyście sobie wsadzili. Bo nie jest mułem. Ani białym laboratoryjnym szczurem.

A ty chcesz, żeby tak się stało, pomyślał Kap z rosnącą nienawiścią. Chcesz, żeby tak się stało, bo będziesz mógł ją zabić.

– Więc zaczynacie, mając ten jeden, podstawowy fakt – mówił dalej Rainbird. – To start. A później zaczniacie myśleć o tym, co zrobić, żeby chciała współpracować z wami jak najdłużej. A jeszcze później, kiedy wszystko się skończy, napiszecie swoje raporty. Jeśli zbierzecie odpowiednio wiele danych, dostaniecie za nie premie. Zjecie marchewkę. I wtedy od nowa zaczniecie strzykać bandę biednych ciemniaków tymi czarodziejskimi wywarami.

– Obrażasz nas – powiedział Hockstetter drżącym głosem.

– Obrażam beznadziejnych idiotów – odparł Rainbird.

– I jak proponujesz przedłużyć jej współdziałanie?

– Pogonicie ją trochę, dając jej nieważne przywileje. Spacer po trawniku. Albo... wszystkie małe dziewczynki lubią konie. Założę się, że roznieci ładnych parę ogni, jeśli dacie jej stajenkego, żeby przeprowadził ją ścieżkami ośrodka na którymś z naszych wałachów. To powinno wystarczyć, by kilkunastu zarozumiałych gówniarzy, jak ten tu Hockstetter, przez pięć lat tańczyło na łebku szpilki.

Hockstetter gwałtownie poderwał się zza stołu.

– Nie muszę siedzieć i wysłuchiwać czegoś takiego!

– Siadaj i zamknij się – powiedział Kap.

Ciemna krew zalała twarz Hockstettera, sprawiał wrażenie gotowego do walki... lecz krew odpłynęła tak szybko, jak przypłynęła, i już po chwili Hockstetter wyglądał na bliskiego płaczu. Usiadł.

– Możecie zabrać ją do miasta na zakupy – mówił dalej Rainbird. – Może zorganizujecie jej wyjazd do Seven Flags w Georgii i jazdę na górskiej kolejce. Może nawet pojedzie tam ze swoim dobrym przyjacielem Johnem Sprzątaczem?

– Czy ty serio przypuszczasz, że te drobiazgi...

– Nie, nie przypuszczam. Nie na długo. Wcześniej czy później wypłynie sprawa ojca. Ale Charlie to tylko człowiek. Chce też czegoś dla siebie. Przejdzie spory kawałek drogą, na której chcecie ją mieć, tłumacząc sobie, że wszystko jest OK; mówiąc sobie, że daje wam wygrać mało, aby zarobić wiele. Lecz w końcu wróci sprawa dobrego, starego ojczulka. Ta mała nie jest tania, nie. Jest twarda.

– A to oznacza kres wesołego miasteczka – powiedział w zamysleniu Kap. – Wysiadamy. Koniec projektu. A w każdym razie tej fazy projektu.

Prawdopodobieństwo końca z wielu powodów sprawiało mu ogromną radość.

– Nie. Jeszcze nie – powiedział Rainbird, uśmiechając się swym bezlitosnym uśmiechem. – Mamy w rękawie jeszcze jedną kartę. Kiedy skończą się małe marchewki, możemy wywiesić wielkie. Nie ojca – nie główną nagrodę – lecz coś, co utrzyma ją w ruchu przez jakiś czas.

– A co to takiego? – zapytał Hockstetter.

– Domyśl się – odparł ciągle uśmiechnięty Rainbird i nie powiedział nic więcej. Kap może się domyśli, mimo że przez ostatnie mniej więcej pół roku nie mógł się pozbierać. Ma więcej rozumu, działając na pół gwizdka, niż większość jego pracowników (i wszyscy pretendenci do tronu) w pełnej sprawności. Jeśli chodzi o Hockstettera, ten nigdy na to nie wpadnie. Hockstetter wspiał się ładnych parę piętér ponad swój poziom niekompetencji; osiągnięcie łatwiejsze w ramach państwowej biurokracji niż gdziekolwiek indziej. Hockstetter miałby kłopoty, szukając nosem chleba z gównem.

Ale to, czy domyślą się, jaka to marchewka (można by powiedzieć: Wielka Marchewka) jest nagrodą w tym konkursie, czy nie, nie miało najmniejszego znaczenia; rezultat zawsze będzie ten sam. Tak czy inaczej to on znajdzie się w siodle. Mógłby ich teraz zapytać: „Jak sądzicie, kto jest jej ojcem pod nieobecność jej ojca?”.

Niech sami na to wpadną. Jeśli potrafią.

Rainbird wyszedł z pokoju, uśmiechając się.

Andy McGee siedział przed telewizorem. Małe bursztynowe światełko kablowego kanału filmowego świeciło na stojącym na odbiorniku prostokątnym pudełku. Na ekranie Richard Dreyfuss próbował zbudować Diabelską Górę w domu, w pokoju. Andy obserwował go ze spokojnym, tępym i radosnym wyrazem twarzy. Wewnątrz aż gotował się ze zdenerwowania. Musiał to zrobić dzisiaj.

Dla Andy'ego trzy tygodnie, które minęły od przerwy w elektryczności, były czasem niemal nieznośnego napięcia i zdenerwowania, przetykanego jasnymi nićmi radości pełnej poczucia winy. Teraz potrafił zrozumieć zarówno to, jakim cudem rosyjskie KGB mogło budzić tak szalone przerażenie, jak i to, co czuł orwellowski Winston Smith podczas swego krótkiego bezpłodnego buntu. Znow miał sekret. Ten sekret zżerał go od wewnątrz, tak jak wszystkie ważne sekrety zżerają umysły ich nosicieli, lecz także pozwalał mu czuć się znowu potężnym i pełnym. Przebijał ich kartę. Jeden Bóg wie, jak długo jeszcze będzie mógł to robić i czy coś mu z tego przyjdzie, ale teraz po prostu to robił.

Dochodziła dziesiąta rano i Pynchot, facet z wiecznym uśmiechem na ustach, przychodził do niego o dziesiątej. Pójdą na spacer do ogrodu „przedyskutować jego postępy”. Andy miał zamiar pchnąć Pynchota... lub przynajmniej spróbować. Mógłby spróbować wcześniej, gdyby nie monitory i kamery telewizyjne, i wszechobecne pluskwy. A oczekiwanie dało mu czas na przemyślenie taktyki ataku i na badanie jej bezustannie w poszukiwaniu słabych punktów. W rzeczywistości przepisywał scenariusz w głowie raz za razem. W nocy, w ciemności, leżąc w łóżku, Andy myślał bez ustanku: Wielki Brat patrzy. Po prostu myśl o tym, myśl tylko o tym. Trzymają cię wprost w mózgu Wielkiego Brata i jeśli masz zamiar naprawdę pomóc Charlie, musisz ich nadal oszukiwać.

Sypiał krócej niż kiedykolwiek; głównie dlatego, że bał się, iż będzie mówił przez sen. Były noce, podczas których czuwał godzinami, bojąc się nawet drgnąć i przewrócić z boku na bok, bo mogli przecież zacząć się zastanawiać, jakim cudem człowiek po narkotykach może być taki niespokojny. A kiedy w końcu zasypiał, spał płytko, śnił dziwne sny (najczęściej o postaci podobnej

do Długiego Johna Silvera, jednookiego pirata chodzącego o kuli) i łatwo się budził.

Pozbywanie się pigułek było najłatwiejsze, ponieważ wierzyli, że ich potrzebuje. Przynosili mu je teraz cztery razy dziennie, a od czasu przerwy w elektryczności nie było testów. Wierzył, iż dali sobie spokój i że o tym Pynchot chce mu powiedzieć dzisiaj, na spacerze.

Czasami wykrztuszał pigułki w złożone dłonie i odkładał je do resztek jedzenia, które wrzucał później do maszynki do mielenia śmieci. Więcej trafiało do sedesu. Inne popijał piwem imbirowym, wypluwał w niedopite puszki, w których się rozpuszczały, i zostawiał puszki tak, jakby o nich zapomniał.

Później wylewał je do umywalki.

Bóg jeden wiedział, że nie był w tym zawodowcem, a ludzie, którzy go obserwowali, prawdopodobnie byli. Ale sądził, że teraz nie pilnowali go już bardzo uważnie. Jeśli tak, zostanie złapany. To proste.

Dreyfuss i kobieta, której dziecko ufoludki zabrały na przejażdżkę, wspinali się po zboczu Diabelskiej Góry, kiedy odezwał się krótki dzwonek oznajmiający, że przerwano obwód w zamku drzwi. Andy zmusił się, by nie drgnąć.

To jest to, powtórzył sobie.

Herman Pynchot wszedł do dużego pokoju. Był niższy od Andy'ego i bardzo szczupły; było w nim coś, co zawsze uderzało Andy'ego, jakaś cecha kobieca; choć nie dało się jej ściśle zdefiniować. Dziś, ubrany w cienki, szary sweter z golfem i letnią marynarkę, wyglądał niezwykle delikatnie i elegancko.

– Dzień dobry, Andy – powiedział.

– Ach – odparł Andy i przerwał, jakby musiał zebrać myśli.

– Dzień dobry, doktorze Pynchot.

– Czy pozwolisz, że wyłączę telewizor? Wiesz, powinniśmy teraz pójść na spacer.

– Ach. – Andy zmarszczył brwi i zaraz się rozpogodził. – Oczywiście. Już to widziałem, trzy czy cztery razy. Ale lubię zakończenie. Jest ładne. UFO zabiera go z Ziemi, wie pan? Zabiera go do gwiazd.

– Doprawdy? – powiedział Pynchot i wyłączył telewizor. – Idziemy?

– Dokąd?

– Na spacer – przypomniał mu cierpliwie Pynchot. – Pamiętasz?

– Ach! Oczywiście. – Andy wstał.

5

Z pokoju Andy’ego wychodziło się na szeroki korytarz z podłogą wyłożoną kafelkami. Światło było ściemnione, rozproszone. Gdzieś niedaleko znajdowało się centrum komputerowe lub komunikacyjne; korytarzem chodzili ludzie z dziurkowanymi kartami i pęczkami wydruków, słychać było cichy szum niewielkich maszyn.

Młody człowiek w nowiutkiej sportowej marynarce – stuprocentowy agent rządowy – próżnował przy drzwiach mieszkania Andy’ego. Pod ramieniem jego marynarki widać było wyrzucenie materiału. Agent był częścią standardowej procedury operacyjnej; kiedy minęli go z Pynchotem, poszedł za nimi, obserwując, lecz nie podsłuchując. Andy sądził, że nie sprawi kłopotów.

Agent szedł już za nimi, a Andy i Pynchot zmierzali w kierunku windy. Serce Andy’ego waliło tak mocno, jakby miało rozbić klatkę piersiową. Starając się niczego nie dać poznać po sobie, próbował uważnie wszystko obserwować. Widział kilkanaścioro nieoznakowanych drzwi. Niektóre były otwarte podczas innych jego spacerów korytarzem: mała specjalistyczna biblioteka, kserokopiarki; ale nie miał pojęcia, co mogło być w innych pokojach. Za którymiś z tych drzwi mogli trzymać Charlie; lub może trzymają ją w zupełnie innej części budynku. Weszli do windy wystarczająco wielkiej, by zmieściło się w niej szpitalne łóżko. Pynchot wyjął klucze, włożył jeden z nich do szczeliny i nacisnął jeden z nieoznaczonych guzików. Drzwi zamknęły się i winda ruszyła gładko. Agent Sklepiku stał pod przeciwległą ścianą kabiny. Andy trzymał ręce w kieszeni dżinsów; na twarzy miał lekki, głupi uśmiech.

Drzwi windy otworzyły się na dawną salę balową. Podłoga wyłożona była klepkami z polerowanego dębu. Po przeciwnej stronie wielkiego pokoju spiralne schody, w dwóch pełnych wdzięku skrętach, prowadziły na kolejne piętro. Po lewej przeszkłone do podłogi drzwi otwierały się na osłoneczniony taras

i rozciągający się za nim ogródek skalny. Po prawej, za półotwartymi dębowymi drzwiami, trzaskały maszyny do pisania; w hali maszyn zapisywano codziennie z pół tony papieru.

A zewsząd dochodził zapach świeżych kwiatów.

Pynchot ruszył przez pokój jako pierwszy i jak zawsze Andy zdumiał się klepkami podłogi, jakby nigdy ich przedtem nie dostrzegł. Wyszli przez przeszklone drzwi, zostawiając za sobą swe sklepikowe cienie. Było bardzo ciepło i bardzo wilgotno. W powietrzu leniwie buczały pszczoły. Za ogródkiem skalnym rosły krzaki hortensji, forsycji i rododendronów. Słysząc było dźwięk krążących w nieskończoność maszyn do strzyżenia trawników. Andy obrócił twarz ku słońcu z nieudawaną wdzięcznością.

– Jak się czujesz, Andy? – zapytał Pynchot.

– Dobrze. Dobrze.

– Wiesz, jesteś tutaj już prawie pół roku – stwierdził Pynchot tonem łagodnego zdumienia sugerującym, „jak to ten czas leci, kiedy jest miło”.

Skręcili w prawo, na jedną z wysypanych żwirem ścieżek. W nieruchomym powietrzu wisiał zapach kapryfolium i słodkiego szafranu. Po przeciwnej stronie stawu, koło drugiego domu, spacerowały leniwie dwa konie.

– To długo – odparł Andy.

– Tak, to długo – przytaknęła Pynchot i uśmiechnęła się.

– I stwierdziłem, że twoja moc... zmniejszyła się, Andy. W rzeczywistości, jak wiesz, nie mieliśmy żadnych widocznych rezultatów.

– No bo cały czas dajecie mi piguły – w głosie Andy’ego brzmiał wyrzut. – Chyba nie spodziewacie się po mnie wiele, kiedy jestem naprany.

Pynchot odchrząknął, lecz nie przypomniał, że podczas trzech pierwszych serii testów, które nie przyniosły najmniejszych rezultatów, Andy był czysty jak łąka.

– To znaczy, robiłem, co mogłem, doktorze Pynchot. Staralem się.

– Tak, tak. Oczywiście, że się starałeś. I myślimy – to znaczy ja myślę – że zasłużyłeś na odpoczynek. No więc Sklepik ma mały ośrodek na wyspie Maui; to na Hawajach, Andy. A ja wkrótce będę musiał napisać mój półroczny raport. Jak by ci się

podobało – uśmiech Pynchota rozciągnął się w przeraźliwy grymas prezentera telewizyjnego prowadzącego teleturniej, a głos przybrał ton, jakim dorosły oferuje dziecku niesłychany przywilej – jak by ci się podobało, gdybym zarekomendował wysłanie cię tam na jakiś czas?

Jakiś czas to pewnie ze dwa lata, pomyślał Andy. Może pięć. Będą chcieli mieć go na oku na wypadek, gdyby wróciła mu zdolność dominacji umysłowej, a może też, by mieć asa w rękawie na wypadek jakichś kłopotów z Charlie. Ale nie miał wątpliwości, że w końcu spotka go „wypadek”, „przedawkowanie” lub „samobójstwo”. W języku Orwella stanie się nieosobą.

– Czy dalej będę dostawał lekarstwo? – zapytał Andy.

– Ależ tak, oczywiście – odpowiedział Pynchot.

– Hawaje... – powiedział Andy z rozmarzeniem. A później spojrzał na Pynchota z miną wyrażającą, miał nadzieję, głupawe cwaniactwo. – A może doktor Hockstetter nie wypuści mnie stąd. Doktor Hockstetter mnie nie lubi. Ja to wiem.

– Och, pozwoli – zapewnił go Pynchot. – On cię lubi, Andy. A w każdym razie jesteś moim pacjentem, nie doktora Hockstettera. Zapewniam cię, on posłucha mojej rady.

– Ale nie napisałeś jeszcze notatki w tej sprawie?

– Nie. Myślałem, że lepiej najpierw porozmawiać z tobą. Ale tak naprawdę zgoda Hockstettera to tylko formalność.

– Mądrze byłoby przeprowadzić jeszcze jedną serię testów – powiedział Andy i lekko pchnął. – Tak dla świętego spokoju.

Pynchot nagle mrugnął dziwnie. Jego uśmiech zgasł, a później znikł całkowicie. Teraz on wyglądał jak naćpany i to sprawiło Andy’emu mściwą satysfakcję. W kwiatach brzęczały pszczoły. W powietrzu wisiał zapach świeżo ściętej trawy, ciężki i mdlący.

– W raporcie, który napiszesz, zasugeruj jeszcze jedną serię testów – powtórzył Andy.

Oczy Pynchota zabłyśły. Na usta triumfalnie powrócił uśmiech.

– Oczywiście, ta sprawa z Hawajami zostaje na razie między nami – powiedział. – Kiedy będę pisał raport, zasugeruję jeszcze jedną serię testów. Myślę, że to będzie mądrze. Dla świętego spokoju, wiesz.

– Ale potem będę mógł pojechać na Hawaje?

– Tak. Potem.

– A kolejna seria testów może zająć mniej więcej trzy miesiące?

– Tak, mniej więcej trzy miesiące. – Pynchot uśmiechnął się, jakby Andy był jego najlepszym uczniem.

Zbliżali się do jeziora. Po jego gładkiej powierzchni pływały leniwie kaczki. Na brzegu stało dwóch mężczyzn. Zza ich pleców młody agent w sportowej marynarce przyglądał się mężczyźnie i kobiecie w średnim wieku przechadzającym się po przeciwnej stronie. Ich odbicia w wodzie naruszały tylko długi, gładki ślad zostawiony przez jedną z białych kaczek. Andy pomyślał, że ta para wygląda niesamowicie – jak reklama ubezpieczenia listownego, z rodzaju tych, co po otwarciu niedzielnej gazety wypadają z niej na kolana... lub do kawy.

W głowie czuł ukłucia bólu. Nic poważnego. Ale w zdenerwowaniu omal nie pchnął Pynchota znacznie mocniej, niż musiał, a rezultaty mocnego pchnięcia młody człowiek mógł zauważyć. Nie sprawiał wrażenia, że ich obserwuje, ale nie oszukał Andy'ego.

– Opowiedz mi trochę o drogach i o okolicy – powiedział cicho do Pynchota i znów pchnął go leciutko. Z fragmentów różnych rozmów wiedział, że są niedaleko Waszyngtonu, ale nie aż tak blisko jak baza CIA w Langley. Poza tym nie wiedział nic.

– Ślicznie tu – powiedział Pynchot marząco – od czasu, gdy zasypali dziury.

– Tak, to bardzo ładne – stwierdził Andy i umilkł. Pchnięcie uruchamiało czasami niemal hipnotyczny ślad w pamięci pchniętej osoby, zazwyczaj dzięki jakiejś dalekiej asocjacji myślowej, i przerywanie tego, co się działo, nie było najmądrzejsze. Mogło spowodować efekt echa, echo mogło stać się rykoszetem, a rykoszet mógł prowadzić do... no, do wszystkiego. Zdarzyło mu się to kiedyś z nieśmiałym biznesmenem i wystraszyło Andy'ego śmiertelnie. Wszystko ostatecznie skończyło się dobrze, lecz jeśli przyjaciel Pynchot nagle zacząłby wrzeszczeć w napadzie strachu, nie doprowadziłoby to do szczęśliwego zakończenia.

– Moja żona pokochała ją – powiedział Pynchot tym samym, marzącym głosem.

– Co? Co pokochała twoja żona?

– Nową maszynę do mielenia odpadków. Jest bardzo... –
Ucichł.

– Bardzo ładna – podsunął Andy. Facet w sportowej marynarce przysunął się bliżej i Andy poczuł, jak cienka warstwa potu pokrywa mu ciało nad górną wargą.

– Bardzo ładna – zgodził się Pynchot i spojrzał niepewnie na jeziorko.

Agent Sklepiku przysunął się jeszcze bliżej i Andy zdecydował się zaryzykować jeszcze jedno pchnięcie... bardzo malutkie. Pynchot stał koło niego jak telewizor z rozwalonym kineskopem. Cień podniósł mały kawałek drewna i wrzucił go do wody. Drewnienko lekko spadło do jeziorka i po jego powierzchni rozeszły się błyszczące kręgi. Pynchot mrugnął.

– Okolica jest tu bardzo ładna – powiedział. – Pagórkowata, wiesz? Dobra do jeżdżenia konno. Jeździmy tu z żoną raz w tygodniu, jeśli możemy się wyrwać. Chyba Dawn jest najbliższą miejscowością na zachodzie... dokładnie na południowym zachodzie. Dawn jest całkiem małe. Leży przy autostradzie trzydzieści jeden. Na wschód najbliżiej jest Gether.

– Czy Gether leży przy autostradzie?

– Nie. Przy lokalnej szosie.

– A dokąd prowadzi autostrada trzysta jeden? Poza Dawn?

– No, oczywiście aż do Waszyngtonu, jeśli jedziesz na północ. A na południe prawie do Richmond.

Andy chciał teraz spytać o Charlie, lecz reakcja Pynchota trochę go przestraszyła. Związek pchnięcia z pojęciami żona, dziury, ładny i – najdziwniejsze – maszyna do mielenia odpadków był szczególny i jakoś niepokojący. Mogło się zdarzyć, że Pynchot, chociaż dostępny, nie był jednak dobrym obiektem. Mogło się zdarzyć, że Pynchot cierpiał na jakieś zaburzenia osobowości, ciasno opięte gorsetem normalności, pod którym ścierały się ze sobą Bóg wie jakie siły. Pchanie ludzi niestabilnych umysłowo mogło doprowadzić do różnego rodzaju nieprzewidywalnych konsekwencji. Gdyby nie było z nimi cienia, spróbowałyby (po tym wszystkim, co mu się dotąd zdarzyło, miał diabelnie mało obiekcji przeciw buszowaniu w głowie Pynchota), ale teraz był trochę przestraszony. Psychiatra z pchnięciem mógłby wielce przysłużyć się ludzkości... lecz Andy McGee nie był rzykantem.

Być może głupio wyciągać aż takie wnioski z jednej reakcji na jakiś ślad w pamięci; zdarzało mu się to wcześniej z mnóstwem ludzi, a tylko z niektórymi działało się coś niepokojącego, ale nie ufał Pynchotowi. Pynchot za często się uśmiechał.

Z głębi Andy'ego, z jakiejś studni w głębokiej podświadomości, przemówił zimny, morderczy głos: *Powiedz mu, żeby poszedł do domu i popełnił samobójstwo. Później go pchnij. Pchnij go mocno.*

Andy odrzucił tę myśl, przerażony i trochę chory.

– Cóż – powiedział Pynchot, oglądając się naokoło z uśmiechem. – Może *retournez-vous*?

– Jasne – odpowiedział Andy.

Zrobił początek. Ale o Charlie nadal nie wiedział nic.

6

NOTATKA MIĘDZYWYDZIAŁOWA

Od: Hermana Pynchota

Do: Patricka Hockstettera

Dnia: 12 września

Dot.: Andy McGee

Przez ostatnie trzy dni przestudiowałem wszystkie notatki i większość taśm, rozmawiałem też z McGee. Nie ma zasadniczej zmiany w sytuacji takiej, jaką omawialiśmy piątego września, ale chciałbym zawiesić pomysł z Hawajami na jakiś czas, jeśli nikt się temu nie sprzeciwi (jak mówi sam kapitan Hollister, „to tylko forsa”).

Tak naprawdę, Pat, wierzę, że mądrze byłoby przeprowadzić ostatnią serię testów – tak dla świętego spokoju. Po testach możemy pójść dalej i wysłać go na Hawaje. Ostatnia seria powinna zająć około trzech miesięcy.

Proszę o opinię, nim zabiorę się do koniecznej roboty papierkowej.

Herman

7

NOTATKA MIĘDZYWYDZIAŁOWA

Od: P.H.

Do: Hermana Pynchota

Dnia: 13 września

Dot.: Andy McGee

Nie kapuję! Kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem, zgodziliśmy się, i ty także, bez sprzeciwów – że McGee jest tak użyteczny jak przepalony bezpiecznik. Kiedy idziesz po linie, możesz stanąć tylko na pewien czas, wiesz?

Jeśli masz zamiar przeprowadzić kolejną serię testów – skróconą serię – proszę bardzo. W przyszłym tygodniu startujemy z dziewczynką, ale dzięki kretyńskim zakłóceniom z pewnego źródła sądzę, że jej współpraca może trwać nie za długo. Póki będzie trwała, może to niezły pomysł mieć w pobliżu jej ojca... jako „gaśnicę”???

Och tak, może to „tylko forsa”, ale to forsa podatników i beztroska pod tym względem rzadko bywa zalecana, Herm. Zwłaszcza przez kapitana Hollistera. Miej to na uwadze.

Planuj testy na sześć do ośmiu tygodni maksimum, chyba że będziesz miał rezultaty... a jeśli będziesz je miał, osobiście zjem twoje kapcie.

Pat

8

– Pieprzony skurwysyn – powiedział głośno Herm Pynchot, kończąc lekturę notatki. Wrócił do trzeciego akapitu; oto

Hockstetter – Hockstetter, który miał całkowicie zrekonstruowanego thunderbirda z 1958 roku, robiący jemu przytyki z powodu pieniędzy! Pynchot zgniół papier, wrzucił go do kosza i odchylił się w fotelu z ruchomym oparciem. Najwyżej dwa miesiące! To mu się nie podobało. Byłoby lepiej mieć trzy. Naprawdę czuł, że...

Oderwany i tajemniczy, w jego głowie pojawił się obraz maszyny do mielenia odpadków, którą zainstalował w domu. To też mu się nie podobało. Maszyna ostatnio jakoś zagnieździła mu się w głowie i najwyraźniej nie potrafił jej stamtąd wyrzucić. Pojawiała się zwłaszcza wtedy, kiedy próbował rozstrzygnąć

problem Andy'ego McGee. Czarna dziura w środku zlewu, osłonięta gumową osłoną... przypomina pochwę...

Odchylił się w krześle jeszcze głębiej i zaczął marzyć. Kiedy ocknął się nagle, z niepokojem stwierdził, że minęło prawie dwadzieścia minut. Przyciągnął do siebie wydrukowane formularze notatek i napisał do tego sukinsyna Hockstettera, odszczekując niewczesną wzmiankę o „forsie”. Musiał się powstrzymać przed prośbą o trzy miesiące (i za oczami znów pojawił mu się obraz czarnej, gładkiej dziury jego maszyny) – jeśli Hockstetter powiedział dwa, będą dwa. Ale jeśli osiągnie rezultaty z Andym, w piętnaście minut później Hockstetter znajdzie na biurku dwa kapcie rozmiar dziewięć, nóż, widelec i butelkę wody mineralnej na trawienie.

Skończył pisać, nabazgrał na dole *Herm* i usiadł, masując skronie. Bolała go głowa.

W szkole średniej i na uczelni Herm Pynchot był skrytym transwestytą. Lubił się ubierać w kobiece stroje, ponieważ sądził, że wygląda w nich... no, ślicznie. Na trzecim roku studiów, będąc członkiem Delta Tau Delta, został przyłapany przez dwóch członków tego bractwa. Ceną za ich milczenie było rytualne poniżenie, nieróżniące się wiele od uroczystości przysięgi, w której uczestniczył, i świetnie się bawił.

O drugiej nad ranem ci, co go przyłapali, rozsypali śmiecie po całej kuchni w akademiku, w którym była siedziba bractwa, i zmusili Pynchota, ubranego wyłącznie w damskie majtki, pończochy z pasem i biustonosz wypchany papierem toaletowym, do ich zebrania i umycia podłogi – w ciągłym strachu przed ujawnieniem tajemnicy; wystarczyło, by jakiś inny członek bractwa zszedł na dół na wczesne śniadanie.

Incydent zakończył się wspólną masturbacją; Pynchot sądził, że powinien dziękować losowi za takie zakończenie – prawdopodobnie wyłącznie ta ostatnia scena spowodowała, że rzeczywiście dotrzymali słowa. Ale i tak odszedł z bractwa, przestraszony, czując obrzydzenie do samego siebie – przede wszystkim dlatego, że to go jakoś podnieciło. Od tej chwili nigdy się nie „przebierał”. Nie był pedałem. Miał śliczną żonę i dwójkę zdrowych dzieciaków, i to dowodziło, że nie jest pedałem. Od lat nie myślał nawet o tym upokarzającym, obrzydliwym incydencie. A jednak...

W mózgu tkwił mu obraz maszyny do mielenia odpadków: gładkiej, czarnej dziury osłoniętej gumą. I coraz bardziej bolała go głowa.

Odezwało się echo, obudzone pchnięciem Andy'ego. Na razie poruszało się wolno, leniwie; przeważał tylko obraz maszyny związany z pojęciem „śliczne”.

Lecz echo przyspieszy, zmieni się w rykoszet.

Aż stanie się nie do zniesienia.

9

– Nie – powiedziała Charlie. – To nie tak. – Obróciła się i po raz kolejny wyszła z małego pokoju. Buzię miała bladą, napiętą, a pod oczami ciemne, czerwone sińce.

– Hej, co jest, zaczekaj chwilę. – Hockstetter rozłożył ręce.

– Co jest nie tak, Charlie?

– Wszystko – odpowiedziała dziewczynka. – Wszystko jest nie tak.

Hockstetter rozejrzał się po pokoju. W jednym rogu ustawiono kamerę Sony. Kable prowadziły poprzez wyłożoną korkiem ścianę – do magnetowidu umieszczonego w pokoju obserwacyjnym. Pośrodku, na stole, na stalowej tacy, leżały wiórki drewna. Po lewej od stołu stał elektroencefalograf z mnóstwem przewodów. Opiekował się nim młody człowiek w białym stroju.

– Niewiele mi to mówi – stwierdził Hockstetter. Ciągle uśmiechał się po ojcowsku, ale już się wściekł. Nie trzeba było telepatii, by się o tym dowiedzieć; wystarczyło spojrzeć mu w oczy.

– Nie słuchacie – powiedziała Charlie głośno. – Nikt z was mnie nie słucha, oprócz...

Oprócz Johna, ale tego nie mogę powiedzieć.

– Powiedz nam, jak to zrobić – poprosił Hockstetter.

Charlie nie dała się przebłagać.

– Gdybyście słuchali, tobyście wiedzieli. Stalowa taca z kawałkami drewna jest w porządku, ale tylko to. Stół jest drewniany, ściana łatwola... łatwopalna, tak samo jak ubranie tego gościa. – Wskazała na technika, który lekko drgnął.

– Charlie...

– I kamera też.

– Charlie, ta kamera...

– Jest z plastiku i jeśli rozgrzeje się wystarczająco, to eksploduje i kawałki będą latać wszędzie. I nie ma wody! Mówiłam wam, że kiedy się zacznie, muszę to pchnąć do wody. Tak mi mówili tatuś i mamusia. Albo... albo... – I Charlie rozpląkała się nagle. Chciała do Johna. Chciała do taty. A bardziej od wszystkiego, o wiele bardziej, nie chciała być w tym pokoju. Poprzedniej nocy wcale nie spała.

Ze swej strony Hockstetter przyglądał się jej z namysłem. Łzy, niestabilność emocjonalna... sądził, że to wszystko bardziej niż cokolwiek innego oznacza, że jest gotowa współpracować.

– Dobrze, Charlie – powiedział. – Już dobrze. Powiesz nam, co zrobić, a my to zrobimy.

– Słusznie. Albo nic nie dostaniecie.

Dostaniemy mnóstwo, ty zarozumiała, mała suko, pomyślał Hockstetter.

I – jak się okazało – miał całkowitą słuszność.

10

Późnym popołudniem zaprowadzili ją do zupełnie innego pokoju. Kiedy ją zabrali do mieszkania, zasnęła przed telewizorem – ciało miała wystarczająco młode, by zmusiło do współpracy przestraszony, zdezorientowany mózg – i spała niemal sześć godzin. Dzięki temu i dzięki hamburgerowi z frytkami na obiad czuła się znacznie lepiej, miała znacznie więcej kontroli.

Przez długą chwilę dokładnie przyglądała się pokojowi. Taca ze strużynami stała na metalowym stole. Ściany osłonięte były szarą, przemysłową stalą bez przykrycia.

– Ten technik tutaj ma na sobie azbestowy kombinezon i azbestowe kapcie – powiedział Hockstetter. Przemawiał do Charlie z góry, z tym swoim ojcowskim uśmiechem. Człowiek opiekujący się EEG wyglądał na zgrzanego, z pewnością nie było mu wygodnie. Miał na twarzy płócienną maskę przeciwdziałającą wdychaniu włókien azbestu.

Hockstetter wskazał na długą, prostokątną tafłę szkła, umieszczoną za przeciwległą ścianą.

– To jednostronne lustro – powiedział. – Kamera umieszczona jest za nim. A tu stoi wanna.

Charlie podeszła bliżej. Była to staroświecka wanna na nóżkach, zdecydowanie niepasująca do tego surowego wnętrza. Wypełniono ją wodą. Uznała, że to powinno wystarczyć.

– W porządku – powiedziała.

Hockstetter uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Doskonale.

– Tylko ty masz pójść do tamtego pokoju. Nie chcę na ciebie patrzeć, kiedy będę to robiła. – Charlie spojrzała na Hockstettera wzrokiem bez wyrazu. – Coś się może zdarzyć.

Ojcowski uśmiech Hockstettera lekko przygasł.

11

– Miała rację, wiesz – powiedział Rainbird. – Gdybyście jej słuchali, za pierwszym razem zrobilibyście wszystko jak trzeba.

Hockstetter spojrzał na niego i chrząknął.

– Ciągłe w to nie wierzysz, prawda?

Hockstetter, Rainbird i Kap stali naprzeciw jednostronnego lustra. Za ich plecami kamera wideo zaglądała w głąb pokoju, magnetowid Sony szumiał niemal niesłyszalnie. Szyba była lekko polaryzowana; wszystko, co znajdowało się w pokoju, w którym miała się odbyć próba, wydawało się błękitnawe jak krajobraz za oknem autobusu Greyhounda. Technik podłączał Charlie do EEG. Monitor w sali obserwacyjnej wyświetlał wykres jej fal mózgowych.

– Spójrzcie na fale alfa – mruknął któryś z techników. – Jest rzeczywiście spięta.

– Przestraszona – stwierdził Rainbird. – Jest naprawdę przestraszona.

– Ty w to wierzysz, prawda? – zapytał nagle Kap. – Z początku nie wierzyłeś, ale teraz wierzysz?

– Tak – odparł Rainbird. – Teraz wierzę.

W sąsiednim pokoju technik odsunął się od Charlie.

– Gotowi – powiedział.

Hockstetter przesunął dźwigienkę.

– Zaczynaj, Charlie. Kiedy tylko chcesz.

Charlie spojrzała w lustro i przez jedną niesamowitą chwilę wydawało się, że patrzy wprost w jedyne oko Rainbirda.

Rainbird wytrzymał jej spojrzenie, lekko się uśmiechając.

12

Charlie spojrzała w lustro i nie zobaczyła nic oprócz własnego odbicia... lecz bardzo wyraźnie czuła, że na nią patrzą. Chciała, aby był tam John; z nim czułaby się swobodniej. Ale nie miała wrażenia, że tam jest.

Spojrzała na tacę z wiórkami.

Nie miała pchnąć, miała ruszyć. Pomyślała o tym, że to robi, i znów poczuła obrzydzenie i strach, wiedząc, że chce to zrobić. Myślała o zrobieniu tego, tak jak ktoś zgrzany i głodny myśli o koktajlu czekoladowym z lodami; chciałby go połknąć jednym łykiem, ale najpierw czeka... zachwyca się chwilą oczekiwania.

Chęć ruszenia sprawiła, że Charlie najpierw zawstydziła się, a później gniewnie potrząsnęła głową. Dlaczego nie miałabym chcieć tego zrobić? Jeśli ludzie robią coś dobrze, zawsze chcą to robić. Mamusia robiła na drutach, a pan Doway, mieszkający na tej samej ulicy w Port City, zawsze wypiekał chleb. Kiedy Dowayowie mieli wystarczająco dużo chleba w domu, piekł chleb dla sąsiadów. Jeśli robisz coś dobrze, to chcesz to robić...

Strużyny, pomyślała z odcieniem pogardy. Powinni dać mi coś trudniejszego.

13

Pierwszy poczuł to technik. Grzał się w kombinezonie, pocił i czuł niewygodnie, i najpierw myślał, że to po prostu to. Potem zobaczył, że fale alfa małej wyostrzyły się, co jest znakiem maksymalnej koncentracji, a także uruchomienia wyobraźni.

Uczucie ciepła zwiększało się – i nagle chłopak poczuł strach.

14

– Coś się tam dzieje – powiedział jeden z techników z sali obserwacyjnej wysokim, podnieconym głosem. – Temperatura właśnie podskoczyła o przeszło pięć stopni. Fale alfa wyglądają jak cholerne Andy...

– Zaczyna się – oznajmił Kap. – Zaczyna się! – Jego głos wibrował z wielkiego triumfu, jak głos człowieka, co całe życie czekał na chwilę, która właśnie nadchodziła.

Ruszyła tacę ze strużynami tak mocno, jak tylko potrafiła. Kawałki drewna nie tyle stanęły w płomieniach, ile eksplodowały. Moment później sama taca, pryskając płonącymi węgielkami, wykręciła podwójne salto i uderzyła w ścianę z siłą wystarczającą do wgięcia pokrywającej ją stali.

Technik obserwujący na monitorze wykres EEG wrzasnął ze strachu i rzucił się jak szalenciec w kierunku drzwi. Jego krzyk przeniósł Charlie na lotnisko w Albany. Był to krzyk Eddiego Delgado biegnącego do damskiej toalety w żołnierskich butach buchających płomieniami.

W nagłym strachu i zachwycie Charlie pomyślała: O Boże, to się tak strasznie wzmocniło!

Na stalowej ścianie pojawiła się dziwna, ciemna zmarszczka. W pokoju było nieznośnie gorąco. W sali obserwacyjnej termometr cyfrowy wskazujący najpierw dwadzieścia dwa stopnie, a później dwadzieścia osiem, pokazał nagle ponad trzydzieści i zwolnił dopiero przy trzydziestu sześciu.

Charlie skierowała płomień do wanny; była już bliska paniki. Woda ożyła i stała się piekłem bąbelków. W ciągu pięciu sekund z chłodnej zmieniła się we wrzącą.

Technik opuścił pokój, beztrąsko zostawiając za sobą otwarte drzwi. W sali obserwacyjnej zapanował nagły, zaskakujący chaos. Hockstetter wrzeszczał. Kap stał przed szybą z szeroko otwartymi w zdumieniu ustami, patrząc na gotującą się w wannie wodę. W powietrze wzniosły się chmury pary i jednostronne lustro zaczęło powoli matowieć. Spokojny był tylko Rainbird; stał z rękami założonymi na plecach, uśmiechając się lekko. Wyglądał jak nauczyciel, którego najlepszy uczeń użył najtrudniejszych równań, by rozwiązać szczególnie skomplikowane zadanie.

Cofnij się.

Krzyk w głowie.

Cofnij się! Cofnij się! COFNIJ SIĘ!

I nagle znikło. Coś się odłączyło, obracało chwilę na jałowych obrotach, a później po prostu stanęło. Koncentracja załamała się i płomień odszedł. Znow widziała pokój i czuła, jak poci się z ciepła, które wywołała. W pokoju obserwacyjnym termometr

wskazał trzydzieści siedem stopni, a później opadł o pół stopnia. Woda, wściekle gotująca się w wannie, przestała syczeć; ale wyparowała jej przynajmniej połowa. Mimo otwartych drzwi w małym pokoiku było gorąco i duszno jak w łaźni.

16

Hockstetter gorączkowo sprawdzał pomiary. Jego włosy, zazwyczaj zaczesane porządnie i gładko, teraz wydawały się wrzeszczeć, rozsypały się i sterczały mu na karku. Przypominał Alfagę z *Klanu urwisów*.

– Mamy to – dyszał. – Mamy to, mamy to wszystko... na taśmie... wskaźnik wzrostu temperatury... widzieliście, jak gotowała się woda w wannie?... Jezu!... A nagranie dźwięku... mamy?... mój ty Boże, widzieliście, co zrobiła?

Minął jednego z techników, obrócił się gwałtownie i złapał go brutalnie za poły fartucha.

– Jak sądzisz, czy mogą być jakieś wątpliwości, że ona to sprawiła?

Technik, podniecony niemal tak jak sam Hockstetter, potrząsnął głową.

– Żadnych wątpliwości, szefie. Najmniejszych.

– Święty Boże. – Hockstetter znów się obrócił, znów zбитy z tropu. – Pomyślałbym... że coś... tak, coś... ale ta taca... poleciała...

Dostrzegł Rainbirda, ciągle stojącego przy oknie z rękami założonymi na plecach i z tym łagodnym, pełnym rozbawienia uśmiechem na ustach. Hockstetter zapomniał o dawnych sporach. Podbiegł do wielkiego Indianina, złapał go za rękę, i potrząsnął nią.

– Mamy to – powiedział mu z dziką satysfakcją. – Mamy to wszystko, to wystarczyłoby nawet jako dowód przed sądem. Przed samym pieprzonym Sądem Najwyższym!

– Tak, macie to – zgodził się spokojnie Rainbird. – A teraz lepiej wyślijcie kogoś po nią.

– Co? – Hockstetter spojrzał na niego tępo.

– Cóż – stwierdził Rainbird, ciągle tak samo łagodnie – facet, który tam siedział, chyba przypomniał sobie, że się z kimś umó-

wił, bo wyleciał, jakby ktoś mu podpalił tyłek. Zostawił otwarte drzwi i twoja podpalaczka właśnie przez nie wyszła.

Hockstetter zagapił się w szybę. Para skropiła się na niej gęściej, ale nie było wątpliwości, że pokój jest pusty. Była tam tylko wanna, aparatura EEG, leżąca na podłodze stalowa taca i płonące resztki strużyn.

– Niech ktoś za nią idzie! – wrzasnął, obracając się w koło. Pięciu czy sześciu mężczyzn stało przy instrumentach bez ruchu. Najwyraźniej nikt oprócz Rainbirda nie zauważył, że Kap wyszedł niemal równo z dziewczynką.

Rainbird uśmiechnął się do Hockstettera, a później podniósł wzrok, obejmując tym uśmiechem także innych mężczyzn, których twarze zbladły nagle na kolor ich laboratoryjnych fartuchów.

– Jasne – powiedział. – Który z was pójdzie po tę małą dziewczynkę?

Nikt się nie ruszył. Tak naprawdę to było nawet zabawne: Rainbird pomyślał, że pewnie tak właśnie będą wyglądać politycy, kiedy odkryją, że wreszcie się stało: że rakiety są już w powietrzu, że bomby spadają na ziemię jak deszcz, że miasta i lasy płoną. Było to tak zabawne, że zaczął się śmiać i nie mógł... i nie... mógł... przestać...

17

– Są takie piękne – powiedziała Charlie cicho. – Wszystko jest takie piękne.

Stali na brzegu jeziora, niedaleko miejsca, gdzie przed niewielu dniami stał z Pynchotem jej ojciec. Tylko ten dzień był już znacznie chłodniejszy, a niektóre liście zaczęły się przebarwiać. Powierzchnię jeziora marszczył wiatr, nieco zbyt mocny, by nazywać go wietrzykiem.

Charlie obróciła twarz do słońca i zamknęła oczy. Uśmiechała się. Stojący obok niej John Rainbird, który spędził sześć miesięcy jako strażnik obozu Camp Stewart w Arizonie, nim wybrał się za morze, widział podobny wyraz na twarzach mężczyzn wychodzących za bramę po ciężkich odsiadkach.

– Chciałabyś przespacerować się do stajni i obejrzeć konie?

– Och tak, oczywiście – odpowiedziała natychmiast, a później zerknęła na niego, zawstydzona. – To znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Przeciwno? Ja też jestem szczęśliwy, że wyszedłem na zewnątrz. To dla mnie jak wakacje.

– Przydzielili cię do mnie?

– Nie – odpowiedział. Wzdłuż brzegu jeziora ruszyli do stojących na przeciwległym brzegu stajni. – Szukali ochotników. Nie sądzę, żeby ich wielu znaleźli – po tym, co zdarzyło się wczoraj.

– Przestraszyłam ich? – spytała Charlie, odrobinę za słodko.

– Chyba tak – odpowiedział Rainbird i mówił najświętszą prawdę.

Kap dogonił maszerującą korytarzem Charlie i odprowadził ją z powrotem do mieszkania. Chłopak, który uciekł sprzed EEG, czekał na rozkazy przenoszące go do Panama City. Odprawa po próbie przypominała szpital wariatów; naukowcy, jednocześnie w najlepszej i najgorszej formie, jak z rękawa sypali nowymi pomysłami i strasznie – jak również nieco po fakcie – martwili się, jak tu ją kontrolować.

Proponowano, by zmienić jej mieszkanie w ognioodporne, by umieścić w nim na stałe strażnika, by znów zacząć stosować środki uspokajające. Rainbird wysłuchiwał tego wszystkiego tak długo, jak długo był w stanie znieść ich gadanie, a później głośno zastukał w krawędź stołu pierścionkiem z turkusem, który zawsze nosił na palcu. Stukał, póki nie skupił na sobie uwagi wszystkich. Ponieważ Hockstetter nie lubił go („nienawidził” nie byłoby prawdopodobnie zbyt mocnym słowem), nie lubiła go także jego stajnia naukowców, ale gwiazda Rainbirda wznosiła się mimo wszystko. W końcu to on spędzał ładny kawałek każdego dnia z tą ludzką pochodnią.

– Proponuję – powiedział, wstając i wpatrując się w nich złowrogo wzrokiem skupionym w straszliwej soczewce resztek swojej twarzy – żebyśmy postępowali nadal dokładnie tak jak przedtem. Aż do dzisiejszego dnia działaliście, przyjmując założenie, że dziewczynka prawdopodobnie nie ma zdolności, których istnienie, jak wszyscy wiecie, zostało wielokrotnie udowodnione, a jeśli je ma, to są to zdolności niewielkie, a jeśli nie są

niewielkie, to i tak prawdopodobnie nigdy ich nie użyje. Teraz wiecie już, że jest inaczej, i chcecie ją zaniepokoić odnowa.

– To nieprawda – odpowiedział rozgniewany Hockstetter. – To po prostu...

– To prawda! – wrzasnął na niego Rainbird i Hockstetter skulił się w krześle. Rainbird znów uśmiechnął się do siedzących przy stole ludzi. – Ona znów je. Przytyła pięć kilogramów i nie jest już tym zwiędłym cieniem samej siebie. Czyta, mówi, koloruje zeszyty i poprosiła o dom dla lalek; jej stary przyjaciel John Sprzątacz obiecał, że spróbuje go zdobyć. Mówiąc krótko, jej nastawienie jest lepsze niż kiedykolwiek, od momentu gdy tu się dostała. Panowie, nie zamierzamy chyba majstrować przy niezłej sytuacji, co?

Człowiek, który zajmował się przedtem sprzętem wideo, powiedział z wahaniem:

– A co, jeśli podpali to swoje mieszkanie?

– Gdyby miała zamiar – odpowiedział spokojnie Rainbird – już by to zrobiła.

Na to stwierdzenie nie było odpowiedzi.

W chwili gdy wraz z Charlie skręcili od jeziora w stronę ciemnoczerwonych stajni z widocznymi wyraźnymi liniami białej farby, Rainbird roześmiał się głośno.

– Chyba naprawdę ich przestraszyłaś, Charlie.

– A ty się nie boisz?

– A czemu miałbym się bać? – Rainbird zmierzwił jej włosy. – Szaleję ze strachu tylko zamknięty gdzieś w ciemności.

– Och, John, wcale nie musisz się tego wstydzić.

– Jeśli miałabyś mnie spalić – powiedział słowami, których użył poprzedniej nocy w innych okolicznościach – to chyba już byś spaliła.

Charlie momentalnie zeszytniała.

– Szkoda... szkoda, że w ogóle powiedziałeś coś takiego.

– Charlie, przepraszam. Czasami mówię szybciej, niż myślę.

Weszli do stajni, mrocznej i pachnącej. Przez szpary w ścianach wpadały stłumione promienie słońca, w ich liniach i plamkach z senną powolnością tańczyły żdźbła siana.

Chłopiec stajenny spletał grzywę czarnego wałacha z białą plamką na czole. Charlie zamarła, wpatrując się w konia z za-

chwyconym zdumieniem. Stajenny obrócił się, spojrzął na nią i uśmiechnął się.

– Ty musisz być tą panienką. Mówili mi, żebym na ciebie uważał.

– Jest taka piękna – szepnęła Charlie. Jej dłonie aż drżały z pragnienia dotknięcia jedwabistej końskiej skóry. Jedno spojrzenie w ciemne, łagodne, spokojne oczy konia i była zakochana.

– No, w zasadzie to on – powiedział stajenny i posłał perskie oko Rainbirdowi, którego nigdy przedtem nie widział i o którym nie wiedział absolutnie nic. – Do pewnego stopnia.

– Jak się nazywa?

– Wróż – odpowiedział chłopak. – Chcesz go pogłaskać?

Charlie podeszła do konia z wahaniem. Wróż pochylił głowę i dziewczynka pogłaskała go, a po kilku chwilach zaczęła do niego przemawiać. Nie przyszło jej nawet do głowy, że roznieciłaby kilkanaście ogni, byle tylko móc na nim pojeździć razem z Johnem... ale Rainbird dostrzegł to w jej oczach i uśmiechnął się.

Charlie obejrzała się nagle i dostrzegła ten jego uśmiech; na moment ręka, którą gładziła pysk konia, zamarła. Było w tym uśmiechu coś, co się jej nie podobało, a myślała, że w Johnie lubi wszystko. Wyczuwała większość ludzi i nigdy nie poświęcała temu szczególnej uwagi; to wycucie było jej częścią jak niebieskie oczy i dwa stawy kciuka. Niemal zawsze oceniała ludzi na podstawie tych uczuć. Nie lubiła Hockstettera, ponieważ czuła, że nie troszczy się o nią bardziej niż o laboratoryjną próbkę. Była dla niego tylko przedmiotem.

Ale w przypadku Johna jej sympatia opierała się tylko na tym, co zrobił, jaki był dla niej uprzejmy; a może częścią tej sympatii była jego zdeformowana twarz – z tego powodu mogła się z nim identyfikować i mogła mu współczuć. Mimo wszystko – dlaczego się tu znalazła, jeśli nie dlatego, że też jest dziwadłem? Ale poza tym był on jednym z tych rzadkich ludzi – jak pan Raucher, właściciel delikatesów w Nowym Jorku, który często grał w szachy z jej tatą – całkowicie dla niej zamkniętych. Pan Raucher był stary, nosił aparat wzmacniający słuch, a na przedramieniu miał wytatuowany wyblakły numer. Kiedyś zapytała taty, czy ten numer coś oznacza, i tata obiecał jej, że później to wyjaśni – ale najpierw ostrzegł, by nigdy nie wspominała

o tym panu Raucherowi. I nigdy nie wyjaśnił. Czasami pan Raucher przynosił jej kawałki kabanosa, które zajadała, oglądając telewizję.

A teraz, patrząc na uśmiech Johna, taki dziwny i jakoś niepokojący, po raz pierwszy zastanowiła się: Co ty sobie myślisz?

Lecz tę przelotną myśl prawie natychmiast wywiał jej z głowy zachwyty nad koniem.

– John – spytała – co to znaczy „Wróż”?

– Cóż, wydaje mi się, że to coś jak „czarnoksiężnik”, „mędrzec”.

– Czarnoksiężnik, mędrzec – powtarzała te słowa cicho, jakby je smakując, i głaskała ciemny jedwab pyska Wróża.

18

Odprowadzając Charlie ze stajni, Rainbird powiedział:

– Powinnaś poprosić Hockstettera, żeby pozwolił ci pojeździć na tym koniu, jeśli tak bardzo go polubiłaś.

– Nie... nie mogę...

– Ależ oczywiście, możesz – odparł, celowo udając niezrozumienie. – Niewiele znam się na wałachach, ale wiem, że podobno są łagodne. Ten wygląda na strasznie wielkiego, ale nie sądzę, żeby poniósł, Charlie.

– Nie. Nie o to mi chodziło. Oni mi po prostu nie pozwolą.

Rainbird zatrzymał dziewczynkę, kładąc jej ręce na ramionach.

– Charlie McGee, czasami jesteś straszny głuptas. Dałaś mi dobrą lekcję, wtedy kiedy zgasło światło, Charlie, i potrafiłaś utrzymać sekret. Więc teraz posłuchaj tego, co ja mam ci do powiedzenia. Chcesz znowu zobaczyć ojca?

Charlie skinęła głową gwałtownie.

– To musisz im pokazać, że to interes. Jak w pokerze, Charlie. Jeśli nie zaczynasz z pozycji siły... no, to w ogóle nie zaczynasz. Za każdym razem, kiedy rozniecisz im ogień, w którymś z tych ich testów, musisz coś od nich wyciągnąć. – Łagodnie potrząsnęła ją za ramiona. – Mówi ci to twój wujek John. Czy ty słyszysz, co mówię?

– Naprawdę myślisz, że mi pozwolą? Jeśli ich poproszę?

– Jeśli poprosisz? Może i nie. Ale jeśli zażadasz, to tak. Czasami słyszę, co mówią. Wyrzucasz śmieci z kosza i czyścisz im popielniczki, a oni myślą, że jesteś tylko jeszcze jednym meblem. Ten Hockstetter prawie sika w gacie.

– Naprawdę? – Charlie uśmiechnęła się lekko.

– Naprawdę. – Ruszyli przed siebie. – A co z tobą, Charlie? Wiem, jaka przestraszona byłaś przedtem. A jak się teraz z tym czujesz?

Milczała długo, a kiedy przemówiła, mówiła w sposób przemyślany i jakiś taki dorosły; Rainbird po raz pierwszy słyszał ją mówiącą w ten sposób.

– Teraz to jest inne. Znacznie mocniejsze. Ale... kontrolowałam to lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Tego dnia na farmie – Charlie zadrżała lekko, jej głos nieco przycichł – to... to po prostu na chwilę mi się wyrwało. I... i uciekło wszędzie. – Jej oczy pociemniały. Spojrzała we wspomnienia i zobaczyła kury wybuchające jak straszne żywe fajerwerki. – Ale wczoraj, kiedy kazałam temu się cofnąć, to się cofnęło. Powiedziałam sobie, że ma być tylko mały ogień. I był. Było tak, jakbym to wypuściła w jednej prostej linii.

– A potem wciągnęłaś w siebie?

– Boże, nie – powiedziała Charlie i spojrzała na Rainbirda. – Wypchnęłam do wody. Gdybym wciągnęła w siebie, to chyba... chyba sama bym się spaliła.

Przez chwilę szli w milczeniu.

– Następnym razem muszą dać więcej wody.

– Ale teraz już się nie boisz?

– Nie tak jak kiedyś – powiedziała, przeprowadzając dokładne rozróżnienie. – Jak myślisz, kiedy pozwolą mi zobaczyć się z tatą?

Poklepał ją po ramieniu, jak to między kumplami.

– Tylko daj im sznurek... – powiedział.

Po południu zaczęło się chmurzyć, a wieczorem spadł zimny, jesienny deszcz. W jednym z domów niewielkiego i bardzo ekskluzywnego przedmieścia w pobliżu kwatery Sklepiku – przedmieście to nazywało się Longmont Hills – Patrick Hockstetter

siedział w warsztacie, budował model statku (modele statków i odrestaurowany thunderbird stanowiły jego jedyne hobby; cały dom zastawiony był fregatami, statkami wielorybniczymi i statkami pocztowymi) i myślał o Charlie McGee. Był we wspaniałym nastroju. Sądził, że jeśli tylko wymusi na niej jeszcze z kilkanaście testów, a może wystarczy i dziesięć, nie będzie już musiał martwić się o przyszłość. Resztę życia spędzi, badając właściwości Próby Sześć... za sporo wyższą pensję. Ostrożnie przykleił bezanmaszt i zaczął pogwizdywać.

W innym domu w Longmont Hills Herman Pynchot przykrywał gigantyczną erekcję majtkami żony. Oczy miał ciemne, wzrok nieobecny. Żona wyszła na dobroczyzną herbatkę. Jeden z jego wspaniałych dzieciaków był na harcerskiej zbiórce, drugi z jego wspaniałych dzieciaków uczestniczył w turnieju szachowym w szkole. Pynchot uważnie zapiął jeden z biustonoszy żony, wiszący luźno na jego wątłej piersi. Przyjrzał się sobie w lustrze i pomyślał, że wygląda... no, bardzo ślicznie. Przeszedł do kuchni, nie przejmując się odsłoniętymi oknami. Szedł, jakby śnił. Zatrzymał się przy zlewie i spojrział w paszczę nowo założonej maszyny do mielenia odpadków. Po dłuższej, pełnej namysłu chwili włączył ją. I w rytm wirujących, trących o siebie stalowych zębów wziął w rękę członek i zaczął się onanizować. A po wytrysku drgnął i rozejrzał się wokół. W oczach miał ślepy strach, jak człowiek budzący się z koszmaru. Wyłączył maszynę i pobiegł do sypialni; mijając okna, pochylał się nisko. W głowie czuł ból i szum. Na litość boską, co się z nim dzieje?

W kolejnym domu w Longmont Hills, domu z widokiem na wzgórze – na coś takiego Hockstetterów i Pynchotów tego świata nie stać nigdy – Kap Hollister i John Rainbird siedzieli w pokoju gościnnym, popijając brandy z pękatych kieliszków.

Z wielkiego stereo sączyła się muzyka Vivaldiego. Vivaldi był ulubionym kompozytorem pani domu. Biedna Georgia.

– Zgadzam się z tobą – powiedział wolno Kap, po raz kolejny zastanawiając się, dlaczego zaprosił do domu człowieka, którego bał się i nienawidził. Dziewczynka miała niezwykłą moc, a jak przypuszczał, wielka moc pomagała nawiązać sojusz nawet z samym diabłem. – To, że wspomniała „następny raz” tak od niechcienia, jest niezwykle znaczące.

– Tak – odpowiedział Rainbird. – Wydaje się, że rzeczywiście możemy jeszcze grać na tej strunie.

– Ale nie w nieskończoność. – Kap poruszył kieliszkiem, w którym zawirowała brandy, i zmusił się, by popatrzeć w jedno błyszczące oko Rainbirda. – Chyba rozumiem, jak zamierzasz wzmocnić tę strunę, chociaż Hockstetter tego nie rozumie.

– Doprawdy?

– Tak – powiedział Kap, przerwał na chwilę i dodał: – To dla ciebie bardzo niebezpieczne.

Rainbird uśmiechnął się.

– Jeśli dowie się, po której stronie rzeczywiście jesteś, masz niezłą szansę na odkrycie, co czuje stek w kuchence mikrofalowej.

Uśmiech Rainbirda poszerzył się w pozbawiony wesołości uśmiech rekina.

– Czyżbyś przelał nade mną gorzką łzę, kapitanie Hollister?

– Nie. Nie ma sensu kłamać ci na ten temat. Ale już od jakiegoś czasu, jeszcze przed tym, nim ona to zrobiła, czuję unoszącego się wokół nas ducha doktora Wanlessa. Czasami wisi mi tuż za plecami. – Poprzez krawędź kieliszka Kap przyjrzał się Rainbirdowi. – Czy ty wierzysz w duchy, Rainbird?

– Tak. Wierzę.

– Więc wiesz, o czym mówię. W czasie naszego ostatniego spotkania Wanless próbował mnie ostrzec. Zrobił porównanie... – muszę sobie przypomnieć – ...do siedmioletniego Johna Milтона, który ledwie umie napisać czytelnie swe imię, a potem wyrasta na autora *Raju utraconego*. Mówił o niej... o jej zdolnościach destrukcji.

– Tak – powiedział Rainbird. Jego oko lśniło.

– Zapytał mnie, co zrobimy, jeśli odkryjemy, że mamy małą dziewczynkę zdolną dokonać postępów od rozniecania ognia do spowodowania eksplozji nuklearnej mogącej rozwalić całą planetę na połowy. Myślałem wtedy, że to śmieszne, denerwujące i że ten facet niemal na pewno jest szalony.

– Ale teraz myślisz, że mógł mieć rację.

– Powiedzmy, że czasami zastanawiam się nad tym o trzeciej nad ranem. Ty nie?

– Kap, kiedy ci z projektu Manhattan zdetonowali swą pierwszą bombę atomową, nikt nie był całkiem pewien, co się może

zdarzyć. Istniała grupa ludzi, którzy myśleli, że reakcja łańcuchowa nigdy się nie skończy – że miniaturowe słońce będzie płonąć na pustyni aż do skończenia świata.

Kap powoli pokiwał głową.

– Naziści też byli straszni – mówił dalej Rainbird. – I Japończycy byli straszni. A teraz Japończycy i Niemcy są fajni, a Rosjanie straszni. I muzułmanie są straszni. Kto wie, kto stanie się straszny w przyszłości?

– Ona jest niebezpieczna – powiedział Kap, wstając. Z niepokojem nie mógł wysiedzieć w fotelu. – W tym Wanless miał słuszność. To ślepa uliczka.

– Być może.

– Hockstetter powiedział, że w miejscu, w którym uderzyła taca, jest pęknięcie. To był arkusz stali, a mimo to pękł z gorąca. A sama taca odkształciła się nie do poznania. Ona ją stopiła. Ta mała dziewczynka mogła na moment wytworzyć tam temperaturę przekraczającą tysiąc sześćset stopni Celsjusza. – Kap spojrział na Rainbirda, ale Rainbird bez zainteresowania rozglądał się po pokoju, jakby nie ciekawiła go już ta rozmowa. – Próbuje tylko powiedzieć, że to, co zamierzasz, jest niebezpieczne dla nas wszystkich, nie tylko dla ciebie.

– Tak, oczywiście – zgodził się potulnie Rainbird. – To ryzykowne. Może nie powinniśmy tego robić. Może Hockstetter dostanie, czego chce, nim trzeba będzie... no... wprowadzić w życie plan B.

– Hockstetter należy do pewnej kategorii ludzi – stwierdził Kap stanowczo. – Jest nałogowym zbieraczem informacji. Nigdy nie będzie mu dość. Może ją sobie testować i dwa lata, a kiedy ją... kiedy ją usuniemy, zacznie wrzeszczeć, że postępujemy zbyt pochopnie. Ty to wiesz i ja to wiem, więc przestańmy udawać.

– Kiedy nadejdzie czas, będziemy wiedzieć. Ja będę wiedział.

– I co się wtedy zdarzy?

– Przyjdzie John Przyjazny Sprzątac – powiedział Rainbird, uśmiechając się lekko. – Powitają, porozmawia z nią, sprawi, że ona się uśmiechnie. John Przyjazny Sprzątac uczyni ją szczęśliwą, bo tylko on to potrafi. A kiedy John poczuje, że osiągnęła moment największego szczęścia, uderzy ją w grzbiet nosa, łamiąc go nagle tak, że odłamki kości utkwą w mózgu. To zdarzy się szybko... i cały czas będzie jej patrzył w oczy.

Uśmiechnął się – tym razem nie był to uśmiech rekina. Jego uśmiech był łagodny, pogodny... i ojcowski. Kap wypił swą brandy. Potrzebował jej. Mógł tylko mieć nadzieję, że Rainbird rzeczywiście rozpozna nadejście właściwej chwili, bo inaczej oni wszyscy mogą się dowiedzieć, co czuje stek w kuchence mikrofalowej.

– Jesteś szalony – powiedział. Te słowa wyrwały mu się i nie zdołał ich powstrzymać, ale Rainbird nie wydawał się obrażony.

– Och, oczywiście – powiedział, wypił swą brandy i wyszedł uśmiechnięty.

20

Wielki Brat. Wielki Brat to był problem.

Andy, zamknięty w swym mieszkaniu, przeszedł z dużego pokoju do kuchni, zmuszając się, by iść wolno, by utrzymać na twarzy lekki uśmiech – chód i uśmiech człowieka zaćpanego przyjemnie, lecz całkowicie.

Jak dotąd udało mu się tylko zostać tutaj, blisko Charlie, i odkryć, że najbliższą drogą jest autostrada 31 i że teren wokół jest raczej wiejski. Wszystkiego tego dokonał przed tygodniem. Od awarii minął miesiąc, a on nadal nie dowiedział się niczego nowego o planie ośrodka; wiedział tyle, ile zauważył podczas przechadzek z Pynchotem.

Nie chciał pchać nikogo tu, w swym mieszkaniu, ponieważ Wielki Brat zawsze słuchał i patrzył. I nie chciał już pchać Pynchota, ponieważ Pynchot pękał – tego Andy był pewien. Od czasu ich przechadzki nad stawkiem Pynchot stracił na wadze. Oczy miał podkrążone, jakby kiepsko sypiał. Czasami zaczynał mówić, a później przerywał, jakby tracił wątek... albo jakby mu przerwano.

A wszystko to powodowało, że pozycja Andy'ego była coraz trudniejsza.

Ile trzeba czasu, by przyjaciele Pynchota zauważyli, co się z nim dzieje? Mogą myśleć, że to tylko napięcie nerwowe, lecz przypuśćmy, że zwiążą to z nim? To zmniejszyłoby do zera i tak wątłutkie szanse Andy'ego na wyrwanie się stąd wraz z Charlie. A uczucie, że Charlie ma poważne kłopoty, było coraz mocniejsze.

Na miłość boską, co zrobić z Wielkim Bratem?

Wyjął z lodówki puszkę soku, wrócił do pokoju i rozsiadł się przed telewizorem, nie widząc nic, myśląc i bez przerwy szukając wyjścia z sytuacji. Ale kiedy pojawiło się wyjście, było (jak awaria elektryczności) całkowicie niespodziane. W pewien sposób otworzył mu to wyjście Herman Pynchot; a zrobił to, popełniając samobójstwo.

21

Przyszło po niego dwóch. Jednego rozpoznał z farmy Mandersów.

– Idziemy, panie kolego – powiedział ten znany. – Mały spacer.

Andy uśmiechnął się głupio, ale gdzieś, wewnątrz, poczuł narastający strach. Coś się stało. Stało się coś złego; nie wysyłają facetów takich jak ci, jeśli stało się coś dobrego. Może się o nim dowiedzieli. Faktycznie było to najbardziej prawdopodobne.

– Dokąd?

– No, chodź.

Zaprowadzili go do windy, ale kiedy wyszli z sali balowej, ruszyli w głąb domu, a nie na zewnątrz. Minęli halę maszyn i weszli do mniejszego pokoju, w którym sekretarka przepisywała listy na elektronicznej IBM-ce.

– Możecie wejść od razu – powiedziała sekretarka.

Minęli ją z prawej strony i weszli do małego gabinetu z wykuszowym oknem, z którego, przez zasłonę niskich olch, widać było stawek. Za staroświeckim biurkiem z blatem przykrywanym rolowaną osłoną siedział starszy mężczyzna o bystrej, inteligentnej twarzy; policzki miał różowe, ale raczej od słońca i wiatru niż trunków. Tak przynajmniej pomyślał Andy.

Mężczyzna spojrział na niego, a później skinął na dwóch gości, którzy go tu wprowadzili.

– Dziękuję. Możecie poczekać na zewnątrz.

Wyszli.

Mężczyzna za biurkiem bystro przyglądał się Andy'emu. Andy odpowiedział mu bezmyślnym spojrzeniem, ciągle lekko uśmiechnięty. W Bogu miał nadzieję, że nie przesadza.

– Cześć, jak się nazywasz? – zapytał.

– Nazywam się kapitan Hollister, Andy. Możesz mówić do mnie Kap. Mówią, że rządzą tym tu wariatkowem.

– Miło mi pana poznać – powiedział Andy i uśmiechnął się nieco szerzej. Gdzieś, w środku, napięcie podniosło się o kolejny stopień.

– Mam dla ciebie smutną wiadomość, Andy.

O nie Boże nie Charlie coś się stało Charlie!

Kap patrzył na niego tymi swoimi nieruchomymi, małymi, cwanyimi oczkami; oczkami pogrążonymi tak głęboko w przyjemnej siateczce drobnych zmarszczek, że niemal nie sposób było zauważyć, jakie są zimne i czujne.

– Och?

– Tak – powiedział Kap i zamarł na moment. Cisza przedłużała się, straszliwie bolesna.

Kap wpatrzył się w swoje ręce, równo złożone na leżącym przed nim bibularzu. Andy zmuszał się całym wysiłkiem woli, by nie skoczyć przed biurko i nie zadusić go. Kap spojrzał w górę.

– Doktor Pynchot nie żyje, Andy. Zabił się wczoraj w nocy. Andy’emu szczęka opadła w nieudawanym zdumieniu.

Przebiegły po nim na zmianę fale ulgi i przerażenia. A ponad innymi uczuciami, jak skłębione niebo nad wzburzonym morzem, pojawiło się zrozumienie, że zmienia to wszystko... ale jak? Jak?

Kap przyglądał mu się uważnie. On podejrzewa. On coś podejrzewa. Ale czy podejrzewa na serio, czy to tylko część jego pracy?

Sto pytań. Potrzebował czasu, by pomyśleć; i nie miał czasu. Będzie musiał myśleć w locie.

– To cię zaskoczyło? – spytał Kap.

– Był moim przyjacielem – odparł Andy po prostu i w ostatniej chwili powstrzymał się, by nie powiedzieć więcej. Ten człowiek będzie słuchał cierpliwie; będzie robił długie przerwy po każdej jego kwestii (takie jak teraz) i będzie czekał, aż on sam się wkopie, aż powie coś, nim zdąży pomyśleć. Typowa technika przesłuchań. A w tej dżungli czyhały pułapki na ludzi, Andy mocno je wyczuwał. Oczywiście, to było echo. Echo, które przeszło w rykoszet. Pchnął Pynchota i wszczął rykoszet, który rozszarpał faceta na kawałki. I mimo wszystko, w głębi serca, Andy

wcale nie czuł się winny. Czuł przerażenie... i obecność jaskiniowca wywijającego koziołki z radości.

– Czy jest pan pewien, że... to znaczy, wypadek może czasami wyglądać jak...

– Obawiam się, że to nie był wypadek.

– Zostawił list?

Obciążając mnie winą?

– Ubrał się w bieliznę żony, poszedł do kuchni, uruchomił maszynę do mielenia odpadków i wsadził w nią rękę.

– O... mój... Boże! – Andy usiadł ciężko. Gdyby nie trafił na krzesło, siadłby na podłodze. Nie czuł nóg. Wpatrywał się w Kapa Hollistera chory ze strachu.

– Ty nie masz z tym nic wspólnego, prawda, Andy? – zapytał Kap. – Chyba nie popchnąłeś go do tego?

– Nie – odpowiedział Andy. – Nawet gdybym ciągle umiał to robić, to po co miałbym robić coś takiego?

– Może dlatego, że chciał cię wysłać na Hawaje? Może nie chciałeś pojechać na Maui, ponieważ tu zostaje twoja córka. Może przez cały czas wprowadzałeś nas w błąd, Andy?

I chociaż Kap Hollister niemal otarł się o prawdę, Andy poczuł, jak spada mu z serca ciężar. Gdyby Kap naprawdę sądził, że to on popchnął Pynchota do samobójstwa, nie rozmawialiby teraz w cztery oczy. Nie, Kap tylko przeprowadzał rutynową rozmowę, nic więcej. Najprawdopodobniej mieli w aktach wszystko, co mogło usprawiedliwić samobójstwo Pynchota bez przywoływania scenariusza skomplikowanego morderstwa. Czy nie udowodniono, że wśród psychiatrów odsetek samobójstw jest największy?

– Nie, to nieprawda – powiedział Andy. Mówił głosem pełnym strachu, zmieszania, niemal bełkotał. – Chciałem pojechać na Hawaje. Powiedziałem mu to. Pewnie dlatego chciał przeprowadzić więcej testów, że ja chciałem jechać. Nie sądzę, żeby pod pewnymi względami mnie lubił. Ale na pewno nie miałem nic wspólnego z tym... z tym, co się z nim stało.

Kap przyglądał mu się z namysłem. Ich oczy spotkały się na chwilę i Andy spuścił wzrok.

– Cóż, wierzę ci, Andy. Ostatnio Herm Pynchot żył w dużym stresie. Przypuszczam, że to nasze ryzyko zawodowe. Godne pożałowania. Dodając do tego jego utajony transwestytyzm... cóż,

to będzie cios dla jego żony. Wielki cios. Ale my troszczymy się o swoich, Andy. – Andy czuł, jak przewiercają go oczy tego człowieka. – Tak, zawsze troszczymy się o swoich ludzi. To najważniejsze.

– Jasne – powiedział Andy bezdźwięcznie.

Nastąpiła przedłużająca się chwila ciszy. Po jakimś czasie Andy zerknął w górę, spodziewając się, że Kap będzie go obserwował. Lecz Kap patrzył przez okno, na trawnik i olchy; twarz miał obwisłą, zmęczoną, starą; wyglądał jak człowiek, którego skusiły rozmyślenia o dawnych, być może szczęśliwszych czasach. Dostrzegł wzrok Andy'ego i przez jego twarz przebiegł wyraz lekkiego obrzydzenia, który zaraz znikł. W sercu Andy'ego zapłonęła nagle gorzka nienawiść. Dlaczego ten Hollister patrzy na niego z obrzydzeniem? Na krześle przed sobą widzi tłustego narkomana; przynajmniej sądzi, że to właśnie widzi. Lecz – kto wydawał rozkazy? I co ty robisz mojej córce, ty potworze?

– No, tak – powiedział Kap. – Jestem szczęśliwy, mogąc ci oznajmić, że i tak wyjeżdżasz na Maui, Andy. Czy nie mówią czegoś o złym wietrze przynoszącym dobre wieści? Już kompletuję papiery.

– Ale... zaraz, pan chyba nie myśli, że miałem coś wspólnego z tym, co przydarzyło się doktorowi Pynchotowi, prawda?

– Nie, oczywiście że nie – znów małe, podświadome drgnięcie obrzydzenia. I tym razem Andy poczuł wstrętne zadowolenie, które jak przypuszczał, musi czuć Murzyn, gdy z powodzeniem przywalił łomem niesympatycznemu białemu. Ale satysfakcję zagłuszył alarm obudzony słowami „Już kompletuję papiery”.

– No, to fajnie. Biedny doktor Pynchot. – Andy opuścił wzrok tylko na ułamek sekundy, a później zapytał entuzjastycznie: – To kiedy jadę?

– Jak najszybciej. Najpóźniej w końcu przyszłego tygodnia. Najwyżej dziewięć dni! – Ugodziło go to jak potężny cios w brzuch. – Miło się z tobą rozmawiało, Andy. Przykro mi, że musieliśmy się spotkać w tak nieprzyjemnych okolicznościach. – Kap sięgał po przycisk interkomu i Andy nagle zorientował się, że nie może mu na to pozwolić. W swoim pokoju, przy tych wszystkich kamerach i pluskwach, niewiele mógł zdziałać. Ale jeśli ten facet to rzeczywiście szycha, w jego gabinecie nie bę-

dzie nic, jego gabinet regularnie przeczesywano. Oczywiście, mogą tu być jego pluskwy, ale...

– Opuść rękę – powiedział Andy i pchnął.

Kap zawahał się. Cofnął rękę i położył obok tej drugiej na bi-bularzu. Zerknął na trawnik z nieobecny wyrazem twarzy, wskazującym na to, że wspomina.

– Nagrywasz prowadzone tu rozmowy?

– Nie – odpowiedział spokojnie Kap. – Przez dłuższy czas miałem włączanego głosem uhera 5000; takiego jak ten, który wpędził w kłopoty Nixona, ale cztery tygodnie temu kazałem go stąd zabrać.

– Dlaczego?

– Ponieważ wyglądało na to, że stracę pracę.

– Dlaczego sądziłeś, że stracisz pracę?

Bardzo szybko, jakby odmawiał jakąś litanie, Kap wyrecytował:

– Brak wyników. Brak wyników. Rezultaty usprawiedliwiają nakłady. Zmieńcie człowieka na szczycie. Żadnych nagrań. Żadnego skandalu.

Andy próbował to sobie przemyśleć. Czy to wszystko prowadziło go w kierunku, w którym chciał podążać? Nie potrafił powiedzieć, a nie miał czasu na rozważania. Czuł się jak najgłupsze, upośledzone dziecko, szukające najładniejszej pisanki na Wielkanoc. Zdecydował, że pójdzie tym tropem jeszcze trochę.

– Dlaczego nie było wyników?

– McGee nie ma już żadnych zdolności dominacji umysłowej. Całkowicie wykończony. Wszyscy się z tym zgadzają. Dziewczynka nie chce niczego podpalić. Mówi, że nie będzie, żeby nie wiem co. Ludzie mówili, że oszalałem na punkcie Próby Sześć. Wysadziło bezpieczniki. – Kap uśmiechnął się. – Teraz już wszystko dobrze. Nawet Rainbird tak mówi.

Andy powtórzył pchnięcie i poczuł w głowie ukłucie bólu.

– Dlaczego dobrze?

– Były już trzy testy. Hockstetter wpadł w ekstazę. Wczoraj podpaliła fragment arkusza stali. Temperatura punktowa powyżej tysiąca trzystu stopni Celsjusza. Tak mówi Hockstetter.

Szok spowodował nasilenie bólu głowy; spowodował, że trudniej było zapanować nad natłokiem myśli. Charlie roznieca ogień? Co oni jej zrobili? Na Boga, co oni jej zrobili?!

Otwierał już usta, by zadać to pytanie, kiedy zabrzączał interkom. Zaskoczony, pchnął mocniej, niż to było konieczne. Przez chwilę omal nie władował w Kapa wszystkiego, co miał. Kap drgnął, jakby uderzono go elektrycznym, bydłym prętem.

Zabulgotał cicho, a z jego twarzy spęłzył niemal cały kolor. Ból głowy podskoczył o kilkanaście stopni skali i Andy – bez sensu – ostrzegł się w myśli: nie przesadzaj, wylew w tym pokoju w niczym nie pomoże Charlie.

– Przestań – jęknął Kap. – Boli.

– Powiedz im: „Żadnych rozmów przez następnych dziesięć minut”. – Gdzieś tam czarny koń uderzył kopytami w drzwi stajni, chciał się wyrwać, chciał wyrwać się na wolność. Andy poczuł, jak po policzkach spływa mu tłusty pot.

Interkom zabrzączał po raz drugi. Kap pochylił się i wcisnął guzik. Jego twarz postarzała się o piętnaście lat.

– Kap, jest tu doradca senatora Thompsona z tymi liczbami, o które prosiłeś w związku z projektem Skok.

– Żadnych rozmów przez następnych dziesięć minut. – Kap wyłączył interkom.

Andy siedział skąpany w pocie. Czy to ich powstrzyma? Czy też wyczują niebezpieczeństwo? Jak to często krzyczał Willy Loman, płoną lasy. Chryste, po co teraz myśleć o Willym Lomanie? Dostaje świra. Czarny koń wkrótce wyrwie się na wolność, będzie można się na nim przejechać. Omal nie zachichotał.

– Charlie roznieca ogień?

– Tak.

– Jak ją do tego zmusiliście?

– Kij i marchewka. Pomysł Rainbirda. Za pierwsze dwa pozwoliliśmy jej wyjść na zewnątrz. Teraz jeździ konno. Rainbird myśli, że to podziała na kolejne kilka tygodni. – I Kap powtórzył: – Hockstetter jest w ekstazie.

– Kim jest ten Rainbird? – zapytał Andy, nie mając bladego pojęcia, że tym pytaniem właśnie rozbił bank.

Kap mówił krótkimi zdaniami przez następnych pięć minut. Powiedział Andy’emu, że Rainbird to cyngiel Sklepiku, że był ciężko ranny w Wietnamie i stracił tam oko (jednooki pirat z moich snów, pomyślał tępo Andy). Opowiedział, że to Rainbird dowodził operacją Sklepiku, która doprowadziła do ich uwięzienia nad jeziorem Tashmore. Opowiedział o awarii i natchnieniu,

w którym Rainbird zrobił pierwszy krok na ścieżce prowadzącej do Charlie, rozniecającej ogień w warunkach laboratoryjnych. I w końcu opowiedział, że Rainbird osobiście interesuje się tylko życiem Charlie, które ma jej odebrać, gdy pęknie w końcu napięta struna kłamstw. Mówił o tym głosem pozbawionym emocji, ale z jakimś naciskiem. Później umilkł.

Andy słuchał z rosnącym gniewem... i strachem. Kiedy Kap skończył recytację, Andy drżał na całym ciele. Charlie, pomyślał. Och, Charlie.

Dziesięć minut już prawie upłynęło, a tyle jeszcze musiał się dowiedzieć! Obaj siedzieli w milczeniu przez mniej więcej czterdzieści sekund; gdyby ktoś ich obserwował, mógłby dojść do wniosku, że oto siedzą tu starzy przyjaciele, którzy niczego już nie muszą sobie mówić. Andy myślał intensywnie.

– Kapitanie Hollister?

– Tak?

– Kiedy jest pogrzeb Pynchota?

– Pojutrze.

– Jedziemy tam. Razem. Czy pan to rozumie?

– Tak. Rozumiem. Jedziemy na pogrzeb Pynchota.

– Ja pana o to poprosiłem. Załamałem się i płakałem, kiedy dowiedziałem się o jego śmierci.

– Tak. Załamałeś się i płakałeś.

– Bardzo się zdenerwowałem.

– Tak. Bardzo.

– Pojedziemy pańskim prywatnym samochodem, tylko we dwóch. W samochodach za nami i przed nami mogą być ludzie Sklepiku, i motocykle po obu stronach, jeśli to standardowa procedura operacyjna, ale my jedziemy sami. Czy pan to rozumie?

– Tak, oczywiście. To zupełnie jasne. Tylko my dwaj.

– I w samochodzie porządnie sobie pogadamy. Czy to też pan rozumie?

– Tak, porządnie pogadamy.

– Czy samochód jest na podsłuchu?

– Absolutnie nie.

Andy znów zaczął go pchać, serią lekkich dotknięć. Za każdym pchnięciem Kap podskakiwał lekko i Andy wiedział, że zrobił wszystko, by spowodować jeszcze jedno echo. Ale musiał to zrobić.

– Porozmawiamy o tym, gdzie trzymacie Charlie. Porozmawiamy, jak spowodować zamieszanie w tym miejscu bez blokowania drzwi, jak to się zdarzyło z powodu burzy. I porozmawiamy o sposobach, dzięki którym razem z Charlie będziemy się mogli stąd wyrwać.

– Nie macie stąd uciec – powiedział Kap pełnym nienawiści, dziecinnym głosem. – Tego nie było w scenariuszu.

– Teraz jest – powiedział Andy i pchnął jeszcze raz.

– Auuuuu...! – jęknął Kap.

– Czy to rozumiesz?

– Tak, rozumiem, nie, nie rób tego więcej, to boli!

– Ten Hockstetter. czy on nie sprzeciwi się temu, żebym pojechał na pogrzeb?

– Nie, Hockstetter zajmuje się teraz niemal tylko dziewczynką i nie myśli o niczym innym.

– To dobrze. – Wcale nie było dobrze. Było rozpaczliwie. – Ostatnia sprawa, kapitanie Hollister. Zapomnisz o tym, że odbyliśmy tę małą pogawędkę.

– Tak, mam zamiar zapomnieć o pogawędce.

Czarny koń wyrwał się na wolność. Galopował. Wyprowadźcie mnie stąd, pomyślał słabo Andy. Wyprowadźcie mnie stąd, koń wyrwał się na wolność i płoną lasy. Migrena zbliżała się w uderzeniach mdlącego bólu.

– Wszystko, co ci powiedziałem, objawi ci się naturalnie jako twój własny pomysł.

– Tak.

Andy spojrział na biurko Kapa i zobaczył na nim pudełeczko papierowych chusteczek do nosa. Wziął jedną i zaczął pocierać nią oczy. Nie płakał, ale migrena sprawiła, że oczy mu łzawiły. I dobrze.

– Mogę wyjść – powiedział Kapowi.

Wstał. Z bezmyślnym namysłem Kap jeszcze raz popatrzył na olchy. Powoli jego twarz zaczęła odzyskiwać wyraz; obrócił się w stronę Andy'ego, który ciągle wycierał sobie oczy i pociągał nosem.

– Jak się teraz czujesz, Andy?

– Trochę lepiej – odpowiedział Andy. – Ale... wie pan... usłyszeć coś takiego...

– Tak, bardzo się zdenerwowałeś. Chciałbyś kawy czy czegoś?

– Nie, dziękuję. Proszę, chciałbym wrócić do siebie.

– Oczywiście. Odprowadzę cię do drzwi.

– Dziękuję.

22

Dwaj mężczyźni, którzy doprowadzili Andy'ego do gabinetu, przyjrzeni mu się z pełną wątpliwości podejrzliwością: chusteczka, czerwone załzawione oczy, ojcowski gest, z jakim Kap obejmował go ramieniem. Podobny wyraz pojawił się w oczach sekretarki Kapa.

– Załamał się i płakał, kiedy mu powiedziałem, że Pynchot nie żyje – wyjaśnił spokojnie Kap. – Bardzo się zdenerwował. Chyba postaram się załatwić, żeby mógł pojechać ze mną na pogrzeb Hermana. Chciałbyś, Andy, prawda?

– Tak – odpowiedział Andy – proszę. Jeśli da się to załatwić. Biedny doktor Pynchot. – I nagle Andy rozpłakał się naprawdę. Dwaj faceci przeprowadzili go koło zdumionego i zażenowanego doradcy senatora Thompsona trzymającego w rękach kilka niebieskich teczek i wyprowadzili, ciągle płaczącego, delikatnie trzymając go za łokcie. Obaj mieli podobny jak Kap wyraz twarzy – wyraz obrzydzenia tym tłustym narkomanem, który całkowicie stracił kontrolę nad uczuciami i umiejętność oceny faktów, i płakał z powodu śmierci człowieka, który trzymał go w klatce.

A Andy płakał naprawdę... ale płakał z żalu nad Charlie.

23

John jeździł z nią zawsze, ale w snach Charlie jeździła sama. Szef stajennych, Peter Drabble, dał jej małe eleganckie damskie siodło, ale w snach Charlie jeździła na oklep. Z Johnem jeździła ścieżkami, wijącymi się po terenach Sklepiku, wpadającymi i wypadającymi z małego sosnowego zagajnika i okrążającymi stawek; nie szybciej niż lekkim kłusem, ale w snach Charlie i Wróż galopowali razem, szybciej, coraz szybciej, poprzez prawdziwy las; w pełnym galopie przebiegali dzikie leśne ścież-

ki, światło słońca było zielone od krzyżujących się nad ich głowami gałęzi, a włosy dziewczynki powiewały, rozpuszczone.

Charlie czuła grę mięśni Wróża pod jego jedwabistą skórą, ręce wplecione miała w jego grzywę i szeptała mu do ucha, że chce galopować szybciej... szybciej... szybciej.

A Wróż odpowiadał na jej szept. Uderzenia podków były jak grzmot. Ścieżka w dzikim zielonym lesie wydawała się tunelem, a gdzieś, spoza pleców Charlie, dobiegał słaby trzask i – płoną lasy – widać było wstążkę dymu. To ona roznieciła ten ogień, ale nie czuła wstydu, lecz zachwyt. Są szybsi od ognia. Wróż pobiegnie wszędzie, zrobi wszystko. Uciekną z tego tunelu lasu. Przed sobą czuła jasność.

– Szybciej. Szybciej.

Zachwyt. Wolność. Już nie potrafiła powiedzieć, gdzie kończą się jej uda, a zaczyna ciało Wróża. Wtopili się w siebie, wtopili się tak mocno jak metal, który spoiła swą mocą na początku testów. Przed sobą widziała stos połamanych drzew, drzew powalonych przez wiatr, spiętrzonych w ścianę białą jak ściana splątanych kości. Z szaloną radością uderzyła Wróża bosymi stopami i czuła, jak spręża się jego ciało.

Skoczyli i przez moment lecieli w powietrzu. Odrzuciła głowę, mocniej chwyciła się grzywki i krzyknęła – nie ze strachu, lecz dlatego, że gdyby nie krzyknęła, gdyby wstrzymała się od krzyku, mogłaby eksplodować. Wolni, wolni, wolni... Wróżu, Kocham cię.

Z łatwością przeskoczyli przez powalone drzewa, lecz zapach dymu był teraz wyraźniejszy, czystszy – z tyłu rozległ się trzask i dopiero gdy z góry spadła, wirując, iskra i ukłuła jej ciało w swej drodze na ziemię, Charlie zorientowała się, że jest naga. Naga i – lecz płoną lasy – wolna, nieskrępowana, swobodna – ona i Wróż, pędzący do światła.

– Szybciej – szepnęła Charlie. – Och, proszę cię, szybciej.

Jakimś cudem wielki czarny wałach pobiegł szybciej. Wiatr, powiewający w jej uszach, huczał grzmotem. Nie musiała oddychać; wiatr wciskał się w jej gardło przez półotwarte usta. Promienie słońca przesiane przez gałęzie drzew lśniły jak stara miedz; wirował w nich pył.

A przed nimi było światło – kraniec lasu, otwarte pola, po których będą mogli galopować razem w nieskończoność. Za

nimi został płomień, zniechęcony zapach dymu, uczucie strachu. Przed nimi było słońce; pojedą z Wróżem aż do morza, nad morzem znajdzie pewnie ojca i we dwójkę będą żyli, wyciągając sieci pełne srebrnych, śliskich ryb.

– Szybciej! – krzyknęła Charlie z triumfem. – Och, Wrózu, biegnij szybciej, biegnij szybciej, biegnij...

I w tej właśnie chwili w rozszerzającym się tunelu światła, tam, na krańcu lasu, pojawiła się postać, swym ogromem zasłaniając światło, zasłaniając drogę na pola. Na początku, jak zawsze w tym śnie, Charlie myślała, że to jej ojciec, i radość niemal ją bolała... nim zmieniała się w ostateczny, paraliżujący lęk.

Miała tylko czas dostrzec, że ten mężczyzna był zbyt wielki, zbyt wysoki – a jednak jakoś znajomy, straszliwie znajomy, chociaż pozostawał tylko cieniem – nim Wróż stawał dęba, krzycząc.

Czy konie mogą krzyczeć? Nie wiedziałam, że mogą krzyczeć... Walcząc, by utrzymać się na grzbiecie Wróza, czując, jak jej uda obsuwają się po śliskich bokach konia wierzgającego w powietrzu kopytami... Wróż nie krzyczał, Wróż rżał, ale to był krzyk, a z tyłu dobiegały inne rżenia jak krzyki i – o Boże, pomyślała, tam są konie, tam z tyłu są konie i płoną lasy...

A z przodu, zasłaniająca światło, ta sylwetka, ten straszny kształt. Kształt, który zaczynał się do niej zbliżać; upadła na ścieżkę i Wróż delikatnie dotknął pyskiem jej nagiego brzucha.

– Nie skrzywdź mojego konia! – krzyknęła do zbliżającej się sylwetki, do ojca ze snu, który nie był ojcem. – Nie skrzywdź mojego konia. Och, proszę, nie krzywdź koni!

Lecz postać zbliżała się, wyjmowała broń i wtedy Charlie się budziła, czasami z krzykiem, czasami tylko drżąc, skąpana w zimnym pocie, wiedząc, że miała koszmar, ale nie pamiętając niczego oprócz szalonej, zachwycającej galopady leśną ścieżką i zapachu ognia... tego wszystkiego i mdlącego uczucia zdrady.

A rankiem, w stajniach, dotknie Wróza lub może przyłoży buzię do jego ciepłego boku i poczuje strach, dla którego nie znajdowała nazwy.

Ostatnie rozdanie

1

Ten pokój był większy.

Aż do zeszłego tygodnia była to w rzeczywistości kaplica Sklepiku, niepoświęcona żadnemu szczególnemu wyznaniu. Tempo, jakiego nabierały wydarzenia, symbolizować mogła szybkość, z jaką Kap wypełniał życzenia Hockstettera. Nowa kaplica – nie żadna tam zbędna sala, ale prawdziwa kaplica – miała zostać wybudowana we wschodniej części kompleksu. Tymczasem, aż do końca testów, Charlie McGee miała być przetrzymywana tutaj.

Boazerię ze sztucznego drewna zerwano, ławki usunięto. Zarówno podłoga, jak i ściany wyłożone zostały azbestowymi matami wyglądającymi jak stalowa wełna i pokryte płatami stali hartowanymi w wysokiej temperaturze. Od nawy oddzielono część, która niegdyś była prezbiterium. Zainstalowano monitory i urządzenia kontrolne Hockstettera. Wszystkiego tego dokonano w niespełna tydzień; pracę zaczęto cztery dni przed obrzydliwym samobójstwem Pynchota.

Teraz, pewnego dnia na początku października, o drugiej po południu, pośrodku długiego pokoju stała ściana z wypalanej cegły. Po lewej znajdował się wielki, niski zbiornik wypełniony wodą. Do tego zbiornika, głębokiego na blisko dwa metry, wrzucano ponad tonę lodu. A naprzeciw tego wszystkiego stała Charlene McGee, mała i schludna w niebieskim dżinsowym ubranku i czerwonych skarpetkach w czarne paski. Jasne mysie ogonki, związane kawałkami czarnej aksamitnej wstążki, sięgały poniżej łopatek.

– W porządku, Charlie – przemówił z głośników głos Hockstettera. Jak wszystko tutaj, system komunikacyjny instalowano w pośpiechu; głos był cienki, zniekształcony.

– Jesteśmy gotowi, kiedy tylko chcesz.

Kamery sfilmowały to wszystko wiernie i w kolorze. Na filmie głowa dziewczynki pochyla się lekko i przez kilka sekund nie dzieje się nic. W lewej części klatki widać cyfrowy odczyt temperatury. Nagle i niespodziewanie liczby zaczynają się zwiększać, od dwudziestu paru przez trzydzieści do blisko czterdziestu stopni Celsjusza. Później cyfry przeskakują tak szybko, że są już tylko ruchomą, czerwoną mgiełką; elektroniczny czujnik temperatury wmontowano w środek ceglanej ściany.

Później widać wszystko w zwolnionym tempie; tylko w ten sposób można obserwować to, co się dzieje. Mężczyznom widzącym wszystko zza szkła ołowiowego sali obserwacyjnej wydawało się, że wydarzenia następują w tempie lecącej karabinowej kuli.

Przy maksymalnym zwolnieniu widać, jak ceglana ściana zaczyna dymić; małe cząstki zaprawy i betonu leniwie pryskają w powietrze niczym prażone ziarna kukurydzy. Później zaprawa spajająca cegły zaczyna płynąć jak ciepła melasa; cegły zaczynają się kruszyć, od środka na boki. Drobiny, a potem chmury cząstek wylatują w powietrze, gdy cegły wybuchają z gorąca. Elektroniczny czujnik temperatury, umieszczony w środku muru, zatrzymuje się, wskazując blisko cztery tysiące stopni Celsjusza. Zatrzymuje się nie dlatego, że temperatura przestała rosnąć, lecz dlatego, że został zniszczony.

Wokół sali prób, przerobionej z kaplicy, stoi osiem wielkich klimatyzatorów i wszystkie pracują pełną mocą, wszystkie pompują do sali lodowate powietrze. Wszystkie osiem włączyło się, gdy średnia temperatura przekroczyła trzydzieści pięć stopni Celsjusza. Charlie znakomicie już opanowała kierowanie strumienia gorąca, który jakoś się z niej wydobywał, w jeden punkt, lecz, co wie każdy, kto kiedyś oparzył się rączką widelca przy gotowaniu, nawet tak zwane tworzywa nieprzewodzące będą przewodzić ciepło... jeśli jest go wystarczająco wiele.

Podczas pracy wszystkich ośmiu klimatyzatorów temperatura powietrza w sali nie powinna przekraczać minus dwudziestu pięciu stopni Celsjusza, plus minus trzy stopnie. Termometry wskazują jednak jej stały wzrost, od czterdziestu do czterdziestu pięciu stopni. Lecz pot spływający po twarzach wszystkich ob-

serwujących to, co się tu dzieje, nie jest spowodowany wyłącznie gorącem.

Teraz nawet maksymalne zwolnienie nie ukazuje jasno tego, co się dzieje, ale jedno jest pewne – cegły eksplodują i nie ma wątpliwości, że płoną; cegły płoną jak gazety w płomieniu kominika. Oczywiście, na lekcjach fizyki w klasie ósmej uczą, że wszystko będzie płonąć, jeśli zostało odpowiednio rozgrzane, ale co innego jest wiedzieć, a co innego patrzeć na cegły wybuchające błękitnym i żółtym płomieniem.

W końcu gwałtowny wybuch pyłu przesłania obraz; cała ściana znikła. Mała dziewczynka obraca się w zwolnionym tempie i w chwilę później spokojna tafla wody w zbiorniku drży i wrze. Mimo ośmiu klimatyzatorów jest gorąco jak w letnie południe w Dolinie Śmierci. Temperatura w pokoju dochodzi do pięćdziesięciu stopni. Po chwili zaczyna opadać.

Punkt dla sprzątacza.

2

NOTATKA MIĘDZYWYDZIAŁOWA

Od: Bradforda Hyucka

Do: Patricka Hockstettera

Dnia: 2 października

Dot.: Telemetria, Ch. McGee, ostatni test #4.

Pat – oglądałem film już cztery razy i ciągle nie mogę uwierzyć, że to nie jakieś efekty specjalne. Nieproszona rada: kiedy trafisz już do senackiej podkomisji zajmującej się kredytami i planami wznowienia Próby Sześć, miej wszystkie papiery w porządku i nie tylko chroń swą dupę – opancerz ją! Biorąc pod uwagę właściwości natury ludzkiej, ci faceci będą oglądać filmy i wierzyć, że mają do czynienia z tanim, nędznym fałszerstwem!

Do rzeczy: Odczyty dostarczone zostaną przez specjalnego posłańca, ta notatka dotrze do ciebie najwyżej dwie, trzy godziny wcześniej. Odczyty przeczytaj sobie sam, ja tylko podsumuję krótko nasze odkrycia. Nasze wnioski opisać można w dwóch słowach: zatkało nas! Tym razem podłączyliśmy ją, do czego tylko się dało, wyglądała jak astronauta przed lotem w galaktykę. Zauważ, że:

1. Ciśnienie krwi, w granicach normy dla ośmioletniego dziecka, nawet nie drgnęło, gdy ta ściana wybuchła jak bomba nad Hiroszimą.

2. Nienormalnie wysoki odczyt fal alfa; świadczy to o poważnym zaangażowaniu tego, co nazywamy jej „obwodem wyobraźni”. Możesz się zgodzić albo i nie ze mną i z Clapperem, że fale te są raczej płaskie, co sugeruje „kontrolowaną elastyczność wyobraźni” (dość niesmaczne określenie Clappera, nie moje). Może to oznaczać, że zdobywa nad tym kontrolę i może manipulować swymi zdolnościami z większą precyzją.

Praktyka, jak mówią, czyni mistrza. A może to i nic nie oznaczać.

3. Telemetria metabolizmu w granicach normy – nic dziwnego, nic nieoczekiwanego. Jakby czytała dobrą książkę albo pisała klasówkę, a nie wytwarzała, według twych sugestii, miejscową temperaturę w granicach siedemnastu tysięcy stopni Celsjusza. Dla mnie przynajmniej najbardziej fascynującą (i frustrującą!) informacją jest test CAT Beal Searlesa.

Niemal żadnej utraty kalorii! Na wypadek gdybyś zapomniał, czego uczono cię na lekcjach fizyki – ryzyko zawodowe z wami, jajogłowymi – kaloria to tylko jednostka ciepła; a dokładnie: ilość ciepła potrzebna do podgrzania grama wody o jeden stopień Celsjusza. W ciągu tego całego pokazu spaliła może 25 kalorii – tyle, ile przy wykonaniu sześciu przysiadów lub dwukrotnym obejściu gmachu. Lecz kalorie mierzą ciepło, do cholery! Ciepło, a to, co ona produkuje, to ciepło... a może nie? Czy pochodzi ono z niej, czy przechodzi przez nią? A jeśli to drugie, to skąd się bierze? Rozgryź to i masz Nobla w kieszeni na tyłku! Powiem ci tylko tyle: jeśli ta seria testów jest tak krótka, jak mówisz, jestem pewien, że nigdy się nie dowiemy.

Ostatnie słowo: Czy jesteś pewien, że chcesz kontynuować te testy? Ostatnio jakoś nie mogę przestać myśleć o tym dziecku i robię się bardzo drażliwy. Zaczynam myśleć o różnych pulsarach, neutrinach, czarnych dziurach i Bóg wie o czym jeszcze. W naszym wszechświecie są siły, o których jeszcze nawet nie wiemy, i te, które możemy obserwować wyłącznie z odległości milionów lat świetlnych... i oddychamy z ulgą, myśląc o takich dystansach. Kiedy oglądałem ten film po raz ostatni, zacząłem myśleć o tej dziewczynce jak o szczelinie – rysie, jeśli wolisz – w samym paleńniku Stworzenia. Wiem, jak to brzmi, ale czuję, że byłoby niedbalstwem o tym nie wspomnieć. Niech mi Bóg wybaczy, że to mówię – sam mam przecież trzy śliczne córeczki – ale osobiście odetchnę z ulgą, kiedy już zostanie zneutralizowana. Jeśli potrafi wyprodukować punktową tempera-

ture rządu siedemnastu tysięcy stopni, nawet się nie wysilając, to czy kiedykolwiek pomyślałaś, do czego może być zdolna, jeśli się przyłoży?

Brad

3

– Chcę się zobaczyć z tatą – powiedziała Charlie, gdy tylko Hockstetter wszedł do jej pokoju. Wyglądała blado, słabo. Zdjęła dzinsy i kurtkę; miała na sobie starą koszulkę nocną, a rozpuszczone włosy spływały jej na plecy.

– Charlie... – zaczął Hockstetter, lecz nie powiedział nic z tego, co chciał powiedzieć. Notatka Brada Hyucka, wyniki telemetrii i wyniki badań pomocniczych niepokoiły go głęboko. Sam fakt, że Brad zdecydował się napisać dwa ostatnie akapity, mówił wiele, a sugerował jeszcze więcej. Hockstetter bał się. Podpisując decyzję o przekształceniu kaplicy w salę testów, Kap podpisał także decyzję o rozmieszczeniu dodatkowych klimatyzatorów wokół mieszkania Charlie – miało ich być nie osiem, lecz dwadzieścia. Na razie zainstalowano sześć, ale po czwartym teście Hockstetter stracił zainteresowanie klimatyzatorami. Miał wrażenie, że mogłoby być ich nawet dwieście, ale i tak nie ograniczyłyby mocy tej dziewczynki. Teraz już nie chodziło o to, czy Charlie mogłaby popełnić samobójstwo, lecz o to, czy gdyby chciała, mogłaby zniszczyć cały kompleks Sklepiku – a na deser także kawał wschodniej

Wirginii. Hockstetter skłaniał się ostatnio do opinii, że gdyby chciała, toby mogła. A najstraszniejsze było ostatnie ogniwo w łańcuchu tego rozumowania: tylko John Rainbird mógł ją efektywnie kontrolować; a Rainbird miał świra.

– Chcę się zobaczyć z tatą – powtórzyła Charlie.

Jej tata był na pogrzebie tego biedaka Pynchota. Pojechał tam z Kapem, na życzenie tego ostatniego. Nawet śmierć Pynchota, tak bardzo niezwiązana ze wszystkim, co się tutaj działo, najwyraźniej rzucała złowrogi całun na mózg Hockstettera.

– Cóż, sądzę, że dałoby się to załatwić – powiedział ostrożnie Hockstetter – gdybyś tylko zademonstrowała nam jeszcze trochę...

– Zademonstrowałam wam wystarczająco wiele – odparła dziewczynka. – Chcę zobaczyć tatę. – Jej dolna warga drżała, w oczach krył się blask łez.

– Twój służący, ten Indianin, powiedział, że dziś rano, po teście, nie chciałaś pojechać na swoim koniu. Chyba się tego przestraszył.

– To nie mój koń – odpowiedziała Charlie. Głos miała ochrypły. – Nic tu nie jest moje. Nic oprócz mojego taty i... chcę... go... zobaczyć! – Jej głos wzniósł się do złego, płacznego krzyku.

– Tylko spokojnie, Charlie. – Hockstetter nagle się przestraszył. Czy naprawdę zrobiło się tu teraz cieplej, czy to tylko jego wyobraźnia? Tylko... tylko spokojnie. Rainbird. Do cholery, to przecież robota Rainbirda. – Posłuchaj mnie, Charlie – Hockstetter błysnął szerokim, przyjacielskim uśmiechem. – Nie chciałaś pojechać do Six Flags w Georgii? To chyba najfajniejsze wesołe miasteczko na całym Południu, może z wyjątkiem Disney Worldu. Wynajmiemy je na cały dzień, tylko dla ciebie. Pojeździsz na diabelskim młynie, pójdziesz do pałacu duchów, na karuzelę...

– Nie chcę jechać do żadnego wesołego miasteczka, tylko zobaczyć tatę. I zobaczę go. Mam nadzieję, że to rozumiesz, bo ja go zobaczę.

Zrobiło się cieplej.

– Pan się spocił – powiedziała Charlie.

Pomyślał o ceglanej ścianie eksplodującej tak błyskawicznie, że płomień widać było tylko na filmie puszczonej w zwolnionym tempie. Pomyślał o kręcącej podwójne salto stalowej tacy, lecącej przez pokój i plującej płonącymi węglami. Jeśli dziewczynka użyje swej mocy przeciwko niemu, zmieni go w kupę popiołu i zwęglonych kości, nim on zdąży pomyśleć, co się stało.

O Boże, nie...

– Charlie, wściekanie się na mnie nie doprowadzi cię do ni...

– Owszem – odpowiedziała w absolutnej zgodzie z prawdą. – Owszem, doprowadzi. I jestem na pana wściekła, doktorze Hockstetter. Naprawdę wściekła.

– Charlie, proszę...

– Chcę go zobaczyć – powtórzyła Charlie jeszcze raz. – A teraz wynoś się stąd. Powiedz im, że chcę się zobaczyć z tatą, a potem mogą zrobić jeszcze kilka testów, jeśli chcą. Nie robi mi to

różnicy. Ale jeśli go nie zobaczę, sprawię, że coś się zdarzy. Niech im pan to powie.

Wyszedł. Czuł, że mógłby powiedzieć coś więcej – coś, co ocaliłoby resztki jego godności, wynagrodziłoby odrobinę przeżyty strach, ale nic mu nie przyszło do głowy. Wyszedł i nawet dzielące ich stalowe drzwi nie wymazały całkowicie jego strachu... i wściekłości na Johna Rainbirda. Bo Rainbird to przewidział i nic nie powiedział. A gdyby on oskarżył o to Rainbirda, Indianin tylko uśmiechnąłby się swym mrozącym uśmiechem i zapytał, kto tak naprawdę jest tu psychiatrą? Testy osłabiły jej opór przed rozniecaniem ognia, aż był jak ziemna tama przzerwana w kilkunastu miejscach. Testy były ćwiczeniami, koniecznymi, by przekształcić niezdarną maczugę jej mocy w coś, czym mogła się posługiwać ze śmiertelną precyzją, jak cyrkowiec rzucający specjalnie wyważonymi nożami.

I testy były doskonałą lekcją praktyczną. Pokazały jej, bez najmniejszego cienia wątpliwości, kto tu rządzi.

Ona.

4

Gdy Hockstetter już wyszedł, Charlie padła na łóżko i rozszlochała się z twarzą ukrytą w dłoniach. Miotaly nią sprzeczne uczucia: wina i strach, oburzenie, i nawet jakiś rodzaj gniewnej przyjemności. Ale najgwałtowniejszym z tych uczuć był strach. Od kiedy zgodziła się na testy, zmieniło się wiele; czuła strach, że zmieniło się na zawsze. A teraz już nie tylko chciała zobaczyć się z ojcem, ona go potrzebowała. Potrzebowała go, żeby powiedział jej, co ma robić. Na początku były nagrody: spacery na świeżym powietrzu z Johnem, wyczesywanie Wróza, jazda konna. Kochała Johna i kochała Wróza... gdyby tylko ten głupi człowiek wiedział, jak mocno ją zranił, mówiąc, że Wróz jest jej, kiedy Charlie wiedziała, że nigdy nie będzie. Wielki wałach był jej tylko w tych niepokojących, na pół zapomnianych snach. Lecz teraz... teraz... same testy, sama szansa użycia potęgi i uczucie, jak ta potęga rośnie... samo to zaczynało być nagrodą. Zaczęła się straszna, lecz nałogowa gra. I Charlie czuła, że zaledwie naruszyła powierzchnię. Była dzieckiem, które zaledwie nauczyło się chodzić. Potrzebowała ojca, potrzebowała ojca, by powie-

dział jej, co jest słuszne, a co nie, czy posuwać się dalej, czy przestać na zawsze. – Jeśli... Jeśli potrafię przestać – szepnęła Charlie przez zaciśnięte palce. To było najstraszniejsze – nie była już pewna, czy potrafi przestać. A jeśli nie potrafi, to co to oznacza? Charlie znów zaczęła płakać. Nigdy w życiu nie czuła się tak strasznie samotna.

5

Pogrzeb wypadł kiepsko. Andy myślał, że wszystko będzie dobrze; ból głowy przeszedł i w końcu pogrzeb był przecież tylko pretekstem, by znaleźć się z Kapem sam na sam. Nie przepadał za Pynchotem, choć w końcu Pynchot okazał się zbyt nieważny, by warto go było nienawidzić. Jego zaledwie ukrywana arogancja i nieukrywana przyjemność, jaką sprawiała mu sama przewaga nad innym człowiekiem; z tych powodów – i z większej ponad wszystko troski o Charlie – Andy nie czuł wyrzutów sumienia, że niechcący wywołał rykoszet w mózgu Pynchota. Rykoszet, który w końcu rozerwał tego człowieka na strzępy.

Echo zdarzało się już wcześniej, ale zawsze miał szansę, by zapobiec nieszczęściu. Był w tym całkiem niezły, jeszcze nim musiał wraz z Charlie uciekać z Nowego Jorku. Miał wrażenie, że głęboko w mózgu niemal każdego człowieka znajduje się jakieś pole minowe: poczucie strachu i winy, impulsy samobójcze, schizofreniczne, paranoiczne, a nawet mordercze. Pchnięcie wprowadzało mózg w stan całkowitej podległości sugestiom, a jeśli sugestie przetańczyły sobie drogę po którejś z tych ciemnych ścieżek, mogły człowieka zniszczyć. Jedna z gospodyń domowych w jego programie odchudzającym doznawała przerażających napadów katatonii. Jeden z biznesmenów wyznał samobójczą ochotę do wyjęcia z szuflady służbowego pistoletu i zagrania w rosyjską ruletkę; ochotę w jakiś sposób związaną w jego umyśle z opowiadaniem Edgara Allana Poego *William Wilson*, które czytał dawno temu, na uniwersytecie. W obu przypadkach Andy'emu udało się powstrzymać echo, nim przyspieszyło, zmieniając się w ten śmiertelny rykoszet. W przypadku biznesmena, cichego, jasnowłosego, trzeciorzędnego urzędnika z banku, wystarczyło tylko dodatkowe pchnięcie wraz z sugestią, że nigdy nie czytał opowiadania

Poego. Związek, jakkolwiek był, został przerwany. Z Pynchotem Andy nie miał najmniejszej szansy na przerwanie echa. Kiedy w drodze na pogrzeb przebijali się przez zimny, zacinający, jesienny deszcz, Kap gadał bez przerwy o tym samobójstwie; wydawało się, że próbuje się z nim jakoś pogodzić. Mówił, że nigdy nie wyobrażał sobie, by człowiek po prostu... po prostu utrzymał tam rękę, gdy ostrza zaczynają już gniesć i ciąć. Ale Pynchot nie wyjął ręki. Pynchot jej nie wyjął. To wtedy pogrzeb zaczął się kiepsko zapowiadać. Wraz z Kapem uczestniczyli tylko w ceremonii na cmentarzu, stojąc w sporym oddaleniu od małej grupki złożonej z rodziny i przyjaciół, stłoczonej pod osłoną czarnych parasoli. Andy odkrył, że pamięć o arogancji Pynchota, o jego manierze małego Cezara, rozkoszującego się śmieszną władzą – manierze człowieczka pozbawionego jakiegokolwiek władzy – i pamięć o nieustannym, nieznośnym, nerwowym uśmiechu to jedno. Zupełnie czym innym było obserwowanie śmiertelnie bladej, zapłakanej wdowy w czarnej sukni i kapeluszu z welonem, trzymającej za ręce dwóch synków (młodszy był mniej więcej w wieku Charlie, a obaj wyglądali na całkowicie oszołomionych, nic nierozumiejących, jak po środkach uspokajających); wdowy wiedzącej... przecież wiedziała na pewno, że przyjaciele i krewni są świadomi tego, jak znaleziono jej męża: ubranego w bieliznę żony, prawe ramię przemielone do łokcia, wyostrzone jak żywy ołówek, krew rozpryskana na zlewie i szafkach, kawałki ciała...

Andy poczuł mdłości. Wychylił się na zimny deszcz, próbując je opanować. Głos księdza wznosił się i opadał bez sensu.

– Chcę stąd iść – powiedział Andy. – Możemy stąd iść?

– Tak, oczywiście – odparł Kap. Wyglądał blado, staro i wcale nie najlepiej. – Nie mam ochoty tu zostać. W tym roku brałem udział w wystarczającej liczbie pogrzebów.

Wyślizgnęli się z grupy stojącej na sztucznej trawie; kwiaty już gubiły płatki na ulewnym deszczu, trumna na kółkach stała koło dziury w ziemi. Ramię w ramię poszli w stronę krętego zwirowego podjazdu, na którym niewielka vega Kapa stała zaparkowana tuż za karawanem. Szli pod wierzbami, których gałęzie szumiały tajemniczo, strząsając na nich krople deszczu. Wokół poruszało się trzech czy czterech niemal niewidocznych

mężczyzn. Andy pomyślał, że teraz już wie, jak musi się czuć prezydent Stanów Zjednoczonych.

– Bardzo niedobrze dla wdowy i tych chłopców – powiedział Kap. – Skandal, wiesz.

– Czy... no, czy ktoś się nią zaopiekuje?

– Bardzo troskliwie, jeśli chodzi o pieniądze – odpowiedział Kap głosem bez wyrazu. Zbliźali się już do drogi, Andy widział pomarańczową vegę Kapa zaparkowaną przy krawężniku. Dwóch mężczyzn wsiadało cicho do stojącego przed nią biscayne'a, dwóch innych do stojącego za nią szarego plymoutha. – Ale nikt nie zdoła kupić szczęścia tym chłopcom. Widziałeś ich twarze?

Andy nie odpowiedział. Poczł wyrzuty sumienia, tnące mu wnętrzości jak ostrze piły. Nie pomagało nawet powtarzanie, że to z powodu tak rozpaczliwej sytuacji. Zdolny był tylko do utrzymania przed oczami obrazu buzi Charlie... Charlie i stojącej za nią ciemnej, złowrogiej postaci jednookiego pirata nazwiskiem John Rainbird, któremu udało się wkraść w jej zaufanie, tak że mógł przyśpieszyć dzień, kiedy...

Wsiedli do vegi i Kap włączył silnik. Stojący z przodu biscayne ruszył i Kap pojechał za nim. Plymouth trzymał się, gdzie jego miejsce, z tyłu. Andy poczuł nagłą, niemal zabobonną, pewność, że pchnięcie znowu go opuściło, że kiedy spróbuje, okaże się, iż nic mu nie zostało. Jakby miał tym zapłacić za wyraz twarzy tych dwóch chłopców. Ale nie miał wyboru. Musiał spróbować.

– Porozmawiamy sobie trochę – powiedział i pchnął. Pchnięcie go nie opuściło, a migrena pojawiła się niemal od razu – cena do zapłacenia za użycie pchnięcia tak szybko, raz za razem. – To ci nie przeszkodzi prowadzić.

Kap jakby zapadł się w fotelu. Lewa ręka, poruszająca się w stronę migacza, zatrzymała się na chwilę, a później ruszyła dalej. Vega statecznie przejechała za plymouthem między dwiema kamiennymi kolumnami i wyjechała na drogę.

– Nie, wcale nie sędę, żeby rozmowa miała mi przeszkadzać w prowadzeniu – odparł Kap.

Znajdowali się trzydzieści kilka kilometrów od kwatery Sklepiku; Andy sprawdził licznik, kiedy wyjeżdżali, i drugi raz, kiedy dojechali na cmentarz. Większość drogi prowadziła po auto-

stradzie 301, o której opowiedział mu Pynchot. Była to szybka autostrada. Andy przypuszczał, że na załatwienie wszystkiego ma nie więcej niż dwadzieścia pięć minut. Przez ostatnie dwa dni nie myślał niemal o niczym innym i sądził, że ma wszystko nieźle przygotowane... ale rozpaczliwie musiał się dowiedzieć jednego.

– Jak długo jeszcze pan i Rainbird potraficie zapewnić sobie współpracę Charlie, kapitanie Hollister?

– Niedługo – odpowiedział Kap. – Rainbird zaaranżował wszystko bardzo sprytnie, tak że pod pana nieobecność jest jedynym, który sprawuje nad nią prawdziwą kontrolę. Zastępczy ojciec. – Cichym, niemal śpiewnym głosem, powiedział: – Jest jej ojcem, gdy nie ma jej ojca.

– A kiedy przestanie, ma zostać zabita?

– Nie od razu. Rainbird może zapewnić jej współpracę na jakiś czas. – Kap włączył migacz, skręcali na autostradę. – Będzie udawał, że się wszystkiego dowiedzieliśmy. Że się dowiedzieliśmy o ich rozmowach. Że się dowiedzieliśmy, iż dawał jej rady, co ma zrobić ze swoim. ze swoim problemem. Że się dowiedzieliśmy, iż przekazywał ci grypsy.

Umilkł, ale Andy nie potrzebował niczego więcej. Zemdlilo go. Zastanawiał się, czy gratulowali sobie łatwości, z jaką oszukali dziecko, zdobyli jego zaufanie w tym miejscu, w którym było takie samotne, i kiedy już im zaufało, wykorzystali to do własnych celów. Kiedy nie zostanie im już nic innego, po prostu powiedzą jej, że jej jedyny przyjaciel, sprzątacze John, może stracić pracę za to, że jest jej przyjacielem, a może nawet zostanie skazany na podstawie dekretu o tajemnicy państwowej. Charlie sama domyśli się reszty. Charlie zawrze z nimi układ. Będzie nadal współpracować. Mam nadzieję, że spotkam tego faceta. Mam nadzieję, że spotkam go wkrótce. Ale teraz nie było czasu, żeby o tym myśleć... a jeśli wszystko pójdzie dobrze, nigdy nie będzie musiał spotkać się z Rainbirdem.

– Jestem na liście na wyjazd na Hawaje za tydzień od dziś – powiedział Andy.

– Tak, to się zgadza.

– Jak wyjadę?

– Wojskowym samolotem transportowym.

– Z kim się kontaktowałeś, załatwiając przelot?

– Z Puckiem – odpowiedział natychmiast Kap.
– Kto to jest Puck, kapitanie Hollister?
– Major Victor Puckeridge. Z Andrews.
– Z Bazy Wojsk Lotniczych w Andrews?
– Tak, oczywiście.
– Czy to pana przyjaciel?
– Gramy w golfa. – Kap uśmiechnął się nieznacznie. – Wali z fałsza.

Wspaniała wiadomość, pomyślał Andy. Głowa bolała go jak zepsuty ząb.

– Przypuśćmy, że zadzwoni pan do niego dziś po południu i powie, że chce pan przesunąć lot o trzy dni.

– Tak? – powiedział Kap z powątpiewaniem.

– Czy to sprawi jakieś kłopoty? Mnóstwo papierkowej roboty?

– Och, nie, Puck zawali... załatwi papierki. – Na twarzy

Kapa znowu pojawił się uśmiech, jakiś dziwny i nie bardzo szczęśliwy. – On wali z fałsza. Czy już ci o tym mówiłem?

– Tak, mówił pan.

– Aha. W porządku.

Samochód jechał przed siebie z najzupełniej dozwoloną prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Deszcz przeszedł w wilgotną mżawkę. Wycieraczki stukwały monotonnie.

– Zadzwon do niego jeszcze dzisiaj, Kap. Gdy tylko wrócimy.

– Zadzwonić do Pucka, tak. Właśnie myślałem, że powinienem do niego zadzwonić.

– Powiedz mu, że przenosicie mnie w środę, a nie w sobotę.

Cztery dni to niewiele na rekonwalescencję – znacznie lepiej brzmiałoby trzy tygodnie – ale rozwiązanie zbliżało się milowymi krokami. Rozpoczęło się ostatnie rozdanie. Było to faktem i Andy, z konieczności, rozpoznał ten fakt. Nie zostawi, nie może zostawić Charlie na drodze tego potwora Rainbirda. Ani chwili dłużej.

– Środa zamiast soboty.

– Tak. I powiedz Puckowi, że jedziesz z nami.

– Jadę z wami? Nie mogę...

Andy powtórzył pchnięcie. Bolało go, ale pchnął mocno. Kap rzucił się na siedzeniu. Samochód wykonał mały zygzak i Andy

po raz kolejny pomyślał, że praktycznie robi wszystko, by wszczać echo w głowie tego gościa.

– Jadę z wami. Tak, jadę z wami.

– W porządku – powiedział srogo Andy. – A teraz: jakie przygotowania poczyniłeś w sprawie bezpieczeństwa?

– Żadnych szczególnych przygotowań w sprawie bezpieczeństwa. Jesteś już prawie całkiem ubezwłasnowolniony przez torazynę. A także jesteś wykończony i niezdolny do użycia dominacji umysłowej. Została uśpiona.

– Ach, oczywiście. – Andy przyłożył lekko drżącą dłoń do czoła. – Czy to znaczy, że polecę samolotem sam?

– Nie – odparł natychmiast Kap. – Chyba ja polecę z tobą.

– Ale oprócz nas dwóch?

– Będzie z nami dwóch agentów Sklepiku. Niby jako stewardzi, ale właściwie po to, żeby mieć oko na ciebie. Ochrona własności rządowej, wiesz? Trzeba chronić inwestycję.

– Ma z nami polecieć tylko dwóch agentów? Jesteś pewien?

– Tak.

– I oczywiście załoga samolotu?

– Tak.

Andy spojrział przez okno. Byli już w połowie drogi. Zbliżał się najważniejszy moment, a on miał już tak straszną migrenę, że bał się, iż o czymś zapomni. Jeśli zapomni, cały ten domek z kart zawali się w sekundę. Charlie, pomyślał i próbował wytrzymać.

– Z Wirginii na Hawaje to kawałek drogi, kapitanie Hollister. Czy samolot będzie lądował dla nabrania paliwa?

– Tak.

– Wie pan gdzie?

– Nie – odparł Kap tak pogodnie, że Andy miał ochotę podbić mu oko.

– Kiedy będziesz rozmawiał z... – jak się nazywał ten facet? – Andy rozpaczliwie grzebał w pamięci, w zmęczonej, obolałej głowie, i znalazł w niej imię. – Kiedy będziesz rozmawiał z Puckiem, zapytaj go, gdzie samolot wyląduje, by uzupełnić paliwo.

– Tak, w porządku.

– Masz zapytać o to naturalnie, jakby wynikało to z rozmowy.

– Tak, dowiem się, gdzie wylądujemy po paliwo, i będzie to naturalnie wynikało z rozmowy. – Kap spojrział na Andy’ego zamysłonymi, rozmarzonymi oczami i Andy zaczął się zastanawiać, czy to ten człowiek wydał rozkaz zabicia Vicky. Poczł gwałtowną chęć, by dać mu rozkaz przydepnięcia gazu do dechy i wyrznięcia w balustradę zbliżającego się mostka. Tylko że Charlie. „Charlie!” – krzyknęło coś w jego głowie. „Wytrzymaj dla Charlie”.

– Czy powiedziałem ci, że Puck wali z fałsza? – zapytał z upodobaniem Kap.

– Tak, powiedziałaś. – Myśl! Myśl, do diabła! Wylądują najprawdopodobniej gdzieś koło Chicago albo Los Angeles. Ale nie na cywilnym lotnisku jak O’Hare lub lotnisko międzynarodowe w Los Angeles. Samolot uzupełni paliwo w bazie wojskowej. Samo to nie stanowiło problemu dla opracowanych przez niego strzępków planu – jedna z niewielu rzeczy, które nie robiły różnicy – jeśli tylko będzie wiedział wcześniej, gdzie to nastąpi. – Wyjedziemy o trzeciej po południu – powiedział Kapowi.

– O trzeciej.

– Dopilnujesz, żeby John Rainbird był gdzieś daleko.

– Mam go gdzieś wysłać? – spytał Kap głosem pełnym nadziei i Andy przeraził się tego, że Kap boi się Rainbirda; bardzo się tego przeraził.

– Tak. Nieważne gdzie.

– San Diego?

– W porządku.

Teraz. Ostatni krok. Musi go zrobić; przez przednią szybę widział już odblaskowy znak, wskazujący zjazd do Longmont. Andy sięgnął do bocznej kieszeni spodni i wyciągnął z niej zwinęty kawałek papieru. Przez chwilę trzymał go tylko na kolanach, pomiędzy wskazującym i serdecznym palcem.

– Powiesz obu agentom, że mają się z nami spotkać w bazie – powiedział. – Spotkają się z nami w Andrews. My pojedziemy do Andrews tak, jak jedziemy teraz.

– Tak.

Andy wciągnął głęboko powietrze.

– Ale będzie z nami moja córka.

– Ona? – Po raz pierwszy Kap zdradził oznaki zaniepokojenia. – Ona? Jest niebezpieczna. Nie może... nie możemy...

– Nie była niebezpieczna, dopóki wy, ludzie, nie zaczęliście z nią igrać – stwierdził ostro Andy. – A teraz pojedzie z nami i nie wolno ci się sprzeciwiać. Czy ty to rozumiesz?

Tym razem samochód pojechał wyraźniejszym zygzakiem, a Kap jęknął.

– Pojedzie z nami – przytaknął. – Już nigdy ci się nie sprzeciwię. To boli. To boli.

– Ale nie tak, jak boli mnie.

Teraz jego głos zdawał się dobiegać z daleka, przez przesiąkniętą krwią siatkę, która coraz ciaśniej i ciaśniej oplatała jego mózg.

– Dasz jej to. – Andy podał Kapowi zwinięty kawałek papieru.

– Dasz jej to dziś, ale ostrożnie, żeby nikt niczego nie podejrzewał.

Kap schował liścik do kieszeni na piersi. Zbliźali się już do Sklepiku, po lewej widzieli podwójne ogrodzenie z drutu pod napięciem. Światła ostrzegawcze błyskały co mniej więcej pięćdziesiąt metrów.

– Powtórz najważniejsze punkty.

Kap odpowiedział szybko i precyzyjnie, głosem człowieka, którego od czasów młodości, spędzonej w akademii wojskowej, uczono precyzyjnego zapamiętywania rozkazów.

– Zorganizuję ci wylot na Hawaje samolotem wojskowym w środę zamiast w sobotę. Polecę z tobą; będzie z nami także twoja córka. Dwóch agentów Sklepiku, którzy także będą nam towarzyszyć, spotkamy w Andrews. Dowiem się od Pucka, gdzie zatrzymamy się po dodatkowe paliwo. Zrobię to, kiedy każę mu zmienić datę odlotu. Mam list do przekazania twojej córce. Dam go jej, kiedy skończę rozmawiać z Puckiem, i zrobię to tak, by nie spowodować niepotrzebnych podejrzeń. I załatwię, by John

Rainbird wyjechał w środę do San Diego. To chyba najważniejsze punkty.

– Tak – powiedział Andy. – To najważniejsze. – Rozsiadł się wygodniej i przymknął oczy. Przez głowę przelatywały mu oderwane fragmenty przeszłości i teraźniejszości, przypadkowe jak liście unoszone przez silny wiatr. Czy ten plan da się zrealizować, czy też po prostu wydał na oboje wyrok śmierci? Teraz już wiedzą, do czego jest zdolna Charlie, wiedzą z samego źródła. Je-

śli coś pójdzie źle, obydwójce zakończą podróż w ładowni tego samolotu. W dwóch drewnianych jesionkach.

Kap zatrzymał samochód przed budką strażnika, opuścił okno i podał wartownikowi plastikową kartę, którą ten włożył do komputera.

– Proszę jechać.

Kap wjechał.

– Ostatnia sprawa, kapitanie Hollister. Pan o wszystkim zapomni. Każdą sprawę, o której rozmawialiśmy, załatwi pan doskonale spontanicznie. Nie będzie pan o tym z nikim rozmawiał.

– W porządku.

Andy skinął głową. Nic nie było w porządku, ale to, co zrobił, musi wystarczyć. Szanse wzniesienia echa były w tym wypadku niesamowicie wysokie, ponieważ musiał pchnąć tego mężczyznę straszliwie mocno i ponieważ instrukcje, które dał Kapowi, sprzeciwiały się całemu jego doświadczeniu. Kap może dokonać wszystkiego po prostu dlatego, że zajmuje tu pozycję, jaką zajmuje. Albo i nie. Akurat teraz Andy czuł takie zmęczenie i taki ból, że niewiele go to obchodziło.

Ledwie zdołał wyjść z samochodu. Kap musiał złapać go za rękę, żeby się nie przewrócił. Andy niejasno zdawał sobie sprawę, że zimna mżawka chłodzi przyjemnie jego twarz.

Dwóch mężczyzn z biscayne'a patrzyło na niego z rodzajem zimnego obrzydzenia. Jednym z nich był Don Jules. Jules miał na sobie błękitną bluzę z napisem OLIMPIJSKA REPREZENTACJA USA W PICIU.

Przyjrzyjcie się dobrze zaćpanemu grubasowi, pomyślał mgliście Andy. Znów był bliski łez, oddychał urywanie, głośno. Przyjrzyjcie mu się dobrze, póki macie okazję, bo jeśli grubasowi uda się dać nogę, zmiecie to całe szambo z powierzchni ziemi.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział Kap i poklepał go po plecach z niedbałą wyższością. Rób, co masz robić, pomyślał Andy, z wysiłkiem powstrzymując łzy; nigdy już przy nich nie zapłacze, przed żadnym z nich. A ty rób swoje, sukinsynu.

Po powrocie do mieszkania Andy padł na łóżko, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, i zasnął. Spał jak nieżywy przez następnych sześć godzin, a krew sączyła się z małych dziur w jego mózgu i pewna liczba komórek mózgowych zbiegła i zmarła.

Kiedy się obudził, była dziesiąta wieczorem. Migrena szalała. Podniósł ręce do twarzy. Martwe miejsca, jedno pod lewym okiem, jedno na lewym policzku i jedno tuż poniżej szczęki, pojawiły się znowu. I tym razem były większe. Nie mogę wiele dłużej stosować pchnięcia, nie zabijając się, pomyślał i wiedział, że to prawda. Ale jeśli tylko da radę, będzie się trzymał wystarczająco długo, by dokończyć, co zaczął, by dać Charlie jej szansę. Jakoś to musi wytrzymać. Poszedł do łazienki i wypił szklankę wody. I znów się położył. I, po dłuższej chwili, sen powrócił. Tuż przed zaśnięciem pomyślał, że Charlie powinna już przeczytać jego liścik.

7

Kap Hollister od chwili powrotu z pogrzebu Hermana Pynchota był niesamowicie zajęty. Jeszcze nie zdążył usiąść za biurkiem, kiedy sekretarka przyniosła mu notatkę międzywydziałową oznaczoną: PILNE. Pochodziła od Pata Hockstettera. Kap powiedział sekretarce, żeby połączyła go z Vikiem Puckeridge'em, i zaczął czytać notatkę. Powinienem częściej wychodzić na dwór, pomyślał, to wietrzy komórki mózgowie czy coś w tym rodzaju. W czasie powrotu z pogrzebu przyszło mu do głowy, że nie ma żadnego prawdziwego powodu, by czekać cały tydzień na wysłanie Andy'ego McGee na Maui; ta środa to i tak wystarczająco późno.

A później notatka zawładnęła nim bez reszty.

Napisana była stylem dalekim od zwykłego chłodnego, ozdobnego stylu Hockstettera; w rzeczywistości napisano ją językiem histerycznym i pełnym wykrzykników, i Kap pomyślał, rozbawiony, że dziewczynka musiała zaleźć Hockstetterowi za skórę. Zaleźć mu za skórę całkiem głęboko.

A wszystko sprowadzało się do tego, że Charlie się zaparła. Zdarzyło się to wcześniej, niż się spodziewali, to wszystko. Może

– nie, prawdopodobnie – wcześniej, niż spodziewał się Rainbird. Cóż, odczekają kilka dni, a później... później...

Tok jego myśli został nagle przerwany. W oczach Kapa pojawiło się nieobecne zaskoczenie. W jego głowie zrodził się obraz kija golfowego, kija numer pięć, uderzającego piłeczkę Spalding. Słyszał ten cichy, gwizdzący dźwięk, wzzzz. A później piłeczka znikła; leciała wysoko, biała na tle niebieskiego nieba. I skręcała, skręcała...

Czoło Kapa rozpogodziło się. O czym to myślał, ho, ho? To niepodobne do niego, tak zapominać, co ma do zrobienia. Charlie zaparła się, o tym właśnie myślał. Cóż, wszystko w porządku. Nie ma się czym przejmować. Zostawią ją samą na jakiś czas, może aż do niedzieli, a później użyją na nią Rainbirda. Zapali całe mnóstwo ogni, by tylko utrzymać

Rainbirda z dala od więziennej celi.

Sięgnął ręką do kieszeni na piersi i znalazł w niej złożoną kartkę papieru. W głowie usłyszał świst uderzającego kija, który wydawał się odbijać echem od ścian. Ale teraz nie brzmiał jak wzzzz... Brzmiał jak ciche sssss, niemal jak syk... węża. Nieprzyjemne. Zawsze, od najwcześniejszego dzieciństwa, Kap uważał, że węże są nieprzyjemne.

Z pewnym wysiłkiem odepchnął od siebie wszystkie te głupoty o węzach i kijach golfowych. Być może pogrzeb zdenerwował go mocniej, niż chciał przyznać. Zadzwoił interkom i sekretarka powiedziała mu, że Puck jest na linii. Kap podniósł słuchawkę i po chwili niezobowiązującej rozmowy zapytał, czy Puck miałby jakieś problemy, gdyby zdecydowali się przewieźć ten ładunek na Maui nie w sobotę, lecz w środę. Puck sprawdził i powiedział, że nie widzi żadnego problemu.

– Powiedzmy, o trzeciej po południu?

– Żaden problem – powtórzył Puck. – Tylko już tego więcej nie przestawiaj, bo się zakorkujemy. Zaczyna tu być gorzej niż na autostradzie w godzinie szczytu.

– Nie, środa to mur – powiedział Kap. – I jeszcze jedno: ja też jadę. Ale zatrzymaj to dla siebie, OK?

Puck wybuchnął szczerym, basowym śmiechem.

– Słońce, dziewczyny i spódniczki z trawy, co?

– A czemu nie? – zgodził się Kap. – Eskortuję bardzo cenny ładunek. Potrafiłbym chyba wyłgać się z tego nawet przed se-

nacką komisją. Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku nie miałem żadnych wakacji. A z tych ostatnich i tak ci cholerni Arabowie i ich ropa wyrwali tydzień.

– Zatrzymam to dla siebie. Masz zamiar pograć w golfa, kiedy już się tam znajdziesz? Znam przynajmniej dwa znakomite tereny na Maui.

Kap umilkł. Spojrzał uważnie na blat swego biurka, a później przez blat. Słuchawka lekko oddaliła się od jego ucha.

– Kap. Jesteś tam?

W małym, eleganckim gabinecie rozległo się ciche, wyraźne, złowrogie sssss.

– Cholera, chyba nas rozłączyło – mruknął Puck. – Kap? Ka...

– Ciągłe fałszujesz uderzenia, przyjacielu?

Puck roześmiał się.

– Żartujesz? Kiedy umrę, pochowają mnie w cholernych krzakach. Przez chwilę sądziłem, że nas rozłączyło.

– Jestem tutaj. Puck, czy na Hawajach są węże?

Teraz Puck umilkł na chwilę.

– Powtórz?

– Węże. Jadowite węże.

– Ja... niech mnie diabli, jeśli wiem. Mogę sprawdzić, jeśli to takie ważne... – Pełnym powątpiewania głosem Puck wyraźnie dawał do zrozumienia, że Kap zatrudnia z pięć tysięcy nawiedzonych, żeby sprawdzali takie rzeczy.

– Nie, wszystko w porządku – stwierdził Kap i znów mocno przycisnął słuchawkę do ucha. – Chyba po prostu głośno myślałem. Może się starzeję?

– Nie ty, Kap. Jest w tobie zbyt wiele z wampira.

– Tak, może. Dziękuję, przyjacielu.

– Nie ma sprawy. Dobrze, że się wyrwiesz na trochę. Nikt nie zasługuje na to bardziej niż ty po tym, co przeszedłeś w tym roku.

Oczywiście miał na myśli Georgię; nic nie wiedział o rodzinie McGee. Co oznacza, pomyślał Kap, że w ogóle o niczym nie ma pojęcia. Zaczął się żegnać i nagle dodał:

– A przy okazji, Puck, gdzie ten samolot wyląduje i uzupełni paliwo? Wiesz coś?

– Durban, Illinois – odpowiedział natychmiast Puck. – Koło Chicago.

Kap podziękował mu, powiedział „do widzenia”, i odwiesił słuchawkę. Palce znowu powędrowały mu do kieszonki, dotknęły kartki papieru. Oczy spoczęły na notatce Hockstettera. Wygląda na to, że oprócz wszystkiego dziewczynka była mocno zdeenerwowana. Pewnie nie zaszkodzi, jeśli pójdzie do niej i pogada z nią, trochę ją popieści.

Pochylił się i wcisnął przycisk interkomu.

– Tak, Kap?

– Schodzę na chwilę na dół. Powinienem wrócić za jakieś pół godziny.

– Doskonale.

Kap wstał i ruszył do drzwi gabinetu. Kiedy szedł, po raz kolejny wsadził rękę do kieszonki i dotknął liściku.

8

Piętnaście minut po wyjściu Kapa Charlie leżała na łóżku, czując w głowie kompletny zamęt, strach i pełną obaw niepewność. Najdosłowniej nie wiedziała, co myśleć.

Przyszedł pół godziny temu, za piętnaście piąta, i przedstawił się jako kapitan Hollister („ale proszę, nazywaj mnie Kap, wszyscy mnie tak nazywają”). Miał miłą, bystrą twarz, która przypominała jej trochę ilustrację z *O czym szumią wierzby*. Była to twarz, którą gdzieś niedawno widziała, ale nie mogła jej umiejscowić, dopóki sam Kap nie pomógł jej pamięci. To on odprowadził ją do pokoju po pierwszym teście, kiedy mężczyzna w białym kombinezonie dał dyla, zostawiając otwarte drzwi. Czowała wtedy szok, winę i – tak! – radosny triumf; nic dziwnego, że nie zapamiętała tej twarzy. Prawdopodobnie nie zauważyłaby nawet, gdyby do mieszkania odprowadził ją Gene Simmons z Kiss.

Ten Kap mówił tak gładko i przekonywająco, że od razu przestała mu ufać.

Powiedział jej, że Hockstetter jest zmartwiony, ponieważ zapowiedziała, że nie będzie więcej testów, póki nie zobaczy się z ojcem. Charlie potwierdziła, że tak właśnie jest i że nie powie nic więcej... i nie powiedziała, głównie ze strachu. Jeśli przedstawisz argumenty takim wygadanyim ludziom jak ten Kap, to on rozważa te argumenty, i rozważa, i rozważa, aż w końcu czarne

wydaje się białe, a białe wydaje się czarne. Lepiej jest po prostu stawiać żądania. Bezpieczniej.

Ale Kap ją zaskoczył.

– Jeśli tak uważasz, to w porządku – powiedział. Wyraz zaskoczenia na jej twarzy musiał być trochę komiczny, bo ten Kap zachichotał. – Trzeba będzie to i owo załatwić, ale...

Na słowa „to i owo załatwić” buzia Charlie znowu znieruchomiała.

– Niczego więcej nie podpale. Żadnych testów. Nawet jeśli trzeba będzie dziesięciu lat, żeby to „załatwić”.

– Och, nie sądzę, żeby miało to trwać tak długo – odparł Kap, nie sprawiając wrażenia urażonego. – Chodzi tylko o to, że i ja dostaję polecenia, Charlie. W takiej pracy jak ta jest mnóstwo biurokracji. Ale nie będziesz musiała podpalić nawet świeczki do czasu, aż to załatwię.

– To dobrze – odpowiedziała twardo Charlie, nie wierząc mu, nie wierząc, że ma zamiar cokolwiek załatwić. – Bo niczego nie podpale.

– Myślę, że będę mógł to załatwić... do środy. Tak, z pewnością do środy.

I nagle zamilkł. Przekrzywił lekko głowę, jakby słuchał dźwięku odrobinę za wysokiego, by i ona mogła go usłyszeć. Charlie spojrzała na niego zaskoczona i już miała go zapytać, czy dobrze się czuje, gdy z trzaskiem zamknęła buzię. W sposobie, w jaki siedział, było coś... było coś niemal znajomego.

– Czy pan naprawdę myśli, że mogłabym go zobaczyć w środę? – zapytała skromnie.

– Tak, z pewnością. – Kap poruszył się w krześle i westchnął ciężko. Ich spojrzenia zbiegły się i Kap uśmiechnął się do Charlie niepewnym, krótkim uśmiechem... który także znała. Ni z tego, ni z owego zapytał: – Słyszałem, że twój tata dobrze grywa w golfa.

Zaskoczona Charlie przymknęła oczy. O ile wiedziała, jej ojciec nigdy w życiu nie dotknął kija do golfa. Już gotowa była to powiedzieć... lecz nagle wszystko ułożyło się w jej głowie i przebiegł ją oszałamiający dreszcz zaskoczenia i podniecenie.

Pan Merle! On zachowuje się jak pan Merle!

Pan Merle był jednym z dyrektorów, którym pomagał tatuś, kiedy jeszcze mieszkali w Nowym Jorku. Po prostu mały czło-

wieczek o jasnych włosach, miał okulary w różowej oprawce i słodki, nieśmiały uśmiech. Musiał zyskać pewność siebie, jak wszyscy inni. Pracował w firmie ubezpieczeniowej, w banku czy gdzie tam. I przez jakiś czas tata bardzo martwił się o pana Merle. To był ten ryk... ryko... rykoszet. Brał się od pchnięcia. Miał coś wspólnego z opowiadaniem, które czytał kiedyś pan Merle. Pchnięcie, którego użył tata, by dać panu Merle więcej pewności siebie, spowodowało, że pan Merle przypomniał sobie to opowiadanie w zły sposób, w sposób, który sprawił, że był chory. Tatuś mówił, że rykoszet pochodził od tego opowiadania i latał po głowie pana Merle jak odbijająca się od ściany piłka tenisowa, tylko że zamiast się zatrzymać, tak jak zatrzymałaby się w końcu piłka tenisowa, wspomnienie tego opowiadania stawałoby się coraz to mocniejsze, aż w końcu sprawiłoby, że pan Merle ciężko by zachorował. Charlie miała wrażenie, iż tata martwił się, że to może sprawić nie tylko, że pan Merle zachoruje, ale też, że pan Merle umrze. Więc pewnego wieczoru tata zatrzymał pana Merle, kiedy wszyscy już wyszli, i pchnął go tak, by zapomniał, że kiedykolwiek czytał to opowiadanie. I później pan Merle był w porządku. Tata powiedział jej kiedyś, iż ma nadzieję, że pan Merle nigdy nie pójdzie na film *Łowca jeleni*, ale nie wytłumaczył dlaczego.

Nim tata wszystko naprawił, pan Merle wyglądał tak jak Kap teraz.

Nagle Charlie była całkowicie pewna, że jej ojciec pchnął tego mężczyznę, i jej podniecenie przybrało rozmiary tornada. Przez cały czas nie słyszała o nim nic oprócz czegoś w rodzaju ogólnikowych raportów, które kilka razy przynosił John; przez cały czas nie widziała go i nie wiedziała, gdzie jest; a w ten dziwny sposób ojciec jakby nagle pojawił się w tym pokoju, koło niej, mówiąc, że wszystko jest w porządku i że jest blisko.

Kap wstał nagle.

– Cóż, muszę już iść. Ale będę się z tobą widywał, Charlie. I nie martw się.

Chciała mu powiedzieć, żeby jeszcze nie odchodził, żeby jej opowiedział o tatusiu, czy wszystko z nim dobrze... ale język miała jak przyrośnięty do podniebienia. Kap podszedł do drzwi, a później zatrzymał się.

– Och, byłbym zapomniiał.

Wrócił przez pokój do Charlie, z kieszeni na piersiach wyjął zwinięty kawałek papieru i podał go dziewczynce. Charlie wzięła go machinalnie, obejrzała i schowała do kieszeni szlafroka.

– A kiedy jeździsz konno – powiedział konfidencjonalnie Kap – uważaj na węże. Kiedy koń dostrzeże węża, stanie dęba. Zawsze. One...

Kap przerwał, podniósł ręce do czoła i potarł je. Przez chwilę wydawał się stary, zagubiony. A później gwałtownie potrząsnął głową, jakby odrzucał od siebie tę myśl. Pożegnał Charlie i wyszedł. Przez dłuższą chwilę po jego wyjściu Charlie stała nieruchomo. Później wyjęła list, rozwinęła, przeczytała to, co napisał jej ojciec, i wszystko się zmieniło.

9

Charlie, kochanie

Po pierwsze: kiedy skończysz czytać, spłucz list toalecie, OK?

Po drugie: Jeśli wszystko pójdzie tak, jak zamierzam, jak mam nadzieję, że pójdzie, wydostaniemy się stąd w środę. Człowiek, który da ci ten liścik, gra w naszej drużynie, chociaż sam o tym nie wie... jasne?

Po trzecie: chcę, żebyś była w stajniach w środę, o pierwszej po południu. Nie ma znaczenia, jak to zrobisz – podpal coś jeszcze, jeśli będą chcieli. Ale bądź tam.

Po czwarte, najważniejsze: Nie ufaj temu Johnowi Rainbirdowi. To może Cię zdenerwować. Wiem, że mu ufałaś. Ale to bardzo niebezpieczny człowiek, Charlie. Nikt nie może Ci mieć za złe, że mu zaufałaś – Hollister mówi, że był wystarczająco przekonujący, by zdobyć Oscara. Ale wiedz jedno: on dowodził ludźmi, którzy nas złapali w domku Granthera. Mam nadzieję, że nie zdenerwowało Cię to za bardzo, ale wiem, że przy tym, co przeszłaś, chyba jednak zdenerwowało. To nie przelewki dowiedzieć się, że ktoś nas używał do własnych celów. Posłuchaj, Charlie: jeśli Rainbird się u Ciebie pojawi – a najprawdopodobniej się pojawi – to bardzo ważne, by dalej myślał, że Twoje uczucia do niego się nie zmieniły. Zejdzie nam z drogi na środowe popołudnie.

Jedziemy do Los Angeles lub Chicago, Charlie, i sądzę, że mam sposób, aby załatwić nam konferencję prasową. Mam starego przyjaciela imieniem Quincy i liczę na to, że nam pomoże, i wierzę – muszę wierzyć – że wyjdzie nam naprzeciw, jeśli tylko zdołam się z nim skontaktować. Konferencja prasowa

oznacza, że cały kraj się o nas dowie. Może nadal będą chcieli trzymać nas gdzieś, ale będziemy razem. Mam nadzieję, że nadal chcesz tego tak mocno jak ja.

Nie byłoby tak źle, goyby nie to, że chcieli, abyś im coś podpałała, z najgorszych powodów. Jeśli masz jakieś wątpliwości na temat kolejnej ucieczki, pamiętaj, że to po raz ostatni... i że tego chciałyby mama. Tęsknię za Tobą Charlie, i bardzo Cię Kocham.

Tata

10

John?

John dowodził ludźmi, którzy postrzelili ją i tatę strzałkami ze środkiem usypiającym?

John?

Przewracała głowę z boku na bok. Uczucie wewnętrznej pustki, złamanego serca, wydawało się zbyt wielkie, by można je było znieść. Nie było wyjścia z tego okrutnego kręgu. Jeśli uwierzy ojcu, musi uwierzyć, że John oszukiwał ją przez cały czas po to, żeby zgodziła się na ich testy. Jeśli nadal będzie wierzyła Johnowi, to liścik, który podarła i wrzuciła do toalety, był tylko kłamstwem podpisanym przez ojca. W każdej sytuacji ból, koszty były niesamowite. Czy dorosłość oznacza właśnie to? Poradzić sobie z tym bólem? Z tymi kosztami? Jeśli tak, miała nadzieję, że umrze młodo.

Pamiętała, jak po raz pierwszy odwróciła się od Wróża i zobaczyła uśmiech Johna... i coś w tym uśmiechu, co jej się nie podobało. Pamiętała, że nigdy tak naprawdę nie odebrała od niego żadnego uczucia, jakby był zamknięty lub... lub... lub martwy w środku.

Próbowała odsunąć od siebie tę myśl – ale myśl nie dała się odsunąć.

Nie, on nie był taki. Nie był. To przerażenie podczas awarii prądu. Opowieść o tym, co zrobił mu ten Kong. Czy to mogłoby być kłamstwo? Czy to mogło być kłamstwo, z tą jego zrujnowaną twarzą, poświadczającą jego opowieść? Przewracała głowę na poduszce, w jedną stronę, w drugą i z powrotem, w nieskoń-

czonym geście przeczenia. Nie chciała o tym myśleć, nie chciała, nie chciała. Ale nie mogła uwolnić się od myśli.

Przypuśćmy... przypuśćmy, że sami spowodowali tę awarię?
Albo przypuśćmy, że po prostu się zdarzyła... a on jej użył?
NIE! NIE! NIE! NIE!

A jednak umysł Charlie był już poza jej świadomą kontrolą i krążył po nitkach doprowadzającej do szaleństwa, przerażającej sieci z upartą, chłodną determinacją. Charlie była mądrą dziewczynką i uważnie śledziła łańcuch swego rozumowania, sprawdzając go krok po kroku, spowiadając się jak skruszony grzesznik wyznający grzechy na ostatecznej spowiedzi, w pełnym poddaniu.

Pamiętała odcinek serialu, który oglądała kiedyś w telewizji, to był *Starsky i Hutch*. Wsadzili gliniarza do tej samej więziennej celi, w której siedział zły człowiek, co wiedział wszystko o napadzie. Gliniarza, który udawał bandytę, nazywali „wtyczką”.

Czy John Rainbird był wtyczką?

Jej tata mówił, że tak. A dlaczego tata miałby jej kłamać?

Komu ma wierzyć? Johnowi czy tacie? Tacie czy Johnowi?

Nie, nie nie – powtarzał jej umysł; regularnie, monotonnie...

1 bez skutku. Przechodziła torturę niepewności, której nie powinno przechodzić żadne ośmioletnie dziecko, i kiedy pojawił się sen, wraz z nim przyszedł koszmar. Tylko że tym razem dostrzegła twarz postaci, która stała, zasłaniając światło.

11

– W porządku, o co chodzi? – zapytał opryskliwie Hockstetter.

Jego ton sugerował, że lepiej, aby chodziło o coś ważnego. Siedział w domu, w sobotnim kinie nocnym szedł film z Jamesem Bondem, i wtedy zadzwonił telefon i głos w słuchawce powiedział mu, że mogą mieć kłopoty z dziewczynką. Rozmawiali normalną linią i Hockstetter nie odważył się zapytać, jakie to mogą być kłopoty. Po prostu pojechał, jak stał, w poplamionych farbą džinsach i podkoszulku.

Przyjechał przerażony, zajadając czekoladkę, by zabić kwaśne uczucie w żołądku. Pocałował żonę przy wyjeździe i odpo-

wiedział jej uniesionym brwiami, że jest niewielki problem ze sprzętem i że zaraz wraca. Zastanawiał się, co by powiedziała, gdyby wiedziała, że ten „niewielki problem” może go w każdej chwili zabić.

Stojąc teraz w dyżurce, patrząc na upiorny, podczerwony obraz na monitorze, na którym zwykle obserwowali Charlie, kiedy światło było wyłączone, raz za razem życzył sobie, żeby było już po wszystkim i żeby usunąć już z drogi tę dziewczynkę. Nigdy o tym nie marzył, kiedy ta cała sprawa była jeszcze akademickim problemem, zarysowanym w kilku tomach akt w niebieskich teczkach. Teraz wszystko stało się realne: płonąca ceglana ściana, punktowa temperatura – prawie siedemnaście tysięcy stopni Celsjusza – Brad Hyuck mówiący o siłach napędzających silnik wszechświata. Realny był także strach. Czuł się tak, jakby siedział na wierzchołku niestabilnego generatora jądrowego.

Kiedy Hockstetter wszedł, strażnik na służbie, Neary, obrócił się w krzesło.

– Kap przyszedł ją odwiedzić około piątej – powiedział. – Nawet nie spojrzała na kolację. Wcześniej poszła spać.

Hockstetter zerknął w monitor. Charlie, całkowicie ubrana, przewracała się niespokojnie w niezasłanym łóżku.

– Wygląda, jakby miała koszmar.

– Jeden albo cały serial – przyświadczył ponuro Neary. – Dzwoniłem, bo temperatura u niej w ciągu ostatniej godziny poszła o trzy stopnie w górę.

– To niewiele.

– Całkiem sporo w pokoju tak klimatyzowanym jak ten. Nie ma wątpliwości, że ona to robi.

Hockstetter zastanawiał się nad tym, przygryzając kostki palców.

– Myślę, że ktoś tam powinien pójść i ją obudzić – stwierdził Neary, docierając wreszcie do sedna rzeczy.

– Czy po to mnie tu sprowadziłeś?! – wrzasnął Hockstetter. – Żeby obudził dziecko i dał mu szklankę ciepłego mleka?

– Nie chciałem przekroczyć moich uprawnień – stwierdził poważnie Neary.

– Pewnie – powiedział Hockstetter i zdławił resztę tego, co chciał powiedzieć. Jeśli temperatura pójdzie jeszcze w górę, dziewczynkę trzeba będzie obudzić i zawsze jest ryzyko, że jeśli

będzie wystarczająco przestraszona, może się wyładować na pierwszej osobie, którą zobaczy po obudzeniu. W końcu mocno się napracowali, zdejmując wszelkie ograniczenia z jej zdolności pirokinetycznych, i nieźle im się to udało. – Gdzie Rainbird? – zapytał.

Neary wzruszył ramionami.

– Z tego co wiem, może nawet urwał się do Winnipeg. Ale jeśli o niego chodzi, nie jest na służbie. Myślę, że byłaby strasznie podejrzliwa, gdyby pokazał się te...

Cyfrowy termometr wmontowany w kontrolki przed Nearym przeskoczył o kolejny stopień, stanął i szybko przeskoczył o dwa dalsze.

– Ktoś musi tam pójść – powiedział Neary i teraz głos lekko mu drżał. – Jest już dwadzieścia pięć stopni. Co będzie, jeśli to wszystko wyleci w powietrze?

Hockstetter próbował coś wymyślić, lecz mózg miał jak zamrznęty. Pocił się mocno, ale w ustach miał sucho, jakby gryzł wełnianą skarpetę. Chciał być z powrotem w domu, rozparty w wygodnym fotelu, patrząc, jak James Bond rozwala SMERSH czy co tam, do diabła, rozwalał. Nie chciał być tutaj. Nie chciał patrzeć na czerwone cyferki ukryte pod szklanym kloszem, nie chciał patrzeć, jak nagle rosną o dziesiątki, trzydziestki, setki, jak to było z tą ceglana ścianą...

Myśl! – wrzeszczał na siebie. Co masz zrobić? Co masz...

– Właśnie się obudziła – powiedział cicho Neary.

Obaj wpatrzyli się uważnie w monitor. Charlie opuściła nogi na podłogę i siedziała ze zwieszoną głową, podpierając ją rękami; włosy zakrywały jej twarz. Po chwili wstała i poszła do łazienki – bardziej śpiąca niż rozbudzona, przypuszczał Hockstetter.

Neary przekręcił gałkę i włączyła się kamera w łazience. Filmowany w jasnym świetle jarzeniówek obraz był ostry i czysty. Hockstetter spodziewał się, że dziewczynka robi siusiu, ale Charlie po prostu stała w drzwiach, patrząc na toaletę.

– Matko najświętsza, spójrz na to – mruknął Neary.

Woda w toalecie zaczęła parować. Trwało to ponad minutę (minutę dwadzieścia jeden sekund, według sprawozdania Neary'ego), a potem Charlie weszła do toalety, spuściła wodę, zrobiła siusiu, spuściła wodę po raz drugi, wypila dwie szklanki

wody i wróciła do łóżka. Hockstetter spojrział na termometr i zobaczył, że temperatura spadła o cztery stopnie. Kiedy na niego patrzył, spadła jeszcze o stopień, do dwudziestu jeden – zaledwie o stopień więcej niż normalnie.

Pozostał z Nearym aż do północy.

– Idę do domu, do łóżka – powiedział w końcu. – Zaznacz to wszystko w raporcie, dobra?

– Za to mi płacą – odpowiedział spokojnie Neary.

Hockstetter wrócił do domu. Następnego dnia napisał notatkę z sugestią, że nadzieja na wzbogacenie wiedzy jakimikolwiek przyszłymi testami musi uwzględniać ryzyko, które według niego rosło zdecydowanie za szybko.

12

Charlie niewiele pamiętała z tej nocy. Wiedziała, że było jej gorąco, że wstała i pozbyła się tego ciepła. Prawie nie pamiętała snu – z wyjątkiem uczucia wolności...

...przed nimi było światło – kraniec lasu, otwarta łąka, po której będą jeździć z Wróżem w nieskończoność.

...zmieszanego z uczuciem strachu i uczuciem straty. To była jego twarz, to była twarz Johna, cały czas. Być może o tym wiedziała. Może wiedziała o tym

...płoną lasy, nie skrzywdź koni, och, proszę, nie skrzywdź koni.

...cały czas.

Następnego ranka, kiedy się obudziła, jej strach, niepewność i rozpacz rozpoczęły swą, być może nieuniknioną, przemianę w lśniący twardy klejnot gniewu.

Lepiej, żeby w środę zszedł mi z drogi, myślała. Lepiej dla niego, żeby zszedł mi z drogi. Jeśli naprawdę to zrobił, lepiej, żeby w środę nie podchodził ani do mnie, ani do tatusia.

13

Tego samego dnia, późnym rankiem, pojawił się Rainbird, pchając przed sobą wózek z proszkami do czyszczenia, ścierkami, gąbkami i szmatami. Biały fartuch sprzątacza wisiał na nim luźno.

– Cześć, Charlie – powiedział.

Charlie leżała na tapczanie, oglądając książeczkę z obrazkami.

Spojrzała w górę, buzię miała w tym momencie bladą, poważną... ostrożną. Skóra na jej policzkach wydawała się zbyt mocno napięta. Uśmiechnęła się nagle. Ale to nie jest jej normalny uśmiech, pomyślał Rainbird.

– Cześć, John.

– Wybacz, że ci to mówię, Charlie, ale nie wyglądasz mi dzisiaj najlepiej.

– Nie spałam dobrze.

– Ach, tak? – Doskonale o tym wiedział. Ten kretyn Hockstetter cały się zapienił, bo we śnie dziewczynka podniosła temperaturę o parę stopni. – Przykro mi to słyszeć. Czy to przez tatę?

– Pewnie tak. – Charlie zamknęła książkę i wstała. – Chyba pójdę i na chwilę się położę. Po prostu nie mam ochoty rozmawiać.

– Jasne. Kapuję.

Patrzył, jak odchodzi, a kiedy drzwi sypialni zamknęły się z trzaskiem, poszedł do kuchni napełnić wiadro. Tak jakoś na niego patrzyła. Ten uśmiech. To mu się nie podobało. Miała kiepską noc, tak, racja. Od czasu do czasu zdarza się to każdemu, a rano krzyczysz na żonę albo przepalasz spojrzeniem gazetę, albo coś. Jasne. Tylko... Coś tam głęboko dzwoniło na alarm. Wiele czasu minęło od chwili, kiedy tak na niego patrzyła. Dziś rano nie podbiegła do niego, szczęśliwa i zadowolona, że go widzi, i to mu się też nie podobało. Trzymała się na dystans. Niepokoiło go to. Może był to tylko skutek niewyspania, a koszmary tej nocy spowodowało coś, co zjadła, ale mimo wszystko nie przestało go to niepokoić.

I coś jeszcze nie dawało mu spokoju; wczoraj wieczorem Kap wszedł do niej w odwiedziny. Nigdy przedtem tego nie robił. Rainbird postawił wiadro na podłodze i oparł o nie szczotkę.

Namoczył i wyżył ścierkę, i długimi, powolnymi pociągnięciami zaczął zmywać podłogę. Zrujnowaną twarz miał spokojną, nieruchomą.

Czyżbyś wbijał mi nóż w plecy, Kap? Stwierdziłeś, że masz już dość? A może po prostu się mnie przestraszyłeś?

Jeśli to ostatnie było prawdą, to sporo przecenił Kapa.

Hockstetter to jedno. Hockstetter miał tyle co nic doświadczenia z komitetami i subkomitetami, słówko tu i słówko tam, przyjazny świadek. Mógł sobie pozwalać na luksus okazywania strachu. Kap nie mógł. Kap powinien wiedzieć, że coś takiego jak przekonujące dowody nie istnieje, zwłaszcza jeśli ma się do czynienia z czymś potencjalnie tak wybuchowym (gra słów z pewnością zamierzona) jak Charlie McGee. A Kap nie będzie prosił po prostu o pieniądze; kiedy znajdzie się na posiedzeniu zamkniętym, z jego ust spłynie najbardziej mistyczne i najstraszniejsze z biurokratycznych określeń: „fundusze długoterminowe”. A w tle, ukryte i niewypowiedziane, lecz potężne, widmo eugeniki. Rainbird przypuszczał, że Kap w końcu nie będzie w stanie uniknąć odwiedzin senatorów na występie Charlie. Może należałoby im pozwolić, by zabrali ze sobą dzieci, pomyślał, myjąc i wycierając podłogę. To lepsze niż tresowane delfiny w Sea Worldzie.

Kap powinien wiedzieć, że potrzebuje wszelkiej możliwej pomocy.

Więc dlaczego poszedł ją wczoraj odwiedzić? Czemu huśtał łodzią?

Rainbird wyjął ścierkę i patrzył, jak brudna woda wpada z powrotem do wiadra. Przez otwarte drzwi kuchni spojrzął na zamkniętą sypialnię Charlie. Zamknęła mu drzwi przed nosem i wcale mu się to nie podobało.

Denerwowało go to bardzo. Bardzo.

14

Była poniedziałkowa noc na początku października i z Dalekiego Południa nadciągnął silny, choć niezbyt groźny wiatr, goniąc poszarpane chmury przez okrągłą twarz wiszącego tuż nad horyzontem księżyca w pełni. Z drzew spadły pierwsze liście; wiatr przewiewał je po doskonale utrzymanych trawnikach i ścieżkach, dostarczając zajęcia kompaniom niezmordowanych ogrodników, które miały pojawić się rano. Niektóre z liści wpadały do stawu i pływały po wodzie jak maleńkie łódki. Do Wirginii znów zawitała jesień.

Zamknięty w swym mieszkaniu Andy oglądał telewizję i walczył z migreną. Martwe punkty na twarzy zmniejszyły się, ale

nie znikły. Mógł jedynie mieć nadzieję, że będzie gotów na środowe popołudnie. Jeśli wszystko pójdzie, jak zaplanował, zdoła ograniczyć do absolutnego minimum przypadki, w których zmuszony będzie rzeczywiście pchać. Jeśli Charlie dostała jego list, jeśli zdoła spotkać się z nim po drodze, w stajniach... to ona będzie jego pchnięciem, jego dźwignią, jego bronią. Kto zdoła się mu przeciwstawić, jeśli będzie trzymał w ręku odpowiednik miotacza nuklearnego?

Kap był w domu, na Longmont Hills. Tak jak tej nocy, kiedy odwiedził go Rainbird, trzymał w ręku kieliszek koniaku, a z głośników sączyła się cicha muzyka. Tym razem był to Szopen. Kap siedział na kanapie. Pod przeciwległą ścianą, pod dwiema grafikami van Gogha, stała stara, podarta torba do golfa. Wyjął ją z piwnicy, w której przez dwanaście przemieszczanych tu z Georgią lat (odliczając czas spędzony gdzieś w świecie) nagromadziło się mnóstwo sprzętu sportowego. Przyniósł torbę golfową do dużego pokoju, bo ostatnio nie mógł jakoś pozbyć się myśli o golfie. O golfie i o węzach.

Przyniósł tu torbę golfową, mając zamiar wyjąć z niej po kolei wszystkie kije, obejrzeć je, dotknąć ich, sprawdzić, czy mu to nie ulży. Lecz nagle jeden z kijów jakby... no, to zabawne (właściwie śmieszne), ale jeden z kijów chyba się poruszył. I już wcale nie był kijem do golfa, lecz węzem, jadowitym węzem, który wpełzł tu...

Kap rzucił torbę pod ścianę i uciekł. Pół kieliszka koniaku powstrzymało minimalne drżenie jego dłoni. A kiedy wypije wszystko, może zdoła sobie wytłumaczyć, że wcale nie drżały.

Podniósł kieliszek do ust i zamarł. Znowu! Ruch... czy też zawiodły go oczy?

Oczywiście, to tylko zawiodły go oczy. W tej przeklętej torbie nie było żadnych węży. Tylko kije, których ostatnio nie nadużywał. Za dużo pracy. Gra w golfa całkiem nieźle. Żaden z niego Nicklaus ani Tom Watson, co to, to nie, ale potrafi trafić do dołka. Nie fałszuje ciągle jak Puck. Kap nie lubił fałszować, bo trafiało się w pole, w wysoką trawę, a tam czasami były...

Opanuj się. Natychmiast się opanuj. Jesteś jeszcze kapitanem czy nie?

Znów drżały mu dłonie. Co się stało? Co się z nim, do diabła, stało? Czasami wydawało mu się, że można to wytłumaczyć, że

można to rozsądnie wytłumaczyć... może czymś, co ktoś mu powiedział i co on... po prostu zapomniał. Ale kiedy indziej – jak teraz, Jezu Chryste, jak teraz – czuł się tak, jakby zaraz miał doznać załamania nerwowego.

Czuł się tak, jakby te dziwne myśli, których nie mógł się pozbyć, rozciągały mu mózg jak miękki karmelek.

Jesteś kapitanem czy nie?

Nagle cisnął kieliszek z koniakiem do kominka; kieliszek rozprysł się jak bomba. Z gardła Kapa wyrwał się zduszony krzyk – szloch – jak coś zgniłego, co trzeba wyrzygać bez względu na rozpaczliwą cenę. Zmusił się, by przejść przez pokój (szedł sztywno, kiwając się jak pijak), złapał pasek torby (znów wydało mu się, że coś się w niej rusza, ślizga... śśśślizga... – sssyczy) i zarzucił ją sobie na ramię. Zniósł ją z powrotem do wypełnionej tańczącymi cieniami jaskini, piwnicy; napędzała go wyłącznie odwaga, na czole miał wielkie, okrągłe krople potu.

Grymas strachu i determinacji wykrzywił mu twarz.

Nie ma tu nic prócz kijów do golfa, nie ma tu nic prócz kijów, śpiewało mu w głowie raz za razem, raz za razem, a za każdym krokiem spodziewał się, że coś długiego i brązowego, coś o oczach jak perełki i małych kłach, ociekających śmiercionośną trucizną, wypełnie z torby i wbije mu w kark bliźniacze igły śmierci.

Kiedy wrócił do pokoju, czuł się lepiej. Z wyjątkiem ostrej migreny czuł się znacznie lepiej.

Znów mógł logicznie myśleć.

Prawie logicznie.

Upił się.

I rano czuł się jeszcze lepiej.

Na jakiś czas.

15

Rainbird spędził ów wietrzny poniedziałkowy wieczór, zbierając informacje. Niepokojące informacje. Najpierw poszedł porozmawiać z Nearym – funkcjonariuszem, który siedział przy monitorach, kiedy poprzedniej nocy Kap odwiedził dziewczynkę.

– Chcę zobaczyć taśmy – powiedział Rainbird.

Neary nie sprzeczał się. Posadził Rainbirda w małym pokoiku na drugim końcu korytarza wyposażonym w wideo Sony z możliwością stopklatki i zbliżenia, i dał mu taśmy z niedzieli. Neary z zadowoleniem pozbył się Rainbirda i miał tylko nadzieję, że nie pojawi się z jakąś dodatkową prośbą. Dziewczynka była wystarczająco straszna. Na swój gadzi sposób Rainbird wydawał się jednak straszniejszy.

Sklepik używał trzygodzinnych taśm Scotch, oznaczonych numerami od 0000 do 0300 i tak dalej. Rainbird znalazł tę, na której zarejestrowano wizytę Kapa, i obejrzał ją cztery razy; poruszył się tylko po to, by przewinąć taśmę po słowach Kapa: „Cóż, muszę już iść. Ale będę się z tobą widywał, Charlie. I nie martw się”.

Lecz na taśmie znalazło się parę rzeczy, które go zmartwiły. Nie spodobał mu się wygląd Kapa. Jakby się postarzał; a czasami, mówiąc do Charlie, wydawał się tracić wątek jak sklerotyczny dziadek. W oczach miał błędny wyraz oszołomienia, niezwykle podobny do wyrazu, który Rainbird kojarzył z szokiem bitewnym. Jego towarzysze broni ochrzcili to doskonale: sraczka mózgowa.

– Sądzę, że zdołam to załatwić... do środy. Tak, z pewnością do środy.

I po co, na Boga, powiedział jej właśnie to?

Wzbudzenie w umyśle dziecka nadziei na coś takiego było najpewniejszą znaną Rainbirdowi drogą do spieprzenia jakiegokolwiek szansy na kolejne testy. Narzucał się oczywisty wniosek: Kap rozgrywał swą własną, małą gierkę – intrygę w najlepszej tradycji Sklepiku.

Ale w to Rainbird nie potrafił uwierzyć. Kap nie wyglądał jak człowiek snujący intrygę. Wyglądał jak ktoś spieprzony do ostatecznych granic. Na przykład wzmianka o ojcu Charlie, o grze w golfa. Pojawiła się dokładnie znikąd. Nie dotyczyła niczego, co powiedział przedtem, i niczego, co powiedział potem. Rainbird bawił się przez chwilę pomysłem, że to coś w rodzaju szyfru, ale był to oczywiście śmieszny pomysł. Kap wiedział, że wszystko, co działo się w pokoju Charlie, było nagrywane i niemal zawsze kilkakrotnie przeglądane. Umiałyby użyć szyfru znacznie lepiej. Ta wzmianka o golfie. Po prostu zawisła w powietrzu, nieważna, zagadkowa.

I jeszcze ostatnia sprawa.

Rainbird cofał taśmę i puszczał ją od nowa. Kap milknie. „Och, byłbym zapomniał”. I podaje coś Charlie, dziewczynka przygląda się temu ze zdziwieniem i wkłada to coś do kieszeni szlafroka.

Rainbird naciskał klawisze Sony i Kap powtarzał: „Och, byłbym zapomniał” chyba z dziesięć razy. Podawał jej to coś chyba z dziesięć razy. Najpierw Rainbird myślał, że to guma do żucia, a później użył stopklatki i zbliżenia. To go przekonało, że Kap najprawdopodobniej podał Charlie list.

Kap, w co ty, kurwa, grasz?

16

Resztę nocy i wczesny wtorkowy ranek Rainbird spędził przy klawiaturze komputera, wywołując każdy strzęp informacji o Charlie McGee, jaki tylko przychodził mu na myśl, i próbując ułożyć te strzępki w jakiś wzór. Nic nie wychodziło. Od wpatrywania się w monitor dostał bólu głowy.

Miał już zamiar zgasić światło, kiedy pojawiła się nagła, z niczym niezwiązana myśl. Nie miała nic wspólnego z Charlie; dotyczyła grubego, znarkotyzowanego zera – jej ojca.

Pynchot. Pynchot zajmował się Andym McGee i w zeszłym tygodniu Pynchot zabił się na jeden z najwstrętniejszych sposobów, jaki Rainbird mógł sobie wyobrazić. Najwyraźniej był niezrównoważony. Pękł. Brak paru klepek. Kap zabrał Andy’ego na pogrzeb – może nieco dziwne, kiedy się nad tym zastanowić, ale wcale nie takie nadzwyczajne.

I Kap zaczyna się naraz dziwnie zachowywać – gada o golfie i przekazuje listy.

To śmieszne. Jest wykończony.

Rainbird stanął, trzymając rękę na wyłączniku światła. Monitor komputera świecił bladozielonym blaskiem, jak świeżo wykopane szmaragdy.

Kto mówi, że jest wykończony? On sam?

Rainbird zorientował się nagle, że jest tu i inna dziwna rzecz.

Pynchot zrezygnował z Andy’ego, zdecydował się wysłać go na Maui. Jeśli Andy nie mógł w żaden sposób zademonstrować,

do czego zdolna jest Próba Sześć, nie było żadnego powodu go tu trzymać... i bezpieczniej byłoby oddzielić go od Charlie.

Fajnie. Lecz nagle Pynchot zmienia zdanie i decyduje się na kolejną serię testów.

A później Pynchot postanawia wyczyścić maszynę do miele-
nia odpadków. podczas pracy teje.

Rainbird wrócił do klawiatury komputera. Myślał chwilę i wystukał:

HALO KOMPUTER/ZBADAJ STATUS ANDREW MCGEE

14112/DALSZE TESTY/BAZA MAUI/Q4

BADAM – odpowiedział komputer. I w chwilę później:

HALO RAINBIRD/ANDREW MCGEE 14112 ŻADNYCH BA-
DAŃ/POLECENIE/„STARLING”/TERMIN ODLOTU NA MAUI GO-
DZINA 15. PAŹDZIERNIK 9 POLECENIE/„STARLING”/ANDREWS
AFB-DURBAN/ILL/LOTNISKO AFB KALAMI/HI/KONIEC

Rainbird zerknął na zegarek. Dziewiąty października to śro-
da. Andy wylatywał z Longmont na Hawaje jutro po południu.
Kto to powiedział? Kryptonim „Starling” powiedział, a to ozna-
cza samego Kapa. Ale Rainbird dowiedział się o tym dopiero te-
raz. Palce znów zatańczyły mu na klawiaturze.

ZBADAJ PRAWDOPODOBIENSTWO ANDREW MCGEE
14112/PRZYPUSZCZALNA DOMINACJA UMYSŁOWA/WOBEC
HERMANA PYNCHOTA

Musiał przerwać i sprawdzić numer kodowy Pynchota w po-
gniecionej, przepoconej książeczce kodowej, którą wsadził do
kieszeni przed zejściem na dół:

14409 Q4

BADAM – odpowiedział komputer i milczał tak długo, że Ra-
inbird pomyślał, iż popełnił błąd w programowaniu i za wszyst-
kie swe trudy dostanie odpowiedź 609.

Nagle ekran komputera rozbłysł:

ANDREW MCGEE 14112/PRAWDOPODOBIENSTWO DOMINA-
CJI UMYSŁOWEJ WOBEC HERMANA PYNCHOTA 35%/KONIEC

Trzydzieści pięć procent?

Jak to możliwe?

W porządku, pomyślał Rainbird. Wyrzucimy Pynchota z tego
cholernego równania i zobaczymy, co się stanie.

Wystukał:

ZBADAJ PRAWDOPODOBIENSTWO ANDREW MCGEE 14112/PRZYPUSZCZALNA DOMINACJA UMYSLOWA Q4 BADAM – odpowiedział komputer i tym razem udzielił odpowiedzi w niespełna piętnaście sekund.

ANDREW MCGEE 14112/PRAWDOPODOBIENSTWO DOMINACJI UMYSLOWEJ 2%/KONIEC

Rainbird rozparł się w fotelu i przymknął zdrowe oko; przez pulsujący ból głowy przebił się triumf. Zadał najważniejsze pytania, co prawda od końca, ale taka jest cena, którą ludzie płacą za przyipywy intuicji, przyipywy, o których komputery nic nie wiedzą, nawet jeśli zaprogramowano je, by mówiły „Cześć”, „Do widzenia”, „Przepraszam [tu imię programisty]”, „Nie za dobrze” i „O cholera”.

Komputer nie bardzo wierzył w szansę, by Andy zachował zdolność dominacji umysłowej... dopóki nie dodało się do równania Pynchota. Wtedy procenty skakały prawie że na księżyc. Rainbird uderzył w klawiaturę

ZBADAJ DLACZEGO PRZYPUSZCZALNA ZDOLNOŚĆ DOMINACJI UMYSLOWEJ ANDREW MCGEE (PRAWDOPODOBIENSTWO) ROŚNIE Z 2% DO 35% GDY DO RÓWNANIA DODANY W/HERMAN PYNCHOT 14409 Q4

BADAM – odpowiedział komputer i wyświetlił:

HERMAN PYNCHOT 14409 UZNANE SAMOBÓJSTWO/WZIĘTO POD UWAGĘ PRAWDOPODOBIENSTWO ANDREW MCGEE 14112 MÓGŁ SPOWODOWAĆ SAMOBÓJSTWO/DOMINACJA UMYSLOWA

KONIEC

Informacja czekała tutaj, w środku pamięci najpotężniejszego i najbardziej skomplikowanego komputera na zachodniej półkuli. Czekala na właściwe pytania.

Przypuśćmy, że podam to, co podejrzewam w sprawie Kapa, jako pewne? Rainbird zastanowił się nad tym i zdecydował, że owszem, poda to komputerowi. Wyciągnął książkę kodów i sprawdził numer Kapa.

PRZYJMIJ – wystukał:

KAPITAN JAMES HOLLISTER 16040/BRAŁ UDZIAŁ W POGRZEBIE HERMANA PYNCHOTA 14409 Z/ANDREW MCGEE 14112 F4 PRZYJĘTE – odpowiedział komputer.

PRZYJMIJ – wystukał Rainbird:

KAPITAN JAMES HOLLISTER 16040/OBECNIE WYKAZUJE OZNAKI WIELKIEGO STRESU UMYSŁOWEGO F4 609 – odpowiedział komputer. Najprawdopodobniej nie miał zielonego pojęcia, co to takiego „stres umysłowy”.

– Całuj mnie w dupę – mruknął Rainbird i spróbował jeszcze raz.

PRZYMIJ/KAPITAN JAMES HOLLISTER 16040/OBECNIE ZACHOWUJE SIĘ PRZECIWNIE DO ROZKAZÓW WOBEC CHARLENE MCGEE 14111 F4 PRZYJĘTE

– Przyjmij, kutasie – powiedział Rainbird. – Spróbujmy tak. – I położył palce na klawiaturze.

ZBADAJ MOŻLIWOŚĆ ANDREW MCGEE 14112/ RZYPUSZCZALNA ZDOLNOŚĆ DOMINACJI UMYSŁOWEJ/WOBEC HERMANA PYNCHOTA 14409/WOBEC KAPITANA JAMESA HOLLISTERA 16040 Q4

BADAM – odpowiedział komputer i Rainbird rozsiadł się wygodnie, patrząc w monitor. Dwa procent to za mało. Trzydzieści pięć procent – nie warto się zakładać. Ale... Komputer wyświetlił następujący rezultat:

ANDREW MCGEE 14112/PRAWDOPODOBIENSTWO DOMINACJI UMYSŁOWEJ 90%/WOBEC HERMANA PYNCHOTA 14409/WOBEC KAPITAN JAMES HOLLISTER 16040 KONIEC

Prawdopodobieństwo skoczyło już do dziewięćdziesięciu procent. A o to warto się założyć.

A pozostałe dwie rzeczy, o które John Rainbird założyłby się w każdej chwili, to: po pierwsze Kap rzeczywiście podał dziewczynce list od jej ojca i, po drugie, w liście był jakiś plan ucieczki.

– Ty cholerny sukinsynu – mruknął John Rainbird nie bez podziwu.

Przysunął się do komputera i wystukał:

600 DO WIDZENIA KOMPUTER 600

604 DO WIDZENIA RAINBIRD 604

Rainbird wyłączył komputer i zachichotał.

Rainbird wrócił do domu, w którym mieszkał, i zasnął w ubraniu. Obudził się we wtorek tuż po południu, zadzwonił

do Kapa i powiedział mu, że nie przyjdzie do pracy, bo mocno się przeziębził, może to nawet grypa; nie chciałby zarazić Charlie.

– Mam nadzieję, że nie przeszkodzi ci to pojechać jutro do San Diego – powiedział radośnie Kap.

– San Diego?

– Trzy przesyłki – wyjaśnił Kap. – Ściśle tajne. Potrzebuję kuriera. Ty będziesz kurierem. Masz samolot z Andrews siódma zero zero.

Rainbird myślał szybko. Kolejne dzieło Andy’ego McGee. McGee o nim wiedział. Oczywiście, że wiedział. Napisał o nim w liście do Charlie; o nim i o jakimś szalonym, skleconym naprędce planie ucieczki. To wyjaśniało, dlaczego wczoraj dziewczynka zachowała się tak niezwykle. Jadąc na pogrzeb Pynchota albo wracając z pogrzebu, Andy mocno ruszył Kapa i Kap wyśpiewał mu wszystko. McGee miał odlecieć z Andrews jutro po południu; a teraz Kap powiedział mu, że on, Rainbird, odlatuje jutro rano. McGee użył Kapa, by zabezpieczyć się przed nim, Rainbirdem, i usunąć go z drogi. Jest...

– Rainbird, jesteś tam?

– Jestem, jestem. Nie możesz posłać kogoś innego? Cholernie kiepsko się czuję, Kap.

– Nikomu nie ufam tak jak tobie – odparł Kap. – To dynamit. Nie chcielibyśmy... żeby znalazł się jakiś zdradziecki... wąż i położył... na tym łapę.

– Czy powiedziałaś „wąż”? – zapytał Rainbird.

– Tak! Wąż! – Kap właściwie wrzeszczał.

McGee pchnął go, oczywiście, i w środku Kapa Hollistera oberwała się jakaś powolna lawina. Rainbird doznał nagle uczucia – nie, była to raczej intuicyjna pewność – że jeśli odmówi Kapowi i zacznie się przy tym upierać, Kap się rozleci... tak jak rozleciał się Pynchot.

Czy pragnie tego?

Zdecydował, że nie.

– W porządku – powiedział. – Będę w samolocie. Siódma zero zero. Wraz ze wszystkimi antybiotykami, które zdołam przełknąć. Straszny z ciebie sukinsyn, Kap.

– Potrafię ponad wszelką wątpliwość udowodnić, kim byli moi rodzice. – Dowcip Kapa był wymuszony, nieszczerzy. W jego

głosie słycać było drzenie i ulgę.

– Mogę się o to założyć.

– I pewnie pograsz tam sobie w golfa?

– Nie gram... – Golf? Kap wspomniał już o golfie w rozmowie z Charlie McGee – o golfie i o węzach. Golf i węże stały się jakoś koszykami diabelskiego młyna, który McGee uruchomił w jego mózgu. – No, może – powiedział Rainbird.

– Bądź w Andrews o szóstej trzydzięci i zapytaj o Dicka Folsoma. To doradca majora Puckeridge'a.

– W porządku – przytaknął Rainbird. Nie miał zamiaru znaleźć się jutro koło bazy Andrews. – Dobranoc, Kap.

Odwiesił słuchawkę i usiadł na łóżku. Wciągnął na nogi stare, pustynne buty i zaczął planować.

18

HALO KOMPUTER/PODAJ STATUS JOHN RAINBIRD 14222
ANDREWS AFB (DC) DO SAN DIEGO (CA) PUNKT DOCELO-
WY/Q9 – HALO KAP/STATUS JOHN RAINBIRD 14222/ANDREWS
(DC) DO SAN DIEGO (CA) PUNKT DOCELOWY/ODLOT ANDREWS
AFB GODZINA 7 CZAS WSCHODNI STATUS OK/KONIEC

Komputery są jak dzieci, pomyślał Rainbird, patrząc na monitor. Wystarczyło podać nowy kod Kapa – Kap zaniemówiłby, gdyby wiedział, że Rainbird go ma – i jeśli chodzi o komputer, był Kapem. Zaczął pogwizdywać bezdźwięcznie. Było dopiero po wschodzie słońca i Sklepik poruszał się sennie po utartych ścieżkach rutyny.

PRZYMIJ ŚCIŚLE TAJNE

PROSZĘ O KOD

KOD 19180

KOD 19180, powtórzył komputer.

GOTÓW NA PRZYJĘCIE ŚCIŚLE TAJNE

Rainbird zawahał się tylko na chwilę, a później wystukał:

PRZYMIJ/JOHN RAINBIRD 14222/ANDREWS (DC) DO SAN
DIEGO (CA) PUNKT DOCELOWY SKASUJ/SKASUJ F9 (19180)

PRZYJĘTE

Następnie, używając książki kodów, Rainbird poinformował komputer, kogo ma zawiadomić o skasowaniu rezerwacji: Victora Puckeridge'a i jego doradcę, Richarda Folsoma. Nowe in-

strukcje znajdują się w teleksie przesłanym o północy do Andrews i samolot, którym miał polecieć, po prostu wystartuje bez niego.

Nikt się niczego nie dowie, włączając w to Kapa.

600 DOBRANOC KOMPUTER 600

604 DOBRANOC KAP 604

Rainbird odsunął się od klawiatury. Oczywiście z dużym prawdopodobieństwem mógł zakończyć wszystko dzisiaj wieczorem. Ale nie miał całkowitej pewności. Komputer poparłby go do pewnego stopnia – ale obliczenia komputerowe to tylko suchy fakt. Lepiej ich powstrzymać, gdy wszystko już się zaczyna, gdy wszystko będzie jasne dla każdego. I bardziej zabawne.

W ogóle to było zabawne. Podczas gdy wszyscy zajmowali się obserwowaniem dziewczynki, jej tata odzyskał swe zdolności (albo ukrywał je cały czas). Najprawdopodobniej nie przyjmował leków. A teraz wydawał rozkazy także Kapowi, co oznaczało, że mógł niemal bez przeszkód rządzić organizacją, która wzięła go do niewoli. Rzeczywiście, bardzo to zabawne; Rainbird nauczył się, że ostatnie rozdania często są zabawne.

Nie wiedział dokładnie, co planuje McGee, ale mógł się domyślić. Pojadą do Andrews, oczywiście, tylko że będzie z nimi dziewczynka. Kap mógł ją wydostać poza teren Sklepiku bez większych problemów – Kap i pewnie nikt inny na świecie. Pojadą do Andrews, lecz nie na Hawaje. Być może Andy planował, że znikną w Waszyngtonie. A może opuszczą samolot w Durbanie i zaprogramują Kapa, by zażądał służbowej limuzyny. W tym przypadku przepadną w slumsach – i pojawią się parę dni później w sensacyjnych nagłówkach „Chicago Tribune”.

Przez chwilę igrał z pomysłem, by w ogóle im nie przeszkadzać. To też byłoby zabawne. Przypuszczał, że Kap skończyłby w szpitalu dla umysłowo chorych, bredząc o golfie i węzach, lub sam by się zabił. Jeśli zaś chodzi o Sklepik, to łatwo sobie wyobrazić, co działałoby się w mrowisku podminowanym kwartą nitrogliceryny. Rainbird przypuszczał, że nie więcej niż pięć miesięcy od czasu, gdy prasa przewącha „Dziwne przygody Andrew McGee i jego rodziny”, Sklepik przestanie istnieć. Nie czuł wierności wobec Sklepiku, nigdy. Był wolnym strzelcem, kalekim najemnikiem, czerwonoskórym aniołem śmierci i utrzymanie status quo w Sklepiku nie znaczyło dla niego więcej niż krowie

gównu na łące. W tej chwili nie czuł żadnego oddania Sklepikowi.

Był oddany Charlie.

Umówili się. Miał patrzeć jej w oczy, a ona miała patrzeć w jego oczy... i całkiem prawdopodobne, że przejdą granicę – razem, w płomieniach. To, że, być może, zabijając ją, ocali świat od niewyobrażalnej klęski, nie grało w jego kalkulacjach najmniejszej roli. Jego lojalność w stosunku do świata równała się lojalności w stosunku do Sklepiku. To świat – i Sklepik – wyrwały go z korzeniami z zamkniętego, pustynnego społeczeństwa, które jedyne mogło go ocalić... lub w innym przypadku zmienić w popijającego czerwonego Joe nalewającego benzynę w stacji na siedemdziesiątej szóstej lub sprzedającego fałszywe indiańskie laleczki na jakimś gównianym straganie przy autostradzie między Flagstaff i Phoenix.

Lecz Charlie, Charlie!

Trwali w nierozzerwalnym tańcu śmierci – od czasu tej mrocznej nocy po awarii elektryczności. To, co tylko podejrzewał tego poranka w Waszyngtonie, gdy załatwił Wanlessa, zmieniło się w stalową pewność – dziewczynka była jego. Lecz dokonana aktu miłości, nie zniszczenia, on bowiem niemal na pewno należał do niej.

Na to mógł się zgodzić. Pod wieloma względami chciał umrzeć. A umrzeć z jej ręki, w jej płomieniach, będzie aktem skruchy... i może odpuszczenia.

Kiedy spotkają się z ojcem, Charlie będzie jak naładowana strzelba... nie, jak naładowany miotacz ognia.

Będzie ją obserwował i sprawi, by odeszli razem. Co się stanie później? Kto wie?

A gdyby wiedział, nie byłoby zabawy.

19

Tego wieczoru Rainbird pojechał do Waszyngtonu i znalazł chciwego prawnika pracującego w nocy. Dał mu trzysta dolarów drobnymi. I w jego biurze uporządkował swe skromne życie, by być gotowym na jutro.

Podpalaczka

1

W środę rano Charlie McGee wstała o szóstej, zdjęła nocną koszulkę i weszła pod prysznic. Wykąpała się, umyła włosy, odkręciła zimną wodę i drżąc, stała pod jej strumieniem przez ponad minutę. Później wytarła się i ubrała z namysłem: bawełniane majteczki, jedwabny podkoszulek, ciemnoniebieskie podkolanówki, dżinsy i dżinsowa kurtka. Skończyła, wkładając na nogi wytarte, wygodne pantofle.

Przypuszczała, że nie uda się jej zasnąć tej nocy; poszła do łóżka przestraszona i pełna nerwowego podniecenia. Ale zasnęła. I śniła całą noc, lecz nie o Wrózu i jeździe przez las, ale o matce. Było to dziwne, bo nie myślała już o matce tak często jak niegdyś; czasami, przywoływana z pamięci, jej twarz była niewyraźna i zatarta jak stara fotografia. Lecz w snach z tej nocy twarz jej matki – roześmiane oczy, ciepłe pełne usta – była tak wyraźna, jakby Charlie po raz ostatni widziała ją nie dalej niż wczoraj.

Teraz, kiedy była ubrana, przygotowana na niespodzianki dnia i nie miała już na buzi zmarszczek napięcia, Charlie wydawała się spokojna. Na ścianie koło prowadzących do kuchenki drzwi, tuż pod wyłącznikiem światła, znajdował się przycisk wewnętrznego telefonu i mikrofon wpuszczony w płytkę z chromowanej stali. Dziewczynka przycisnęła go.

– Tak, Charlie?

Właściciela tego głosu znała wyłącznie jako Mike'a.

O siódmej, za jakieś pół godziny, Mike zniknie i pojawi się Louis.

– Dziś po południu chcę pójść do stajni i zobaczyć się z Wrózem. Powiesz komuś o tym?

– Zostawię wiadomość dla doktora Hockstettera, Charlie.

– Dziękuję. – Umilkła na krótką chwilę. Zapamiętujesz ich głosy. Mike, Louis, Gary. Wyobrażasz sobie, jak muszą wyglądać; dokładnie tak, jak wyobrażasz sobie wygląd swego ulubionego disc jockeya w radiu. Zaczynasz ich lubić. Charlie zorientowała się nagle, że prawie na pewno nigdy już nie porozmawia z Mikiem.

– Czy coś jeszcze, Charlie?

– Nie, Mike. Życzę ci... miłego dnia.

– Och, dziękuję, Charlie. – Mike był zaskoczony i uradowany.

– Wszystkiego dobrego.

Charlie włączyła telewizor i nastawiła go na kanał, który co rano dawał filmy rysunkowe. Popeye wdychał szpinak z fajki i był już gotów załatwić Pluto na czysto. Pierwsza po południu wydawała się odległa o sto lat.

A co, jeśli doktor Hockstetter powie, że nie wolno jej wyjść? Na ekranie telewizora pokazywali przekrój przez mięśnie Popeye'a. W każdym pracowało po kilkanaście motorków.

Lepiej, żeby tego nie powiedział. Niech lepiej nie zabrania. Bo i tak wyjdę. Tak czy inaczej, ale wyjdę.

2

Andy nie przespał się i nie wypoczął w nocy jak jego córka. Rzucił się i przewracał z boku na bok, drzemiąc i budząc się z drzemki, gdy tylko zmieniała się w sen, wraz ze snem bowiem pojawiał się początek straszliwego koszmaru. Pamiętał z niego wyłącznie Charlie, idącą chwiejnie przejściem między boksami stajni, bez głowy, z szyi tryskały jej zamiast krwi czerwono-błękitne płomienie.

Zamierzał zostać w łóżku do siódmej, lecz kiedy cyfry zegarka przy łóżku wskazały 6:15, nie potrafił już dłużej czekać. Wstał i poszedł pod prysznic.

Wczoraj późnym wieczorem były asystent Pynchota, doktor Nutter, pojawił się u Andy'ego z papierami na wyjazd. Nutter: wysoki, łysiejący, około pięćdziesiątki; taki protekcyjny ważniak. „Szkoda, że musimy się pożegnać, pewnie dobrze się będziesz bawić na Hawajach, chciałbym z tobą pojechać, ha, ha, podpisz no tutaj”.

Papier, który kazał mu podpisać Nutter, zawierał listę niewielu osobistych rzeczy Andy'ego (łącznie z kluczami, o czym przeczytał, czując ukłucie nostalgii). Na Hawajach dostanie je do sprawdzenia i będzie musiał podpisać inny dokument potwierdzający, że mu je rzeczywiście zwrócono. Kazali mu podpisać listę tych osobistych drobiazgów po tym, kiedy zamordowali mu żonę, ścigali jego i Charlie przez pół kontynentu, porwali ich i trzymali w niewoli. Andy czuł w tym czarny humor i odrobinę Kafki. Jasne, nie chciałbym stracić żadnego z tych kluczy, pomyślał, bazgrząc podpis na kartce papieru, mogę potrzebować któregoś z nich, żeby otworzyć sobie butelkę coli, nie, przyjaciele?

Dostał także kopię środowego planu podróży, podpisaną u dołu czytelnym podpisem Kapa. Wyjadą o dwunastej trzydzięści; Kap zgłosi się po Andy'ego w jego mieszkaniu. Podjadą razem pod wschodni punkt kontrolny, mijając parking C, z którego dołączy do nich eskorta dwóch samochodów. Następnie pojadą do Andrews i wsiądą do samolotu około godziny piętnastej. Przewidziano międzylądowanie w celu uzupełnienia paliwa – w Bazie Lotnictwa Wojskowego w Durbanie, koło Chicago.

W porządku, pomyślał Andy. OK.

Ubrał się i zaczął chodzić po mieszkaniu, pakując ubrania, przybory do golenia, buty, kaptcie. Przynieśli mu dwie eleganckie walizki. Pamiętał, by robić wszystko wolno, poruszając się z wysiloną koncentracją naćpanego narkomana. Kiedy dowiedział się od Kapa o Rainbirdzie, jego pierwszą myślą była nadzieja, że się z nim spotka; jaką wielką przyjemnością byłoby pchnąć człowieka, który postrzelił Charlie zatrutą strzałką, a potem zdradził ją w straszniejszy nawet sposób; zmusić go, by podniósł rewolwer do skroni i sam się zastrzelił. Ale teraz Andy wcale nie marzył, by spotkać Rainbirda. Nie chciał żadnych niespodzianek. Martwe miejsca na twarzy skurczyły się do maleńkich punkcików, ale nie znikły – przypominając mu, że jeśli nadużyje pchnięcia, najprawdopodobniej sam się zabije.

Chciał tylko, by wszystko poszło łatwo.

Zbyt szybko spakował swój skromny dobytek i nie miał już nic do roboty, tylko siedzieć i czekać. Myśl, że wkrótce zobaczy się z córką, jarzyła mu się w mózgu jak ciepły węgielek.

Jemu też wydawało się, że od pierwszej dzielą go całe wieki.

3

Tej nocy Rainbird nie położył się do łóżka. Przyjechał z Waszyngtonu około wpół do szóstej rano, wstawił cadillaca do garażu i usiadł przy stole w kuchni, pijąc kolejne kubki kawy. Czekał na telefon z Andrews i dopóki do niego nie zadzwonią, nie spodziewał się dobrego odpoczynku. Teoretycznie ciągle jeszcze było możliwe, że Kap odkryje, co zrobił z komputerem. McGee nieźle namieszał z Kapem, ale nie wolno go było nie doceniać.

Telefon zadzwonił mniej więcej za piętnaście siódma. Rainbird odstawił kubek z kawą, wstał, poszedł do dużego pokoju i podniósł słuchawkę.

– Mówi Rainbird – powiedział.

– Rainbird? Tu Dick Folsom z Andrews. Adiutant majora Puckeridge’a.

– Obudziłeś mnie, stary – stwierdził Rainbird. – Mam nadzieję, że złapiesz hemoroidy wielkie jak kosze pomarańczy. To stare indiańskie przekleństwo.

– Skreślili cię. Pewnie o tym wiesz?

– Tak. Wczoraj wieczorem powiedział mi o tym sam Kap.

– Przykro mi. To standardowa procedura operacyjna.

– Dobra, operujecie bardzo standardowo. Czy mogę już iść spać?

– Jasne. Zazdroszczę ci.

Rainbird roześmiał się obowiązkowo i odwiesił słuchawkę. Poszedł do kuchni, wziął kubek kawy, podszedł do okna i wyjrzał. Nie dostrzegł niczego.

W głowie jak sen kręciła mu się modlitwa za umarłych.

4

Tego ranka Kap pojawił się w swym biurze przed dziesiątą trzydzieści, półtorej godziny później niż zazwyczaj. Przed wyjazdem z domu przeszukał swą małą vegę od dziobu do rufy. W nocy nabrał pewności, że w samochodzie zagnieździły się węże. Poszukiwania zabrały mu dwadzieścia minut; musiał upewnić się, że w ciemnościach bagażnika nie kryją się grzechotniki, zmije (lub coś bardziej strasznego i egzotycznego), że nie drzemią gdzieś, na ciepłym bloku silnika, że nie skuliły się

w skrytce na desce rozdzielczej. Kap otworzył skrytkę kijem od szczotki, nie chcąc być zbyt blisko syczącego potwora, który mógłby na niego skoczyć. Kiedy z kwadratowej dziury na desce wypadła zwinięta mapa Wirginii, niemal wrzasnął.

Później, po drodze do Sklepiku, mijając tereny golfowe Klubu Greenway, zjechał na pobocze i z senną koncentracją obserwował zawodników, rozgrywających ósmy i dziewiąty dołek. Za każdym razem gdy któryś z graczy uderzał fałszem w krzaki, Kap z trudem powstrzymywał się, by nie wyjść z samochodu i krzykiem nie ostrzec go przed czającymi się w wysokiej trawie węzami.

W końcu ryk klaksonu wielkiej, pięcioosiowej ciężarówki (zaparkował z lewymi kołami na drodze) obudził go z drzemki i Kap ruszył w drogę.

Sekretarka powitała go stosem nagromadzonych przez noc teleksów, które Kap po prostu wziął, nie próbując nawet ich przejrzeć i sprawdzić, czy nie ma tam czegoś gorącego i wymagającego natychmiastowej akcji. Siedząca za biurkiem dziewczyna opowiadała o bieżących informacjach i prośbach, i nagle spojrzała w górę z zaciekawieniem. Kap wcale jej nie słuchał. Wpatrywał się w szeroką górną szufladę jej biurka.

– Czy coś nie tak? – zapytała dziewczyna. Była bardzo świadoma tego, że mimo spędzonych tu miesięcy ciągle jest nowa i że zastąpiła kogoś, kto był Kapowi bardzo bliski. Kogoś, z kim Kap mógł nawet sypiać, myślała czasami.

– Hm? – Kap rozejrzał się w końcu dookoła. Ale oczy nadal miał puste. Było to jakoś szokujące – jak patrzenie w zamknięte okiennice domu, w którym podobno straszy.

Dziewczyna zawahała się i przycisnęła.

– Dobrze się pan czuje? Jest pan błady.

– Czuję się świetnie – odparł Kap i przez moment znowu był sobą, rozpraszając nieco jej wątpliwości. Wyprostował się, podniósł głowę, pustka znikła z jego oczu. – Jeśli ktoś jedzie na Hawaje, powinien się czuć dobrze, nie?

– Hawaje? – powtórzyła z powątpiewaniem Gloria. Dla niej to była nowość.

– Nie o to teraz chodzi – powiedział Kap, biorąc formularze informacji i notatek międzywydziałowych i upychając je razem

z teleksami. – Przejrzę je później. Czy coś się zdarzyło z którymś z McGee?

– Jedna sprawa. Właśnie miałam o tym mówić. Mike Kella-her powiedział, że dziewczynka poprosiła go o pójście dziś po południu do stajni, żeby zobaczyć konia...

– Dobrze, w porządku.

– ...a później zadzwoniła jeszcze raz i powiedziała, że chcia-łaby tam pójść za piętnaście pierwsza.

– Doskonale, doskonale.

– Czy zabierze ją pan Rainbird?

– Rainbird jedzie do San Diego – powiedział Kap z wyraźnym zadowoleniem. – Poślę po nią kogoś.

– To dobrze. Czy chce pan się spotkać z... – Umilkła. Kap już na nią nie patrzył i znów miała wrażenie, że patrzy na szufladę. Szuflada była częściowo otwarta, zawsze, zgodnie z regulami-nem. Leżał w niej pistolet. Gloria doskonale strzelała, tak samo jak przed nią Rachel. – Czy pan na pewno dobrze się czuje?

– Powinnaś zamknąć tę szufladę. One lubią ciemne miejsca. Lubią w nie wpełzać i kryć się.

– One? – zapytała ostrożnie Gloria.

– Węże – i Kap wszedł do gabinetu.

5

Usiadł za biurkiem; teleksy i informacje leżały przed nim w nieporządknej kupce. Nie pamiętał o nich. Zapomniał już o wszystkim z wyjątkiem węży, kijów golfowych, i co ma zrobić za piętnaście pierwsza. Zejdzie i spotka się z Andym McGee. Miał mocne poczucie, że Andy powie mu, co dalej. Miał mocne poczucie, że Andy sprawi, iż wszystko będzie dobrze.

To, co miało nastąpić po za piętnaście pierwsza, było tylko wielką czarną ciemnością.

Nic go to nie obchodziło. Czuł swoistą ulgę.

6

O dziesiątej piętnaście John Rainbird wślizgnął się do małego pokoju kontrolnego koło mieszkania Charlie. Monitory obser-wował Louis Tranter; wielki, tłusty facet, jego pośladki niemal

wypływały z krzesła, na którym siedział. Cyfrowy termometr wskazywał bezpieczne, niezmiennie osiemnaście stopni.

Gdy otworzyły się drzwi, Tranter spojrział przez ramię i twarz mu zamarła. Dostrzegł Rainbirda.

– Słyszałem, że wyjeżdżasz z miasta – powiedział.

– Skreślili mnie – odparł Rainbird. – W ogóle mnie nie widziałeś dziś rano, Louis.

Louis przyjrzał mu się z powątpiewaniem.

– Nigdy mnie nie widziałeś – powtórzył Rainbird. – Co dziś po piątej, to mnie głównie obchodzi. Ale do piątej wcale mnie nie widziałeś. A jeśli usłyszę, że widziałeś, to znajdę cię i wytnę ci trochę tłuszczu. Kapujesz?

Louis Tranter wyraźnie zbladł. Niedojedzony batonik wypadł mu z ręki na skośną stalową tablicę, na której znajdowały się telewizyjne monitory i wskaźniki poziomu nagrania z mikrofonów. Stoczył się po pochyłej płycie i spadł, niezauważony, na podłogę, zostawiając za sobą ślad okruszków. Louis nagle przestał odczuwać głód. Słyszał, że ten facet ma fioła, a teraz widział, że to, co słyszał, było najzupełniej usprawiedliwione.

– Kapuję – powiedział szeptem ze wzrokiem utkwionym w tę twarz z niesamowitym uśmiechem i w jedno błyszczące, wpatrzone w niego oko.

– To dobrze – powiedział Rainbird i podszedł do Louisa.

Louis odsunął się, ale na razie Rainbird całkowicie go zignorował i tylko patrzył w jeden z monitorów. Widział na nim Charlie, śliczną jak obrazek w swym dżinsowym ubraniu.

Okiem kochanka Rainbird dostrzegł, że dziś nie związała włosów; swobodne i piękne spadały na jej szyję i plecy. Nie robiła nic, po prostu siedziała na kanapie. Żadnej książki. Żadnej telewizji. Wyglądała jak kobieta czekająca na autobus.

Charlie, pomyślał z podziwem. Kocham cię. Naprawdę cię kocham.

– Co ma w planach na dziś? – zapytał.

– Niewiele – poinformował go chętnie Louis. Tak naprawdę to prawie bełkotał. – Za piętnaście pierwsza idzie tylko wycesać tego konia, na którym jeździ. Jutro weźmie udział w kolejnym teście.

– Jutro, co?

– No. – Testy wcale nie obchodziły Louisa, ale myślał, że może sprawi to Rainbirdowi przyjemność i Rainbird wreszcie się wyniesie.

I chyba sprawiło. Uśmiech pojawił się znowu.

– Wychodzi do stajni za piętnaście pierwsza, co? Kto ją odprowadza? Skoro wyjechałem do San Diego?

Louis wydał z siebie wysoki, niemal kobiecy chichot, by okazać, jak bardzo spodobał mu się ten dowcip.

– Ten twój kumpel, Don Jules.

– To żaden mój kumpel.

– Nie, oczywiście, że nie – zgodził się szybko Louis. – On... on myślał, że te rozkazy są trochę dziwne, ale skoro pochodziły wprost od Kapa...

– Dziwne? A co w nich takiego dziwnego?

– No, miał po prostu odprowadzić ją do stajni i zostawić. Kap powiedział, że stajenny będzie na nią uważał. Ale oni nic nie wiedzą. Don myśli chyba, że to cholerne...

– Jasne, ale nie płaci mu się tutaj za myślenie. Prawda, grubasie? – Rainbird klepnął Louisa w plecy, mocno. Zabrzmiało to jak niewielki grzmot.

– Nie, jasne że nie – odpowiedział szybko Louis. Teraz już się pocił.

– Do zobaczenia. – Rainbird znów podszedł do drzwi.

– Wychodzisz? – Louis nie potrafił ukryć ulgi.

Rainbird zatrzymał się z dłonią na klamce i spojrzał na grubasa.

– O co ci chodzi? Mnie tu nie było.

– Nie, nie było – zgodził się pospiesznie Louis.

Rainbird skinął głową i wyślizgnął się na korytarz. Zamknął za sobą drzwi. Louis wpatrywał się przez kilkanaście sekund w zamknięte drzwi, a potem wydał z siebie szczerą i długą westchnienie ulgi. W parę chwil później podniósł z podłogi przybrudzony batonik, oczyścił go i znów zaczął zjadać.

Dziewczynka nadal siedziała spokojnie, nie robiąc nic. Jak Rainbird – właśnie Rainbird, spośród wszystkich ludzi – sprawił, że go polubiła, było wielką tajemnicą dla Louisa Trantera.

Za piętnaście pierwsza, po upływie wieczności od czasu, gdy Charlie się obudziła, u jej drzwi rozległ się krótki dzwonek i do środka wszedł Don Jules, ubrany w ocieplaną kurtkę baseballową i stare, sztruksowe spodnie. Spojrzał na dziewczynkę bez wielkiego zainteresowania.

– Idziemy – powiedział.

Charlie wyszła za nim.

8

Dzień był chłodny i piękny. O wpół do pierwszej Rainbird szedł powoli ciągle zielonym trawnikiem w kierunku niskich stajni zbudowanych w kształcie litery L, pomalowanych na kolor ciemnoczerwony – kolor schnącej krwi – z błyszczącymi, białymi wykończeniami. Nad jego głową wielkie białe chmury, zwiastujące dobrą pogodę, maszerowały wolno po niebie. Wiatr szarpał mu kurtkę.

Gdyby przyszło mu umrzeć, to był dobry dzień.

Wewnątrz stajni znalazł biuro pierwszego stajennego i wszedł do środka. Pokazał legitymację z oznaczeniem A.

– Słucham? – zapytał Drabble.

– Oczyszczyć to miejsce. Wszyscy muszą wyjść. Pięć minut.

Stajenny nie spierał się z nim i nie jąkał, a jeśli nawet pobladł, to ukryła to jego opalenizna.

– Czy konie też? – zapytał.

– Tylko ludzie. Wychodźcie tyłem.

Rainbird przebrał się w spodnie khaki – w Wietnamie nazywali je czasami „śmierć brudnej dupy”. Ich kieszenie były wielkie, głębokie, zapinane na klapy. Z jednej z nich wyjął teraz duży rewolwer. Pierwszy stajenny przyjrzał mu się mądrym, spokojnym spojrzeniem. Rainbird trzymał broń luźno, lufa skierowana była w ziemię.

– Czy będą kłopoty?

– Mogą być – odpowiedział cicho Rainbird. – Doprawdy nie wiem. Rusz się, stary.

– Mam nadzieję, że nic się nie stanie koniom – powiedział Drabble.

Dopiero wtedy Rainbird się uśmiechnął. Pomyślał: Ona też.

Widział jej oczy, kiedy była z końmi. A to miejsce, z sąsiedkami i wieloma belami siana, zbudowane z suchego drewna, było jak zbiornik gazu oznaczony wszędzie znakami z napisem: NIE PALIĆ.

Miał małą przewagę.

Lecz w miarę jak mijały lata i powoli przestawało mu zależeć na życiu, przyjmował coraz gorsze warunki.

Podszedł do wielkich, podwójnych wrót i wyjrzał na dwór. Na razie nie widział nikogo. Odwrócił się i pomaszerował między boksami, wdychając słodki, przenikliwy, budzący tęsknotę zapach koni.

Upewnił się, że wszystkie boksy są zamknięte i że skoble są na miejscu.

Znów podszedł do podwójnych wrót. Teraz dostrzegł zbliżające się postaci. Dwie postaci. Były ciągle po przeciwnej stronie stawku, o jakieś pięć minut marszu. To nie Kap i Andy McGee. To Don Jules i Charlie.

Chodź do mnie, Charlie, pomyślał czule. Chodź do mnie.

Przez moment rozglądał się po ocienionym poddaszu stajni, a później podszedł do drabiny, zwykłego pala z nabitymi nań stopniami, i zaczął się zwinnie wspinać.

W trzy minuty później Charlie i Don Jules wstąpili w cienisty chłód pustej stajni. Przez chwilę, czekając, aż ich oczy przyzwyczają się do ciemności, stali tuż przy drzwiach. Magnum 357 w dłoni Rainbirda zmodyfikowane było tak, by przystosować je do tłumika jego własnej konstrukcji, sterzącego z lufy jak dziwaczny, czarny pajak. Faktycznie nie był to doskonale tłumiący tłumik, prawie niemożliwe jest wyciszenie wielkiego rewolweru. Gdy – jeśli – pociągnie za spust, za pierwszym razem rozlegnie się ochryply trzask, za drugim cichy huk, i tłumik straci większość swych walorów. Rainbird miał nadzieję, że w ogóle nie będzie musiał używać rewolweru, lecz teraz wyjął go i pochylił celując w czoło Julesa.

A Jules uważnie rozglądał się dookoła.

– Możesz odejść – powiedziała Charlie.

– Hej! – krzyknął Jules, podnosząc głos i nie zwracając uwagi na Charlie. Rainbird znał go dobrze. Chodzący regulamin. Spełniaj każdy rozkaz z największą dokładnością, a nikt nie złapie

cię za tyłek. Za każdym razem osłaniaj dupę. – Hej, stajenny! Jest tu kto? Mam dzieciaka.

– Możesz odejść – powtórzyła Charlie i Jules zignorował ją jeszcze raz.

– Chodź – powiedział i złapał dziewczynkę za nadgarstek. – Musimy kogoś znaleźć.

Rainbird z pewnym żalem przygotowywał się do zastrzeżenia Julesa. Ale mogło być gorzej, w końcu Jules zginie według regulaminu. Z osłoniętą dupą.

– Powiedziała, że możesz odejść – przemówiła Charlie i Jules puścił nagle jej nadgarstek. A właściwie nie puścił go, odebrał dłoń jak wtedy, gdy złapie się coś gorącego.

Rainbird z uwagą oglądał to interesujące przedstawienie.

Jules obrócił się i patrzył na Charlie. Pocierał rękę, ale Rainbird nie widział, czy ma na niej znaki, czy nie.

– Wynoś się stąd – powiedziała cicho Charlie.

Jules sięgnął pod marynarkę i Rainbird jeszcze raz przygotowywał się, by go zabić. Ale nie miał zamiaru strzelić, póki Jules nie wyciągnie broni spod marynarki i nie okaże ponad wszelką wątpliwość, że ma zamiar odprowadzić dziewczynkę do mieszkania.

Lecz Jules nie zdążył nawet wyciągnąć rewolweru z kieszeni, gdy upuścił go z krzykiem na ziemię. Odskoczył o dwa kroki, odsuwając się od dziewczynki i szeroko otwierając oczy.

Charlie obróciła się bokiem, jakby Jules już jej nie interesował. Ze ściany, w połowie dłuższego ramienia L, sterczał kurek, a pod nim stało wiadro, napełnione do połowy wodą.

Z wiadra leniwie uniosła się chmura pary.

Rainbird nie sądził, że Jules zauważył parę; wpatrywał się w Charlie jak zaczarowany.

– Wynoś się stąd – powiedziała dziewczynka – albo cię spalę. Usmażę cię.

John Rainbird wzniósł na jej cześć niemą owację.

Jules patrzył na Charlie i nie mógł się zdecydować. W tej szczególnej chwili, z opuszczoną, lekko przekrzywioną głową, z poruszającymi się na boki oczami wyglądał jak groźny wąż. Rainbird gotów był wspomóc dziewczynkę, gdyby miała kłopoty w czasie rozgrywki, ale miał nadzieję, że Jules zachowa się rozsądnie. Moc Charlie wyrywała się czasami spod kontroli.

– Masz się stąd wynieść. Natychmiast – powiedziała dziewczynka. – Odejdź tam, skąd przyszedłeś. Będę obserwować, czy odszedłeś. Rusz się! Wynoś się!

Zdecydował jej gwałtowny gniew.

– W porządku. Dobra. Ale nie masz dokąd uciec, mała. Nie masz przed sobą nic prócz kłopotów.

Mówiąc to, mijał ją powoli, cofając się w stronę drzwi.

– Będę patrzeć – powiedziała poważnie Charlie. – Nawet nie próbuj się obejrzeć ty... ty wstrętna kupo.

Jules wyszedł. Powiedział coś jeszcze, ale Rainbird tego nie usłyszał.

– Masz wyjść! – krzyknęła Charlie.

Stała w podwójnych wrotach, odwrócona tyłem do Rainbir-
da; maleńka sylwetka w promieniach niskiego, popołudniowego
słońca. Rainbird znów poczuł przyływ miłości. A więc tu mieli
się spotkać.

– Charlie! – zawołał cicho.

Dziewczynka zeszywniała i zrobiła jeden krok do tyłu. Nie
obróciła się, ale czuł, jak przepływa przez nią zrozumienie i fala
nagłej furii, chociaż można to było dostrzec tylko po tym, jak się
powoli wyprostowała.

– Charlie! – zawołał znowu. – Hej, Charlie!

– Ty! – szepnęła dziewczynka. Zaledwie ją usłyszał. Gdzieś,
poniżej, cicho zarżał koń.

– To ja. Tak, Charlie, to zawsze byłem ja.

Teraz dziewczynka odwróciła się, omiatając wewnątrz stajni
długim spojrzeniem. Rainbird dostrzegł to, chociaż ona nie mo-
gła go zauważyć; ukrył się za belami siana, doskonale niewi-
doczny w cieniu podwyższonego stryszku.

– Gdzie jesteś! – syknęła Charlie. – Oszukałeś mnie! To byłeś
ty! Tatusz powiedział mi, że to ty złapałeś nas u Granthera.

Nieświadomie sięgnęła dłonią do szyi, tam gdzie trafił strzał-
ką.

– Gdzie jesteś?

– Ach, Charlie, jakże chciałabyś wiedzieć!

Zarżał koń i jego rzenie nie było dowodem spokoju i zadowo-
lenia, lecz nagłej fali strachu. Podchwycił je drugi. Rozległ się
głuchy, podwójny stuk; to któryś z ogierów pełnej krwi kopnął
w zamknięte drzwi swego boksu.

– Gdzie jesteś! – krzyknęła po raz drugi Charlie i Rainbird poczuł, że temperatura zaczyna nagle wzrastać.

Dokładnie pod nim jeden z koni – być może był to Wróż – zarażał głośno; zabrzmiało to jak kobiecy krzyk.

9

Dzwonek przy drzwiach wydał z siebie krótki, drażniący krzyk i do mieszkania Andy’ego znajdującego się pod północnym domem plantacji wszedł Kap Hollister. Nie był to już ten człowiek co rok temu. Tamten miał swoje lata, ale był twardy, zdrowy i bystry; tamten miał twarz człowieka czyhającego w listopadzie w pułapce na kaczki i trzymającego strzelbę z niedbałością znamionującą długie obycie z bronią. Ten chodził niezdarne, pociągając nogami. Włosy, jeszcze rok temu mocne i szarostalowe, były teraz siwe i delikatne jak u dziecka. Usta drżały mu słabo. Lecz największa zmiana zaszła w oczach; miały teraz wyraz dziecinnego zdziwienia, od czasu do czasu łamany rzucanymi na boki spojrzeniami pełnymi podejrzliwości, strachu i niemal unizonymi. Ręce wisały mu luźno po bokach, palce drżały. Echo zmieniło się w rykoszet, objający się po mózgu z szaloną, niesamowitą, śmiertelną szybkością.

Andy wstał na powitanie. Ubrany był dokładnie tak jak tego dnia, kiedy uciekał z Charlie po nowojorskiej Trzeciej Alei, tropiony przez samochód Sklepiku. Sztruksowa marynarka miała teraz rozpruty szew na lewym ramieniu, a brązowe spodnie były spłowiałe i wyświechtane na siedzeniu.

Czekanie przysłużyło się Andy’emu McGee. Czuł, że udało mu się dojść ze wszystkim do ład. Nie zrozumieć, nie. Czuł, że nigdy tego nie zrozumie, nawet gdyby wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu udało się jemu i Charlie wygrać, uciec i przeżyć. Nie znalazł u siebie żadnej wady charakteru, na którą można byłoby zwalić ten cały cholerny burdel; jako ojciec nie popełnił żadnego grzechu, za który musiałyby pokutować jego córka. Nie było grzechem chcieć zarobić dwieście dolców i wziąć udział w kontrolowanym eksperymencie, tak jak nie było grzechem pragnienie wolności. Jeśli uda mi się wydostać, pomyślał Andy, powiem im tak: uczcie swe dzieci, uczcie je od

najmłodszych lat i uczcie je jak najlepiej; ci ludzie mówią, że wiedzą, co robią, i czasami wiedzą, ale głównie łą.

Ale co się stało, to się nie odstanie – *n'est-ce pas*? Tak czy inaczej przynajmniej trochę dostaną za swoje. Mimo wszystko Andy ani nie wybaczył, ani nie współczuł ludziom, którzy do tego doprowadzili. Szukając pokoju z samym sobą, skierował ogień nienawiści ku biurokretynom bez twarzy, którzy doprowadzili do tego w imię bezpieczeństwa narodowego czy czegośkolwiek innego. Tylko że teraz mieli już twarze; stała przed nim jedna z nich, uśmiechnięta, drżąca, pusta. Andy nie współczuł Kapowi mimo jego stanu.

Sam się o to prosiłeś, stary.

– Cześć, Andy – powiedział Kap. – Gotowy?

– Tak. Proszę wziąć jedną z moich walizek, dobrze?

Jedno z tych pseudobyстрыch spojrzeń rozproszyło bezmyślny wyraz twarzy Kapa.

– Sprawdziłeś je? – warknął. – Czy sprawdziłeś, że nie ma w nich węży?

Andy pchnął – niezbyt mocno. Chciał oszczędzić jak najwięcej na nieprzewidziane wypadki.

– Weź to – powiedział, wskazując na jedną z walizek.

Kap podszedł i podniósł walizkę. Andy zabrał drugą.

– Gdzie masz samochód?

– Zaraz na zewnątrz. Przyprawdzili mi go.

– Czy ktoś będzie nas sprawdzał? – Miało to oznaczać: „Czy ktoś spróbuje nas zatrzymać?”

– A niby dlaczego? – Kap był szczerze zdziwiony. – Ja tu rządę.

Andy musiał się tym zadowolić.

– Wychodzimy – stwierdził. – Włożymy walizki do bagażnika...

– Bagażnik jest w porządku – przerwał mu Kap. – Sprawdziłem go dziś rano.

– ...i pojedziemy do stajni zabrać moją córkę. Masz pytania?

– Nie – odparł Kap.

– Doskonale. Idziemy.

Wyszli z mieszkania i poszli do windy. Ludzie chodzili w obie strony po korytarzach, pilnując własnych nosów. Andy przyjrzał się uważnie Kapowi i zaraz spojrział w drugą stronę.

Winda zawiozła ich do sali balowej i Kap poprowadził go długim korytarzem do wyjścia.

Josie, ruda dziewczyna, która siedziała przy drzwiach, gdy Kap rozkazał Alowi Steinowitzowi pojechać do Hastings Glen, odeszła, goniąc za swym wielkim przeznaczeniem. Teraz siedział tam młody, przedwcześnie łysiejący chłopak, zmagając się z podręcznikiem programowania komputerów. W rękę trzymał żółty cienkopis. Gdy się zbliżali, podniósł głowę.

– Cześć, Richard – powiedział Kap. – Gonisz szkołę?

Richard roześmiał się.

– To raczej szkoła goni mnie. – Spojrzał ze zdziwieniem na Andy’ego. Andy odpowiedział mu pustym spojrzeniem.

Kap przyłożył kciuk do płytki i coś stuknęło. Na konsoli przed Richardem zapaliło się zielone światło.

– Dokąd? – zapytał Richard. W rękę zamiast cienkopisu miał teraz długopis zawieszony nad małym zeszytem.

– Stajnie – odpowiedział rażno Kap. – Spotkamy tam córeczkę Andy’ego i oboje uciekną.

– Pojadą do bazy lotnictwa Andrews – odparował Andy i pchnął. Ból walnął go w głowę jak tępy tasak.

– Baza Andrews – zgodził się Richard i zapisał to w książeczce razem z godziną. – Miłego dnia, panowie.

Wyszli razem na słoneczny i wietrzny październikowy dzień. Vega Kapa czekała podstawiona na czystym, jasnym żwirze kolistego podjazdu.

– Daj mi kluczyki – powiedział Andy i Kap mu je podał. Andy otworzył bagażnik, do którego wstawili walizki. Zamknął klapę i oddał kluczyki Kapowi. – Jedziemy.

Kap objechał stawek i skierował się w stronę stajni. Kiedy już odjeżdżali, Andy zauważył mężczyznę w baseballowej ocieplanej kurtce, biegnącego po trawniku w kierunku domu, i poczuł ukłucie niepokoju. Kap zatrzymał się tuż przy otwartych drzwiach stajni.

Sięgnął po kluczyk i Andy lekko uderzył go po rękę.

– Nie, zostaw ją na chodzie. Idziemy.

Wysiadł z samochodu. W głowie czuł łomot, rytmiczne pchnięcia bólu przeszywały mu mózg. Ale na razie nie było jeszcze tak źle. Na razie.

Kap wysiadł i stał, niezdecydowany.

– Nie chcę tam wchodzić – powiedział. Jego oczy biegały dziwnie na wszystkie strony. – Tam za ciemno. One lubią ciemność. Kryją się. Kąsają.

– Węży nie ma – powiedział Andy i pchnął lekko. Wystarczyło, żeby wprawić Kapa w ruch, ale na oko o niczym go nie przekonało. Weszli do stajni.

Przez jeden straszny, pełen paniki moment Andy myślał, że jej tam nie ma. Przejście ze słońca w cień sprawiło, że przez chwilę nie widział nic. W środku było gorąco, duszno, i coś zdenerwowało konie; rżały i kopały w drzwi boksów. Andy nie widział niczego.

– Charlie! – zawołał drżącym, pełnym pragnienia głosem. – Charlie!

– Tatusi! – krzyknęła Charlie i poczuł, jak ogarnia go radość, radość, która zmieniła się w przerażenie, kiedy rozpoznał w jej głosie strach. – Tatusiu, nie wchodzi tu. Nie wchodzi.

– Chyba trochę już na to za późno – powiedział ktoś z góry.

10

– Charlie! – zawołał cichy głos. Wołał gdzieś z góry, ale skąd? Wydawał się dobiegać zewsząd.

Poczuła, jak ogarnia ją fala gniewu – gniewu podsycanego straszliwą niesprawiedliwością tego, co się zdarzyło; tym, jak wszystko toczyło się bez końca; tym, że oni zawsze byli właśnie tu, blokując każdą możliwość ucieczki. Niemal natychmiast poczuła, jak to zaczyna się wydobywać z jej wnętrza. To było teraz o tyle bliższe powierzchni... o tyle chętniejsze, by wybuchnąć. Jak z tym człowiekiem, który ją przyprowadził. Kiedy wyciągnął broń, po prostu rozgrzała ją i musiał ją upuścić. Miał szczęście, że kule w środku nie wybuchły.

Czuła, jak wewnątrz niej już zbiera się ciepło i jak zaczyna promieniować we wszystkich kierunkach, jakby włączono jakiś niesamowity akumulator albo coś. Charlie przyjrzała się cieniastym stryżkom, ale nie dostrzegła nikogo. Zbyt wiele beli siana. Zbyt wiele cieni.

– Ja bym tego nie robił, Charlie. – Głos był teraz odrobinę donośniejszy, lecz ciągle spokojny. Przebijał mgłę gniewu i zmieszania.

– Powinieneś zejść na dół! – krzyknęła głośno Charlie. Cała drżała. – Powinieneś zejść, nim zechcę to wszystko spalić! Mogę to zrobić!

– Wiem, że możesz – odpowiedział cichy głos. Płynął w dół znikąd, zewsząd. – Lecz jeśli to zrobisz, spalisz wiele koni, Charlie. Nie słyszysz ich?

Słyszała. Gdy tylko zwrócił na nie jej uwagę, usłyszała. Konie niemal oszalały ze strachu, rżały i kopały w zamknięte drzwi boksów. W jednym z nich był Wróż.

Charlie nie mogła złapać oddechu. Znow zobaczyła ścieżkę ognia biegnącą przez podwórko farmy Mandersów i wybuchające kurczęta.

Jeszcze raz odwróciła się w stronę wiadra z wodą, teraz już bardzo przestraszona. Moc drżała na granicy jej zdolności kontroli i w następnej chwili – cofnij się! – może wystrzelić na wolność – COFNIJ SIĘ! – strzelić z całą mocą. COFNIJ SIĘ! COFNIJ SIĘ! CZY MNIE SŁYSZYSZ, COFNIJ SIĘ!!

Tym razem do połowy napełnione wiadro nie tylko pokryło się parą; woda zaczęła się w nim gotować natychmiast i gwałtownie. W chwilę później chromowy kurek tuż nad wiadrem obrócił się dwukrotnie i wystrzelił ze sterczącej ze ściany rury, przeleciał przez całą długość stajni jak głowica rakiety i walnął z hukiem o przeciwległą ścianę. Z rury trysnęła woda. Zimna woda, Charlie czuła jej chłód. Lecz woda lecąca z rury niemal natychmiast zamieniała się w parę i gęsta mgła spowiła korytarze między boksami. Zwinięty wąż, wiszący na kołku tuż przy rurze, zaczął się topić. – COFNIJ SIĘ!

Odzyskała kontrolę i zdołała to powstrzymać. Rok temu nie dałaby rady, to coś wyrwałoby się, by dokonać okropnych zniszczeń. Teraz kontrolowała to znacznie lepiej... och, ale było tego o tyle więcej!

Stała w miejscu, drżąc.

– Czego jeszcze chcesz? – zapytała cichym głosem. – Dlaczego nie pozwolisz nam po prostu odejść?

Przerażony koń zarżał piskliwie. Charlie doskonale rozumiała, jak się czuje.

– Nikt nie sądzi, byście mogli tak po prostu stąd wyjść – odpowiedział jej spokojny głos Rainbirda. – Przypuszczam, że nie myśli tak nawet twój ojciec. Jesteś groźna, Charlie.

I dobrze o tym wiesz. Gdybyśmy ci pozwolili odejść, następnymi ludźmi, którzy cię złapią, mogliby być Rosjanie, Koreańscy z Północy lub nawet dzicy Chińczycy. Możesz myśleć, że żartuję, ale ja nie żartuję.

– To nie moja wina! – krzyknęła Charlie.

– Nie – odpowiedział Rainbird z zadumą. – Oczywiście, to nie twoja wina. W każdym razie to wszystko gówno. Czynniki Z wcale mnie nie obchodzi, Charlie. Nigdy mnie nie obchodził. Obchodzisz mnie tylko ty.

– Och, ty kłamco! – krzyknęła ostro Charlie. – Oszukałeś mnie, udawałeś, że jesteś kimś innym, niż byłeś...

Przerwała. Rainbird przelazł lekko przez niską górkę siana i usiadł na krawędzi stryżku, zwieszając nogi. Pistolet trzymał na kolanach. Jego twarz patrzyła na nią z góry jak zniszczony księżyc.

– Kłamałem ci? Nie. Ja tylko nie mówiłem ci całej prawdy, tylko to. I sprawiłem, że żyjesz.

– Wstrętny łgarz – szepnęła Charlie, lecz ze strachem stwierdziła, że chce mu wierzyć; pod powiekami poczuła żądło łoż. Była taka zmęczona i chciała wierzyć, że mówił prawdę, chciała wierzyć, że ją lubił.

– Nie chciałaś testów – powiedział Rainbird. – Twój staruszek też ich nie chciał. To co mieli zrobić? Powiedzieć: „Och, strasznie przepraszamy, pomyliliśmy się” i wypuścić was na ulicę? Widziałaś, jak ci faceci pracują, Charlie. Widziałaś, jak postrzelili tego starego Mandersa w Hastings Glen. Wyrywali paznokcie twojej matce, a później za...

– Przestań! – krzyknęła przepełniona bólem dziewczynka i jej moc znowu się poruszyła, niebezpiecznie bliska powierzchni.

– Nie, nie przestanę. Czas, żebyś poznała prawdę, Charlie. Ja utrzymałem cię przy życiu. Sprawilem, że byłaś dla nich ważna. Myślisz, że zrobiłem to, bo taką mam pracę. Pieprzę pracę. To wszystko durnie. Kap, Hockstetter, Pynchot, ten Jules, co cię tu przyprowadził – to wszystko durnie.

Charlie wpatrywała się w Rainbirda, jakby zahipnotyzowana jego górującą nad nią twarzą. Tym razem nie nosił przepaski i nierówna, straszna dziura, w której kiedyś miał oko, była jak wspomnienie o czystym strachu.

– Nie kłamałem ci i o tym – powiedział Rainbird i dotknął twarzy. Palce poruszały się lekko, niemal z miłością, wzdłuż otwartych blizn na szczęce, po wpadniętym policzku, aż do samego wypalonego oczodołu. – Powiedziałem część prawdy. Nie było dziury, szcurów i Wietkongu. Zrobili to moi towarzysze broni. Bo byli durniami, jak ci tutaj.

Charlie nie rozumiała; nie wiedziała, co on ma na myśli. Czuła zamęt w głowie. Czy nie pojmował, że w każdej chwili może zmienić się w grzanekę, tam gdzie siedzi?

– Nic nie ma znaczenia – mówił Rainbird. – Nic oprócz ciebie i mnie. Musimy być ze sobą szczerzy, Charlie. To wszystko, czego chcę. Chcę być z tobą szczerzy.

I dziewczynka wyczuła, że mówi prawdę – lecz jest w tym także podskórna, ciemniejsza prawda. Było coś, czego nie mówił.

– Chodź na górę – powiedział Rainbird – pogadamy o wszystkim.

Tak, to było jak hipnoza. I przypominało telepatię. Bo mimo że Charlie wyczuwała kształt tej czarnej prawdy, jej stopy poruszyły się w kierunku prowadzącej na stryszek drabiny. On nie mówił o rozmowie. Mówił o końcu. O końcu wątpliwości, rozpaczy, strachu... końcu pokusy, by wzniecać coraz większe ognie, aż kiedyś przyjdzie na to jakiś straszny kres. Na swój własny, pokrętny i szalony sposób mówił o tym, że jest jej przyjacielem – takim, jakim nie mógłby być nikt inny. I... tak, jakaś część Charlie chciała właśnie tego. Jakaś jej część pragnęła kresu i wyzwolenia.

Więc Charlie zaczęła przesuwać się w stronę drabinki i kiedy oparła dłonie o szczeble, do stajni wpadł jej ojciec.

11

– Charlie?! – zawołał i czar prysł.

Ręce opadły ze szczebli i zalała ją straszna fala zrozumienia. Obróciła się w kierunku drzwi i zobaczyła ojca.

Pierwsza myśl – tatusiu, jesteś taki gruby! – przemknęła jej przez głowę i znikła tak szybko, że Charlie niemal nie miała szansy, by ją rozpoznać. Lecz gruby czy nie, to był on, poznała-by go wszędzie; zalała ją fala miłości, zmywając czar Rainbirda

jak mgłę. I Charlie zrozumiała, że cokolwiek John Rainbird planował dla niej, dla jej ojca miał tylko śmierć.

– Tatusiu! – krzyknęła. – Nie wchodź tu!

Na twarzy Rainbirda pojawił się nagle wyraz irytacji. Broń nie leżała już na jego kolanach; trzymał ją w dłoni, wycelowaną w widoczną w drzwiach sylwetkę.

– Chyba trochę już na to za późno – powiedział.

Za tatusiem stał jakiś człowiek. Pomyślała, że to ten, którego wszyscy tu nazywali Kap. Po prostu stał, plecy miał pochylone, jakby ktoś złamał mu kręgosłup.

– Wejź – powiedział Rainbird i Andy wszedł. – A teraz stań.

Andy stanął. Kap szedł za nim, krok czy dwa z tyłu, jak uwiązany na sznurku. Oczy Kapa obracały się niespokojnie, lustrując ciemność stajni.

– Wiem, że możesz to zrobić – powiedział Rainbird lżejszym, niemal żartobliwym tonem. – W rzeczywistości możecie to zrobić oboje. Ale, panie McGee... Andy? Czy mogę mówić panu Andy?

– Jak pan sobie życzy – powiedział jej ojciec. Głos miał spokojny.

– Andy, jeśli spróbujesz użyć tego, co masz, przeciwko mnie, będę próbował opierać się wystarczająco długo, by zastrzelić twoją córkę. I oczywiście Charlie, jeśli spróbujesz użyć tego, co masz, przeciwko mnie, wszystko może się zdarzyć.

Charlie podbiegła do ojca. Przycisnęła buzię do szorstkiej klapy jego sztruksowej marynarki.

– Tatku, tatku – szeptała ochryple.

– Cześć, malutka – powiedział ojciec i pogłaskał ją po głowie.

Przytulił ją, a później spojrział na Rainbirda. Siedząc tam, na stryszku, jak żeglarz na rei, ten człowiek był wcieleniem jednego pirata z jego snów.

– I co teraz? – zapytał Andy. Zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie Rainbirdowi uda się przytrzymać ich tutaj, dopóki jego kumpel, którego widział biegnącego przez trawnik, nie sprowadzi pomocy, ale jakoś nie sądził, by o to mu chodziło.

Rainbird zignorował jego pytanie.

– Charlie? – powiedział.

Charlie zadrżała w ramionach ojca, ale nie odwróciła się.

– Charlie – powtórzył Rainbird raz jeszcze, miękko, nagłaco.
– Spójrz na mnie, Charlie.

Powoli, z oporami, Charlie odwróciła się i spojrzała w górę.

– Chodź do mnie, jak miałaś zamiar. Nic się nie zmieniło. Załatwimy nasze sprawy i wszystko się skończy.

– Nie, nie mogę na to pozwolić – stwierdził Andy, niemal uprzejmie. – Wychodzimy.

– Wchodź, Charlie – powtórzył Rainbird – albo wpakuję kulę w głowę twego taty, teraz, zaraz. Możesz mnie spalić, ale założyłbym się, że zdołam przedtem pociągnąć za cyngiel.

Charlie jęknęła z głębi gardła jak zranione zwierzę.

– Nie idź, Charlie – powiedział Andy.

– Nic mu się nie stanie – tłumaczył Rainbird. Głos miał niski, racjonalny, przekonywający. – Wyślą go na Hawaje i będzie mu dobrze. Ty wybierasz, Charlie. Dla niego kula w łeb lub złote piaski plaży Kalami. Co ma być? Ty wybierasz.

Wpatrując się nieruchomymi niebieskimi oczami w jedno oko Rainbirda, Charlie, drżąc, postąpiła krok w jego kierunku.

– Charlie! – powiedział ostro jej ojciec. – Nie!

– Wszystko się skończy – mówił Rainbird. Lufa pistoletu celowała, nieruchoma, w głowę Andy’ego. – A tego właśnie chcesz, prawda? Załatwię to bez bólu, czysto. Zaufaj mi, Charlie. Zrób to dla taty i zrób to dla siebie.

Charlie zrobiła kolejny krok. I następny.

– Nie – powiedział Andy. – Nie słuchaj go, Charlie.

Zachowała się tak, jakby dostarczył jej argumentu na spotkanie z Rainbirdem. Podeszła do drabiny. Położyła dłonie na szczeblu znajdującym się tuż nad jej głową i zatrzymała się. Spojrzała w górę, na Rainbirda, przytrzymując jego wzrok.

– Obiecujesz, że nic mu się nie stanie?

– Tak – odpowiedział Rainbird, lecz Andy poczuł nagle i w całości siłę tego kłamstwa... siłę wszystkich jego kłamstw.

Będę musiał ją pchnąć, pomyślał z tęym zdumieniem. Nie jego, lecz ją.

Zebrał siły. Charlie stała już na pierwszym szczeblu, sięgając po kolejny szczebel nad głową.

I wtedy właśnie Kap – wszyscy o nim zapomnieli – zaczął wrzeszczeć.

Kiedy Don Jules dotarł do budynku, który Andy i Kap opuścili przed zaledwie kilkoma minutami, wyglądał tak dziko, że Richard, dyżurujący przy wejściu, złapał leżący w szufladzie rewolwer.

– Co...

– Alarm, alarm! – wrzeszczał Jules.

– Czy masz poz...

– Mam wszystkie pozwolenia, ty cholerny pierdoło! Dziewczynka! Dziewczynka na wolności!

Na konsoli Richarda znajdowały się dwie proste tarcze typu kombinacyjnego, ponumerowane od jednego do dziesięciu. Zdenierwowany Richard upuścił długopis i ustawił lewą tarczę na odrobinę po siódemce. Jules przeszedł za biurko i ustawił prawą tarczę na odrobinę pojedyncze. W chwilę później z konsoli wydobył się niski pomruk; dźwięk ten powtarzał się wszędzie, na całym terenie Sklepiku.

Ogrodnicy wyłączali kosiarki i biegli do szop, w których przechowywano broń. Drzwi do sal, w których znajdowały się delikatne terminale komputerowe, zaczęły się zasuwać. Gloria, sekretarka Kapa, wyjęła rewolwer. Wszyscy obecni na miejscu agenci biegli w stronę głośników, czekając na kolejne rozkazy; marynarki mieli rozpięte, by móc szybciej wydobyć broń. Napięcie w ogrodzeniu z niskiego, stosowanego w dzień, skoczyło do zabójczego. Dobermany, biegające między ogrodzeniami, usłyszały pomruk sygnału, wyczuły zmianę, gdy Sklepik zbierał się do boju, i zaczęły czekać, histerycznie podskakując. Bramy między Sklepikiem a światem zewnętrznym zaczęły się zasuwać i ryglować automatycznie. Ciężarówka z piekarni obsługującej intendenturę straciła tylny zderzak między skrzydłami zamykającej się bramy, a kierowca tylko dzięki łutowi szczęścia uniknął śmierci wskutek szoku elektrycznego.

Alarm zdawał się brzęczeć bez końca, drażniąc podświadomość.

Jules złapał mikrofon z konsoli Richarda i powiedział:

– Stan „jasnożółty”. Powtarzam, stan „jasnożółty”. To nie są ćwiczenia. Zbiórka przy stajni, podchodzić ostrożnie. – Szukał w pamięci określenia kodowego Charlie McGee i nie mógł go so-

bie przypomnieć. Chyba codziennie zmieniali te pieprzone kody. – To dziewczynka i zaczęła! Powtarzam, dziewczynka zaczęła.

13

Orv Jamieson stał pod głośnikiem w saloniku na trzecim piętrze budynku północnego, trzymając w ręku Narkozę. Kiedy usłyszał komunikat Julesa, usiadł gwałtownie i wsadził pistolet do kabury.

– Oho – powiedział sobie, gdy trzech innych agentów, z którymi grał w bilard, rzuciło się do drzwi. – Oho, tylko nie ja. Mnie w tym nie ma. Ci inni mogą sobie ganiać jak psy na świeżym tropie, jeśli tylko chcą. Nie było ich na farmie Mandersów. Nie widzieli tej szczególnej trzecioklasistki w akcji.

Oj pragnął tylko jednego, i to bardziej niż czegokolwiek w życiu. Pragnął znaleźć głęboką dziurę i wpełznąć na samo jej dno.

14

Kap Hollister słyszał niewiele z trójstronnej rozmowy między Charlie, jej ojcem i Rainbirdem. Pracował na jałowym biegu; wypełnił stare rozkazy, a nie otrzymał jeszcze nowych. Rozmowa wpadała mu do głowy jednym uchem, a wypadła drugim, pozwalając bez przeszkód myśleć o grze w golfa, węzach i rozmiarach kijów, o boa dusicielach, żmijach, grzechotnikach i pytonach tak wielkich, że mogą połykać kozy w całości. Nie podobało mu się to miejsce. Całe zasypane było sianem, co przypominało mu zapach nieprzyciętej trawy na terenach golfowych. Właśnie w sianie wąż ukąsił Lenniego, gdy Kap miał trzy lata; to nie był szczególnie niebezpieczny wąż, lecz Lennie wrzasnął, wrzeszczał, wielki, twardy, dziewięcioletni brat Kapa Leon Hollister wrzeszczał, czuć było zapach siana, zapach koniczyny, zapach tymianku, a jego brat był najsilniejszym, najdzielniejszym chłopcem na świecie, lecz teraz wrzeszczał, wielki, twardy, dziewięcioletni Leon Hollister wrzeszczał „idź po tatę!”, po jego policzkach płynęły łzy, trzymał puchnącą nogę w dłoniach i kiedy trzyletni Kap Hollister obrócił się, by zrobić to, co kazał mu zrobić przerażony, bełkoczący brat, wąż prześlizgnął się po jego

stopie, jego własnej stopie, płynny jak śmiercionośna, zielona woda, a doktor powiedział później, że ukąszenie nie było szczególnie niebezpieczne, wąż musiał bardzo niedawno ukąsić coś innego i jego torebki jadowe były puste, lecz Lennie myślał, że umiera, i wszędzie czuć było słodki, letni zapach siana, a koniki polne skakały wokół, wydając ciągle ten sam dźwięk i plując sokiem tytoniowym („Pluń, a dam ci odejść” było uniwersalnym zaklęciem w tych dawno minionych dniach w Nebrasce), dobre zapachy, dobre dźwięki, zapachy i dźwięki z pola golfowego, i wrzask brata, i suche łuski, przesuwane się po jego stopie; spojrzał w dół i zobaczył płaską, trójkątną głowę węża, jego czarne oczy... wąż prześlizgnął się po stopie

Kapa, uciekając w wysoką trawę, jak na łąkach w golfie, można by powiedzieć... zapach był identyczny... nie podobało mu się tutaj.

Kije i węże i golf i żmije...

Rykoszet szalał w głowie Kapa coraz szybciej i szybciej, jego puste oczy poruszały się bez przerwy po cienistym wnętrzu stajni, a Rainbird walczył z Andym i z Charlie. W końcu oczy Kapa skupiły się na częściowo stopionym, plastikowym wężu ogrodowym, wiszącym przy wysadzonej rurze. Wąż wisiał w zwojach na kołku, ciągle jeszcze częściowo zasłonięty chmurą pary.

Kap poczuł gwałtowny strach, wybuchowy jak płomień w starych instalacjach gazowych. Przez chwilę strach ten był tak wielki, że uniemożliwił mu nawet oddychanie, nie mówiąc już o wykrzyknięciu ostrzeżenia. Mięśnie Kapa były nieruchome, sparaliżowane.

A później mięśnie się poruszyły. Kap nabrał powietrza w płuca jednym konwulsyjnym, nagłym wdechem i wydał z siebie rozdzierający uszy, nagły wrzask:

– Wąż! WĄŻ!!! WAAAAAŻ!!!

Nie uciekał. Nawet tak zgnębiony, Kap Hollister nie należał do tych, którzy uciekają. Rzucił się naprzód jak zardzewiały robot i złapał oparte o ścianę grabie. Był tu wąż i on go zabije, złamie go, zmiążdży go. On... On... Uratuje Lenniego!

Rzucił się na częściowo stopiony szlauch, wymachując grabiami.

Sprawy potoczyły się bardzo szybko.

Agenci, większość z nich uzbrojona w broń krótką, i ogrodnicy, większość z nich ze strzelbami, gromadzili się w luźnym kręgu wokół niskiej stajni, kiedy usłyszeli wrzask. W chwilę później rozległ się głośny łomot i coś, co mogło być stłumionym krzykiem bólu. W następnej sekundzie usłyszeli niskie łupnięcie i stłumiony huk, pochodzący bez wątpienia z pistoletu z tłumikiem.

Krąg zatrzymał się na chwilę i znów ruszył w stronę stajni.

Nagły wrzask Kapa i jego sus po grabie przerwały koncentrację Rainbirda tylko na moment, ale ten moment wystarczył. Lufa skoczyła z głowy Andy'ego na głowę Kapa – ten ruch był instynktowny; szybki, czujny skok tygrysa polującego w dżungli. I tak się zdarzyło, że to instynkty zdradziły Rainbirda i spowodowały upadek z liny, po której chodził tak długo.

Andy użył pchnięcia równie szybko i równie instynktownie. Kiedy Rainbird skierował broń na Kapa, krzyknął do Rainbirda – Skacz! – i pchnął mocniej niż kiedykolwiek. Ból rozsadził mu głowę jak rozrywający się szrapnel, mdlący w swym natężeniu, i Andy poczuł, jak coś puszcza, ostatecznie i nieodwołalnie.

Przepaliło się, pomyślał Andy. Ta myśl była gęsta jak błoto. Zatoczył się. Stracił czucie w całej lewej stronie ciała. Lewa noga nie chciała go już podtrzymywać.

Rainbird odepchnął się od krawędzi stryszka jednym potężnym ruchem ramion; twarz miał niemal komicznie zdumioną. Trzymał pistolet. Nawet kiedy wylądował źle i padł na twarz ze złamaną nogą, trzymał pistolet. Nie potrafił stłumić okrzyku bólu i zdumienia, ale nadal trzymał pistolet.

Kap dopadł zielonego węża i walił go wściekle grabiami.

Poruszał ustami, ale nie wybiegały z nich żadne słowa – przyskała tylko drobniutkimi kroplami śliny.

Rainbird spojrział w górę. Włosy opadły mu na oczy. Podrzucił głowę, usuwając je z pola widzenia. Oko świeciło mu w mroku. Kąciki zaciśniętych ust opadły w gorzkim grymasie. Podniósł rewolwer i wycelował w Andy'ego.

– Nie! – krzyknęła Charlie. – Nie!

Rainbird wystrzelił i z otworów tłumika buchnął dym. Kula odłupała jasne drzazgi drzewa ze ściany za głową Andy’ego. Rainbird oparł łokieć na ziemi i strzelił po raz drugi. Głowa Andy’ego opadła gwałtownie w prawo, z lewej strony szyi tryśnął strumień krwi.

– Nie! – krzyknęła Charlie jeszcze raz i zasłoniła buzię dłońmi. – Tato! Tato!

Ręka Rainbirda wysunęła się spod jego ciała, w dłoń wbiły się długie drzazgi.

– Charlie – szepnął. – Charlie, spójrz na mnie.

17

Otoczyli już szczelnie stajnię i stanęli, niepewni, co robić dalej.

– Dziewczynka – powiedział Jules. – Sprzątniemy ją...

– Nie! – krzyknęła z głębi stajni dziewczynka, jakby usłyszała, co planuje Jules. A później krzyczała: – Tato! Tato!

Następnie rozległ się jeszcze jeden strzał, tym razem znacznie mocniejszy, i nastąpił gwałtowny, wściekły błysk, który zmusił ich do osłonięcia oczu. Z otwartych wrót stajni wylała się fala gorąca; ci, którzy stali naprzeciw nich, musieli się przed nią cofnąć.

Później pojawił się dym i błyszczące języki ognia.

Gdzieś w środku tego embrionu piekła rżały konie.

18

Przerażona, nic niepojmująca Charlie pobiegła ku ojcu i kiedy Rainbird zawołał ją po imieniu, odwróciła się. Rainbird leżał na brzuchu, trzymając rewolwer oburącz i próbując wymierzyć.

Nieprawdopodobne, ale uśmiechał się.

– Tak – zachrypiął. – Żebyś mógł patrzeć ci w oczy. Kocham cię, Charlie.

Przycisnął spust.

Moc wybuchła z niej szaleńczo, całkowicie niekontrolowana. Biegając ku Rainbirdowi, zmieniła w parę kawałek ołowiu, który w innym wypadku wbiłby się w mózg Charlie. Przez chwilę wy-

dawało się, że potężny wichur zdiera ubranie z Rainbirda i miotającego się za nim Kapa i że nie dzieje się nic innego. Ale ten wichur zdierał nie tylko ubranie, zdierał ciało płynące jak roztopiony wosk; odrywał je od kości, czerniejących, zwęglonych, zaczynających płonąć.

Nagły błysk światła, jak z flesza, oślepił Charlie; nie widziała nic, ale słyszała, jak konie w swych boksach dostają obłądu ze strachu... i czuła zapach dymu.

Konie! Konie! – pomyślała, oślepiona, wyciągając przed siebie ręce. To jej sen. Zmieniony, lecz ten sam. I nagle, w jednej chwili, Charlie przeniosła się na lotnisko w Albany; mała dziewczynka, pięć centymetrów niższa, pięć kilo lżejsza i jakże niewinniejsza; mała dziewczynka z papierową torbą wyciągniętą ze śmietnika, idąca od automatu do automatu, ruszająca je, drobne wypadają ze szczelin...

Ruszyła teraz, niemal na oślep, szukając w głowie informacji o tym, co musi zrobić.

Fala przebiegła wzdłuż drzwi boksów umieszczonych po obu stronach korytarza przy dłuższym ramieniu L. Jeden po drugim na drewnianą podłogę opadały dymiące rygle, poskręcane z gorąca.

Moc minęła Rainbirda i Kapa i wyrwała się na zewnątrz jak pocisk wystrzelony z psychicznego działa. Tylna ściana stodoły wybuchła dymiącymi balami i deskami. Potrzaskane szrapnele świszczwały w powietrzu w promieniu ponad pięćdziesięciu metrów i ci agenci Sklepiku, którzy znaleźli się na ich drodze, równie dobrze mogli stanąć przed lufą moździerza. Facetowi imieniem Clayton Braddock wirująca deska prawie ucięła głowę. Agent obok niego został rozerwany na dwoje belką, która nadleciała, wirując jak urwane śmigło samolotu. Trzeciemu dymiący kawałek drewna uciął ucho; ten gość zauważył to dopiero po dziesięciu minutach.

Linia harcówników Sklepiku rozpląnęła się w nicość. Ci, którzy nie mogli biec, pełzali. Tylko jednemu człowiekowi udało się przez kilka sekund utrzymać pozycję. Był to George Sedaka; ten, który w New Hampshire razem z Orville'em Jamiesonem ukradł listonoszowi listy Andy'ego. Sedaka włączył się tylko po terenie Sklepiku, czekając na przeniesienie do Panamy. Agent, który znajdował się po jego lewej stronie, leżał na ziemi, jęcząc. Po

prawej Sedaka miał nieszczęsnego Clayтона Braddocka. On sam, o cudzie, pozostał nietknięty. Odłamki drewna fruwały wokół niego jak gorące szrapnele. Metalowy hak, ostry i śmiercionośny, wbił się w ziemię nie dalej niż dziesięć centymetrów od jego stopy i świecił słabym czerwonym blaskiem.

Tylna ściana stajni wyglądała, jakby podłożono pod nią z dziesięć lasek dynamitu. Potrzaskane, płonące drewniane bale otaczały dziurę, która miała ponad pięć metrów średnicy. Wielka góra kompostu, w którą, wybiegając ze stajni, trafiła większa część niesamowitej mocy Charlie, płonęła teraz i to, co pozostało z tylnej ściany, zajmowało się od niej.

Sedaka słyszał konie, rżące i parszające wewnątrz stajni, widział krwawe czerwopomarańczowe języki ognia, przeskakujące po belach wysuszonego siana. Było tak, jakby przez dziurkę od klucza przyglądał się piekłu.

Sedaka zdecydował nagle, że nie chce już mieć z tym nic wspólnego.

To było nieco trudniejsze niż straszenie bronią na pustej drodze bezbronniego listonosza.

George Sedaka wsadził pistolet do kabury i dał dyla.

19

Charlie ciągle poruszała się po omacku, niezdolna pojąć, co się stało.

– Tato! – krzyczała. – Tato! Tato!

Wszystko było zamazane, upiorne. Powietrze wypełniał gorący, duszący dym i czerwone języki ognia. Konie ciągle kopały w drzwi boksów, lecz teraz już drzwi, pozbawione rygli, otwierały się gwałtownie. Przynajmniej niektóre zdołają się wydostać.

Charlie padła na kolana, szukając po omacku ojca; uciekające konie przemykały obok niej, niematerialne cienie jak mroczne kształty ze snu. Z dachu odpadła w chmurze iskier jedna z płonących krokwi i zapaliła siano na którymś ze stryszków. Umieszczony w krótszym ramieniu L stulitrowy zbiornik z ropą do traktorów wybuchł z głuchym, kaszłącym hukiem.

Charlie czołgała się po ziemi jak ślepa, podkowy mijały jej głowę zaledwie o centymetry. Nagle jeden z uciekających koni

kopnął ją lekko i dziewczynka upadła na plecy. Ręką dotknęła buta.

– Tatusiu? – wychrypiała. – Tatusiu?

Nie żyje. Była pewna, że nie żyje. Wszyscy nie żyli, płonął cały świat, zabili jej matkę, a teraz zabili ojca.

Wzrok wracał jej powoli, ale wszystko nadal pogrążone było w ciemności. Nad nią przewalały się fale żaru. Wymacała nogę ojca, dotknęła jego pasa, a później lekko przesunęła ręką po koszuli, aż jej palce sięgnęły mokrej, lepkiej plamy. Plama ta rozszerzała się. Charlie zamarła w przerażeniu, nie mogła zmusić ręki do dalszego ruchu.

– Tato – szepnęła.

– Charlie?

Był to tylko cichy, ochryply szept... ale rozpoznała głos ojca. Jego dłoń znalazła jej twarz, przytulił ją słabo.

– Chodź tu. Zb... liź się.

Charlie podeszła i teraz z szarej ciemności wychyliła się jego głowa. Lewą część twarzy miał opuszczoną w grymasie, lewe oko strasznie przekrwione; przypomniała sobie ten poranek w Hastings Glen, kiedy obudzili się w motelu.

– Tato, spójrz, co zrobiłam – jęknęła i zaczęła płakać.

– Nie ma czasu. Słuchaj. Słuchaj, Charlie!

Dziewczynka pochyliła się, jej łzy padły na jego twarz.

– To się musiało stać, Charlie... Nie trać na mnie łez. Tylko...

– Nie! nie!

– Bądź cicho! – powiedział brutalnie. – Teraz spróbują cię zabić. Rozumiesz? To... to już nie zabawa. Rękawiczki z dłoni – powiedział to „duni”, poruszając kącikiem swych okrutnie skrzywionych ust. – Nie daj im, Charlie. I nie daj im tego ukryć. Nie pozwól im powiedzieć... tylko pożar.

Przedtem Andy podniósł lekko głowę i teraz położył ją z powrotem. Dyszał. Z zewnątrz, zaledwie przebijając się przez trzaski głodnego ognia, doleciał słaby, nieważny stuk wystrzałów. i ponownie rzenie koni.

– Tato, nie mów. odpocznij...

– Nie. Czas. – Mógł jeszcze podnieść się trochę, używając prawego ramienia, mógł spojrzeć jej w twarz. Krew ciekła mu z obu kącików ust. – Musisz spróbować stąd uciec, Charlie. – Wytarła mu krew z twarzy ręką swej kurtki. Ogień przypiekał jej ple-

cy. – Próbuje uciec. Jeśli będziesz musiała zabić tych, którzy staną ci na drodze, zrób to. To wojna. Niech wiedzą, że byli na wojnie. – Głos już mu cichł. – Próbuje uciec, Charlie. Zrób to dla mnie. Rozumiesz?

Charlie skinęła głową.

Z tyłu, za jej plecami, kolejna klocka runęła, wirując i siejąc wokół iskry jak fajerwerk. Gorąco buchnęło na nich jak z otwartego pieca. Na ciele Charlie osiadały iskry i gasły gwałtownie jak głodne, wściekłe owady.

– Spraw – Andy zakrztusił się gęstą krwią i zmusił do wypowiedzenia następnych słów – spraw, żeby już nigdy niczego takiego nie zrobili. Spal, Charlie. Spal wszystko.

– Tato...

– Idź już. Nim wybuchnie.

– Nie zostawię cię – powiedziała drżącym, pozbawionym nadziei głosem.

Andy uśmiechnął się i przytulił ją jeszcze mocniej, jakby chciał wyszeptać jej coś do ucha. Lecz ją pocałował...

– Kocham... Char. – powiedział i umarł.

20

Don Jules objął dowództwo przez aklamację. Zaraz po wybuchu pożaru wstrzymywał ludzi tak długo, jak tylko się dało, licząc, że dziewczynka sama wybiegnie im pod lufy. Kiedy nie wybiegła – i kiedy ludzie stojący przed wrotami stajni zaczęli dostrzegać, co się stało z tymi, którzy byli z tyłu – zdecydował, że nie może dłużej czekać; nie, jeśli chce ich utrzymać. Zaczął posuwać się do przodu i reszta poszła za nim. ale twarze mieli nieruchome, napięte. Nie wyglądali już tak, jakby byli na strzelnicy.

W podwójnych wrotach poruszyły się szybko jakieś cienie. Dziewczynka wychodziła. Rozległy się strzały; dwóch agentów wystrzeliło, nim zza drzwi ukazało się cokolwiek. I wtedy...

Lecz to nie była Charlie, lecz konie, pięć, osiem, dziesięć, spienione, przewracały dziko oczami w białych obwódkach; szalały ze strachu.

Ludzie Julesa, spięci do granic wytrzymałości, zaczęli strzelać. Nawet ci, którzy najpierw zdołali się powstrzymać, widząc

nie ludzi, lecz konie wybiegające ze stajni, nie byli w stanie oprzeć się pokusie, kiedy usłyszeli, że ich koledzy otworzyli ogień. Rozpoczęła się rzeź. Dwa konie opadły na kolana, jeden z nich rżał w cierpieniu. W jasne światło październikowego dnia trysnęła krew, mocząc trawę.

– Stop! – wrzasnął Jules. – Przestańcie, do diabła! Przestańcie strzelać do cholernych koni!

Równie dobrze mógłby być królem Kanutem rozkazującym falom. Jego ludzie, przerażeni czymś, czego nie byli w stanie dostrzec, naładowani brzęczeniem alarmu i wysokim stopniem gotowości, ogniem, który wyrzucał w powietrze chmury czarnego dymu, i ciężkim hukiem wybuchającej ropy, znaleźli wreszcie ruchome cele, do których mogli walić... i walili.

Dwa konie leżały na trawie, martwe. Trzeci padł w stajni, ale na białym żwirowym podjeździe jego boki jeszcze poruszały się ciężko. Kolejne trzy, oszalałe ze strachu, skręciły w lewo i pogalopowały na kilku stojących tam mężczyzn. Mężczyźni rozbiegli się, nadal strzelając, ale jeden z nich potknął się o własną nogę i wrzeszczał, tratowany.

– Przestańcie! – krzyczał Jules. – Przestańcie! Wstrzymać... wstrzymać ogień! Do jasnej cholery, wstrzymajcie ogień, durnie!

Lecz rzeź trwała. Mężczyźni przeładowywali broń z dziwnym, pustym wyrazem twarzy. Wielu z nich, jak Rainbird, było weteranami z Wietnamu i ci mieli twarze skrzywione, tępe; twarze ludzi przeżywających stary koszmar od nowa, z szaleńczą intensywnością. Niektórzy przestali strzelać, ale było ich niewielu. Na trawie i na żwirze leżało pięć rannych lub martwych koni. Kilku udało się uciec; był wśród nich Wróż, powiewający ogonem jak sztandarem.

– Dziewczynka! – krzyknął ktoś, wskazując na wrota. – Dziewczynka!

Za późno. Ledwie skończyli zabijać konie i ich uwaga była jeszcze podzielona. Nim zdążyli odwrócić się do Charlie, która stała z opuszczoną głową, maleńka i zabójcza w dżinsowym ubraniu i ciemnoniebieskich podkolanówkach, strugi ognia już przebiegły od niej ku nim jak nitki jakiejś morderczej pajęczyny.

Charlie znów zanurzyła się w oceanie mocy i to przyniosło jej ulgę.

Ból po stracie ojca – ostry i zabójczy jak sztylet – przycichł i stępsiał.

Jak zwykle moc pociągała ją niczym fascynująca i wstrętna zabawka, której możliwości trzeba dopiero odkryć. Smugi ognia pomknęły po trawie w stronę nierównej linii ludzi.

Zabiliście konie, wy sukinsyny, pomyślała Charlie i odpowiedziało jej echo głosu ojca, jakby przytakiwał: Jeśli będziesz musiała zabić tych, którzy staną ci na drodze, Charlie, zrób to. To wojna. Niech wiedzą, że byli na wojnie.

Tak, zdecydowała Charlie, uświadomi im, że są na wojnie.

Niektórzy ludzie uciekali. Lekkim ruchem głowy Charlie skręciła jedną z linii ognia w prawo i płomień ogarnął trzech spośród nich; ich ubrania zapaliły się jak szmaty. Upadli, krzycząc i tarzając się po ziemi.

Coś świsnęło koło jej głowy, coś odcisnęło mały płomyk na jej nadgarstku. Był to Jules, który zdobył drugi pistolet na stanowisku Richarda. Stał na rozstawionych nogach i strzelał.

Charlie pchnęła w jego kierunku – jedna mocna, krótka błyskawica mocy.

Julesa odrzuciło do tyłu tak nagle i z taką siłą, jakby walnęła w niego niewidzialna kula rozhuśtana na ramieniu wielkiego dźwigu burzącego. Przeleciał piętnaście metrów; już nie człowiek, lecz gotująca się kula ognia.

Wtedy wszyscy załamali się i zaczęli uciekać. Uciekali tak jak na farmie Mandersów.

Należy się wam, pomyślała Charlie. To się wam należy.

Nie chciała zabijać ludzi. To się nie zmieniło. Zmieniło się to, że teraz zabijała ich, jeśli musiała. Jeśli weszli jej w drogę.

Poszła w stronę bliższego z dwóch domów, stojącego niedaleko, przed stajnią; doskonałego jak na kalendarzu z wiejskimi pejzażami, wpatzonego w swego bliźniaka, od którego dzielił go wypieszczony trawnik.

Okna pękły z hukiem. Dzikie wino, pnące się po wschodniej ścianie, zadrżało i buchnęło wstęgami płomieni. Farba zaczęła

dymić, złuszczyła się i zapaliła. Ogień pobiegł w górę, na dach, jak wyciągające się ku niebu dłonie.

Otworzyły się jedne z drzwi i wylał się przez nie paniczny, ochrypły ryk syreny przeciwpożarowej i kilkanaścioro ludzi: sekretarek, techników i analityków. Pobiegli przez trawnik w stronę ogrodu, skręcili, nie chcąc zginąć od szoku elektrycznego lub w paszczach szczekających, podskakujących psów, i zbili się w tłum jak przerażone owce. Moc chciała wyrwać się na nich, lecz Charlie skierowała ją nie na ludzi, lecz na samo ogrodzenie; zgrabne kwadraty siatki popłynęły, lejąc łyż stopionego metalu. Rozległ się niski pomruk, cichy szum i doszło do przeładowania; napięcie przeskakiwało z segmentu na segment. W górę skoczyły oślepiające, purpurowe płomyki. Na szczycie ogrodu pojawiły się małe pioruny kuliste, porcelanowe bezpieczniki zaczęły rozpadać się z trzaskiem jak fajansowe kaczkę na strzelnicy.

Psy dostały obłądu. Sierść im się zjeżyła, biegały pomiędzy ogrodzeniami jak żądne krwi upiory. Jeden z nich wpadł na płujące wysokim napięciem ogrodzenie i wyleciał wprost w powietrze ze sztywno wyprostowanymi łapami. Padł jak dymiące szmaty. Dwa inne psy zaatakowały go z histeryczną wściekłością. Za domem, w którym trzymano Charlie i jej ojca, nie było tajni, ale stał tam długi, niski, doskonale utrzymany budynek, także zbudowany z czerwonego pruskiego muru z pomalowanymi na biało belkami. W budynku tym były garaże Sklepiku. Szerokie wrota otworzyły się nagle i wyjechała z nich opancerzona limuzyna cadillac na rządowej rejestracji. Dach miała otwarty, wystawała z niego głowa i ramiona mężczyzny. Trzymając łokcie na dachu, mężczyzna zaczął strzelać do Charlie z lekkiego karabinu maszynowego. Wokół dziewczynki zagotowało się od dartej kulami trawy.

Charlie odwróciła się i pozwoliła mocy uwolnić się w jego stronę. Jej moc ciągle rosła; zmieniała się w coś zwinnego i jednocześnie potężnego, w niewidzialne coś, co teraz wydawało się żywić samo sobą, w reakcji łańcuchowej, której siła rosła wykładniczo. Bak limuzyny eksplodował, otaczając płomieniem jej bagażnik, rura wydechowa wystrzeliła w niebo jak oszczep, lecz jeszcze nim to się stało, głowa i ramiona strzelca zostały unicestwione, szyba samochodu implodowała, a specjalne, samoklejące opony pociekły jak wosk.

Samochód jechał dalej we własnym kręgu ognia, ryjąc trawę w niekontrolowanym pędzie, tracąc swój normalny kształt, topiąc się w coś, co przypominało torpedę. Przekoziółkował dwukrotnie, wstrząsnęła nim kolejna eksplozja.

Z drugiego domu wybiegały sekretarki, uciekając jak mrówki. Mogła zmieść je siłą płomienia – i część jej chciała to zrobić – lecz całym wysiłkiem słabnącej woli Charlie skierowała moc na sam dom; dom, w którym trzymano ich wbrew ich woli... i gdzie zdradził ją John.

Wysłała tam swą moc... całą. Przez chwilę wydawało się, że nic się nie dzieje, tylko powietrze zamigotało słabo jak nad dobrze rozgrzaną kuchnią węglową... i nagle cały dom eksplodował.

Jedynym wyraźnym obrazem, który zapamiętała (w składanych później zeznaniach świadków powtórzył się on wielokrotnie), był obraz komina, wznoszącego się w powietrze jak rakieta z cegieł i najwyraźniej nienaruszonego; a pod nim dwudziestopięciopokojowy dom znikł jak kartonowy domek dla lalek w płomieniu lampy lutowniczej. Kamienie, długie deski, kawałki drewna wyleciały w powietrze wysadzone gorącym oddechem smoka – mocą Charlie. Elektroniczna maszyna do pisania IBM, stopiona i skręcona w coś, co wyglądało jak zielona stalowa ściereczka do zmywania zawiązana w węzeł, śmignęła w górę i spadła pomiędzy ogrodzenia, wybijając krater w ziemi. Krzesło biurowe wystrzeliło jak strzała z kuszy i znikło z zasięgu wzroku; w locie siedzenie obracało się dziko.

Poprzez trawnik gorąco dosięgło Charlie.

Dziewczynka rozejrzała się, co by tu jeszcze zniszczyć. W niebo wzbijał się dym wielu pożarów: bił z obu domów sprzed wojny secesyjnej (tylko jeden z nich przypominał teraz dom), ze stajni, z tego, co kiedyś było opancerzonym samochodem. Nawet tu, na otwartym powietrzu, upał stawał się nie do zniesienia.

A moc wirowała w niej dalej, chcąc się wyrwać, musząc się wyrwać, by nie zapaść się w swe źródło i nie zniszczyć go. Charlie nie miała pojęcia, jakie to niewyobrażalne rzeczy mogłyby się w końcu zdarzyć. Lecz kiedy zwróciła się w stronę ogrodzenia i drogi prowadzącej z terenów Sklepiku, zobaczyła ludzi, w gorączce ślepej paniki rzucających się na ogrodzenie.

W niektórych miejscach nastąpiło zwarcie i mogli przeleźć przez siatkę. Kogoś dopadły psy, dziewczynę w żółtym poncho; dziewczyna krzyczała przeraźliwie. I – tak wyraźnie, jakby żył i stał tuż obok niej – Charlie usłyszała krzyk ojca: Dosyć, Charlie! Dosyć! Wstrzymaj się, póki jeszcze możesz!

Tylko czy mogła?

Odwróciła się od ogrodzenia, szukając rozpaczliwie tego, czego potrzebowała, wstrzymując jednocześnie moc, starając się utrzymać ją bierną, zawieszoną. Moc zaczęła rozlewać się na wszystkie strony, znacząc coraz większe kręgi spalonej trawy. Nic. Nic z wyjątkiem...

...stawku.

22

OJ wyrwie się stąd i żaden pies nie zdoła go powstrzymać.

Zwiął z domu, gdy inni zaczęli się zbierać wokół stajni. Bał się strasznie, ale nie wpadł w aż taką panikę, by po automatycznym zamknięciu przesuwanych drzwi rzucać się na ogrodzenie pod napięciem. Obserwował zagładę zza grubego, pokręconego pnia starego wiąz. Kiedy dziewczynka spowodowała zwarcie w ogrodzeniu, odczekał, aż trochę odejdzie i zajmie się zniszczeniem domu. Dopiero wtedy pobiegł do ogrodzenia; w garści wciąż ścisnął Narkozę.

Kiedy w części siatki nie było już prądu, przelazł przez nią i zeskoczył na wybieg dla psów. Rzuciły się na niego dwa doberman. Złapał lewą ręką za prawy nadgarstek i zastrzelił oba. Były to wielkie potwory, ale Narkoza był większy. Już nigdy nie zjedzą pedigree pał, chyba że serwują coś takiego w ich niebie.

Trzeci pies zaatakował od tyłu i wyrwał mu spodnie na siedzeniu wraz ze sporym kawałkiem lewego pośladka, przewracając go na ziemię. OJ odwrócił się i odepchnął zwierzę jedną ręką, wciąż trzymając Narkozę w drugiej. Użył rękojeści jak maczugi, a kiedy pies rzucił mu się do gardła, wyciągnął pistolet. Lufa wślizgnęła się gładko pomiędzy szczęki dobermana. OJ pociągnął za cyngiel. Padł stłumiony strzał.

– Sos pomidorowy! – krzyknął OJ, powstając na drżące nogi. Zaczął się histerycznie śmiać. Zewnętrzne wejście nie było już pod napięciem, nawet w nim nastąpiło zwarcie. OJ spróbował

otworzyć bramę. Ludzie zaczęli się już tłoczyć i potrać go. Żyjące psy cofnęły się, warcząc. Niektórzy inni ocalali agenci także wyciągnęli broń i zabijali je z bliska. Powróciło wystarczająco wiele dyscypliny, by ci uzbrojeni otoczyli nieregularnym kołem bezbronne sekretarki, analityków i techników.

OJ wałnął w bramę całym ciałem. Ani drgnęła. Zablokowana jak wszystko inne. Rozejrzał się dookoła, niepewny, co robić dalej. Powróciło coś w rodzaju rozsądku; inna rzecz wyrwać galopem, kiedy jesteś sam i nikt nie widzi, ale teraz wokół mogło być zbyt wielu świadków.

Jeśli to piekielne dziecko zostawi tu jakichś świadków.

– Musicie przeleźć przez bramę! – krzyknął. Jego głos znikł w gwarze. – Przełazcie przez bramę, do diabła! – Żadnej odpowiedzi. Ludzie tłoczyli się tylko przy zewnętrznym ogrodzeniu, twarze mieli tępe, napięte z paniki.

OJ chwycił kobietę tulącą się obok niego do bramy.

– Neeee! – rozdarła się kobieta.

– Właż, kurwo! – wrzasnął OJ i uszczypnął ją, by się ruszyła. Kobieta zaczęła wdrapywać się na bramę.

Inni zobaczyli to i poszli w jej ślady. Wewnętrzne ogrodzenie miejscami nadal płonęło i pluło iskrami; grubas, w którym OJ rozpoznał kucharza z intendentury, złapał za mniej więcej dwa tysiące woltów. Podskakiwał i podrygiwał, jakby stepował w trawie z fantastyczną szybkością, usta miał otwarte, a policzki już mu czerniały.

Kolejny doberman skoczył i wyrwał kawał mięsa z nogi chudego młodego człowieka w okularach i laboratoryjnym fartuchu. Jeden z agentów strzelił do psa, chybił i roztrzaskał okularnikowi łokieć. Młody technik padł na ziemię, zaczął się tarzać; ścisnął łokieć i wzywał na ratunek Błogosławioną

Dziewicę. OJ zastrzelił psa, nim ten zdążył rozerwać gardło młodzieńca.

– Co za burdel – jęknął do siebie. – O Boże, co za burdel!

Już około dziesięciu osób wspinało się na bramę. Kobieta, którą OJ przed chwilą uszczypnął, wspięła się na szczyt, zachwiała i zleciała na zewnątrz ze zduszonym okrzykiem. Natychmiast zaczęła wrzeszczeć. Brama była wysoka; kobieta zleciała z trzech metrów, źle wylądowała i złamała rękę.

– Jezu Chryste, co za burdel.

Ludzie włączący po bramie wyglądali jak sen szaleńca o ćwiczeniach komandosów.

OJ wykręcił szyję, próbując zobaczyć małą, próbując stwierdzić, czy się nimi interesuje. Jeśli tak, świadkowie sami mogą się o siebie zatroszczyć; on przełazi przez bramę i znika. Nagle jeden z analityków krzyknął:

– Co, na miłość boską...

Rozległ się świszczący dźwięk, zagłuszający jego głos. OJ miał później powiedzieć, że od razu pomyślał o swojej babci smażącej jajka, tylko ten dźwięk był milion razy mocniejszy; jakby całe plemię gigantów zdecydowało się smażyć jajka w tym samym momencie.

Dźwięk pogłębiał się, wzmacniał i nagle leżący między dwoma domami stawek pokrył się białą parą. Cały staw, mający mniej więcej dwadzieścia metrów średnicy i półtora metra głębokości pośrodku, zagotował się.

Przez chwilę OJ widział Charlie stojącą mniej więcej dwadzieścia metrów od stawku, obróconą plecami do ludzi, którzy ciągle próbowali wydostać się na zewnątrz, a później jej sylwetka znikła zakryta parą. Biała mgła pełzła nad zielonym trawnikiem; jasne popołudniowe słońce wzniecało szalone małe tęcze w gęstej wilgoci. Chmura pary rosła i przesuwała się. Niedoszli uciekinierzy wisieli na ogrodzeniu jak muchy, wykręcali głowy, ile się dało, i patrzyli.

A co, jeśli tam zabraknie wody? – pomyślał nagle OJ. Co, jeśli zabraknie wody, by zgasła swą zapałkę, pochodnię czy co to jest, do diabła? Co się wtedy stanie?

Orville Jamieson uznał, że nie ma zamiaru tkwić tu i przekonać się na własnej skórze. Miał już dosyć roli bohatera. Wsadził Narkozę do kabury pod pachą i niemal pobiegł do ogrodzenia. Pokonał szczyt zgrabną przerzutką i wylądował na ugiętych nogach koło kobiety, która ciągle ścisnęła złamaną rękę i krzyczała.

– Radzę pani oszczędzać tchu i wynosić się stąd do diabła – powiedział jej OJ i natychmiast zastosował się do własnej rady.

Charlie tkwiła we własnym świecie bieli, kierując moc w stawek, zmagając się z nią, starając się podporządkować ją sobie i sprawić, by przestała działać. Żywotność mocy wydawała się nieskończona. Charlie miała ją teraz pod kontrolą, oczywiście; moc wpadała do jeziora posłusznie, jakby płynęła przez niewidzialną rurę. Lecz co się stanie, jeśli cała woda wyparuje, nim ona zdoła skruszyć tę moc i rozproszyć ją?

Żadnych więcej zniszczeń. Spraw, by moc zapadła w nią i zniszczyła ją, nim pozwoli jej się wyrwać, by znów żywiła się sama sobą.

Cofnij się! Cofnij się!

Nareszcie poczuła, jak moc traci coś ze swej gwałtowności... ze swej zdolności do skupienia. Rozpadała się. Wokół była tylko biała para i zapach prania. I grzmiący świst ze stawku, którego nie mogła dłużej widzieć.

COFNIJ SIĘ!!

Pomyślała nieśmiało o ojcu i poczuła świeże ukłucie żalu: umarł, ojciec umarł; ta myśl zdawała się dodatkowo rozpraszać moc i teraz, w końcu, świszający dźwięk począł cichnąć. Wokół niej majestatycznie przesuwawała się para. Słońce nad głową Charlie wyglądało jak brudna srebrna moneta.

Zmieniłam słońce, pomyślała Charlie bez związku, a później: Nie... nie zmieniłam... to para... mgła... rozejdzie się.

Lecz nagle z całym przekonaniem powstałym gdzieś, w głębi jej serca, Charlie zorientowała się, że mogłaby zmienić słońce, gdyby tylko chciała... za jakiś czas.

Moc ciągle rosła.

Wszystkie te zniszczenia, cała ta apokalipsa, nie wyczerpała nawet jej obecnych granic.

Potencjał nie został nawet naruszony.

Charlie upadła w trawie na kolana i zaczęła płakać – po ojcu, po innych ludziach, których zabiła, nawet po Johnie.

Być może to, czego chciał dla niej Rainbird, było najlepsze, lecz mimo śmierci ojca i deszczu zniszczenia, który spadł na jej głowę, chciała żyć; czuła twarde, ślepy instynkt przetrwania.

A więc, być może, tak najbardziej, Charlie płakała po sobie.

Nie wiedziała, jak długo siedziała w trawie z głową złożoną w dłoniach; i chociaż wydawało się to najzupełniej nieprawdopodobne, sądziła, że mogła się nawet zdrzemnąć. Zresztą nieważne, ile to trwało; w każdym razie, kiedy doszła do siebie, zobaczyła, że słońce świeci jaśniej i nieco bardziej na zachodzie. Para z wygotowanego stawku rozproszyła się, rozwiana przez lekki wietrzyk.

Charlie wstała powoli i rozejrzała się dookoła.

Najpierw dostrzegła stawek. Dostrzegła, że ledwie, ledwie się jej udało. Zostały tylko kałuże wody, lśniąco płasko w promieniach słońca jak błyszczące szkiełka, leżące w zgromadzonym na dnie błocie. Rozwleczone lilie wodne i inne rośliny poniewierały się tu i tam jak zniszczone klejnoty; w niektórych miejscach błoto już wysychało i zaczynało pękać. Leżało w nim kilka monet i coś zardzewiałego, co wyglądało jak bardzo długi nóż albo może ostrze kosiarki do trawy. Wokół stawku trawa była zwięglona.

Nad całym terenem Sklepiku panowała martwa cisza, rozpraszana tylko dziarskim trzaskiem ognia. Ojciec powiedział jej, że ma sprawić, by czuli, że są na wojnie, a to, co zostało, bardzo przypominało pobojuwisko. Stajnia, stodoła i dom po jednej stronie stawku płonęły gwałtownie. Z domu po drugiej stronie pozostały tylko dymiące ruiny; wyglądał tak, jakby trafiła go wielka bomba burząca lub jedna z rakiet V z drugiej wojny światowej.

Czarne linie spalonej trawy biegły we wszystkich kierunkach, układając się w idiotyczne wzory spirali, i ciągle dymiły.

Opancerzona limuzyna leżała zakopana przy końcu ziemnego wału. Nie przypominała już samochodu; była tylko kawałem bezsensownego żelastwa.

Najgorzej wyglądało ogrodzenie.

Wzdłuż wewnętrznego kręgu leżały rozrzucone zwłoki; było ich co najmniej kilka. W korytarzu między ogrodzeniami leżały jeszcze dwa lub trzy ciała plus trupy psów.

Charlie poszła w tym kierunku, jak we śnie.

Po trawnikach chodzili ludzie, ale nie było ich wielu. Dwoje z nich zobaczyło ją i uciekło. Inni najwyraźniej nie wiedzieli, kim jest, i nie mieli pojęcia, że to ona spowodowała to wszystko.

Chodzili powolnymi, niepewnymi krokami; jak ludzie ocalali po wybuchu bomby.

Charlie zaczęła wspinać się po wewnętrznej siatce.

– Nie robiłbym tego! – zawołał do niej tonem zwykłej rozmowy mężczyzna w białym fartuchu służącego. – Jak przejdiesz, dopadną cię psy.

Charlie nie zwróciła na niego uwagi. Pozostałe dobermany warczały, ale nie zbliżały się; najwyraźniej one też miały dość. Charlie przeszła przez zewnętrzną bramę, poruszając się powoli i ostrożnie, trzymając się mocno siatki i uważnie wkładając czubki pantofli w jej kwadratowe oka. Dotarła na górę, przełożyła przez bramę najpierw jedną nogę, później drugą. Potem, z tą samą ostrożnością, zeszła na dół i po raz pierwszy od pół roku stanęła na ziemi nienależącej do Sklepiku. Przez chwilę stała tam tylko, jakby doznała szoku.

Jestem wolna, pomyślała tępo. Wolna.

Z daleka dobiegło zbliżające się wycie syren.

Kobieta ze złamaną ręką nadal siedziała w trawie, mniej więcej dwadzieścia kroków od opuszczonej wieży strażniczej. Wyglądała jak grube dziecko, zbyt zmęczone, by wstać. Pod oczami miała białe półksiężycy spowodowane szokiem, jej usta były sine.

– Pani ręka – powiedziała ochryple Charlie.

Kobieta spojrzała w górę i jej oczy świadczyły o tym, że ją rozpoznała. Zaczęła się czołgać, jak najdalej, jęcząc ze strachu:

– Nie podchodź – syczała ochryple. – Te ich testy! Te ich testy! Nie chcę żadnych testów. Jesteś czarownicą. Czarownicą!

Charlie stanęła.

– Pani ręka – powiedziała. – Proszę. Pani ręka. Przepraszam. Proszę? – Usta znów jej drżały. Wydawało się jej teraz, że paniczny strach tej kobiety i to, jak przewraca oczami, jak nieświadomie podwija wargę, obnażając zęby – że to jest najgorsze ze wszystkiego. – Proszę! – krzyknęła.

– Przepraszam. Oni zabili mi tatę!

– Powinni zabić i ciebie – powiedziała kobieta, dysząc. – Dlaczego sama się nie spalisz, jeżeli tak ci przykro?

Charlie postąpiła krok do przodu i kobieta znowu się odsunęła, upadła na zranione ramię i krzyknęła.

– Tylko do mnie nie podchodź!

I nagle gniew, złość i krzywda Charlie odnalazły swój głos.

– To nie moja wina! – krzyknęła na kobietę ze złamaną ręką.

– Nic tu nie jest moją winą; oni sami sprowadzili to na siebie, ja jestem niewinna, wiem, że jestem niewinna, i ja się nie zabiję. Słyszysz mnie! Słyszysz?

Kobieta skuliła się, bełkocząc.

Syreny były blisko.

Charlie poczuła moc, ożywiającą się, chętną, czującą jej emocje.

Przeszła przez szosę, zostawiając za sobą skuloną, bełkoczącą kobietę. Po drugiej stronie było pole, zarośnięte sięgającą ud trawą i tymiankiem, srebrnobiałym w paździeniku, lecz ciągle pachnącym.

Dokąd idę?

Jeszcze nie wiedziała.

Ale oni nigdy już jej nie złapią.

Charlie Samotna

1

W wieczornych wiadomościach w środę pojawiły się zaledwie strzępy informacji, lecz następnego ranka, gdy Ameryka wstała z łóżek, cała historia była już gotowa. Na rano zdążono połączyć wszystkie dostępne dane w to, co Amerykanie mają najprawdopodobniej na myśli, kiedy mówią o „wiadomościach” – a tak naprawdę myślą oni sobie: „Opowiedz mi bajeczkę” i upewnij się, że ma początek, środek i coś w rodzaju końca.

Informacja, którą za pośrednictwem programów telewizyjnych *Dziś*, *Dzień dobry*, *Ameryko* i *Wiadomości poranne CBS* otrzymała Ameryka, siedząca nad kolektywną filiżanką kawy, brzmiała tak:

„Terrorysty zaatakowali bombami zapalającymi supertajny ośrodek intelektualistów, mieszczący się w Longmont, w Wirginii. Grupy terrorystycznej jeszcze nie rozszyfrowano, chociaż już trzy przyznały się do dokonania zamachu: japońscy Czerwoni, prolibijski odłam Czarnego Września i amerykańska grupa o cudownie pomysłowej nazwie: Zbrojni Meteorolodzy Środkowego Zachodu”.

Chociaż nie było pewności, kto dokładnie stał za tym atakiem, podawano w miarę pewne informacje o tym, jak został przeprowadzony. Funkcjonariusz nazwiskiem John Rainbird,

Indianin i weteran wojny wietnamskiej, był podwójnym agentem, który umieścił bomby z rozkazu organizacji terrorystycznej. Rainbird albo zginął przypadkiem, albo też popełnił samobójstwo na miejscu zamachu, którym była stajnia. Jedno ze źródeł podawało, że Rainbird w rzeczywistości udusił się w żarze i dymie, próbując ratować konie; dało to prezenterom okazję do zwyczajowych ironicznym komentarzy o zimnokrwistych terrorystach, troszczących się bardziej o zwierzęta niż

o ludzi. W tragedii zginęło dwadzieścia osób, czterdzieści pięć było rannych, z czego dziesięć poważnie. Ocaleni zostali zatrzymani „do dyspozycji” rządu.

Taka to była opowieść. Nazwa Sklepik wcale się w niej nie pojawiła. Wyglądało to całkiem niezłe.

Pozostała tylko jedna niezłaławiona sprawa.

2

– Nie obchodzi mnie, gdzie ona jest – powiedziała nowa głowa Sklepiku w cztery tygodnie po pożarze i ucieczce Charlie. Przez pierwszych dziesięć dni, kiedy dziewczynkę łatwo byłoby znów złapać w sieć, panował szalony bałagan; sprawy jeszcze nie powróciły do normy. Nowa szefowa siedziała za prowizorycznym biurkiem, jej własne miało nadejść za trzy dni.

– I nie obchodzi mnie, co ona potrafi. To ósmioletni dzieciak, nie superwoman. Nie może się długo ukrywać. Macie ją znaleźć i macie ją zabić.

Mówiła do mężczyzny w średnim wieku, który wyglądał jak bibliotekarz z małego miasteczka. Nawet nie warto wspominać, że nim oczywiście nie był.

Mężczyzna stuknął palcem w kupkę wydruków komputerowych leżących na biurku szefowej. Akta Kapa nie przetrwały pożaru, ale większość informacji znajdowała się w bankach pamięci komputerowej.

– A to jak wygląda?

– Projekt Próby Sześć został zawieszony na czas nieokreślony – stwierdziła szefowa. – To, oczywiście, polityka. Jedenastu starszków, jeden młody chłopak i trzy siwe, starsze damy mające prawdopodobnie udziały w jakichś szwajcarskich klinikach odmładzających... i wszystkim pocą się jaja na myśl o tym, co będzie, jeśli dziewczynka wypłynie. No...

– Bardzo wątpię, czy paniom senator z Idaho, Maine i Minnesoty naprawdę pocą się jaja – mruknął mężczyzna, który nie był bibliotekarzem.

Szefowa wzruszyła ramionami.

– Próba Sześć ich interesuje. To oczywiste. Zapalili żółte światło. – Szefowa przyglądała włosy; długie, kręcone, w ładnym kasztanowatym odcieniu. – Odłożone na czas nieokreślony

oznacza: dopóki nie dostarczymy im dziewczynki z kartką przy palcu u nogi.

– Musimy grać Salome – mruknął siedzący po przeciwnej stronie biurka mężczyzna. – Lecz taca jest jeszcze pusta.

– Co ty, do diabła, gadasz?

– Mniejsza z tym. Wygląda na to, że wróciliśmy do początku.

– Nie całkiem – odpowiedziała poważnie szefowa. – Nie ma już ojca, żeby się nią opiekował. Jest sama. Chcę, żebyście ją znaleźli. Szybko.

– A jeśli zacznie śpiewać, nim ją znajdziemy?

Szefowa rozparła się na krześle Kapa i założyła ręce na kark. Mężczyzna, który nie był bibliotekarzem, patrzył z przyjemnością, jak sweter ciasno opina jej krągłe piersi. Kap był zupełnie inny.

– Gdyby miała śpiewać, myślę, że już by zaczęła. – Szefowa wyprostowała się i stuknęła palcem w leżący na biurku kalendarz. Piąty listopada – powiedziała – i nic. Tymczasem zastosowaliśmy wszystkie rozsądne środki zapobiegawcze.

„Times”, „Washington Post”, „Chicago Tribune”... – obserwujemy wszystkie większe gazety... i na razie nic.

– Przypuśćmy, że zdecyduje się na którąś z mniejszych? – „Podunk Times” zamiast „New York Times”? Nie możemy wziąć pod lupę każdej gazety w tym kraju.

– Przyznaję ci rację. Z głębokim żalem. Ale nie zdarzyło się nic. Co oznacza, że nic nie powiedziała.

– A czy ktoś rzeczywiście uwierzyłby ośmioletniej dziewczynce opowiadającej tak dziwą historyjkę?

– Gdyby przy końcu historyjki coś podpaliła, mogliby zacząć jej wierzyć – odpowiedziała szefowa. – Ale mam ci powiedzieć, co stwierdził komputer? – Uśmiechnęła się i postukała w wydruki. – Komputer twierdzi, że mamy osiemdziesięcioprocentową szansę na przyniesienie komitetowi jej trupa, nawet jeśli nie kiwniemy palcem... oprócz identyfikacji zwłok.

– Samobójstwo?

Szefowa skinęła głową. Ta myśl zdawała się bardzo ją cieszyć.

– To fajnie – powiedział, wstając, mężczyzna, który nie był bibliotekarzem. – Ja ze swej strony będę pamiętał, jak komputer stwierdził, że Andy McGee jest niemal z pewnością wykończony.

Uśmiech szefowej znikł.

– Wszystkiego dobrego, szefowo – powiedział mężczyzna, który nie był bibliotekarzem, i wyszedł.

3

Tego samego listopadowego dnia mężczyzna we flanelowej koszuli, flanelowych spodniach i długich zielonych kaloszach rąbał drzewo pod pogodnym, białym niebem. Tego pięknego dnia nadejście kolejnej zimy wydawało się jeszcze dalekie; na dworze było rześkie dziesięć stopni. Kurtka mężczyzny – żona gderiała i w końcu włożył kurtkę – wisiała na płocie. Za jego plecami, oparte o ścianę stodoły, leżały wspaniałe pomarańczowe dynie; przykro powiedzieć, ale niektóre zaczynały już gnić.

Mężczyzna położył kolejne długie polano na pieńku, podniósł siekierę i opuścił ją. Rozległ się głośny stuk i dwa kawałki w sam raz do pieca opadły po obu stronach pieńka. Mężczyzna właśnie się pochylał, by je podnieść i rzucić na stertę, gdy za jego plecami przemówił jakiś głos:

– Masz nowy pieńek, ale ślad po mnie wciąż tu jest, prawda? Wciąż tu jest.

Zaskoczony mężczyzna odwrócił się. To co zobaczył, sprawiło, że nie zdając sobie z tego sprawy, odskoczył, strącając siekierę; padła na głęboki, niezatarty, wyryty w ziemi ślad. Najpierw myślał, że widzi ducha, jakiegoś straszego upióra dziecka, które wstało z odległego o pięć kilometrów cmentarza w Dartmouth Crossing. Dziewczynka stała na podjeździe, blada, brudna i wychudzona, oczy miała wpadnięte i błyszczące, ubranie porwane. Na prawym ramieniu, aż do łokcia, ciągnęło się zadrapanie wyglądające na zakażone. Dziecko miało na nogach pantofle albo to, co z nich zostało, trudno było powiedzieć.

I nagle mężczyzna ją rozpoznał. To była ta mała dziewczynka sprzed roku; nazywała się Roberta i miała miotacz ognia w głowie.

– Bobbi? Wszyscy święci, to ty?

– Wciąż tu jest – powtórzyła dziewczynka, jakby go nie słyszała, i mężczyzna zrozumiał, dlaczego błyszczą jej oczy. Płakała.

– Bobbi? – zapytał. – O co chodzi? Gdzie tata?

– Wciąż jest – powiedziała dziewczynka po raz trzeci i zemdlała. Mężczyzna zaledwie zdążył ją złapać. Tuląc dziecko, kłęcząc na ziemi swego podwórka, Irv Manders zaczął krzyczeć, wzywając żonę.

4

Doktor Hofferitz pojawił się o zmierzchu i spędził u dziewczynki leżącej w sypialni na tyłach domu mniej więcej dwadzieścia minut. Irv i Norma siedzieli w kuchni, bardziej wpatrując się w pełne talerze niż jedząc kolację. Od czasu do czasu Norma spoglądała na męża; nie oskarżycielsko, pytająco, strach objawiał się nie w jej oczach, lecz raczej wokół nich; miała oczy kobiety walczącej z migreną lub silnym bólem krzyża. W dzień po wielkim pożarze pojawił się u nich mężczyzna nazwiskiem Tarkington; przyszedł do szpitala, w którym trzymano Irva, i pokazał im wizytówkę, na której napisane było tylko: WHITNEY TARKINGTON – ODSZKODOWANIA RZĄDOWE.

– Wynoś się pan stąd i już – powiedziała wtedy Norma. Usta miała zaciśnięte, pobladłe, a w oczach ten sam wyraz bólu co dziś. Wskazała na rękę męża, grubo owiniętą bandażami; do rany założono sprawiające spory ból dreny. Irv powiedział jej, że przeżył większość drugiej wojny światowej bez najmniejszej szkody dla zdrowia z wyjątkiem straszliwych hemoroidów; musiał dopiero wrócić do domu, do Hastings Glen, by dostać kulkę.

– Wynoś się pan stąd i już – powtórzyła.

Lecz Irv, który prawdopodobnie miał więcej czasu na myślenie, powiedział tylko:

– Mów, co masz do powiedzenia, Tarkington.

Tarkington wyciągnął czek na trzydzieści pięć tysięcy dolarów – nie czek rządowy, lecz wystawiony przez jedną z wielkich firm ubezpieczeniowych, choć nie tę, w której ubezpieczeni byli Mandersowie.

– Nie kupisz naszego milczenia – powiedziała Norma i sięgnęła po przycisk nad głową Irva.

– Myślę, że lepiej by było, gdyby mnie państwo wysłuchali przed podjęciem działań, których możecie później żałować – powiedział Whitney Tarkington cicho i uprzejmie.

Norma spojrzała na Irva, a Irv skinął głową. Jej dłoń cofnęła się z przycisku.

Tarkington miał ze sobą walizeczkę. Postawił ją na kolanach, otworzył i wyjął z niej teczkę z napisem MANDERS I BREEDLOVE.

Oczy Normy rozszerzyły się, w żołądku poczuła skurcze. Jej panięńskie nazwisko brzmiało Breedlove. Nikomu nie podoba się, że rząd trzyma akta na jego temat; jest coś strasznego w świadomości, że zbierają o tobie informacje, że być może ktoś zna twoje sekrety.

Przez mniej więcej czterdzieści pięć minut Tarkington mówił nieprzerwanie cichym, rozsądnym głosem. Od czasu do czasu ilustrował to, co mówił, kserokopiami akt z teczki Manders i Breedlove. Norma przeglądała odbitki z zaciśniętymi ustami i przekazywała je leżącemu w łóżku Irvowi.

– Znaleźliśmy się w sytuacji – powiedział tego strasznego wieczoru Tarkington – w której zagrożone jest bezpieczeństwo narodowe. Muszą państwo zdać sobie z tego sprawę. Nie bawi nas robienie tego, co robimy, ale pozostaje faktem, że musimy was przekonać. Są rzeczy, o których wiecie bardzo niewiele.

– Wiemy, że próbowaliście zabić nieuzbrojonego człowieka i jego córeczkę – odpowiedział Irv.

Tarkington uśmiechnął się zimnym uśmiechem zarezerwowanym dla ludzi, którzy twierdzą głupio, że znają zasady, na jakich rząd broni swych poddanych, i odpowiedział, że nie wiedzą, co widzieli i co to oznacza.

– Płacą mi nie za przekonanie was o tym, lecz tylko za przekonanie was, żebyście o tym nie mówili. A teraz zrozumcie, to wcale nie musi być przykre. Od tej sumy nie płaciecie podatku. Wystarczy na naprawę domu, rachunki ze szpitala i jeszcze sporo wam zostanie. I unikniecie wielkich nieprzyjemności.

Nieprzyjemności, pomyślała teraz Norma, słuchając doktora

Hofferitza poruszającego się po sypialni i patrząc na niemal nietkniętą kolację. Po odejściu Tarkingtona Irv spojrzeł na nią i jego usta się uśmiechały, ale w oczach było cierpienie i ból. Powiedział jej:

– Tata zawsze mi powtarzał, że jeśli bierzesz udział w zawodach w rzucaniu gównem, to nieważne, ile rzucisz, tylko ile cię trafi.

Obydwoje pochodzili z dużych rodzin. Irv miał trzech braci i trzy siostry, Norma cztery siostry i jednego brata. Nie brak tam było wujków, siostrzeńców, bratanków i kuzynów. Byli rodzice, dziadkowie, zięciowie, mnóstwo pociotków. i jak w każdej rodzinie, kilku wyrzutków.

Jeden z bratanków Irva, chłopiec nazwiskiem Fred Drew, którego Irv spotkał może trzy, a może cztery razy, miał za domem w Kansas, według papierów Tarkingtona, ogródek obsadzony marihuaną. Jeden z wujów Normy, przedsiębiorca budowlany, tkwił po uszy w długach i wątpliwych inwestycjach na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej; ten gość, Milo Breedlove, miał również siedmioosobową rodzinę na utrzymaniu i wystarczyło jedno słówko ze strony rządu, by jego rozpaczliwy domek z kart runął wprost w przepaść zwykłego, prostego bankructwa. Pewna bardzo daleka kuzynka Irva (Irv sądził, że spotkał ją raz, lecz nie mógł sobie przypomnieć, jak wygląda) najwyraźniej zdefraudowała niewielką sumę z banku, w którym pracowała przed sześciu laty. Bank odkrył to i zdecydował się nie oddawać sprawy do sądu, by uniknąć nieodpowiedniej reklamy. Przez dwa lata kuzynka oddawała ukradzione pieniądze w ratach i teraz prowadziła cieszący się sporym powodzeniem salon piękności w North Fork, w Minnesocie. Ale przedawnienie jeszcze nie nastąpiło i można byłoby ją ścigać z kodeksu federalnego za przekroczenie tego czy owego przepisu prawa bankowego. FBI trzymało akta najmłodszego brata Normy, Dona. W połowie lat sześćdziesiątych Don związany był krótko z SDS i mógł być także wplątany w plan podpalenia biura zakładów chemicznych Dow w Filadelfii. Nie było na to żadnych dowodów zdolnych utrzymać się w sądzie (a sam Don powiedział kiedyś Normie, że kiedy zorientował się, o co właściwie chodzi, przerażony zerwał wszystkie kontakty), ale kopia akt przesłana do korporacji, w której pracował, z pewnością pozbawiłaby go pracy.

I tak dalej, i tak dalej; świdrujący głos Tarkingtona rozbrzmiewał w małym pokoju. Najlepsze zostawił na deser. Kiedy pradziadkowie Irva w 1888 roku przybyli do Ameryki z Polski, nazywali się Mandroscy. Byli Żydami i Irv był częściowo Żydem, chociaż od czasów dziadka, który poślubił gojkę, w rodzinie nie wyznawano judaizmu; od tej chwili Mandersowie żyli sobie w szczęśliwym agnostycyzmie. Krew uległa kolejnemu rozcień-

czeniu, gdy ojciec Irva poszedł w ślady dziadka, i również ożenił się z gojką Sam Irv z kolei posłubił Normę Breedlove, niegdyś metodystkę. Lecz Mandroscy ciągle żyli w Polsce, a Polska była za żelazną kurtyną i gdyby CIA tego chciała, mogła uruchomić krótki łańcuch zdarzeń zmierzających do, łagodnie mówiąc, uprzykrzenia życia tym krewnym, których Irv nigdy nie widział. Za żelazną kurtyną nie kochają Żydów.

Tarkington umilkł. Włożył akta do teczki, zamknął ją, odsta-
wił między stopy i spojrzął na nich jasnym wzrokiem, jak pry-
mus, który właśnie bezbłędnie wyrecytował wierszyk.

Irv położył głowę na poduszce, czując wielkie, bardzo wiel-
kie zmęczenie. Czuł też, jak Tarkington się w niego wpatruje,
i nie bardzo go to obchodziło, ale Norma także na niego patrzy-
ła, pytająco, z niepokojem.

Masz jakichś krewnych w starym kraju, nie? – pomyślał Irv.
Było to tak banalne, że aż śmieszne, ale jakoś wcale nie chciało
mu się śmiać. Ilu trzeba pokoleń, by przestali być krewnymi?

Czterech? Sześciu? Ośmiu? Jezu Przenajświętszy. Jeżeli
oprzemy się temu nieprawdopodobnemu skurwysynowi i ci
biedni ludzie pojedą na Syberię, to co zrobię? Wyślę im kartkę
z wyjaśnieniem, że kopiają sól, bo wzięłam do samochodu małą
dziewczynkę i jej tatę, kiedy stali na poboczu drogi do Hastings
Glen? Jezu Przenajświętszy.

Doktor Hofferitz, który miał już blisko osiemdziesiąt lat, wy-
szedł powoli z sypialni, przyglądając siwe włosy jedną sękatą
ręką. Irv i Norma spojrzeli na niego zadowoleni, że przerywa im
rozpamiętywanie przeszłości.

– Ocknęła się – powiedział lekarz i wzruszył ramionami.

– Ta twoja pieszczoszka nie czuje się najlepiej, ale i nie ma
niebezpieczeństwa. Ma zainfekowane skaleczenie na ręce i dru-
gie na plecach; mówi, że podrapała się, kiedy przechodziła pod
drutem kolczastym, uciekając od „tych świń, które były na nią
wściekle”.

Hofferitz usiadł przy stole z westchnieniem, wyciągnął pacz-
kę cameli i zapalił jednego. Palił przez całe życie i – jak czasami
mówił swym kolegom – jeśli o niego chodzi, to minister zdrowia
może się pieprzyć.

– Chcesz coś zjeść, Karl? – zapytała Norma.

Hofferitz przyjrzał się ich talerzom.

– Nie. Ale gdybym chciał, to pewnie nie musiałabyś nakładać mi nowej porcji – powiedział sucho.

– Długo będzie musiała leżeć w łóżku? – zapytał Irv.

– Powinienem zabrać ją do Albany – stwierdził Hofferitz. Na stole stał talerz z oliwkami i lekarz wziął sobie garść. – Obserwacja. Ma prawie trzydzieści dziewięć stopni gorączki. To z powodu infekcji. Zostawię wam penicylinę i trochę maści z antybiotykiem. Najbardziej potrzebuje jedzenia, picia i odpoczynku. Nieodżywienie. Odwodnienie. – Wrzucił sobie oliwkę w usta. – Dobrze zrobiłaś, dając jej ten rosół z kury,

Norma. Coś więcej i pewne jak wschód słońca, że zwymiotuje. Jutro nie dawać jej nic oprócz płynów. Rosół z kury lub wołowiny, dużo wody. I oczywiście mnóstwo ginu, to najlepszy z płynów. – Roześmiał się ze swojego starego dowcipu, który Norma i Irv słyszeli już przedtem niezliczoną ilość razy, i wrzucił sobie oliwkę do ust. – Powinienem zawiadomić o tym policję, wiecie?

– Nie! – Irv i Norma odpowiedzieli jednogłośnie i spojrzeli na siebie tak oczywiście zaskoczeni, że doktor Hofferitz znów zachichotał.

– Ma kłopoty, co?

Irv sprawiał wrażenie zażenowanego. Otworzył usta i znowu je zamknął.

– A może ma coś wspólnego z tymi kłopotami, które mieliście tu zeszłego roku?

Tym razem Norma otworzyła usta, lecz nim zdążyła coś powiedzieć, odezwał się Irv.

– Myślałem, że musisz zgłaszać tylko rany postrzałowe, Karl.

– Zgodnie z prawem, zgodnie z prawem – odpowiedział niecierpliwie Hofferitz i zdusił niedopałek papierosa. – Ale wiesz, Irv, że istnieje duch i litera prawa. Mamy tu małą dziewczynkę; twierdzisz, że nazywa się Roberta McCauley, a ja nie wierzę w to bardziej niż w to, że świnia sra dolarówkami. Powiedziała, że podrapała się do krwi, przechodząc pod drutem kolczastym, a ja myślę, że to dziwny sposób podróżowania do krewnych, nawet przy dzisiejszych cenach benzyny. Powiedziała, że z ostatniego tygodnia czy coś koło tego pamięta bardzo niewiele, i w to akurat wierzę. Kim ona jest, Irv?

Przestraszona Norma zerknęła na męża. Irv odchylił się w krzesło i spojrział na Hofferitza.

– Tak – powiedział w końcu – to część kłopotów z zeszłego roku. I dlatego wezwałem ciebie, Karl. Wiesz, co to kłopoty; widziałeś ich dość i tu, i w starym kraju. Wiesz, jak wyglądają kłopoty. I wiesz, że czasami prawo nie jest lepsze od ludzi, którzy je reprezentują. Próbuję ci powiedzieć, że jeśli rozgadasz o tej tu dziewczynce, sprowadzisz kłopoty na głowę mnóstwa ludzi, którzy wcale na to nie zasłużyli. Na Normę i na mnie, na kupę naszych krewnych... i na tę tutaj małą. I to chyba wszystko, co mogę ci powiedzieć. Znamy się od dwudziestu pięciu lat. Musisz zdecydować, co zrobisz.

– A jeśli zamknę gębę – Hofferitz zapalił kolejnego papierosa – to co wy zrobicie?

Irv spojrzał na Normę, Norma spojrzała na Irva. Po chwili potrząsnęła głową krótko, jakby coś ją zdumiało, i spuściła oczy na talerz.

– Nie wiem – powiedział cicho Irv.

– Masz zamiar ją tu trzymać jak papużkę w klatce? To małe miasteczko, Irv. Ja potrafię trzymać język za zębami i pod tym względem jestem wyjątkiem. Oboje z żoną chodźcie do kościoła. Na zebrania farmerów. Ludzie przychodzą i ludzie wychodzą. Inspektor sanitarny przyjedzie, by obejrzeć twoje krowy. Urzędnik podatkowy pojawi się pewnego pięknego dnia, niech go piorun w tę łysą pałę, żeby wycenić budynki. Co masz zamiar zrobić? Urządzić jej pokój w piwnicy? Dzieciak będzie miał fajne życie, nie?

Norma sprawiała wrażenie coraz bardziej zmartwionej.

– Nie wiem – powtórzył Irv. – Chyba będę musiał trochę nad tym pomyśleć. Wiem, o czym mówisz... ale gdybyś znał ludzi, którzy jej szukają...

Słyszając to, Hofferitz zmrużył oczy, ale nic nie powiedział.

– Będę musiał trochę o tym pomyśleć. Czy potrafisz utrzymać to w tajemnicy przez jakiś czas?

Hofferitz wrzucił do ust ostatnią oliwkę. Westchnął i wstał, trzymając się krawędzi stołu.

– Jasne – powiedział. – Jej stan jest stabilny. V-cylina powinna wytłuc zarazki. Będę trzymał gębę na kłódkę, Irv. Ale ty lepiej o tym pomyśl. Długo i pilnie. Bo dziecko to nie papużka.

– Nie – odparła cicho Norma. – Oczywiście, że nie.

– W tym dziecku jest coś dziwnego – powiedział Hofferitz, podnosząc swą czarną torbę. – Coś cholernie dziwnego. Nie potrafię określić co... ale mam przeczucie.

– Tak – zgodził się Irv. – Jest w niej coś dziwnego, zgadza się, Karl. I dlatego to dziecko ma kłopoty.

Wyprowadził doktora w ciepłą, deszczową, listopadową noc.

5

Kiedy doktor skończył już badać ją i przyciskać swymi starymi, sękatymi, lecz cudownie delikatnymi dłońmi, Charlie zapadła w gorączkową, lecz całkiem przyjemną drzemkę. Słyszała głosy z sąsiedniego pokoju i wiedziała, że mówią o niej, ale czuła pewność, że tylko mówią... a nie snują plany.

Prześcieradła były czyste i chłodne, ciężar śmiesznej pikowanej kołdry rozkosznie leżał jej na piersi. Charlie odpłynęła. Pamiętała kobietę, która nazwała ją czarownicą. Pamiętała ucieczkę. Pamiętała, jak złapała okazję: półciążarówkę przelewającą się od hippisów; wszyscy palili trawkę i pili wino, i pamiętała, że nazywali ją małą siostrzyczką i pytali, dokąd jedzie.

– Na północ – powiedziała krótko, a oni poparli ją głośnym rykiem.

Po tym pamiętała bardzo niewiele aż do wczoraj, kiedy zaszarżował na nią wielki dzik, najwyraźniej zamierzając ją zjeść. Jak dotarła do farmy Mandersów i dlaczego uciekła tutaj – czy była to świadoma decyzja, czy coś innego – nie pamiętała.

Charlie odpłynęła. Drzemka zmieniła się w sen. A we śnie znów znalazła się w Harrison, zerwała się z łóżka, krzycząc ze strachu, do pokoju wpadła matka; jej piękne, kasztanowate włosy błyszczały oślepiająco w świetle poranka i Charlie krzyknęła: „Mamo, miałam sen, że ty i tata nie żyjecie!”. A matka dotknęła jej gorącego czoła chłodną dłonią i powiedziała: „Ciii, Charlie, ciii. Już ranek, a ty miałaś taki głupi sen”.

6

Tej samej nocy Irv i Norma Manders spali niewiele. Siedzieli, gapiąc się na kolejne głupie seriale wyświetlane w najlepszym czasie, później na wiadomości, a później na show – *Dzisiejszej*

nocy. Mniej więcej co kwadrans Norma wstawiała, wychodziła cicho z saloniku i szła sprawdzić, co z Charlie.

– Jak się czuje mała? – zapytał Irv mniej więcej kwadrans po pierwszej.

– Dobrze. Śpi.

Irv chrząknął.

– Przemyślałeś już to? – spytała Norma.

– Musimy ją zatrzymać, aż poczuje się lepiej. Wtedy z nią porozmawiamy. Dowiemy się, co z tatą. Nie wiem nic więcej.

– Jeśli wrócą...

– A dlaczego mieliby wracać? – zdziwił się Irv. – Zamknęli nam usta. Myślą, że nas przerazili...

– Mnie przerazili – stwierdziła cicho Norma. – Ale to nie było w porządku – odpowiedział Irv równie cicho. – I ty o tym wiesz. Te pieniądze... „ubezpieczenie”... dla mnie to nigdy nie było w porządku. A dla ciebie?

– Nigdy. – Norma niepewnie poruszyła się na krześle. – Ale to, co powiedział doktor Hofferitz, jest prawdą. Mała dziewczynka musi spotykać się z ludźmi... chodzić do szkoły... mieć przyjaciół... i... i...

– Widziałas, co wtedy zrobiła. – Głos Irva był kompletnie bezdźwięczny. – Nazwałaś ją potworem.

– I nigdy nie przestałam żałować tego brutalnego słowa. Jej ojciec... to był taki sympatyczny człowiek. Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie jest teraz.

– Nie żyje – odpowiedział głos zza ich pleców i Norma naprawdę krzyknęła, odwracając się i widząc Charlie stojącą w drzwiach, czystą teraz i wyglądającą tym bardziej blado. Jej czoło świeciło jak lampa. Dziewczynka tonęła w jednej z flanelowych koszul nocnych Normy. – Mój tata nie żyje. Zabili go i teraz nie mam dokąd pójść. Czy nie moglibyście mi pomóc? Przepraszam. To nie moja wina. Powiedziałam im, że to nie moja wina... Mówiłam im. ale ta pani nazwała mnie czarownicą... powiedziała... – Charlie rozplakała się, łzy płynęły jej po policzkach i jej głos rozplynał się w szlochu.

– Och, skarbie, chodź do mnie! – krzyknęła Norma i Charlie rzuciła się jej w ramiona.

Doktor Hofferitz przyszedł następnego dnia i orzekł, że Charlie się poprawiło. Przyszedł dwa dni później i orzekł, że bardzo jej się poprawiło. Pojawił się w czasie weekendu i orzekł, że wyzdrowiała.

– Irv, zdecydowałeś, co masz zamiar zrobić?

Irv potrząsnął głową.

8

W najbliższą niedzielę Norma poszła do kościoła sama; powiedziała, że do Irva „przyczepiło się jakieś grypsko”. Irv został z Charlie, która była jeszcze słaba, ale mogła już poruszać się po domu. Poprzedniego dnia Norma kupiła jej mnóstwo ubrań – nie w Hastings Glen, gdzie mogło to spowodować plotki, lecz w Albany.

Irv siedział przy kuchni, strugając patyczki; Charlie przyszła po chwili i usiadła obok niego.

– Nie chcesz wiedzieć? – zapytała. – Nie chcesz wiedzieć, co się stało po tym, jak zabraliśmy twój samochód i odjechaliśmy?

Irv oderwał wzrok od patyczka, podniósł oczy na Charlie i uśmiechnął się do niej.

– Pomyślałem, że opowiesz o tym, kiedy będziesz już gotowa, skarbie.

Twarz Charlie – blada, ściągnięta, poważna – nie zmieniła wyrazu.

– Nie boisz się mnie?

– A powinienem?

– Nie boisz się, że cię spalę?

– Nie, skarbie. Nie boję się, że mnie spalisz. Pozwól, że ci coś powiem. Nie jesteś już małą dziewczynką. Może jeszcze nie jesteś duża, mieścisz się gdzieś pośrodku, ale nie jesteś malutka. Dziecko w twoim wieku – każde dziecko – dostanie się do zapalek, jeśli będzie chciało spalić dom czy cokolwiek innego. Ale niewiele dzieci to robi. Dlaczego miałyby tego chcieć? Dlaczego ty miałabyś mnie spalić? Dziecku w twoim wieku powinno się móc powierzyć scyzoryk lub pudełko zapalek, nawet jeśli to niezbyt mądre dziecko. Więc nie. Nie boję się.

Kiedy skończył, buzia Charlie rozpromieniła się i pojawił się na niej wyraz ulgi niemal nie do opisania.

– Powiem ci. Powiem ci wszystko. – Zaczęła mówić i kiedy w godzinę później wróciła Norma, Charlie mówiła dalej. Norma zatrzymała się w drzwiach, słuchała, rozpięła powoli płaszcz i odłożyła go. Położyła torebkę. A dziecinny, lecz w jakiś sposób dorosły głos Charlie brzmiał nadal, opowiadając, opowiadając, opowiadając wszystko.

Nim jeszcze skończyła, oboje, Irv i Norma, zrozumieli, jakimi stali się strasznie ważnymi ludźmi.

9

Czasami budziła się z tych koszmarów z nagłą gwałtownością, nie tyle wyrwana ze snu, ile wystrzelona z niego jak piloci katapultowani z wojskowych samolotów. Zdarzyło się jej to pewnej nocy w drugim tygodniu kwietnia; w jednej chwili spała, a w następnej była już całkiem przebudzona, leżąc w swym wąskim łóżeczku w sypialni z tyłu domu, cała pokryta potem. Przez chwilę pamiętała ten przerażający koszmar jak żywy (soki swobodnie krążyły już w klonach i po południu Irv zabrał ją ze sobą, kiedy szedł zmieniać wiadra; we śnie zbierali syrop z klonu i Charlie coś usłyszała, obróciła się i zobaczyła Johna Rainbirda skradającego się w ich kierunku, przeskakującego od drzewa do drzewa, ledwie widocznego, jedno oko błyszczało mu złowrogo, bezlitośnie, a w ręku trzymał pistolet, ten sam, z którego zastrzelił tatę; i zbliżał się). A później koszmar znikł. Dzięki Bogu, Charlie nigdy nie pamiętała złych snów zbyt długo i prawie już nie zdarzało się jej krzyknąć przy przebudzeniu i straszyc Irva i Normę, aż biegli do jej pokoju zobaczyć, co się dzieje.

Charlie usłyszała, jak rozmawiają w kuchni. Poszukała po omacku Big Bena stojącego na nocnej szafce i zbliżyła go do oczu. Dziesiąta. Spała tylko półtorej godziny.

– ...zrobić? – pytała Norma.

To nieładnie podsłuchiwać, ale co mogła poradzić? I mówili o niej, wiedziała o tym.

– Nie wiem – odpowiedział Irv.

– Myślałeś jeszcze o gazecie?

Gazety, pomyślała Charlie. Tata chciał porozmawiać z gazetami. Tata powiedział, że wtedy wszystko będzie dobrze.

– O jakiej? „Bugle” z Hastings? Mogliby to wydrukować zaraz koło reklamy AP i programu w kinie Bijou.

Jej ojciec zamierzał to zrobić.

– Normo – powiedział Irv. – Mogę ją zabrać do Nowego Jorku. Mogę ją zabrać do „Timesa”. A co się stanie, kiedy czterech facetów wyciągnie pistolety i zaczną strzelać w holu?

Charlie cała zmieniła się w słuch. Słyszała kroki, kiedy Norma przechodziła przez kuchnię, słyszała grzechot pokrywki od czajnika; odpowiedź zagłuszył szum lecącej wody.

– Tak, myślę, że to się może zdarzyć – mówił Irv. – I powiem ci, co może być jeszcze gorsze, chociaż bardzo kocham tę małą, więc jeśli straci kontrolę, jak w tym miejscu, gdzie ją trzymali... w Nowym Jorku mieszka prawie osiem milionów ludzi, Normo. Czuję, że jestem po prostu za stary, by podejmować takie ryzyko.

Sądząc po krokach, Norma wróciła do stołu; stare deski podłogi w farmerskim domu skrzypiały znajomo.

– Teraz ty mnie posłuchaj, Irv – Norma mówiła ostrożnie i powoli, jakby przemyśliwała to sobie długo i dokładnie. – Nawet małe gazety, nawet maleńkie tygodniki, takie jak „Bugle”, podłączone są dzisiaj do dalekopisów agencji prasowych. W dzisiejszych czasach wiadomości dochodzą zewsząd. Rany, przecież dwa lata temu Nagrodę Pulitzera zdobył reportaż z jakiejś gazetki w południowej Kalifornii, a ona miała mniej niż półtora tysiąca nakładu.

Irv roześmiał się i Charlie miała nagle całkowitą pewność, że ujął dłoń Normy w swoje ręce.

– Studiowałaś ten przedmiot dokładnie, prawda?

– Tak, studiowałam i nie ma się z czego śmiać, Irvie Manders! To bardzo, bardzo poważna sprawa! Nie mamy wyjścia! Jak długo możemy ją tu trzymać, nim ktoś się o niej dowie? Dzisiaj po południu zabrałaś ją na ściąganie syropu...

– Normo, nie śmiałem się z ciebie, a dziecko musi od czasu do czasu wyjść na dwór.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Nic nie powiedziałam, prawda? O to chodzi! Dojrzewające dziecko potrzebuje świeżego powietrza, ruchu. Musi dostać to wszystko, jeśli ma mieć apetyt, a ona jest...

– Niejadek, wiem.

– Błdy niejadek, o to chodzi. Więc nie powiedziałam nic. Byłam zadowolona, kiedy ją zabrałeś. Tylko, Irv, co by się stało, gdyby John Gordon albo Ray Parks postanowili tu dzisiaj zajrzeć, tak po prostu, zobaczyć, co porabiasz; zachodzą do nas czasami.

– Kochanie, ale nie przyszli. – Głos Irva był niepewny.

– Tym razem nie! I poprzednim też! Ale, Irv, tak dalej być nie może. Już i tak mieliśmy szczęście i ty dobrze o tym wiesz.

Po krokach łatwo dało się poznać, że znów przeszła przez kuchnię; słycać było, że nalewa herbatę.

– Jasne – powiedział Irv. – Jasne, wiem, że mieliśmy szczęście. Ale... dziękuję, skarbie.

– Nie ma za co – dopowiedziała Norma, siadając. – I żadnych ale. Dobrze wiesz, że wystarczy, aby wiedziała jedna osoba, może dwie. To się rozejdzie. Będzie się rozchodzić, Irv, wszyscy się dowiedzą, że mamy tu małą dziewczynkę. Nieważne, jak jej tu jest, lecz co się stanie, kiedy oni się dowiedzą?

W ciemnościach sypialni ramiona Charlie pokryły się gęsią skórka.

Irv odpowiedział Normie powoli.

– Wiem, o czym mówisz, Normo. Musimy coś zrobić i myślę o tym bez przerwy. Mała gazeta... no, to po prostu nie jest pewne. Sama wiesz, że musimy to zrobić tak, żeby miała spokój do końca życia. Jeśli ma być bezpieczna, o tym, że żyje, i o tym, co potrafi, musi się dowiedzieć mnóstwo ludzi – nie mam racji? Mnóstwo ludzi.

Norma Manders poczuła się niespokojnie, ale nic nie powiedziała.

Irv naciskał.

– Musimy zrobić tak, żeby było dobrze dla niej i żeby było dobrze dla nas. Bo tu chodzi też o nasze życie. Mnie już raz postrzelili. Wierzę w to, co mówią. Też kocham ją jak własne dziecko i wiem, jak ty ją kochasz, ale musimy być realistami. Ona może nas zabić.

Charlie poczuła na twarzy rumieniec wstydu... i strachu. Nie o siebie, lecz o nich. Co też przyniosła ze sobą do tego domu?

– I tu chodzi nie tylko o nią i o nas. Pamiętasz, co mówił ten Tarkington. Papiery, które nam pokazał. Chodzi o twojego brata, o mojego siostrzeńca Freda i Shelley i...

- ...i o tych ludzi w Polsce – powiedziała Norma.
- No, w tej sprawie mógł tylko blefować. Modłę się, żeby tak było. Trudno mi uwierzyć, by ktoś mógł upaść tak nisko.
- Oni upadli bardzo nisko – odparła ponuro Norma.
- W każdym razie wiemy, że śledzą nas tak pilnie, jak tylko potrafią, cholerne sukinsyny... Nie da się nie wpaść w gówno. Mówię tylko, że nie dam się obrzucić gównem bez sensu. Jeśli mamy wykonać ruch, chcę, żeby był prawidłowy. Nie chcę iść do jakiegoś wioskowego tygodnika po to, żeby zważchali sprawę i wyciszli ją. Oni to potrafią. Oni to potrafią.
- I co nam pozostaje?
- To – odpowiedział ciężko Irv – właśnie próbuję sobie przemyśleć. Gazeta albo magazyn, ale takie, żeby o nich nie pomyśleli. Musi być uczciwy, powinien być krajowy. Ale, najważniejsze, żeby nie miał żadnego związku z rządem i z rządowymi pomysłami.
- Masz na myśli Sklepik.
- Tak, Sklepik. – Irv cicho siorbał herbatę.
- Charlie leżała w łóżku, słuchając, czekając.
- „...tu może chodzić także o nasze życie... Mnie już postrzelili... Kocham ją jak własne dziecko i wiem, że ty także ją kochasz, ale w tej sprawie musimy być realistami, Normo... ona może sprowadzić na nas śmierć”.
- Po jej policzkach potoczyły się łzy, ściekając do uszu.
- Tak, jeszcze trochę o tym pomyślimy – powiedziała w końcu Norma. – Musi być jakieś wyjście.
- Tak. Mam nadzieję.
- A tymczasem – powiedziała – możemy tylko mieć nadzieję, że nikt się o niej nie dowie. – Jej głos rozjaśnił się nagle podnieceniem. – Irv, może gdybyśmy wzięli prawnika...
- Jutro. Jestem wykończony, Normo. A nikt jeszcze nie wie, że ona tu jest.
- Lecz ktoś wiedział. I wiadomość już zaczęła się rozchodzić.

Do czasu, kiedy skończył sześćdziesiątkę, doktor Hofferitz, nieuleczalny kawaler, spał ze swą dawną gospodynią, Shirley McKenzie. Seks skończył się powoli w tym związku; po raz ostat-

ni, o ile Hofferitz dobrze pamiętał, zdarzyło się to czternaście lat temu i już wtedy było czymś w rodzaju anomalii. Lecz oboje pozostali sobie bliscy; w rzeczywistości, bez seksu, ich przyjaźń pogłębiła się i straciła część drażniącego napięcia, będącego zwykle jądrem relacji opartych na seksie. Zostali przyjaciółmi w ten platoniczny sposób, który zdarza się wśród ludzi przeciwnej płci, tylko kiedy są albo bardzo młodzi, albo bardzo starzy.

Mimo to Hofferitz przez trzy miesiące zatrzymał dla siebie wiadomość o „gościu” Mandersów. Potem, pewnej lutowej nocy, po trzech kieliszkach wina, podczas gdy on i Shirley (która w styczniu skończyła siedemdziesiąt trzy lata) oglądali telewizję, opowiedział jej wszystko, odbierając od niej przysięgę o zachowaniu całkowitej tajemnicy.

Tajemnice, jak mógłby opowiedzieć Hofferitzowi Kap, są nawet mniej stabilne niż U-235, a ich stabilność zmniejsza się proporcjonalnie do stopnia rozpowszechnienia. Shirley McKenzie utrzymała sekret przez niemal dwa miesiące, nim opowiedziała o nim swej najlepszej przyjaciółce, Hortense Barclay. Hortense utrzymała sekret przez mniej więcej dziesięć dni, a później opowiedziała wszystko swej najlepszej przyjaciółce, Christine Traeger. Christine niemal natychmiast opowiedziała o tym mężowi i trzem najlepszym przyjaciółkom.

Tak właśnie małe miasteczka poznają prawdę; i tej kwietniowej nocy, kiedy Irv i Norma prowadzili swą podsłuchaną rozmowę, spora część Hastings Glen wiedziała, że wychowują tajemniczą dziewczynkę. Wszyscy bardzo się dziwili. I nie ukrywali zdziwienia.

W końcu wiadomość o tym dotarła do niewłaściwej pary uszu. Z szyfrowanego telefonu przeprowadzono rozmowę.

Ostatniego dnia kwietnia agenci Sklepiku po raz drugi napadli na farmę Mandersów; tym razem pojawili się o świcie, na polach, wynurzając się z wiosennej mgły jak przerażający najeźdźcy z planety X, ubrani w jaskrawe, ognioodporne stroje. Był z nimi oddział Gwardii Narodowej, niemający najmniejszego pojęcia, co tu się, do kurwy nędzy, dzieje i dlaczego rozkazano im udać się do tego spokojnego miasteczka, do Hastings Glen w stanie Nowy Jork.

Zastali Irva i Normę Manders zdumionych, siedzących w kuchni nad kawałkiem papieru. Irv znalazł go tego ranka, gdy

wstał o piątej wydoić krowy. Na kartce napisano jedno zdanie: „Chyba wiem, co teraz zrobić. Kocham. Charlie”.

Jeszcze raz oszukała Sklepik – lecz gdziekolwiek była, była sama.

Jedyna pociecha, że tym razem nie musiała już jechać tak daleko.

11

Bibliotekarz był młody; miał dwadzieścia sześć lat, brodę i długie włosy. Naprzeciw jego biurka stała mała dziewczynka w zielonej bluzeczce i dżinsach. W jednej ręce trzymała papierową torbę na zakupy. Była żałośnie chuda i młody bibliotekarz pomyślał, czym to żywią ją tata z mamą... jeśli w ogóle dają jej coś dojedzenia.

Słuchał jej pytań z pełną szacunku uwagą. Tata, powiedziała mu dziewczynka, mówił jej, że jeśli masz naprawdę trudne pytanie, powinieneś szukać odpowiedzi w bibliotece, ponieważ w bibliotece znajdują odpowiedzi na niemal wszystkie pytania. Za ich plecami wielki hol Nowojorskiej Biblioteki Publicznej odpowiadał stłumionym echem, a na zewnątrz dwa kamienne lwy trzymały swą wieczną straż.

Kiedy skończyła, bibliotekarz streścił to, co mu powiedziała, zaznaczając na palcach najważniejsze punkty.

– Uczciwa.

Dziewczynka skinęła głową.

– Duża... to znaczy, krajowa.

Dziewczynka skinęła głową powtórnie.

– Żadnych związków z rządem.

Dziewczynka skinęła głową po raz trzeci.

– Czy mogę zapytać dlaczego?

– Mam... – dziewczynka zawahała się – mam im coś do powiedzenia.

Młody człowiek zastanawiał się przez kilka chwil. Sprawiał wrażenie, jakby zamierzał już coś powiedzieć, lecz tylko podniósł palec i odszedł porozmawiać z innym bibliotekarzem. Wrócił do dziewczynki i wypowiedział dwa słowa.

– Czy może mi pan dać adres? – zapytała dziewczynka.

Bibliotekarz znalazł adres i wypisał go drukowanymi literami na kawałku żółtego papieru.

– Dziękuję – powiedziała dziewczynka i odwróciła się, chcąc odejść.

– Posłuchaj – powiedział chłopak – kiedy jadłaś po raz ostatni, mała? Chcesz parę dolców na obiad?

Dziewczynka uśmiechnęła się – zdumiewająco słodkim i łagodnym uśmiechem. Na chwilę młody bibliotekarz prawie się zakochał.

– Mam pieniądze – powiedziała i otworzyła torebkę tak, by mógł do niej zajrzeć.

Papierowa torba była pełna dwudziestopięciocentówek.

Nim zdążył coś powiedzieć – zapytać, czy walnęła młotkiem w świnkę skarbonkę, czy co? – dziewczynka odeszła.

12

Mała dziewczynka jechała windą na szesnaste piętro wieżowca. Mężczyźni i kobiety, którzy jechali razem z nią, przyglądali się jej ze zdziwieniem – taka mała dziewczynka w zielonej bluzce i džinsach, trzymająca w jednej ręce zmiętą papierową torbę, a w drugiej pomarańczę. Lecz ludzie ci byli nowojorczykami, a esencją charakteru nowojorczyków jest pilnować własnych spraw i niech inni pilnują swoich.

Dziewczynka wysiadła z windy, przeczytała oznaczenia i skręciła w lewo. Podwójne przeszklone drzwi prowadziły do eleganckiej sali recepcyjnej, znajdującej się przy końcu korytarza. Poniżej dwóch słów, które powiedział jej bibliotekarz, znajdowało się motto: „WSZYSTKIE SPRAWDZONE INFORMACJE”.

Charlie zatrzymała się przy drzwiach chwilę dłużej.

– Robię to, tato – szepnęła. – Boże, mam nadzieję, że robię, co trzeba.

Charlie McGee popchnęła skrzydło szklanych drzwi i weszła do redakcji „Rolling Stone”, gdzie wysłał ją bibliotekarz.

Recepcjonistką była młoda kobieta o czystych, szarych oczach. Przez kilka sekund patrzyła na Charlie w milczeniu, oglądając pogniecioną, papierową torbę, pomarańczę, szczipłutką dziewczynkę; była chuda, niemal wygłodzona, lecz wysoka jak na swój wiek, a jej twarz miała w sobie coś w rodzaju ła-

godnego, spokojnego blasku. Będzie kiedyś taka piękna, pomyślała recepcjonistka.

– Chcę się zobaczyć z kimś, kto pisze do waszego magazynu – powiedziała Charlie. Mówiła cicho, lecz jej głos był czysty, stanowczy. – Chcę mu opowiedzieć pewną historię. I mam mu coś do pokazania.

– Jak „pokaż i nazwij” w szkole, co? – zapytała recepcjonistka.

Charlie uśmiechnęła się. Był to ten sam uśmiech, który tak oszołomił młodego bibliotekarza.

– Tak – powiedziała. – Czekałam na to bardzo długo.

- 1) Rip van Winkle – bohater opowiadania Washingtona Irvinga z 1820 roku, który zasnął w górach Catskill i obudził się dwadzieścia lat później, w kompletnie zmienionym świecie. ↵
- 2) Department of Scientific Intelligence – Wydział Wywiadu Naukowego. ↵
- 3) Tyt. oryg. powieści van Vogta *The Weapon Shops of Isher*. U Kinga błędnie podane: „Ishtar”. ↵
- 4) Conifer (z łac.) – roślina igłasta. ↵
- 5) W Vermoncie mieszkał Aleksander Sołżenicyn. ↵

STEPHEN KING

Wybitny amerykański pisarz, nazywany Królem Horroru, został w 2003 r. uhonorowany prestiżową nagrodą literacką National Book, a w 2015 r. odebrał z rąk prezydenta USA National Medal of Arts. Światową sławę przyniosła mu powieść **Carrie**. Kolejne utwory – powieści, opowiadania i komiksy – opublikowano w setkach milionów egzemplarzy i przełożono na kilkadziesiąt języków. Są wśród nich tak znane książki jak: **Lśnienie, Sklepik z marzeniami, Bastion, Zielona Miła, Dolores Claiborne, Komórka, Uciekinier, Czarna bezgwiazdna noc, Cujo** i ośmiotomowy cykl fantasy **Mroczna Wieża**, na podstawie którego powstał film z Matthew McConaugheyem i Idrisem Elbą w rolach głównych. W 2017 r. swoją premierę miała pierwsza część ekranizacji jednej z kultowych książek Kinga, **To**. Już we wrześniu 2019 r. do polskich kin wejdzie druga część tego świetnie przyjętego przez widzów filmu, pt. **To: Rozdział 2**.

Pod pseudonimem Richard Bachman King opublikował siedem powieści.

Stephen King wciąż szuka nowych wyzwań – w ostatnich latach napisał trylogię kryminalną z detektywem Billem Hodgesem, do której należą książki: **Pan Mercedes, Znalezione nie kradzione** i **Koniec warty**.

stephenking.com